This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

VSlav 7108.1

THE SLAVIC COLLECTION

Harvard College Library

GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.
(Class of 1887.)

Received 31 October, 1895.

Slav 7080.1

Biblioteka Polska.

Serya na rok 1862.—Zeszyt 7—16.

DZIEŁA
FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

Zeszyt siódmy do szesnastego.

…ary
Archib… Ph. D.
Octob…

WYDANIE
Kazimierza Józefa Turowskiego.

W KRAKOWIE.
Nakładem Drukarni „CZASU“ W. Kirchmayera.
1862.

Główny Skład dla
Królestwa polskiego i Cesarstwa rosyjskiego
w księgarni pp. G. Gebethnera & R. Wolffa,
W WARSZAWIE.

BOUND. JUN 28 1911

Myśli jesienne. Do Księcia Adama Czartoryskiego, Jenerała Ziem Podolskich, Posła Lubelskiego.

Tobie, książe nad pochwały,
Pod ojczyzny twej brzemieniem,
Twardem pracując ramieniem,
Od zorzy schodzi dzień cały!
Ja w jesiennem próżnowaniu,
Jak rozrywałem me nudy,
Daj czas krótkiemu czytaniu,
I wysokie przerwij trudy.
Kiedy na górnej zodyaku szali
Słońce, tu waży jesień, a tam lato;
I poty, które rolnicy przelali,
I plon, jakowym nagrodzeni za to;
Wody, mgła gruba okrywa,
Wiatr się północny poświstem zwoływa,
Już nas rzucacie wędrowne żórawie!...
Póki na naszej żyć mogliście strawie,
Póki przy naszem słońcuście się grzały!...
Jak głód i zimno, zaraz uleciały!...
Tak robi przyjaźń fałszywa;
Gdy u mnie nie czuje złota,
Gdy się stołów nie spodziewa,
Nikt w moje nie wjeżdża wrota!
Chłodne wieczory; mroźna jutrzenki godzina
Rosę, kiedyś żywotną, ścina;
Truchleje, na zimy przyjście,
Zatrwożone puszczy liście.
Człowiek, jak ten list drzewa, który mrozem zdjęty,
Od swej gałęzi odcięty,
Kiedy na ziemię padnie za nic już nie stoi,
Tylko się jego szumu daremnie zwierz boi!..
Wichry nabierają siły,
Robią lasy niepogody,
Nieba się chmurą zakryły,
Chwila lodem pęta wody.
Tymczasem skrzętny koło swojej chaty
Gospodarz chodząc opatruje ściany,
Ażeby matkę obciążoną laty,

W cieple uchował do pory wiośnianej.
Ptak mu zlatuje leśny na podsienie,
I szuka gdzieby żywność jaka była,
Której Opatrzność karmiąca stworzenie,
W naszych mu gumnach cząstkę wyznaczyła.
O wy niewinne ptaszęta!
Nie lećcież nigdy w te strony,
Gdzie ptasznik nieukojony
Sieci wam stawia i pęta!
Ni waszym pieszczonym głosem,
Ani piór bogatym strojem,
Uchronicie się przed ciosem;
On samym żyje zabojem!..
Przy ubogich się prędzej pożywicie;
Ma ktoś do zbytku, dybie wam na życie!
Zagrody mej ozdobo! lipo okazała!
Jak twoja minęła chwała!
Straciłaś głowy koronę,
I uplotki zielone,
I wesołe przedtem czoło,
I nas, bawiących się w koło.
Na korze tylko karby się zostały,
Które lata poorały!...
Tak kiedyś hoża Teona
Przybrana w różane wieńce,
Wiodąc zalotne młodzieńce,
Wdziękami była wsławiona!
Teraz ten się jej nawet nie natrąca,
Którym wzgardziła Irys panująca.
Kwaśnemi słowy mówi, urywa,
Jej uśmiech, zmarszczki nowe odkrywa,
Głośno się do lat swych nieprzyznaje,
A w ciszy, zbiegłym godzinom łaje.
Drzewom się z wiosną zieloność wróci,
Nas młodość gdy raz porzuci,
Nie chce już nigdy zbujana,
Dawnego odwiedzić pana.
O cudzych mówiąc, swoje przypominam szkody!
I ja byłem kiedyś młody!...
Dziś, gdy mię wiek ujął cieśnij

Nie śpiewam Lindorze pieśni.
Nie idę, chociaż mię wzywa
Igrać, młodzież łaskotliwa:
Ani mię tak niezamroczy,
Irys, uroczemi oczy!
  Bliżej zima, tem większe zawieruchy wzrosły!
Jaki despot, takie posły.
Łamie burza, co tylko jej oprzeć się śmiało;
To ciebie, królu puszczy, jesionie, spotkało!...
On swem wierzchołkiem zuchwałym,
Panował nad lasem całym.
Niby od wichru drobny krzew zasłaniał,
Ale gałęzią razem ogromną
Przygniatał chróścinę skromną,
I wzrostu wiecznie zabraniał.
Jedna godzina zdarzyła,
Padł, burza się z nim skłóciła!
Padł, i nie wiele czasu przeminęło,
Ślady i jego wspomnienie zginęło!
  Ów bohatyr zawołany
Zatrząsł ziemskiemi ściany!
Wziął się za pasy ze światem;
Świat mu słaby u nóg klęknął;
Choć się korzył przed swym katem,
Winnym go znalazł, że padając, jęknął.
On jeden gadał, a cała
Posępna ziemia milczała.
Żeby w potomność żyć mógł odwlekłą,
Podziw poźnemu czyniąc plemieniu,
Żelazem które krwią ludów ciekło,
Dzieła swe w twardym ryje kamieniu.
Lecz nie tak jak on, czas natarczywy
Zwolna ku niemu szedł zemsty chciwy,
Co miało wieki przetrwać, pożera
Żelazo, kamień i bohatera!...
Choć czasem słońce pogodne zabłyśnie,
Zdaje się, że nas chce drażnić umyślnie,
Bo wkrótce z wichrem nawalne śnieżnice
Sieką złej chwili ziemię niewolnicę.

Mojej to obraz, mojej to ojczyzny!...
Dla której chętnie przykrości znosili,
I poczciwemi chlubili się blizny,
I śmiercią dawni Polacy gardzili!
Dziś, tęż samę Matkę mamy,
Czemuż nie tak o nią dbamy!
Czemu się bracia kłócicie,
Gdy wam chodzi o jej życie!
Gdy wam grób już wykopany,
Od potężnych sąsiad ściany.
Rok jeden może nie minie,
Piękny kiedyś naród zginie!...
Burzliwe wasze obrady,
O nic, nieskończone zwady,
Zawiść, uraza prywatna,
Pycha, nigdy nie popłatna,
Pożądaną porę psują,
Sprawę narodu wstrzymują!
Tymczasem (może ku wiecznej ochydzie),
Stan nasz do zguby jak idzie tak idzie.
I choć się tego morza uciszają wody,
Znakiem to tylko przyszłej niepogody.
Ten cierpi, z tej czasu straty,
Szkodę swą, w ojczyzny szkodzie.
I pod królewskiemi szaty
Niezgód naszych cierń go bodzie.
Cierpią i serca poczciwe,
Patrząc na siebie i dzieci,
W jakiej burze nieżyczliwe,
Chcą ich pogrążyć zamieci!.
Książę! gdzie stoisz, ztąd nas nie ubiegną!
Z tobą wraz czuje ów stróż osiwiały,
I insi pięknej towarzysze chwały,
Co się pod pracy ciężarem nie zegną.
Nie opierasz się znużony niewczasem,
Na baszcie, której straż ci poruczona,
Aby snać, sen cię nie ogarnął czasem,
Góry nie wzięła nieprzyjazna strona.
Jeśli po burzy którą się dziś chwieje,
Swojej się wiosny doczeka ojczyzna;

I polska niwa zieloność przywdzieje,
Kiedyś w krzew laurów nieśmiertelnych żyzna;
Wam ja mężowie, pochwał warci sami,
Póki mi życia nie przerwą się wątki,
Latając myślą i piórem za wami,
Podług sił w pismach wystawię pamiątki.
Nie w marmurze twardym ryte,
Ani spiżą znakomite,
Małeć wprawdzie, małe,
Ale może trwałe.

Fragment w zamięszaniach kraju.

A oni zapaleni o tem zapomnieli,
Że wspólny los ich czeka, wspólną matkę mieli.
Ten bratu bronią grozi, inszy bratu łaje;
Kiedy matka szanowna w pośrodku nich staje.
Wstyd z nią wszedł: broń i oczy spuścili ku ziemi;
Ona ich zapęd słowy wstrzymuje takiemi:
„Płodzie niewczesny!... niebo ciebie zaniedbało.
I serca ci Polaków dawnych dać nichciało!
Dokąd dzieci bieżycie? miłaż wam krew braci?
Wszak kto przelał braterską, ten część swojej traci
Nad wszystko: czyżem cierpieć z rąk waszych powinna!
Jeśliście sobie winni, ja wam nic nie winna.
Za co kaleczyć piersi, co was wykarmiły?
Mnie ranią groty, które mych synów przeszyły.
Czyż już z przeciwnej strony wszyscy wyginiecie!
Czyliż pić do jednej się wody nie zejdziecie?
Na co się łżycie słowy, i bronią grozicie?
Dawne sławy zarobki w jednym dniu trwonicie.
Jakaż ślepota w te was bezdroża wpędziła?
Zarosły ścieżki zgody którędy chodziła!
Zły ptak, który niebacznie szpeci swoje łoże."
Skończyła, z rąk wypadły bratobójcze noże.

Do Książęcia Mikołaja Repnina Jenerała, Gubernatora Litwy 1796.

Chcesz książę, bym co pisał? wśród powszechnej klęski,
Gdy tak zniżył Polaka miecz ruski zwycięzki,
Jak może bawić kogo, albo być bawioną
Istność, kiedy ją z stopnia swojego strącono!

Sam Apollo za jakieś pobite Cyklopy,
Zepchnion będąc z Olimpu między proste chłopy,
Gdy mu bóstwo odjęte, gdy smutny i goły,
Nie pomyślił o wierszach, pasł Admeta woły.

Straciliśmy tę skrzynię, w której były składy
Zaszczytów, co oszczędne przyzbierały dziady;
Skrzynię sławy narodu wziętą od nich spadkiem,
Wszystko to z twym, ojczyzno, zginęło upadkiem!

Ten język, i te wiersze słowami polskiemi,
Może za sto lat znane nie będą w tej ziemi!
W którąż stronę piszący zwróci się oczyma.
Kiedy nieśmiertelności pismom jego niema!

Zdaje się, że już widzę, jako brat od brata
Pomiędzy trzy mocarstwa oddzieleni świata,
Rolę, którą niedawno wspólną ręką sieli,
Bijąc się za swych panów krwią niewinną zleli!...

Widziałem, kiedyś moja ginęła ojczyzno!...
Blada czuciem nieszczęścia i swoją siwizną,
Próżno ratunku od swych dzieci wyglądała:
Potem jęczała, potem padła, i skonała!

Droga matko! jeżeli słuch mię mój nie myli,
Jęk twój słyszę ostatni, którym echo kwili,
Którym pustynia lasu drugiej się odzywa,
I myśl mą zastanawia, i wiersz ten przerywa!

Po takiej klęsce, gdy się łzami zalewamy,
Przysiądz kazano, że już ojczyzny nie mamy!

A wtenczas, gdy tak losów polskich dokończono,
Spuścił Bóg od piorunów rękę zczerwienioną.

O wy! którzy ojczyznę swoję jeszcze macie!
Szanujcie ją! nic takiej nie wyrówna stracie!
Po tej matce sierota gdzieżby się udała?
Zmarła nie miała krewnych, przyjaciół nie miała!

Książę! gdy takiem czuciem wskroś przejęty byłem!
Pomiędzy łzy mych oczu ciebie obaczyłem;
Widok wysokiej cnoty łez nieco ochrania,
Zwalnia żal nie poradny, daje czas pisania.

Kiedy nieszczęść okropnych zwaliło się brzemię,
Aby tę opłakaną ucisnęło ziemię,
Ktoś pomnażał ciężary, a ty wziąłeś w podział,
Żebyś ubogą nędzę głaskał, żywił, odział.

Rzekłeś sobie: „Te łzy im otrę nieco z powiek,
Straciwszy wszystko! oni ludźmi są, ja człowiek!“
A cierpiącym: „I mnie też czuć natura dała.“
Nędza na cię z uśmiechem nieśmiałym wejrzała.

Widziano, ile litość może cię kosztować!
Płakałeś, żeś cierpiących nie mógł poratować.
Ludzkość kiedy na szalę tę łzę położyła,
Pokazało się, że cnót wiele przeważyła.

Tąś ręką sprawiedliwość ludowi szafował,
A drugą miłosierdzia potrzebnych ratował;
Gdy się dniem ta szlachetna praca zakończyła.
Ręka litości bardziej utrudzoną była.

Mężu zacny, do ciebie przystępu los niema!
Tysiąc go rąk ku niebu wzniesionych zatrzyma.
Noe cnotliwy, wyrok gdy ziemią pomiata,
Spłynął nad ruinami zalanego świata.

Do Dymitra Kosselewa, Litewsko-Grodzieńskiego Gubernatora, oddając mu książkę Rozmów Platona.

Czytając to dzieło moje
Gdzie przyjdzie rzecz o cnotliwym,

O mądrym, grzecznym, szczęśliwym,
To będą obrazy twoje.

A tak, nadzieja mi tuszy,
Że kiedy maluję ciebie,
Książka jest według twej tuszy,
I w niej, musisz kochać siebie.

Ale jeśli chciałbyś wiedzieć
Kto też cię kocha na ziemi?
Ciężko wszystkich wypowiedzieć:
Oto są: między pierwszemi

Monarcha, bo usłużony,
Cnotliwy, bo go szanujesz,
Ten co padł, bo podźwigniony,
Nieszczęsny, bo się litujesz.

Mężu zacny! złemu w czoło
Zabiegasz zręcznością całą.
Niesłyszysz, okrzyki w koło?...
„Ten dojdzie, bo idzie śmiało.“

Horacyusza Oda XIV do Postuma.

O Postumie! Postumie! szybko biegną lata!
Ani cię twoja cnota i wziętość u świata
Zasłoni przed starością, która następuje!
Ani od nieużytej śmierci wyratuje!
Gdybyś potrzykroć na dzień hekatomby palił,
By się nad tobą Pluton nie czuły użalił:
Z którym ogromny nie mógł dojść Geryon sprawy,
I Tycyona pognał na Styxu przeprawy!
Tak jest: wszystkim nam trzeba te brody przebywać,
Komu tylko na ziemi przyszło przemieszkiwać.
Czyś ty król, z pod dachówki wyjść trzeba, bogaty,
Czy wieśniakowi droga tędy z jego chaty.
Napróżno ochraniasz się mężobójczej wojny,
Albo morza wzdętego burzy niespokojnej.
Napróżno zbyt troskliwy pory jesiennemi
Zasłaniasz się przed wiatry zdrowiu szkodzącemi.

Trzeba ci będzie widzieć i Kocyt leniwy,
I Danausa córek ten ród nieszczęśliwy:
I chytrość Syzyfowa, jaką wzięły płacę,
Syzyfa Eolidy nieskończone prace!
Trzeba rzucić tę ziemię, ten dom, miłą żonę!
Żadne z drzew, co przez ciebie tak pilnie sadzone,
Krótkich lat pana swego nie tknięte żałobą,
Prócz smutnego Cyprysu, nie pójdą za tobą.
Dziedzic twój, jak się tylko twych lat nić przecina,
Za stem kluczów chowane zaraz spija wina,
I te pyszne podłogi najprzedniejszem zlewa,
Jakie najwyższy kapłan u wieczerzy miewa.

O podejrzliwości Jana Jakóba Rousseau. Wyjątek z poematu o Imaginacyi przez L'Abbé De-Lille.

Autor, który kolejno uczył powszechności,
Co jest głosem rozumu, co głosem miłości!
Jakiż talent! jakiej on mądrości obrazem!
Ale co za niesłuszność? co za słabość razem?
Bojaźń jakaś zaraz z nim od kolebki była,
Bojaźń go aż do grobu jego wprowadziła.
Wy! co smakować w jego pismach znacie sztukę,
Wy! którzy mu winniście i łzy i naukę.
Dla tych darów (jeżeli obrazu nie skażę)
Przystąpcie serca tkliwe, ja go wam pokażę.
On nie natręt, lecz pełen swej podejrzliwości,
Rzadko lubi się bawić w ludzi przytomności.
Pół przyjaciel, lub gdzie go tajny uchron skryje,
W smutnej niepodległości w środku lasów żyje.
Czasem na gór wierzchołki tęskność go zawodzi,
By widział pierwszy promień słońca, które wschodzi.
Czasem do brzegu rzeki przyjdzie zamyślony,
Słucha szumu, lub patrzy na bieg jej spieniony.
Albo pyszny, że sławie swojej się wyrywa,
Wieśniaka nieznany mu dziejów posłuchiwa.
Słucha i wnet ucieka. Bez żądz i starania
Z swoją dziką roskoszą przed ludźmi się schrania.
Lecz jeśli go ujżrzycie: przez naturę proszę
Której piórem wymownem malował roskosze,

Nie jątrzcie go, szanujcie los, jego mordercę.
Słowami łagodnemi głaszczcie dzikie serce.
Ach! to serce ogniste, co dziwacznem było,
Jeśli sobie jest męką, nam roskosz sprawiło,
Dbajcie o jego szczęście, bawcie tęskność jego,
Cieszcie go z losu, z ludzi i z niego samego.
Próżna rada! nic jego rany nie zagoi.
W podejrzliwym natura na niego się zbroi.
Człek obcy, któremu się słyszeć o nim zdarzy,
Co wielbi pisma jego, a nie widział twarzy,
Starzec gasnący, chłopiec jaki bojaźliwy,
Co jeszcze nie zna tego, co to kto zdradliwy,
Gospodarz domu, krewny, przyjaciel, mu winny.
Lęka się, by kto nie chciał być mu dobroczynny!
Jestże człowiek, który się w godzinie skonania
Wesprzeć na ręce miłej przyjaciela wzbrania!
Coby nie patrzył na łzy w zgonie rozrzewniony,
Swego brata, lub siostry, syna, lub swej żony?
On nieszczęsny ostatniej gdy godziny tyka,
Ledwie miał rękę, co mu powieki zamyka!
Żaden z przyjaciół nie był z nim przed jego końcem.
Z samem tylko na ziemi pożegnał się słońcem!
Nieszczęsny! więc śmierć tylko stały uchron tobie?
Ach! przynajmniej spokojny spoczywaj w tym grobie.
To jezioro, te kwiaty, ta murawa żywa,
Te topole!... wszystko cię do pokoju wzywa,
Od tej podejrzliwości już odetchnij rzadkiej,
Oto biegną ku tobie i żony i matki;
Patrz kochanków idących! każdy w swej przykrości,
Idzie lać na twym grobie łzy tkliwej miłości.
Obacz to grono dzieci, co w cieniu igrają,
Oneto za swą wolność, tobie hołd oddają;
I patrząc na ten widok, powiedz: „Ja to byłem,"
„Jam był nieszczęsny!... ale ich szczęście zrobiłem."

Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta, ostatniego polskiego króla z domu Jagiełłów.

Ty śpisz Zygmuncie! a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...

Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!
　　Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie,
　　Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?...

Nie zostawiłeś syna na stolicy,
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Ktoregoby wnuk dziś po swej granicy,
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
　　Po tobie poszła na handel korona,
　　Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja na końcuś upadła!
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza, aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę!...
　　Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza;
　　W tem ciele była milionów dusza!

Patrzcie! matczyne jakieś leży dziecię!
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą szlachetne wychodziło życie!...
On nie uciekał bo z przodu zadana!
　　Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy!
　　Zdaje się gniewać, za to nieszczęśliwy?

A tam, poczciwość, kościół, wstyd, zgwałcony;
Pożarem całe spłonęły osady,
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowano składy.
　　Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
　　Gdzie spojrzysz rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Po tych rozbojach, jedni zniechęceni
Pod nieznajome rozbiegli się nieba!...
Drudzy ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba!
　　Insi rozdani na Moskwę i Niemce,
　　Na roli ojców płaczą cudzoziemce.

Wy, co domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!

W tylu przygodach wasz oręż zwycięzki
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę!...
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione...

Oto krwią piękną ziemia utłuszczoną,
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matką przymuszona
Panującego języka nąuczą!...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał,
Inszych popisał, a Polskę wymazał!...

Wisło! nie Polak z ciebie wodę pije,
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swojem imieniem się kryje,
Które tak możne wsławiły prądziądy!...
Już białym Orłom i bratniej Pogoni,
Świat się przed laty nawykły, nie skłoni.

Zygmuncie! przy twoim grobie
Gdy nam już wiatr nie powieje
Składam niezdatną w tej dobie,
Szablę, wesołość, nadzieję.
I tę lutnią biedną!...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały!...

OGRODY.

POEMA

PRZEZ

L'ABBÉ DE-LILLE

NAPISANE.

Z francuzkiego przetłomaczone 1783 r.

DEDYKACYA.

Ty, która lubisz zarabiać na chwałę
A zawstydzasz się, gdy cię kto pochwali,
Twoją robotą jest to dzieło małe,
Choć i my razem pracować się zdali.

Jeśli powszechność (jak nadzieja tuszy),
W tem tłumaczeniu smak jaki uczuje;
Tam gdzie czytelnik wyrazem się wzruszy,
Tobie niech za tę słodycz podziękuje.

Jeszcze słów wdziękiem, któreś wymawiała,
Zdaje się, że brzmi powietrze okólne.
Jeszcze czuć słodycz, którąś z pióra lała,
Układając to tłumaczenie wspólne.

A gdy tak mowa moja się wmięszała
Między słów twoich najpieszczeńsze składy,

OGRODY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Słodka wiosna powraca! i jej dzielna siła
Ptactwo, kwiaty, Zefiry, głos mój odżywiła.
Do jakiegoż uczucia nawiążę me strony?
Ach! gdy ziemia zbywa się żałoby sprzykrzonej,
Gdy pola, lasy, góry, w około młodnieją,
Wszystko się śmieje szczęściem, miłością, nadzieją;
Niech kto pali kadzidło imionom wieczystym,
Niech przewozi zwycięztwo na wozie ognistym,
Atreusza maże się krwawemi niezgody;
Flora się uśmiechnęła: ja śpiewam Ogrody.
Powiem, jak sztuka wsparta miejsca położeniem,
Rządzi wodą, kwiatami, murawą i cieniem.
Ty więc, co godząc wdzięki i moc wyrażenia,
Umiesz pieśni uczącej ożywić nudzenia;
Muzo! coś Lukrecego poratować chciała,
Gdyś twardych jego nauk ostrość ugładzała:
Wszak nie krzywdząc języka bogów, z twej posługi;
Rywal jego opiewał pracowite pługi.
Przybądź, i chciej przystroić rzecz tę większej wagi,
Tę, która warta była Wirgila przewagi.

Nam tu dalekich ozdób szukać nie należy,
Przybądź! me czoło tylko ma zdobić kwiat świeży,
I jak chmura swą barwę ma z promienia daru,
Język mój wdziękiem mego zaprawię zamiaru.
Niewinna ta zabawa, którą wiersz mój głosi,
Do pierwszych się dni świata starego odnosi.
Gdy człowiek dziką ziemię w posłuszeństwo wprawił,
Jakiegoś się jej kąta wykształceniem bawił;
Blisko pod swojem okiem, co praw jego strzegły,
Drzewa mu ulubione, i kwiaty się zbiegły,
Że prosty Alcynous dawał za przykłady,
W starożytnej Grecyi nikczemne swe sady,
W tenczas, kiedy nierównie większemi zachody,
Babilon na powietrzu zawiesza ogrody!
Gdy Rzym światu całemu rozdawał kajdany,
Zwycięzca szedł w swój ogród łupami przybrany;
Tam składa gniew wojenny, tam składał i chwały.
Dawniej, ogrody mędrcom schronienia dawały,
Gdzie z twarzą śmiejącą się ludzi nauczają.
I gdy grunt elizejski nieba cnocie dają,
Czy tam były pałace? Gaj to był zielony,
Gaj, kwiatem, strumykami, polem, napełniony.
Mieszkanie próżnowania, i najsłodszej chwili,
Gdzie zmięszaną z pokojem długim rozkosz pili.

Zacznijmy teraz (bo już czas jest) bieg, który sobie założyłem: Filip mnie do tego zachęca, i rzecz sama wzywa.

Ażebyś niewinnie w ich wdziękach pola przyozdobił, nie znieważaj natury, a jeszcze tak wielą łożonemi kosztami. Ta szlachetna zabawa potrzebuje mistrza w sztuce, któryby myślił, i więcej rozumu, niżeli pieniędzy łożył; przezcoby dzieło mniej przepychu, niżeli wyśmienitości, mniej ozdób, niżeli piękności miało. Ogród w oczach moich, jest to obraz; bądź więc malarzem. Pola, ich niezliczone odmiany, rzut światła różny, zebrane zaciemnienie, pory następujące ustawiczne, bieg dnia i roku, łąki kwiatami przystrojone, uśmiechające się wzgórki, zielona murawa, drzewa, skały, wody i kwiaty, oto są twoje pęzle, płótna ma-

larskie i kolory. Natura jest w mocy twojej, i twoja ręka płodna może tworzyć świata żywioły.

Ale niżeli zaczniesz ogród zasadzać, niżeli ziemię motyką nieroztropnie poruszysz, chcąc dać piękny kształt ogrodowi twojemu; uważaj, poznawaj, i naśladuj naturę. Czyliżeś nie zdybywał często na ustroniach, gdzie nie tak ludzie zachodzą, te położenia miejsca szczęśliwe, które zatrzymały krok twój, i na ktorych obraz najpiękniejszy, w zamyślenie się i w zadumienie wpadłeś? Naśladuj ile możności w ogrodzie twoim, co tam widziałeś najpiękniejszego, i z ogrodu natury naucz się przystrajać ogrody twoje. Poglądaj nadto na miejsca, które gust doskonalszy przyozdobił. Z pomiędzy takich piękności, wybieraj jeszcze. W swoim przepychu okazałym zadziwiaj się nad ogrodem *Chantilli*, który bohatyrowie, i wieki jeden po drugim przystrajały; *Beloeil*, razem wspaniały i wiejski [1], *Chanteloup* pyszny jeszcze wygnaniem pana swojego; a będą ci się koleją podobały. Tak jak pączek jaki czerstwy z bojaźnią uprzedzający porę wiosny, piękny ogród *Tivoli* [2]) kształtem swoim nowym, stał się najpierwszym wzorem we Francyi. *Gracye* uśmiechając się *Montreuil* zakładały [3]. *Maupertuis* [4], *le Desert*, *Rincy*, *Limours*, *Anteuil*, jakże po ścieszkach waszych z słodyczą błąkać się trzeba! Cień wielkiego Henryka, jeszcze lubi i szanuje Nawara. Podobny do swego szanownego, i młodego tego bóstwa ogród *Trianon* [5], wdzięki połączył ze wspaniałością, dla niego on i pięknym jest, i przez niego samego przyozdobionym.

---

[1]) *Beloeil* dom i ogród książęcia *de Ligne*.

[2]) Pan *Boutin* w ogrodzie *Tivoli* dał najpierwszy wzór ogrodów nieregularnych.

[3]) *Montreuil* ogród księżnej *de Guémené* na drodze z Paryża do Wersalu.

[4]) Ogród *Maupertuis*, nazywa się inaczej *l' Elisée*, należy do Markiza *Montesquieu*. Ogród *Desert* zrobiony z abrysu Pa *de Monville*. Ogród *Rincy* należy do książęcia *d' Orleans*. *de Limours*, miejsce dzikie, przyozdobione przez hrabinę a *Brionne*.

[5]) *Trianon*, Ogród królowej.

A ty najsłodszego z książąt wierne schronienie, Ogrodzie! którego nazwisko nadto skromne stało się niegodnem ciebie [1]; Miejsce wdzięczne! pozwól mu tego wszystkiego, czego mu życzyć winienem; przy słodkim uchronie, dawaj mu chwile swobodne! On który równie łaskawie poetę, jak i wiersze jego przyjmuje; który w wyborze piszących wdzięcznie, w tym ogrodzie kwiatami poezyi przyozdobionym, i moję Muzę przytulić raczył, że z łona krzaczku swojego poziomy fiołek obok wspaniałej rosnę lilii. Towarzysz nieznajomy tym ludziom sławnym, o gdybym głosem moim słabym, jak oni niegdyś, mógł się tak podnieść; opisywałbym ogrody twoje, bóstwo, które w nich mieszka, przyjaźń i nauki, i które przy boku twoim trzymać się lubią. Miejsce roskoszne! bądźże uszczęśliwieniem dla niego: A ja, jeżeli kiedy z łaski jego przyozdabiać sobie będę wiejskie mieszkanie, obraz w nim dobroczyńcy mojego położę, który najpierwszemi kwiatami ogrodu mojego przystroję. Około niego nasadzę, i gałęzie porozciągam mirtu i lauru, tak miłe drzewa Burbonom; i kiedy wdzięczne ich cienie pokój i wolność, natchną mnie, sprawcy darów tych i lutnią moję poświęcę.

Mówiłem o położeniach miejsca szczęśliwych, które sztuka może naśladować. Ale są takie przypadki, gdzie wzorów niektórych chronić się nawet potrzeba. Często duch naśladowniczy zawodzi nas. Nie przymuszaj gruntu twojego do przyjęcia piękności, których mieć nie powinien. A najpierwej, miejsca położenie najlepiej poznaj, i szanując bóstwo okolicy, radź go się, bo jego władza nie bywa bezkarnie naruszona. Tymczasem nie tak śmiały, jako bardziej dziwaczny w myślach swoich ogrodnik, ustawicznie coś bez gustu odmienia, miesza, przewraca, wszędzie sprzeciwiając się naturze; a przez nieskładne wybranie piękności, które z sobą połącza, psuje pięknych miejsc włoskich położenia, chcąc je przenosić do Francyi.

[1] Rzecz tu jest o ogrodzie nazwanym *Bagatelle* książęcia *d'Artois*, który jest w pośrodku lasu wdzięcznego.

Poznaj się na tem, i tego się chwytaj, co grunt twój przyjmie z łatwością; i to to jest co piękniejszem nad naturę zowie się, a wszelako samą naturą jest; to jest, ten obraz doskonały, który wzoru swojego nie ma, i na którego wyborze Berghem i Poussin tak daleko poznać się umieli: Poglądaj często i bierz naukę z dzieł ich doskonałych, a co ci malarstwo pożyczyło, niech sztuka ogrodnicza z wdzięcznością odda naturze.

Teraz uważmy, jakie ma być wybranie gruntu, i jakie miejsca zdatne będą do wypełnienia zamysłu twego. Były czasy tak nieszczęśliwe, gdzie czyniąc ostatnie dla ziemi naprzykrzenia, położeniom najszczęśliwszym sztuka wypowiadała wojnę, i zrównywając doliny, albo niszcząc pagórki, z miejsca najpiękniejszego, nieprzyjemne robiono równiny. Równie podobnym nierozmysłem, sztuka tyrańska pól położystych, dziś na nich góry i doliny chce robić. Chroń się, ażebyś w przypadki takie nie wpadał. Wszystkie starania twoje naprożno opierać się będą gruntowi górzystemu; a na położeniach płaskich zrobiony wzgórek mały, miasto tego, żeby miał być osobliwą jaką odmianą, staje się tylko śmiesznym.

Ale jeżeli szukasz miejsca pracom twoim zgodnego, chroń się i pól nadto położystych, i gór zbytecznie nierównych. Ja wybierałbym te miejsca, gdzie bez pychy przyjemny wzgórek nad bogatemi panuje dolinami. Ta ziemia miła jest bez przysady, podniesiona bez przykrości i sucha bez czczości: tam postępując horyzont jest ci coraz posłuszny, grunt zniża się albo podnosi; ściska się, albo się rozciąga; a tak położenie miejsca i rozkosz ztąd twoja za każdym krokiem się odmienia. Niech tam sobie miernik z cyrklem w ręku, w cichości domu swego, ogrodu z zupełną symetryą na papierze plany rysuje; ty pójdź na miejsca same; tam z ołówkiem w ręce, maluj te wesołe wejrzenia, te piękne brzegi i doskonałości. Zgadywaj sam sposoby, przewiduj i ułatwiaj trudności: cuda też to sztuki, na wykonaniu rzeczy trudnych zawisły.

Grunt najnieużyteczniejszy swoję zobaczy piękność: bo jeżeli jest czczym i nagim, niech nagość jego lasek przykryje; jeżeli zakrytym, niech słońcu siekiera miejsce otworzy; jeżeli wilgotnym, zrobione kanały w potok płynący zgniłą wodę przemienia, i pracą szczęśliwą, poprawisz za jednym razem powietrze, ziemię i wody; jeżeli nakoniec suchym i nieurodzajnym, szukaj, gruntuj, kop jeszcze, bo może woda, której żądasz, jest blisko. Tak ja sam, długiem utrudzeniem znudzony, kiedy czczość gruntu przeklinałem, strumyk szczęśliwy nagle z ziemi wytrysnął, i mój wiersz tym ożywiony płynie nakoniec łatwiej.

Staranie twoje około ogrodu daleko będzie słodsze, i sztuka daleko więcej przyniesie roskoszy; jeżeli mało mając na tem, ażebyś zabawił oko, jeszcze i do serca mówić będziesz. Znaszże ty te połączenia z sobą i rozumienia się niewidome ciał duszą nieożywionych, i istot czujących? Słyszałżeś kiedy wód, łąk i lasów, milczącą wymowę, i głos ich tajemny? Spraw nam te dziwy. Jakże od uśmiechającego się miejsca, do smutnego, od poważnego do wdzięcznego przejścia zawsze mnie obchodziły! Prosty, wspaniały, silny i słodki, połączone te wszystkie tony, będą się wszystkim podobać gustom.

Tam niechaj malarz przychodzi brać wzory,
Niechaj rymopis rodzi swoje twory;
Niech człek rozumny słodycz jakąś czuje;
I w swojem szczęściu, szczęśliwy smakuje.
A ten, któremu wiek upływa w biedzie.
Niech w te ustronia napłakać się idzie.

Ale my powszechnie śmiałemi jesteśmy, dobre zaś myślenie rzadkie. Miasto tego, ażeby piękność jaka gwałtownie nas w oczy uderzyła, dziwacznemi stajemy się. Strzeż się, ażeby połączone rzeczy tak różne, nie były raczej niesfornem zamięszaniem. Te zaś rzeczy, które sprzeciwiają się sobie, nie zawsze z sobą będą walczącemi.

Prócz tego na obrazy takie potrzeba miejsca obszerniejszego; dla tego w szczupłym kącie chroń się umieszczać razem: rzeki, kanały, góry i lasy. Smiać się przychodzi z ogrodów takich, w których tam, gdzie natura w obszernem co miejscu porobiła, sztuka gruba zaniedbawszy podobieństwa, w jednym zagonie gruntu, położenie kraju całego zamyka.

Miasto tego dziwacznego wielu rzeczy zebrania i pomięszania, mięszaj ozdoby, albo niechaj się rzucenie na nie okiem odmienia. — Przybliżaj, oddalaj niespodziewane widoki; niechaj się jeżeli można, za jednym razem tysiąc różnych widowisk pokazuje. Niechaj niepewność, co też tam dalej będzie, zostawia oku ciekawemu słodką niespokojność; niech nakoniec ozdoby z gustem zażyte będą. Nigdy jednak bardzo niespodziewane być nie mają: ani też, którychby najłatwiej domyśleć się można.

Najbardziej zaś ile możności, niech będzie wszystko w poruszeniu. Bez tego, myśl niczem nieroztargniona, zapada w letarg; bez tego, na wasze nie żywe ogrody oko moje ledwie że spojrzy. Czyliż trzeba się tu świadczyć wielkich malarzów sztuką? Patrzcie, jak twórczym pęzlem ruszające się objekta na płótnie malują nieruchómem! Wodę, która upływa, wiatr który nagina gałęzie, bryły dymów unoszące się nade wsią, trzody, pasterzów, ich igrzyska i tańce! Użyjcie tego ich sekretu. — Zasadzajcie w obfitości te smagłe drzewka, te drzewa ruchawe, których głowa posłuszna jest powianiu wiatrów. Jakiekolwiek być mogą, szanujcie chwiejącą się zieloność ich, i zakażcie żelazu znieważać tak okrutnie naturę. Patrz, jak ręka jej odmalowała te dęby, te wiązy! jak od pnia aż do gałęzi, od gałęzi aż do liścia pomnażając ścieńczenie ich, łatwość im dała pochylenia się. Ale żelazo okrutne!... Nimfy leśne, uprzedzajcie to okrucieństwo, biegnijcie... cóż mówię? już się stało.

Stal twarda drzew wierzchołki przycięła zielone.
Już nie słyszę, jak czasem głowy ich wzniesione

Wspierały wiatr burzliwy; który nim je minął,
Jęczał po ich gałęziach, oddalał się, ginął.
Ozionione żelaza nieczułością stoją,
Podobne mu cichością i twardością swoją.

Wy więc, którzy w waszych ogrodach żądacie żywości jakiejś, zostawcie drzewom ich wdzięczną skłonność pochylania się; niech perspektywa wasza będzie pełna rzeczy ruszających się: przymuście, niech wam ta woda bieży, niech się podnosi i wytryska. Widzicie te doliny, te lasy, te pola opuszczone: posyłajcie tam różne trzody, i po różnych miejsca położeniach, zarzucajcie liczne ich osady:

Tam po wierzchach skał przykrych wieszają się kozy,
Tu owiec pasących się niewinne obozy,
Wdzięcznym swoim okrzykiem powietrze zmieszały,
I głos ich twarde sobie podawają skały:
Na dolinie z gór bliskich wodami oblany,
Legł na kolanach żując wół upracowany.
Wtenczas kiedy, koń rzeźwy, pyszny, niespokojny,
To źwierze natarczywe, i lubiące wojny,
Okazuje zbujały, pozbywszy się ręki,
Swą moc nieukróconą i swe dzikie wdzięki.
Jakże mi gibkość jego i postać jest miła?
Czyli mu do przebycia rzeka się trafiła,
Skacze, nurza się, płynąć przeciw wodzie umi,
Bije nurt nogą, który zapieniony szumi;
Czyli po bujnej łące wyskakiwać woli,
I wiatr, który go lubi, z grzywą mu swawoli.
Wspaniały, z ogniem w oczach, nozdrze mu się jeży,
Piękny pychą, miłością, do kochanek bieży.
Chociaż go już nie widzę, widzieć go się chciało,
I żądne go me oko po łące szukało.

Tak bogacąc się ze skarbów natury, ziemia, prospekty, wody i cienie, dają ruchawość niejaką i życie okolicom.

Ale jeżeli oko nasze lubi patrzyć na widoki ruszające się, niemniej mu także miła jest i wolność. Zostaw więc ogrodu twego granice niepewne; albo

przynajmniej niech sztuka ukryje i zagładzi je. Gdzie oko niczego już więcej niespodziewa się, tam roskosz niknie; z ciężkością nam przychodzi widzieć koniec miejsca pięknego; nudzi to nas, i nawet gniewa. Z tamtej strony muru, tej natrętnej granicy, myślimy sobie, że jeszcze piękniejsze miejsca znajdują się; i rozum niespokojny oświeca w tem oczy błądzące. Kiedy zawsze wojnami bawiący się grubi przodkowie nasi, swe wiejskie pomieszkania murami zamykali, każdy na swojej zagrodzie twierdzami otoczony, ażeby żył bezpieczny, żyć musiał w więzieniu. Ale cóż znaczy dzisiaj ta nudząca zagroda? którą dotychczas pycha utrzymuje, a którą bojaźń wynalazła? Miasto tych murów, które zasmucały wejrzenie, gust prawdziwszy przekłada te zieleniejące się zagrody, te mury utkane z kolców, gdzie ręka twoja drżąca, różę dziką, albo morwę urywa.

Przykrość ogrodów zamkniętych jeszcze mi ciężka. Przejdźmy za te ciasne obręby do widoku nierównie obszerniejszego i kształtów rzeczy piękniejszych, jakich sam *Ermenonvil* wzór nam wystawić może. Ogrody, zaprosiły jeszcze i pole do swego towarzystwa, i wzajemnie, pomiędzy pola weszły ogrody.

Z wierzchołka brzegów wielkich i gór wyniesionych.
Zkąd oko rozległości sięga niezmierzonych,
Natura dowcipowi rzekła: „Ztąd gdzie stoję,
Wszystkie, co tylko widzisz, te skarby, są twoje.
W ich dzikiej wspaniałości bogactwie ukrytem,
Skończ mą pracę przemysłu twojego zaszczytem.“
Rzekła, dowcip się rzucił; wnet na każdą stronę
Szpera w ziemi, gdzie setne piękności uśpione,
Od doliny do wzgórka, las, gaje, rozważa,
Przechodząc wszystko dotknie, wszystko przeobraża.
Umie, co się ma łączyć, co od siebie stronić,
Co oświecić, zaciemnić, co odkryć, zasłonić.
On nie wymyśla, ale wykształca te dzieła,
I kończy rysy, które natura zaczęła.

Postać naszych skał dzikich okropność swą traci,
Ciemność lasu smutnego z uśmiechem się braci;
Strumień się był zabłąkał, zwrócony upływa,
Poprzywłaszczał jeziora, i źródła odkrywa.
Pomyślił, i zewsząd się ścieżki pozbiegały.
Znalazły coś, i miejsca odległe złączały:
Te dziwiąc się, co je tak w jeden węzeł spięło,
Składają z sta piękności najwspanialsze dzieło.

Tak wielkie prace, podobno zastraszają sztukę twoję. Powróćmyż do dawnych ogrodów, i obaczymy w nich te fraszki, takiemi nakładami porobione; te marne wynalazki, te rznięte *trelaże,* ten *bassin*, te rowy do spadku wody. Kosztem daleko mniejszym rozległą przyozdobisz okolicę, niżeli dawne dziecinności szczupły kąt jaki przyozdabiały. Niechaj fałszywa wspaniałość przed sztuką naszą upadnie i niech kiedyś Francya w nowy Eden przemieniona; przed oczy nasze jeden obszerny ogród wystawi.

Jeżeli zaś do pracy tej zaprządz się nie śmiesz, przynajmniej zagrody twojej przeszedłszy granice, przez piękne wejrzenia powiększaj miejsce: tę dolinę, ten wzgórek, tę wdzięczną dalekość przyczyń do ogrodu twojego; tym sposobem cudzą rozległość, posiadać oczyma, i wzrokiem używać jéj będziesz.

Najbardziej, umiej uchwycić, i staraj się przywiązać do planu twego te przypadki szczęśliwe, które ogrodom cechę piękności dają. — Tu widać wioskę, którą lasy otoczyły, tam się miejskie wysokie wieże pokazują, i skała w dalekości błękitna bijąc cię w oczy ostrym wierzchołkiem swoim zdaje się, że w obłokach zginęła.

Któż może zapomnieć o rzece? o jej biegu i brzegach? Oko twoje zdaleka ściga wody uciekające: często wyspy z łona ich pokazują się, często same po pod arkady mostu dalekiego ubiegają. A jeżeli morze obszerne w twoich się oczach pokazuje, w odmieniającym się często widoku wystaw tę scenę ważną. Tu z pomiędzy gałęzi niechaj daje się widzieć; tam w zacieku głębokiego drzew zielonych sklepienia niech

się pokaże, indziej w zakręcie gaju, niech go oko nadybie, niech go czasem zagubi; nareszcie wzrokiem wolnym, niech go całe w swojej wielkości widzimy.

Nad tak różnemi widokami miło zastanowić oczy błąkające się, ale przyznać potrzeba, że ręką skąpą, ludzie, sztuka, czas i natura na około nas te drogie przypadki rozsiewają.

O równiny Grecyi! pola włoskie wdzięczne!
Miejsca coś wmawiające, i dowcipom zręczne,
Malarz od was wstrzymany, jakże wiele razy
Pogląda, zapala się, i składa obrazy,
Rysując odległości, i wyspy, i morze,
Porty, góry ogniste, po których pług orze.
Lawy z tychże gór jeszcze lejącej się strugi,
Z pałacu zburzonego wzrastający drugi.
W ciężkiej robocie ziemi i morza słonego,
Świat nowy wychodzący z rozwalin starego!
O mnie! którym nie widział tej krainy dzielnej!
Tych miejsc, kędy Wirgili śpiewał nieśmiertelny.
Lecz przysięgam przez jego pieśni niezrównane,
Pójdę przez Apeninu góry niemieszkane,
Pójdę, niosący z sobą wiersz Wirgila święty,
Czytać go na tem miejscu, którem był natchnięty.

Wy! którzy zapalając się nad pięknością widoków takich, miasto tych wdzięcznych miejsca położeń, za ogrodami waszemi same tylko macie dzikie i nieużyte pola; za tę obcą, i przyczyniającą się ze strony piękność, niechaj oku waszemu nagrodzi, rzeczy milszych i wdzięczniejszych wewnątrz zebranie. Potrzeba wreszcie przywykać, żeby się nam w własnej zagrodzie podobało, idąc wzorem mędrca szczęśliwego, który na nikim nie polegając, wchodzi w samego siebie, i sobą samym bawi się: Do tego uchronu waszego tajemnego ja sam za wami pójdę.

Ale chociażby grunt najobfitszy miał widoków pięknych najwięcej, roztropnie wzrokowi udzielając skarbów tych, niechaj tę słodycz szukaniem oczy kupują. Niech ją sztuka obiecuje, niech jej się oko spodziewa:

w tej mierze obiecać, jest to już dać; spodziewać się, jest to używać. Nie nagle zaślepić, ale mnie zatrudnić w mojej roskoszy potrzeba.

W moich przepisach, chciałbym cię jeszcze nauczyć sztuki przestrzegania oczu, i ich nagłego zagadnienia, co niżeli obaczysz, wiedzieć potrzeba, że dwa rodzaje z sobą od dawna kłócące się, o wybór się nasz ubiegają. Jeden przed oczy nasze wystawia sforny ogrodu układ, dając miejscu postać, której nie znało nigdy; obcą wspaniałością przyozdabiając wdzięki jego, drzewom prawo, i wodom przepisy swoje, naznaczając; a ten jak pyszny despot niewolnikami otoczony, prawda że postać jego wspaniała jest, ale wdzięcznie uśmiechać się nieumie. Drugi kochający z uszanowaniem naturę, przystraja ją bez obciążenia ubiorem, pobłaża czasem jej wdzięcznym dziwactwom, jej wspaniałemu zaniedbaniu się, jej krokowi niejednostajnemu; i robi to przez swoję sztukę, że z pośrodka nieporządku i losu samego piękność wynika.

Każdy z nich ma swoje prawa, niezaniedbujmy obudwóch. Nic nie postanawiam między *Kent* i *Le Notre* [1]), bo każdy równe ma piękności i prawa swoje. Jeden z nich na to jest, ażeby się przed monarchami okazywał, zwłaszcza, że królowie losem swoim skazani na to, ażeby trzymali się wspaniałości; zawsze około nich usiłowania jakiegoś i okazałości szukamy; zawsze nad czemsiś dziwić się, wzrok nasz cudami zbytku, i przemysłom sztuki nasycić żądamy. Sztuka więc uporną może sobie podbić naturę, wszelako zawsze z jakąś wspaniałością z niej tryumfować powinna; bo jej blask stanowi prawa jej. Gwałtowny przywłaszczyciel może u nas otrzymać łaskę, ale tylko dla tego, że wielkim jest. Porzućmy więc te zimne ogrody, marne bawidła, niewdzięczne uchrony, któremi pobłażając sobie, chwali się z pychą Pan na nich nieznający się; jego dobrze utrzymane i poobstrzygane małe sale

---

[1]) *Kent* Architekt i ogrodniczy sławny angielski, pierwszy wprowadził rodzaj ogrodów nieprzymuszonych.
Le Notre, Francuz, Ogrodnik sławny Ludwika XIV.

zielone, jego plantę z zupełną symetryą, w jednej połowie w niczem nie różną od drugiej, gdzie każde przejście ma swego brata, każda ulica sklepiona ma swoją siostrę; jego ścieszki przykrzące sobie sznur, za którym prowadzone, *parterre* upstrzony, strumyk wody nikczemny, drzewa poobcinane w kule, w piramidy, w naczynia i posągi marnych pasterzów popodnoszonych na podstawach swoich. Pozwólmy mu, niech się nachełpi zbytkiem nikczemnym, a ja przekładam czcze pola, nad jego smutne Ogrody.

Mijajmy zdaleka te nudne przyprawy, te drobne osobliwości; pójdźcie za mną do kraju prawdziwych cudów, do wspaniałego *Wersalu*, do uśmiechającego się *Marly*, które Ludwik, natura i sztuka przyozdobiły. Tam to wszystko jest wielkie, tam sztuka bojaźni nie zna, i rzecz każda w zadziwienie wprawuje. Tento jest sławny pałac Armidy; ogród Alcyny, czyli raczej bohatyra nawet w ustroniu swojem wspaniałego, i wielkiego w spoczynku swoim, który chodząc samemi otoczony cudami, wszędzie zwyciężać, i przeszkody lubi przełamywać. Widzisz wodę, ziemię i drzewa, także od niego zwyciężone i posłuszne mu; widzisz, jak z najpiękniejszą budową tych dwunastu pałaców, zielona łączy się architektura; te bronzy oddychające, te rzeki na powietrzu zawieszone wielkiemi bałwanami z pianą i szelestem spadające, a potem rozpływające się wzdłuż najwspanialszych kanałów! tam zlewają się, jak płótno rozciągnione, indziej niby krzak jaki w górę podnoszą się, a zdybując się na powietrzu z promieniem słońca, kroplami złota, szmaragu i szafiru ku ziemi lecą. Jeżeli między smutnemi jego gajami zabłąkałem się, tam w tych ustroniach *Fauny* i *Sylvany* zamieszkały; a *Wenus* i *Dyana* oddechem swym słodkim te miejsca ozionęły. Każdy lasek jest tam kościołem, i każdy marmur bożkiem: a Ludwik odpoczywający w nim po tłumie zwycięztw, zdaje się, że cały na ucztę Olimp zaprosił. I w takich ci to wielkich robotach sztuka w blasku swoim okazać się powinna. Wszelako utrudzać nas zwykły długie nad czem zadziwiania się. Chwalę ja mowę, w której wspaniałe myśli jedna po

drugiej postępują, ale ta roskosz krótka jest. Porzucam mówcę, i idę szukać przyjaciela, który mi do serca gada. Przyozdobieniem sztucznem, spiżą i marmurem, które zbytek wystawia, oko się prędko utrudzi: ale lasy, wody, ciemne zacisze, i taki cały niewinny zbytek, nigdy nie nudził. Przywiąż się więc do naturalnej ogrodów piękności. Bóg sam ludziom, jakie być mają, pokazał ich wizerunek. Obacz w *Miltonie* (h). Kiedy jego wszechmocne ręce pierwszym tym ludziom gotowały schronienie, czyliż im tam ścieszki sznurem ciągnione porobiono? Czyliż wody w ich biegu do pewnego ciągu przymuszone? Czyliż obcemi jakiemi ozdobami dzieciństwo ziemi, i ta jej najpierwsza wiosna poprzystrajana? Bez przymuszenia, bez sztuki, wszystkie najczyściejsze słodycze pierwiastków swoich natura wyniszczyła. Wdzięczne pagórków i równin pomięszanie, wody według ich woli zwolna upływające, ścieszki kryte i dróżyny niepewne, nieporządek przyjemny, niespodziewane miejsc pięknych otwarcia się, wielorakie, a te najmilsze wejrzenia, nad których wybranłem oko zastanawiało się; różniły, zatrzymywały, i przedłużały roskosze ich. Na najzieleńszej i najczerstwiejszej murawie, tysiące drzew zwolna ugina się, i te miejsca przyozdabiając, powonienie, smak i oczy zabawiały. Czasem w wdzięczne kupy pozbijane, czasem z niedbałością rozrzucone, uciekały niby od siebie, i zbliżały się wzajemnie. Często nagle otwierały w dalekości widowisko niespodziewane: często schylając się aż ku ziemi, i zginając gałęzie swoje, słodką zawadą zastanawiały przejście pierwszych rodziców naszych, albo zawieszały nad ich głowami niby wieńce jakie, uplecione z zieloności i kwiatów, które rozsypywały po głowach ich. Mamże wspomnieć o tych laskach i krzewinach, splatających się w sklepienia i ulice? o ich roskosznych i zakwitłych gałęziach?

W tem miejscu roskosznem, w środku tego drzewa,
Wdziękiem swego małżonka zniewolona Ewa,
Rumiana, jako gwiazda, która rano wstaje,
Z okiem pełnem miłości swą mu rękę daje.

Całe im winszowało zarazem stworzenie,
Niebo przez swą pogodę, woda przez mruczenie.
Ziemia się lekko wstrzęsła czując moc kochania,
Wiatr po grotach powtarzał słodkie ich wzdychania.
Drzewa się poruszyły, i schylone róże
Wylewały swą wonność na małżeńskie łoże.

O szczęście niewymowne! o małżeństwo jedyne! spokojne w ogrodach swoich! Jakże szczęśliwy, kto jak wy, żyłby daleki od ucisków pychy, a bogaty tylko w owoce, kwiaty, radość i niewinność!

PIEŚŃ DRUGA.

Ktoby mi dał tę lutnię, co dawnemi czasy
Wzruszała w górach Trackich kamienie i lasy!
Brzmiałbym na niej, by razem za stron poruszeniem
Okolica się drzewa zasłoniła cieniem.
Pomarańcze, cedr, lipa, i dąb wielkorody,
Skacząc przychodziłyby zdobić me ogrody.
Ale dawnej muzyki zginęło zmamienie,
Dziś lutnia bez tej mocy, bez uszu kamienie.
Drzewo stoi nieczułe, choć się granie uda,
Sama sztuka i praca, te wyrabia cuda.

Naucz się więc od sztuki, jakiem staraniem i sposobami dać możesz drzewom różnym wdzięki i ozdoby. Swoim owocem, kwiatami i liściem wdzięcznym, drzewa są ogrodów naszych ozdobą najpiękniejszą. Jakże wiele kształtów na siebie biorą, ażeby się oczom naszym podobać mogły. Tam wspaniale rozszerzają gałęzie swoje wtenczas, kiedy pniak ich prosto wzbija się w górę; tu na wdzięki ich poglądam z słodyczą, indziej mnie jakaś powaga ciągnie. Na najmniejsze wiatru powianie trzęsą się, albo przeciwko gwałtownej burzy, głowę swą silną i pień sękowaty nadstawiają: dzikie albo wykształcone, podnosząc albo zniżając gałęzie swoje, jak drugi Proteusz między roślinami, aże-

by przyozdobić naturę, kształtem, zielonością i owocem, ustawicznie się odmieniają.

Te różne drzew odmiany i skutki, są skarbem sztuki: czego wszelako gust dobry zabrania nam na los zażywać. Krzewów wielorakich kształt i mnogość, jeszcze się nam pod różnem rzuceniem oka pokazuje. Czasem las głęboki, dziki i zaciemniony, cień niezmierny otwiera; czasem drobniejszy z drzewek wybornych wdzięczny gaj składa, dalej porozrzucane po pięknej okolicy wdzięczne urywki lasu oko zadziwione zastanawiają: indziej, zaufawszy swojej własnej piękności, jedno przed inszemi drzewo wybiegło, i jedno ziemię przyozdabia.

Taki (jeśli pozwoli ogród nam spokojny
Wojska wspomnieć ogromne), taki krwawe wojny
Obraz przed naszym zwykły wystawywać okiem.
Tu obóz nieprzebyty, i plutony bokiem;
A zamożny w swą siłę, i dawne działanie,
Wyszedł rycerz na czoło, sam za wojsko stanie.

Wszystkie te krzewy wielorakie różnych praw swoich słuchają. Dawniej, w ogrodach sztucznych, zbytek nasz pogardzał pięknością drzewa samotnego! dzisiaj przeciwnie podobają się w ogrodach, które stosowniej do praw natury zakładamy. Szczęśliwem dziwactwem i dowcipnym niejako losem drzewa ich porozrzucane, oczy nasze zabawiać będą. Niechaj się od siebie różnią wejrzeniem, kształtem i odległością; niech zawsze drzewom wielkość, albo przynajmniej piękność pierwszeństwo daje, a te które się wstydzą, że nikczemnemi są, niechaj się w tłum ukryją, i przed naszem zatają okiem.

Ale kiedy dąb wieczny, albo jawor w lesie,
Ten puszczy patryarcha głowę swoję wzniesie,
Niech go w koło otoczy ród jego zdaleka,
Usunie się przez względy, i rozkazów czeka.

Tymto sposobem drzewo samotne, podoba się nam na gruncie który przyozdabia.

Z większym daleko wyborem i gustem, po kilka drzew po polu rozrzuconych, tysiąc pięknych sprawują widoków. Z drzew drobnych albo dużych, mnogich albo w mniejszej liczbie, poróbb albo laski nieprzebyte, albo gęstwiny lekkie; zdaleka oko poglądać lubi na ten naród braterski. Tymto sposobem miłą tę kształtów ogrodowych odmianę robimy: przybliżamy, albo odsuwamy dalekości, łączymy albo rozdzielamy; nad okolicą rozciągamy, albo cieniów zasłonę odchylamy.

Wasze lasów urywki już są skończone; teraz czas jest, ażeby się i lasy same do praw sztuki przyuczyły.

Lasy wspaniałe! witam. Wasze dziś sklepienia
Nie słyszą Bardów dawnych dzikiego nucenia;
Słodkie zmamienie tylko ciągnie pustyniami,
I lochy wasze jeszcze uczą nas wierszami.
Wy mię wierszem natchnęły, cieniom waszym dzięki;
Przyjmijcie dziś powinną szanującej ręki
Ofiarę jakąś dla was! chciejcie mię sposobić,
Jak bez zniewagi waszej mam was przyozdobić.

Las, może nam się pokazywać pod rzuceniem oka wielorakiem: Tu drzewa zbite gęstwiną swoją zrobią głębokie zaciemnienie. Tam pozwoliwszy przedrzeć się promieniom słońca, i to miejsce orzeźwić, niby dnia z nocą wdzięczną sprawują walkę. Dalej rozproszywszy po gruncie liście swe lekkie, drzewa rozrzucone po pięknej polance jedne pochylające się ku drugim, a wzajemnie dotknąć nieśmiejące się, zdawać się będą razem i szukać się, i uciekać od siebie. Tym sposobem las staraniem waszem może dzikość swoję zagubić; ale pamiętajcie, wspaniałych jego charakterów nigdy nie zamazywać. Częstem lasu przecięciem, widoków mniej ważnych zdarzeniem, nie psujcie całkowitej piękności jego. Niech będzie jeden, prosty i wspaniały; sztuka zaś niech mu tylko z całym jego

przepychem trochę dzikości zostawi. Niech leżą pniaki poprzełamywane, niech czarny potok, albo wylewek jaki w głębiźnie rowu swojego błąkając się upływa. Czasu, wody i powietrza śladów, gubić nie należy. Szanuj i skały, które zawieszone jedna nad drugą zdają ci się grozić; i niech nakoniec w tych miejscach pełnych wspaniałości, wszystko żywą i dziką oddycha pięknością; a ta wiejska lasu okazałość będzie się pewnie podobała.

Gdy mniej daleko pyszny, ale więcej mający wdzięków, widok nierównie weselszy oczom naszym wystawia. On się kocha w położeniu milszem i lubi żeby części jego związek jakiś miały między sobą; ucieka, wraca się, błąka się ścieszkami krętemi pomiędzy kwiaty, wody roskoszne przeprowadza, że zdaje mi się, jakbym w pośrodku niego, upojonego słodkiem próżnowaniem widział jeszcze Epikura, a on roskoszy życia nauki daje.

Ale to nie dosyć jest, ażeby we środku lasów i gajów dzikie te, a wdzięczne znajdowały się piękności; potrzeba z usiłowaniem i powierzchowność przyozdobić. Najpierwej zaś pamiętaj, ażebyś lasowych brzegów ogrodzeniem, albo smutnemi temi szpalerami nie zakrywał. Ja chcę las widzieć, chcę przejść w głąb jego i patrzyć na drzewa różne rosnące razem; jedne czerstwe i młodości pełne, insze zgrzybiałe i ze starości sękowate; te przy ziemi czołgające się, insze pyszne tyrany lasu z soku żywiącego ogałacające poddaństwo drzewek przyległych; widok ten obszerny! gdzie myśl moja, obyczajów, życia i wieków obrazy z rozkoszą rozeznawa.

W porównaniu tych wielkich widoków, czemże będą te zielone zagrody, których kształt naprzykrzony zasmuca wejrzenie, kształt zawsze jednaki i zawsze spodziewany? O ty bawiąca różności! Ty roskoszy wzroku; przybądź! przybądź i przerwij tę nudzącą równość, zepsuj tę smutną węgielnicę i sznury przeciągnione porozrzucaj.

Pomięszaniem szczęśliwem wyskoków i zakrętów, lasy być mają przyozdobione. Oko, które się nudzi drzewami swornie usadzonemi i za jednym razem aż do końca rzędu przepada, miło mu jest przebiegać brze-

gów tak różnych kształt niespodziewany. Błąka się, bawi się, w tych zakątach rozlicznych, koleją z niemi zacieka się i znowu z niemi powraca. Nad różnemi widowiskami, które ich łańcuch składa, z miejsca do miejsca, z roskoszą odpoczywa. Tym sposobem lasy powiększać się zdają, a w swoich długich przebiegach odmieniając wyskoki swoje i roskosz razem odmieniają.

Ułóż więc kszłałt ich. A najpierwej wybrać należy drzewa, które podług gustu stać się powinny ofiarą twoją. Wszelako nie kwap się z tem; potępiaj je z politowaniem: i niżeli wypełnisz wyrok surowy, pomyśl; jak one czasu długiego są robotą, jak wszystkie twoje skarby cienia ich zapłacić nie mogłyby! i jakiej słodyczy kosztowałeś pod ich kiedyś cieniami uchroniony.

Często jednakże pan ich niewdzięczny, bez potrzeby i litości wycinać je rozkazuje.

Obalone na ziemię obrażoną, giną!
Już te miejsca roskosznym uchronem nie słyną,
Gdzie dowcip myślił, miłość miała grzeczne schadzki,
Ach! przez te lasy święte! gdzie kiedyś wieśniackiej
Młodzieży tańce były; te chłodników ślady,
Kędy poczesne wasze spoczywały dziady,
Swiętokradzcy! szanujcie te pniaki czcigodne,
I kiedy im i grubość i wzrosty dorodne
Wiek rozdał ich rówiennik, dał jeszcze i wdzięki;
Na poważną ich starość nie podnoście ręki.
Przyjdzie czas, że tym drzewom laty nadpsowanym,
Ustąpić trzeba będzie drzewkom młodocianym,
Gdzie padną pod żelazem i ich pyszna głowa
W marnym popiele dawną chwałę swoję schowa,

O Wersalu! o żałości! o gaje i ogrody najwdzięczniejsze! Naczelne dzieło wielkiego króla, *Le Notre*, i czasu! Już siekiera do korzenia waszego jest przyłożona i wasza godzina przyszła! Te drzewa, których pycha aż do chmur samych podnosiła się, uderzone żelazem, chwiejąc po powietrzu wierzchołkami swojemi, nagle upadają i pniakiem ogromnym zawalają te drogi, nad któremi kiedyś gałęzie ich w sklepienia się wspa-

niałe zaginały. Już upadły te lasy, których postać poważna zasłaniała wielkiego Ludwika czoło zwycięzkie. Te lasy, gdzie najsłodsze zwycięztwo obchodząc najokazalej, przemysł rozkoszny pomnażał jeszcze uroczystości.

Miłości! w co się obróciły teraz te uchrony najwdzięczniejsze, które pyszną Montéspan widziały wzdychającą? W co się obróciły zacisza, gdzie ta wdzięczna i czuła *Vallière* kochankowi swemu przy niej rozpływającemu się, i z rozkoszą jej słuchającemu, serca swojego sekret odkrywała; i niespodziewając się jeszcze, ażeby była kochaną, już swego wyznawała zwycięzcę. Czyż nie widzisz? jak te leśne mieszkańce uciekają? Ten naród ptaszy, pyszny kiedyś przebywaniem w ogrodach tych, schronieniu królów poświęconych, w których niegdyś śpiewał miłości swoje, dziś z dawnych siedlisk i gałęzi ich wypędzony! Te bóstwa, któremi dłuto kamieniarskie, zielone zaludniało przysionki zasłoną kiedyś zieloności przybrane, dziś ze wstydem odarte, za wdzięcznemi swojemi płaczą cieniami; i Wenus sama bojąc się, ażeby nie była obaczona, pierwszy raz podobno zadziwiła się, że nago stoi.

Wzrastajcie, śpieszcie się z cieniem waszym, zaludniajcie te pola, drzewa młodociane! A wy drzewa pod żelazem upadające, miejcie ztąd pociechę jaką, że świadkami będąc słabosci ludzkiej widziałyście, jak także *Kornel* i *Turenne* upadł. Wy to już setną wiosnę pamiętacie; ach! a nasze dni najpiękniejsze, ulatują najprędzej, ulatują na zawsze.

Szczęśliwy więc, kto posiada lasy z wiekami wzrosłe, ale szczęśliwy niemniej kto sam sobie gaik założył, te drzewa, które z czasem, piękności nabywają! on może mówić, jak Cyrus: jato je zasadzałem. Ty więc, który jesz.ze panem jesteś planty ogrodu twego, chroń się najbardziej, ażebyś go nadto wcześnie nie zakładał, jak malarz zatrzymuje pędzel swój i długo w myśli układa obraz; tak ty planty twojej rozpamiętywaj ułożenie. Trzeba się poznać na miejsca okolicy i prospektach, trzeba wiedzieć, jak wdzięczne są lasy

na górach zawieszone, jak są wspaniałe, po równinie rozległe.

Tak jak znasz kolor i kształty z sobą zgadzające się, potrzeba ażebyś znał farby i kolory różniące się między sobą. Jesion z długiemi na powietrze wzniesionemi gałęziami, sprzeciwiać się będzie wierzbie, z długiemi także, ale opuszczonemi gałęziami. Zieloność topoli sprzeciwia się dęba zieloności. Ale sztuka dowcipna, te ich nienawiści pogodzić może i szczęśliwy tej zgody pośrednik drzewo jakieś z obojga coś mające, pogodzi je między sobą. I tymto sposobem przydając jakąś farbę pośrednicza *Wernel*, dwóch przeciwnych kolorów gasi antypatyą.

Umiej więc poznawać się na zażyciu tych różnych zieloności, mniej lub więcej świetniejsze, jasne, czyli zaciemnione być mogą. Takim sposobem odmieniając je, w okolicy twojej możesz z jakimści wyborem różność cieniów układać; i ztąd silne albo słodkie, niby walczące, albo z sobą zgadzające się skutki wyprowadzać.

Uważaj je najbardziej, kiedy wczasie bladej jesieni bliskiemi już są uwiędnienia: cóż tam odmian, co wspaniałości i blasku? Purpura, pomarańcza, opał i inkarnat bogatemi się swojemi farbami popisują!

Ach! cały ten znikomy blask upadek znaczy!
Taki jest los powszechny!... wkrótce zadziwaczy
Akwilon niespokojny, zostawi las goły,
Uściele zdartym liściem wilgotne padoły:
Te, co chwila na ziemię lecąc obnażoną,
Jeżeli komu przyszło przechodzić tą stroną,
I coś myślił samotny; przerwą zamyślenie,
Lecz to nawet ma dla mnie wdzięki spustoszenie.
Tam, jeżeli z mem tęsknem sercem sam zostanę:
Jeśli gorzkie wspomnienie rozjątrzy mą ranę,
Idę, gdzie tylko smutek wiedzie mię ponury,
I lubię łączyć żal mój z żałobą natury.
Te gałęzie uwiędłe; i tych drzew zbutwiałe
Sam błądząc depcę nogą reszty pozostałe.

Minęły dni roskoszy i młodość niestety!
Słodka melancholio, przybądź.... ale nie ty,
Co ciemną posępnością czoło zawiązane:
I nogi masz w niezbytych troskach uplątane!
Lecz z okiem w półodkrytem, jak w jesiennym czasie,
Środkiem mgły grubej promień słońca przedziera się;
Przyjdź, z twarzą zamyśloną, z czołem niesurowem;
Przyjdź z okiem łzy najsłodsze wylewać gotowem.

Ale wtenczas, kiedy serce moje takiemi zabawia się myślami, krzewów różnych tysiączne pokolenia ciągną mnie na stronę swoję. Przystąp narodzie wdzięczny! Ty pośrednim jesteś między kwiatami i drzewami; przyjdź twoją postacią najkształtniejszą scenę naszą przyozdobić. Och! gdyby mi nie tak pilno było kwapić się do dzieła, które sobie za cel założyłem, jakąż ztąd roskosz miałbym prostować gałązki wasze? Odradzałbym was pod stem coraz inszych postaci, ręka moja wodąby was podlewała: w sklepienia, w ściany układałbym gałązki wasze, z lekka umotane naokoło wiązów tych, jak wizerunek jaki wdzięków z siłą połączonych, po silnej korze ich ramiona wasze zwijałyby się; przemieniałbym kolory wasze i od najczystszej białości, najżywszego inkarnatu, aż do najciemniejszego błękitu oka nasyconego roskosz odmieniając, wasze upierzenia, kwiaty, pączki okrągłe i kształty niby kielichów, na zuchwał łączyłyby się do pracy mojej, że sam *Van-Huysum* zazdrościłby obrazowi mojemu.

Wy! którym niebo w obfitości tych krzewów udzieliło, umiejcie zażyć ze sztuką okazałości ich. Podzielcie je na różne pory roku, niech każdy przynosząc wonność swoję i kolor, w swojem się miejscu i kolei pokaże i niechaj na czole roku wieniec z ich kwiatów nigdy niewiędnieje, a tym sposobem ogród twój z czasem się odmieni. Miesiąc każdy ma swoję wiosnę, która wkrótce niszczeje! Wszelako zręczność twoja może ci nagrodzić jeszcze tę krótką trwałość piękności tych. Niech staraniem rostropnem wszystkie te drzewka tak będą zasadzone, ażeby chociaż zostaną bez kwiatów, nie zostawały bez piękności. I tym to sposobem

dowcipna *Egle*, chcąc przedłużyć swoje panowanie, ku końcowi już pięknych lat swoich, umie nas jeszcze zwodzić.

Niebo samo mimo ostrości powietrza, ze wszystkich darów swoich zimy nie wydziedziczyło. W tejto porze, wiatrów zawistnych pogardzając zuchwałością, wiele drzew liście jeszcze swoje zatrzymuje. Patrz oto cisina, bluszcz, żywiczna sosna, świecący się ostrokrzew, ościami kolczastemi uzbrojony i lauru zieloność nieśmiertelna, nagradzają ziemi stratę i za znieważoną mszczą się naturę. Patrz, jako owoce ich farby purpurowej z zielonością gałęzi, najżywszą mięszają barwę i w pośrodku pól obnażonych zastanawiając mnie ich szata najwdzięczniejsza, im bardziej niespodziewana jest, tem mi zdaje się milsza. Taką tedy sztuką ogrody wasze zimowe przyozdobiajcie. Tam pewnie miło wam będzie pięknego dnia zażyć promieni, tam ptaki (kiedy gdzieindziej ziemia ogołocona) zlecą się, pod zielonem liściem ucieszą, tam zwiedzione przez miejsce, nie poznawając się na czasie, zdawać się im będzie, że już piękne dni powróciły i pieśń swoję o wiośnie zaśpiewają. Tak, ten uchron piękny podobać się musi, chociaż nie będzie nadto wymyślny.

Ale królów ogrody z większą nierównie sztuką i zachodem z zimy tryumfują. Swiadczę się o *Monceaux*! [1]) twemi zawsze zielonemi ogrodami! Tam drzewa, którego niemasz, pień udawany! niby czarodziejską sztuką groty i sklepienia porobione! wszystko cię razem bawi i zadziwia. Tam niedbając na zimę róża w pośrodku lodów rozwija się; a czas i *Klima* cudami zwyciężone, zdają się, że czarnoksiężką sztukę wyniszczyły.

Ale tak dziwne twory i omamienia ich, nie są ogrodów ozdobą najpiękniejszą. Cokolwiek przyzwyczajenia się do nich, prędko smak odejmuje, który w takich ogrodach mieliśmy. Częstokroć gdy kto obcy z roskoszą takiemi bawi się ogrodami, pan ich własny nudzi się, i nic już w nich znaleść nie może. Czyliż nie

---

[1]) *Monceaux*. Ogród zimowy książęcia de *Chartres*.

ma sposobu jakiego, przez któryby tajemne wdzięki ich, zawsze ci jednako piękne i miłe były? O jakże podoba mi się zwyczaj Lapończyków szczęśliwych! jakże dobrze oszukać umieją zimy ich twarde! Nasze lipy wspaniałe, nasze wiązy zamożne, tych pól nieprzyjaznych zimności obawiają się! jakiejś tam czarnej jedliny marna zieloność ledwie gdzieniegdzie na gruncie ich zimnym pokaże się; ale najmniejsze drzewko, ktoremu tamto *Klima* pofolgowało, przez sposób nierównie słodszy, oczom ich podoba się. Zasadzone na pamiątkę przyjaciela, syna, ojca, albo gościa, który się z żalem oddalił, drzewa zatrzymują nazwiska ich, nazwiska miłe na zawsze.

Wy, których ojczyznę łaskawsze niebo oświeca, możecie naśladować ten wynalazek szczęśliwy; on odżywi wszystko. Wasze drzewa i gaje, tym sposobem nie będą ani milczącemi, ani opuściałemi, będą zamieszkane przez pamiątki bez liczby i wasi przyjaciele nieprzytomni, cieniom ich piękności jeszcze przydawać będą.

Cóż wam przeszkadza, kiedy dobre niebo pozwoli wam nakoniec cieszyć się dziecięciem któregoście nie mieli, zasadzoną latoroślą, gajem, albo laskiem dzień ten naznaczyć? Ale wtenczas kiedy ty Muzo śpiewasz, jakiż okrzyk wzbija się razem na powietrze? Oto dziedzic berła królów naszych urodził się w naszych murach, w naszych polach, nad wodami naszemi, nasza armada tryumfująca ogłasza go obiema światom. Dla przyozdobienia kolebki jego mało to jest same przynosić kwiaty, przynieście jeszcze laury i palmy zwycięzkie. Niech najpierwej spojrzawszy na ziemię, na dzień zaraz chwały pogląda, niech rodząc się, pieśni zwycięzkich śpiewanie słyszy. Taka uroczystość, najczystszej krwi Burbonów powinna jest. A ty, przez którą niebo ten kosztowny dar nam sporządza; ty przez którą ten najpiękniejszy węzeł, ten Niemców i Francuzów najdroższy związek między bratem i mężem zrobiony, których niby dwóch wspaniałych wiązów zetknione gałęzie wieniec z kwiatów połączył. Siostro! matko! i żono najzacniejsza! Przeznaczenie nakoniec miesza ze smutkiem pogrzebu owoc

małżeństwa twego i łzy w oczach twoich z uśmiechem zakłócając, kiedy utracasz matkę, daje ci syna. Inni w zapale wesołości, którą ten dzień sprawuje, płótno, marmur, albo lutnią ożywią, ja w pokorze, ogrodów nizkich przyjaciel, w te miejsca pójdę, gdzie Flora i Zefiry samé dwór twój składają, pójdę do *Trianon*. Tam na hołd szczególny, synowi twojemu, wieku jego krzewinę poświęcę, i gaik imieniem jego zaszczycę. Ten prosty podarek, te drzewa młodociane ogrodów tamtych ozdoby najwdzięczniejsze, wzrastać będą pod oczyma twojemi, a syn twój razem z niemi wzrastając, będzie kiedyś pod ich cieniami braterskiemi spoczywał.

Już nakoniec używasz! a serce i oczy pochwalają ci słodkie w lasach uchrony twoje. Czyliż chcesz jeszcze do roskoszy i chwałę przydać? Czyliż chcesz z sztuki nawet twojej zwycięztwo otrzymać? już umiejąc szczęśliwie przyozdabiać ogrody, bądź w nich jeszcze niejako i stworzycielem. Patrz jak tajemnie natura wzburza się, i widać w niej żądzę jakąś, aby coś ustawicznie rodziła i wydawała! Ty ją wspomagać nie chcesz! Któż zgadnie w skarbach swoich jakie jeszcze dobra przemysłowi naszemu zostawiła? Jak sztuka według swego upodobania wiedzie zabiegi wody, podobnym sposobem prowadzić może sok płodny i ożywiający. W ogrodach twoich nowem między sobą drzew różnych pożenieniem bogatych: sokom ożywnym nieznane im przedtem pokazuj drogi, nowe pootwieraj kanały, które są jeszcze czyste i nietykane, z inszemi pomięszaj je, przykładając się do tego, ażeby własności ich wzajemne wspólnie udzielały się sobie. Jakże wiele drzew, kwiatów i owoców znajdziemy, których sztuka, smak, wonność i kolor przemieniła? Takim odmianom brzoskwinia swoję powinna chwałę, tym sposobem potrójną koroną szczyci się róża, i wdzięczny goździk swoim kędziorem pyszny. Potrzeba to ośmielić: Bóg świat utworzył, a człowiek go przyozdabia.

Jeżeli zaś nie śmiesz takich próbować zwycięztw, jakże wiele bogactw pod inszem niebem dla ciebie przygotowanych? Zażyj tedy tych skarbów. Tak niegdyś Rzymianin pyszny, ów wydzierca sprawiedliwszy, i zwy-

cięzca więcej mający ludzkości, nowemi zbogacał się owocami, tak sprowadzał do Włoch z Damaszku śliwki, z Armenii morele, od Gallów gruszkowe drzewa i tyle wielorakich owoców: a tak nawet należało się świat cały sobie podbijać. Kiedy Lukullus zwycięzca, z Azyi tryumfował; miedź, marmur i złoto, biły w oczy Rzym zaślepiony. Człek mądry między tłumem ludu natenczas zamięszany, wolał na niego patrzyć, jak rószczkę drzewa wiśniowego na tryumf Rzymianom niesie. A ciż sami Rzymianie, czyliż nie widzieli ojców naszych w szykach uzbrojonych pod niebem szczęśliwszem winogradu szukających i chorągwie zczerwienione winem zwyciężonych narodów Bachusowi poświęcających? Owocem dzieł nieśmiertelnych zagrzane wojska ich, powracały do domu z pieśniami, niosąc te łupy najkosztowniejsze. Winną latoroślą skronie swoje uwieńczali, i winna latorośl wieńcami powiązana po włóczniach ich zawieszała się.

Tak zwycięzca Gangesu powracał Bóg wina,
Każda ów powrót święci góra i dolina.
I gdzie tylko ten napój cudowny zapłynie,
Wszędzie roskosz, wesołość i odwaga słynie.

Gallów potomkowie! Przodków naszych naśladujmy: Wydzierajmy i o te łupy ziemi ubijajmy się. Patrzmy w tych ogrodach, które się chlubią z tego, że są w ręku, co berło Temidy piastowały, jak krew domu *Lamoignon* i wymowny *Malesherb*, grunt nasz tysiącem pysznych latorośli ubogacili. Tam od końca świata pozbierane rośliny, z wierzchołka gór i brzegów morskich, od stron zachodnich i wschodnich od gorącego południa i zimnej północy, dzieci słońca i zimy sprawiły to, że w mili jednej tysiączne przebiegam kraje. Tym tłumem wybornym otoczony, z Ameryki do Europy, z Afryki przejeżdżam do Azyi. Wszystkie te obce rody między dawnemi naszemi roślinami z ochotą szykując się, grunt nasz ulubiły, a daleki cudzoziemiec z kraju, który porzucił, drzewa poznając i widząc je też same, powątpiewa o wygnaniu swojem, i wspomnieniem słodkiem serce

jego wzrusza się. Biorę cię na świadectwo młody Poławery [1]).

Z szczęśliwych O-taity gruntów, gdzie się rodził,
I gdzie miłość bez wstydu z niewinnością godził [2])
Ten dziki, ale razem w swej prostocie miły,
Z za morza dalekiego młodzian tu przybyły,
Żałował w sercu swojem i słodkiej wolności,
I wyspy swojej wdzięcznej, i łatwej miłości.
Nudząc się w miastach naszych, często odezwie się:
„Wróćcie mi moje lasy! ja wolałbym w lesie.“
Dnia jednego w ogrodzie, gdzie koszty wielkiemi
Ludwik z tysiącznych w jednej pozgromadzał ziemi
Różne świata rośliny, co się dziś stykają,
Dziwiąc się same sobie, że razem mieszkają:
I kiedy swe polecie z miejscem odmieniały,
Zebrały się, aby hołd Jussiemu dały.
Indyjczyk przechodząc się między ich gromady,
Gdy razem postrzegł wśród tej zielonej osady,
Drzewo jedno, które znał od dzieciństwa swego;
Nagle bieży ku niemu, wśród krzyku wielkiego,
Niespodzianym widokiem poruszony znacznie,
I łzami go obleje i całować zacznie.
Tysiąc rzeczy zarazem w pamięci mu staje,
Te wdzięczne, w których kiedyś igrał z dziećmi gaje,
To niebo, co go dawniej szczęśliwym widziało,
Ta rzeka, którą często wpław się przebywało.
Ta puszcza, pod pociskiem, gdzie legł mu zwierz dziki,
Drzewa dające owoc i razem chłodniki,
I niski dach ojcowski i las w przyległości,
Który lubił powtarzać pieśń jego miłości.
No to wszystko zda mu się, że razem poglądał,
I obaczył kraj na czas, co go widzieć żądał.

---

[1]) Potawery, jestto imie mieszkańca wyspy niedawno znalezionej O-taity, sprowadzonego od Pana de *Bougainville*: to co się tu mówi o tym młodzieńcu z O-taity prawdziwe jest. W ogrodzie poznawszy drzewo kraju swojego ściskał go i ojczyznę swoją przypominał.

[2]) Mieszkańcy O-taity wstydu nieznają.

PIEŚŃ TRZECIA.

Opiewałem ogrody, lasy, sad zielony;
Kiedy potrzykroć trąba zabrzmiała Bellony;
Na ten krzyk porzucając ojczyste podworza'
Lecą nasi rycerze za dalekie morza,
I Mars nasz zatrudniony ważnemi sprawami,
Pozostawiał Wenerze ogrody z gajami.
Bóstwa pól! które pokój lubicie niewinny,
Nie bójcie się! Niechce was Ludwik dobroczynny
Wyniszczać; ale raczej na odległe lądy
Przeniesie i rozszerzy słodkie wasze rządy.
Chce, by lud przyjacielski zdawna uciskany,
Zbierał z roli pożytek swą ręką zasiany.
A wy, młodzi rycerze, dziwiący świat nowy,
Nie mogę ku Jorkowi wasz zapęd Marsowy
Ścigać po wielkiem morzu, ale powróconych,
Muza ma witać będzie w ogrodach zielonych.
Już kwiatom nakazałem rość na waszę głowę,
Już wam skronie uwieńczać mirty są gotowe,
Przygotowałem dla was wody szemrające,
Murawę jak najmiększą; ulice chłodzące,
Gdzie słodko spoczywając zapomniawszy toni,
Powiadać nam będziecie sławę naszej broni.
Wtenczas, gdy dzieci wasze w koło zgromadzone,
Nadzieją wsparte, albo strachem przerażone;
Słuchać będą przypadków, co się wam trafiły,
I bać się niebezpieczeństw, które ustąpiły.

Skończmy już w te chłodne schronienia się przyozdabiać. Przedtem w ogrodach naszych piaski nieużyteczne, smutne, suche i światło słońca odbijające: nogi i oczy nasze utrudzały. Wszystko było nagie, i słońcem upalone, aż nakoniec Anglia nauczyła nas sztuki ziemi przyozdobienia. Dbaj więc o tę murawę usłaną na łonie jej, ustawicznie ją skrapiaj, w pragnieniu zasilaj, albo z kosą w ręku przycinaj jej trawę. Niech ją ka-

mienny wał toczący się przytłacza. Niech zawsze dobrze wybrana, złączona, ściśniona i od chwastu nieużytecznego wolna, miękkiego puchu delikatność utrzymuje. Jeżeli się zaś starzeje, staraj się odmłodzić ją: zachowaj jednak w miejscach nie nadto oddalonych najpiękniejszą jak można, zieloność i murawę twoję; z reszty zaś zrób dobrą łąkę, którą niech owce twoje uprawiają. A tak za jednym razem zrobisz pożytek trzodom, uprawisz pola i piękny dasz oczom widok. Nie wstydź się więc, chociaż pycha temu przeciwna będzie, wołom i płodnym krowom, ogrody twoje otworzyć, które je pewnie tem nigdy nie znieważą, tak jako i wierszów moich nie poniżają.

Ale to mało jest, obszerne porobić murawy; należy jeszcze z jakimsiś gustem kształt ich układać. Chronić się potrzeba, ażeby w czworograny jednakowe, albo w nudzące cyrkuły nie były układane. Niechciałbym je nigdy widzieć ciasno zwężone, bo wolność ich niejako jest ich najpierwszą pięknością. Niechaj czasem w lasku pod cieniem drzew ukrywają się, a czasem las niby niech sam ich szuka. Takie to jest pięknej murawy proste i czyste zażycie. Jeżeli zaś chcesz ją lepiej jeszcze przyozdobić, naśladuj naturę. Ona przystraja łąkę farbami najprzyjemniejszemi; kwap się, Ogrody twoje także żądają od ciebie kwiatów.

Kwiaty! natura w wasze stroi się kolory!
Sztuka w swoich obrazach z kwiatów bierze wzory,
Czysta serca ofiaro! waszych darów staje,
Czyli je przyjaźń bierze, czyli miłość daje.
Waszem przyozdobieniem twarz piękna się chlubi,
Was w swojem towarzystwie laur zwycięzki lubi;
Rzeźwy wieśniak daje was swojej ukochanej
Na znak i na nagrodę cnoty szanowanej.
Ołtarz sam, gdzie się cała wielkość Boga mieści,
Ofiarną darów waszych wonnością się pieści;
I te bukiety, które pobożność zwinęła,
Sama je religia z uśmiechem przyjęła.
Córki słońca i rosy! Ogrodna wam rola
Siedliskiem. Chciejcie nasze przyozdobić pola.

Nie czekajcie jednak, ażebym zbytecznie do was przywiązany, miasto zasadzania w gęstwinie dłuższej, albo między krzakami rzadzej rozrzuconemi, wyglądając rozwinienia się kwiatku nowego, od grzędy do grzędy, od zagrody do zagrody przechodził, uważając z pilnością farby i odmiany wasze. Ja wiem; że w Harlem [1]) ci bałwochwalcy kwiatów, w głębokości ogrodów zamykają się z kwiatkiem swoim, aby widzieli renonkuł, niżeli zorza zabłyśnie: ażeby się zadziwiali nad pięknością jedynego swego anemonu. Albo też szczęśliwego sąsiada zazdroszcząc sekretowi, wielu pieniędzmi kropki na goździkach przepłacali. Zostawmy im ten zbytek przywiązania, niech posiadają kwiaty jak zawistni i niech ich używają, jak skąpcy.

Bez podległości sztuce wykwintnej kwiaty! ozdobo pól! i oczu roskoszy! waszą bogatą barwą przyozdabiajcie mi ziemię. Przyjdźcie; ale w obrębie parteru nie zamykajcie się; niechaj wszędzie bogactwa wasze będą rozsypane. Czasem wdziękami swojemi tę zieloność przyozdabiajcie, czasem okrywajcie brzeg ścieszki, czasem w bukiety zwijajcie się, i osłaniajcie miejsca zasklepione; jak roskoszny Meander przy brzegach potoku wieszajcie się, otykajcie mury, albo zebrane w koszyku słodyczą wonności pszczoły zatrzymujcie.

Niech sobie *Rapin* [2]) za wami postępując, w każdej porze roku wszystkie wasze rysy opisuje, wszystkie wasze nazwiska wspomina; te długie wyliczania prawdziwemu gustowi sprzeciwiają się.

Lecz któż winnego Róży hołdu nieoddaje?
Róży, z której Wenera swoje składa gaje,
Wiosna swoje girlandy, miłość swe bukiety,
O której Anakreon śpiewał i zalety

---

[1]) Harlem miasto holenderskie, gdzie jest sławny handel na kwiaty i to jest wiadomo, jak Holendrzy zawistni są o swoje kwiaty.

[2]) Ksiądz Rapin napisał Poema o Ogrodach w czterech pieśniach w łacińskim języku.

Szukał Horacy, kiedy dniami świątecznemi
Głowę swą przyozdabiał wieńcy różanemi!

Ale tak rzecz powabna nadto mnie podobno zatrudnia wtenczas, kiedy się do rzeczy nierównie ważniejszej malowania zapędziłem. O wy! po których przechadzałem się miękkie murawy! wy łąki wdzięczne żegnam was! Gaje zielone, żegnam! Te bryły skał bez rządu porozrzucane, swoim nieskładnym pozorem zastanawiają mnie.

Z naszych dawnych ogrodów polnych wymuskanej jednakowości, skał wspaniała dzikość była wypędzona; aż za czasem malarz pewne naznaczając układy, przewiódł prawo nad bojaźliwym ogrodu mierniczym, i nasze Ogrody jego naśladują roboty. Ale chociażby co i przyczyniły ozdoby te bryły skaliste, jeżeli grunt sam nie przykłada się do tego, napróżno sztuka, ten rywal pyszny natury, niewiernie ją naśladować zapędza się.

Z wierzchołka prawdziwej skały
Dzikiego swego mieszkania,
Natura śmieje się z całej
Sztuki, skał dzikich zmyślania.

Porzuciwszy na stronę te niedołężne roboty, które nam próżne usiłowanie wystawia, *Whateli*, ja idę za tobą na pola *Midleton*, na góry *Dowedal* [1]), na nie ja z tobą wstępuję. Jakże mnie na tych miejscach wdzięczny jakiś postrach obejmuje? Wszystkie te skały, swemi olbrzymiemi różniące się wierzchołkami, wystrzelone ku niebu, zwalone w przepaści, jedne przez drugie wsparte, jedne leżące na drugich, albo na powietrzu zawieszone; insze niby wyrobione w arkady i wieże: przez insze środkiem ciemnych jakoby przysionków w dalekości błękitność nieba przegląda; tam czyste źródło, indziej strumienie wdzięcznym swoim bie-

---

[1]) Te miejsca są w Anglii, które opisywał Whateli.

giem zapędziły się! Wszystko to przypomina nam te uchrony magiczne, i spiewane przez poetów pełne roskoszy miejsca. Szczęśliwy! czyje pola w bliskości, takie mieć mogą widowiska.

Ale w obrazie twoim okazywałoby to ostrość jakowąś. Chcąc tedy dzikość skał takich nieco ugłaskać, trzeba do tego, że tak powiem, czarów i czarnoksiężnika. Czarownikiem naszym sztuka, a lasy czarami będą. Ona zechce i zaciemnią się na głos jej skały, chlubiąc się niby z pożyczanej sobie wspaniałości. Ale przyozdabiając tak dzikość ich surową, dawaj zawsze plancie twojej odmiany jakie. Pokaż patrzącym walkę, jakoby tonów, kształtów i barwy, niechaj najpiękniejsze skały pokazują się na przemiany; bo czyliż sam nieprzerwałbyś tych brył nudno jednakich? Zasłoń, otwórz, i mięszaj razem skały pomiędzy lasy, i lasy między skałami.

Czyliż nie masz jeszcze dla przyozdobienia ich i drzewek, które błędnemi uściełają się gałęziami? Lubię patrzyć na cienkie latorośle po suchym skały boku spinające się; na skał łysą i dziką głowę, kiedy przybierze się w zieloność, i cieniem przykryje się! Jeszcze to mało: Między temi skaliskami dolina wdzięczna i ziemia płodna czyliż się do ciebie nie uśmiecha? Zażyj tej łaski natury, odsłoń wzrokowi gruntu płodnego skarb niespodziewany; tak nagła odmiana zawsze szczęśliwa będzie. Tato jest obfitość, która u czczości gruntu kawałek ziemi uprosiła, i tym sposobem dziką skał naturę ugłaskać możesz.

I cóż? czyliż to zawsze przyozdabiać je potrzeba będzie, ażeby ci się podobać mogły? Nie: sztuka, która ułagodzić powinna okropność ich, czasem im pozwala, a nawet do tego pomaga, ażeby w swojej zostały się dzikości. Ona nad brzegami przepaści prostą wystawia chatkę, przez co przepaść jeszcze się wydaje większą; czasem ze skały jednej na drugą most niespodziewany przerzuci.

Na tak przechód niepewny drżę ze strachu cały,
Jak słabym się pomostem złączyły dwie skały,

I wśród zaciekłych myśli okropnej zacisze
Mniemam, że się nad samą przepaścią kołyszę.
Wszystko mi w tenczas łatwo w głowie się pomieści.
Co mi lud pospolity nagadał powieści:
Jako się tam podróżnych wiele pogrążyło;
I nieszczęsnych kochanków umyślnie skoczyło.
Baśnie dawne, pospólstwo, które zabawiają,
I długie prędko-wiernym wsiom nocy skracają.
Co kiedy mu okropność miejsca pozór daje,
Na czas jakiś do prawdy podobnem się staje.

Ale tych ostatnich obrazów z miarą zażywaj. Serce nasze woli spokojność szczęśliwą i poruszenia łagodne, niżeli gwałtowne widoków uderzenie. Ja tego sam doświadczyłem: że z wierzchołka gór moich słodko mi było schodzić na uśmiechające się doliny, które przyozdobiłem kwiatami i gaikami; i już czas jest, ażeby między cieniami ich woda upływała. Tak jest, jeżeli wierzchołki gór waszych przedtem obnażone, z przepisów moich już są przybrane zielonością; O skały! otwórzcie mi źródła podziemne! Wy rzeki! strumienie! piękne jeziora! wody przezroczyste! Przybądźcie; roznoście wszędzie życie i czerstwość. Ach! i czegóżbym mógł lepiej miasto was zażyć? Zbliska woda nas bawi; zdaleka wzywa; to jest czego szukamy najpierwej, i co porzucamy na końcu. Ona, płodną nam czyni ziemię, i odbija na sobie niebo; zabawia ucho i oczy głaszcze. Wody, przybądźcie! O gdyby wiersze moje ścigając was w zapędzie waszym, obficiej jeszcze, niżeli nurty wasze płynęły! gdyby były rzutniejsze niżeli wiatry, które poginają trzcinę na brzegach waszych, tak wdzięczne, jak szemrania wasze, i tak czyste, jak wy jesteście!

A wy! którzy możecie kierować temi wodami dobroczynnemi, szanujcie w spadaniu uchody, a nawet czasem dziwactwa ich. W tej łatwości wolnych zapędów strumyka, patrz jak woda za brzegu swojego zakrętem idzie; jakim tedy prawem ośmielasz się niewoląc mu gibkość, więzić uchody jego? Cóż mu ozdoby przydadzą wszystkie marmury, któremi go ściskasz?

Widzisz, z temi włosami na wiatr rozpuszczonemi, bez przymusu, bez sztuki, i bez obcego przybrania, jak ta pasterka igrając bieży! Jej całe wdzięki, są w tej wolności i niedbałości! Ale w pośrodku seraju rozważaj piękność: napróżno ona zaślepić pragnie swoim zwodniczym pychy azyatyckiej ubiorem; ja niewiem, coś tak smutnego odbija się w ozdobach tych, i odkrywając nam we wszystkiem przymus, pohańbia wdzięki jej..

Niechaj więc woda zachowa tę, którą lubi wolność, albo samę nawet niewolą jej, staraj się pięknie przystroić. A tak mimo wszystkich uwag *Morela,* (którego głos wymowny za prawami prostej natury tak się ujmował), lubię te igrzyska, gdzie woda w ściśnionych rurach płynąc wyrywa się i siłą wyrzucona wznosi się w górę. Na wejrzenie na te wody, które sztuka ośmielona z ziemi aż ku niebu podnosi, człowiek sobie rozmyśla, i w takich widokach sam zadziwia się nad sztuką swoją. Niech więc będą te w górę wybijające źródła u panów tylko i królów: ale powtarzam jeszcze zbytek miejski niechaj się tego chroni, gdzie słabe wyrzucenie wody nieśmiejąc porzucić ziemi, ledwie co że się podniesie, wnet o dwie stopy od gruntu niknie.

Mało to jeszcze. Wszystko powinno być zgodne w tem bogatem ogrodów przystrojeniu. Niechaj na około wszystko ma postać uśmiechającej się piękności. Umiej to wmówić oczom, że niby laską swoją czarnoksiężką uderzywszy czarownik jaki, te miejsca na swoje obrał schronienie. Taki ja ogród w Saint Cloud widziałem. Oko, rzutu wód zuchwałego wysokość mierzy, które jedne nad drugie wyskakując, góry, gaje przyległe do nich uśmiechają się: murawa tam zieleńsza, powietrze czyste, i ptaków śpiewanie przy szeleście wód spadających ożywione; drzewa zaś, nachylając skropione gałęzie swoje, zdają się dopiero rozwijać pod tą rosą najsłodszą.

Prościejsza i więcej do życia na wsi podobna, a razem niemniej oczom przyjemna kaskada, przyozdobi miejsca najdziksze. Zbliska dziwimy się, a słyszymy

zdaleka te wody zawsze spadające, i zawsze na powietrzu wiszące, jak odmieniając się ustawicznie ożywiają razem skały, ziemię, wody i lasy. Zażyj więc tej sztuki; ale chroń się kaskady stopnie smutną architekturą wyrabiać, po których regularnie spadając wody rozpędzone, nawet w własnym zapędzie ich naznaczoną kroków swoich miarę zachowują; bo sama tylko różność i odmienność ma prawo nam się podobania.

Kaskada prócz tego ma swoje insze własności, które wybierać należy. Czasem spadkiem gwałtownym woda pogrążając się w koryto swoje bieży, spada odbija się, i szumi. Czasem zwolna rozwijając pław swój, bez szumu i szelestu czyste wody rozchodząc się, w spadku swoim, niby jaką zasłonę błękitną robią: oko nasze bawi się rozważaniem tego żywego widowiska, i odbijającego się złotego światła słonecznego na tym błękicie wody, gdzie razem widzieć, i skał dzikich czarność, i trzciny zieloność, i blaski piany wodnej srebrzyste.

Radź się więc skutków, które sztuka twoja może wyprowadzić; a te strumienie zawsze łatwe do powodowania się, z nagłością albo powolnie upływając, zdarzą ci widoki wdzięczne, albo zuchwałe, wspaniałe albo roskoszne, zawsze wszelało dzielne. Ach! któż tego nie doznał, jak głębokie w sercu wrażenie woda uczynić może? Czyli ona biegiem gwałtownym i szybkim po kamieniach z żywością przeskakuje, czyli po gruncie błotnistym rzeki powolnej wspaniale upływa czyli jej strumień zaciekły pomiędzy skały z trzaskiem przełamuje się; smutny albo wesoły, żywy, albo wdzięczny bieg jego, porasza mnie, albo ułagadza, grozi mi albo mnie głaszcze. Powiadają, że Wenery zwodnicza taśma, żądze najczulsze, radość i nadzieję, te poprzedniczki roskoszy, miała na sobie wyrażone. Wody są twoim pasem Boska Cybele! są pasem nierównie dzielniejszym, który wesołość i smutek, postrach jakiś i pomieszanie zamyka w sobie. Ach! któż to lepiej mógł uczuć? kto lepiej poznał nademnie?

Często (jak pomnę), kiedy żałość mnie ściskała,
Do której, okropności jeszcze noc przydała:
Jeżelim strumień bliski posłyszał mruczący,
Biegłem zaraz odwiedzić zdrój pocieszający.
Obłędnej jego wody szemrania sprawiały
Że się ból zatrzymywał, żale zasypiały.
A pogody w mem sercu nagłe powrócenie,
Swiadczyło jak na smutek silne wód mruczenie.

Na nagrodę tej łaski, strumyku, którego bieg tak mnie zabawia, pozwól niech sztuka (nie nadto cię w pychę wbijając), jaką ci ozdobę przyda, jeżeli tylko można cię kiedy przyozdobić.

Strumień żleby się wydał na polach rozległych i położystych; jego koryto niepewnyby jakiś ciąg oznaczało: skromne wody jego z nieśmiałością na światło dnia wielkiego wychodzą, ale tajemnie między gajem upływać lubią. Strumyk przyozdabia lasy, i las jest roskoszą jego. Tam miło mi zwolna postępować za dziwacznym jego ubiegiem, jak czasem niby się czymsiś zatrudnia, jak spada, jak się zagina: jak nakoniec na zawady biegu swojego pięknie zdaje się gniewać. Często w korycie głębokim, które ciemna zasłoniła gęstwina, wody samotne i dziki zapęd ukrywa; często pełnym kanałem odsłaniając kryształy swoje, widzę go nie słyszę, albo słyszę nie widząc.

Tam, jakoby kochanek przy swej ulubionej,
Miłośnie ściska wyspę miękkiemi ramiony:
Gdzie indziej się dwojaką podzielając strugą,
Z największą skwapliwością jedna ściga drugą.
O lepszą niewinnemi dochodzą zawody,
Która z nich prędzej bieży, lub ma czystsze wody.
Gdy się potem wraz złączą, i ich kłótnie zginą,
Mruczą wdzięcznie, że z sobą w towarzystwie płyną.

I tymto sposobem błąkając się z zapędu w zapęd, cichy, szalejący, spokojny, niestateczny, pod tysiącznym odmienny widokiem, bieg się jego odnawia.

Ale ku tym brzegom uśmiechającym się rzeka mnie woła. W polu bardziej odkrytem wspaniały ten obraz woda rzeczna, już nie tak, jak strumień skromna, najwdzięczniej płynie, i zdaleka promień słońca odbija. Ona zostawia strumieniowi jego wesołość dziecinną, jego niespokojność, i jego skręty zawiłe. Łożysko jej długim upływem dolinami ciągnąć się będzie, i wolnem zgięciem nachylać.

Jeżeli strumień od lasów swoje ozdoby bierze, i rzeka lubi także, ażeby drzewa różne, blade topole, wierzby na pół zielone, brzegi jej czasem przyozdabiały. Jakże źródło obfite widoków, i wdzięcznych odmian! Tam, miło mi widzieć w wodzie obrócone do góry wierzchołki drzew, zielone ich liście, i trzęsące się za poruszeniem wody albo powietrza! Tu stok błękitny ucieka po pod ciemne sklepienia; indziej słońce promykami przez ich zieloność przedziera się; czasem w rzece maczają gałęzie swoje, czasem korzenie ich wodę zatrzymują; a często od brzegu jednego do drugiego rozszerzają liście swoje, zdają się niby z brzegów na brzegi przeskakiwać. Takim sposobem drzewa i wody wspólnie się ratują. Woda, nierównie drzewa żywszemi robi, a drzewo wodę przyozdabia; oboje zaś łącząc się z sobą pod postaciami niezliczonemi składają razem cienie i światłość najwdzięczniejszą.

Umiej więc połączyć je, albo też, jeżeli w pięknych miejscach bez przyłożenia się twego natura te wdzięczne związała stadło, szanujże go. Nieszczęśliwy! kto myśli, że coś więcej od niej dokazać może! Takie jest mój kochany *Watelet* (serce moje przypomina mi), takie jest proste mieszkania twojego schronienie; gdzie zastanawiając bieg swój czysta jak obyczaje, i wolna jak życie twoje Sekwana, w ciemne dzieląc się kanały, tajemne uchrony mędrcy nawiedza. Sztuka twoja pomogła jej do tego, ale nie ta zwodnicza sztuka, która jeszcze piękność miejsc naturalnych znieważać zwykła. Godny, ażebyś widział; kochał i czuł natury siłę, ty z pięknościami jej jak z czystą panną obchodzisz się, która i wstydzi się być nagą, i przysadnego ustrojenia zdaje się obawiać.

Oto gust fałszywy psuje te miejsca najwdzięczniejsze! Ten młyn, którego szelest pomnaża w głowie zamyślenie, samym jest tylko dla nich wrzaskiem natrętnym, więc go oddalić. Te brzegi zwolna kierowane, i przez samąż zrobione rzekę; mówią, że smutno ciągną się; miasto zieloności, która opasuje na koło rzeki, woda pomiędzy wyrobione z kamienia ściany upływając, na więzy swoje narzeka. Murawę, marmur pyszny znieważa, i drzew postrzyżonych ród niewolniczy, nad brzegiem dziedzicznym wierzb postarzałych prawo sobie przywłaszcza. Zuchwalce! zastanówcie się, i miejsca te poszanujcie! A ty rzeko najwdzięczniejsza! Wy lasy roskoszne! jeżeli malowałem piękności wasze, jeżeli od lat najmłodszych, miło mi było śpiewać o łące, wodach i cieniach; miejsca wdzięczne! bądźcie kiedyś panu swojemu tem zaspokojeniem, którego obraz nosi w sercu swojem.

Im więcej rzeka w swojem powolnem upływaniu, ostrości brzegów zakątnych obawia się, tem bardziej jeziora naprzykład obszernego brzegi ostre, i zacieki dalekie są ozdobą. Niechaj ziemia czasem się wzniesie nad łonem wody, czasem fali bijącej niechaj głębokie otwiera pieczary, i niechaj tym sposobem wspólną do siebie mając się miłością, ziemia wód, a woda ziemi szuka. Różność takich widoków bawi wejrzenie nasze.

Oko lubi jeziora rozległe. Jednakże połóż mu jakowąś tamę dla spoczynku. Jeżeli nie przerwiesz wód rozległości, oczy moje bez żadnej zabawy po ich wierzchu ślizgają się. Dla skrócenia więc ich nudzącej rozciągłości, niechaj albo chłodna jaka, od upałów szanowana w dalekości między wodami pokazuje się budowla, albo raczej sporządź w pośrodku nich wyspę zieloną, bo wyspy wód najpiękniejszą są ozdobą, albo popodnoś brzegi ich, na których miejscami zielone drzewa rozrzucone, niechaj wejrzenie twoje zastanawiają. Przeciwnym sposobem, jeżelibyś rozszerzyć pragnął poznižaj brzegi nadto podniesione, odsuń dalej drzewa nadbrzeżne, albo dokaż, ażeby woda niby w gaju ginęła, i znowu ku wzgórkowi zwracała się; pomiędzy

te zasłony, gdzie woda ucieka i ginie, gonić ją i powiększać zwykła imaginacya. Tym sposobem oko twoje używa tego, czego nie widzi; tym sposobem gust dowcipny, rzeczy każdej swoje pozory daje; i tych widoków, które sam tworzy albo naśladuje, ściska rozszerza, kryje, albo odsłania granice.

Niechże teraz w pysznych swoich ogrodach sztuka z prac moich natrząsa się; w szczęśliwym ogrodzie moim wszystko weselem i wolnością oddycha. Dałem na wolą murawie uśmiechającej się, ażeby jak chce rosła, lasy nieznając poddaności wznoszą gałęzie swoje, kwiaty z węgielnicy, i drzewa z nożyc żartują; woda przy brzegach własnych, i ziemia przy swej została się ozdobie; a wszystko będąc prostem, pięknem i wspaniałem, jest razem sztuką natury.

Ale te rzeki i te jeziora są pustemi. Wsadźmyż tam różny rodzaj, który rzeźwemi skrzeli w wiosły wodę posłuszną porze; we środku podnosi się i pływa ze wspaniałością, z szyją hardo wzniesioną łabędź białopiór, łabędź, któremu bajecznie wdzięczne śpiewanie przyznawają, a on obejdzie się na zawsze, ażeby kto zmyślając chciał co do piękności jego przyczynić.

Ażeby więcej ożywiać wody, czyliż sztuka niema jeszcze żaglów i łodzi? Wiosłem popchnięta łódź lekka, uciekając ledwie po sobie ślad zostawuje. Zefir płótna nadyma, i każda banderka na maszcie, staje się igrzyskiem wiatru.

Jeżeli dawne nasze bajeczne, albo prawdziwe dzieje, źródło, czy strumień jaki chwalebnem wspomnieniem poświęcają, tem uczczeniem starożytnem wody ich pysząc się, przez piękne pamiątki dosyć już są poszanowane. Któreż serce bez wzruszenia się pogląda na Aretuzę, Alfeusza, albo *Lignon?* Ty najbardziej źródło szczęśliwe *Vaucluse!* Zdroju, na który bez zapalenia się żaden poeta, i żaden rozkochany nie spojrzał?

Między temi górami okolnemi, które zakrzywiając łańcuch swój, podsycają wodami swemi podziemne źródła swoje; tam gdzie pod skałą sklepistą, w grocie swej uświęconej Nimfa twoja przed ciekawem kryjąc się okiem, w przepaści bezdenne ciemne źródło swoje

ukrywa, jakże lubiłem na twoje poglądać wody; które zawsze najczystsze, czasem w obszerniejszem łożysku całe swe skarby zamykają, czasem wrząc niby podnoszą się, i z brzegów swoich pomiędzy skały nurt swój spieniony rozlewając, z kaskady na kaskadę daleko odbite z niezmiernym spadają szumem. Potem niby gniewy swe uspokajając, po gruncie równiejszym słodki swój strumień rozdzielają, i pod niebem łaskawem przez tyle obfitych kanałów, najwdzięczniejszą dolinę, która kiedy pod słońcem znajdowała się, ożywiają.

Lecz te wody, doliny, ten kraj z siebie miły,
Niżli Petrark i Laura, mniej mnie obchodziły.
Oto (myślałem sobie) pod tym dzikim ciosem,
Petrark żałośną lutnię godził z swoim głosem.
Tu z Laurą o miłości często się mówiło,
Późno im zeszło słońce, prędko zachodziło.
Czybym jeszcze nie znalazł na tej skale dzikiej,
Ich imion połączonych jakie pamiętniki?
Grota jakaś w ustroniu widzieć mi się dała;
Zawołam: Groto! pewnieś szczęście ich widziała.
Pień stary drzewa leży zwalony z korzeniem:
Drzewo! pod twoim kiedyś spoczywała cieniem.
Pytam o Laurę Echa, co go ma dolina,
Jeszcze nie zapomniało, jeszcze ją wspomina.
Wszędzie jakbym tę parę widział, tak się zdało,
I przez nie, ozdób miejscu temu przybywało.

PIEŚŃ CZWARTA.

Nie przestanę bawić się wodą, łąką, zielem,
Bo któżby śmiał tym pieśni mych pogardzić celem?
Który natchnął Wirgila, Homera przynęcił,
Że gdy wierszem Achilla gniew pamiętny święcił;
Gdy nam malował postrach, jak swe konie siecze,
Poświst lecących włóczni, chrzęst tarczy, i miecze,

Ciężki trydent Neptuna, który wzruszył mury;
Lubi sobie przypomnieć wśród wojennej chmury,
Lasy, łąki i pola, i te mu obrazy,
Łagodzą na czas pędzla surowe wyrazy.
A gdy dla Achillesa tarczę wygotuje,
Jeśli tam oblężenia i trwogi rysuje,
Zwycięzcę skurzonego, we krwi niewolnika;
Ręka jego pociesznym wnet sztychem wytyka,
Winograd, i pastwiska, i lasy, i trzody.
W taką broń przyodziany ów bohatyr młody,
Leci pyszny, i szyki ogromne przebywa,
Niosąc Ogród na sobie, i bogate żniwa.

Śpiewaku Boski! zostawiam ja twojej Muzie wielkomyślnej staranie rządzenia szykami wojennemi, mojem spokojnem powołaniem jest: Ogrody opisywać. Już grunt wierny prawa mojego słucha, murawy przykryły go, Flora ręką najpiękniejszą rozsypała po niej kwiaty swoje, a las uwieńczył skałę i wody. Teraz ażebyśmy tego miłego użyli widoku, w tych polach odkrytych, pod temi ciemnemi sklepieniami, ścieżki wdzięczne będą mi drogę torować. Na głos mój najpiękniejsze widoki ze ze wszystkich widoków otwierać się będą, które ażebym lepiej jeszcze przyozdobił, sprowadzę tam rękodzieła, i wspaniała architektura miejsc tych przyozdobienie dokończy.

Ścieszki, te kroków naszych przewodniczki, sprowadzając nas do różnych widoków pięknych, powinny te miejsca przyozdabiać. W twoich Ogrodach zaczynających się, nie chciałbym, ażebyś je wcześnie określał; ale jak ze wszystkiem skończone będą, oko same lepiej dla nich wynajdzie miejsce; wszelako pamiętaj: ażebyś je ku miejscom najpiękniejszym kierował. Myśl sobie: jak gdybyś obcemu jakiemu człowiekowi ogród twój chciał pokazywać; sprawnie szukałbyś tego, coby mu się najbardziej podobać mogło, a chroniłbyś się, coby mu się mniej piękne wydawało. Przechodząc pokazywałbyś mu położenia miejsca najmilsze; a na powrót, nowebyś do widzenia piękności pozostawiał, z zadziwienia w zadziwienie wprowa-

dziłbyś go i bawił; z widoku, który ucieka, chciałbyś, ażeby ci się urodził inszy; i zawsze napełniając albo mu zaostrzając żądania, często dla powiększenia ich przedłużałbyś roskoszy jego. Otóż niech ścieszki twoje ciebie w tem samego naśladują.

W kształcie ich nawet, chroń się wszystkich próżnych prawideł, płodu marnego gustu, i przez modę tylko przywłaszczonych. Moda panuje w polach, tak jak i w mieście. Kiedy ogrody włoskie symetrycznemi układami zaczęły bawić Francyą; każdy chciał w tem kształcie ogród swój pokazać okazałym. Żadne drzewo nie śmiało za sznur wyciągniony postąpić, wszystko swoję miarę zachowało, i wszędzie we dwa rzędy ciągnęły się ulice nieskończone. Insze czasy i gust inszy nastąpił. Ogród angielski nakoniec przestrzegł Francuzów, że to prawdziwą pięknością jest, co więcej zachowuje wolności. Wtenczas same tylko krzywe w ogrodach przechody, same ścieszki zawiłe, i drogi zwrotne, obaczyć było. Unudzony błąkaniem ustawicznem, na próżno metę przed sobą widzę, potrzeba jeszcze błądzić, mimo woli mojej kręcić się; a przeklinając sto razy ten zachód uprzykrzony, zbliżać się do końca ustawicznie, który się bez końca umyka.

Chroń się tych zbytków nieporządnych; bo zbytek każdy krótko trwać będzie. Z pomiędzy ścieszek wielorakich, każdy z nich rodzaj ma swoje miejsce. Jedna prowadzi do widoku jakiego, którego wspaniałość wdzięczna zdaleka zastanawia oczy moje, i podsyca oczekiwanie; insza mnie zabłąka w te uchrony tajemne, które sztuka dowcipna umyślnie zasłaniać się zdaje. Ale zrób naturalnym tego przez ciebie wyrobionego Dedala, niech zawsze ma postać potrzeby, a nigdy wymyslu niepotrzebnego. Niechaj różne przypadkowe widoki zdybując ścieszkę w zapędzie, lasy, wody, murawy, rządzą jej zabiegiem. W kształcie ścieszek żądałbym jeszcze szczęśliwego ich naginania się. Jakże nie lubię, tej ich smutnej, i daleko ciągnionej linii, a więcej jeszcze biegu ich zaplątanego, który podobny do węża zranionego, zwija się ustawicznie w bólu gwałtownym. Ścieszka takowa zwrotami powtórzonemi nie-

spokojność i utrudzenie sprawuje: a niepokazując mi czasami odmian pięknych, przykra i zbytkująca, pastwi się tylko nad ziemią, memi oczyma i nogami.

Ale są zgięcia ścieszek szczęśliwe i nachylenia się ich naturalne, których wzory po wsiach często obaczyć można. Droga wieśniaczych wozów, ścieszki owiec, które krokiem zaniedbanym do koszar powracają; Pasterka zapomniana, która po łące za swego zamyślenia się przypadkowemi obłędami postępuje: nauczą cię tego łatwego ścieszki twojej nachylenia. Strzeż się więc ścieszek pełnych przykrych zakątów; najbardziej zaś, kiedy już przychodząc do końca długim ścieszki zakrętem wiedziony jesteś, pamiętaj, że roskoszą jakowąś za trudy twoje zapłacony być powinieneś.

Poetów sławnych sztuki naśladuj; jeżeli unosząc się Muza ich, czasem sobie zboczenia jakiego pozwoli, to oddalenie się wdzięczniejsze mi jest, niżeli droga ich sama. Będzie to Nizus, Euryala broniący, którego kocha; będzie to Andromaka przy grobie Hektora płacząca: a tym sposobem niech sztuka twoja słodkiemi zawsze wiedzie mnie obłędami. Milszym czasem widokiem ścieszki twoje rozweselaj, a niech do końca już przyszedłszy sztuka nam za trud nagrodzi widokami pięknemi, wspaniałemi ozdobami, i tego żywego poema wdzięcznemi epizodami. Tu mi pokażesz jaskinię smutkiem i zielonością przykrytą, gdzie czerstwość, zacisze i cienie, zamieszkały; imaginacya do miejsc takich oczy uprzedzać zwykła. Dalej trochę piękne jezioro, o które promień słońca odbija się czasem w dalekości, w której się *objecta* mieszają i nikną, otwiera się niezmierna i wspaniała perspektywa; czasem uśmiechająca się, ale nierozległa łąka, przez ciebie i naturę bogato przystrojona. Pełna tego majątku wiejskiego, kwiatów i zacisza, zdaje się ciebie wołać: „Zatrzymaj się, gdzież możesz lepiej się bawić?“ W tem nagle widok odmienia się; miasto dopiero widzianych miejsc wesołych, same smutne wejrzenia i spokojność panuje. Są to ustronia, któremi tuczy się rozmyślanie, i głębokie żyje zanurzenie się.

Tam to człowiek przychodzi z sercem swoim gadać,
Rozmyślać, co jest teraz, w przyszłości się badać;
Wspomina na złe, dobre, co mu się trafiało,
I dziwi się, dobrego jak znajduje mało,
Niby kwiat wśród pustyni!... przecięż chciałby wrócić
Wiek dawny, choćby z przeszłą przykrością się kłócić.

Chroń się więc naśladować tych mistrzów sztuki którzy w ozdobach ogrodów swoich same tylko pochlebne widoki wystawiają. Nie widać u nich wspaniałej owej dzieła zuchwałości, ale wszędzie same sklepione ulice, same wymuskane gaiki: Wszędzie kwiaty, wszędzie z nich wieńce i Flory, albo miłości kościół. Miejsc takich wesołość jednostajna nareszcie unudza mnie. Ale ty, ośmiel się wystąpić z drogi tej pospolitej; wymyślaj, układaj rzeczy sobie niby sprzeciwiające się, które się wspólnie ratować będą. Powinien być w tem naśladowany *Poussin* [1]), który odmalowawszy wesołe galowe schadzki, gdzie pasterze i młode pasterki ująwszy się za ręce tańcują; blisko nich grób odmalował, na którym te słowa wyryte: „I ja byłem także pasterzem Arkadyi.“ Obraz taki roskoszy, i razem nikczemności życia ludzkiego, zdaje się do nas mówić: ludzie śmiertelni! kwapcie się z używaniem roskoszy! igrzyska, tańce i pasterze, wszystko to zniknie. W duszy zaś rozrzewnionej, po najżywszej wesołości, stopniami słodki smutek następuje.

Naśladujcież takowe wzory. Pomiędzy najweselszemi widokami, niech się czasem pokażą mogiły i groby, te wierne żalu waszego pamiętniki: Ach! któż z was znajdzie się, ażeby nad stratą jaką nie płakał? Oddaliwszy się na ustronie od tego świata marnego, przypuśćcie tylko do towarzystwa łez waszych lasy, kwiaty i wody. Wszystko pewnie dusz czułych będzie przyjacielem.

Już ten grób, dzielący się z wami zażaleniem,
Chłodno gałęzie cichym obejmują cieniem

[1]) *Poussin*, sławny malarz francuzki, którego wysokość myśli w obrazie, który się tu opisuje, wydała się.

Jodeł ponurych! A ty cyprysie posępny,
Przyjacielu okrzepłych zwłoków nieodstępny!
Twa gałąź, miła czułym sercom i smutkowi:
Zostawia Mirtom radość, a chwałę Laurowi.
Tyś nie kochanków drzewem ale waleczności;
Lecz swą nad nami bolisz postacią litości.

We wszystkich takich grobach i pamiątkach, marnych wynalazków chronić się należy. Połącz jak tylko można w tej rzeczy najdotkliwszej, sztukę twą ze smutkiem, i wspaniały zbytek z prostotą wiejską. Najbardziej wystrzegaj się zmyślania i przysady każdej. Dla tego daleko ztąd niech będą te trunny wymuskane, te żałobne bez żalu urny, które płochy wymysł wystawia; daleko ztąd groby psów twoich albo ptaków, które żałość znieważają, i z grobów się natrząsają.

Jeślić kogo grobowcem poczcić ci się zdało;
Patrz! oto pod te drzewa przynoszą tych ciało,
Co dla ciebie niewdzięczny zagon uprawiają,
Na łonie niedostatku pogrzebu czekają.
Czyliż się będziesz wstydził ozdobić ich groby?
Pisać tam co o wielkich dziełach nie byłoby,
To prawda, bo od zorzy, kiedy kogut ranny,
Obudził ich, dając znak pracy nieustannej,
Aż do nocy, gdzie dzieci i matka troskliwa,
Otoczą w koło garnek nędznego warzywa;
W pracy równej dni swoje pędzą niespokojne,
Których ni przez sojusze, ni znaczą przez wojnę.
Rodzić się, cierpieć, umrzeć, to im tylko dano:
Ale chcieliby przecie, by ich pamiętano.
Któryż człowiek, kiedy się już nad grobem chwieje;
Nie zwraca smutnych oczu na jakąś nadzieję,
Że będzie żałowany? Komuż więc nie miła
Łza, którą przyjacielska powieka zroniła?
Dla pociechy ich życia, szanuj ich mogiły.
Ten, co losy zawstydził, że go poniżyły,
Służył Bogu, królowi, krajowi, rodzinie,
Co wstydu uczył córki, którym we wsi słynie.
Kamieniem gładziej rzniętym grób jego naznaczę,

Gdzie wypiszę i cnoty, i sąsiadów płacze.
Gdzie go taki nagrobek pochwali przed gminem:
„Tu leży: co był dobrym mężem, ojcem, synem."
Trafi się, że przypadkiem ściągniony w te strony,
Na te święte zagrody spojrzysz poruszony.
Muzo! co tak pod drzewy śpiewasz grobowemi,
Niżeli je porzucisz, niech rękami twemi
Na ich gałęziach wieńce będą zawieszone,
Znaki twojej czułości... Niech kto upiększone
Twarze wierszem opiewa, niech roskoszy syty,
Chodząc nosi na głowie wieniec z mirtu wity,
Niechaj swe pieśni samą radością napawa,
Na czele cieszących się w świetnej sukni stawa;
Ty pieśń pocieszającą śpiewaj nad grobami,
I pierwszy ofiarnemi uwieńcz ją kwiatami.

Wróćmy się, bo czas jest, pod nierównie weselsze cienie. Architektura jeszcze w pośrodku tego gaiku czeka mnie, ażebym go przystroił budowlą wdzięczną. Już tu nie będą smutne żalu pamiątki, ale raczej słodkie uchrony, któreby między zielonością pod różnem coraz wejrzeniem uśmiechający się widok oczom pokazywały. Ale kiedy tego pozwalam, zbytku zawsze chronić się potrzeba.

Wyrzućcie z ogrodów waszych cały ten tłum budowli różnych przez samą tylko modę przyjętych; te obeliski, rotundy, pagody, gmachy rzymskie, greckie, chińskie, arabskie; te mięszaninę architektury bez końca, wyboru, której zbytek marnie szafowany w ogrodzie jednym, cztery części świata zamyka. Nie czekaj nawet w budowlach twoich ozdób nadaremnych, ale zawsze pożytek umiej ukryć pod wdziękami. Folwark, skarbiec, miejsce rozrywek pana, będą miały najpierwej prawo być ozdobionemi, i niechaj pyszny pałac niemi nie pogardza, bo on tym miejscom winien jest przepych swój; proste zaś wdzięki ich, zdają się mieć górę nad wspaniałością jego, jak sztuką wypiększona Armida, ustępuje wdzięcznemu uśmiechowi, gładkiej a niewinnej dziewczyny.

Folwarku! na to imię i żniwa, i sady,
I pasterskie starania, i bydląt gromady,
Te dobra wieków złotych, w pamięci mi żywej
Stanęły, gdym w dzieciństwie lat moich szczęśliwy,
To nad wszystko przekładał! dziś na zamian cały
Same mi tylko po nich żale pozostały.
Folwarku! stań mi teraz; zda mi się, że twego,
Słyszę już wdzięczne głosy ptactwa domowego;
Szum wozów, które żniwo do gumna prowadzi,
I łoskot tylu biczów wesołej czeladzi.

Staraj się więc przyozdobić to miejsce, ale chroniąc się zawsze przysady; ażeby folwark twój nie zdawał się być pałacem. Piękny i razem w swoim rodzaju prosty folwark przy ogrodzie jest to, co wiersz wieśniaczy w rymotworstwie. Ale, przez bóstwa wiejskie! niechaj zbytek i przepych od tego miejsca niewinnego będzie na zawsze oddalony. Nie chowaj w kącie pras twoich od winogradu, ani twojego gumna! miło mi spojrzeć na narzędzia żniwa i winobrania; niech przetak, wiejaczka, z której złote pszenicy ziarno w górę z plewami wznosząc się, czyste na ziemię spada, niech brona, sanie i cały sprzęt wiejski nie wstydząc się pokaże mi się. Najbardziej zaś zwierzęta domowe, których widok ruszający się wewnątrz i zewnątrz folwarku, daje mu jakowąś postać żyjącą. Już to nie są pałacu ozdoby marne, wdzięki nieczułe i wspaniałość nieruchoma; wszystko tu żyje, wszystko w tych murach i pod temi dachami zaludnione. Niechaj ptactwo różniące się głosem i instynktem, mieszkające pod słomą, albo dachówką, familie, narody, rzeczypospolite, królestwa, zatrudniają mnie swojemi obyczajami, i bawią igraniem swojem. Na czele ich:

Kogut, ojciec, kochanek, i wzór waleczności,
Który rządząc słodyczą, sułtan bez miękkości,
Gdy miłość swym serajom skrzydlatym rozdawa,
Łączy z prawem odwagi, i piękności prawa.
Czy rozkaże z dobrocią, czy go miłość rusza,
Nigdy się pyszna jego nie upodli dusza,

Utworzony na rozkosz, na władzę, i męstwo,
Kocha, walczy, zwycięża, i śpiewa zwycięztwo.

Słodkoby ci było poglądać na ich igrzyska, walki, nienawiści, miłości, a nawet ich obiady.

Opatrzna gospodyni ledwie wyjdzie z chaty,
Opałkę mając w ręku; wnet naród skrzydlaty,
Z wierzchołka swych kurników, z dachów każdej strony,
Zlituje się w nierządnym tłumie zgromadzony,
W koło niej się naciśnie tłok chciwy obłowu,
Te zawsze odganiane powracają znowu;
Z rąk samych, gdy opałkę z zbożem obsiadają,
Zuchwałe stołowniki ziarna wydzierają.

Miej więc staranie i dbałość około tego narodu domowego. Niechaj budowle ich będą zdrowe, a nie wspaniałe. Na cóż się przyda kurnik bogato przyozdobiony? podłoga z marmuru? i kraty ozłocone? *Fontaine* powiedział: że jedno ziarno jęczmienia daleko im jest milsze. O *Fontaine* mędrcu prawdziwy! Ciebieby na tem miejscu potrzeba! Malarzu instynktu najszczęśliwszy, o jakże te widoki myśl twoję poruszyłyby? Paw pyszny z tęczy ogona swojego, który go zdobi; duma indyka jeszcze daleko głupsza, dla rozrywki naszej pędzel twój zabawiłyby. Tu twoich gołębi poznałbyś obraz.

A widząc rozkochanych kogutów zaboje,
Rzekłbyś jeszcze: Miłości! tyś zgubiła Troję.“

I tym to sposobem folwark nam podoba się z jego postacią ożywioną.

W inszem zamknięciu jakiż to naród zgromadzony krzykiem swoim uszy moje napełnia? Tam są zwierząt obcych osobliwości; tam w słodkiem wygnaniu żyją zamknięte zwierzęta czworonogie, i ptaki jedne nad drugiemi dziwujące się. Nie staraj się koniecznie o rodzaje ich dziwaczne, albo najbardziej rzadkie, ale zbieraj tylko najpiękniejsze. Pokazuj nam te ptaki,

które pod inszem niebem zrodzone, pieszczone dzieci słońca, ogniem jego płonieją; jakie jest złoto purpurowe bażanta, i tylu wdzięcznemi kolorami Pintad [1]) W piękniejszych zamykaj klatkach te bogaciej przybrane ptaki: one same, są już niejakim zbytkiem; i ponieważ ozdoba ich nagradza ci za ich niepożyteczność, niechże przynajmniej więzienie tych pięknych niewolników będzie okazałe. Najbardziej, nie pokazuj mi w klatkach tych zwierząt dzikich, których pycha więzami naszemi nadto się czuje upokorzoną.

Któż widzi bez wzruszenia króla ptaków, który
W czasie swojej wolności lubił igrać z chmury!
Dziś zapomniał spodlony więzieniem niesławnym,
O błyskocie swych oczu i swym locie dawnym.
Wróć mu słońce, powietrza wróć obszerne łono,
Nie mogę się istnością bawić znieważoną.

Ale w tenczas, kiedy chwaląc się przed nami obcym swoim ubiorem, te z krain dalekich goście, każde nas do siebie wzywa; powonienie moje ozionione słodyczą ciągnie mnie pod te dachy, gdzie równie wygnane, i z ich ziemi wyrwane obce krzewy, wonnem otoczone powietrzem, słabe rośliny pod szkło dla ciepła ukryły się. Ale wy, którzy własność klimatów zwyciężacie, pory przynajmniej roku szanujecie! Nie przymuszajcie, ażeby na łonie gruntu oziembionego rozwijały się te dary ziemi, które inszemu czasowi natura naznaczyła.

Zostawcie miejscom zgnębionym przez zimę ustawiczną, te fałszywe lata owoce, te kwiaty wiosny zmyślonej. I kiedy promieniem słońca dojrzewać mają owoce wasze, nie nagląc darów jego w czasie niezwyczajnym, czekajcie w porze własnej hojności jego. Atoli, miło mi czasem spojrzeć na te dachy szklanne, te schronienia się przezroczyste, pokazujące mi krain najdalszych daninę wieloraką. Ten to uchron, Jasmi-

[1]) *Pintad*, ptak amerykański wielu pięknemi kolorami ubarwiony.

ny iberyjskie, i zimny barwinek przyzwyczaja, że o swojej ojczyznie zapominają; a żółty ananas ich ciepłem oszukany, ofiaruje ci owocu swojego skarby musem wynaglone.

Układaj więc na przemiany, twoje różne budowle; te zwierząt, kwiatów i roślin wdzięczne gospody, jak wiele jeszcze krzewów, które ziemia nasza przyjęła i gust pochwalił, może oczy nasze zabawić? Pod temi wierzbami, które wody żywe oblewają, założyłbym łaźnie pożyteczne; dalej, chata chłodna miałaby wętki i sieci rybacze; widzisz tego lasku wdzięczną osobność, to miejsce poświęciłbym Muz i nauk schronieniu. W tym wspaniałym i długim zakąciu lasu, kazałbym podnieść pyszny obelisk, który kiedy się do góry dźwiga, na dole napisałbym: „Odważnym naszym obywatelom, co za ojczyznę polegli.“

Tym sposobem budowle wasze próżnemi, opuszczonemi nie będą. Do położenia miejsca, i kształt ich i wielkość przyrównywaj. Niech każda z nich z gustem na swojem miejscu leży, ani nadto ściśniona, ani nadto rozciągła; niech nie zasłania widoku, ani sama się nie kryje.

Znaj się na tem, co jest istotne, albo rzeczy twojej szkodliwe. Budowla oddalona w miejscu jakiem dzikiem, maluje nam jeszcze lepiej osobność. Bądźże naturalnym w zażyciu rzeczy każdej. W pośrodku pola nie zakładaj domku pustelnika; nie chowaj kościoła w głębinie lasu dzikiego: Kościół lubi się okazać na wzgórku jakim; jego położenie na wolnem powietrzu daje widokowi takiemu niby życie, ruch i wspaniałość, a zdaje mi się, że jestem w pośrodku pięknej Auzonii. Otóż to jest, co należy do wdzięków i piękności budowli wiejskiej.

Ale tych gmachów błyszcząca się wesołość, zbytek w nich tegowieczny, i młodość żywa, czyliż staną nam za starość rozwalin dawnych? Spojrzenie smutne na te pozrzucane bryły robót dawnego świata, ich kształt osobliwy, wzrok nasz zatrzymuje. Przez nieto bieg lat na ziemi oznacza się; rozrzucone przez wybuchnienie

ogniów podziemnych, przez burze, albo wojny; uczą nas zawsze, a czasem cieszą.

Te bryły które ciężar wieków przeszłych znają,
Żeśmy równym podlegli klęskom, nauczają.
Że wszystko do upadku prędzej wolniej bieży,
I losowi to zawsze darować należy.
Tak niegdyś na Kartagi rozwalinach dawnej,
Nieszczęściami goniony siadł Maryusz sławny.
I te (wiekom pamiętne fortuny igrzyska)
Wspólnie się pocieszały dwa wielkie zwaliska.

Przyłącz więc do twego pałacu te szanowne świata starego reszty. A ty, która po tych dzikich błąkając uchodach, daleko od ubitego gościńca i drogi zwyczajnej, nowemi ścieszkami sztukę ogrodniczą wiedziesz; siostro malarstwa wdzięczna poezyo! powróć życie tym samym rozwalinom, pokaż gustowi te drogie przypadki, które swoją powolną ręką czas odrysował.

Czasem w dalekości pokaże się jaka dawna i prosta kaplica; to święte schronienie; gdzie kiedyś w czasie wiosennym panny, mężatki i dzieci, na wiejskim ołtarzu o żniwo przyszłe, błagały Przedwiecznego. Długiem wprawieniem się przeciągniona szanowność poświęca dotychczas te rozwaliny.

Czasem widzieć się daje zamczysko stare, które przyciskając kiedyś tyraństwem całą okolicę, z wierzchołka góry swojej podnosząc aż do nieba baszty ogromne, czyniło postrach poddanym; które w owych dawnych czasach rycerzów szablą i kopiją dowodzących widziało: dziś po jego rozwalinach zasiane zboże chwieje się. Te ułomki, ta zuchwała i razem smutna architektura, którą otacza wdzięczna zieloność, te kąty, ta stoczystość twierdzy, te stare reszty wież niedowalonych, gdzie ptak spokojnie gniazdo swoje założył, te trzody owiec przechodzące pomiędzy zasieki kiedyś niedobyte, i te dzieci, które swobodnie na tych miejscach igrają, gdzie się krwawo ojcowie ich potykali; te wszystkie różne między sobą pozgromadzaj widoki,

i pokaż oczom ten obraz wdzięczny, zuchwały, wiejski i wojenny.

Dalej widzieć się daje drzewem otoczony,
Mur klasztoru starego z dawna opuszczony:
Jakaż tu cichość! w temto miejscu rozmyślanie,
Ten kochanek pustyni, ma wdzięczne mieszkanie.
Wtychto świętych przysionkach bogobojne panny
Kiedyś, jak przed ołtarzem ogień nieustanny,
Którego smutne światło oświeca gmach cały,
Wybladłe, czuwające, płonęły niszczały.
Z niewinnością spokojną święte zamyślenia
Zdają się jeszcze mieszkać wśród tego milczenia.
Mech porosły na murach, te kopuły, wieże,
Te klasztorne sklepienia, których ciemność strzeże;
Te schody przed ołtarzem starte kolanami,
I sam kiedyś przybytek Boga z ziemianami,
Gdzie może nieszczęśliwych tych ofiar nie mało,
Przed ołtarzem na więzy surowe płakało,
I biedząc się z pamięcią swobody straconej,
Łez samej religii dobyły zmiękczonej!
Wszystko mię tam porusza, wszystkie mówią ściany!
W takiej pustyni w myślach chodząc obłąkany,
Często rozumiem, gdy się ku zachodu chyli,
Że słyszę jak cień smutnej Heloizy kwili [1]).

Zażyj więc pożytecznie tych reszt najdroższych, wspaniałych, albo dotkliwych, zrobionych kiedyś od ludzi świata, albo pobożności.

Ale nie chwytajmy się nigdy tych zmyślonych rozwalin, które tak nikczemnie czasów dawnych starość naśladują. Wszystkie te świeżo wystawione, a niby dawne kościoły, te reszty zamku, którego nigdy nie było, te stare mosty wczoraj stworzone, i ta wieża gotycka, z tą postacią opustoszałą, nie mająca kształtu starożytności, sztuką są razem niezdolną i nikczemną! Na co

---

[1]) Heloiza, sławna zakonnica miłością i listami swemi do Abelarda.

poglądając zdaje mi się, że widzę dziecię marnie się układające, i chcące udawać starość zmarszczeniem twarzy swojej, a fałszywie zmyśliwszy starego, gubiące wdzięki wieku młodocianego. Ale rozwaliny prawdziwe zabawiają oczy moje, które będąc ojców naszych rowiennikami, miło mi się zapytać ich o dawnych dziejach i łatwo mi nawet uwierzyć im. Czasów i ludzi one mi przypominają historyą, a im sławniejsze są te czasy, i ludzie więksi, tem na rozwaliny starożytne z większem zastanowieniem się poglądam.

O wdzięczne pola włoskie! Rzymu okolice!
W pośrodku waszej leży szczęśliwej ziemice,
Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!
Tam zwaliska wsławione wielkiemi imiony,
Pełnąc ważnych pamiątek, wysokiej nauki,
Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.
Patrz, jako z każdej strony zbiegłszy wieki mnogie
Podarły, rozproszyły, rozwaliny drogie.
Miecąc groby na groby i gmachy kościelne,
Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.
Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte
Chowają jeszcze Rzymian dzieła znamienite,
Ich grubość niezwątlona mocuje się z czasem,!
Tym kiedyś po powietrzu rzeka szła nawiasem,
Tą bramą wprowadzano łup zdartego świata.
Wszędzie wiek zamięszane z popiołem pomiata
Łaźnie, pałace, groby Cezarów potężnych!
Wtenczas kiedy moc większa niby niedołężnych
Horacego, Owida i Wirgila wierszy,
Pokazuje nam ślady i przepych ich pierwszy.
Szczęśliwy! po sto razy ogrodnik szczęśliwy,
Co te blisko mieć może starożytne dziwy.
Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,
Już natura prawami swemi dokazuje,
Nad ogromną wielkością zeszłych panów ziemi!
W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgnębionemi,
Chlubił się z taką pychą; jak w Ewandra czasie,
Pasterski flet i trąba tylko odzywa się,

Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,
Kozy nad zwaliskami pasą zawieszone.
Pyszny kiedyś obelisk leży między zioły,
Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoły;
Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,
Które się albo wznoszą, lub schylają w stronę,
Które, na rozwalinach lekkie wiatry siały!
Figa, drzewo oliwne, bliżej się przybrały,
I kiedy się do gruzów ich korzeń przypina,
Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.
Tak, giętkie winogrady, gałęziste bluszcze,
Na koło tych ułomków w ciemną rosną puszczę,
I gdy się w różne kształty przy nich naginają,
Albo zdobią ich starość, albo zakrywają.

A jeżeli mieć nie możesz tak sławnych ruin, nie maszże przynajmniej tego bronzu ożywionego i tych marmurów gadających, bóstwa dawnego świata? gdzie sama sztuka bożyszczem była i hołdu świętego na ludziach wymagała.

Ja wiem, że gust surowy chce z Ogrodów wypędzić wszystkie te Rzymian i Greków bóstwa. I za cóż to? od dzieciństwa naszego do Aten i Rzymu przywykli, oswoiliśmy się z wdzięcznemi ich baśniami. Ale ciż bogowie, czyliż rolnikami, albo pasterzami nie byli? Dla czegoż przed niemi gaje wasze i Ogrody zamykać? Bez Pomony, czyliżby dojrzały owoce wasze? albo czy możecież Florze nad kwiatami jej panowanie odebrać? Ach! niechże te bóstwa zawsze oczy nasze zabawiają, kiedy podobnem nazwać się może bałwochwalstwem i ta cześć, którą sztukom wyzwolonym wyrządzamy. Ale rzeźba w nich niech będzie doskonała. Dla tego zdaleka od ogrodów twoich niech będą te bóstwa bez majestatu i te boginie bez wdzięków. Bóstwu każdemu jego własne naznacz miejsce; niech bożek jeden drugiego prawa nie krzywdzi i niechaj się Pan w lesie zostanie. Zkąd to jest, że te Najady, te Trytony, na gruncie suchym z Dryadami się pomięszały? Po co tu ten Nil, liściem trzciny uwieńczony, w którego urnie prochem zakurzonej ptak powietrzny swojego schronienia szuka?

Precz ztąd te lwy i dzikie tygrysy! *monstra* te, przestraszają mnie nawet w obrazach ich! I te smutne Cezary sto razy jeszcze dziwaczniejsze od zwierząt, nikczemnie wejścia do ulic strzegące, które teraz nawet, obrzydzone podejrzliwością i występkiem, zdają się jeszcze okiem wytykać ofiarę dla siebie z ludzi. Jakiemże prawem weszli do tego mieszkania wesołego? Pokaż mi w ogrodzie twoim ludzi, do których bardziej lgnie serce nasze, i z miejsca, któreś naznaczył na ubóstwienie ich, zrób pola Elizejskie, gdzieby cienie ich odpoczywały. Daleko od oczu pospolitych, w dolinach okrytych laurami woniejącemi, mirtami zawsze zielonemi, z białych marmurów niech będą powystawiane posągi ich; niech woda zwolna upływająca oblewa gaje te, z cieniami wieczornemi dzień niepewny mięszając. Dyana swoim promieniem słodkim miejsca tego niech będzie gwiazdą. Ich spokojna piękność pod temi zielonemi dachami; tych marmurów białość i czystość, tych wielkich ludzi nierażący i niewinny majestat, te wody w cichości upływające (rzeki Letejskiej wyobrażenie) które zdają się dla serc ich wolnych od trosków, przygód życia płynąć zapomnieniem; te drzewa, i ten dzień ginący pod ich ciemnem zaciszem, wszystko to ma postać mieszkania duchów szczęśliwych. Nie ubóstwiaj więc na takich miejscach, tylko mężów cnotę spokojną lubiących. Daleko ztąd niech będą owi wojownicy, nawykli ziemię pustoszyć; bo jako zakłócali światem, takby i te miejsca zamięszali. Postaw tam raczej przyjaciół bogów i ludzi; którzy przez wyświadczone łaski w pamięci żyją; postaw tych królów; którzy kiedy sławy swej nabywali, żaden z poddanych ich nie zapłakał. Pokaż tam Fenelona, na któregoby oko nasze z wzruszeniem poglądało, i Henryka, przed którym Sully powstaje, a on go mile przyciska.

Zasadź tam i kwiaty, któremibym uwieńczał głowę tych mędrców, co na poczciwem wygnaniu w odległych krajach uczyli i rozszerzali rękodzieła potrzebne. Ty najbardziej odważny Kook [1]), który kochany od wszyst-

[1]) Wszyscy wiedzą o żegludze sławnego Anglika Kooka,

kich, zginieniem twojem złączyłeś w jedno żałość zakłóconej z Francuzami Anglii. Ty, który w te dalekie krainy, gdzie dawniej przyjście nasze sama burzliwa ogłaszała armata, nowy Tryptolem, sprowadziłeś z ojczyzny twojej konie, owce, woły, pługi i insze potrzebne narzędzia, zamazując tym sposobem zbójców Europy pod tamtem niebem zażartość. Okręty twoje do nich zawijając, pokój im ogłaszały, a powracając od nich zostawiały im dobrodziejstwa. Odbierz więc ten hołd od dziecięcia Francyi; bo za cóż kraj jego, ma mi bronić wdzięczności którego cnoty współobywatelem naszym zrobiły? Naśladujmy w tem króla naszego, który był dla niego jak swoim królem. Ach! na cóż mu się przydało, że śmiałość jego po dwa razy zapędziła go pod te nieba ogniste? że się przebijał przez morza lodami wzdęte? że wtenczas, kiedy go narody różne, wiatry i wody poważały, kiedy sam okręt jego na rozległych morzach najświątobliwiej szanowany był, i dla niego samego wojna zapomniała ostrości swojej; przyjaciel świata, marnie od ludzi dzikich ginie!

Wy pyszne dzieci Albionu! które nad jego śmiercią płaczecie, naśladujcie szlachetne zapędy jego. Czemuż między równemi waszemi szukacie sobie niewolników? Czyńcie im raczej łaski, a nie te krzywdy największe. Oto pokój z czołem laurem uwieńczonem, wzywa do siebie Europy zmordowanej.

Zstąp do nas słodki i dawno pożądany pokoju! niech twoja przytomność światu powrócona przyozdabia miejsca, które wiersz mój opiewał. Zstąp, i z tylu narodów rozróżnionych, zrób naród jeden szczęśliwy! Powróć żniwo polom, handel miastom, zakwitnienie sztukom wyzwolonym, i spokojność obudwom światom.

---

który z dobrocią największą obchodził się z narodami znalezionemi. Król francuzki podczas wojny z Anglią przykazał okrętom swoim szanować, gdzie tylko na morzu zdybią tego sławnego żeglarza.

PRZYDATEK DO OGRODÓW.

Ażebyśmy mieli wiadomość o domach wiejskich i ogrodach przy nich starych Rzymian, kładzie się tu list Pliniusza młodego, w którym widzieć można, że w czasach tamtych znano już sztukę przystrzygania drzewa w ogrodach; i że wszystkie przy ogrodach budowle ich, były wystawione celem pożytku jakiego, nie zaś samego zbytkowania.

Kładzie się i list drugi pana Chambers Anglika, w którym opisuje Ogrody Chińczyków, tego narodu dowcipnego.

LIST PLINIUSZA MŁODEGO

O OGRODACH DAWNYCH RZYMIAN.

Dom, chociaż pod wzgórkiem budowany, ma tenże sam widok, jak gdyby był na wierzchołku wystawiony. Wzgórek ten tak zwolna i słodko podnosi się, że trudu najmniejszego nie czuję, jakem na górę wstąpił. W tyle domu, są góry Apeninu, ale dosyć oddalone. W dniach spokojnych i najpogodniejszych, wiatr od nich powiewa, który nic nie ma gwałtownego, że w drodze podobno przelatując całą swoję siłę utracił. Domu tego położenie jest prawie zupełnie na południe i w czasie lata

około południa, w zimie zaś trochę prędzej, zdaje się wzywać słońca, na jedno obszerne i w miarę długie przedsienie. Dom złożony jest z wielu przybudowek. Wejście do niego, jest sposobem staroświeckim.

Przy samym przedsionku widzieć się daje *parterre,* na którym w różne kształty bukszpan wysadzany. Potem jest siedzenie z murawy nieco podniesione, na koło którego bukszpan strzyżony, wyraża wiele zwierząt, które na siebie poglądają. Trochę niżej jest kawał ziemi, cały pokryty barszczowem zielem, tak wdzięcznem i miękkiem, że pod nogami prawie go nie czuć. To miejsce jest otoczone wielą drzewami do przechadzki, które tłocząc się jedne na drugie i wielorakim kształtem będąc poprzycinane, robią jakoby jakie oparkanienie. Blisko, jest ulica okrągła nakształt cyrku, we środku którego widzieć można bukszpan w różne kształty strzyżony; i drzewa, które starają się, ażeby w górę nie wzrastały i przy ziemi trzymały się. Wszystko to otoczone jest murem suchym, który bukszpan w stopnie rznięty zakrywa, i przed okiem zasłania Z drugiej strony jest łąka, a ta niemniej podoba się przez piękność swoję naturalną, jak wszystko to, co do tychczas mówiłem, przez wdzięki od sztuki pożyczone. Potem są kawałki dzikich łąk i krzewiny. Na końcu galeryi czyli przedsionka, jest sala do jadania, której drzwi na koniec parteru patrzą, okna zaś na łąkę i na wielką część wspomnionej dzikiej krzewiny. Przez też okna widać na stronie parter, wyskok jeden domu i wierzchołki drzew szkoły końskiej. Z jednego boku przedsionka i ku środkowi jego, jest wejście do gmachu, którym otoczony mały dziedziniec, mający cztery jawory; w pośrodku nich jest *bassin* marmurowy, z niego woda ukradkiem wypływająca, utrzymuje czerstwość jaworów i ziół, które są niżej. W tym gmachu, jest pokój do sypiania. Głos, szelest, ani słońce, nigdy tam przejść nie mogą. Przy nim zaraz jest sala, gdzie jadają zwyczajnie i gdyby kto chciał się zabawić w cichości z samemi przyjaciołami. Drugi przedsionek patrzy na ten mały dziedziniec i ma razem ten cały widok, który i przedsionek wyżej odemnie opisany. Jest

jeszcze i pokój jeden, który, że jest bliski jednego ze wspomnionych odemnie jaworów, zawsze ma cień swój i zieloność; przyozdobiony jest na około marmurem do wysokości, jak się wesprzeć można; gdzie zaś marmuru nie masz, są malowania wyrażające liście i ptaki na gałązkach, ale tak dobrze udawane, że nie ustępują w piękności samemu marmurowi. Niżej trochę jest miła fontanna, która wpada w *bassin*, zkąd woda przez wiele drobnych rurek wypływając, robi szelest najwdzięczniejszy. Z jednego kąta przysionku wchodzi się do wielkiego pokoju, który jest naprzeciwko sali do jadania; ma ona okna swoje z jednej strony na parter, a z drugiej na łąkę i zaraz niżej tych okien jest woda, która niemniej oczy, jak i uszy rozwesela; bo spadając tam z góry w wielki *bassin* marmurowy, zdaje się cała spieniona i robi nie wiem jaki szum, który sprawuje roskosz. Pokój ten, jest bardzo w zimie ciepły, bo na teneczas słońce ze wszystkich tam stron ogrzewa. Zaraz blisko piec, który dostarcza ciepła, kiedy jest pochmurno. Z drugiej strony, sala do rozbierania się idąc do łazni, jest dosyć obszerna, i bardzo wesoła. O ścianę znajdziesz salę do kąpania się w wodzie zimnej, gdzie są wanny w cieniu obszerne. Jeżeli chciałbyś się kąpać przestrzeniej i cieplej, jest łaźnia na dziedzińcu i zaraz blisko niej studnia, zkąd można mieć wodę zimną, kiedy goraco dokucza. Koło sali, gdzie się w zimnej wodzie kąpią, jest sala wody letniej, którą słońce dosyć ociepliło; mniej jednakże niżeli w łaźni gorącej, bo ta wypada z igraniem. Przez trojakie schody do tej ostatniej sali zstępować potrzeba; z których dwoje są wystawione na słońce, trzecie zaś nie są zaciemnionemi. Nad pokojem, w którym zostawiają się suknie przed kąpaniem, jest miejsce do rzucania i bawienia się piłką dla ćwiczenia ciała; które miejsce z tej przyczyny na wiele długich ustępów podzielone. Nie daleko od łaźni są schody, które prowadzą do zamknionej galeryi; pierwej zaś do trzech gmachów, z których jeden patrzy na wspomniony mały dziedziniec, drugi na łąkę, trzeci na winogrady; że położenie ich tem jest różniejsze, im wejrzenie ztamtąd odmien-

miejszem jest. Na końcu zamkniętej galeryi jest pokój jeden zrobiony w samejże galeryi, z którego wejrzenie jest na szkołę końską, na wioski i góry. Blisko tego pokoju jest drugi na słońce wydany najbardziej w czasie zimowym. Ztąd wchodzić można do gmachu, który szkołę końską z domem łączy.

Otoż taka jest jego zwierzchnia postać, i takie we,-rzenie z niego. Z strony południowej galerya zamkniona. podnosi się, zkąd nietylko widzieć można winogrady, ale zdaje się nawet, że ich prawie dotykamy. W pośroku tej galeryi masz salę do jedzenia, gdzie wiatry, które od Appenin przychodzą, robią bardzo zdrowe powietrze. Ma ta sala wejrzenie przez wielkie okna na winogrady i znowu na też same winogrady przez dwoje drzwi, na dwoje otwieranych, zkąd oko i na całą patrzy galeryą. Z tej strony, gdzie ta sala okien nie ma, są skryte schody, którędy jedzenie przynoszą. Na końcu jest pokój, któremu galerya i winogrady niemniej wdzięcznym są widokiem. Na dole, jest galerya prawie podziemna i w lecie tak chłodna, że spokojna na miłem powietrzu, które zamyka, ani go nikomu nie daje, ani odbiera zkądinąd inszego. Po tych dwóch galeryach zamknionych, jest znowu sala do jedzenia, a przy niej otwarta galerya, chłodna przed południem, a cieplejsza, kiedy słońce wyżej się podniesie. Ta wiedzie do dwóch gmachów. Jeden jest złożony ze czterech pokojów, a drugi ze trzech, które w miarę jak słońce obraca się, promieni jego albo cienia używają. Przed temi budowlami tak pięknemi i tak dobrze rozłożonemi jest obszerna szkoła końska. Otwiera się ona we środku, i dla tego pokazuje się zaraz cała tym, którzy tam wchodzą. Jest otoczona jaworami, które się bluszczem okryły. Tym sposobem wierzchołki tego drzewa, własnym swoim liściem zielenią się, spody zaś są zielone liściami obcemi. Ten bluszcz zwija się na koło pniaków i gałęzi i przechodząc z jaworu jednego do drugiego, niby je złącza. Między temi drzewami są bukszpany, bukszpany zaś są otoczone drzewem laurowem, które z drzewami wyższemi cień swój mięszają. Wejście do szkoły końskiej jest proste ale ku końcowi w kształt się półkręgu

odmienia. Ta szkoła jest otoczona i okryta cyprysami, które jeszcze cień większy sprawują. Przejścia w koło, które są wewnątrz, (jest ich albowiem wiele z jednego miejsca do drugiego), mają światło słońca najczystsze. Roże tam ze wszystkich stron widzieć się dają i łagodne słońce poprawia w tem miejscu zbyteczne chłody cieniów. Wyszedłszy z tych przechodów okrągłych i powtórzonych, powraca się do ulicy prostej, która z obudwóch stron ma wiele inszych podzielonych przez bukszpany. Tam jest mała łączka, tu bukszpan sam wystrzygany w tysiąc różnych kształtów, czasem nawet w litery, które wyrażają albo imię pana, albo rzemieślnika. Między bukszpanem kolejno obaczyć można, małe piramidy, albo jabłonie i ta wiejska piękność ogrodu, o którym rozumiałbyś, że zkąd nagle przeniesiony w miejsce tak wdzięczne, jest z obudwóch stron podniesiona ku środkowi przez jawory, którym wybujać w górę nie pozwolono. Ztamtąd wchodzi się na łączkę ziela akantu, które tamtędy jest rozrzucone, gdzie widzieć jeszcze można wiele kształtów i imion, które ziołami są wysadzone. Na samym końcu jest łoże do spoczynku z białego marmuru, przykryte chłodnikiem utrzymywanym przez cztery kolumny, z marmuru karist. Z pod tego łóżka wypływa woda, jak gdyby ciężar tych, którzy tam spoczywają, wyciskał ją. Małe rurki spowadzają ją na kamień umyślnie dla tego posiekany, zkąd znowu wpada w *bassin* marmurowy, a ztamtąd wypływa tak nieznacznie i tak w miarę, że *bassin* zawsze jest pełny, jednakże i nad brzegi nigdy nie wylewa. Gdyby kto chciał jeść wieczérzą w tem miejscu, poukłada potrawy twardsze na brzegach tego bassenu; potrawy zaś leksze w naczyniach wyrobionych wkształty okrętów, albo, ptaków, puści na wodę, które pływać będą jedne za drugą około niego. Z jednej strony jest wytryskające źródło, które nazad przyjmuje do siebie wodę, którą wyrzuciło. Woda albowiem będąc wyciśniona wysoko w górę, upada na siebie samę, a przez dwa otwory, które się łączą zstępując na dół, znowu się podnosi ustawicznie.

Naprzeciwko łoża do spoczynku jest pokój, który mu tyle udziela wdzięków, ile od niego odbiera. Cały ten pokój marmurem błyszczy się, drzwi jego są otoczone i niby obłożone zielonością, w górze i na dole, z okien wyższych i niższych, samę tylko widać zieloność; blisko, jest mały pokoik, który zdaje się, jakby się zapędził cały w pokój marmurowy, jednakże jest od niego oddzielony, tam jest łóżko; i chociaż ten pokoik jest cały w oknach, jednakże cień, który go otacza, czyni go smutnym. Wdzięczny winograd okrywa go liściami swemi, które aż do szczytu się podnoszą. Mimo tego, że tam deszczu czuć nie możesz, zdaje ci się, że w lesie jakim spoczywasz. Widać w tem miejscu także źródło, które ginie w samem dobywaniu się swojem. Po wielu miejscach są rozłożone siedzenia marmurowe, sporządzone, jako i pokój do odpoczęcia po przechadzce. Blisko tych siedzeń są małe fontanny, w całej tej szkole, słyszeć można wdzięczny wód szelest, które posłuszne ręce rzemieślnika, gdzie mu się tylko podobało, małemi rurkami są prowadzone. Tym sposobem, to te, to inne krzewy wodą odwilżone bywają, czasem zaś skrapiane wszystkie.

Jużbym był zakończył dawno, dla bojaźni, abym nie nadto drobne okoliczności wyszczególniał; ale postanowiłem sobie odwiedzić wszystkie kąty i kąciki domu mego z tobą. Takem sobie w myśli ułożył: że to, coby cię nie nudziło, gdybyś na nie sam patrzył, nie unudzi pewnie, kiedy i czytać będziesz.

LIST

PANA CHAMBRES

O OGRODACH CHIŃCZYKÓW.

Ogrody, które widziałem w Chinach, (mówi Pan Chambres) są bardzo małe; jednak ich rozporządzenie, i to czego mogłem się nauczyć, przez częste rozmowy które miałem o tem ze sławnym jednym malarzem Chińskim nazwanym *Lepqua*, dały mi dosyć poznać, jeżeli się nie mylę, jak ten naród myśli o ogrodach.

Natura jest dla nich wzorem, i to ich jest zamiarem, aby ją we wszystkich pięknych jej nieregularnościach naśladować. Naprzód uważają ułożenie miejsca, jeżeli jest równe, albo pochyłe: jeżeli jest rozległe lub szczupłe, suche, albo błotniste, jeżeli go oblewają rzeki i źródła, lub też jest w niedostatku wody. Mają baczność na te wszystkie okoliczności i tych się rozrządzeń chwytają, które się najlepiej do natury miejsca stosują, które najmniej wyciągają kosztu, ukrywają przywary miejsca, i piękność jego najlepiej na widok wystawują.

Ponieważ Chińczykowie nie lubią przechadzek, rzadko widzieć się dają u nich place, albo ulice szerokie, jakie są w ogrodach europejskich; całe miejsce jest podzielone na różne odmiany, a kręte przejścia porobione w pośród gaju, do takich miejsc prowadzą, które różnym sposobem kończą wejrzenie. Każde z miejsc takowych ma w sobie albo siedzenie, albo budynek, albo inny jakowy objekt.

Doskonałość ogrodów ich, zależy na liczbie, piękności i rozmaitości odmian. Ogrodnicy chińscy nakształt europejskich malarzów zbierają te rzeczy, które natura ma w sobie najpiękniejsze, i tak je połączyć razem usiłują, ażeby nie tylko w szczególności najpiękniej się wydawały, ale połączone nawet składały rzecz przyjemną, i zastanawiały oko.

Ich ogrodnicy uważają trzy różnego rodzaju odmiany, ktrym dają nazwiska: wesołych, okropnych i nadzwyczajnych. Ostatnia z tych trzech zamyka w sobie to, co nazywamy odmianą romansów. Tam Chińczykowie różnych używają sposobów, aby patrzącemu sprawić podziwienie. Czasem wpuszczają rzekę, albo gwałtowny strumień pod ziemię, który wielkim szumem uderza ucho; gdy tymczasem słuchający pomiarkować nie może, zkądby ten szum pochodził. Czasem tak sposobią skały, budynki i inne objekta, które wchodzą w ich ogrody, iż wiatr przechodząc przez zastawione odległości, i wypukłe sklepienia na ten koniec umyślnie porobione, czyni osobliwsze i nadzwyczajne brzmienie. Zasadzają w tych miejscach osobliwszego rodzaju drzewa, rośliny i kwiaty; robią echo sztuczne, i z kilku miejsc odbijające się: nakoniec trzymają tam różnego rodzaju ptactwo, i twory zwierząt dziwaczne.

Odmiany okropne, stawiają przed oczy skały zawieszone, jaskinie ciemne, gwałtowne kaskady, które ze wszech stron z góry spadają. Drzewa dają niekształtne, i niby połamane od wielkiej nawałnicy. Tu widać je obalone, bieg strumienia tamujące i niby nagłem płynieniem wody zabrane, tam wydają się jak strzaskane od piorunu, nadpalone i połupane w sztuki. Niektóre budynki grożą upadkiem, inne po części oca-

łone od pożaru; nikczemne chaty tu i owdzie na gór wierzchołkach porozstawiane, zdają się oznaczać mieszkanie ludzi, i razem nędzę ich.

Po tych odmianach następują pospolicie wesołe. Wie dobrze ogrodnik chiński, jak rzeczy odmienne mocno wpływają w umysł ludzki: starają się dla tego zawsze o nagłe przejścia od jednej rzeczy do drugiej, o przeciwne sobie ozdoby, któreby zastanawiały oko, o różne kolory i cienie. Przeto też z miejsca, w którem jest krótki dla oka przelot, przejść natychmiast można do miejsc odkrytych, i długich ulic; od jezior i rzek, do równin; od miejsc odkrytych, do lasów. Po kolorach smutnych i ciemnych, stawią się przed oczy kolory jasne; po rzeczach najprostszych, widzieć się dają takie, gdzie sztuka sili się na kształt rozmaity. Tak na koniec roztropnie rozrządzają cieniem i światłem, iż w ich połączeniu widzieć można każde z osobna; i jako całe dzieło, tak i wszystkie cząstki jego w oczy wpadają.

Gdy miejsce jest obszerne tak, że w niem kto chciałby wiele odmian umieścić, każda z nich pospolicie ma swoje osobne wejrzenie. Ale gdy plac jest szczupły, że wielu odmian w sobie zamknąć nie może, starają się poprawić ten niedostatek, takim sposobem ustawiając objekta, iż te różnie ukazują się według odmiany miejsc różnych, z których na nie oko pogląda; i częstokroć sztuka tego dokazuje, że te widoki z inszej strony widziane zdają się żadnego do siebie nie mieć podobieństwa.

W ogrodach wielkich Chińczykowie naznaczają widoki różne na poranek, południe, i wieczór; i tam gdzie się kończy rzut oka, wystawiają budowle różne przyzwoite rozrywkom każdej dnia części. Małe ogrody, (gdzie jakeśmy to już widzieli jedno rozrządzenie i rzeczy układ widziany z inszej strony, pomnaża widoki), wystawiają im tymże samym sposobem na różny rzut oka, różne budowle, który przez ich zażycie, oznaczają porę dnia własną, do używania sceny tej w doskonałości zupełnej.

Ponieważ powietrze w Chinach nadto jest gorące, mieszkańcy wiele wody do swych ogrodów potrzebują. Kiedy te ogrody są małe, i kiedy położenie miejsca pozwala, częstokroć całe je woda zalewa, że ledwie tylko mała jaka liczba skał i wysepek zostanie się. Do ogrodów zaś obszernych wprowadzają jeziora większe, rzeki i kanały. Naśladują w tem naturę, dając za jej przykładem różny kształt brzegom rzeki, albo jeziora. Czasem te brzegi są suche i kamieniste; czasem są okryte drzewami, aż do samej wody dotykającemi; w niektórych miejscach płaskie, i przyodziane krzewiną, albo kwiatami; w inszych przemieniają się w skały niedostępne; które formują lochy, gdzie część wody z gwałtem i szelestem wpada. Czasem widzisz łąkę pełną bydląt, albo pola ryżem zasiane, które się w jeziorze zapuściły, i zostawiły pomiędzy sobą miejsca dla przejścia statkom; czasem znowu gaje w wielu miejscach przecięte rzekami, po których łodzie pływają. Brzegi ich są okryte drzewami, których gałęzie z obudwóch stron nad rzeką się rozciągając, łączą się i w niektórych miejscach składają sklepienia, po pod które statki przechodzą. Tym sposobem jesteś zawsze przyprowadzony do jakiegoś widoku osobliwego; do budowli jakiejś wspaniałej, położonej na wierzchołku góry stopniami pościnanej; do jakiejś altanki w środku jeziora leżącej; do kaskady; do groty na wiele uchronów podzielonej, do skały sztucznej, albo do inszego jakiego tym podobnego wynalazku.

Rzeki u Chińczyków rzadko prostą linią upływają; zginają się wielorako, i są przerywane różnemi nieregularnościami. Czasem są wąskie, szumiące i szybkie, czasem powolne: szerokie i głębokie, trzcinę i insze zioła wodne, między któremi ma pierwszeństwo Lienhoa, które szacują najbardziej, widać wszędzie po rzekach i jeziorach. Chińczykowie wystawują często młyny, i insze machiny wodne, których ruszanie się na wodzie ożywia widok. Trzymają także na tych wodach wielką liczbę łodzi kształtu różnego. Jeziora ich pełne są wysp, z których insze są nieurodzajne, otoczone skałami dzikiemi; insze ubogacone tem wszyst-

kiem, co tylko natura i sztuka mieć może najdoskonalszego. Wprowadzają tamże skały sztuczne, i przewyższają wszystkie insze narody w tym rodzaju udawania; do takich robót są u nich ludzie umyślnie i szczególnie się w tem ćwiczący.

Znaleźć można w Kantonie, i zapewne w wielu miastach chińskich, wielką liczbę rzemieślników, statecznie tą sztuką bawiących się. Kamień, którego do robót takich zażywają, przychodzi od stron państwa południowych; jest błękitnawy, i nadwątlony przez wody, które mu podawały kształty nieregularne; w wyborze tego kamienia gust ich daleko się zapędza. Widziałem to sam, jak za jeden kawałek kamienia takiego, któryby był wielkości pięści, wiele sztuk pieniężnych małej wagi dawano, kiedy kształt tego był piękny, albo kolory żywe. Tak wybornych kawałków zażywają do ogrodów, które połączając z sobą pewnym gatunkiem wapna błękitnego, wyrabiają z nich skały wielkości znacznej.

Takie skały bardzo piękne widziałem, które okazywały w rzemieślniku gust niepospolity. Kiedy te skały są wielkie, wyrzynają w nich Chińczykowie lochy i groty, przez które na wskróś widzieć się dają dalekości. Znaleźć tam na nich można po wielu miejscach drzewa, krzewiny, mech i chróścinę; na ich wierzchołkach kładą małe kościołki, albo insze jakie budowle, do których wschody nieregularne, i niezgrabnie w skale wykowane.

Kiedy mają wody dostatek, kiedy grunt potemu jest, Chińczykowie w ogrodach swoich robią kaskady. Chronią się w tem zawsze regularności, robotę natury naśladując w tamtym kraju górzystym. Wody wytryskają z lochów i zakątów skały; tu widać wielki i gwałtowny wód spadek, tam niezmierna liczba drobnych zlatuje strumyków. Czasem patrzenie na kaskadę, jest przerwane przez drzewa, których liście i gałęzie, pozwalają tylko miejscami widzieć wody spadające na boku góry. Czasem nad miejscem najbardziej szybkiej kaskady, jest przerzucony ze skały na skałę most drewniany grubo zrobiony, a czasem bieg wód

jest przerywany, przez drzewa, albo bryły kamieni ntóre zdaje się, że gwałtowność wód tam pozakosiła.

W gajach Chińczykowie zawsze kształt i barwę drzew odmieniają, połączając te, których gałęzie są wielkie i gęste, z temi, które wznoszą się jak piramida, i ciemno-zielone, z zielonością weselszą. Mięszają drzewa, które mają kwiaty, a między temi jest takich wiele, które prawie przez połowę roku kwitną. Między drzewami ulubionemi mają pewny gatunek wierzby, należący do rzędu drzew tych, któremi brzegi rzek i jezior osadzają, tym zaś sposobem są posadzone, że ich gałęzie nad wodą wiszą. Chińczykowie wprowadzają także do ogrodów swoich pnie drzew, czasem stojące, czasem leżące na ziemi, i daleko w guście zapędzają się nad ich kształtem, nad farbą ich kory, a nawet nad mchem, który porasta na nich.

Nic nie może być z większemi odmianami użyte, jak ich sposoby, któremi nas w nagłe zastanowienie się i zadziwianie wprawiają: prowadzą nas często przez lochy i przejścia ciemne, z których wyszedłszy znajdujemy razem najpiękniejszą okolicę, przyozdobioną tem wszystkiem, co natura mieć może najwdzięczniejszego. Czasem wiodą nas przez uliczki i uchody, które zmniejszają się, i które zwolna coraz przykrzejszemi do przejścia się robią; przejście nakoniec prawie ze wszystkiem jest zastanowiene: krzaczki, chróst, i kamienie zatrzymują przechodzącego, kiedy razem otwiera się przed oczyma twojemi najwdzięczniejszy jaki widok, który tem bardziej podoba ci się, im mniej się go spodziewałeś.

Jest jeszcze i ten przemysł tego ludu dowcipnego, że umie zakryć przynajmniej część jakąś, tych swoich robót, że naturalne niby zdają się, nie zaś udawane; a to przez sposób drzew, i inszych objektów pośrednich, takich zaś najbardziej, które ciekawość przytomnych wzbudzają. Chciałby kto z bliska co widzieć, otóż przystępując, na jakiś widok wdzięczny niespodziewanie napadnie, albo też na jakąś rzecz, zupełnie temu, czego szukał, przeciwną. Zakończenie się jezior,

jest zawsze ukryte, ażeby zostawić myśli zabawkę. Ta reguła zachowana jest ile możności, we wszystkich Chińczyków kompozycyach.

Chociaż Chińczykowie nie są bardzo biegłemi w optyce, doświadczenie jednakże nauczyło ich, że wielkość wydająca się objektów umniejsza się, i że kolory ich słabieją, im są bardziej oddalone od oka, które patrzy na nie. Z takiego uważania, przyszli do jednego obrotu, którego czasem zażywają. Robią wejrzenia w perspektywę, kładąc w nich budowle, okręty i insze objekta, zmniejszone w miarę ich odległości od oka; ażeby omamienie było większe, dają kolor szarawy częściom bardziej oddalonym swojej perspektywy; zasadzają dalej drzewa zieloności mniej żywej, i niższe, niżeli te, które na czele są zasadzone, tym sposobem to co w sobie samem jest szczupłe i małe, staje się na pozór wielkiem i rozległem.

Zwyczajnie Chińczykowie chronią się linij prostych; jednakże ich na zawsze nie odrzucają. Robią czasem i ulice, kiedy mają widok jaki osobliwy oczom wystawić, Drogi u nich zwyczajnie rznięte są linią prostą, jeżeli nierówność gruntu, albo insza jaka zawada, nie da im powodu do zrobienia inaczej. Kiedy grunt jest zupełnie położysty, zdaje im się rzecz dziwaczna robić na nim drogę krążącą się; bo powiadają: albo to jest droga sztuczna, albo przechodzenie stateczne podróżnych, które ją zrobiło; a w obudwóch przypadkach nie jest naturalna myśleć, ażeby ludzie woleli raczej wybrać do przechodzenia linią krzywą, kiedy mogą iść prostą.

To co się w angielskim nazywa *Clump*, czyli kupka drzew, jest znane także i u Chińczyków ale tego tak często, jak my nie zażywają. Nigdy miejsca jakiego obszerniejszego tym sposobem nie zasadzają. Ich ogrodnicy tak myślą o ogrodach, jak nasi malarze o obrazach. Chińczykowie, robią urywki lasów, czyli kupki ich drzew, jak malarze robią kupki osób; rjedni i dru dzy, mają swoje (jak mówią) massy pryncypalne i powtórne.

JUDYTA
KRÓLOWA POLSKA

TRAJEDYA.

OSOBY.

WŁADYSŁAW HERMAN, Król Polski.
JUDYTA, Królowa, siostra Henryka IV. Cesarza.
BOLESŁAW, syn królewski, pasierb Judyty.
ZBISŁAWA, Księżniczka Kijowska.
WSZEBOR, Hetman zestarzały Bolesławą Śmiałego.
SKARBIMIR, Hetman Władysława Króla.
MIKROD, wódz Połowców.
ŻELISLAW, poufały Bolesława.
PRAXEDA, poufała Królowej.
TEOFILA, poufała Zbisławy.
ROTMISTRZ, posłaniec od wojska.
Żołnierze.

SCENA W KRAKOWIE.

TRAJEDYA.

AKT I.

Dekoracya sali teatralnej.

Przy ścianach zawieszane w festony, zbroje, szyszaki, tarcze kopije, pałasze; na stole, korona, mieczów kilka dobytych buławy, buzdygany, maczugi i t. d. Żołnierze w pancerzach z dobytemi pałaszami na warcie.

SCENA I.

BOLESŁAW, ŻELISŁAW.

(Bolesław bierze na piersi kirys, który mu przywięzuje Żelisław).

BOLESŁAW.

Aż do tej nieprzyjaciel śmiałości przychodzi,
Że o milę od miasta swą drużynę zwodzi!
Mocny naszem lenistwem, lecz nie z własnej siły,
Urąga nam, swem szczęściem i trunkiem opiły.
Żelisławie!...zda mi się, że jęczenia słyszę!...
Wy to jesteście przyszłych prac mych towarzysze,
Dziś zabrani w niewolą szlachetni młodzieńce;
Zacne imię, i swoje zagrzebiecie wieńce,

Gdy wam hardy zwycięztwem nieprzyjaciel powie:
„Wy, do kajdan w Przemyślu; a wy, w Czerniechowie.“ [1])
Mówią, do trzech tysięcy, że samej młodzieży
Wziął nam zbójca, i z niemi tu nad Wisłą leży.
Król tej nocy ma wysłać z miasta ochotnika
Pod wodzą Skarbimira; czyby niewolnika
Nie odbił co Rusinom. Jaż tu drzymać będę?
Albo jako niewieściuch do kądzieli siędę?

ŻELISŁAW.

Mam wiadomość, że mego wzięli także brata;
I choćby go uwieźli gdzie na koniec świata,
Pójdę go wszędzie szukać. Ale tobie książę,
Pewnie król i Zbisława tę zbroję rozwiąże.
Oni ci z garstką ludu nigdy nie pozwolą
Narażać na przygodę w tobie kraju dolą.
A jeszcze w nocnej porze, jeszcze na tłum taki!

BOLESŁAW.

Na tłum z garstką; ale też ja idę z Polaki.
Zbisława chwały szukać nigdy mi nie wzbroni,
I kto nie szedł tą drogą, nie przyszedł aż do niej.
Prócz tego, ci książęta razem z Połowcami,
Są jej ojca, jak Polski, nieprzyjaciołami.
Na króla mam Judytę; ojciec dla niej słaby,
Co tylko zechce! na nim wszystko wymogłaby.
Przed tobą, przyjacielu, z niczem się nie chronię:
Ona mnie kocha!... Ja się jej miłości bronię.
To mię ciągnie prośbami, to zemstą ustrasza,
Codzień się na mnie gniewa, i codzień przeprasza.
Szanując ojca mego święte z nią przymierze,
Zbisława mi stateczną będzie!... Ja tak wierzę.
Otóż, jedno z królową przez moment bawienie,
Jeden mój uśmiech, jedno jej ręki ściśnienie,
Wszystko na niej wymoże; że wesprze mą sprawę
Przed królem, i wraz pójdziem zarabiać na sławę.
(Sciska Żelisława).

---

[1]) Na czele książąt ruskich grasujących natenczas w Polsce, był Włodzimierz Monomach Czerniechowski, i Wołodar Przemyski.

A gdybym nawet chciał być (jak lubię) prawdziwym,
I nie słodził Judyty uśmiechem fałszywym,
Sam ojca prosić będę; on czuje, co traci,
Że tyle nieprzyjaciel zabrał naszych braci!...
Polacy! Król was kocha! Wy mruczycie w ciszy;
Że spokojny, zbyt dobry; któż dobrocią grzeszy?
Jego serca, jakim jest dla was, mogłem dociec,
Bo mi mawia: „Ja pierwej ich, potem twój ojciec.“ [1])
On wie, że ze mną pewniej uda się robota,
I do sławy dzisiejszej nie zamknie mi wrota.

SCENA II.

WŁADYSŁAW, BOLESŁAW, SKARBIMIR, ŻELISŁAW.

WŁADYSŁAW.

Czemu to Bolesławie nie nosząc w dzień zbroi,
Wziąłeś ją, gdy noc pada?

BOLESŁAW.

Nieprzyjaciel stoi
Prawie pod miastem, bo ztąd ledwie będzie w mili;
Któżby spał, gdy tak w mieście wszyscy się strwożyli?

WŁADYSŁAW.

Mamy wiadomość, że on o mieście nie myśli,
Oni tylko tak tłumnie na rabunek wyszli;
Ale twierdzy dobywać takiej, jak Krakowa,
Obóz ich machin nie ma, a przemysłu głowa.
Zewsząd łodzie ściągają, bo na jutro rano
Przeprawiać się przez Wisłę wszystkim rozkazano.

BOLESŁAW.

Ojcze! kiedy z twej woli ochotnik wychodzi,
Ażeby mógł co odbić zagarnionej młodzi;
Pozwól, żebym z drugiemi, gdzie mię sława wzywa,
Do dzisiejszego razem mógł należeć żniwa
Jakże mi będzie więzień ten obowiązany,
Któremu swoją ręką rozbiję kajdany!

WŁADYSŁAW.

Wyznam, synu, że twojej bojąc się żywości,
Umyślnie z Skarbimirem kleiłem w skrytości
Tę wyprawę dzisiejszą; żebyć z garstką małą
Narażać się, a jeszcze w nocy, nie zachciało.
Na pewniejsze zwycięztwa chowa cię ojczyzna,
Na którym państwo wsparte, i moja siwizna.

ŻELISŁAW.

Kilka tysięcy naszych, miłościwy panie,
Przebrańszego, w tę podróż ochotnika stanie;
Nieba, gdyby przywalić Bolesława chciały,
Na oszczepach wstrzymamy; wyjdzie książę cały.

WŁADYSŁAW.

Mówi się Żelisławie, a nie śpi przygoda;
Jeszcze gdy się kto na nią dobrowolnie poda.
Żyj szczęśliwy, ale masz kilku twoich braci,
Matka wasza, jeżeli jednego utraci,
Drudzy ją cieszyć będą!... Ten Piastów ostatek
Chcesz ażebym narażał na losu niestatek? [2])

BOLESŁAW.

Królu! nienazywam to niebezpiecznym bojem,
Nieprzyjaciel już zbity snem, trudem, napojem;
My ich tylko bić będziem, nie wojować z niemi.

SKARBIMIR.

Z pięcią to książętami sprawa potężnemi.
Włodzimierz Czerniechowski, Wołodar Przemyski, [3])
Jarosław Jaropełka, ślepy na pociski,
Dawid Pereasławski, z swym bratem Olegiem,
W osobach swych nad Wisłą stanęli noclegiem,
Chociaż straszni byliby w tej potędze sami,
Mają jeszcze Mikroda z jego Połowcami. [4])
W sile, w odwadze, nikt ci nie wyrówna panie!
Ale też Mikrod jeden za obóz im stanie!
Taką zaś liczbę człeka wojskowego mają,
Że na jednego z naszych trzydziestu czekają!

BOLESŁAW (*Żywiej*).

Przestań już Skarbimirze wynosić ich siły;
Róbmy tak raczej, dziady jak nasze robiły.
O liczbę nieprzyjaciół nigdy nie pytali,
I dopiero po bitwie trupy rachowali.
Panie! nie wartbym nigdy mieć ciebie za ojca,
Gdybym się raz zląkł w życiu ruskiego mołojca;
Oni w tłumy ufają, ja w mojej szablicy,
Którą ponowię jeszcze znak na ich stolicy; [5])
Co im z łaski zostawił dziad Chrobry, stryj Śmiały,
W to się dzisiaj uzbroił Rusin spanoszały,
I podnosi swą rękę na starego pana,
Przed którym świeżo w Łucku padał na kolana. [6])
Tylko mu krócej trochę przyciągniemy lecy,
Poda nam z biczem Polskim oswojone plecy.

WŁADYSŁAW.

Synu! nieprzyjaciół twych, choćby było liche,
Pogardzać nie należy. Bóg poniża pychę.
Wyjdź trochę, aż opłoniesz.

SCENA III.

WŁADYSŁAW, SKARBIMIR.

SKARBIMIR.

Na dziesięć tysięcy
Żołnierza mamy w mieście. Wszyscy najgoręcej
Żądaliby iść na ten podjazd przeciw Rusi,
Ale przy tobie panie, część zostać się musi.
Nawet, zdałoby mi się, zostawić połowę,
Żeby nie ogołacać z ludzi państwa głowę.
Bo jeśliby fortuna z zbójcami trzymała,
I my tam dzisiaj legli; ta potęga cała
Ośmielona zwycięztwem Kraków obledz może.

WŁADYSŁAW.

Dobra rada. Od przygód obraniaj nas Boże!
Nawet gdyby posiłku brakować nam miało,
W takiej bliskości, ztądby łatwo się posłało.

SKARBIMIR.

Półki te ze mną pójdą: Jaxy, Żelisława,
Sieciecha, Borzywoja, Zemy, Świetosława;
Będzie i z ludźmi swemi Zbilud z Odolonem. [7])

WŁADYSŁAW.

Jak mam z szpiegów, ponieważ Ruś swoim zagonem
Nie zagarnęła lasu, przy którym nocują;
Wy się weń wkraść możecie. Tam gdzie obozują
Połowcy, chrońcie mi się najpierwej nacierać,
Mikrod baczny, zwyciężać umie, i umierać.
Wstrzymałby was na sobie; tymczasem Ruś cała
Przyjśćby mogła do ładu, i was pokonała.
Ale napaść z tej strony, gdzie ludzie książęcy,
Napaść z okrzykiem i jak można najgoręcej.
Tak nie mogąc przez Wisłę uciec ruska rzesza,
Zwali się na Mikroda, i obóz mu zmięsza.
Skarbimirze! jeśli Bóg poszczęścić wam zechce,
Nie chcę ja nigdy mordu ostatniego, nie chcę.
Nie mażąc się krwią w drogę, radbym świat porzucił;
Jużem się dosyć z Bogiem i ludźmi nakłócił.
Więźniów uwolnić, cała jest wasza robota;
Oddajcie mi me dzieci, proszę was sierota.
Idź Skarbimirze, ludzie niech będą gotowi.

SCENA IV.

WŁADYSŁAW *sam, potem* WSZEBOR.

Pewnie jeszcze Bolesław swoje prośby wznowi!..
Żal mi go ztąd wypuszczać, żal tu go zostawić;
Młody, śmiały, ma siłę, i chciałby się wsławić...
Ale niech prosty żołnierz ślepo w ogień leci,
Ochraniać się powinny króle, i ich dzieci...
Lubię mój piękny naród, i przezto że lubię,
Bolesława mu chowam, marnie go niezgubię.
Gdybym miał więcej synów, gdybym nie był stary,
Któżby tej dla ojczyzny, żałował ofiary?...
(Wszebor wchodzi).
Wszeborze! niewidziałeś kędy Bolesława?
Smutny jest; dzisiejsza mu wzbroniona wyprawa.

WSZEBOR.

Niewiem panie, gdzie książę; wiem o moim synu,
Żem ledwie go wydobył z pomiędzy tych gminu,
Którzy ze Skarbimirem chcą iść na Rusiny.

WŁADYSŁAW.

Naród polski wojenne zawsze lubił czyny.
choć klęski mieliśmy, nigdy do ostatka,
Rodzić nam nie przestała bohatyrów matka.
Krew, którą człowiek mężny leje, nieba koi.
Kilkunastu ich padnie, a kraj cały stoi.

WSZEBOR.

Kraj stoi, chociaż ten jest udział mej ojczyzny,
Że ledwie kiedy doszedł mąż dzielny siwizny.
Ja nie wiem, jak dotychczas zostałem się całym.
Z twym jeszcze ojcem, panie i z twym bratem Śmi
W stu przygodach, tylu ran skaleczone ciało,
Skleiło się, i duszy wypuścić nie chciało.

SCENA V.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, ZBISŁAWA, WSZEBOR, TEOF

JUDYTA.

Królu! kiedy nasz żołnierz za pewnem zwycięztw
Wsiada na koń zagrzany i sławą i męztwem;
Czemużby twój syn tylko gnuśnie w domu leżał,
Jakby do tych zaszczytów jeden nie należał?
Padnie Ruś, gdy świat przed nim drżeć zaczyna s
Szanując w nim krew waszę, i Ryxy prababy [8]).

WŁADYSŁAW.

Gdy los zechce, widoczne walą się nadzieje!
Cóż dopiero wśród nocy?... On bardziej ślepnieje
Ani się przed pociskiem rzuconem kto schroni,
Ani śmiało uderzy gdy swój swego goni.
Jeszcze nie przychodzimy do zguby w tej chwili,
Żebyśmy w Bolesławie resztę sił ważyli.

JUDYTA.

Gdyby niebezpieczeństwo jakie można wnosić,
Anibym śmiała, panie, za synem twym prosić.
Ale Rusin nie mężki, opiły, zaspany,
Gdy tak łatwo być może przez nas pokonany,
Nie zagradzaj synowi tej sławy. Prócz tego,
Nie widziałam go nigdy tyle dotkniętego,
Jak po twoim zakazie. Więcej to zmieszanie
Szkodzić mu pewnie może, niż Rusini.

WSZEBOR.

Panie!
Ja sam na Bolesława schyliłbym się stronę,
Byle to tylko gromić Ruś niedojeżdżonę;
Choć i ci, pod wielkiego Włodzimierza rządem,
Stanęli nam nad Sanu, i nad Bugu lądem. [9])
Ale to o Mikroda chodzi z Połowcami;
Ten okrutny zwycięzca świeżo nad Węgrami,
Gdzie w małej garstce swoich, męztwem niesłychanem,
Siły państwa obalił z pysznym Kolomanem,
Ten zwierz srogi, na same straszny oszczepniki!

JUDYTA.

Bolesław dzieckiem, bijał niedzwiedzie i dziki.
A do tego zna wojnę. W dziesiątym swym roku
Wziął Międzyrzecz i nie dał Pomorcom Santoku.
Będzie wiedział gdzie natrzeć, a gdzie się uchronić.

WŁADYSŁAW.

Zbisławo! takżeś przyszła, ażeby nie bronić
Wyprawy Bolesława?

ZBISŁAWA.

W tym, w którymem stanie,
W żadne rządy wdawać się nie powinnam panie,
Przyszłam tu iść z królową razem zawołana;
W tem państwie, jestem w gminie ludu zamięszana,
Którzy na twoję wolą powinni być ślepi;
Bo co tylko rozkażesz, to będzie najlepiej.

JUDYTA.

Bolesławowi chwały czyżby mogła bronić?

SCENA VI.

Ciż sami i BOLESŁAW.

WSZEBOR.

Otoż i książe!

BOLESŁAW.

Królu!

WŁADYSŁAW.

Synu! ty chcesz gonić
Może za twoją zgubą!... Jakże wiele było,
Co mi cię od dzieciństwa najmilszym zrobiło!
Na tożeś tyle trudów koło mnie używał,
Myśli moje uprzedzał, albo je zgadywał,
Ażebyś mi to serce ztąd pociechy syte,
Dziś rozdzierał, i psuł twą piękną pracę? Skryte
Jakoweś mię przeczucie trwoży.

BOLESŁAW.

Jeśli z góry
Dziś mi zgon przeznaczony, te mię pewnie mury,
Ani ogromne warty śmierci nie obronią!
Takbym zginął przynajmniej, jak mąż, w ręku z bronią.
Prawda, że chcę wyprawy; ale moje chcenie,
Ma za cel, ojcu, sławie, krajowi służenie.
Znam wojnę, już coś zjadłem z żołnierzami chleba.
I wiem, gdzie natrzeć, a gdzie uchylić się trzeba.

WŁADYSŁAW.

Wtenczas, nad nieprzyjaciół, byliśmy liczniejsi,
Dziś, na ruskie zastępy, my daleko mniejsi.
Najbardziej w noc, ślepo cię narażać czyż mogę?

BOLESŁAW.

Ten miecz: jak nim żabłysnę, znajdzie sobie drogę.

SCENA VII.

Ciż sami i ŻELISŁAW.

WŁADYSŁAW.

Co niesiesz Żelisławie?

ŻELISŁAW.

Skarbimir ci panie,
Znać daje, że już żołnierz wyciągnąć jest w stanie.
Wkrótce głos da się słyszęć na koń do wsiadania,
Drugi do rot podziału, trzeci do ruszania.
Groźnym, królu, zakazem wstrzymywać musiano,
Tak się na tę wyprawę z Skarbimirem pchano,
Wiele wolnej młodzieży, nie pod rozkazami,
Już na koniach za miastem, chce się łączyć z nami.
Jaxa stary młodego syna ma przy boku,
Mówi, że też w piętnastym poznał bitwę roku.
(Marsz grają za teatrem. Bolesław przed ojcem klęka na kolana.)

BOLESŁAW.

A jażto tylko jeden zostanę się w domu,
Którybym nie powinien ustąpić nikomu?
Gdzie o dobro narodu, i o sławę chodzi!
Ojcze! to święte imię jeszcze mój los słodzi.
Niechbym się nie zostawał wśród miasta nieczynnym.

WŁADYSŁAW.

Wstań, synu! czego klęczysz? jak gdybyś był winnym!

BOLESŁAW.

Tak jest, masz przy twych nogach głowę obwinioną;
Że o to śmiem cię prosić, co mi już wzbroniono.
(Wstaje).

JUDYTA.

Królu! daj się ubłagać, wszakże syn cię prosi.

BOLESŁAW.

W oczach moich kto inszy nieprzyjaciół znosi,

Jak ostatni nikczemnik ja się w pierzu walam.
Takąż o mnie nadzieję miał Naród?

WŁADYSŁAW.

Pozwalam.

(Bolesław całuje rękę ojca: wychodzą wszyscy, Bolesław zatrzymuje Zbisławę.)

SCENA VIII.

BOLESŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA.

BOLESŁAW.

Pani, ta czasu nagłość, przyczyną spóźnienia,
Że dotąd nie zyskałem twego pozwolenia;
O które kiedy proszę, przyłączam to jeszcze
Gdy się szczęśliwie w liczbie twych rycerzów mieszczę,
Pozwól, niech pod twą barwą silniejsza ma ręka, [10])
Twoich i naszych razem nieprzyjaciół nęka.

ZBISŁAWA.

Książe! kiedy królewskie już masz zezwolenie,
Nacóż mię o to prosisz? czego nie odmienię?
Do sławy, nigdyć drogi nie mogę zagrodzić,
Tylkobym chciała z dni twych pewnością ją zgodzić.

BOLESŁAW.

Jeżeli życie moje twej opieki warte,
Jakże mi go szanować należy!

ZBISŁAWA.

W otwarte
Na tysiąc śmierci wrota przecięż chcesz iść śmiało;
Gdyby przynajmniej słońce dzieła twe widziało;
Ale w nocy z nikczemnym pomięszany gminem,
Padniesz może żadnym się nie wsławiwszy czynem.

BOLESŁAW.

Czyż to każdy na wojnie życie swe utraca?

ZBISŁAWA.

Czyliż każdy, co poszedł na wojnę, powraca?

BOLESŁAW.

Cóż tedy już zrobiwszy tyle, zrobić mogę?

ZBISŁAWA. *z żywością.*

Oto idź, masz mą barwę. *(Odrywa swoję wstęgę, i daje Bolesławowi.)*

BOLESŁAW.

Także to mię w drogę
Smutnego chcesz wyprawić? Cóż ta żywość znaczy?
Zbisławo! Jużem zbity!

ZBISŁAWA.

Tłumacz to inaczej.
Nigdybyś nie miał tego u mnie poważenia,
Które się, może, na me nieszczęście ocenia.
Ale, jak mam dwie siły sprzeczne zgodzić w sobie?
Miłość, i sława twoja, walczą we mnie obie...
Tak bliskiem spokrewnieniem z tobą ośmielona, [11])
Razem z tobą lat kilka; tobie naznaczona;
Dzisiaj!.. Cóż mam powiedzieć więcej?..

BOLESŁAW.

Ja za ciebie,
Ja Zbisławo dokończę. Jeśli mi Bóg w niebie,
Jak się mogę spodziewać, przeznaczył zwycięztwo,
Na zdradliwe książęta krzepiąc moje męztwo:
Zaraz, co nam zwyczajna przystojność poradzi,
Do ojca cię uczciwy poczet odprowadzi;
Potem szumne poselstwo pójdzie do Kijowa,
Gdzie najpierwszej młodzieży stary Wszebor głowa,
Z dary dla Swiętopełka, do ciebie z pierścieniem,
Wszebor ojca mojego; ci mojem imieniem.

ZBISŁAWA.

Błędne nasze nadzieje, jak często mylicie!..
Wkrótce mi obiecujesz oddać twoje życie,

A dziś go na szaniec stawiasz!... Czyż ty w środku boju
Wspomnisz, w jakim został się ojciec niepokoju?
W jakiej trwodze Zbisława?... Mając nas na względzie,
Czyż się uchronisz tam gdzie najgoręcej będzie,
Do jakiejżbyś wdzięczności drogę nam uścielił,
Cząstkę sławie ujmując, żebyś nas podzielił?...

BOLESŁAW.

Takież to budzą czucie losy moje w tobie?

ZBISŁAWA.

Jedno ci zawsze mówię, może przykrzysz sobie.

BOLESŁAW.

Twemu sercu do zgonu się nie wypłacimy!
(całuje rękę i trzyma.)

ZBISŁAWA.

Może już to ostatni raz z sobą bawimy. *(Łzy ociera).*

BOLESŁAW.

Pani! cóż widzę! czemuż twoję duszę gietką
Próżna trwoga nachyla? *(grają marsz za teatrem).*

ZBISŁAWA.

O jakże to prędko!
(Wyrywa się i ucieka).

BOLESŁAW.

Zbisławo!... Już zniknęła!... o serce niewinne!
Ona mi przypomniała łzy jeszcze dziecinne!
(Łzy ociera).

(Kładąc szyszak na głowę.)

Sławo! któraś mną dotąd udzielnie rządziła,
Łza Zbisławy o mało cię nie przeważyła.

SCENA IX.

WŁADYSŁAW, BOLESŁAW, SKARBIMIR.

WŁADYSŁAW.

Synu mój! czas nadchodzi ruszania się w drogę;
Jaxa stary z swym idzie, ja z tobą nie mogę,
Żebym, gdy się zaślepisz sławy twym żywiołem,
I hamował zapędy, i bronił cię społem.
Ale na mojem miejscu Skarbimira kładę:
On ma już doświadczenie, będzie miał i radę.
Od jego boku nigdzie, masz nie odstępować,
Gdzie bitniejszy ochotnik będzie was pilnować.
Wspomnij sobie przysięgi; coś mi obiecował,
Kiedym cię na rycerza mojego pasował; [12])
Masz iść ślepo tym, którym rozkażę ci torem;
Temi cię przysięgami wiążę, i honorem.

BOLESŁAW.

Królu! syn twój, i rycerz! nigdy się niezmaże,
Łamiąc to, co mu jego obowiązek każe;
Idę pod Skarbimira rząd, co mu go dałeś,
Bo i umie być wodzem, i tak ojcze chciałeś.

SKARBIMIR.

Panie! tobą zarządzać, nigdy się nie sadzę;
Ty prośb moich wysłuchasz, a masz w krwi twej władzę.
I gdy Ruś tem szczęśliwem ponękasz żelazem,
Ja też chlubić się będę, żem był z tobą razem.

WŁADYSŁAW.

(trzymając za rękojeść szabli Bolesława.)

Gdy synu tego miecza dobędziesz w potrzebie,
Niechaj się nieprzyjaciel płaszczy koło ciebie.
Niech się trwoży, niewinnie kłócący nas zdrajca,
I przed karą ucieka, jako winowajca.
Jeśliby zaś z tych zbójców przyszło tam któremu,
Ośmieliwszy się życiu pogrozić twojemu,
Niech ten miecz niebespieczne zamachy odbije,
I pewnem cięciem, winną upokorzy szyję.

Ludu mój! w oczach twoich ten Izaak staje;
Ja go, dla twej miłości, na ofiarę daję.
Czyż się mogę wypłacić więcej narodowi?
Boże! wróć mi go przecię, jak Abrahamowi.

(Grają marsz za teatrem, wychodzą wszyscy.)

AKT II.

Dekoracya: Pokoje królowej.

SCENA I.

JUDYTA, PRAXEDA.

JUDYTA.

Zginąć musisz niewdzięczny!.. już zgon jego widzę!..
Nieznam środka Praksedo; kocham, nienawidzę.
Nieznam, co to litością serce me osłabić,
Gdyby mógł wstać zabity, powtóre go zabić.
Okrutny Bolesławie! dziś będzie zemszczona
Judyta, i z nią razem miłość pogardzona.
Prócz tego, już mi młodzik do rządu się wdziera.
Czyni, cobym nie chciała; com dała odbiera!
Toby mię w śmierci jego cieszyło godzinie,
Gdyby jeszcze mógł wiedzieć, że z mej ręki ginie.

PRAXEDA.

Czyliż już taka pewność w Mikrodzie i Rusi,
Że koniecznie Bolesław od nich zginąć musi?

JUDYTA.

Na cóż cudzych? kiedy mam swojego gotowym?
Wolałam, żeby pewniej padł nożem domowym.
I gdy się ta nić Piastów ostatnia przestrzyże,
Tym sposobem do tronu me córki przybliżę. [13])
Niewdzięcznik!... gdy mię świeżo prosił opuszczony,
Żeby od tej wyprawy nie był oddalony;

W tenczas przynajmniej dla mnie mógłby być odmienny.
Rękoma, sercem, okiem, stał posąg kamienny.
Dogodziłam żądaniom, poszedł na wyprawę,
Jeszcze z sobą do króla wezwałam Zbisławę,
By ta jego kochanka, ta nad insze miła,
Wraz ze mną się do zguby jego przyczyniła.
Bo już wtenczas tym za nim uczynionym krokiem,
Zdrajca, serca mojego miał ginąć wyrokiem.
I ledwie mu ta podróż była pozwolona,
Wnet przyzwałam Zbiluda, Żemy, Odolona,
Tych, Śmiałego wspólników, co biskupa siekli;
Wszyscy mi jednostajnie usłużyć przyrzekli,
Że gdy noc w mięszaninie rękę ich ośmieli,
Żeby troistym nożem Bolesława rznęli.
Moje się panowanie, lub mych córek zacznie.
Pierwszemi dostojeństwy nagrodzę im znacznie.
Prócz tego dzisiejszemu niechętni rządowi,
Że służyli Śmiałemu i Mieczysławowi,
Ten im przytraf dogodny.
(Za przyjściem króla, Praxeda wychodzi.)

SCENA II.

WŁADYSŁAW JUDYTA.

WŁADYSŁAW.

Nasze zamięszania
Dotychczas cię Judyto wstrzymały od spania.
Choćbyś bezpiecznie mogła na wszystkie hałasy,
Wtenczas, gdy ja przy tobie czuję, mieć swe wczasy,

JUDYTA.

To, co naród obchodzi, co ciebie i co mnie,
Noc, którą pewnie będą wspominać potomnie,
Która Bolesławowi da zwycięzki wieniec,
Co nań włoży nasz wolny od kajdan młodzieniec.
Noc tę, chwały narodu, jakżebym przespała,
Żebym między pierwszemi naszych nie witała?
Którzy, może niebawem z okrzyki powrócą.

WŁADYSŁAW.

Ja mam nadzieję, że Ruś zuchwałą ukrócą;
Ale się lękam nieco Mikrodowej siły.
Nasz Bolesław nie idzie, gdzie ma schód pochyły,
Ale pnie się do góry, choćby i szkodował,
Szukać będzie Mikroda, by się z nim skosztował.
Mówią o wielkiej sile tego poganina,
Że przy Sanie zbrojnego w pół przeciął Węgrzyna.

JUDYTA.

Czyż twój syn w tej wyprawie będzie za harcerza?
Słyszałam, żeś go związał przysięgą rycerza,
Żeby od Skarbimira nie odstąpił kroku;
Bitniejszego żołnierza mieć będą przy boku.
A gdzie się Ruś przeciw wam niedołężna sili,
Zawsze na waszą stronę fortuna się chyli.
Choćby też przyszło do rąk z tem dziwem zajadłem,
Czyż Mikrod tylko młotem, a wszyscy kowadłem?

WŁADYSŁAW.

Gdyby Bóg błogosławił tym dni mych ostatkom,
Żebym mógł powypłacać długi Polskim matkom;
Które na mnie o synów zabranych wołają!..
Niech insi więcej szczęścia, więcej lat żądają,
Ja smucić się nie będę mym do grobu wchodem,
Bylem z uszczęśliwionym żegnał się narodem.

JUDYTA.

Naród będzie szczęśliwym i ty patrząc na to,
Cieszyć się wiekiem będziesz, prac twoich zapłatą.

WŁADYSŁAW.

Po dzisiejszej wyprawie, gdy Bolesław wróci,
Oddam mu rządy państwa, niech się już on kłóci.
Kto się krajem zatrudnia, ten jest królem prawym;
Będę tylko u syna, na chlebie łaskawym,
Pewien wszelako względów (za trudy, com użył),
Od mojego narodu; bom poczciwie służył.

SCENA III.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

WSZEBOR.

O pół mili od miasta, trzech nasi złapali,
Którzy się od obozu książąt zabłąkali.
Ci pewną sprawę dają: jakoby ich pany,
Dzisiaj poniechęcić się mieli z Połowczany,
O nierówny zdobyczy udział każdej stronie;
Mikrod chciałby zabierać i sprzęty i konie,
A Rusinom zostawia niewolnika z bydłem.
Mówią; że prawem rządzi obozowem skrzydłem
Oleg, Wołodar lewem, z swemi Przemyślany,
Mikrod w odwodzie, w środku Jarosław pijany.
Tamże Włodzimierz strzeże łupów z niewolnikiem,
Otoczony najpierwszym wojska najezdnikiem,
I Ruskiemi Bojary. A bydło i konie,
Mają zacząć przeprawiać o porannej łonie.
Mówią: że ich się więcej zbłąkało ku miastu,
Ale idąc nasz podjazd, zabrał kilkunastu.
Przydają, że umyślnie podeszli tak blisko,
Żeby sobie czynili z nas urągowisko.
Nigdy nie myśląc, aby naszych garstka mała,
Przeciw tak licznym wojskom, ośmielić się miała.
Podjazdowi pomyślność wszystko wróży panie;
Lud serdeczny, wódz dzielny, Ruskie zaufanie.
Jeszcze gdyby umyślnie, niebo nam się zgina:
Wiatr od ruskich obozów silny wiać zaczyna;
Że nasi biegnąc sporo, w pośród nocnej ciszy,
Wkradną się w las, i pewnie nikt ich nie usłyszy.
Będziem królu słyszeli, tenże wiatr przyniesie
Wrzawy: skoro Bolesław szablicę podniesie.

WŁADYSŁAW.

Niechże tych trzech złapanych, nie straszą, nie biją,
Czemużby odpowiadać mieli za złość czyją?
Ich pany wiarołomne, ich pany winnemi;
Ale pójdźmy, chciałbym się sam rozmówić z niemi.

SCENA IV.

JUDYTA *sama.*

Mnież to kiedy ma spotkać obelga tak ostra?
Ja, potężnych cesarzów wnuka, córka, siostra, [14])
U jednego młodzika na łaskawym chlebie!...
Niech tam pniu opleśniały, kto chce depcze ciebie;
Ja się prędzej dam złamać, niż schylić pokorą!...
Ale temu przyszłemu panu, może porą
Już w tym czasie wnętrzności!... ktoś ma roskosz swoję,
Nie znam większej, jak gdy mą zemstę zaspokoję!...

SCENA V.

JUDYTA, PRAXEDA.

JUDYTA.

Praxedo! jużeśmy tu żebrać przeznaczeni!
Przed Bolesławem z tobą stać będziemy w sieni,
Prosząc chleba kawałka. Władysław dał słowo:
Że, byle się z wyprawy syn powrócił zdrowo,
Zaraz mu rząd zupełny oddaje krajowy.
Ale przetnie ten wątek nóż Odolonowy.
Albo może Połowcy zrąbią go na sztuki,
Które głodne rozniosą po powietrzu kruki,
Że nie będzie co pogrześć; niżby miał mną rządzić.

PRAXEDA.

Pozwól pani! nie można Władysława sądzić,
Żeby miał tyle swemu pozwalać synowi,
Aby, co przyzwoite twojemu stanowi,
I wysokim zaszczytom, miał kiedy uwłóczyć:

JUDYTA.

Więc mię nie znasz Praxedo. Trzeba cię nauczyć.
To serce, siebie tylko słucha, każe sobie;
Być wśród równych, dosyć mi będzie czasu w grobie.
Teraz, co tylko wyższe o włos nad mą kosę,
Albo mię zetrzeć musi, albo ja się wzniosę.

PRAXEDA.

Ale czy tylko można wierzyć Zbiludowi,
I dwom jego sprzysięgłym? czy pewnie odpowi
Żądaniom twoim pani? Może się rozradzą,
Może i skrytą twoję namowę wydadzą.
W jakążby zawieruchę to cię nie wpędziło!...

JUDYTA.

Takie powątpiewanie, zkąd ci się zaśniło?
Wielki powab, majątek, urząd, łaska stała,
U pani, na którąby spadła władza cała:
Te mieli obietnice, i mogli im wierzyć.
Dotąd niebity, kogom niechciała uderzyć.
A gdyby mię zdradzili!...wiedzą co ich czeka.
Nie znajdą, coby mi się sprzeciwił, człowieka,
Żeby nie zginął, albo nie ucierpiał nędze.
Ta ręka śmierć zadaje, lub rzuca pieniądze.

PRAXEDA.

Insze to były czasy! Bolesław był mały!
Dziś na niego się wszystkich oczy pozwracały.
Kochają go powszechnie, wkrótce będzie władać;
Żeby ten, który mu miał, śmiertelny raz zadać,
Nie był przeciwko tobie królowo za świadka.
Ja myślę, że ostrożność bezpieczeństwa matka.

JUDYTA.

Chociaż nigdy błędu się spodziewać nie mogę,
Zażywszy na to ludzi, którzy znają drogę;
Ale i niespodzianą chcąc umknąć zawadę,
Żeby się czem nie zwikłać, mam i na to radę.
Wpadnę nagle, i prosto opowiem królowi:
Że sprzysięgli się życie wziąć Bolesławowi:
Zbilud, Zema, Odolon; że w tej mięszaninie,
Jeżeli go nie poślą ratować, zaginie.
Wypada, że wnet poczet wyleci za niemi;
Ażeby albo żywcem mogli być wziętemi,
Jeśli nie, tedy żeby tam ich rozsiekano.
Moja rzecz, by w tę drogę Przecława wysłano.

Przecława, który dla mnie to uczyni snadnie:
Jemu zalecę, skoro na miejsce przypadnie,
Choćby mógł żywcem zabrać żeby śmierć podjęli,
Pod pozorem, że niby bronić mu się chcieli.
Zgonem trzech drobnych ludzi spokojność opłacę,
Zyskać mogę najwięcej, a najmniej w nich tracę.

PRAXEDA.

Lepiejby tedy zaraz donieść to królowi.

JUDY

Poczekam, bo się bodrze zdaje Wszeborowi,
Że ponieważ wiatr wieje od obozów Rusi,
Tu wrzawa bijących się słyszana być musi.
Otóż, jak się rozpocznie z Rusinami sprawa,
Czas będzie donieść o tem, i wysłać Przecława.
Zkądinąd, niepotrzeba byśmy się kwapili,
Bo myśl, co chcesz, moja mnie zdobycz nie omyli;
Przez naszych sprzysiężeńców Bolesław dziś zginie.
Ale nie mogą się nań podnieść wtej godzinie,
Kiedy idą podjazdem; chyba w bitwy czasie,
Wśród nocy, zamieszania, sposobność poda się.
Jeżeliby się zaraz Przecława posłało,
Mógłby ich pozabijać, niżby co się stało.
Niech oni swoją drogą idą, niech czas mają,
Niech mu przez setne rany duszę wypędzają;
Przecław tam o poranku pierwszym chyba stanie.
Zbiluda, Odolana, Zemę, niemieszkanie
Rozsieka, tak wraz będzie Bolesław zabity,
I w śmierci trzech zabójców, nasz sekret ukryty!...
Lepiej, że ich tąż poślę z Bolesławem drogą:
Oni wymagać wiele za usługę mogą.
Czuję to, jak jest we mnie, niepodległa dusza;
I nie lubię wdzięczności, bo czasem przymusza.
Pójdę, niech mi się Przecław jak najprędzej stawi.
Nie spóźni się, kto wcześnie rzeczy swoje sprawi.

SCENA VI.

PRAXEDA *sama.*

Już dalej nie mam tyle i serca i siły,
Tak mi się te królowej roboty zmierziły!
Trucizny, mordu, zdrady, wszystkiego użyła,
Byle tylko układom swoim dogodziła.
Niezmierna chęć rządzenia, rozpusta i pycha,
Gdzie występek największy, wszędzie ją popycha.
Mnie do swoich tajemnic nieszczęściem przybrała,
Zginęłam, jeżelibym uchylić się chciała.
A codzień świeże deptać trupy, jak jej zda się,
Sama na to człowiecza natura wzdryga się.
Co jej winien Bolesław, że nań ostrzy noże?
Że skromny, że ojcowskie niechce mazać łoże,
Że kochany od ludu, wkrótce będzie rządził;
Temeś to Bolesławie, tem u niej pobłądził!
Hoży młodzian! w tę podróż gdy na konia siadał,
Słyszałam z okna, do swej jak czeladzi gadał;
„Z wielkim jutro na objad czekajcie mię stołem,
Bo z jeńcy odbitemi jeść będziemy społem."
Nie wiedział, jakie Zbilud gotuje mu gody!...
Gdzie szlochania, za surmy; łzy gorzkie za miody;
Za śpiewania: ojcowskie i Zbisławy jęki!...
Gdzież był potrzebny, żeby z jego nie żył ręki?
Komuż on się naraził?... Radziłam królowy,
Żeby zaraz doniosła Zbiludowe zmowy,
Myśląc, że gdy za niemi wyleci wyprawa,
Mogą jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.
Ale złość jej przezorna, czas zwlekać wolała,
Żeby ze czterech razem trupów, krew żłopała!...
Zginąłeś Bolesławie!...z nami się rozstawa
Słodki uśmiech, uprzejmość, wesołość, zabawa.
Jakież po twojej śmierci w narodzie rozpacze?
Gdy cię Praxeda nigdy niepłacząca, płacze!...
(Łzy ociera).

SCENA VII.

JUDYTA, PRAXEDA.

JUDYTA.

Cóż się stało Praxedo? Czemuś tak zmięszana?
Zkąd łzy w oczach? i trwoga dotąd ci nieznana?
U mnie płacz pewnym znakiem jest słabości duszy;
A my zawsze wygramy, gdy nas nic nie wzruszy.

PRAXEDA.

Nie pamiętam, jak dawno łzy się wylewało,
Ale serce jest sercem, i pory czekało.

JUDYTA.

Przecież musi być jakaś twoich łez przyczyna?

PRAXEDA.

Zwalona, na może niewinnego, wina.

JUDYTA.

Wynurz mi, jaki ma być ten żal twój ukryty?
Zawsze miała Praxeda przystęp do Judyty.

PRAXEDA *(całuje rękę królowej.)*

Pani! nigdym ci w życiu przeciwną nie była;
Za wolą twoją, jak cień za słońcem chodziła;
I chociaż mi rzecz jaka przeciwną się zdała,
Myślałam, musi to być, bo pani tak chciała.

JUDYTA.

Moja Praxedo! na cóż ogródek tak wiele?
Prawoć dały twe u mnie zasługi; mów śmiele.

PRAXEDA.

Oto Bolesławowi żebyś darowała.
Jam to jego młodości dopiero płakała!
I jeżeli w czem kiedy niebacznie pokawił,
Nie karać go tą razą, onby się poprawił.
Zbilud, Zema, Odołon, niechby poginęli,
Dość winy, że się zabić książęcia podjęli,
Poszlij Pani najprędzej sprawnego Przecława:
Może jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.

Tak ochronisz to życie, które po godzinie,
Pewnie ci będzie drogie, jak gniew twój przeminie.

JUDYTA.

Ja, co raz postanowię, tego nie żałuję.
Ale zkąd ci ta nowa litość serce truje?

PRAXEDA.

Litość widzę przychodzi sama, nie wołana;
I chociaż dziś pierwszy raz odemnie poznana,
Czując ją, teraz nawet nie żal mi, żem tkliwa;
Nie truciznę, lecz słodycz, ona w serce wlewa.

JUDYTA.

Pomyślę nad tem, a ty w tej duszy chorobie,
W bliskim moim uchronie, pójdź i spocznij sobie.

SCENA VIII.

JUDYTA *sama.*

Chce, żebym dzikiej jego znajoma natury,
Czekała, aż lwu temu urosną pazury.
Chce, by mię jutro deptać, albo ze mnie szydzić;
O Praxedo! chcieć tego, jest mnie nienawidzić.
Nie mogę się z nią głośno o tę słabość wadzić,
Boby mię mogła wydać, mogłaby mię zdradzić.
Ale trzeba się jako zbyć jej pokryjomu;
Pod skórą psa wiernego, to widzę wilk w domu.
Może jakie miłostki z Bolesławem miała;
Nierozumiem, za coby go tak żałowała.
Niestała widzę!... zaraz jak śnieg się rozleje;
Wolę głaz, prędzej da się skruszyć, niż stopnieje.

SCENA IX.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

O Judyto! jakże to potrzebna wyprawa,
Na którą się wysłało dzisiaj Bolesława!

Trzej zabrani Rusini, nad mniemanie liczą,
Z jaką Mikrod z książęty uchodzi zdobyczą.
Samego niewolnika, kładą płci obojej,
Do trzydziestu tysięcy, że nad Wisłą stoi.
Chodząc szlachetne panny po majdanach płaczą,
Że już swojej ojczyzny nigdy nie obaczą;
Szczęśliwsze, które mogły paść pogańskim nożem,
I pogrześć się w swym kraju z niezmazanem łożem.
Mężczyzni powrozami skrępowani leżą,
Ledwie swą nagość nędzną pokryli odzieżą;
Którym się w krzepkie ręce twarde wżarłszy łyka,
Gdzie tylko nieprzyjaciel pędził niewolnika,
Wszędzie po drogach krwawe zostały się ślady:
Wszędzie nad nim bicz ostry, a przy nim głód blady.

JUDYTA.

Jakież tam ma być mnóstwo i bydła i koni?

WŁADYSŁAW.

Powiadają, że obóz ledwie je zasłoni.
I choć z głodu, z przegonu, zginęło najwięcej,
Jeszcze mogło im zostać sztuk do sta tysięcy.

WSZEBOR.

Toż rynsztunków wojennych, i sprzętów domowych,
Mówią, kilkaset ciągnie wozów obozowych.
W co lubili na przepych ubierać się w święto
Nasi Sandomierzanie, wszystko to im wzięto.
W czem stawali w potrzebie, złocone przyłbice,
Zbroje w drogich kamieniach, oprawne szablice;
Wszystko to dzisiaj w ręku zostało pogańskich!...
I Połowców z Rusinem w stepach Zadnieprzańskich,
Przybranych w nasze złoto bujać będą tłumy;
Że ich własne wpółnagie nie poznają kumy.
Tak byłoby, gdyby nam niebo nie zdobrzało,
A wyprawie dzisiejszej poszczęścić niechciało.
Ale jakieś szczęślwie mam przeczucie, panie,
Że nam wrócą to wszystko i Ruś i poganie.
Wreszcie Bóg obrócić się musi na tę stronę,
Gdzie nań woła niewinność, przymierza zgwałcone,

Znieważone dziewice, lud uciemiężony.
Takim królu posiłkiem nasz podjazd wzmocniony.

JUDYTA.

Jużby dalej powinny tej naszej wyprawy,
Tak, jakeś się spodziewał, słyszane być wrzawy.

WSZEBOR.

Pewnie, jużby się dalej powinny zejść z sobą,
Panie, jeżeli każesz?

WŁADYSŁAW.

Idę razem z tobą.
(Wychodzą wszyscy).

AKT III.

Dekoracya taż sama.

SCENA I.

WŁADYSŁAW WSZEBOR.

WSZEBOR.

Jeszcze do dnia z godzina, biją się od chwili,
Dość czasu, królu, żeby obóz rozproszyli.
Bo gdyby nas na sobie wstrzymali, z dniem białym,
Widząc nasz podjazd w miarę swoich wojsk tak małym,
Toby ich ośmieliło. Lecz tak się nie stanie,
W Rusi trwoga przemoże, w naszych zaufanie.
Kiedym, królu, usłyszał bijących się wrzawy,
Gdyby blisko, sam zaraz stanąłbym do sprawy;
Tak się nawykła boju krew cała zburzyła!

WŁADYSŁAW.

Co we mnie, insze czucie ta wrzawa sprawiła;
Myślałem, jak daleko winni są królowie,

Albo ci, w których ręku ludu życie, zdrowie:
Kiedy często za drobne między sobą sprzeczki,
Ludzi niewinnych krocie, ciągną do potyczki.
Źle spał pan niecierpliwy, zdechł pies ulubiony,
W tem mu pochlebny sługa donosi ze strony,
Że sąsiad wszystkie pańskie sprawy w śmiech obraca;
Wnet wojna, psa niestrawność, krew ludzka opłaca,
Cośmy winni książętom? co Połowcom byli,
Że się na nas w niesławnym Stakowie złączyli?
Może uraza jakaś z boku podeszczwana,
Może chęć sławy w świecie źle wyrozumiana,
Albo żądza swojego majątku zwiększenia;
Wszystkie marne pobudki do ludzi tracenia.
Któż nagrodzi za męża żonie, co kochała?
Dzieciom za ojca? matce, gdy syna stradała?
Których dziś krew niewinna potokami płynie!...

WSZEBOR.

Panie! to nie uchybi; kto ma zginąć, zginie.
Cóżbym był robił, gdyby świat był tak spokojny?

WŁADYSŁAW.

Broń się, a nie napastuj. Oto prawo wojny.

SCENA II.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

JUDYTA *udyszona.*

O królu! zginęliśmy!... Bo już może zginął!...

WŁADYSŁAW.

Któż zginął?

WSZEBOR.

Cóż to?

JUDYTA.

Jakże wcześnie się przeminął!
(Ręce załamuje).

WŁADYSŁAW.

Któż taki?

JUDYTA.

Twoja w życiu nadzieja jedyna!...

WŁADYSŁAW.

Pewnie syn mój Bolesław?

JUDYTA.

Ratuj twego syna!...
Zbilud, Zema, Odolon, nań się umówili,
W dzisiejszej tam zamieszce, żeby go zabili!

WŁADYSŁAW.

Któż doniósł o tym spisku?

JUDYTA.

To będzie tajemne,
Bom przyrzekła nie wydać.

WŁADYSŁAW.

Nadzieje daremne!
Boże! cóż on był winien? Wszebor daj mi zbroję,
Szablę, konia; ratować pójdę dziecię moje!
Albo razem z nim zginę. *(Chce wychodzić).*

WSZEBOR.

Zatrzymaj się panie!
W tym wieku, co mi tylko krwi jeszcze zostanie,
Czyż ją piękniej przeleję, jak za twego syna?

JUDYTA.

Daruj Wszeborze! lat twych, nie serca jest wina,
Że sprawy tak prędkiego potrzebnej obrotu,
Nie możesz się napierać.

WŁADYSŁAW.

Przez dzięki! o co tu
Kłócić kogo? Ja ojciec!

JUDYTA.

Na myśl mi przypada
Żartki Przecław, niech na koń jak najrychlej wsiada,
Najbardziej, że królowi statecznie przychylny.

WŁADYSŁAW.

Stójcie! on nie miał dzieci, nie będzie tak pilny!...

JUDYTA.

Wszeborze! Rycerz zbrojny w gotowości czeka;
Przecław niech z sobą weźmie ze dwieście człowieka,
I niech zaraz wyleci. Niech zabójców ima,
Żywcem trzeba koniecznie, boby pod oczyma
Wydali i spólników, których pewnie mają.
Jeśliby się bronili, niech tam gardła dają.
Spodziewam się przed czasem, że ich ubieżymy;
Każąc jednych sprzysięgłych, drugich zastraszymy.

WŁADYSŁAW.

Żywych niech mi przywiodą, jeśli syn mój żyje;
Jeśli zginął, niech przyjdzie Zbilud mnie zabije.
(*Król płacze*).

SCENA III.

WŁADYSŁAW JUDYTA.

JUDYTA.

Hamuj żal królu! życie możesz sobie skrócić;
Złemu zapobiegając, złe może się zwrócić,
Ale zdrowie zepsute nie łatwo naprawić.

WŁADYSŁAW.

Chciał nam Bóg, drzwi do serca otwarte zostawić,
Dla wszystkiego, co tylko w życiu nas potyka;
Żal wnijdzie, i za sobą wrota pozamyka.

JUDYTA.

Kiedyśmy tam sprawnego wysłali Przecława,
Zrobiliśmy co mogli. Wreszcie, tak się zdawa,

Że gdy Skarbimir pilny książęcego boku,
Od niego, jak powinien, nie odstąpi kroku,
Nie tak łatwo sprzysięgłym przyjdzie do zaboju.

WŁADYSŁAW.

Alboż to syn mój w miejscu ustoi w pokoju?
Tam, gdzie będzie rozumiał, że za sławą bieży,
Nóż zdybie, nożem niecny Zbilud go uderzy.

JUDYTA.

Tak trwożliwe wrażenia zostawmy na stronie,
Niebo ma królów w swojej szczególnej obronie.
Nie tak łatwo tym upaść, któremi kraj stoi.
Zbrodzień im wyżej sięga, tem się bardziej boi.

WŁADYSŁAW.

Raz ręce krwią niewinną biskupa zmazane,
Ośmielą się i teraz!... To było przejrzane
Nieszczęście!.. Mym przeczuciom wiary dać nie chciano,
A popędliwej zaraz młodości ją dano.

JUDYTA.

Królu! jeżeli wina na mnie w czem została,
W tem chyba, żem twojego syna sławy chciała,
Ktoż się przygód uchroni?

WŁADYSŁAW.

Ten, kto przewidywa;
Przynajmniej nie tak często złe przypadki miewa.

JUDYTA.

Jeszcze nie masz trafunku, odmienić się może.

WŁADYSŁAW *(mówi z czuciem nachylony ku ziemi).*

Na tę głowę zabójców miałeś przysłać Boże!...
Mnie miej za winowajcę, nie mojego syna!...
Za cóż na Bolesława paść ma cudza wina?..
Omyłkać to, omyłka!... Zwróć zbojeckie miecze;
Jeśli krwią chcesz grzech zmazać, z tych piersi pociecze!

JUDYTA *(na boku).*

Żeby mu tylko śmierci nie zbliżył żal taki,
Jeszcze mi życie jego potrzebne rok jaki.
(do króla).
Na cóż te wyrzekania? na co te rozpacze?

WŁADYSŁAW.

Cóżbym dał, żeby próżne były moje płacze?...
Ale będziesz sierotą ojcze nieszczęśliwy!...
Dzień rodzin syna mego, dzień to był kłamliwy!...
Tłumami lud zbiegał się, mnie szczęśliwym zwali;
Bitnych, stryja, pradziada, imię mu nadali:
Wróżyli dla narodu, i dla mnie ku myśli!...
Niechby dziś w dom mój smutny, niechby dzisiaj przyszli,
Chodzić będę po kątach, oblewając łzami
Miejsca, gdzie kiedyś szczęście bawiło się z nami!...

SCENA IV.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

WSZEBOR.

Po myśli, przy drzwiach zamku zastałem Przecława;
I taką, jak mi była polecona sprawa,
Zleciłem mu. Wsiadł na koń, i z nim niemieszkanie,
Przebrańszego do dwóchset kopijnika stanie;
Że zaledwie nie w takiej, jak to mówię chwili,
Podobni błyskawicy, za bramę skoczyli.
Zrobiłem co kazano. Lecz daruj królowa,
Moja tego wszystkiego nie pojmuje głowa,
Żeby Zbilud łaskami tylu obsypany,
Miał się kiedy niewdzięczny targnąć na swe pany!

JUDYTA.

Sama nie wierzyłabym, jak i ty, hetmanie,
Że to kiedy podobne, że się kiedy stanie.
Ale gdym tej nieszczęsnej nowiny dostała,
Cóż? chciałżebyś Wszeborze ażebym milczała?
Takiej wagi wiadomość winna być odkrytą,
Która nadto z bliska rzecz tyka pospolitą.

Jeśli się bronić będzie Zbilud Przecławowi,
Znak pewny, że jest winien, i gardłem odpowi.
Jeśli wnet za rozkazem, jak należy, staną,
Niech się bronią od zbrodni którą im zadano.
Fałsz się wyda, czy spisek zostanie odkryty,
Cóżkolwiek bądź ten krok był zawsze przyzwoity.

WŁADYSŁAW.

Po czasie!... Dotąd Zbilud już skończyć powinien!...
(Strwożony biegnąc do Wszebora).
Wszeborze! za cóż on mi grozi? Jam nie winien.
Jam nie chciał zguby jego!...
(Wychodzi spiesznie z Judytą).

WSZEBOR.

Któż ci grozi panie?

SCENA V.

WSZEBOR *sam.*

Żal ciężki jakoweś mu robi pomięszanie!
Ale wszedł do Zbisławy, może go utuli.
Królu z sercem najlepszem, resztę dni twych struli!..
Któż myślił, że Bolesław od wszystkich kochany,
Na taki miał przyjść kiedy koniec opłakany?...
Jeszcze od tych, którzy mu powinni tak wiele!...
Rozsiekawszy wraz z Śmiałym biskupa w kościele.
Tułacze w cudzym kraju, wszędzie zochydzeni,
Za łaską Władysława z Węgier sprowadzeni;
Wrócone im majątki, nadane urzędy!...
Za takie od swojego dobroczyńcy względy;
Czyż podobna, żeby mu zabić chcieli syna?
W którym ojca i kraju nadzieja jedyna?
Lecz strucie Mieczysława dziedzica po Śmiałym, [15])
Co go dotąd z narodem opłakujem całym;
I oni tąż trucizną razem częstowani,
Od której szczęściem jakimś ledwie ratowani,
Może to, dawny wraca hart duszom stalowym,
Że się znowu chcą zczernić okrucieństwem nowym.

SCENA VI.

ZBISŁAWA, TEOFILA, WSZEBOR.

ZBISŁAWA.

Cóż się w domu królewskim tak strasznego dzieje?
Że Władysław wpadł do mnie, drży, wzdycha, łzy leje!
Czy nie o Bolesławie ma jakie nowiny?

WSZEBOR.

O bitwie być nie mogą, wszczętej pół godziny.

ZBISŁAWA.

Czegóż król tak strwożony, jak nigdy nie bywał?
Sciskał mię, nieszczęśliwą synową nazywał?

WSZEBOR.

Myśli, że mu Bolesław pewnie tam zaginie,
Ślepy nocą i sławą w bitwy mięszaninie.
Mówi, że serce jego tę śmierć przeczuwało.

ZBISŁAWA.

Na cóż go było puszczać?

WSZEBOR.

Puścił, już się stało.
Ale mając jednego, w nim takie nadzieje,
Nie dziw, że się o niego lęka i łzy leje.

ZBISŁAWA.

Jakiż mu to Mieczysław groził, upominał?
Wszedłszy do mnie, kilkakroć to imię wspominał.

WSZEBOR.

Dopiero zrozumiałem, com dotąd nie wiedział,
Właśnie król ztąd wychodząc toż samo powiedział.
W tem miejscu tę niesławną ucztę sporządzono;
W tem miejscu *(pokazuje kąt w pokoju)* struty konał
(Mieczysław z swą żoną.

Król miał mieć przywidzenie w bojaźni o syna,
Że się Mieczysław za swą krew, krwi upomina.
Ale nadto dotkliwe w tem pańskie sumnienie;
On o niczem nie wiedział. Całe przewinienie,
Że po stracie książęcia nieodżałowanej,
Nie szukał sprawców zbrodni w Polsce niesłychanej.

ZBISŁAWA.

Dlatego, że nie szukał, ściągnął na się winę,
I do posądzania go dał ludziom przyczynę.

WSZEBOR.

Pani, ważna rzecz była, która go wstrzymała,
Gdyby ta złość surowiej dochodzić się miała,
Gdybyśmy karać w miarę taką zbrodnią chcieli,
Możebyśmy tron jaki poruszyć musieli,
Król, który lubi naród, a wojny nie lubił,
Wiedząc że tysiącami ludziby nagubił,
Wolał milczeć spokojny, tam gdzie mówić trudno.

TEOFILA.

Eudoxya być miała na obliczu cudną?

WSZEBOR.

Jam nie widział piękniejszych dotąd, ludzi dwoje!
Wiekiem, wzrostem, słodyczą, podobni oboje.
On hojny, chociaż w domu nie było bogato,
Najskładniej bronią robił, i serce miał na to.
Uprzejmy dla każdego, pełen młodzian cnoty.
Z' takiemi Mieczysława otruto przymioty.

ZBISŁAWA.

Byłżeś w tenczas hetmanie, kiedy się to stało?

WSZEBOR.

Nawet u tegoż stołu! Lecz Bogu się zdało,
Że mię tym mężobojskim trunkiem pominęli,
Ci, co książąt i kilku tylko śmierci chcieli.
Jeszcze od nieszczęsnego nie wstaliśmy stołu,
Kiedy trafne żartując, bawim się pospołu,

Książe spłoniony do swej Eudoksyi rzecze:
„Jakiś mię ogień wewnątrz nadzwyczajny piecze."
A ta: „Baiam się, że wam dobrą myśl zepsuję,
„Ale coś śmiertelnego we wnętrznościach czuję."
Toż Zbilud, toż Odolon, i Zema, wyznali.
Książe ściskając żonę: „Truciznę nam dali."
Rozruch wielki, i głośne kobiece szlochanie,
Wkrótce ponapełniały ludem to mieszkanie.

ZBISŁAWA.

A król gdzież był natenczas?

WSZEBOR.

Przybiegł w małą chwilę;
Mieczysław go postrzegłszy, wstał o swojej sile,
I głosem już zmienionym: „Struty jestem (powie),
„Jeszczeż byłbym przydatny tobie i krajowi."
Król z płaczem wyznał, że się tą niezmazał zbrodnią,
Eudoxya wstać chciała, nogi drżały pod nią
I gdym jej podał rękę, i wziąć leki radził,
Prosi, bym ją do bliskiej sypialni prowadził.
Tam wszedłszy, tuż przy łóżku stał codzień błagany,
Posąg Przeczystej z srebra szczerego odlany,
Co córce, żegnając ją tkliwa matka dała,
I do niego jej zdrowie, szczęście przywiązała.
Do nóg tego posągu księżna się nachyli,
I ze łzami tak zacznie: „Źleśmy ci służyli,
Dziewico niezmazana!... Może myśli błędy,
Może mniej baczne serce, języka zapędy,
Żeśmy z mężem na taką karę zarobili;
Dziewico niezmazana, źleśmy ci służyli!
Już ci świecy mą ręką nie będę zlepiała,
Żeby po całej nocy przed tobą gorzała;
Już skroń twych nie uwieńczę kwiaty codziennemi,
Znajdziesz za mnie zdatniejsze służebne na ziemi.
Ale kiedy mię wszystko opuszcza gdy ginę,
Ty Pani, nie odstępuj mię przez tę godzinę."
Potem ku małżeńskiemu skłoniwszy się łożu;
„O ty! wierności mojej i świadku i stróżu!

Zakładzie szczęścia w stadłach!.·. Nie tak się myślało
Ciebie porzucać; gdyby niebo było chciało!...
Tuby Mieczysław z dziećmi, tu czeladka stała,
Tymbym błogosławiła, z mężem się żegnała!
Dziś, nie żona, nie matka, przy tobie łzy leję!...
Już mię nawet zwodnicze odbiegły nadzieje!..."
Potem się ku mnie zwróci; „prowadź mię hetmanie,
Póki jeszcze krzepnących tych oczu mi stanie,
Niech się na Mieczysława napatrzę!...Ból psuje
Me wnętrzności!.. może mi przy nim pofolguje."
Wieźdź ją z drugim musiałem, bo osłabła cała.
Władzy żadnej wstrzymać się na nogach nie miała.
W tem miejscu, (*pokazując kąt w pokoju*) już Mieczy-
(sław leżał na pół żywy,
Klęcząc przy nim król go sam orzeźwiał troskliwy.
Kiedy blisko zbolała Eudoxya siadła,
Trupowi podobniejsza, milcząca, wybladła!...
Spojrzał na nię najczulej! i łzy mu pocieką;
Czarne miał duże oczy pod rzęsną powieką:
Wlepiwszy je w swą żonę, wesprze się na dłoni.
Dźwignie o swojej mocy i siądzie koło niej.
Już mówić nic nie mogli, oczyma gadali;
I tylko się ściskając za ręce, żegnali.
W tem krzyk dał się usłyszeć krzyk był przeraźliwy
Wisławy, Mieczysława matki nieszczęśliwej!...
Którędy nędzna z głową roztarganą leci,
Głos w gmachach rozlega się: „Oddajcie mi dzieci!"
Ale, gdy się usuną tłumy, jej rozpaczy;
I prawie konających oboje obaczy,
Zbyteczna żałość razem mowę odebrała:
Ręce tylko załamie, padła i zemdlała.
Mieczysław co nic nie mógł przemówić do żony,
Tym Wisławy upadkiem jakby ocucony,
Krzyknie! „Matkę ratujcie!" Taką nań moc miała.
Tak w nim miłość synowska wiele przemagała:
Eudoxyą trucizny jad w tem zamordował,
Ale Mieczysław dłużej z śmiercią się mocował.
Wisława, po obojga zgonie otrzeźwiona,
Wkrótce za dziećmi żalu i życia dokona.

Tak troje razem w jednej uwięzło kolei,
Smutny widok, wielkości ludzkich i nadziei!

TEOFILA.

Czemuż lekarstwem jakiem ich nie ratowano
Na razie, skoro tylko truciznę poznano?

WSZEBOR.

Było leków i nadto, brali je oboje;
Ale to może jeszcze na większe złe swoje.
Zbilud, Zema, Odolon, mniej lekarzów mieli,
Przecięż, choć po chorobie długiej, ocaleli.
Chciej mi pani darować, że wyjdę do króla,
Chociaż go tam Judyta cieszy i utula,
Więcej ludzi, większą mu rozrywką być mogą.

SCENA VII.

ZBISŁAWA, TEOFILA.

ZBISŁAWA.

Na żal wielki, rozrywki żadne nie pomogą,
Dajmy, że król sam sobie stwarza widma, dziwy,
A potem się ich boi, już jest nieszczęśliwy.
Co ja o Bolesława coś nie tak się trwożę:
Cóż mu tak związanemu złego stać się może?
Obiecał być przy boku Skarbimira wszędzie,
Gdzie najlepszy kopijnik pilnować go będzie,
Dał słowo; nie może się ślepo tam uganiać.
On dla ojca i dla mnie zechce się ochraniać
Ale jak ci się zdaje, kto struł Mieczysława?
Kiedy król nic nie winien, jak Wszebor przyznawa.

TEOFILA.

Myślę, że to miało być Ruskich książąt sprawą.
Niezmierne włości w Rusi wziął Śmiały z Wisławą,
Dziedzictwo państw tak wielkich spadłoby na syna.
Sąsiedztwo z Polakami dolega Rusina;
Cóż gdyby kiedy Polak wlazł w środek w ich kraje,
Wojsko swe utrzymywał i obce zwyczaje,

Mógłby się nad nich wzmocnić z wojny, z krwi z przy-
Tak struciem Mieczysława zbyli się bojaźni. (jaźni.

ZBISŁAWA.

Może to być; ale mnie insza się myśl snuje:
Judyta, która królem zdawna powoduje;
Włada państwem i wszystko chce mieć w swojéj mocy,
Niech nie rządzi dzień jeden, z złości umrze w nocy;
Widząc, że tak Mieczysław w narodzie ważony,
Że bez żadnej swej winy odpadł od korony,
Że Polska Władysława sprzykrzywszy rząd słaby,
Jego na tron ojcowski wywyższyć mogłaby:
Po mężowskim upadku, i swego się bała,
Tak truje Mieczysława, żeby panowała.
Jabym Bolesławowi nawet nie radziła,
Żeby (jak prędkowierny) dowierzał jej siła,
Lepiej czasem nie ufać, niż płakać po szkodzie,
Już zaczął w rządy wpływać, co ją pewnie bodzie.

TEOFILA.

Z tej strony ciosu książe spodziewać się nie ma.
Praxeda co królowej serce w ręku trzyma,
Jak wielką tajemnicę to mi powierzyła,
Że Judyta go kocha, z nimby się bawiła.
Tęskni, gdy go nie widzi: obaczy; narzeka:
Że oczy wypatrzyła, że go długo czeka.
On nad ciebie, inszego niezna serca pana;
Ona sobie pochlebia, że kocha, kochana.
Pewnie, z tej strony złego nic mu się niestanie.

ZBISŁAWA.

Tak złe serce, czy może znać co to kochanie?
(Wychodzą).

AKT IV.

Dekoracya: Pokoje królowej.

SCENA I.

WŁADYSŁAW *sam.*

Już dnieje!... i ja słońce dzisiejsze obaczę!
Duszy mi z ciała wygnać nie mogły rozpacze.
Boże! ty mi żyć każesz; ten dar dla mnie karą!...
Ale na cóż kłócąc się z sobą, kłócę z wiarą?
Całuję świętą rękę, która mię zacina,
Życia nie odbierając, a biorąc mi syna!
Słońce! wczoraj piękniejszem błysnęłoś mi czołem,
Bom na cię patrzył z moim Bolesławem społem,
Już on czekał przed memi o tym czasie drzwiami;
Nikt go nie mógł uprzedzić swemi przysługami.
Zapomniał wysokiego często przeznaczenia,
Z lada kim z mej czeladzi na służbę się mienia.
Gorzkie nader wspomnienie!... Gdy szczęście przeminie,
Czemuż razem i pamięć o niem niezaginie?...
Ale gdyby też groźne niebo się zmiękczyło,
I lat jego niewinnych jeszcze żal mu było;
Albo gdyby jęk starca, jak mój przeraźliwy
Aż przed bóstwo miał zanieść wiatr jaki szczęśliwy;
Żeby czujny Skarbimir tę zbrodnią wyśledził,
Żeby Przecław Zbiluda zamachy uprzedził.
Nadziejo!... Ty się lubisz uśmiechać do człeka,
Tobą jeszcze ten żyje, co dziś śmierci czeka.

SCENA II.

WŁADYSŁAW, WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

Wszeborze! ludzie wstają, my ócz niezmrużyli;
Bolesław może zasnął od niedawnej chwili!

WSZEBOR.

Anioł tam Bolesława naszego pilnuje.
Teraz, co mi powinność sługi nakazuje,
Daruj panie! gorszę się z tej twojej rozpaczy.
Gdyby jeszcze stać to się nie mogło inaczej,
Ale, jak tam zabójca wpadnie na książęcia,
I dokona srogiego swego przedsięwzięcia?
Kiedy go tyle wiernych rycerzów pilnuje!
Kiedy go ziemia kocha, i Bóg nad nim czuje!
Za co nieba znieważać? za co przywidzenia?
Te skutki, samej tylko myśli zapalenia.
Za co szukać ustronia, które tuczy żale?
I drogiego (odpuść mi) tak zapamiętale
Zdrowia, słabą nić zrywa?

WŁADYSŁAW.

Myśliłem hetmanie,
Że na litość zarabiam, nie na strofowanie.

WSZEBOR *(ukląknąwszy przed królem).*

Królu! jaż to co o twe życie się frasuję?...
Wszebor co cię tak kocha? *(całuje rękę króla)* radzi nie strofuje.
Nie przyjmą, choćbym z dni mych rad do twych przyczynił;
Pozwól, żebyś żył dłużej, bym cię czasem winił. (*Wstaje*)

WŁADYSŁAW *(ściskając Wszebora).*

Gdy kto jest nieszczęśliwym, każdemu się zdaje,
Że już winien, i sprawę zwyczajnie przegraje.
Cóż mam robić z tem sercem?.. jak nie czuć, gdy czuje!..
Żalu radbym się pozbył, żal nie ustępuje.
Prócz tego, czyni jakąś folgę łza wylana,
Zda się, że to od bólu cząstka oderwana.

WSZEBOR.

Czyni folgę na razie, ale nadal, truje.
Któż kiedy płaczem zdrowie swoje zachowuje?

Szukać raczej rozrywki o czem inszem mową,
Z nami, z którą księżniczką, z Zbisławą, z królową.
Na czas przynajmniej panie, nic nie myśl o synie;
Spodziewam się, że ledwie chwila jaka minie,
A z obozu mieć będziem wieść o Bolesławie!

WŁADYSŁAW.

Tak mi przyrzekł Skarbimir, że w samej rozprawie,
Jak tylko dzień cokolwiek da poznać stan boju,
Zaraz mi kogo przyszle dla mego pokoju.
Ale jeśli to przyjdzie nieszczęście na syna,
Posłańca pewnie taka przytrzyma nowina.

SCENA III.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

JUDYTA.

Ze strony obozowej już ustają wrzawy,
Będzie się pewnie miało do końca rozprawy;
W krótce naszych wesołe obaczymy szyki,
Wkrótce ich usłyszymy zwycięzkie okrzyki.

WSZEBOR.

Lubię wojnę, do niej mię niebo przeznaczyło;
Ale bardziej po wojnie, zwłaszcza gdy się zbiło,
Te braterskie witania, te jeńce, te łupy!

WŁADYSŁAW.

Dodaj jeszcze na wojny pochwałę, i trupy.

WSZEBOR.

Tak być musi. Tych trupów chce rzeczy skład własny,
Gdyby się nie zbijano, światby nam był ciasny.

WŁADYSŁAW.

Rusini mają stepów niezmiernych do myśli;
I choć im tam nie ciasno, przecięż do nas przyszli,
Nie nadto zaludniane przepleniać Polaki;
Skutek to raczej złości, nie potrzeby jakiej.

JUDYTA.

Zbisława zna tych książąt, oprócz Wołodara,
Zwierzchnictwo Świętopełka, powaga i wiara,
Często ich do Kijowa przy niej sprowadzały.

WSZEBOR.

Panie! prośmy Zbisławy, niech nam stan ich cały
Opisze, właśnie w czasie godna rzecz wiedzenia,
Z kim to ma nasz dzisiejszy podjazd do czynienia.

JUDYTA.

Zaraz ją przyprowadzę. *(Wychodzi).*

SCENA IV.

WŁADYSŁAW, WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

Przymioty Zbisławy,
Skromność, słodycz, i w niczem nienaganne sprawy,
Wszystko to za nią mówi, wszystko to ją chwali.
Jeśli Bóg Bolesława dzisiaj mi ocali,
Postaram się najprędzej tę parę połączyć;
Ona może nie sprzeczy: Jej ojciec, chce kończyć.

WSZEBOR.

Bliskie ich spokrewnienie w Rzymie trudność sprawi.

WŁADYSŁAW.

Ciężki z złotem posłaniec nie długo zabawi.

WSZEBOR.

Zbisława na te śluby okaże się chętną.
Wiem to, że dla książęcia nie jest obojętną.
Któražby z kobiet w świecie nie chciała być żoną,
Tak pięknego młodziana, a jeszcze z koroną?

WŁADYSŁAW.

Fraszka twarz i korona! Rzadko niebo dało
Serce, jakie się memu synowi dostało!...

Kiedy syn ojca swego w starości szanuje,
Że będzie dobrym mężem, ojcem, obiecuje.
Cóż było wysług? jakie miał o mnie staranie?
Że aż wzbudzał nad sobą me politowanie!
Raz, odejść mię chorego w głęboką noc zwlecze,
Gdym mu kazał odpocząć, on mi na to rzecze:
„Nie mam już matki, której miałem służyć drugiej,
„Ojcu tylko, i tamtym powinien usługi.“
Albo kiedy Zbigniewa w Kruszwicy dostano,
On myśląc, że surowiej z nim postąpić miano,
Prosząc za jego życiem do nóg mi się ścielił.
„Ja (rzekł) co dzień mym chlebem będę się z nim dzielił.“
W dziewiątym roku, takiej był serca czułości;
Jeszcze dla brata, który robił mu przykrości.

WSZEBOR.

I na serce Zbisławy, nikt tu nie narzeka;
Nie naraziła sobie żadnego człowieka.
Owszem, kiedy potrzebę czyich usług miewa,
Ten, kto inszych uprzedził szczęściem to nazywa.

WŁADYSŁAW.

Dla tego chciałbym widzieć na te oczy moje,
Póki nie zgasną, ślubem złączonych oboje.

SCENA V.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA, WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

Miłe zawsze twe przyjście! Wybacz mi Zbisławo,
Że cię trudzim, dzisiejszą zajęci wyprawą.
Ty masz znać te książęta, będąc ich plemienia,
Z któremi nasz Bolesław dziś ma do czynienia.

ZBISŁAWA.

Przed kilką laty, niźlim z domu wyjechała,
Częstom ich u mojego ojca widywała.
Wołodar, że najdalej od Kijowa władnie,
Nie tak mu gościć unas przypadało snadnie.

WSZEBOR.

Włodzimierz Czerniechowski ma być przed inszemi,
Bogactwy i dziełami sławny rycerskiemi?

ZBISŁAWA.

Może w męstwie w sprawności, będzie niezrównany,
Lecz Wołodar mocniejszy swemi Przemyślany.
Mówią, że ten lud, który wodę z Sanu pije,
Szczery bywa w przyjaźni, i szczerze się bije.

WŁADYSŁAW.

Kiedy dawał turnieje Świętopełk w Kijowie,
Mieli być przytomnemi wszyscy ci Kniaziowie.

ZBISŁAWA.

Właśnie też wtenczas czterech tych poznałam razem,
I dostatkiem z nich który, co może żelazem,
Włodzimierz przed wszystkiemi złotem połyskiwał,
Poczet go dzielnych jego rycerzów okrywał,
Ktorzy z nim w różnych czasach pojedynki zwiedli,
I przy nim jego złotem ujęci, osiedli.
Po wierzchu jasnej zbroi w bogatym serdaku,
Sam hoży na arabskim krzepił się rumaku.

WŁADYSŁAW.

Tak częste pojedynki jak mu się zdarzały?

ZBISŁAWA.

Nie dał do nich przyczyny, ale szukał chwały,
Kazał wszędzie szermierza sprawnego szpiegować,
Ukryty z nim lub jawnie musiał się kosztować.
Doświadczywszy dzielności, wziął do swego boku;
W takim to poczcie stanął na turniejów toku.
Po nim z Pereasławia kłaść można Olega,
On o lepszą z pierwszym się rycerzem ubiega,
Poczesny na obliczu, niewygód cierpliwy;
I chociaż mu majątku uskąpił los krzywy,
Ale swej doświadczonej szablicy do sprawy
Niedobył bez przyczyny, nie schował bez sławy.

WSZEBOR.

Dawid brat jego, mówią, że nie jest dzielnym.

ZBISŁAWA.

Nigdy nie był rzemiosła rycerskiego pilnym;
Tylko przy boku brata stojąc bitwę całą,
Kradzioną od Olega nadstawia się chwałą.
Także Wszesław Połocki był na tenczas z niemi,
Dumny swem uprzedzeniem, nie dzieły jakiemi.
Ale syn Jaropełka, Jarosław potężny,
Duży wzrostem, i w miarę ciała swego mężny,
Nikomu nie ustąpi co ich ma Ruś płodna.
Nie z wierzchu chce być dzielny; ale czerpie do dna.
Gdyby była fortuna lepiej mu sprzyjała!
Nic nie ma; broń mu tylko spadkiem pozostała.

WŁADYSŁAW

Dbać o siebie po śmierci ojca była pora.

ZBISŁAWA.

Księstwo zaraz odebrał Dawid syn Igora;
Jemu tylko od stryjów nadzieję czyniono;
A nareszcie w Lubeczu o nim zapomniono. [16])
Wtenczas na tych gonitwach, nie konno, nie w zbroi,
Ale pieszo, na kiju tylko wsparty stoi.
Jeden przy nim służebny składał mu dwór cały,
Imię z cnotą w ubóstwie, litość poruszały.
Między wielą rycerzów przybyłych dla sławy,
Był też jeden Bojarzyn, Konstanty Łukawy.
Ten siłą niezrównaną, zręcznością i męztwem,
Na gonitwy za pewnem szedł zawsze zwycięztwem.
Włodzimierz mu sam w sprawie ustępował kroku,
I wszystkiemi sposoby chciał go mieć przy boku.
Ale on nie użyty, zawsze mawiał swoje:
„Na cóż miałbym tym służyć, których się nie boję.“
Ojciec mój rozpoczynał, z Olegiem się bili,
Potem insi z inszemi o lepszą czynili.
(Wszebor wychodzi wywołany).
Lecz zawsze Łukawego umyślnie mijali;

Bo jeszcze trzeba wyznać, wszyscy go się bali,
Że nie umiał ochraniać ni drugich, ni siebie;
Tak ciął, godził kopiją, jak w samej potrzebie.
Mój ojciec z Włodzimierzem chcąc kończyć gonitwy,
Już mieli składać drzewca ku sobie do bitwy,
Gdy Łukawy zawoła: „Czyż już na Ruś całą
„Nie masz męża, żeby mi w oczy zajrzał śmiało?“
W tem Jarosław wśród pola rycerskiego stanie:
„Oto (rzecze) ja czekam na twe ukaranie.“
Ten mu coś, (że z bezbronnnym nie bije się) mruczy;
Ow na to: „Że są ludzie, ten cię kij nauczy!“
Potem Czerniechowskiego szukając oczyma,
Krzyknie nań: „Synowiec twój zbroi swojej nie ma.“
Włodzimierz wnet własny mu sam szyszak przywdzieje,
Da kirys, miecz, buławę, i co chcą turnieje,
Zupełnie do potrzeby opatrzy go bronią.
Kiedy im miejsce inni rycerze odsłonią,
Z niewidzianą zręcznością oba natrą na się.
Lecz pojedynek zdał się kończyć w krótkim czasie,
Gdy ciężko uderzony Łukawy w przyłbicę,
Zgubił pamięć, i z ręki wypuścił szablicę.
„Odpocznij, rzekł Jarosław sam niezmordowany,
„Póki stoisz na nogach, małoś ukarany.“
Wkrótce znowu zaczęli; Bojarzyn zdradliwy,
Sztychem w rękę zadał raz księciu nieszkodliwy.
Ow na to: „U poczciwych tak nieuchodziło;“
Razem, dał mu buławą w piersi całą siłą,
I obali. A większy gdy się w nim gniew wznieci,
Myślącego się dźwignąć za nogę uchwyci,
Wlecze męża zbrojnego mocą niezrównaną,
Chcąc topić w bliskim Dnieprze. Lecz go ratowano.

WŁADYSŁAW.

Cóż ty na to Wszeborze?

TEOFILA.

Nie masz go tu panie!
Wywołał go jakowyś żołnierz.

WŁADYSŁAW (*żywiej*).

Niemieszkanie
Niech tu do mnie powróci. (*Wychodzą za Wszeborem*).
Już coś się stać miało,
Że się kryją przedemną!..

ZBISŁAWA.

I cóżby się stało?
Wszebor tu rządzi wojskiem, zdarzeń tyle bywa,
Że widzieć go, mówić z nim, ktoś potrzebę miewa.

WŁADYSŁAW.

Właśnie teraz o synu wiadomość przyjść miała!..
Tają się; już się pewnie zbrodnia dokonała.

ZBISŁAWA.

Jakaż zbrodnia?

WŁADYSŁAW.

Ty jedna pociecho Zbisławo!
Nie odchodź mię w tym razie.

SCENA VI.

(*Ciż sami, i* WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

Tę nowinę krwawą
Już powiedz, na co się kryć po kątach przedemną?

WSZEBOR.

Królu! jam chodził ślakiem; nigdy ścieszką ciemną.
I nie mam tu co taić. Skarbimir przysyła
Chcąc posiłku. Ruś pierzchła, ale cała siła
Połowców została się.

WŁADYSŁAW.

A mójże syn?

WSZEBOR.

Żyje.

WŁADYSŁAW.

Jakże? tylko że żyje?

WSZEBOR.

I Połowców bije.

WŁADYSŁAW.

Jestże przy nim Skarbimir?

WSZEBOR.

Nie wiem, czy się złączył.
Bo mi wszystkiego jeszcze Rotmistrz nie dokończył.

WŁADYSŁAW.

Rotmistrz wnet niech tu stanie. Ty prędko Wszeborze.
Co tylko przebrańszego żołnierza być może,
Każ, niech biegną pod wodzą starego Żegoty.
(Wychodzi Wszebor).

ZBISŁAWA.

Widzisz panie! że próżne były twe kłopoty.

SCENA VII.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA, ROTMISTRZ.

WŁADYSŁAW.

Słuchaj, twój ci król każe, zdaj mi sprawę wiernie,
Stanu wojska i syna. Bo niemiłosiernie
Fałsz będzie ukarany. Syn mój czy zabity?
Czy żyje?

ROTMISTRZ.

Co wiem panie, będziesz wiedział i ty.
Bolesławam zostawił, ścierał się z Połowcy:
Bo Ruś rozsypała się różnemi manowcy
Przed gromem naszych! Ale, takeśmy zaczęli:
Jaksa z Sieciechem oba skrzydła na się wzięli;
Ten z Olegiem, a ów miał sprawę z Wołodarem,
Sławnym sobą, i hufców Przemyskich ciężarem.

Bolesław z Skarbimirem w środek nacierali,
Gdzie potężny Jarosław z Włodzimierzem stali.
Może do trzech tysięcy nas przy księciu było;
Z okrzykiem uderzym się o Ruś całą siłą.
Pierwsze straże pierzchnęły, a śpiąca drużyna
Budzi się, konia, siebie, broni zapomina.
Część ich potratowana, część żelazem legła,
Większa pewnie połowa w strony się rozbiegła.
Kiedy tak coraz głębiej w obóz się wdzieramy,
I nikogo, by na nas broń podniósł niemamy,
Jarosław na dorywczu bliższe roty zwoła,
I temi na czas jakiś utrzymać podoła.
Jednak, gdy próżno swoich łaje i narzeka,
Choć nie bez szkody naszych, z innemi ucieka.
Włodzimierz, co się na nas lepiej przygotował:
A wśród obozu jeńców i łupów pilnował,
Waleczniejszemi swemi Bojary okryty,
Gdyby nie z Bolesławem, zdał się niepożyty.
Ale książę najpierwszy bok im rozdarł cały.
I gdy się tak rozprute roty pomięszały,
A noc z naszym okrzykiem strachy pomnażała,
Pierzchną w strony; połowa może pozostała.
Z temi dopiero rządna zacznie się robota.
Naszych i Rusi dzieła zakryła ciemnota;
Bo się pierwszem zerwaniem najdzielniej stawili,
I czas jakiś niepewne zwycięztwo ważyli.
Królu! już twym żołnierzom siła ustawała,
I szabla tępiej nam się ruskiej szyi brała,
Gdy razem czy ustąpią, czyli ich nie stanie,
Bo bez przeszkód pomkniem się może na stajanie.
Nieszczęsnych jeńców naszych były tam majdany!
Gdzie do swego powroza każdy przywiązany,
Długiemi rzędy pola niezmierne zajęli!
Kiedy bratnie okrzyki blisko posłyszeli,
I ziemiańskie imiona, i język mateczny,
Z którym się już żegnali po raz ostateczny,
Wołać zewsząd na nasze zaczęli najtkliwiej:
„My bracia wasi w więzach!.. My tu nieszczęśliwi.“
Książę pierwszy zsiadł z konia, i kim był odkryje:
„Ja (rzecze) wasz Bolesław, i o was się biję.“

W tem przetnie powróz, i sam jeńce rozwiązuje,
Toż każdy z nas o lepszą robić usiłuje;
Żeśmy tą piękną pracą po niejakiej chwili,
Kilka tysięcy męża nasz podjazd wzmocnili.
Brakło broni, albo jej przy trupach szukali,
Albo u zalęknionej Rusi wydzierali.
A tak opatrzywszy się poznoszą straż swoją,
My w tę stronę uderzym, gdzie Połowce stoją.
Rządnie na swojem miejscu poganie czekali;
I choć na nich cała się nasza siła zwali,
Twardo staną, i tylko mąż odpycha męża,
Z szczękiem uderzonego orężem oręża.
Bolesław niezrażony pierwszem swem odparciem,
Przedrze ich rząd ściśniony za ciężkiem natarciem,
I gdy w koło pohańców bliższe głowy pobił,
Wśród nich z kilką naszemi miejsce sobie zrobił.
Ten raz i Skarbimira, i inszych ośmieli;
Że szyku poczętego urywać zaczęli;
Nieprzeto się Połowce tym ciosem strwożyli,
Ale jakby na nowo z naszemi się bili.
Dzień nadchodził i z pierwszą łoną porankową,
Można było coś poznać postać obozową:
Poganin na swojem się miejscu utrzymywał,
Choć mu gdzieniegdzie boki nas żołnierz urywał.
Skarbimir widząc, że nas na Połowce mało,
Bo wielu się ich w pogoń za Rusią zagnało;
Przysłał mię po posiłki.

WŁADYSŁAW.

A mójże syn gdzie był?

ROTMISTRZ.

Książę, kiedy pogańskie pierwsze szyki przebył,
Coraz w głąb postępował; i z dnia światłem młodem
Dojrzym go, on z ogromnym ściera się Mikrodem.
Skarbimir wnet w tę stronę całą się brał siłą,
Bo księcia prawie zewsząd pogaństwo okryło.
Ale królu, nie trwóż się Bolesława losem;
On tam poszedł za sławą, nie za jakim ciosem;

On i sam nie dałby się; cóż gdy przy nim tacy
Trzej stoją, najbitniejsi w narodzie wojacy!...

WŁADYSŁAW.

Któż jest przy nim?

ROTMISTRZ.

Jest Zbilud, Zema, z Odolonem.

WŁADYSŁAW.

O niebo! czemuż to się dzieje przed mym zgonem?
Jakże wiesz, że to ci trzej przy mym synu byli?

ROTMISTRZ.

Chełmem się, z białem piórem, od inszych różnili,
Którzy dla jego straży przy księciu stanęli.

WŁADYSŁAW.

Zkądże się oni tylko przy mym synu wzięli?

ROTMISTRZ.

Zaraz z miasta przy księciu obok wyjechali,
I już go potem na krok nieodstępowali.

WŁADYSŁAW.

Zdybałżeś gdzie Przecława?

ROTMISTRZ.

Z obozu w pół-drogi.

WŁADYSŁAW.

Zbisławo! Zbilud, Zema i Odolon srogi
Sprzysięgli się na życie mojego dziecięcia!
Zły losie dokonałeś twego przedsięwzięcia!

(Zbisława ręce załamuje i za królem wychodzi).

SCENA II.

JUDYTA, ZBISŁAWA, PRAKSEDA, TEOFILA.

JUDYTA.

Pewnie nad Bolesławem żal trapi cię księżno!
Ja go czuję! I chociaż chciałabym być mężną,
Wstrzymując ciężki smutek, przecięż on się ciśnie,
Wszystkich łzy gdzie się zwrócę, nastręcza umyślnie.

ZBISŁAWA.

Pani! kto tylko znał go, a znał go kraj cały!
Tyle milionów oczy będą go płakały!
I kiedy ta powszechną wzbudza żałość strata,
Ja też łzy moje do łez przymięszałam świata.

JUDYTA.

Długo roki swojemi mijać będą zwroty,
Niż się urodzi młodzian z takiemi przymioty!
Rozum rzeczy szacuje, serce się przywiąże,
Rozum i serca ludzkie miał za sobą książe;
Ta śmierć okropna, żalu przydać więcej miała
Tobie, któraś podobno jeszcze go kochała!

ZBISŁAWA.

Nie wątp pani! Anim się z tem kiedy taiła!
Bo kochać Bolesława, chluba dla mnie była!
Z wolą ojca, chciał nas król ślubem złączyć w czasie;
Wart był tego Bolesław, miłość znalazła się.

JUDYTA.

Pięknie to być królową, do tego potężną;
Teraz cię za Zbigniewa będą swatać księżno.

ZBISŁAWA.

Daruj pani! Jeszcze ja nie jestem na zbyciu!
I gdy mię dziś najcięższy los przyciska w życiu,
Myślałem, że nademną litować się miano,
Nie żeby mej nieszczęsnej doli urągano!

Nie płocha jaka miłość wzajem nas wiązała,
Żebym o niej tak prędko zapominać miała.
Niech Zbigniew tym obszernym krajom daje prawa;
Ja nie chciałam korony, ale Bolesława.
(Kłania się i odchodzi).

SCENA III.

JUDYTA, PRAXEDA.

JUDYTA.

Wyjdzie na to, niech ona najwięcej się gniewa,
Król będzie jej nastręczać swojego Zbigniewa.
Ale ani tym związkiem narodu przynęci,
Niecierpi Polak nawet Zbigniewa pamięci,
Najpierwsze państwa domy mieć będę po sobie,
Resztę do mych układów złotem przysposobię.
Że po śmierci królewskiej w krótce spodziewanej,
Córce mej starszej, Polski tron będzie oddany. ([19])
Alfons mąż jej nie zechce Kastylii rzucać,
Żeby się miał z twardymi Polaki układać.
Ani w tej odległości przejeżdżać mogliby,
Mnie rządy państwa tego zlecą bez ochyby,
Praxedo szczęście moje bliskie dopełnienia:
Czy teraz Bolesława żałujesz zginienia?

PRAXEDA.

Szczęście jeszcze nie przyszło, a smutek obecny!

JUDYTA.

W tobie od wczora jakiś przemaga duch sprzeczny;
Że nie wchodzisz, co i mnie, co i ciebie czeka.

PRAXEDA.

Król mdleje, w każdym kącie ktoś płacze, narzeka,
Jakże się w pośrodku ich jedna mam weselić?
Coś to przystojniej z ludźmi losy ludzkie dzielić.

JUDYTA.

Ziewasz i płaczesz, że ktoś ziewa, płacze, wzdycha,
Nic (mówią) nad łzę ludzką prędzej nie osycha.

Ale szczęśliwość, której zasiewam nasienie,
Ciebie i twe dalekie dźwignie pokolenie.
Czyż ci to droższym będzie Bolesław jedyny,
Nad tyle twojej wsparcia potrzebnej rodziny?
Stało się, ma być dobrze, gdym już tego chciała
(przechodzi się).
Zbilud tak wszystko zrobił, jakem w myśli miała,
Nie mogli go zabijać wśród swych kopijników!..
To lepiej, że go na bok uwiedli od szyków..
Zapewne Zbilud sławą zagrzawszy młodzika,
Z nim się umyślnie w motłoch Połowców umyka,
Aby go tak Polaków uchyliwszy oku,
Śmielej i pewniej mogli dokonać na boku.
Tak z dniem szarym dojrzał ich Rotmistrz tu przysłany,
Tak snadniej w małej chwili zabój wykonany.
Bo gdy im odłączyć się na stronę udało,
Zabicie pewnie czasu najmniej kosztowało.
Jeszcze tam jak umyślnie Mikrod się nawinął,
Ci go skolą, świat powie: „od Połowca zginął.“
A choćby na sprzysięgłych ten zabój zwalono,
Mniejsza, Przecław się sprawi, jak mu polecono.

SCENA IV.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, PRAXEDA, WSZEBOR
(prowadzący króla).

WŁADYSŁAW.

Jużbym był skończył dotąd moje utrapienia!
Mdlejącego, zostawić było bez trzeźwienia.
Okrutna wasza łaska i troskliwość była,
Która mi pamięć moich nieszczęść przywróciła.
Biczto już najostrzejszy gniewu twego Boże;
Kiedy kto chciałby umrzeć, a umrzeć nie może!..

JUDYTA.

Jednego dla narodu sieroctwa czyż mało,
Żeby się jeszcze zgonem twoim powiększało?
Dla kraju, dla mnie, dzieci, niech ci wieku stawa.
A któż wie? może nawet i dla Bolesława

WŁADYSŁAW.

Jak owcę na rzeź, tak go sobie wyłączyli!..
Ich trzech i Mikrod, łatwo jednego pożyli!
Któregom ja tak wielą trudami wychował,
Bóg zagniewany w jednej chwili zamordował.
Gdyby czterech na niego nie nasłał był razem,
Nie dałby się; mógł siłą i umiał żelazem!..
Ja bluźnię tego Boga zuchwałym językiem,
Który olbrzyma jednym z nóg zwalił kamykiem!..
Odbiera mi przytomność żal mój przeraźliwy;
Miałbym być pokorniejszym, kiedym nieszczęśliwy.

JUDYTA.

Królu! ty zdrowiem twojem bezprawnie szafujesz;
Tym smutkiem, na narodu własność następujesz.

WŁADYSŁAW.

Judyto! wszakżeś ty mi ten skutek zdarzyła!
Tyś mi twem naleganiem syna wyprawiła,
Który gdyby był twojem dzieckiem, nie przyszłoby
Ani do tej wyprawy, ani do żałoby.
Ja, wkrótce życie skończę; a po moim zgonie,
Nie długo ostoisz się i ty na tym tronie.
Polska pamiętna, co pod Ryxą ucierpiała; ([20])
Odeśle cię do Niemiec, zkądeś przyjechała.

JUDYTA (*żywiej*).

W ostatnim kącie ziemi, gdzie stanie Judyta,
Wszędzie rody cesarskie świat schylony wita,
Ni tam wasza blasku mi przydała korona,
Niedawno od mojego brata wyproszona. ([21])
(*Wychodzi*).

WŁADYSŁAW.

Gdzie siły nie wystarczą, tam gniew nie w swej porze.
Proś tu do mnie strapionej Zbisławy Wszeborze;
Ona mą i swą stratę czuje najgorręcej,
Ten mię, kto zemną płacze, pocieszy najwięcej.

SCENA V.

WŁADYSŁAW *sam.*

Zwołam naród; niech sobie obierają pana!
Piastów kolej dzisiejszą przygodą zerwana.
Na dom nasz jeden tylko Zbigniew pozostaje!..
Lecz plama urodzenia i złe obyczaje
Wstrzymają go, i Polak te drzwi mu zapowie,
Któremi od trzech wieków szli na tron Piastowie.
Jednak żem ojciec, prosić za nim nie przestanę;
Ale jeśli się uprą na pana odmianę,
Czeskich i Ruskich książąt mogą mieć tak siła,
Z któremi nas od dawna krew jedna złączyła.
Niech wezmą kogo zechcą z ludzi całej ziemi,
Byleby tem wybraniem byli szczęśliwemi!!
Co do mnie; ten znak władzy, tę koronę złotą,
Temu nowemu panu przyniosę z ochotą,
I powiem mu: „Niemałać to rzecz jest nie mała,
W tym ludu milionów i całość i chwała,
Niechby jak nasze Piasty kraj ten wsławiał, cenił,
Co się z dzikiego gruntu dziś tak zazielenił!“ (22)
A ja w ciemnym gdzie kącie dalekim od tronu,
Przez łzy w oczach wyzierać będę mego zgonu.

SCENA VI.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA, WSZEBOR.

WŁADYSŁAW.

Zbisławo! wszakże wczora trzeba było, wczora...

ZBISŁAWA.

Panie, cóż miałeś robić?

WŁADYSŁAW.

Umrzeć była pora!..
Przeżyłem szczęście moje!... i niebo jak chciało,
Tak mu się na mą szkodę ostatnią udało,
Tyś także zapłakana!...

ZBISŁAWA.

Twego rządu chwała,
Żem smutnego w twych krajach dotąd nie widziała;
Ale klęska dzisiejsza i mnie się dostawa;
Dosyćby łez przyczyny: znałam Bolesława.

WŁADYSŁAW.

On cię kochał; on mi to mawiał z jakąś chlubą,
Te łzy, które nad jego dziś wylewasz zgubą,
Czynią mu sprawiedliwość!.. On dziś więcej niechce!..
Ani go nasza miłość, ani chwała łechce!
Tam gdzie poszedł, wesołość światła nie przechodzi,
Ale żalom posępnym tylko się wnijść godzi!..
Synu! ta mnie przynajmniej nadzieja nie zdradzi,
Smutek mój mnie za tobą wkrótce poprowadzi.
Ty Zbisławo zostaniesz, ażebyś płakała,
Mnie, com cię wybrał; syna, któregoś wybrała.
(Płacze.)

WSZEBOR.

Królu wspomnij, że Polak zostaje sierota!
Nasza, umrzeć dla kraju; a żyć, twoja cnota.

WŁADYSŁAW.

Przebóg! nie nazywajcież mię królem, ni panem!..
Byłem kiedyś, i nikt się z mym niezrównał stanem:
Póki mi tego skarbu najdroższego stawa,
Pókim ojciec dziedziczył syna Bolesława.
Mocarzów świata, zazdrość nad mem szczęściem bodła,
Mnie chluba z tego bytu, aż do pychy wiodła!..
Dziś, zowcie mię nędzarzem, starcem niedołężnym!..
Synem byłem bogatym; synem, byłem mężnym.

WSZEBOR.

Wiele jeńców odbitych już w miasto wjechało,
Niebo cię bez pociechy zostawić nie chciało.

WŁADYSŁAW.

Szczęśliwe matki, synów swoich odzyskaniem!
Dom wasz cały przeciw nim wyjdzie z powitaniem.

Każda łzami radości omyje i zliczy
Rany, które rozdrapał powróz niewolniczy!
Łoże sama uściele, zagrozi hałasu,
By im niepsuto dawno żądanego wczasu!
A mnie, którym krajowi to wesele zdarzył,
Gdy się za coś zawzięty los ze mną poswarzył,
Wziął syna, dał do zgonu płacz i narzekanie!

SCENA VII.

Ciż sami, BOLESŁAW, MIKROD, *potem* PRAXEDA.

WŁADYSŁAW *(biegnąc do Bolesława).*

Bolesławie! *(zatrzymuje się)* Któż ty?

BOLESŁAW *(zdziwiony.)*

Jestem syn twój panie!

WŁADYSŁAW.

A ten kto?

MIKROD.

Jestem Mikrod, tu niespodziewany.

WŁADYSŁAW.

Zbisławo! cóż to znaczy?

ZBISŁAWA.

Bóg nam przebłagany.

WŁADYSŁAW.

Któryż święty bronił cię?

MIKROD.

Bolesława ramię
Broni siebie, ojczyznę, i obóz nasz łamie.

WŁADYSŁAW.

Cóż od nieprzyjaciela znaczy ta pochwała?

BOLESŁAW.

Był czas, kiedy nieprzyjaźń między nami trwała;
Tym zmienianym szyszakiem orężaśmy bracią.

WŁADYSŁAW.

Prawdaż to? czy sen, jego łudzi mię postacią?

WSZEBOR *(Wszebor całuje w rękę Bolesława, a Bolesław go w twarz.)*

Tykam tej dzielnej ręki, i że prawda, czuję.

WŁADYSŁAW *(ściska Bolesława, ten ojca całuje w rękę).*

Żal mię nie mógł obalić, radość mię zmocuje.

BOLESŁAW *(do Zbisławy całując rękę jej).*

Szczęściu twej barwy, pani, winienem zwycięztwo.

ZBISŁAWA.

Tak jest, ale do tego przydawszy twe męztwo.

WŁADYSŁAW.

Pomoże nam cieszyć się, niech przyjdzie królowa.
(Wychodzą po Judytę).
Pewnie ludu naszego ubyło z połowa?

BOLESŁAW.

Co polegli od Rusi, mała cząstka była,
Ale Połowców szabla naszych przepleniła;
Przecież mówić nie można, żebyśmy swą klęską,
Bitwy dzisiejszej chwałę kupili zwycięzką.
Skarbimir, który wkrótce za nami się stawi,
Z doniesień od Rotmistrzów najpewniej się sprawi.

WŁADYSŁAW.

Toż i wojsko powraca?

BOLESŁAW.

Przy Jaxie zostało
Gwoli Połowców, których tym się poczcić zdało.

MIKROD.

Mów raczej, że pod waszych strażąśmy zostali.

BOLESŁAW.

Przyjacioł nikt nie strzeże.

PRAXEDA (*wchodzi.*)

Królowa się żali
Na słabość, co ją w swoim gmachu zatrzymuje,
Że nie przyszła tę dzielić radość, którą czuje.
(*Uchyla się ku Teofili.*)

WŁADYSŁAW.

Cóż się stało z Zbiludem, Zemą, Odolonem?
Czyli tam winę swoję opłacili zgonem?
Czyli je Przecław wiedzie na gardłowe kary?

BOLESŁAW, (*z podziwieniem.*)

A za cóżby to panie?

WŁADYSŁAW.

Winni są bez miary!
Zdrajce! świętokradzką się przysięgą złączyli,
By cię tam w zamięszaniu potyczki zabili.

BOLESŁAW.

Potwarz królu! Mikrodzie! ci to są trzej, którzy
Wśród najcięższej koło mnie nie odstępni burzy,
Tyle na mnie zmierzonych pocisków odbili;
I krwią twoich Połowców pola czerwienili!
Nie potrzeba im było zadawać mi rany,
Niechby mię odstąpili, byłbym rozsiekany.

MIKROD.

Gdybym miał trzech tak wiernych, i bitnych przy boku,
Nie mówionoby dzisiaj: „Mikrod umknął kroku."

BOLESŁAW.

Niebo mi ich umyślnie przychylne zesłało,
Ażeby mię w najgorszych razach wspomagało.

Zema, Odolon, stale plecy mi pilnował,
Zbilud, czasem ich wspierał, czasem mię ratował.
Mikrodzie, ten twój moment! kiedy się ścieramy,
A szablęśmi utrącił przy głowicy samej,
I rzeczesz (gdym skoczeniem w bok, śmierć mą omijał)
„Miej życie, jam bezbronnych nigdy nie zabijał.“
Ledwieś ostatecznego mógł domówić słowa,
Zwróciła cię gwałtowna szabla Zbiludowa.
Tyś doznał, czy przyjaciel, czy mój zdrajca to był,
On pierwszy z pod twej twardej zbroi krwi ci dobył.
Ja tymczasem buławą waszem płoszył męże,
Niż Połowcu jakiemuś wydarłem oręże,
I z blisko bijącym się Skarbimirem złączył.

WŁADYSŁAW.

Jakże wierny twój Zbilud z swemi dwoma skończył?

BOLESŁAW.

Pierwej poległ Odolon i Zema zrąbany.
Tysiąc Połowców na ich składało się rany.
Ale cięższe nad tysiąc Połowców twe ramię
Mikrodzie, z krzepkim jeszcze Zbiludem się łamie.
Na pomoc mu z hetmanem z jednej strony biegłem,
Gdy z drugiej z świeżym ludem Przecława postrzegłem
Na czele z Żelisławem. Lecz ty krwi niesyty,
By ci obłów nie uszedł na pół niedobity,
Mężobójczem żelazem ostatecznie cięty,
Jak dąb przy twoich nogach, padł Zbilud pożęty.
I jeszcze mieczem, który krwią ciepłą się kurzył,
Przecławaś wzywał, że mu równie będziesz służył.
Lud świeży prędko słabe uprzątnął zawady,
Mikrod jeden wśród naszych znalazł się gromady,
I gdy, jakby chciał zginąć, z miejsca nie umyka,
Krzyknę nań: „Bolesław cię z przyjaźnią potyka.“
On na to, pomyśliwszy nieco: „Miej tę sławę.“
Oddał mi broń; ja moję dałem mu buławę.
Okrzyk zwycięztwa runie od końca do końca;
Ja troskliwy, czy nie żył, który mój obrońca;
Znalazłem już umarłych Zemę z Odolonem.
Alem Zbiluda jeszcze zachwycił przed zgonem.

„Na mej przyjaźni (rzekłem) tyleżeś to zyskał?“
Żal nie dał mówić więcej, a łzy mi wyciskał!
Sam krew mu tamowałem, sam zawijał rany,
W nadziei, że przy życiu mógł być zachowany.
On, we mnie wlepi oczy, niby się uśmiecha,
Łzy mu razem popłyną, i rzecze mi z cicha:
„Ja to z radości płaczę, że cię widzę cało!
„I że przecię zwycięztwo przy naszych zostało!...
„Nie bój się wojny!.. Ale bój się domu książę!
„Skarbimir tajemnicę całą ci rozwiąże!“
Chciał coś więcej, ale w tem mowę miał zamkniętą,
Tylko mą rękę ściskał ręką niedociętą.
I chociaż mu tak wiele ran pozadawano,
Wielką duszę wyzionął, Mikrodową raną.
Tuż za mną, te przyjaźni świętej wiozą ciała,
By je uczciwie ręka moja pogrzebała,
Pięknej śmierci sprawić im winienem roczyny,
Darząc jak tylko zdołam, pozostałe syny.

SCENA VIII.

Ciż, SKARBIMIR i ŻELISŁAW *(z zawiązaną ręką.)*

SKARBIMIR.

Królu! taka zwycięztwa dzisiejszego sprawa,
Które otrzymujemy męztwem Bolesława.
Przypomnieliśmy sobie z Rusią niepoprawną,
My z niemi dawną dzielność, oni trwogę dawną!
Z pierwszem naszych natarciem jedni pierzchną wstrony,
Drugich, wraz z nami siecze jeniec uwolniony;
Że po trupach przedrzem się, gdzie Połowce stali,
I śmierć zadać, lub przyjąć gotowi czekali.
Szabla i pierś o piersi razem uderzyły,
Z takim gwałtem zbiegły się dwie potężne siły!
Bolesławie! Tyśto nam przyśpieszył zwycięztwo,
Że sobą całeś zajął Mikrodowe męztwo.
Nie mógł swoich posilać, mieć naszych na celu,
Musiał być w jednem miejscu, a miał być na wielu.
Przyjaźń bitwę skończyła: za danym jej znakiem,
Ściskał się krwawą ręką Połowiec z Polakiem.

Z naszych którzy polegli, na tysiąc wyniesie,
A z nieprzyjaciół może do sześciu zbierze się.
Rusi, drugieśmy tyle w niewolą zabrali,
Książęta się przez Wisłę wcześnie ratowali.
Plon cały odebrany, i odbitych jeńców,
Będzie do trzech tysięcy szlacheckich młodzieńców.
Prócz płci białej, prócz czerstwych wieśniaków od role,
Którzy długie okryli bojowiska pole.
Obóz nieprzyjacielski do tego zajęty,
Ich konie, ich wojskowe kosztowniejsze sprzęty;
I skrzynia obozowa złotem ładowana.
Takie zyski przyniosła dzisiejsza wygrana!
Królu! ci co w potrzebie mężnie się stawili,
Na twe względy i piękną sławę zasłużyli,
Kupioną na lada czem, ale krwawym znojem:
Żelisław, Jaxa z synem, Sieciech z Borzywojem.
Po nich, przy twoich nogach ścielą się sieroty,
Tych trzech rzadkich przyjaciół, tych trzech mężów cnoty:
Zbiluda, Odolona, Żemy!... Oni legli
Chętniej, niżliby pana swojego odbiegli!...
Książe! krew, którą widzę twa zbroja skropiona!
Krew to będzie Zbiluda, Żemy, Odolona:
Od tysiąca pocisków zasłaniając pana,
Z ich rąk i wiernych piersi ochoczo przelana.
Królu! w skrytości będziesz tajemnicę wiedział.
Którą przed samą bitwą Zbilud mi powiedział.
„Możemy (rzekł) śmierci się dzisiaj nie wybiegać,
„Żeby poznał Bolesław kogo się wystrzegać.“
Wielkie dusze! szczęście im w całym blasku stawa,
Oni woleli podjąć śmierć dla Bolesława!

WŁADYSŁAW.

Sierotom ich najwięcej dając, mało damy,
Jakże pięknie zgładzili młodości swej plamy!
Polak, jak insi ludzie, może się źle stawić,
Ale w złym trwa nie długo, lubi się poprawić.
Skarbimirze! dzisiejszą posługę z twej strony,
Nagrodzić nie wydołam, umrę zadłużony.
Bolesław, który po mnie na tym tronie siędzie,
Tobie i twoim dzieciom wypłacać się będzie.

Żelisławie! i innych co Hetman wspomina,
Pewnie was nie przepomni przyjaźń mego syna.
Ale cóż to? ranionyś?

ŻELISŁAW.

Chlubna to jest rana
Którąm dla mej odebrał ojczyzny i pana.
Szlachcic rodząc się, ten dług przyjmuje na siebie,
Swoją, lub nieprzyjaciół krew wylać w potrzebie.

MIKROD.

I byłbyś może ze mnie krwi dzisiaj natoczył,
Gdyby mię zasłaniając książe nie przyskoczył.
Bolesławie! on krzywdę ma: byłby się chlubił,
Że mię zdołał pokonać, że Mikroda ubił.

BOLESŁAW.

Moja obrona ciebie zawsze będzie mniejszą,
Twój czyn ze mną ma cechę daleko piękniejszą:
Żeby, widziano, na tem chwałęś swą zasadził,
Żeś tylko niechciał, ale łatwobyś mię zgładził.

WŁADYSŁAW, *(biorąc za rękę Mikroda.)*

Mikrodzie! Przyjaźń wiąże ręka, którąć daję,
Niechęć między twym ludem i mym niech ustaje.
Szabla twoja mą szablę niech wspiera z ochotą.
Równie dzielić się będziem pogodą i słotą.
Na stwierdzenie przyjaźni, którą dziś związuję,
Obóz wzięty na Rusi całyć ofiaruję.
Tak Rusina rozeznasz od Polaka z twarzy,
Przyjaciel cię odbiega, nieprzyjaciel darzy.

MIKROD *(na gołą szablę lejąc wodę.)*

Ktoby wam przyjaźń złamał, nich od szabli ginie,
Niech mu się krew tak leje, jak ta woda płynie ([23])
Polacy! znam was w bitwie, i poznałem w zgodzie!
Wezwiecie mię, nie zbędzie nigdy na Mikrodzie.
Tylko bądźcie tak mężni, jak dziś z Bolesławem, ([24])
A dobiwszy się chwały szabli waszej prawem,
Staniecie tam gdzie się was moc sama zaboi,
I świat wyzna: że Polak na swem miejscu stoi.

SCENA *ostatnia.*

Ciż sami i Judyta wybladła na krześle przyniesiona.

WŁADYSŁAW.

Cóż to znowu?

JUDYTA.

Judyta, w życiu, w zgonie, stała!...
Śmiercim zadać nie mogła, śmiercią się skarała.
Trucizną Mieczysława do grobu prowadzę,
Syn twój nożem nie zginął, trucizną się gładzę.

WŁADYSŁAW.

Lekarzów!

ZBISŁAWA.

Jakaż rozpacz!..

BOLESŁAW.

Laury me zwiędniałe!..

JUDYTA.

Niebo mnie nie wysłucha, dla mnie skamieniałe;
Ale idę do piekłów, tam Jędzę poruszę.
Niech brat własny powstaje na braterską duszę;
Niechaj następce wasi wyjdą na poddane,
I niech całują ręce hańbą ich zmazane.
A te łotry azyjskie, co dziś z wami w zgodzie,
Niech zalęknionych Piastów płoszą po narodzie.
Oby kiedy krew która, krew moja niemiecka
Żelazne kładła jarzmo na Sarmackie dziecka;
By nad niemi nieczuli właśni bracia stali,
Ani ich podźwignęli, ani żałowali...
....
Niech wasze spodli imię, rządzi się w dziedziznie!

BOLESŁAW.

Jam niewinny! ale mej nie złorzecz ojczyznie.

JUDYTA.

Radabym za mą wzgardę za jednym zachodem,
Byś ze mną i obrzydłym zapadł się narodem.
(Wszebor klęka koło Judyty.)

WŁADYSŁAW.

Taki koniec namiętność miewa, źle strzeżona!
Spokojność, potem życie wydziera!

WSZEBOR.

Już kona!

PRZYPISKI.

1) Władysław Herman wstąpił na tron roku 1081 po Bolesławie Śmiałym. Nasz zaś Bolesław, syn jego urodził się dopiero w roku 1085 z Judyty księżniczki czeskiej, pierwszej żony, która w tym połogu umarła.

²) Prócz Zbigniewa syna z nieprawego łoża, żadnego już mężczyzny dom Piastów nie miał. Jeden tylko Bolesław całego domu był nadzieją.

³) Roku 1101. zjechali się do Stakowa, i sprzymierzyli przeciwko Polakom książęta ruscy: Włodzimierz Monomach czerniechowski, syn Wszewłoda kijowskiego; Wołodar przemyski, syn Rościsława; Jarosław, syn Jaropełka książęcia Włodzimirskiego, zabitego pod Swinigrodem; Dawid i Oleg bracia książęta Pereasławscy. Wszyscy wnukowie, albo prawnukowie Włodzimierza wielkiego.

⁴) Połowce, byli jednym z tych wędrownych do Europy narodów azyatyckich, które dawne wieki Scytami, potem Hunnami, Pieczyngami, Uzami, i t. d. a późniejsze, Turkami i Tatarami nazwały. Około roku 1100, sławniejsi wodzowie hord Połowców byli: Itlar, Tugerkan, Maniak, Kitan, Boniak, Mikrod. A ten ostatni najwaleczniejszy, pobił pamiętną klęską Kolomana króla z całą potęgą Węgrów pod Przemyślem.

⁵) Bolesław Chrobry dobywszy Kijowa roku 1018 wjeżdżając w bramę nazwaną złotą, uderzył w nię pałaszem: który od owego uderzenia wyszczerbiony szczerbcem potem nazwany, chowany jest dotychczas między skarbami królestwa w Krakowie. Znak od tego natenczas uderzenia pałaszem, na bramie kijowskiej został. Który potem w roku 1077 Bolesław Śmiały dostawszy znowu Kijowa, uderzywszy szablą w toż samo miejsce, ponowił.

⁶) Roku 1086 Jaropełk książę łucki, odbiera nazad wydarty sobie Łuck przez Włodzimierza Monomacha, samem pokazaniem się tylko pod miastem wojska polskiego.

⁷) Imiona, Jaxy, Żelisława, i tam dalej, są z dziejów naszych wyjęte, żyjących w tym czasie naczelnych obywatelów w narodzie. Żelisław, który tu u nas jest poufałym Bolesława, był w samej rzeczy pod tymże Bolesławem sławnym potym hetmanem.

Ten to sam jest, który w potrzebie z Morawcami straciwszy rękę, Morawca, który mu ją uciął, drugą zabił. Zbilud, Żema Odolon; trzej zabójce, (prócz inszych) śgo Stanisława biskupa krakowskiego, których z wygnania z Węgier Władysław Herman przywołał, majętności im pooddawał, i do honoru przywrócił.

[8]) Poznać tu pychę Judyty, która sama będąc Niemką, z domu cesarzów linii frankońskiej, nie wspomina innych babek Bolesława, ale aż Ryxę prababę, synową Chrobrego, która była córką Ezona hrabi Ryńskiego, urodzoną z Matyldy córki Ottona II, a siostry Ottona III cesarzów z domu saskiego.

[9]) Włodzimierz wielki, monarcha Ruski, panujący za czasów naszego Mieczysława I. który wiarę przyjął, zagarnął aż do brzegów Sanu i Buga dzierżawy Słowian sprzymierzeńców polskich.

[10]) Młodzian tamtych wieków pasowany na rycerstwo, takiego koloru przy boku, albo przy szyszaku wstęgi nosił, jaki lubiła panna, którą sobie tem ująć chciał. I to tu barwą się nazywa.

[11]) Zbisława, była córką Świętopełka książęcia kijowskiego, bardzo blisko spokrewniona z Bolesławem; bo matka Władysława Hermana, była rodzoną ciotką Świętopełka ojca Zbisławy.

[12]) Roku 1099 Brzetysław król Czeski, wuj Bolesława, pasował go na rycerstwo. W rok potem ojciec Władysław, swoim go także rycerzem zrobił w Płocku. Kto w tamtych wiekach nie był pasowany rycerzem, sądzono że bezprawnie miecza dobywał na nieprzyjaciela. Podawano przystępującemu miecz, i pas rycerski, przypinano ostrogi, i wkładano łańcuch złoty na szyję, powinien był być ślepo posłusznym temu, kto go pasował, a z placu bitwy nigdy nie ustępować i t. d.

[13]) Władysław Herman z drugiej żony Judyty, wdowy po Salomonie królu Węgierskim, miał trzy córki, o których imionach i jak się obróciły nie wiele wiadomo. Ale obacz jeszcze w następującej nocie pod liczbą [18]).

[14]) Judyta była siostrą Henryka IV. córką Henryka III. wnuką Konrada II. cesarzów z domu frankońskiego.

[15]) Mieczysław syn nieszczęśliwego Bolesława Śmiałego, po ucieczce z Polski ojca, chronił się w Węgrzech. Kochał go król węgierski dla pięknych duszy i ciała przymiotów. Sprowadzony do kraju od Władysława stryja, roku 1083 a struty z żoną Eudoxyą córką Izasława książęcia kijowskiego roku 1088.

[16]) Lubecz miasto nad Dnieprem, gdzie książęta Ruscy przymierzami pozabezpieczali sobie dzierżawy swoje w r. 1097.

[17]) Zbisława była córką Świętopełka, wnuką Izasława, prawnuką Jarosława monarchów Ruskich na Kijowie; a dalej: od Włodzimierza wielkiego jedynowładzcy, i jego poprzedników pochodziła.

[18]) Od czasów Włodzimierza W. który miał za żonę córkę cesarza konstantynopolitańskiego, książęta Ruscy mieli łatwy handel z Carogrodem, albo lądem, albo rzekami Dnieprem i Dniestrem, a potem Czarnem morzem.

[19]) Hübner w Tablicach genealogicznych powiada, że Ryxa córka Hermana i tej Judyty, była za Alfonsem VII. królem Kastylii.

[20]) Ryxa matka Kazimierza I. dla uciemiężenia kraju za życia męża, i po śmierci jego rządząc Polską, wraz z synem wypędzona.

[21]) Grzegorz VII. ów sławny Hildebrand po zabiciu św. Stanisława, koronę Polakom odebrał, ale kłócący się z nim natenczas Henryk IV. cesarz, na złość papieżowi dał ją Władysławowi następcy po Śmiałym, któremu i siostrę swoję poślubił. Już tedy Władysław, nie chcąc uwłóczyć prerogatywom cesarza, do którego pewniej należało koron rozdawanie, musiał się królem Polskim nazywać, i bezwątpienia nazywał się.

[22]) Z pomiędzy Piastów, Bolesław Chrobry, Kazimierz pierwszy, i Bolesław Śmiały Polskę dawniej mniej znaną, wsławili w Europie porządniejszym rządem wewnętrznym, rozszerzeniem granic, i tylu zwycięztwami nad cesarzami niemieckiemi, Rusią, Prusakami, Pomorzanami i t. d.

[23]) Scytowie azyatyccy, jakiemi byli i Połowce, czyniąc przymierza, zaprzysięgali je, lejąc wodę na gołą szablę: i ten zwyczaj, pewnie był najdawniejszym. Tak przysięgali potem i też słowa wymawiali, (jak tu Mikrod) Olbrychtowi naszemu r. 1501 posłowie Szachmata cara Zawołgskiego, którzy tego narodu co i Połowce byli.

[24]) Ta sławna w dziejach naszych bitwa wygrana była w roku 1101. Jeńcy zagarnione w Polsce i zdobycz książętom ruskim, i Połowcom ich sprzymierzeńcom odebrana, nieprzyjaciele pobici, albo rozproszeni, obóz ich nawet cały wzięty. Wszystkiego tego ledwie 16 lat mający z małą garstką swoich dokazał Bolesław III. powszechnie Krzywoustym przezwany, od wargi jednej w młodym wieku wrzodem skrzywionej. Jak to przezwisko Krzywoustego w dalszym jego wieku dać mu miano, tak i mnie Krzywoustym go teraz nazywać nie zdawało się. Bo może to być, że dopiero po roku 1101 wrzód mu tej wargi nakrzywił. Dziesięcioletni już wojować zaczął. Wziął Międzyrzec Pomorzanom wtenczas, kiedy Sieciech hetman stary, już od oblężenia dla niepodobieństwa chciał odstępować. W czternastym roku nasz Santok od Pomorców obronił, a pomorskiego naprzeciwko wystawionego dobył; po której wyprawie Pomorzanie synem go wilczym nazwali. Ojciec Bolesława umarł w rok po zwycięztwie nad Rusią otrzymanem. Po odprawionej rocznej żałobie po jego śmierci, ożenił się wkrótce z Zbisławą księżniczką kijowską, bliską pokrewną swoją, za dyspensą rzymską, i był potem jednym z najwaleczniejszych monarchów Polskich.

CZYNSZ.

KOMEDYA WE TRZECH AKTACH.

OSOBY.

MIŁOSKI, Pan.
STATECKI, Przyjaciel pański.
GROŻNICKI, Podstarości.
MAŁGORZATA, Żona podstarościego.
SZYMON, Wieśniak.
POLUSIA, Córka Szymona.
BARTECKI, Pisarz Grożnickiego.

Scena we Dworze Podstarościego, we wsi pana Miłoskiego.

KOMEDYA.

AKT I.

SCENA I.

GROŹNICKI, BARTECKI.

GROŹNICKI.

Bartecki! Waść jeszcze nie znasz naszego pana? Młody, raźny, chodzi po francuzku, a fryzura większa od całej głowy; prędko się rozgniewa, ale w momencie dobry, i żal mu że się rozgniewał, nie wiem co on tam z drugimi gada po francuzku, ale zemną zawsze gadał tylko o pieniądzach. Posadził mnie raz z sobą do stołu, kiedym mu podatki przywiózł; ale drugi raz przyjechawszy za interesami do pana, ani zemną gadać chciał, tylko mi przez sekretarza powiedziano, że pan ma ważniejsze interesa, żeby miał pamiętać o wyderkasie plebanowi od trzech lat niezapłaconym.

BARTECKI.

Cóż tam pan nasz robi w tej Warszawie? Mając swoje miasta i wioski, czegóż on siedzi w cudzem?

GROŹNICKI.

Któżby to wszystko wyrachował, co panowie robią w Warszawie! oni to jednem słowem nazywają bawić się. I tak, bawią się u księcia, u wojewody, na operze, na reducie, na hecy, i tam dalej.

BARTECKI.

Prócz księcia i wojewody, nic dalej nie rozumiem, co to ta opera, reduta, heca?

GROŹNICKI.

To ja ci kiedyś wytłumaczę. Ale co się tycze zabawek pańskich, jak naprzykład pan nasz, często na obiady proszony bywa... i wtenczas, kiedy jedzie karetą, dwóch lokajów, dwóch strzelców, dwóch uzarów, Murzyn, i laufer być muszą przy karecie.

BARTECKI.

Zapewne tych ośmiu ludzi parami przed karetą idą, i to powinnoby się pięknie wydawać.

GROŹNICKI.

Czepiają się różnie po karecie. Ale ja nie wiem na co panu naszemu laufra, kiedy wyjeżdżając do kogo, zawsze ma przy sobie wierzchowych, kiedy jedzie o kilkaset kroków z domu jednego do drugiego? Murzyn zaś pański nic wcale nie robi, i tylko jest Murzynem.

BARTECKI.

A też dwa strzelce, co tam w Warszawie strzelają?

GROŹNICKI.

Oni się tylko nazywają strzelcami, i barwę strzelecką noszą; ale strzelać żaden nie umie, chybaby po półmiskach i farfurkach. Cały rok za Warszawę niewyjadą, strzelać w mieście nie wolno, a oni po staremu strzelce. Jakże to wiele opłata tych wszystkich ludzi kosztuje! po większej zaś części pan ich niepotrzebuje. Chodzi bardzo często sam jeden piechotą po

Warszawie w surducie, w kapeluszu spuszczonym, i z laską w ręku; chodzi Bóg wie którędy, i powiada, że go to najlepiej bawi.

BARTECKI.

To słyszałem, że pan nasz na obiady cudze wyjeżdża; a do niego nie przyjeżdżająż kiedy na objad?

GROŹNICKI.

Bardzo często także u siebie obiady daje: Ci, co nie mając co inszego do roboty, rachują po Warszawie obiady dobre, powiadają, że u naszego pana jest objad między najlepszemi. Ale też na te uczty, i na kobietki, wiele to pieniędzy wychodzi; i gdyby go pan Statecki nie wstrzymywał, jużby dawno było po nim. Chociaż i tak, prócz intrat strawionych, jeszcze co rok wioskę jaką przedaje.

BARTECKI.

Któżto jest ten pan Statecki?

GROŹNICKI.

Dziad pana Stateckiego był dziedzicem tych wszystkich wiosek, i (jak powiadają) dziad pana Miłoskiego niesprawiedliwie mu je wydarł, czy wyłudził; otóż nasz pan, który ma serce dobre, przez ten wzgląd chce mieć zawsze pana Stateckiego przy sobie; lubi go, szanuje, i czyni mu wygody największe. Pan Statecki ma coś i swego, ale go w Warszawie panem nie nazywają, i dlatego tylko tam go poważają, że ma być człowiekiem bardzo poczciwym.

BARTECKI.

Coś słychać, że pan nasz ma tu przyjechać!

GROŹNICKI.

W tych dniach to go się spodziewamy. Dlatego niechaj i rejestra będą gotowe, i podatki od poddaństwa ze wszystkiem powybierane; bo kiedy go przy-

witasz jakim tysiącem złotych, nie masz lepszego pana nad naszego.

BARTECKI.

Wszyscy już poddani wypłacili się, jeden tylko Szymon, który przeszłych lat najpierwszy był do płacenia, teraz jeszcze szeląga nie dał.

GROŹNICKI.

Waść kochasz Polusię córkę Szymona, i może mu umyślnie folgujesz. Ale poprzysięgam, jak mi dziś pieniądze nie będą, temu dziadowi sto nahajów wyliczę, i nie będę uważał na jego starość. Idź waść zaraz do niego, i powiedz mu, że go sto spełna czeka. *(Bartecki wychodzi.)*

SCENA II.

GROŹNICKI, GROŹNICKA.

GROŹNICKA.

Czegóż się waszeć tak rozgniewałeś?

GROŹNICKI.

A jakże to do nieszczęścia nie mam się gniewać? Wszyscy poddani już zapłacili podatek, a Szymon jeszcze nie oddał, pana zaś w tych dniach się spodziewam; ale popamięta mnie ten obmierzły starzec. Moje serce, moja Margosiu, nie prośże mi za nim, bom przysiągł, że mu dziś sto nahajów wyliczę, jeżeli pieniędzy do szeląga nie odda. Zuchwały to chłopek, nie raz on mi odpowiedział, nie raz się w słowach sprzeciwiał; przyszło teraz i na Szymona.

GROŹNICKA.

Sto nahajów Szymonowi! jest to go na śmierć ubić! To to waszeć na to przysiągłeś, żeby człowieka zabić?

GROŹNICKI.

O moja panno! na chłopie każdym jest skór dziewięć; byle ostatniej nie tykać, to wytrzyma.

GROŹNICKA.

Chłopia skóra taka, jak szlachecka. Lepiej go wsadzić do turmy, to ta jego ulubiona córeczka wystara się zaraz o pieniądze. Gdyby tak na mnie, jabym nawet nie ojca, ale ją samę wsadzić kazała, a tylu jej kochanków, któremi ona pogardza, zarazby się na pieniądze złożyli.

GROŹNICKI.

Cóż córka winna, że jej ojciec podatku do skarbu zapłacić nie chce? Ona jedna Szymona żywi, a waszeć radzisz, aby ją do turmy wsadzić! Oto lepiej, weź ją Margosiu do dworu na służbę. Dałyby się jej z góry pieniądze na ten podatek, a onaby to z czasem odsłużyła.

GROŹNICKA.

Już się waszeci Polusi na folwarku zachciewa. Wziąć ją na folwark, chyba na to, żeby były dwie razem podstaroście.

GROŹNICKI.

Margosiu! a waszeć już zaczynasz.

GROŹNICKA.

Otóż waszeć zacząłeś?

GROŹNICKI.

Toż ja pierwszy milczę.

GROŹNICKA.

I ja milczę druga.

SCENA III.

GROŹNICKI, GROŹNICKA, POLUSIA.

POLUSIA.

Mospanie! mój ojciec płacze!

GROŹNICKA.

A czemuż ty ulubiona córeczka, miasto niego nie płaczesz, co to powiadasz, że go tak bardzo kochasz?

GROŹNICKI.

Moja Margosiu! Cóż to ma do tego? Ten płacze, kto płakać może. Polusiu! czegóż twój ojciec płacze?

POLUSIA.

Że go wpan przez Barteckiego za niewypłacony podatek plagami postraszyłeś. Kiedy matka moja umierała, on nie płakał, i mnie płaczącą cieszył. Pierwszy raz dzisiaj widzę łzy ojca mojego, musi być, że dzisiaj żal ma największy. Mój ojciec powiada, że bardziej jeszcze boi się wstydu, niżeli bólu, bo był zawsze człekiem poczciwym...

GROŹNICKA.

Na cóż ci kochaneczko, tych twoich sukień, w które się tak lubisz stroić; jeżeli tak kochasz ojca, jak mówisz, sprzedaj to wszystko, a może wystarczy na podatek.

POLUSIA.

Mościa pani! któżby sukni żałował, żeby odkupić od bólu i hańby ojca własnego? Jużem mu to nawet mówiła, ale on spodziewa się łaski wpana, mospanie Groźnicki, że da Bóg po zbiorze z pola, w jesieni, razem dwuletni podatek zapłacić mu pozwolisz. Sukman zaś moich w pół darmo (jak powiada) trwonić nie chce.

GROŹNICKI.

Mogłabyś Polusiu pójść gdzie na służbę; takim sposobem opłacilabyś podatek ojca.

POLUSIA.

Kiedy gruntu trzymać nie wydołamy, oddamy go do skarbu; a na tenczas ja pracą rąk własnych będę

żywiła ojca mojego; ale go do śmierci nigdy nie opuszczę.

GROŹNICKA, *(biorąc za rękę Polusię i wyprowadzając ją z izby.)*

Pódźże ztąd, podź, ty cnotliwa dziewczynko, żeby podatek był zaraz gotowy; bo jeżeli nie na ojcu, to się na tobie skończy.

GROŹNICKI *(po wyjściu Polusi.)*

Margosiu! Jakże waszeć jesteś bez politowania! Kiedy ta dziewczyna gadała, mnie się serce z litości krajało; a waszeć ją za drzwi wytrąciłaś!

GROŹNICKA.

Serce mu się krajało, kiedy Polusia gadała, a niedawno chciał krajać skórę nahajami starca 70 lat mającego.

GROŹNICKI.

Chciałem krajać, bo zasłużył na krajanie; ale Polusia Bogu tylko duszę winna. Dziewczyna najpoczciwsza! Cożeś to moje serce do niej upatrzyła?

GROŹNICKA.

Upatrzyłam to, że trochę za często na nię patrzysz.

GROŹNICKI.

Margosiu! Waszeć znowu zaczynasz, a ja cierpię.

GROŹNICKA.

Mniejsza o to, mniejsza; ja zaczęła, ja wyjdę z izby, a ty zawołaj Polusi, i kończ z nią kontrakt na służbę do folwarku.

SCENA IV.

GROŹNICKI *sam, potem* BARTECKI.

GROŹNICKI.

Dziwna ta moja żona! Jej się zdaje, że ja Polusię kocham. Jakby to nie można dziewczyny pięknej chwalić, albo się nad nią litować, żeby się w niej razem nie zakochać? To prawda, że ja lubię patrzyć na piękne twarzyczki; naprzykład, ktoby tu nie lubił patrzeć na Polusię, kiedy się na nię tak patrzeć zachciwa; ale też co z oczu, to i zmyśli. Ja gotów ją ścisnąć, i pocałować, a nic to do tego nie przeszkadza, że Margosia zawsze serce moje mieć będzie. Jakoż kobieta wierna mi, i dobra gospodyni, i gdyby nie zawiść, a drugie zbyteczne przywiązanie do pieniędzy, nicbym jej nie miał wymówić. *(Bartecki wchodzi).* Cóż tam Bartecki! Szymon płacze, a twoja Polusia smutna.

BARTECKI.

Szymon, Polusia i ja z niemi, wszyscy tam razem płakaliśmy; bo Polusia powróciwszy od wpana, wytrącona, jak powiada od pani Groźnickiej, zacząwszy z płaczem opowiadać to przed ojcem, nas obudwóch rozpłakała.

GROŹNICKI.

Mnie samemu jej żal było, ale żeby zaraz płakać dla tego, że ona płacze, tego nie rozumiem.

BARTECKI.

Ja nigdy także nie płakałem, chociaż już tylu przed sobą widziałem płaczących. W początkach, kiedy mnie wpan wysłałeś do wsi na exekucyą, często mnie nędza chłopia wzruszała, ale z czasem wprawiłem się przy wpanu, i dla całości skarbu pańskiego tłuklem po domach garnki i szklanki, rozbijał naczynia i piece, a w bród sypał dla konia owsa...i chodząc między płaczącemi matkami i dziećmi, całe godzinki bez przerwania zwyczajnie prześpiewałem. Ale to co inszego z Polusią! Przyszedłszy od wpana, rzuciła się

na szyję ojca, i łkając, o wytrąceniu siebie z izby powiadała. Jeszcze ja to wytrzymałem; starzec zaś zrozumiawszy, że nic nie wskórała u wpana, podniósł ręce do góry, i prosił Boga, żeby jeżeli przyjdzie tę bolesną i wstydliwą na starość karę odebrać, żeby jej nie przeżył, żeby umarł... a córkę swoję opiece Boskiej polecał. Ona, wpół ścisnąwszy ojca, łkając mówiła: „Nie wydrą mi cię ojcze mój, nie wydrą! razem ja z tobą na więzienie, na karę, i na śmierć pójdę." Otóż ja wtenczas płakać zacząłem, i płakałem póty, aż Szymon do mnie się obróciwszy, rzecze: „Dla tej dziewczyny żalby mi było jeszcze umierać, kiedy ją kochasz, ratuj mnie dla niej!" Pierwszy raz w tenczas Polusia na mnie słodko wejrzała. Porzuciłem ich i biegnę do wpana *(Kłaniając się Groźnickiemu)*, daruj te plagi Szymonowi, żeby Polusia moja nie umarła.

GROŹNICKI.

Cóż tedy waść chcesz, ja podatku Szymonowego z mojej kieszeni nie zastąpię... a to chłopek hardy, dobrzeby go przy tej okazyi upokorzyć,

BARTECKI.

Jest sposób na wszystko. Ja Polusię kocham, i kochać będę do śmierci. Dla niej gotów jestem o chlebie i wodzie całe życie pracować. Każ wpan zawołać Szymona, groź i fukaj najpierwej, potem wspomniej mu o mnie swatając mnie z jego Polusią. Jabym ten podatek z mojej krwawej pracy zastąpił. Wszystkich pieniędzy niemiałbym, ale za łaską wpana wziąłbym z góry na pół roku strawne i zasługi, a tak może byłoby dosyć na ten podatek. Nie wiem, co Szymon ma do mnie, że ile razy mu o Polusi namieniłem, zawsze przerwał i o czem inszem gadać zaczął. Dziewczynę możebym ubłagał, ale z nim ciężko. Przyszła pora, że mu tym sposobem potrzebny będę, i bojaźń kary może go dla mnie nakłoni. Zmiłuj się mospanie, ratuj mnie teraz, a to szczęście wpanu jednemu winien będę.

GROŹNICKI.

Robić będę jak zmogę. Biegaj mi zaraz po Szymona. *(Bartecki wychodzi).*

SCENA V.

GROŹNICKI *(sam).*

Bartecki widzę nie żartem kocha, a Szymon byłby najgłupszym, żeby mu Polusi bronił. Stary, już pracować nie zdoła, a lubi żyć wygodnie, właśnie takiego zięcia potrzeba mu było. Szymon z nim będzie szczęśliwy, jak nigdy nie był. Ale jak się Polusia do męża na folwark sprowadzać będzie, co też moja żona na to? O będąż pioruny! Nie bój się Margosiu nie bój. Polusia będzie we środku nas, a ty zawsze będziesz moją Margosią, a Polusia Barteckiego.

SCENA VI.

GROŹNICKI, SZYMON, *potem* GROŹNICKA.

SZYMON.

Już sam szedłem do Wpana.

GROŹNICKI.

A pókiż to chłopku będą do ciebie chodzić i napominać o podatek dotychczas nie zapłacony? Już wszyscy skarb dawno zaspokoili, ty jeden właśnie żartujesz z dworskiej zwierzchności; ale ja nie żartuję, i lubię dotrzymać słowa; wiesz, czem to pachnie? *(pokazując mu harapnik)* sto spełna Szymonie.

SZYMON.

Zboże się przeszłego roku nie urodziło, bydło wyzdychało na wiosnę; ja stary, zarobić nie mogłem, i tak zaciągnął się podatek, który corocznie najpierwszy zwykł byłem wypłacać.

GROŹNICKI.

O tem się nie mówi, co było; ale o tem, co teraz jest; winieneś zapłacić.

SZYMON.

Cóż dam Wpanu, nic sam nie mając. Grozisz mi Wpan karą; jeżeli będzie tak wielka, jak obiecujesz, czując się słabym, spodziewam się, że będzie razem i śmiercią moją. Zrobisz mi mospanie łaskę, kiedy dokończę nieszczęśliwego życia, i hańby mojej nie przeżyję.

GROŹNICKI.

Nie tak to łatwo umrzeć, jak ci się zdaje; poleżysz ruski miesiąc, i potem się wyleczysz, dam ci nawet na mydło. Ale czemu ty córki twojej za mąż nie wydajesz, kiedy się ludzie trafiają? Zięć ratowałby cię w starości; a jeszcze wybrać takiego, żeby nie był hołyszem, mógłby i podatek teraźniejszy zastąpić.

SZYMON.

Moja Polusia uboga, i prócz cnoty, za którą zaręczam, żadnego wiana nie weźmie, któżby się o nię majętny starał?

GROŹNICKI.

Otóż powiem ci. Uważałem, że Bartecki biega za twoją Polusią. Człowiek stateczny, ma obrót, był w szkole, umie czytać, pisać i rachunki; i Polusia lepszego męża mieć nie może; zdaj się na mnie, ja zrobię wszystko. Córka twoja będzie szczęśliwą, ty unikniesz kary, i podatek przez Barteckiego będzie zaspokojony.

SZYMON.

Uważałem i ja, że Bartecki pogląda na córkę moję, że jest starowny, i że ma obrót, ale!..

GROŹNICKI.

Cóż ale?.. Bartecki u mnie bez ale; ale jest to człowiek, który nie będzie głodny chleba do śmierci.

SZYMON.

Nie dosyć na tem mospanie, nie dosyć. Gorzki to chleb, który przez szalbierstwo, albo łzami ludzkiemi przyjdzie.

GROŹNICKI.

Cóż dalej?

SZYMON.

Bartecki lubi ludzi oszukiwać, a do tego ma serce najtwardsze. Nad kim on się tu w całej wsi ulitował, kiedy kogo ukarać plagami przyszło? albo kiedy przed kilku latami wyszedł na exekucyą, jakże się nie znęcał nad ludzmi nieszczęśliwemi?

GROŹNICKI.

No, i cóż tam więcej?

SZYMON.

Prawda, że ma talent czytania i pisania, ale gdybyć go na dobre używał! Z takiem złem sercem, jak go ma, lepiejby było, żeby był pisaś nie umiał, bo to mu daje sposobność szkodzenia więcej.

GOŹNICKI.

Cóż tam jeszcze panie Szymonie?

SZYMON.

Dosyć i tego mospanie. Niech mój zięć tak nie ma nic, jak córka moja; ale niech ma dobre skłonności, prędzej, albo później samo ich szczęście nadybie.

GROŹNICKI.

A teraz czem waszeć podatek zapłacisz?

SZYMON.

Nie chcę go płacić nieszczęściem do śmierci córki mojej, gdybym ją wydał za Barteckiego; i jeżeli nie będziesz wpan miał litości nad starcem, i niepoczekasz wypłacenia się mego w głębszej jesieni, żebym razem

za dwa lata skarb zaspokoił... to już i karę poniosę. Wolę ten podatek zapłacić życiem własnem, niżeli życiem dziecięcia mego.

GROŹNICKI.

Cóż to chamie?.. to ty mnie katem robisz?

SZYMON.

Ja Szymon, nie cham.

GROŹNICKI.

Rózeg, kijów, nahajów, postronków; o nie, poradzę waści lepiej. Gnić mi będziesz obmierzły dziadu w turmie o głodzie, póki podatek do szeląga wypłacony nie będzie. *(Porywa Szymona za piersi, i wytrąca z izby, wołając na ludzi).* He! he! wójty, stróże, parobcy, weźcie go do więzienia, do turmy, do kozy, zamknąć go na klucz; a! na klucz ptaszka. *(powraca ode drzwi wytrąciwszy).* Cóż to za chłopek! ubogi a hardy, gdyby tu anioł w ludzkiem ciele, toby niewytrzymał. Jam kazał podatki przynieść, a on mi z kazaniem przyszedł o dobrej śmierci. Kogo on się u nieszczęścia spodziewa do swojej córki, kiedy już i Barteckiego nie chce! Ale może jeszcze dziad przyjdzie do rozumu, turma i bycza skóra pędzi rozum do głowy.

GROŹNICKA *(wpada).*

Moje serce, moje serce; ułan przybiegł, pan będzie za kwandrans.

GROŹNICKI.

Poprzątajcie, poprzątajcie, niech w izbach pozamiatają. Pajęczyny! pajęczyny! A waszeć Margosiu, weź nowe patynki, mantolecik parterowy, kanaki na szyję, i kołpaczek na głowę.

AKT II.

SCENA I.

MIŁOSKI, STATECKI, GROŹNICKI.

MIŁOSKI.

Cóż tam panie Groźnicki? Dobrze tu gospodarujecie? Macież pieniądze? bo trzeba, abyś waść wiedział, że pieniądze są celem każdego gospodarstwa.

GROŹNICKI.

Gospodarstwo nam idzie dobrze, i cel gospodarstwa, pieniądze, mamy zebrane.

MIŁOSKI.

Czy odebrałeś waść książkę Katona i Kolumell przetłumaczoną z łacińskiego, którą ci niedawno przesłałem?

GROŹNICKI.

Sic est Monsenior.

MIŁOSKI.

Czytałeś to pismo całe? bo ztamtąd wiele światła nabrać można, i do naszego gospodarstwa przystósować.

GROŹNICKI.

Przyznam się panu, że tylko zajrzałem w tę kiążkę, bo jak mi się zdaje, ja umiem dobrze gospodarstwo, jakiego potrzeba do wsi pańskich... Poznać naturę pola, gdzie co posiać można; zgnoić grunt należycie, przeorać ziemię do sypkości, wyczyscić z chwastów jak najlepiej, zasiać nasieniem zdrowem, a w swojem czasie; zbierać także w czasie a sucho, wymłócić należycie, i sprzedać w porze i w miejscu najlepszem do sprzedania. Oto już całe rolne gospodarstwo. Zajrza-

łem raz w tę książkę przysłaną, aż tam napadam, żeby do sprawienia gruntu brać gnój z gołębnika. A gdzieżbym ja znalazł tyle gnoju gołębiego, żebym nim ćwierć mili gruntu uprawił? To rzymskie gospodarstwo było podobno na małe ogrodki, nie zaś na włoki nasze. Ja nawet gołębie wszystkie wystrzelać kazałem, bo po zasianiu zjadały mi ziarno z roli.

STATECKI.

Zgadzam się z panem Groźnickim, że gospodarstwa rolnego lepiej się uczyć ze swojej roli, niżeli z cudzej książki. Każda rola ma swoję udzielną własność. Wieśniak miejscowy, który ją od młodości uprawia, doświadczeniem swojem zna ją lepiej, niżeli najbieglejszy rolnik cudzoziemski z daleka o niej napisać może. Ale też i od cudzoziemców niektóre sposoby gospodarowania przyjmować można, zwłaszcza te, które oszczędzają rąk pracujących, albo zmniejszają liczbę bydła do roboty potrzebnego, przez powymyślane narzędzia różne. Ale w szczególności koło roli tutejszej naprzykład pilność i doświadczenie dozorcy, a szczera i należyta koło niej robota poddaństwa, dostatecznemi są do gospodarstwa rolniczego.

GROŹNICKI

Ja mojej powinności, Bogu dzięki, nigdy nie zaspałem; żeby zaś chłopi według układu mego wszystko robili, od tego mam harapnik.

STATECKI.

Daruj mi, panie Groźnicki, harapnik zły jest bardzo gospodarz; póki go poddany widzi, robi z bojaźni; ale ile razy (co bywa częściej) harapnika nad sobą nie ma, to umyślnie źle robić gotów, bo pana swojego nienawidzi. Słodyczą wszystko lepiej się uda. Nie mówię ja, żeby czasem nie skarać; ale kara niech będzie rzadzej, to zapewne poprawa nastąpi częściej. Nie trzeba poddanemu pozwalać, żeby miał poufałość zbytnią do swojej zwierzchności, bo go to zapewne zepsuje; ale starać się pogodzić, żeby zwierzchność ra-

zem kochał i szanował. Słowem panie Groźnicki, niech pan nie będzie bratem, ale ojcem poddanego swojego.

GROŹNICKI.

Już my to, mości dobrodzieju, umiemy wszystko to pogodzić. U mnie chłop w pośrodku plag swych woła: „Tatusiu, dobrodzieju! Czasem głasnąć, a czasem też i plasnąć, bo chłop tutejszy przyzwyczajony do nahaja... i bez tego nic byśmy pewnie nie zrobili.

STATECKI.

Tem ci gorzej dla nas, żeśmy przyzwyczaili ludzi być nieszczęśliwemi.

MIŁOSKI.

Niech tam, panie Groźnicki, pomyślą o jedzeniu, byle prędko, choćby mało. *(Groźnicki wychodzi).*

SCENA II.

MIŁOSKI, STATECKI.

MIŁOSKI.

Cóż się Wpanu zdaje mój Groźnicki?

STATECKI.

Z tego, co mówił o gospodarstwie, wnosić można, że się zna na niem; ale nie wiem, czy tak robi, jak mówi. Nie dosyć na tem słyszeć; ale trzeba i widzieć jego gospodarstwo.

MIŁOSKI.

Już mi to i ze strony powiadano, że zna gospodarstwo, i pilnuje go; ale ma być na ludzi surowy, czegobym ja nigdy w dobrach moich mieć nie chciał.

STATECKI.

Można to poznać z jego gadania. Ta wada prawie była powszechna naszych ekonomów; ale panowie,

po większej części w kraju poprawieni, poprawiają po wsiach i dozorców swoich.

MIŁOSKI.

Tutejsze wioski mam opatrzone najlepiej, i gospodarstwo tu idzie szykowniej: bo często spytam się i wglądam we wszystko. Zgadnij Wpan, wiele też z tych dóbr mam kur dannych, które poddani co rok oddawać mi powinni?

STATECKI.

Nie wiedząc liczby poddanych, ani ich powinności, jakże mam zgadnąć wiele kur na rok przychodzi?

MIŁOSKI.

Oto wszystkich z tąd kur cztery tysiące dwieście kilkadziesiąt oddają. Na tę kwotę trzeba to dóbr pięknych.

STATECKI.

Za pozwoleniem Wpana, wiele też Wpan masz w tych dobrach poddanych wszystkich?

MIŁOSKI.

Tego coś nie uważałem w inwentarzu.

STATECKI.

A to też jest, co najpierwej uważać potrzeba było. Rzeczami mniejszemi niech się zatrudniają mniejsi, a pan dóbr znacznych ma o czem ważniejszem myśleć. Nad liczbą poddanych i ich majątkiem zastanawiać się najpierwej powinien dziedzic gospodarz. Tylkoć to poddany majętniejszy zbogaca pana, a z ubogiego, ponieważ go ustawicznie zapomagać potrzeba, porównawszy jego roczną pracę z tem, co się łoży na jego zapomożenie, nic pewnie zysku nie będzie, a czasem i strata na stronę pana przypadnie. Interesem tedy każdego pana jest, ażeby poddany jego majętnym był. Trzeba, żeby poddany więcej przedawał, niżeli kupował; będzie zaś tak, jeżeli go opatrzymy gruntem dobrym, i

sposobności rąk jego wyrównywającym; jeżeli mu podamy sposobność sprzedaży pewnej; jeżeli mu ocalimy majątek jego, jeżeli go, czasem leniwego, przymusimy nawet, ażeby był o siebie dbałym; jeżeli nakoniec sprawiedliwość względem niego zupełną zachowamy.

MIŁOSKI.

Będę Wpana prosił, żebyś to także memu komisarzowi wszystko opowiedział. Bo co do mnie, już jestem zupełnie o tem przekonany.

STATECKI.

Co należy do gospodarstwa we wsi ze strony dziedzica, (to to:) powinien mieć wszystkie grunta swojej majętności pomierzone; powinien wiedzieć, jaką ich część poddani wyrabiają, a jaka na dwór została się; powinien obrachować dni ręczne roboty poddaństwa i obrać proporcyą mniej, więcej, wiele tychże dni na wyrobienie gruntów dworskich wychodzi. Resztę obracać ma na trzebienie łąk, osuszanie miejsc błotnistych, i tym podobnych robót, z czasem wielkie pożytki przynoszących. Dozór nadto nad komisarzem i ekonomem, a handel, do jakiego tylko sposobność podać się może. Oto prawie wszystko, czem się panowie szczególnie zatrudniać powinni. Insze rzeczy drobniejsze mogą zostawić na swoich subalternów; wszelako czasem i w mniejsze wglądając, żeby gospodarstwa potrzebnego w niczem niezaniedbywano.

MIŁOSKI.

O mój zacny Statecki! nieporzucajmyż się do śmierci *(ściska go)*, w każdej przygodzie twoja mi rada potrzebna będzie: bo i mówisz jak przyjaciel, i radzisz jak człowiek znający się na tem, co radzi.

SCENA III.

Ciż sami GROŻNICKI I GROŻNICKA *(z masłem).*

GROŻNICKI.

Jest to żona moja, którą wraz z sobą i dziatkami łaskom pańskim polecam.

MIŁOSKI.

Dawnoż się Wpan ożeniłeś?

GROŻNICKI.

Już lat pięć; a wziąłem wdowę.

GROŻNICKA.

We czternastym roku poszłam za pierwszego męża, żyłam z nim dwa roki, a rok tylko wdową byłam.

GROŻNICKI.

Żona moja do usług pańskich *de domo* Małgorzata Rzepska, a *primo voto* była za Pogromskim.

MIŁOSKI.

Mniejsza o to. Ale czy Wpani znasz się na gospodarstwie domowem? jako to: na wyrabianiu płócien, na obchodzeniu się z nabiałem?

GROŻNICKA.

To masło mojej roboty dosyć jest ugodzone. A ta koszula jest z płótna mojej przędzy. Ale ja mam i szwabskie koszule.

MIŁOSKI.

Mniejsza o to.

STATECKI.

Wieleż na tym folwarku krów trzymają?

GROŻNICKI.

Krów jest dojnych dziesięć, a pięć jałowych.

STATECKI.

Macież tu pastwiska jakie?

GROŹNICKI.

Na tym folwarku możnaby trzymać krów drugie tyle, ale Jpan komisarz *(Groźnicka ciągnie go z tyłu za suknią, że się aż obejrzał)*, ale Jpan komisarz tylko mi przysłał piętnaście.

MIŁOSKI.

Cóż to tam za ludzie stoją przed oknami.

GROŹNICKI.

Arendarz tutejszy przyniósł tusz mięsa wołowego, i chciałby widzieć i przywitać pana.

MIŁOSKI.

Ja datku jego nie chcę. Ale pójdźmy obaczyć arendarza.

SCENA IV.

GROŹNICKI, GROŹNICKA.

GROŹNICKI.

Na co też waszeci Margosiu wyrywać się przed panem, że masz szwabskie koszule? On się pytał, czy tu wyrabiają płótna, a waść ze swoją szwabszczyzną wyjechała. Otoż ci zaraz dobrze odpowiedział: „Mniejsza o to."

GROŹNICKA.

A waść na co powiedziałeś, że ja z domu Rzepska? bo i tobie toż samo pan odpowiedział: „Mniejsza o to."

GROŹNICKI.

Jam powiedził, bo o waszeci dyskurs zaczęto. Ale waść wyleciałaś ze swojemi szwabskiemi koszulami na targ, chociaż nikt o nie nie pytał. Tak właśnie, gdy-

bym ja był co zaczął przad panem o mojej blachmalowej ładownicy? Mam ładownicę, bo dostałem jej sobie za moje pieniądze; ale co też pana ma obohodzić moja ładownica, albo waszecina koszula?

GROŹNICKA.

Moje serce! a któż teraz kłótnię zaczyna?

GROŹNICKI.

To nauka mościa pani, nie kłótnia. Bo niechciałbym się wstydzić za Wpanią. A potem na co mnie waszeć z tyłu pociągałaś, kiedym z panem o krowach mówił?

GROŹNICKA.

Bo mi się chciało pociągnąć z tyłu, że czasem gadasz, co trzeba i nie trzeba.

GROŹNICKI.

To widzę na długie się zabiera. Oto lepiej obacz waszeć, co się tam w kuchni dzieje, żeby kucharzom na niczem nie zbywało, bo o ich dobre słowo przed panem dbać potrzeba. A grzecznie z ludźmi moja panno, a grzecznie. *(Groźnicka wychodzi).*

SCENA V.

STATECKI, GROŹNICKI *potem* POLUSIA.

STATECKI.

Pan Miłoski dobrze o Wpanu ze mną dopiero gadał, i ja sam... rozmawiając z Wpanem, cokolwiek poznać mogłem, że znasz się na gospodarstwie; ale w jednej rzeczy przestrzegę Wpana, żebyś się trochę ujmował. Doniesiono to panu Wpana, i już gadał o tem ze mną, że masz być surowy na poddaństwo. Zapewne pan Miłoski tego nie chce, i toby Wpanu u niego bardzo szkodziło, jeżelibyś się w tem poprawić nie miał.

GROŹNICKI.

Jeżelim kiedy skarał, to zawsze przy świętej sprawiedliwości. Darmo też mam siedzieć jak malowany na folwarku. Nie trzymając chama w rygorze, nicby zapewne z całego gospodarstwa nie było.

STATECKI.

Zacóż to Wpan nazywasz poddanego chamem?

GROŹNICKI.

Bo jest chłop, cham, nie szlachcic.

STATECKI.

Te same nazwiska, pogardy pełne dla wieśniaka, są dowodem sposobu myślenia Wpana. Przypatrz się Wpan poddanemu: on taki człowiek jak każdy z nas, i bądź dla niego człowiekiem, nie zwierzem.

GROŹNICKI.

Wpan dobrodziej tylko widzisz chłopa, albo słyszysz o nim, a ja z niemi, będąc na funkcyach ekonomicznych od kilkunastu lat mam do czynienia;— to u nich natura ze wszystkiem insza! Chłop kiedy płacze, wtenczas najlepiej; ale kiedy się śmieje, to kąsa. Wszelako, jeżeli się panu mojemu rygor nie podoba, ja na panów sumnienie będę dla poddanych powolniejszy; ale tego się doczekam, że panowie kiedyś mi sami powiecie: Groźnicki! bądź ty znowu Groźnickim.

POLUSIA *(nikczemnie ubrana przynosi swoją odzież).*

O cóż ja mam dbać na świecie, kiedy mój ojciec za ten nieszczęśliwy podatek siedzi w więzieniu? Otóż Mpanie Groźnicki przyniosłam odzież moję. Niech wójci otaksują wszystko, a... co będzie niedostawało, to odrobię w ogrodach dworskich, choćby mi przyszło przez całą wiosnę kopać, *(rachuje rzeczy na stole.)* Oto są wstążki, to dwie sukmany na codzień i od święta, to dwie spodniczki, i koszule i fartuszki, a to korale, i już wszystko.

GROŹNICKI.

Na cóż tam tego rachowania.

POLUSIA.

Zostawiłam tylko sobie koszule grube. A z mego ojca nie masz co zabrać, całe odzienie jego na nim prócz kilku koszul, których tu nie przyniosłam. Ale miej Wpan litość zostawić mu je, żebym miała przynajmniej raz w tydzień odmienić staremu białą koszulę. *(Pada na kolana i z płaczem mówi)* Mospanie Groźnicki! wypuść mi Wpan ojca; wspomnij sobie, że miałeś także ojca.

GROŹNICKI.

Ale wstańże Polusiu! ale wstańże, bo ja tego nie lubię.

POLUSIA *(obracając się na kolanach do Stateckiego).*

Mości dobrodzieju! Wpan mnie nie znasz, ale widzisz mnie nieszczęśliwą. Może i panowie macie tak serca skłonne do litości, jak i my; proś za mną pana Groźnickiego, żeby mi powrócił ojca.

STATECKI.

Mospanie Groźnicki, miej też Wpan litość nad biednemi. Jest tu ich dziedzic teraz, to powiemy panu Miłoskiemu, i tego podatku można poczekać, moglibyście go nawet i darować ubogiemu wieśniakowi.

GROŹNICKI.

Wstań Polusiu! Mości dobrodzieju, to dziewczyna dobra, i na całą wieś najprzykładniejsza; ale też jej tatuś na całą wieś chłopek najzuchwalszy. Odnieś Polusiu te łachmany swoje do domu, odnieś. *(Statecki wychodzi).*

SCENA VI.

GROŹNICKI, POLUSIA.

POLUSIA.

Z początku żal mi było tej odzieży mojej; ale już o nię nie dbam, wszakże to za nię ojciec mój się powróci.

GROŹNICKI.

Szymon sam sobie winien, ma sposób wypłacenia tego podatku, a użyć go nie chce.

POLUSIA.

Jakiż sposób? ja nic już w domu nie zostawiłam; można posłać wszystkie kąty opatrzyć, a znalazłszy co, karać mię najsurowiej.

GROŹNICKI.

Nie o to chodzi Polusiu. Bartecki mówił mi o tobie. Ja gadałem z Szymonem, on twardy. A Bartecki oświadczył się, że ten podatek ze swojej kieszeni opłaci. Z kogóż ty mieć możesz lepszego męża? Cóż na to Polusiu?

POLUSIA.

Kiedy mój ojciec widzi, że Bartecki nie dla mnie mąż; potrzeba ojcu wierzyć.

GROŹNICKI.

Ale ty podobno kochasz Barteckiego? Przyznajże mi się szczerze, a ja wszystkiemu poradzę, i jeszcze się do szczęścia waszego przyczynię.

POLUSIA.

Wypuść mi Wpan ojca, a to będzie moje największe szczęście.

GROŹNICKI.

Ale cóż mi na Barteckiego odpowiadasz?

POLUSIA.

Mówiłeś Wpan, że już mój ojciec odpowiedział; na cóż o jednej rzeczy dwa razy gadać.

GROŹNICKI.

Twój ojciec nie zna swojego szczęścia, ale ty miej rozum.

POLUSIA.

Mój ojciec dawno żyje na świecie, i zapewne lepiej zna ludzi, niżeli ja.

SCENA VII.

Ciż sami MIŁOSKI i STATECKI.

MIŁOSKI.

Cóż to jest za dziewczyna?

GROŹNICKI.

Jest to chłopa tutejszego córka.

STATECKI.

Ta to jest sama, o której ojcu mówiłem Wpanu?

MIŁOSKI.

Dziewczyno! jakże ty się zowiesz?

POLUSIA.

Apolonia.

MIŁOSKI.

A twój ojciec?

POLUSIA.

Szymon.

MIŁOSKI.

Czegóż to wzdychasz Polusiu?

POLUSIA.

Wspomniałam na mego ojca.

STATECKI.

A czemuż twój ojciec dotychczas podatku nie wypłacił?

POLUSIA.

Płacił co rok najpierwszy, póki było czem płacić, teraz Bóg zabrał i zboże i bydło. Przyniosłam panu Groźnickiemu sukmany moje, żeby otaksował i zabrał je za podatek. Wszystko, co tylko w domu było, to jest na stole.

GROŹNICKI.

Polusiu! to jest wasz dziedzic, kiedy będzie wola pańska, to może wam kazać zaczekać tego podatku.

POLUSIA.

Gdyby pan widział ojca mojego, jak stary i słaby, pewnieby się zlitował nad nim.

MIŁOSKI.

Czemuż to Polusiu tak w ziemię patrzysz ustawicznie?

POLUSIA.

Nic mi na świecie nie miło, póki mój ojciec w więzieniu siedzi.

MIŁOSKI.

Patrzże na mnie, a ja ci go każę wypuścić.

POLUSIA *(z płaczem mówi).*

Niech jeszcze obaczę ojca, bom myślała, że już tam w więzieniu umrze.

MIŁOSKI.

Panie Groźnicki, wypuścić Szymona, i niech tu

zaraz przyjdzie. (*wychodzi Groźnicki*). Bądźże już weselsza Polusiu; tobie bardziej do twarzy śmiać się, niżeli płakać. Tak piękna i dobra dziewczyna powinnaby być szczęśliwszą.

POLUSIA (*obracając się do Stateckiego*).

To Wpan mospanie tak dobry jesteś, żeś u pana wyprosił mi ojca. Będziemy tę łaskę pamiętać oboje z ojcem obudwom panom.

STATECKI.

Dosyć byłoby ratować cię, żeś nieszczęśliwa, a ty eszcze i poczciwa.

MIŁOSKI.

A ty jeszcze i piękna.

POLUSIA (*zacierając ręce*).

Wyjdę naprzeciwko ojca, bo tak prędzej go obaczę.

MIŁOSKI (*biorąc ją za rękę*).

Poczekaj tu Polusiu, wszakże on zaraz przyjdzie.

POLUSIA.

Ja kocham ojca, dobrze mi jedną minutą prędzej go widzieć.

MIŁOSKI.

To ty wiesz, co to jest kochać?

POLUSIA.

Któżby nie kochał ojca, a jeszcze takiego!

MIŁOSKI.

Trzeba kochać ojca, ale i kogoś jeszcze.

POLUSIA.

Mój ojciec powiadał mi, że tego, którego ja ko-

chać mam, on sam pierwej kochać powinien, a potem mi go kochać pozwoli.

STATECKI.

Trzymaj się rady ojca, a nie zbłądzisz.

SCENA VII.

Ciż sami, GROŹNICKI i SZYMON.

GROŹNICKI.

Otóż jest i Szymon, na rozkaz pański wypuszczony.

POLUSIA *(biegnie do ojca i ściska go).*

My znowu razem! a to ci obadwa panowie mieli litość nad nami.

MIŁOSKI.

Kazałem cię wypuścić moje dziecię, ale staraj się o wypłacenie tego podatku. Poczekają ci go nawet do jakiegoś czasu.

SZYMON.

Dziękuję panom, dziękuję, i będę wdzięczny pók żyw, że unikam obelgi, a może i śmierci.

STATECKI.

Bądź już spokojniejszy Szymonie, masz sprawę z panem miłosiernym. Skończy się to jakoś.

SZYMON.

Oby to zawsze z samemi panami, ale...

GROŹNICKI.

Jużem kazał twojej córce, aby tę odzież swoję odniosła do domu, którą na wypłacenie za podatek niepotrzebnie przyniosła była.

SZYMON *(ściskając Polusię.)*

O moja kochana corko! ty chciałaś się zostać o jednej koszuli, żeby mnie tylko z więzienia wydobyć. Tak moje dziecię, tak! suknie się zedrą, a twoja cnota zostanie. Gdyby nie to dziecko panowie, nie dbałbym o to życie nieszczęśliwe.

MIŁOSKI.

Dbaj Szymonie o siebie, i o tę poczciwą Polusię; ty przy niej możesz być jeszcze szczęśliwy.

POLUSIA.

Ja to panowie, przy mojem ojcu szczęśliwa! Czasem jeden kawałek chleba na całą wieczerzę mamy, ale kiedy mój ojciec sam mi go poda, i sam go trochę posoli, jakże smaczny!

STATECKI *(na boku.)*

O jakże ich prawdziwe szczęście mało kosztuje!

SZYMON.

Nauczyłem jej, że ubóstwo przy cnocie nie jest nieszczęściem. Ale pójdźmy Polusiu do domu, zabierz te twoje łachmany, kiedy panowie pozwalają. Będę się starał zaspokoić skarb pański najprędzej, jak zmogę, byle mnie nie karano o to, czego nie mogę. *(Wychodzą kłaniając się.)*

MIŁOSKI.

Cóż to za osobliwa dziewczyna! jakiż ma czysty rozum i serce czułe!

STATECKI.

Ale i ojciec jej człek widzę jakiś cnotliwy.

GROŹNICKI.

Gdyby nie był tak zuchwały, jak jest. To prawda, że dobrze z sąsiadami żyje, i w zwadkach we wsi on najprędzej zakłóconych pogodzi. Od dawna na czyn-

szu siedzi, i kiedyś, jak mówią, miał się nie źle; ale teraz się opuścił, i tylko burczy, a nic nie robi.

STATECKI.

Jakże ma pracować w tym wieku?

(Kuchmistrz wchodzi.)

On a servi Monseigneur. *(Wychodzą wszyscy.)*

AKT III.

SCENA I.

MIŁOSKI, GROŹNICKA.

MIŁOSKI.

Moja pani Groźnicka, wszystko rób, co tylko można, byle jako tę dziewczynę namówić, żeby ze mną jechała do Warszawy.

GROŹNICKA.

Z Polusią może byłoby łatwiej, ale z Szymonem zapewne ciężko nam przyjdzie.

MIŁOSKI.

Byleby Polusia sama chciała, ja z nią ztąd jutro wyjadę, a potem dopiero Szymonowi powiedzielibyście, i asygnacyą moję pokazali na zapłacenie za niego podatku, i na ordynaryą do jego śmierci.

GROŹNICKA.

Pan nie zna jeszcze Szymona. On tak wierzy w cnotę, że nic go nie pocieszy po stracie córki; i ja, przyznam się panu, w takim się domu wychowałam, gdzie tak o cnocie myślano, jak on.

MIŁOSKI.

To mu powiecie, że ja tylko wziąłem Polusię dla tego, żem widział dziewczynę przystojną, a sposobną do przyjęcia edukacyi w Warszawie. Oświecić go w tem, że ja chcę szczęścia jego dziecięcia. Nauczy się językιów, tańcu, grać na klawikorcie; a przy tym rozumie naturalnym, który ma, znajdzie się pewnie słuszny jaki człowiek, który ją i Szymona uszczęśliwi... i Wpani sama wierz mi, że to się tak skończy.

GROŹNICKA.

Jeżeli tak się ma skończyć, toby lepiej może powiedzieć Szymonowi, niechby to z jego było wiadomością; bo się boję, żeby starzec z żalu nie umarł kiedy to zrobimy pokryjomu.

MIŁOSKI.

Wszelako ponieważ on jest skrupulat, lepiej mu o tem powiedzieć po naszym wyjeździe. Bo cóż ja się nakoniec z moim chłopem mam kłócić? Wszakże on za mną gnać nie będzie, kiedy wyjadę z Polusią.

GROŹNICKA.

Kiedy pan chce jej uszczęśliwienia, czyżby nielepiej było, żeby ją tu wydać za Barteckiego?

MIŁOSKI.

Za jakiego Barteckiego?

GROŹNICKA.

Jest to pisarz mego męża, człowiek trzeźwy, statkujący i starowny. On Polusię kocha, i już mówił memu mężowi o tem. Stary i dziewczyna nie bardzo pociągają, ale jak się pan włoży, to do razu skończyć się może.

MIŁOSKI.

Ale ja nie chcę, żeby Polusia była panią Barteckią, lepiej o niej myślę, i ten głupi ojciec jej nie będzie się spodziewać, jakiego męża dla córki jego wynaleźć mo-

gę. Dla tego nawet lepiej byłoby, żebym z nią ztąd wyjechał, aby tu Szymon za kogo ją marnie nie wydał. Moja Groźnicka, zróbże dla Polusi tę przysługę, obaczysz, jak ja za nię będę ci wdzięczny. A tym czasem przyjmij odemnie tę bagatelę. *(Daje pieniądze Groźnickiej.)*

GROŹNICKA.

Dziękuję panu, upadam do stóp, całuję nogi.

MIŁOSKI.

Będzie i więcej, bylebyś Wpani robiła skutecznie. *(Miłoski wychodzi.)*

SCENA II.

GROŹNICKA *sama (rachując czerwone złote.)*

Dziesięć czerwonych złotych, czyni złotych... czyni złotych!... czyni złotych sto ośmdziesiąt! Mój mąż za cały rok tyle nie wysłuży, co ja za kwandrans. Dobryż to pan widzę, dobry! Co mnie to kosztuje, że Polusia z panem pojedzie? a jeszcze w dobry sposób, jak pan obiecuje; a jeszcze kiedy pan chce jej szczęścia, jak powiada; za cóż ja nie mam służyć? Trzeba sobie najpierwej ująć Polusię. Ona mi to daruje, żem ją z izby niedawno wytrąciła; i ta dziewczyna będzie mi zapewne, wdzięczną, kiedy ją zrobię szczęśliwą. Pan obiecuje łaski, Polusia będzie mnie panu przypominać, aż tu za kilka lat wielmożna Imość pani Groźnicka w robronach, w polonezach, siedzi w pierwszej ławce w kościele, a lokaj za nią, a książka w srebro oprawna przed nią, a ksiądz na mszy z patyną idzie do niej przez cały kościół.

SCENA III.

GROŹNICKA, BARTECKI.

GROŹNICKA.

Właśnie też trzeba mi było kogoś.

BARTECKI.

Właśnie też i ja, potrzebny łaski Wpani, przyszedłem.

GROŹNICKA.

Żebyś mi tu panie Bartecki, jak najprędzej Polusi zawołał.

BARTECKI.

O Polusię to i mnie chodzi. Ale ona jest tu teraz na folwarku; przyszła pożyczać chleba u gospodyni, i przyjdzie do Wpani w momencie. Zmiłuj się, mościa pani Groźnicka, ratuj mnie nieszczęśliwego, mów za mną z Polusią. Ona możeby poszła za mnie, ale ślepo za wolą ojca idzie. Jeszcze mi powiadano, że naszemu panu bardzo się Polusia podobała; czy nie możnaby skończyć prędzej, niżeli mu się bardziej jeszcze spodoba.

GROŹNICKA.

Będzie to jakoś. Ale biegaj mi po nię; niechaj mi tu zaraz przychodzi. *(Bartecki wychodzi.)* Biedny on! coś się tylko domyśla; ale nie wie, co jego Polusię czeka!... przecięż trzeba usłużyć panu, w którego ręku sukcesa moje...Dziewczyna może się będzie sprzeciwiać, ale cacką, papką, ukołyszemy ją, choćby mi przyszło dać jej połowę tych pieniędzy, które wzięłam od pana; bo mi się to potem dobrze nagrodzi!... Ale spodziewam się, że i sam pan nie będzie dla niej skąpy, kiedy dla mnie tak hojnym był.

SCENA IV.

GROŹNICKA, POLUSIA.

GROŹNICKA.

Jak się masz Polusiu? zapewne kontenta jesteś, że ci ojca wypuszczono? Ja sama mówiłam panu jak Szymon człek jest poczciwy a nieszczęśliwy, że podupadł. Potem pan obaczył go, i kazał wypuścić z więzienia.

POLUSIA.

Dziękuję WPani, żeś mówiła dobrze o ojcu moim. I choć to mnie Wpani niedawno z izby wytrąciła, ja tego nie pamiętam; bo wiem, żeś tyle razy ojca mego u pana Groźnickiego wypraszała.

GROŹNICKA.

Otóż widzisz, otoż widzisz...i ojca twojego lubię, i jeszcze o tobie myślę. O! bylebyś ty chciała, Polusiu, bardzo będziesz szczęśliwą!

POLUSIA.

Ja za Barteckiego nie pójdę, bo ojciec mój wiele ma do niego.

GROŹNICKA.

Już to nie o Barteckiego chodzi. Ty niebogo siedzisz we wsi, i nie znasz świata, tylko tyle, coś go w oknie widziała. Gdybyś ty była w Warszawie, wyglądałabyś inaczej.

POLUSIA.

Jakże ja mam się dostać do Warszawy? mój ojciec piechotą nie dojdzie, a konia żadnego nie mamy.

GROŹNICKA.

Mogłabyś pojechać cudzemi końmi, gdybyś chciała.

POLUSIA.

Ja nie chcę jechać do Warszawy końmi Barteckiego.

GROŹNICKA.

Jużem ci powiedziała, moja Polusiu, że Bartecki nic wcale do tego nie należy. Otóż ci wyjawię wszystko. Nasz pan gadał ze mną niedawno bardzo dobrze o tobie. Chwalił cię, chwalił a potem dodał: że gdyby tę dziewczynę nauczyć języków, grać na klawikorcie, i tańcować, zrobiłaby szczęście dla siebie i dla ojca

swego w Warszawie. Jam panu zaraz padła do nóg, i za tobą prosiła, żeby cię poratował sierotę — a on mi odpowiedział: że to być może. Polusiu! Polusiu! jakżebyś ty była szczęśliwą.

POLUSIA.

A ojciec mój czyżby pojechał z nami do Warszawy?

GROŹNICKA.

Na cóż Szymona do Warszawy? Jemu się już nie trzeba edukować.

POLUSIA.

Ja też bez ojca nigdybym nie pojechała, choćby mnie tam największe szczęście czekało. Ktożby mu tu białe koszule dawał, i dbał o wygodę jego, jak ja dbam o to.

GROŹNICKA.

Pan, kiedy ci tę łaskę zrobi, to zapewne i o ojcu pamiętać będzie. Wyznaczy mu ordynaryą, i bez pracy będzie jadł chleb Szymon na starość.

POLUSIA.

Cudze ręce, mościa pani, nie tak szczere jak moje.

GROŹNICKA.

Ja wszystko na siebie biorę, że twój ojciec, choćby cię nie było, będzie miał wygody lepsze, jak może nigdy w swojem życiu nie miewał. Chybabyś rozumu moje dziecię nie miała, żebyś łaską pańską gardziła.

SCENA V.

MIŁOSKI, GROŹNICKA, POLUSIA.

MIŁOSKI.

Cóż tu robisz Polusiu?

POLUSIA.

Przyszłam na folwark pożyczyć chleba, i pani Groźnicka do siebie mnie zawołała.

MIŁOSKI.

Alboż to w domu nie macie chleba?

POLUSIA.

Jutro dopiero będę go piekla, bo mój ojciec teraz inszej gospodyni niema.

MIŁOSKI.

O ty piękna gospodyni! *(bierze ją za ramiona dwoma rękami,)* jakżeby ci przystojniej daleko siedzieć przy gotowalni, niżeli chleb piekąc przy piecu! Gadałaż co z tobą pani Groźnicka, jak ja o tobie myślę?

POLUSIA *(ręce zacierając, i w ziemię patrząc.)*

Nie mogę ojca odstąpić do śmierci. On (jak powiada) w starości swojej i ubóstwie mnie jednę ma pociechę koło siebie. Jakże go porzucić mam? możeby umarł z tęsknoty.

MIŁOSKI.

Ty będziesz szczęśliwą, i razem ojca uszczęśliwisz, jeżeli za naszą radą pójdziesz.

POLUSIA.

Ja nie mogę być szczęśliwszą, jak już jestem przy moim ojcu.

MIŁOSKI *(dobywa pieniędzy i daje Polusi.)*

Weź to Polusiu, to tylko dla ciebie. Ojcu tego nie pokazuj. Osobno znowu Szymonowi i podatek daruję, i jeszcze mu co pieniędzy dla wygody jego zostawię. Odbierzże moja Polusiu to, co ci daję.

POLUSIA.

Zacóż mam brać pieniądze, kiedym ich nie wysłużyła?

GROŹNICKA.

Pan ci z łaski daje; a powinnażeś gardzić łaską pańską? Weź moja Polusiu, weź; to ci się przyda, a panu się nie narażaj. *(Polusia odbiera, Miłoski ją ściska).*

MIŁOSKI.

Dobrze dziecię! cóż? pojedziesz do Warszawy?

POLUSIA.

Chybaby sam ojciec mi kazał, tobym go usłuchać musiała.

GROŹNICKA.

Pan więcej niż ojciec. Sluchaj ty pana Polusiu. *(Bartecki wchodzi. Groźnicka biorąc za rękę Polusię, i wychodząc.)* Chodźże do mnie Polusiu, dam ci co do przędzenia.

SCENA VI.

MIŁOSKI, BARTECKI.

MIŁOSKI.

Któż ty jesteś, mój bracie?

BARTECKI.

Jestem Bartecki, pisarz pana Groźnickiego,

MIŁOSKI.

Czego ty się tu włóczysz?

BARTECKI.

Za interesami, panie dobrodzieju!

MIŁOSKI.

Wszakże tu nie masz pana Groźnickiego?

BARTECKI.

Ja miałem pilny interes do samej pani Groźnickiej.

MIŁOSKI.

Pilnuj twoich papierów, a w insze się interesa nie wdawaj. *(Wychodzi.)*

BARTECKI.

Otóż masz Bartecki twoje gody; jam się tego spodziewał. Pani Groźnicka, miasto tego, żeby mi pomódz u Polusi, ona jeszcze miała powiedzieć przed panem, że ja się staram o tę dziewczynę, znać to dla tego pan na mnie tak się ofuknął. Już to nie bez przyczyny! Pan, pani Groźnicka, i Polusia razem!.. Już to nie bez przyczyny!... Dobrze tak Szymonowi, dobrze, droży się z nią; a teraz ubiorą Polusię w czuby, ale będzie daleko tańsza.

SCENA VII.

BARTECKI, SZYMON.

SZYMON.

Czy nie widziałeś tu panie Bartecki, mojej Polusi?

BARTECKI.

Była dopiero, i wyszła z panią Groźnicką.

SZYMON.

Poszła pożyczyć chleba, i tak dawno bawi się, a tu dworskich tyle, żeby mi dziewczyny nie zbałamucili.

BARTECKI.

Jeszczeżby to nic, żeby to tylko dworscy; ale...

SZYMON.

Cóż ale?

BARTECKI.

Ale, bo mnie wydacie.

SZYMON.

Zapewne nie wydam; wiecie Bartecki, że ja lubię słowa dotrzymać. Powiedzże mi, co to jest?

BARTECKI.

Oto panu naszemu bardzo się Polusia podobała, i już zapewne pani Groźnicka jest w zmowie z panem, bo zawołała Polusi, i zastałem tu potem razem pana, panią Groźnicką i Polusię. Jak wszedłem, pani Groźnicka, nie wiem gdzie, Polusię poprowadziła, a pan zaraz za niemi wyszedł.

SZYMON.

Wszakże za to sam jeden odpowiadać nie mogę, chybaby z córką razem. Ale gdziez ona teraz? gdzież ona? Natożem dożył tej starości, żebym ją zhańbioną do grobu poniósł? Mój Boże! ty na mnie zdałeś opiekę dziecięcia mego!...Kiedy ja go teraz ratować nie mogę, ty go poratuj, bo możesz!... Nacożeś mi to powiedział panie Bartecki! Może ja próżno się smucę! Moja Polusia cnotliwa! Pan nawet powinienby cnotę szanować. *(Polusia wpada udyszana.)*

SCENA VIII.

SZYMON, POLUSIA, BARTECKI.

BARTECKI.

Otoż i Polusia!

POLUSIA *(wpół ściskając ojca.)*

O już też teraz nie rozłączą nas z sobą!

SZYMON.

Cóż to Polusiu, cóż to?

POLUSIA.

Chciano, żebym cię tatunin porzuciła. Ale gdyby mi przyszło życie stracić.

SZYMON.

Cóż się stało?

POLUSIA.

Pani Groźnicka naprzód mi radziła, żebym jechała do Warszawy, gdzie miało mnie jakoweś szczęście spotkać. Potem nadszedł sam pan, i toż samo mi radził; potem mnie ściskał, potem pani Groźnicka wzięła mnie za rękę, i wyprowadziła z izby.

BARTECKI.

Co to...prawda, ja byłem przy tem.

SZYMON.

Ale nie przeszkadzajcież panie Bartecki. Cóż dalej moje dziecię?

BARTECKI.

Obiecała Polusi dać na przędzę.

SZYMON.

Ale proszę panie Bartecki, niechże sama Polusia mówi.

POLUSIA.

Jak mnie wyprowadziła z izby, weszłam za nią do jakiegoś alkierza, w którym nikogo nie było. Potem pani Groźnicka powiedziała mi, żebym nie tęskniła, że musi wyjść trochę. Potem wyszła, i słyszałam, że drzwi za sobą na klucz zamknęła. Zlękłam się tej niewoli!

BARTEFKI.

Jakże mi cię żal Polusiu! łzy się mi w oczach kręcą.

SZYMON.

Ale już prosiłem, panie Bartecki, niechże ona sama dokończy.

POLUSIA.

Potem mi przyszło na pamięć, że mnie do tej nieszczęśliwej Warszawy namawiali.

BARTECKI.

Dałabyś sobie Polusiu!

POLUSIA.

Otoż strach mnie jeszcze większy ogarnął, żeby mnie cicho nie wzięli, i bez pożegnania się nawet z tatuniem do Warszawy nie uwieźli.

BARTECKI.

Było wołać gwałtu! gwałtu!

SZYMON.

Ależ proszę, panie Bartecki.

POLUSIA.

Pobiegłam potem ku oknu, i otworzywszy je, uciekłam szczęśliwie. Brońże mnie mój tatuniu, niech mnie do tej Warszawy nie biorą.

SZYMON.

A pieniądze, które ci pan dał, gdzieżeś podziała?!

POLUSIA.

Oto są w garści wszystkie, bo w tym strachu w jakim byłam, nawet mi ich schować nie przyszło.

BARTECKI.

Pokaż Polusiu, niech porachujemy, wiele też ci pan dał pieniędzy?

SZYMON.

Ale na cóż do smutku tego rachowania! *(odbiera Szymon pieniądze od Polusi.)*

SCENA IX.

Ciż sami, STATECKI I GROŹNICKI.

STATECKI.

Cóż to ci Szymonie?... Cóż to ci Polusiu? żeście tak pomieszani?

SZYMON.

Nieszczęście, jak się gdzie wnęci, jedno po drugiem przychodzi.

BARTECKI.

To poszło o Polusię, panie dobrodzieju!

GROŹNIFKI.

Cóż się miało stać Polusi?

SZYMON.

Żona Wpana wie lepiej o wszystkiem.

STATECKI.

Ale cóż to przecię Szymonie?

SZYMON.

Ktokolwiek Wpan jesteś mospanie, poznałem żeś człowiek poczciwy. Na tę cnotę, którą zapewne kochasz, zaklinam Wpana, żebyś mnie jako przyjaciel pański przed panem wspierał.

STATECKI.

Czegóż to potrzebujesz od pana Miłoskiego?

SZYMON.

Żeby mi nie brał tego, czego mi nie dał — a wziąwszy, nagrodzić mi już nie może. Oto przez panią Groźnicką namawiał mi Polusię, żeby mnie w starości porzuciwszy, do Warszawy z panem jechała. Oto dał jej nawet pieniądze. Potem ją po ciemnych alkierzach prowadzono, zkąd szczęściem oknem uciekła do mnie.

W chacie mojej ubogiej oglądam się około siebie, i nic w nędzy ostatniej nie widzę, prócz cnoty nieskażonej dziecięcia mego, za cóż mi tę jednę w życiu pociechę wydzierać?

SCENA *ostatnia.*

MIŁOSKI, STATECKI, GROŹNICKI, GROŹNICKA, SZYMON, POLUSIA, BARTECKI.

MIŁOSKI.

Czego ty spleśniały dziadu, zabraniasz szczęścia twojej Polusi?

SZYMON.[1]

Czemu pan obelgę nazywa szczęściem?

MIŁOSKI.

Milcz chłopie. Mój panie Groźnicki, jakaż to zuchwałość?

STATECKI.

Ale mospanie Miłoski, daruj Szymonowi, on to z żalu powiedział, *(Statecki trzyma za rękę Miłoskiego.)*

GROŹNICKI.

A ja mówiłem panom, że to cham nad chamami.

SZYMON.

Mospanie Groźnicki, ja teraz do pana gadam, nie do waszeci. Daruj mi panie! ale niegodziło mi się tej krzywdy robić, i dziecię moje bałamucić. Oto te pieniądze, które odebrałem od Polusi, świadkiem są myśli pańskich na ohydę moję. Oddaję je całkiem! u nas tu nie tak, jak w miastach, gdzie za złoto cnotę przedają.

MIŁOSKI.

Pókiż on mi to kazanie gadać będzie! w co ty chłopie dufasz?

SZYMON.

Dufam w to, żem taki człowiek jak i pan — a jestem ukrzywdzony.

GROŹNICKA.

Wej, wej, on się już z panem porównał!

MIŁOSKI.

Krew niepoczciwa! ze mnie masz, że wyżyć możesz, a tak jesteś niewdzięczny i zuchwały!

SZYMON.

Nie Wpana powietrzem oddycham, ani mię Wpana słońce ogrzewa.

GROŹNICKI.

Hamanów, hamanów; zaraz skończy się wszystko.

MIŁOSKI.

A ja ci chłopie dalej nie wytrzymam.

STATEFKI.

Hamuj się Wpan, mówi śmiało, bo mówi w dobrej sprawie.

MIŁOSKI.

Z pod rózek mi dziadu nie wstaniesz, a wszelako Polusię wezmę, i zrobię ją gwałtem szczęśliwą. Poznasz chłopie, co to ze swoim panem wojować.

BARTECKI *(na boku do Polusi.)*

Uciekaj ze mną Polusiu do spichlerza.

POLUSIA.

Ja się ciebie tatuniu nie puszczę. Niech i mnie wraz z tobą karzą.

SZYMON.

Jeżeli już do tego przychodzić ma, że mi gwałtem własne moje dziecię wydzierać chcą: równy Wpanu jestem mospanie, i tej krzywdy bezkarnie uczynić mi nie można.

MIŁOSKI.

Cóż to on gada?

STATECKI.

Nie rozumiem; ale niech mówi dalej.

SZYMON.

Taiłem się dotąd z urodzeniem mojem, będąc w ostatniem ubóstwie. Bo na co przyznawać się do szlachectwa, kiedy go niczem utrzymać nie można było? Nie powiadałem nawet tego temu dziecięciu, żeby.. może wbiwszy się w pychę, nie zaniedbywało krwawo pracować rękami swemi, które je wyżywić mogą. I czego na mnie pogardy ludzkie, szturkania i czasem bicia nie wymogły, to wymaga gwałt cnocie i prawu memu nad dziecięciem uczyniony. Ojciec mój marnie potracił majętności, dwóch synów w nędzy zostawiwszy. Jan starszy, że umiał czytać i pisać, udał się na świat i pewnie szczęśliwszym jest; ja młodszy we dwunastym roku, nic nie umiejąc, porzuciłem nędzę domową, i szukałem nędzy po cudzych kątach. W dalekiej stronie od nikogo nieznany, z równie ubogą jak ja szlachcianką ożeniwszy się, zatęskniłem do kraju, w ktorym się kiedyś urodziłem. Przyszedłem potem do tej wsi, i w niej osiadłem: bo miło mi było przynajmniej patrzyć na te rzeki i łąki, które mnie tu kiedyś w dziecińswie mojem bawiły. Tak jest ojciec mój był panem tych wszystkich wiosek, w których się Wpan teraz rozpościerasz. Jestem Szymon Statecki, drugi syn Jakóba Stateckiego.

STATECKI.

Co to ja słyszę?

MIŁOSKI.

Bydźże to może, mości panie Statecki?

STATECKI.

Tak ma być zapewne; bo i ojciec mój to mi wszystko powiadał, nic nie wiedząc, gdzieby się brat jego Szymon znajdował. *(Statecki obróciwszy się do Szymona.)* Ojciec mój a brat twój, Jan Statecki, już mnie odumarł. Ty na miejscu jego, jak jesteś stryjem, tak bądź i ojcem moim. Nie odraża mnie ta nędzna siermięga, w której cię widzę; i owszem ta cnota, którą w tobie znalazłem, chlubą jest dla mnie. Masz Polusiu we mnie brata twojego, który... dzieląc z wami to słodkie imię, będę razem i dom i cały mój majątek dzielił.

SZYMON.

O Boże! cóż ze mną robisz? Nie tak ja ci służyłem, nie tak, żebyś mi tak wielką w życiu pociechą nagradzać miał. *(Szymon ściska Stateckiego, a Polusia go w ręce całuje.)*

STATECKI.

Nie całuj mię w ręce Polusiu, wszakże jam twój brat.

MIŁOSKI.

Kiedy wy tak szczęśliwi jesteście, ja zostałem się na boku zawstydzony, że dziad mój ojcu twojemu Szymonie, wydarciem dóbr tych krzywdę uczynił, a ja tobie samemu, chcąc ci uwieść Polusię, uczynić chciałem. Nagrodzę to, jeżeli się wam zdawać będzie, pojęciem w czasie za żonę cnotliwej Polusi. Już się Polusiu z ojcem twym nie rozłączysz; sprowadzę tu ludzi, którzyby cię języków i wszystkiego co należy do przystojnej edukacyi nauczyli; ale ty z ojcem twoim cnoty mnie uczyć będziecie.

GROŹNICKI.

Daruj mi Wpan mospanie Szymonie, jeżeli mu się

kiedy naraziłem. Ale nie masz złego, żeby na dobre nie wyszło. Gdybym był Wpana nie wziął do więzienia za podatek, nie przyszłoby było do tego, co się teraz stało.

SZYMON.

Co było, to już minęło. Wszelako na potem lepiej się Wpan obchodź z biednemi poddanemi. Oni są ludźmi, bądźże Wpan dla nich człowiekiem. Im to na dobre nie wyjdzie tak, jak mnie wyszło: bo już drugiego Stateckiego we wsi nie masz.

GROŹNICKA.

I mnie też daruj Wpan, panie Szymonie!

SZYMON.

Wpani trudniej darować; ale należy darować wszystkim.

BARTECKI (*podniosłszy głos.*)

Jako cynozura na Empirejskiem niebie.

MIŁOSKI.

Ale milcz tam z tą twoją oracyą.

STATECKI.

Niechże on skończy. Na cóż go jednego zasmucać, kiedy my się wszyscy cieszymy!

BARTECKI.

Jam to chciał powiedzieć gładzej, ale mi już z głowy wypadło, że trzeba każdemu z nas poczciwym być; bo panna Apolonia i pan Szymon dla tego przyszli do szczęścia, że byli cnotiwymi w ubóstwie.

POLUSIA.

Dobrze powiedział Bartecki, bo i ojciec mój często mi to samo przypominał: „Polusiu! bądź poczciwą, a będziesz szczęśliwą.“

ALCESTA,

KRÓLOWA TESSALII,

OPERA

W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

ADMET, Król Tessalii.
ALCESTA, Królowa Tessalii.
DZIECI królewskich dwoje.
NIEZNAJOMY potem poznany, HERKULES.
IDMON, Kapłan.
[illegible], [illegible] królowej.
CHIRON, Lekarz.

Scena w Pałacu Admeta.

OPERA

AKT JEDEN.

SCENA I.

ALCESTA, IZMENA.

ALCESTA.

Kiedy już ukochany mój król i mąż Admet ciężką chorobą dogorywa, i wszystkie leki są nieużytecznemi, posłałam wczora kapłana, ażeby jeszcze wyroczni bogów radził się, jakby cię, najmilszy mi zawsze Admecie, w życiu utrzymać. Albo jeżeli tego nie można, toby lepiej razem z tobą umierać.

IZMENA.

Admet czcił bogów, i kochał jak dzieci swoich poddanych, a bogowie są sprawiedliwymi i...zapewne dadzą mu życie, ażeby dłużej na ziemi cieszył żonę i dzieci, i był przykładem królom.

ALCESTA.

A za cóż cierpi chorując Admet? Będąc tak bogom ukochanym, jak wart jest, czemuż go karzą tak ciężko, jak gdyby najbardziej zasłużył? On jeszcze coś mówić może; ale tylko mnie ciesząc czasem przemówi, potem jęczy.

IZMENA.

Chiron ma wielką ziół znajomość i dar leczenia, może on jeszcze króla poratuje.

ALCESTA.

Ja wierzę, że bogowie lepiej nieskończenie umieją leczyć nad Chirona, i dla tego do bogów się udałam. Ale gdyby też już ta ostatnia była choroba Admetowa?...

(siada, wzdychając śpiewa.)

Takiego ciężaru pewnie
Siła moja nie poruszy,
Umrę, płacząc za nim rzewnie,
On jest duszą mojej duszy.

Mężu! cóż mi ludzie mogą
W zamianę oddać za ciebie?
Bardzo mię kosztujesz drogo:
Oto ja ci dałam siebie!...

On ma cnoty, miłość ludzi,
Wesprzeć potrzebnych ochoczy;
Dobra go sprawa nie strudzi,
Ma piękne serce i oczy.

SCENA II.

IDMON KAPŁAN, i *ciż sami.*

IDMON.

Na ofiarę, z woli twojej nakazaną, lud mnogi wczora zgromadził się, po niej, według wszystkich obrządków wypełnionej, pytane *oraculum* Apollina smutną odpowiedź dało.

ALCESTA.

Jakże? to pewnie Admet umierać musi.

IDMON.

Żyćby mógł, gdyby kto za niego chciał umrzeć dobrowolnie. I tak wyraźnie wyrocznia odpowiedziała.

ALCESTA.

Cóż na to lud, tylą łaskami od króla obsypany?

co Polidor, Palemon, Eteokles, od śmierci zasłonieni piersiami Admeta, przyjaciele?

IDMON.

Po usłyszanej tej odpowiedzi Apollina głębokie milczenie nastąpiło, a potem zgromadzenie całe do domów powróciło, żałując tylko Admeta.

ALCESTA.

Dokazaliście swego bogowie, szczęścia mojego zazdrośni!...

SCENA III.

Ciż sami, i DZIECI DWOJE.

DZIECI.

Mamo! Papa nasz umiera; już wszyscy mówią, że umiera.

ALCESTA.

Na cóż ja żyją?...Izmeno trzymaj tu dzieci, niech ojca i mnie nie rozrzewniają.

(Wybiega do Admeta.)

SCENA IV.

IDMON, IZMENA, DZIECI.

IZMENA.

Idmonie! może jeszcze znajdzie się przyjaciel jaki, który za Admeta na śmierć pójdzie. Wszakże bogowie napróżnoby takiego zakładu nie położyli! Pewnie będzie który, jeden ze trzech wspomnionych od królowej.

IDMON.

Byli przytomni wszyscy trzej, ale żadnego wzruszenia znaku, umyślnie na nich patrząc, nie widziałem. Potrzeba duszy mocnej, żeby ktoś, nie chcąc cierpieć swojego nieszczęścia, życie sobie odebrał. Cóż dopiero,

żeby kto sam się dobrowolnie zabijał, cudze życie swojem zastępując?

SCENA V.

Ciż sami, i ALCESTA.

ALCESTA.

Kapłanie jest pod pałacem przepaść w rozdartej skale, w której dawniej już kilku się rozpaczających dla marnych pobudek pogrążyło. Admet dogorywa, jeżeli prędko nikt za niego, według wyroku bogów, na śmierć ofiarować się nie będzie, on wkrótce umrze. Kocham cię Admecie!... Ja za twoję głowę moję poświęcam. Prowadź mię kapłanie do miejsca, i mów słowa uroczyste poświęcających się na śmierć.

IDMON.

Poczekaj Alcesto! może jeszcze kto znajdzie się inszy, który cię wyręczy. Sława wyroczni daleko rozejdzie się po Tessalii, tyle winnej cnotliwemu Admetowi.

IZMENA.

Może bogowie, serca twojego szczerością tknięci, chęć twoję przyjmą za ofiarę i dadzą życie Admetowi.

ALCESTA.

Bogowie wydali wyrok, i bluźni, kto mówi, żeby go odmienić mogli. Izmeno! te moje dzieci zostające się będzie kochał dla pamięci mojej Admet, ty dla przyjaźni nie odstępuj ich, i bądź im na miejscu mojem matką. Kapłanie! słuchaj bogów, oto masz ofiarę dobrowolną. Idźmy do przepaści. Inaczej, jeżeli tym czasem umrze Admet, ty go opóźnieniem twojem zabijesz; a ja... prócz tego... po zgonie jego nie wyżyję!...

IDMON *(otwierając drzwi ku przepaści, Alcestę ku niej biegnącą zatrzymuje.)*

Nie opóźnisz się królowo. Bogowie to widzą, że się chcesz nie opóźnić— i dosyć na tem.

ALCESTA.

Dzieci moje ukochane! Kiedy mnie już jutro nie będzie, tę miłość, którąście mnie kochali, złączcie razem z miłością, którą Admeta ojca kochacie, tak, mocniej od was napotem będzie kochanym.

DZIECI.

Mamo! my ciebie i jutro kochać chcemy. *(Chwytają się dzieci odzienia matki, i płaczą).*

ALCESTA.

Idmonie! mam siłę umrzeć, ale nie mam siły tych dzieci od siebie odtrącić. *(Idmon dzieci odrywa, jedno z nich oderwane:)*

DZIECIĘ.

Kiedy tak, to ja za mamę i za papę sam wskoczę w przepaść.

IZMENA *(porywając toż dziecię).*

Otoż dobrowolna także ofiara! Dzieci dwoje, a tyś u nas i Admet jedna.

ALCESTA.

Stój, tyś nie była matką!.. Ja na śmierć dziecięcia mego nie puszczę.

DZIECI *(znowu matkę za suknią trzymając).*

I my cię mamo na śmierć nie puścimy, bo źle bez matki.

IDMON *(odrywając i trzymając oboje dzieci).*

Plutonie! za duszę Admeta, oto masz duszę dobrowolnie się ofiarującą. A ty Jowiszu wszystko naj-

lepsze domowi królewskiemu zdarzaj, ażeby stracenie teraźniejsze Alcesty było mu ostatniem w długiem napotem życiu nieszczęściem.

ALCESTA *(wskakując w przepaść).*

Żyj Admecie.

SCENA VI.

IDMON, IZMENA, DZIECI.

Po wskoczeniu w przepaść Alcesty i okrzyku żałośnym przytomnych:

IZMENA.

Już jej nie masz!...Któraż żona więcej kochała męża!.. Bogowie! Admet żyć będzie żeby płakał.

IDMON.

Cóż ma z tego Alcesta, że się zabiła za Admeta, kiedy jej nie masz na ziemi? Ona przeciwko biegowi natury moment śmierci miała pewnie najsłodszy, bo myślała, że nim napełniała życie Admetowe.

IZMENA.

Dzieci sieroty, po jakiejże wy matce zostajecie Idmonie, bogowie powinniby mieć szczególniejsze staranie o tych sierotach; kiedy śmierci cnotliwej Alcesty matki ich chcieli, będą winni przynajmniej dziećmi się opiekować.

IDMON.

Jak jest tkliwym Admet, dzień każdy pewnie przypominać mu będzie Alcestę; i boję się, ażeby z żalu nie chciał sobie ukrócić tego życia, które ona mu dzisiaj przedłużyła. Ciężki na niego zakład; on ten dar za największą karę poczyta.

DZIECI *(płacząc).*

Izmeno, to ty już naszą mamą! Pamiętaj, jaka była Alcesta!

IZMENA.

Nieszczęsne sieroty! Wy nie wiecie w tym wieku, jaką stratę ponieśliście; kochać was będę, jak można, ale jeszcze nie będę was tak kochać, jak matka.

SCENA VII.

NIEZNAJOMY i *Ciż sami.*

NIEZNAJOMY.

Cóż to za smutek dom królewski napełnił? Admet ze swojemi domownikami zawszeby się cieszyć powinien, bo jak jest cnotliwym, tak sami bogowie cieszą się nim, ile razy spojrzą na ziemię.

IDMON.

Był kiedyś szczęśliwym, ale bogowie nie chcieli jego śmierci, ażeby żył nigdy nie pocieszony.

NIEZNAJOMY.

Cóż tedy stać się mogło, żeby albo przerobić, albo za szkodę nową jaką pomyślnością Admeta pocieszyć nie można było?

IDMON.

Król chorował na śmierć. Wyrocznia obiecała mu życie, jeżeliby kto dobrowolnie życie swoje za jego ofiarował. Kiedy nikogo nie widać było, Alcesta dopiero za męża w przepaść skoczyła.

NIEZNAJOMY.

O jakże długi cnót orszak tym ostatnim heroizmem zakończyła! I gdzież jest ta przepaść?

IDMON.

Tuż zaraz pod pałacem.

NIEZNAJOMY.

Jestem przyjacielem króla, pójdę za tobą Alcesto. Tyś nie sama tylko kochała Admeta.

IDMON.

Bogowie innej tylko szukali ofiary.

NIEZNAJOMY.

Ale Admet z Alcestą warci są drugiej. Ciebie, kapłanie, nie jestem potrzebny, ażebyś nademną słowa ostateczne odmawiał. Sam sobie i ofiarą będę, i kapłanem. Zostańcie tu wszyscy. *(Wychodzi we drzwi ku jaskini).*

SCENA VIII.

IDMON, IZMENA, DZIECI.

IDMON.

Któż to będzie ten nieznajomy? Admet po świecie wielu miał przyjaciół!... Ale za cóż on uporem poszedł na śmierć, kiedy dla życia króla dosyć było jednej Alcesty? Alcesto, jakżeś ty się pokwapiła!..

IZMENA.

Może ten nieszczęśliwy nieznajomy był przyjacielem królowej, i dotknął go los jej.

IDMON.

Coś nadzwyczajnego twarz jego okazywała. Ale czemuż on tak zuchwale mówić skończył, że sam sobie i kapłanem i ofiarą będzie! Pójdźmy do Admeta, jaki na nim śmierć jego Alcesty skutek zrobiła? O bogowie! oto on sam idzie.

SCENA IX.

ADMET, CHIRON i *Ciż sami.*

ADMET.

Jakaż to moc nadprzyrodzona dźwiga mnie z grobu?... czuję razem siły moje, jak nigdy nie były krzepkie; i...nie mając już życia nadziei żadnej, jeszcze wesoło

witam cię słońce? Kiedy mocując się dopiero ze śmiercią, myślałem, że w tych dniach w ziemi zwłoki moje zagrzebią, i trzykrotnym okrzykiem lud mój ukochany trupa mojego pożegna; ja jeszcze z wami dzieci moje, ja z tobą kapłanie cieszę się. Ale gdzież jest Alcesta? Niechże się i ona razem z nami ucieszy: bo nie może być zupełna szczęśliwość moja, kiedy jej z nią niepodzielę. Czegóż smutni stoicie!... gdzież jest królowa?...

IDMON.

Była!...

ADMET.

Ale gdzież teraz?

IDMON.

Lepiej ci królu, żebyś nie wiedział!

ADMET.

Cokolwiek się stało, ja chcę, ażeby mi powiedziano.

IDMON.

Gdyby się była niepokwapiła, przyszedł nieznajomy nam jakiś z przyjaciół twoich, który.. okupując życie twoje, dobrowolnie się na śmierć ofiarował.

ADMET.

Kapłanie, mów mi jasno, co się tu stać mogło?

IDMON.

Alcesta o twoje zdrowie radziła się wyroczni bogów, i odpowiedź odebrawszy, że żyć będziesz, jeżeliby kto życie swoje za twoje łożył; kiedy nikogo nie widać było, a ty tymczasem dogorywałeś, królowa w przepaść bliską pałacu wskoczyła.

ADMET.

O ja biedny!...za cożeś ją okrutny na tę ofiarę puścił?

IDMON.

Kiedyś ty, umierając, nie mógł mi rozkazywać, słuchałem bogów, którzy kazali.

ADMET.

O bogowie! czyż nie dosyć wam było zabić mi jakiegoś, jak słyszę, 'przyjaciela, za cóż mi jeszcze i żonę zabiliście?... Alcesto, ja po tobie wyżyć nie mogę!... Tanio, tanioś siebie ceniła!... takiej żony życie droższe od mojego, którym się po niej został!... Apollinie! ja twoja kiedyś gospoda! Ty w domu moim przebywałeś, u jednego ze mną stołu chleb jadłeś! takaż mi to nagroda za gościnność moję dla ciebie, że mi żonę zabijasz? Chytrzy bogowie! wyście wiedzieli, że Alcesta dla mnie w przepaść się pogrąży!.. Na cóż mi to życie okropne pod takim zostawiacie zakładem?... Ale przepuść synu Latony!...ja bluźnię przeciwko tobie! Ty mi jeszcze, jak Niobie, te moje dzieci powystrzelasz!... *(płacze)*.

IDMON.

Hamuj żal królu! tem trapieniem się już twojej szkody nie powrócisz.

ADMET.

Właśnie teżto dlatego ja płaczę, że się moja Alcesta nie powróci.

CHIRON.

Ale zdrowie twoje nadwerężasz, które bogowie na to, ażebyś je miał, cudem ci przywrócili.

ADMET.

Właśnie teżto wolę chorobę i śmierć samę, niżeli życie takie! Żalem gwałtownym i głodem dobrowolnym skrócę sobie te dni opłakane, które mi nieproszenie bogowie przedłużyli. Ale to będzie prędzej kapłanie, idę do przepaści, w której pogrążyła się Alcesta. Nie cudze mi życie jej! moje to życie zginęło!

IDMON.

Alceście pozwoliły wyroki pobiedz do śmierci; ale ty w swojej drodze masz iść noga za nogą. Tobie niewolno życia sobie wydzierać, kiedy Apollo Alcesty życiem chciał twoje zabezpieczyć. Ona słuchała wyroków, tybyś słuchał rozpaczy.

ADMET *(po największych znakach rozpaczy, siada i śpiewa).*

Ostatni rodzaj niedoli
Na człowieka zsyłasz Boże,
Kiedy śmierć nad życie woli,
A przecię umrzeć nie może!

Gdzie dojźrzeć dobra wspólnego,
Gdzie rozdać robotę komu,
Dzisiem jej od ślubu mego
Pierwszy raz nie zastał w domu!...

Jam w niej żył, a ona we mnie,
Ja część tylko tej jednoty!
Jam się pozostał bezemnie,
Dzieci, i kąty sieroty!...

Jedną widzę drogą chodzą,
Czy nagroda, czy los srogi.
Razem mię dzisiaj zawodzą
I me cnoty, i me bogi!

Potem Admet porywając się z żywością, mówi:

Pójdę do jej sypialni! niech mi więcej przyczyniają żalu te miejsca smutne, w których zwyczajnie siadywała! może tam prędzej mnie smutek dobije. *(Wychodzi).*

ŚCENA X.

IZMENA, CHIRON, DZIECI.

IZMENA.

Jakże to w oka mgnieniu prawie Admet zrobił się czerstwym po śmiertelnej chorobie swojej!...Bogowie dali mu zdrowie, żeby mocniej czuł stratę swoję.

CHIRON.

Król tak już był bliskim zgonu, żeśmy za niego modlitwy przeprawy śmierci do syna Mai odmówili. I kiedy na niego jak na trupa już poglądamy, porwał się i Alcesty zawołał. Potem, jak gdyby nigdy chorym nie był, szaty swoje podać każe, i sam się z pośpiechem ubiera, o kilku Tessalczykach, potrzebnych wsparcia, czyli już poratunek odebrali? pyta się; i.. jak gdyby wstał ze snu, Apollinowi krótkie modlitwy czyni.

IZMENA.

Błagał Apollina, który już w tenczas żonę mu zabił.

CHIRON.

Jeszcze myślałem, że może obudzona gorączka skutki takie sprawiła; kiedy razem wszyscy przekonani byliśmy o zupełnem zdrowiu jego, gdy kilka urządzeń w kraju, przytomnym niektórym z rady, rozsądnie jak i dawno czynić zaczął.

IZMENA.

Nie pamiętałże co o swojej świeżej chorobie, albo o swojem nagłem ozdrowieniu?

CHIRON.

Ośmieliłem się zaraz opowiedzieć królowi stan jego nie dawny, i zapytać się: Jak razem, będąc już od nas opłakanym, do zdrowia zupełnego przyszedł? Tyle nam tylko odpowiedział, że zdało mu się, jakoby

spał twardo, i Alcesta budząc go powiedziała: „Wstań radź o szczęściu Tessalii.“

IZMENA.

Tak to być miało, że w tym czasie duch Alcesty, oswobodziwszy się od ciała, niby żegnając się z mężem ostatecznie, obudził Admeta z choroby, ażeby i Tessalczykom nieużytecznym, i sobie uprzykrzonym był ciężarem.

CHIRON.

Cudami słynący bogowie, jakże niedościgłe są sprawy wasze!...

SCENA XI.

ADMET, IDMON i *Ciż sami.*

ADMET.

Wszędzie ja siebie z sobą włóczyć będę! i bez ciebie Alcesto tęsknić do śmierci! Chironie! to dla mnie lepiej, że coś więcej płakać nie mogę. Zdaje się, że natura, łzami się nie ratując, pozwala żalowi bardziej mnie słabić.

CHIRON.

Kiedy bogowie chcieli, żebyś cudownie ożył, ciż sami cię zdołają pokrzepić przeciwko upórnemu żalowi.

IZMENA.

Dzieci te zostawione przynajmniejby cię królu cieszyć powinny.

ADMET *(zniżając się ku dzieciom).*

O dzieci moje! jakże wy mnie smucicie!... Wam w tym wieku matka nademnie była potrzebniejszą! Ale wy i ojca w krótce postradacie. *(Grzmot daje się słyszeć).* Wczas, wczas będzie Jowiszu! zabij mnie piorunem. Niech z tych piersi krew pociecze, którą winie-

nem tobie za zuchwałe bluźnienie, i Alceście, za jej ofiarę dla mnie!

IDMON.

Królu! ty drażnisz bogi, człowiek upokorzony milej od nich przyjęty.

ADMET.

Byłem i pokornym dla bogów, otóż mi dzisiaj nagroda! Straciwszy Alcestę, o cóż ja mam ich błagać na ziemi. Może tem zuchwalstwem śmierć moję na nich wykrzyczę. Jeżeliby mnie Jowisz zabił, jak powinien, do tej samej przepaści, w której pogrążyła się Alcesta, wrzućcie i Admeta. Nie chcę marnych pogrzebów waszych! Alcesta miała najpiękniejszy!...

SCENA *ostatnia.*

NIEZNAJOMY, *czyli* HERKULES, ALCESTA, ADMET, IDMON, CHIRON, IZMENA i DZIECI.

DZIECI.

O Mama!

IDMON.

O nieznajomy!

ADMET.

O Herkulesie!

HERKULES.

Admecie! bogowie, którzy cię lubią, tak urządzili, ażeby i tobie zdrowie, i Alceście życie wrócone było. Odbierz ją z ręki mojej, przyjaciel ci ją Herkules wraca.

ADMET.

Ja dopiero bluźnierca przeciwko bogom, jakżem na to zasłużył, że cię jeszcze ściskam żyjącą, niepo-

równana Alcesto! Bogowie czynią ludziom dobrze, chociaż ich człowiek znieważa. *(Ściska Alcestę).*

ALCESTA.

Nie chciałabym nigdy powrócić na ziemię, gdyby na niej Admeta nie było.

ADMET.

Ale jakimże cudem wracasz mi się dolo moja najlepsza!

HERKULES.

Obchodząc ziemię, ażebym uciśnionym czynił sprawiedliwość, z bogów pewnie zdarzenia, właśnie wtenczas w dom twój przybyłem, nikomu tu prócz ciebie nieznajomy, kiedy świeżo dla ocalenia twego cnotliwa w przepaść pogrążyła się Alcesta. Wzruszony łzami przytomnych, sieroctwem dzieci, twoją przyjaźnią i heroizmem Alcesty; kiedy mi ojciec Jowisz śmiałość poruszył, wskoczyłem w tą samą przepaść za Alcestą. Na dole niezmiernej głębizny jaskini tej, ciepłe jeszcze, ale już bez duszy zastałem jej członki. Tąż samą mocą, która mnie nieobrażonego na dole jaskini złożyła, w momencie znalazłem się aż przed ciemnemi wrotami pana piekieł, Plutona. Pies Cerber, który wejścia zabraniał, zbity — i sam bóg piekła, przelękniony, wrócił mi duszę Alcesty, z którą ożywioną wychodzącego znowu na powierzchnią ziemi, i grzmotem mię z niej rozgniewany Pluton wyrzucił.

ADMET.

A ja wczasie grzmotu tego najwięcej bluźniłem przeciwko Jowiszowi, kiedy on łaskawie szczęścia mojego dokonywał.

IDMON.

Nie mruczmy nigdy przeciwko bogom! Cudami oni się usprawiedliwiają, że drogi ich są nieskażone! I jeżeli cnotliwego umartwić chcieli, to chyba dla tego, ażeby go potem tem mocniej pocieszyli.

HERKULES.

Cnotom twoim Admecie, wyrównał heroizm miłości małżeńskiej Alcesty. Żyjcie szczęśliwi, i wdzięczni bogom, którzy za krótkie zmartwienie powrócili Admetowi życie i żonę, a dobrej Alceście męża.

(Śpiewają wszyscy razem).

Dobrzy bogowie tą ziemią rządzą,
I kiedy głaszczą, i kiedy karzą;
Ludzie to tylko w swych drogach błądzą;
Potem się z sobą i niebem swarzą.

PÒDROŻ

DO KRAKOWA I JEGO OKOLIC.

List do Księżny Barbary z Duninów Sanguszkowej, Marszałkowej W. W. X. Lit.

Zacni WKmci synowie i wnuki bawiąc za granicą opisywali Jej, i opisują dotychczas, co w krajach cudzych osobliwszego widzieli. Ja, przypatrując się przez czas jakowyś Krakowu i jego okolicom, pozwolisz Pani, ażebym jej opisał, com tam widział; i przydał to, com z tego widoku uczuł.

Ktoś z cudzej niwy zbiera plon bogaty,
Ja z twych ogrodów przyniosę ci kwiaty;
Miło widziałem przyjmowane żeńce,
Choć z pańskiej roli nieśli panu wieńce.

Między osobliwościami jadąc do Krakowa, najpierwsze kłaść można Końskie; sławne fabrykami żelaza, i kościołem starożytnym, (jak napis świadczy nade drzwiami) z ciosowego kamienia roku 1120 wystawionym. Odrowążów, dawnych miejsca dziedziców, widać

jeszcze herby i pisma po ścianach — których po części już wyczytać nie można, nie żeby były dawnością nadpsute, ale że sposób pisania liter w tak dawnych wiekach nam, w teraźniejszym, stał się trudnym do wyczytania.

Stoją nie wzruszone ściany
W całej jeszcze sile swojej;
Siódmy wiek mija stargany,
A uparty kamień stoi.
Tu, wracając w lata dawne,
Sławą polską znamienite,
Odrowąże bojem sławne,
Wieszali łupy zdobyte.
Tu Iwo bawił dostojny,
Bogu i Polsce żądany:
I ów Jacek bogobojny,
Świętemi klęczał kolany [1])

W Radoszycach kościół jeden z najdawniejszych w Polsce roku pańskiego 1004 murowany. Ze strachem tę starożytność oglądałem, bo bliska upadku, i wzywa ręki żeby ją wsparła, ale grozi głowie, żeby tej nie rozbiła.

Jędrzejów, od sześciu wieków sławne opactwo Cystersów. Szczyci się bogatym kościołem, największemi w Polsce organami, biblioteką, od kilku wieków manuskrypta ciekawe zamykającą; i grobem błogosławionego Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego, mnicha potem w Jędrzejowie, i najpierwszego dziejopisa polskiego.

Nie znany widok czasami temi!
Wincenty gardzi dary ziemskiemi;
Nie chce biskupstwa, choć za nim głosy
Cnota, i chętne dały niebiosy.

---

[1]) Iwo biskup krakowski, i św. Jacek Dominikan, byli Odrowążowie.

Potem zmięszany pomiędzy gminem,
Szczęśliwym skończył chrześcianinem.

Więcej nad milę, dojeżdżając do Krakowa, już widzieć można to sławne i obronne od tysiąca lat miasto. Tylu ojczyzny naszej bohatyrow, którzy z tej ziemi wyszli, albo w niej zamieszkali; tylu potężnych królów, którzy w tej stolicy siedzieli, i niespokojnym sąsiadom z wyniesionego tego zamku grozili; tylu ogromnych nieprzyjaciół, którzy to miasto tak wiele razy napadali; wszystko to razem w myśli mi stanęło — i w tym niepoliczonym ludzi i przypadków przeszłych orszaku przybliżałem się do Krakowa. Szczęśliwe miasta tego położenie, zdaje się, że najpodobniej wybrane było, ażeby więcej kiedyś nad dwieście mil szerokości i długości krajowi panowało. Spławna Wisła pod same mury jego ociera się, a grunt najżyźniejszy i ludnemu obywatelowi do wyżywienia wystarcza, i.. co mu nadto zostało, zyskowną go przedażą zbogaca. Srebro, miedź, żelazo, marmur, i sól nieoszacowaną w odległości kilku mil tylko posiada, że zdaje się, jakoby natura na to jedno miejsce wysiliła się, ażeby szczęśliwy Krakowianin bez reszty świata mógł się obchodzić.

Ale kiedy w miasto wjadę,
W tę ludu i wież gromadę,
Gdzie, ubrany starożytnie,
Siwizną wieczny mur kwitnie;
Ciekawość razem zamienię
W szanowne upokorzenie.
Ten kościół pobożność wmawia;
Ten się pięknością nadstawia;
Tu, gdy srożał król zawzięty,
Bogobojny biskup cięty.
Tam jego święte odzienie,
Infuły, i pierścienie,
Głośne z ubogiej prostoty...
Droższe w tenczas były cnoty...

Tu, Bolesławy siedziały:
Chrobry, Krzywousty, Smiały,
Pany całego przebiegu
Od Elby, do Dnipru brzegu!
Z tych okien patrząc na ziemię,
Dzielne Jagiellona plemię,
Za jednem ręki skinieniem,
Świat mu się chyli ze drżeniem;
Dają pokój, koją bunty,
Potężne nasze Zygmunty!
Tam znowu smutną koleją
Też same głowy pruchnieją,
Co strwożonym światłem trzęsły,
W podziemnych grobach zaklęsły;
Gdzie każdy z nich popiół woła!
„Ten królów koniec i szkoła!“

Ale któżby bliższych i dawniejszych wieków osobliwości miasta tego wyliczył? Te krużganki i ściany kościołów nagrobkami wielkich mężów w ojczyznie zapełnione, te niezmierne, a tak dawne, akademii tamtejszej gmachy, z których wszyscy prawie dawniejsi uczeni ludzie w narodzie wyszli; te wspaniałe domy, w których tylu znakomitych kiedyś mężów mieszkało; te skarby koronne i kościelne, tyle drogich i ciekawych rzeczy zamykające, dają nam poznać, że Kraków jest dawnym grobowiskiem uczonych, gospodą albo mieszkaniem ludzi naczelnych, i składem bogatej, albo ciekawej starożytności polskiej.

Zacne miasto! tobie gwoli
Jeśli Bóg życia pozwoli,
Nie żal mi będzie tej drogi,
Odwiedzić jeszcze twe progi.
Co zobaczę, co usłyszę,
W tenczas dokładniej opiszę;
Oby tylko winne chwały
Twej wysokości dostały!

Czerna, o mil dwie od Krakowa, pustynia sławna

mnichami pod regułą Karmelitów żyjącemi. Ale i każdemu żądającemu w osobności życia bogomyślnego drzwi tamte są otwarte. Między lasem i skałami, na jednej z nich, klasztor samotny z kościołem leży. Głębokie milczenie odludne to miejsce napełniło. Mur wkoło, na ćwierć mili pustyni zajął, za którą zagrodę wychodzić pustelnikowi nie wolno. Żadnego oni z sobą społeczeństwa nie mają, i kilka razy tylko na rok, na czas krótki schodzą sie, przechadzka nawet we dwóch jest im zabroniona. Jeden przełożony ze świeckiemi rozmawiać i bawić się może, ale żadnego z pustelników nikt nie obaczy.

Kto się z zawziętą fortuną powadził,
Kogo swój zawiódł, a przyjaciel zdradził;
Kto pod przemocy brzemieniem uklęka,
Tu go silniejsza dźwignąć może ręka.
Gdy twych zabiegów Boga zrobisz celem,
On twoim panem, krewnym, przyjacielem!
O te tu skały pycha zaślepiona
Marnym zapędem legła roztrącona!
Tu u nóg pada tej pokory mężnej,
Zażartych losów pocisk niedołężny!
Tu miejsca swego chybiły rozpacze,
Śmieje się zbity, a zwycięzca płacze!
Bracia! mieć ufność potrzeba,
Z tej góry bliżej do nieba,
Ale pewniejszą poszlibyście drogą,
Tędy, gdzie ludzie zgodzić się nie mogą;
Tędy, gdzie nędza rady, wsparcia, czeka;
Tędy, gdzie człowiek potrzebuje człeka!
Wam z waszej góry widać na dolinie,
Jak tu nie jeden obłąkany ginie!
Za cóż nas czasem nie wspomódz z ochotą?
Wszak miłość bliźnich jest najpierwszą cnotą?
Przed resztą stworzeń człek mową się chwali,
A wyście sobie mówić zakazali,
I wiodąc smutne z zwierzętami życie,
Milczeniem waszem dar mowy bluźnicie.

Jeśli się cnoty uczymy przykładem;
Wy ją lubicie: poszlibyśmy śladem.
Lepiejby płynąć w towarzystwie świata;
By poratować tonącego brata.

Blisko Czerny, sławne od wieków szyby marmurowe, któremi Kraków i okolice jego zdobione. O dwie mile zaś ztamtąd groty podziemne Ojcowskie i Czajowieckie. W tych drugich, chodząc więcej godziny, końca znaleźć nie mogliśmy. Podczas napadów tatarskich zapewne tam ludzie się ukrywali, bo w wielu miejscach widać ślady ręki ludzkiej, i.. co jest osobliwością, suchość ścian i gruntu wszędzie znaleziona.

Tu, gdzie najwyższa podniosła się góra,
Na wierzchu płodna siadając natura,
Gdy zakłócone żywioły łagodzi,
Za sprawą czasu, świat karmi, i rodzi.
Gdzie zaś podziemne ciągną się tarasy,
Ma tajne rady, lub spokojne wczasy.

Dolina Promnik, tak nazwana od potoku, który środkiem jej płynie, jest rzadko widzianą pięknością, ktoby ją uczuć umiał. Brzeg najczystszego tego potoku, i obszerniejsze ubocze, zieloną murawą usłane: wzdłuż zaś ciągną się najwyższe różnego składu i farby skały po których wieczne drzewa, na uproszonym gdzie niegdzie kawałku ziemi wieszając się, świętość jakąś i uszanowanie bojaźliwe dla miejsca tego wrażają; gdyby zamek Ojcowski, który w dalekości daje się widzieć, położenia tego nie ośmielał; że to dla ludzi, nie dla wyższego jakiego stworzenia piękność ta sporządzona. O pół mili ztamtąd do Piaskowej skały, dawnej Szafrańców dziedziny przybyliśmy. Zuchwałą sztuką, na cyplu ostrej skały zamek ten osiadł. Kto z okien na ziemię spojrzy, w tej niezmiernej podniosłości, potok doliną tamtą płynący, chaty wieśniacze, i w około prawie otaczające go skały gołe, albo drzewami okryte, najpiękniejszy widok sprawują. Na dole, przyjazdu do zamku pilnuje pałka (jak nazywają) herkulesowa, czyli ka-

mieni przy drodze stojący, od innych skał oddalony; u dołu grubości może na cztery łokcie, zwolna zaś postępując, u góry może na ośm; ale wysokości do trzydziestu łokci mający.

Słupie! starego rówienniku świata!
Tyś zapamiętał, jak kiedyś Sarmata
Z Scytą, a potem z bitnemi Słowiany,
W takim kraju łączył naród zawołany!
Jak z czasem wzrosłszy, z kim się tylko sparła,
Swych nieprzyjacioł Lacka szabla żarła.
Widzisz i nasze nieszczęśliwe wieki..
Dziś Polak ze snu przeciera powieki,
I... biorąc na się zbroję zapomnianą,
Budzi swe męztwo i sławę zaspaną!
Jeżeli jeszcze zechcą losy nasze,
Dotną się chwały rodackie pałasze,
A białym orłom i bratniej pogoni
Świat się, przed laty nawykły, pokłoni.
Wasze, prac wielkich wielcy tawarzysze!
Naród roboty na kamieniu spisze:
By je, czytając opóźnione wnuki,
Brali miłości ojczyzny nauki. [1])

O ćwierć mili od Piaskowej skały leży Grodzisko; miejsce sławne ukrywaniem się przez czas jakiś świętego Salomei, córki Leszka Białego, siostry Bolesława Pudyka, a żony Kolomana króla halickiego. Może, podczas opłakanych owych napadów natenczas tatarskich, niezbadane zakręty i przepaści miejsc tamtych ukrywały tę św. Pannę. Albo kiedy dla bezpieczeństwa Pudyk z Zawichosta zakonnice Franciszkanki (między któremi była i Salomea) do Skały przeniósł, może wtenczas miejsce to odludne, a tak bliskie od Skały, dla spokojniejszej bogomyślności obrała sobie. Na przykrą górę wązką dróżyną długo drzeć się potrzeba, niżeli na wierzchołku, między dzikim lasem, okaże się kościół samotny, otoczony murem i posą-

[1]) To pisane podczas sejmu 3 Maja.

gami Piastów, rodziny Salomei. Zaraz przy kościele mały ołtarz jej a w bliskości szczupły domek, gdzie przemieszkiwała, nad samą przepaścią ogromnej skały zawieszony.

Takżeś to nędzne mieszkanie obrała,
W najżyższej porze panno owdowiała?
Rzucając bratnie i mężowskie trony,
I tłumne służby, i pańskie uchrony;
Niedbała na wiek, i na piękność lica,
Z królowej, Boga twego niewolnica!
Ona tu na tym kamieniu sypiała!...
Tem oknem, z niebem przyjaznem gadała;
Tu, gdzie ten w częściach głaz powyciskany,
Znać go miękkiemi wygniotła kolany!...
Cichości! miejsc tych pani wieko-trwała,
Tyś jej niewinne szepty wysłuchała,
Gdzie z niewidomym oblubieńcem wzdycha,
I z czucia płacze, korzy się, uśmiecha.
Gruchanie w puszczy leśnej gołębicy
Wspominało mi jęczenie dziewicy;
Na rosę ranną, która z kwiatu ścieka,
Myślałem, że to łzy siostry Pudyka.

Chcąc widzieć potem sławną Częstochowę, droga przypadła na Lelów miastą i zamek od Kazimierza Wielkiego, przed czterysta latami murem opasane. Stoi jeszcze w niektórych tylko miejscach przez niedbalstwo mur nadwerężony, i poświadcza, jak wieków tamtych prace i wielkie i gruntowne były. Jest podobieństwo, że nazwisko Lelów, wzięte jest od bożyszcza Lelum, czyli Kastor, u pogan jeszcze Polaków szanowanego. I może w tem miejscu, prócz Łysej góry szczególniej sławnemu temu bałwanowi ofiary oddawano.

Dalej Olsztyn miasteczko, i zamek przy nim na wysokiej górze już rozwalony. Dwie tylko baszty pozostały, z których jedna niezmierną wysokością grozi jeszcze, nie już Szlązakom, dla których na pograniczu posadzona, ale przejeżdżającym pod górę gościnnym.

W Częstochowie, do trzech tysięcy nabożnego gminu, prócz naszego pospólstwa, z Prus, z Czech, z Szlą-

ska i Morawy zebranego zastałem. Ale to dziwna, że między takim tłumem ludu zgromadzonego nikogo ze znaczniejszych nie widziałem; jak gdyby majętni nie mieli równej powinności dziękowania, jak mają ubodzy potrzebę prośby. Sławny jest skarbiec kościoła Częstochowskiego, będąc tylu królów i książąt, tak naszych, jako i zagranicznych darami pomnożony; te zaś po ścianach pozawieszane bronie Polaków dawnych są świadkami nabożeństwa ich i dzielności razem — a wymawiają wiekowi naszemu oziębłość dla wiary i ojczyzny. Między zgromadzonem tam pospólstwem różnili się przykładniejszą pobożnością Morawcy. Skromnie do świątyni wchodząc ze śpiewaniem, w głębokiem potem milczeniu kilkaset osób obojej płci ukląknąwszy, spłakane wszyscy oczy w ołtarzu utopili. Insi jakoby nie godni wejścia, pod niebem za murami kościoła, obróceni ku stronie ołtarza, nikczemność swoją wyznawali.

Zdaje się, na Jasnej-górze stoi owa
Drabina o niebiosa wsparta Jakóbowa,
Po której aniołowie wstępują i schodzą..
Swięte posły, człowieka z Bogiem swoim godzą!
Ci zbierając łzy, które niewinność wylewa,
Albo komu wyciśnie nędza niecierpliwa,
Lecą z ziemi do góry jednym oka mgnieniem,
Gdzie je bóstwo litości swem suszy wejrzeniem;
Insi z nieba zstępują, i czynią ofiarę
Tego nieba za miłość, nadzieję i wiarę.

Z Częstochowy, powracając do Warszawy, wyboczyłem na Czarnce, dziedzinę kiedyś Stefana Czarnieckiego, sławnego w dziejach naszych bohatyra. Leżą smutne rozwaliny domu jego, w którym razem i sława narodu przemieszkiwała. Ale drzewa bliskiego ogrodu oparły się wiekowi, a grubością i wysokością swoją dają to poznać, że są rówiennikami czasów Czarnieckiego. Blisko, kościół od niego wymurowany, jako napis na czele świadczy, rękoma we krwi nieprzyjacielskiej zbroczonemi. Przy kościele zakrystya, pierwej przed kościołem wymurowana, bo napis nade drzwiami jej

dawniejszy, wspomina Czarnieckiego jeszcze jak żołnierza tylko i dworzanina królewskiego.

Ale kiedy mi grób był otworzony,
Bojaźnią zdjęty i upokorzony,
Z drżeniem uchylam fatalnego wieka,
Chcąc widzieć wielkie popioły człowieka!
To kiedyś ciało, i te kości święte
Były zapałem ojczyzny przejęte,
Gdy w swych zapędach, rycerz niewstrzymany,
Ranne swe piersi narażał na rany!
Wszystko mógł, gdzie chce starania przyłożyć;
Śmierć go, gdy umrzeć chciał, nie mogła pożyć.
Księżno! gdy w prochu rycerza szukałem,
Zacnego twego wnuka przypomniałem,
(Który służeniem ojczyźnie w swym czasie,
Z sławnym pod Ulą Romanem zrówna się),
Czemuż on wtenczas nie był ze mną społem,
Gdym z Czarnieckiego rozmawiał popiołem?

MOWA

NA

POCHWAŁĘ

JANA SOBIESKIEGO,

KRÓLA POLSKIEGO.

Z okoliczności obchodu setnego roku zwycięztwa jego pod Wiedniem.

DO

MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

DO

KSIĄŻĄT ICHMOSCIÓW ADAMA I KONSTANTYNA CZARTORYSKICH,

GENERAŁOWICZÓW ZIEM PODOLSKICH.

Trud i niewygoda udziałem padły na lud pospolity, a imiona wielkie same ich szukać mają, ażeby albo przodkom swoim wyrównały, albo jeszcze większemi były.

Minęły szczęśliwe wieki panowania waszych Jagiellonów, zacnę książęta, kiedy Polak wojennym gorejący duchem, upokorzywszy sąsiadów swoich, nie mając na kogo w domu walecznej podnosić ręki, z Witoldem nieśmiertelnym za sławą chodząc, szukał kogo w dalekich krainach, ktoby mu w odwadze wyrównał, i z owymi pogromicielami Azyi, wodzami potężnego Tamerlana, potykał się.

Insze nastały lata!... W zadawnionym nieładzie kraju, swoje nawet otworem zostawiliśmy zagrody, że na owe szanowne kiedyś granice nasze miękkość nieczynna, z jednego do drugiego kraju goniona, spadłszy... i serca nam i ręce pozabierała.

W mowie na pochwałę Sobieskiego napisanej, którą wam zacne książęta oddaję, widzicie pochwałę Polaków przeszłego wieku! Patrzycie teraz na kraj swój, jak... siedząc smutni po domach naszych, szczęścia, które upłynęło, żalujemy.

Już dorośliście tej pory wieku waszego, gdzie przy poznawaniu rzeczy, które macie najżywsze, umiecie patrzyć z politowaniem na ziomków waszych, z jakim uciskiem

niedoli naszej jarzmo ciągniemy, a.. oglądając się na Was i rówienników waszych, lepszą przyszłością bóle nasze łagodzimy.

I nieomyli nas pewnie powszechna o Was nadzieja, że kiedyś i Wy, szczepy młode, rozrośnięcie się w drzewa zamożne! upracowana ojczyzna i pod cieniem waszym ochłodę, i z gałązek waszych wieńce mieć będzie.

MOWA.

MOŚCI PANOWIE!

Naród Polski, który sobie samemu wielkość dawną powinien, bo granice swoje niewyżebraną jaką pomocą cudzą, ale rękami ojców waszych do takiej posunął rozległości, miał w każdej przygodzie zdolnych mężów, którzy umieli dobrze wszystko, i wypełniali to najlepiej, czego od nich ojczyzna w potrzebie żądać mogła. W dawniejszych wiekach, sąsiad upokorzony nazywał Polaka wojennym: bo broń dobytą na stole obiadu składał, którego często niedokończywszy, ścigał i pokonał nieprzyjaciela; nazywał go pysznym i zuchwałym: bo kto panować nawykł, nigdy się upodlić nie umiał; nazywał go strasznym: bo w raptowych wyprawach swoich, chociaż jako piorun w jedno tylko miejsee uderzył, przecież błyskawicą wszystkie pozastraszał okolice. Ale Polak dawniejszy od dzieciństwa zaraz doświadczał ramion pracowitych do noszenia ciężarów obywatelstwa: i jeżeli dla dobra powszechnego trudy jego dożywotne były miłości ojczyzny skutkiem, tedy ta znowu z wychowania i ćwiczenia dziecinnego pochodziła.

Długi poczet mężów narodu bohatyrskich Jan Sobieski król Polski zakończył, którego, kiedy dziś setny rok sławnego zwycięztwa pod Wiedniem obchodzimy,

z tej pobudki do pochwał tego męża wielkiego zabierając się, pójdziemy za nim od lat jego dziecinnych przez lata dalsze uważając, jaką drogą do tej wielkości przyszedł, co będzie pożytkiem dla nas; oddamy potem pamięci Sobieskiego pochwały winne, co będzie powinnością dla niego.

Matka Spartanka (co tam jakoby za chrzest obywatelski stanęło) urodzone dziecię na tarczy składa, któremu powszechna potem, a ta twarda ćwiczenia szkoła do dzieł nieśmiertelnych drogę otwiera. Dawny Rzymianin, pracą i utrudzeniem do dalszych niewygód dzieci przyzwyczaja, gdzie najpierwsze dzienne ćwiczenia, ubieganiem się w zawody, albo zręcznem zapaśnictwem ze wschodem słońca zaczynano; a naród Polski, z tych wzór biorąc, nie marnem jakiem wieków przeszłych zatrudniał je ćwiczeniem, ale do tego najpierwej młodzież sposobił, co ojczyznie największy w czasie przynieść mogło pożytek. Ztąd owe u dawnych Polaków małych dzieci na ćwiczenia żołnierskie prowadzenie; wczesne do robienia szablą, albo kopiją wprawianie; ledwie utrzymać się mogące dziecię do jeżdżenia na koniu przyzwyczajanie; ztąd owe po domach szlacheckich nieprzyjaciół ojczyzny z drewna porobione posągi, na które zawczasu zaczynając się gniewać młodzian niedorosły, zaprawiał, rozpędziwszy się, rękę swoję, jak miał w czasie ze sprawnością w prawdziwego nieprzyjaciela ugodzić.

Jan Sobieski, w roku 1629 rodząc się, jeszcze tych zasięgnął wieków, kiedy... prócz takich ćwiczeń, przykłady wielkich mężów w narodzie, i miłość ojczyzny swojej najpierwszem zachęceniem i szkołą narodu były. Jeszcze brzmiała Polska sławą Żółkiewskiego, który przed lat niewiele poległ za ojczyznę na Cecorskiem polu. Jeszcze ważnego nad potęgą-Ottomańską, za rządem Chodkiewicza, zwycięztwa pod Chocimem nie skończyły się okrzyki: że pierwszy głos, który wychodzącemu na świat dał się słyszeć Sobieskiemu, był głos zwycięztwa i pochwał bohatyra; że pierwsze słowa, których się dziecię nauczyło, była miłość i sława ojczyzny swojej.

Lata dziecinne lubią się zatrudniać słuchaniem dziejów dawniejszych — i gdybyśmy, chcąc tej ich skłonności na dobre zażyć, miasto próżnych bajek prawdziwą zabawiali je historyą; gdybyśmy, od dziejów narodu naszego zaczynając, dawali im poznawać, poświęcenie się zupełne dla ojczyzny, zuchwałość przewagi, sprawność albo błędy Polaka dawniejszego: zaszczepialibyśmy wcześnie w sercach młodocianych to nasienie, z którego z laty wierny rodzi się obywatel.

Młodemu Sobieskiemu, prócz tylu dzieł mężów w narodzie najsławniejszych, wojenny ojciec domu swojego nieśmiertelne wystawiał przykłady, a dotkliwa matka, kiedy mu znowu ojca swojego wielkiego Żółkiewskiego chwałę opowiada, kiedy mu zgon jego opisuje, jak w małej liczbie opierając się stutysięcznym zastępom Ottomańskim, kilkadziesiąt mil niepożyty porządnie ustępował, jak nad brzegiem już Dniestru oposzczony od jazdy swojej, nie chcąc resztę ludzi (chociaż siebie samego mógł był ucieczką poratować) na rzeź zostawić, piechotę całą wyciętą widzi; jak potem i sam chwalebnie poczciwemi ranami poległ! tego wszystkiego kiedy dziecię Sobieski słucha, razem żałość, chęć zemszczenia się, chwałę i miłość ojczyzny poczuł, a żaląc się na niezgodne z chęciami swojemi ramie, z niecierpliwością pory swojej władania bronią czekał.

Tak w domu przygotowany Sobieski, do krakowskiej Akademii wraz z bratem starszym Markiem odesłany. Starowny ojciec — znany w radzie przez czystość zdania i obywatelstwo; w boju przez odwagę i roztropność; między uczonymi przez zostawione księgi; w Europie — przez poselstwa wyprawiając dzieci swoje, nie ściąga dla nich z zagranicy rządzców nauk, czyli jak dziś nazywamy, guwernerów, którzy dziecię Polskie, nadto wcześnie uprzedzone o państwach cudzych, na obywatela kochającego kraj swój wystawić nie umieli: ani go miłości ojczyzny nauczyć mogli, gdy sami swoję dla zysku marnego porzucili; ale między ludźmi narodu cnotliwego szlachcica wybrał, którego na miejscu swojem zostawując, na samem powszechnem zaręczeniu obyczajów jego spokojny przestał. Miło czytać,

jakie na piśmie dla dzieci swoich zostawia mu przestrogi. Religija, najpierwsze tam zabrała miejsce: bo dawniej znano się na tem, jak z tego źródła wszystkiego dobrego chrześcianina i obywatela cnoty wypływają; i próżno to dzisiaj rozłączać chcemy, kiedy wieku naszego widzieliśmy, jak z cierpiącą religiją i biedna ojczyzna ucierpiała.

Zaleca potem młodym Sobieskim ojciec ćwiczenie się w tem wszystkiem, co znał do wiadomości dobrze urodzonemu dziecięciu najpotrzebniejszem: każe szanować rówienników urodzenia swojego, ale się nigdy nie poniżać; każe mieć litość nad ubogiemi, i na to nawet pewny zapas pieniężny naznacza. Przy zabawach zwyczajnych, które rozdaje szkoła, nie opuszczał pewnie taki przydany rządca powierzonych sobie nauczać Sobieskich: o powinnościach człowieka względem siebie samego i bliźnich swoich, o kraju polskiego rządzie i potędze, o sąsiedzkich państw wpływaniu i sile, o szacunku drogiej ale dobrze zrozumianej wolności, i poświęceniu siebie całego dla ojczyzny. I tato ojczyzny miłość, o której zdaje się, że dzisiaj zapominamy, naczelnem tamtego wieku była młodzieży polskiej ćwiczeniem.

Ale wiek już młodzieński przyszedł, i Sobiescy po skończonych ćwiczeniach, które Polak w domu mieć powinien, na zwiedzenie krajów cudzych puścili się. — Pamiętne będą do wyjeżdżających dzieci za granicę słowa ojca ich Sobieskiego: „Nie uczcie się (powiada) tańców, bo tego się i w domu z Tatarami nauczycie.“— Oto obywatelska myśl ojca względem dzieci swoich; oto zgadniony cel objeżdżania krajów zagranicznych, gdzie wyjechawszy, nie marnych jakich umiejętności nabyciem, ale tem, coby w czasie prawdziwy narodowi przynieść mogło pożytek, zatrudniać się należy. Tak zażył Jan Sobieski bawienia się swego za granicą: kiedy, miasto szukania we Francyi, (gdzie się najdłużej bawił) płochych jakich rozrywek, w wojsku Ludwika trzynastego u muszkieterów służbę przyjmuje, a tam nietylko wszystkiego, co należy do zachodu w twierdzy, albo w polu zostawionego żołnierza, uczy

się, ale z najdoskonalszemi obcując wodzami, jakby i sam w czasie na wodza wyszedł, ich błędy, albo rządem szczęśliwym zwycięztwa odniesione rozważa.

Włochy i Niemcy zwiedziwszy, wszędzie jak pszczoła miody pożyteczne zbierając, do Stambułu, na którym się podróże ich zakończyły, przybyli. Sobieski, nikomu natenczas nieznajomy, wjeżdżał w to sprzysięgłe na zgubę Chrześcian miasto, w którem potem milion go języków ze drżeniem wspominało, w którem potem na niego tyle żon owdowiałych i matek osieroconych płacze! Najpożyteczniej, chociaż krótki czas bawienia w Stambule strawiony, bo tam się pilniej nieprzyjacielowi przypatrywał, z którym się najczęściej mocować miał — i tę ogromność zaraz mniej ważyć począł, którą, samem tylko nadęciem wielką być widział.

Wojna, która się w kraju za panowania nieszczęśliwego Jana Kazimierza z Kozakami zaczęła, nie dała dokończyć Sobieskiemu ułożonego jeszcze zwiedzenia Azyi: bo miłość narodu słodsza mu była nad wszystko, co oko zabawić, albo ciekawość jego kiedy mogło zaspokoić. Powrócone do domu dzieci, matka owdowiała (bo już ojca Sobiescy nie zastali), nie z próżnem jakiem rozrzewnieniem wita; ale jak Polka: „Pójdźcie (mówi) i zemścijcie się nad Tatarami, bo was za synów nie znam, jeżeli będziecie podobni tym, którzy pierzchnęli pod Pilawcami.“ Te były słowa ważne, któremi matka Sobieskich, wyzuwając się niejako z prawa swojego nad dziećmi, uroczyście oddawała je ojczyznie swojej. Jakoż od tego momentu, dla ojczyzny tylko młodzi zaczęli pracować Sobiescy, a kiedy nieszczęśliwszy Marek w krótce od Tatarów okrutną polega śmiercią, brat jego młodszy do dzieł nieśmiertelnych chwalebne sobie pole otwiera.

Jan Sobieski, już domu swojego głowa, zbuntowane pod Zborowem wojsko Polskie, do którego zaspokojenia wszystkie sposoby wielkiemu Czarnieckiemu ustały, słodyczą wymowy swojej do zgody i jednomyślności nakłonił, gdzie potem, walecznie sobie w potrzebie poczynając, przywilej na chorąztwo koronne odebrał. W wojnie dalszej ze Szwedami, Moskwą i Rako-

cym, jeden prawie przy Czarnieckim pozostał, który o ocaleniu rzeczypospolitej nie rozpaczał, — Jenerała szwedzkiego Duglasa, idącego na odsiecz oblężonemu przez Czarnieckiego Gustawowi, na głowę zbija, ziemię Siedmiogrodzką, jako kraj nieprzyjaciela ojczyzny, Rakocego, napada, a tym sposobem do ratowania zagrody swojej odwołując go, miłą ojczyznę od jednego z najsroższych nieprzyjaciół uwalnia; Kozaków, chcących się z wojskami moskiewskiemi, (co wielkiej wagi robotą było) złączyć pod Cudnowem, zręcznością swoją uprzedza, i sławnem zwycięztwem gromi pod Słobodyszczem; a za nagrodę... tylu jego trudów i przysług dla narodu; po Lubomirskim, Marszałkiem Wielkim Koronnym, wkrótce po Czarnieckim, Hetmanem Polnym zostaje, a po śmierci Potockiego buławę wielką odbiera.

Z tak wielkiem pomnożeniem się władzy Sobieskiego, i dzieła jego ważne pomnożyły się: We dwadzieścia tysięcy żołnierza polskiego hetman, w niedostatku skarbu rzeczypospolitej, swoim nakładem utrzymywanego, do stu tysięcy Kozakom i Tatarom zgromadzonym śmiało się stawia pod Podhajcami — gdzie, kiedy w okopach oblężonemu nieprzyjaciel równie jak i niedostatek dokuczał, a żołnierz, o uchyleniu się choćby ucieczką od niebezpieczeństwa szemrać począł — Sobieski, chcąc bojaźliwych pokrzepić: „Nie zatrzymuję tych (powiada) którzy z pięknej śmierci losem serca nie mają mocować się, niech ztąd zaraz bez chwały ustąpią, i obierają więzy Tatarzyna. Co do mnie, stanę na czele tych, którzy ojczyznę i króla swego kochają.“ Krótka ta mowa wielki zrobiła pożytek: bo, gdy nikt nie chciał być pierwszym ojczyznę i króla swojego zdradzić, wyszli z okopów wszyscy przeciwko nieprzyjacielowi, i Nuraddyn, który dopiero postrachem był dla naszych, mnogiego trupa na placu zostawiwszy, sromotnie uciekać musiał:

Mahomet czwarty z Kuproglim wezyrem, wielkiemi zamysłami, a potem nieszczęściem sławnym, poddającym się Porcie Kozakom rękę podaje. Jak wiele sobie tę wyprawę przeciw Polakom, długiemi wojnami wyni-

szczonym ważył Mahomet, widać to po ściągnionych dwóchkroć sześćdziesiąt tysięcy wojskach, po ruszeniu się osobą swoją na tę wojnę, i po tylu zachodach, które największe jego znaczyły usiłowanie. — Drżała ziemia pod armatą nieprzyjaciela, a naród nasz, domowemi natenczas zakłócony niesnaskami, jeżeli walecznej dobył broni, tedy na to tylko, aby ją we krwi brata swojego zamaczał, że bezkarny Ottoman w granice państwa naszego wszedłszy, Ukrainę i Podole z Kamieńcem bez oporu odbiera, a potem niesławnym traktatem Buczackim hołdownictwo Porcie i corocznego haraczu płacenie wkłada.

W czasie tej wojny opłakanej, kiedy wszyscy ostatniego czekali losu, z garstką wojska, które miał przy boku swoim Sobieski, nieprzyjaciela głębiej w kraj zapuszczonego zatrzymał, i dwóch synów hańskich z licznemi ich wojskami osobnym bojem pobił; a potem na złączonych już razem z ojcem swoim, hanem tatarskim, napadłszy, trzydzieści tysięcy zabranego w Polsce odbiwszy niewolnika, ażeby przynajmniej cokolwiek niezemszczony nie uszedł nieprzyjaciel, nad nim wsławia się zwycięztwem.

Ale polski obywatel, kiedy z przestrachu tego cokolwiek do siebie przyszedł; kiedy wstydliwy traktat Buczacki potrzeba było podpisać, spojrzawszy jeden po drugim, i widząc tyle tysięcy rąk jeszcze wolnych, które dobrowolnie na więzy podawali; wspomniawszy na miłą ojczyznę, która się lepszego losu od synów spodziewała, a oni o jej chwale i powołaniu swojem z taką zniewagą zapomnieli; wspomniawszy na dzieci swoje i przyszłe pokolenia, które bez winy ich żadnej w obelżywe zapisać mieli poddaństwo, że wychodzące na świat dziecię złorzeczyć miało potem roskoszom matki swojej gdy z urodzeniem swojem razemby sobie kajdany przyniosło; kiedy jeszcze Sobieski hańbę tego traktatu w oczach wszystkich najżywiej odmalował, dawną ich chwałę z teraźniejszą niedołężnością porównał; nie śmieli spojrzeć na broń, którą każdy przy boku nosił, że jej w potrzebie zażyć nie chcieli, i wyrzucając jeden drugiemu zawiści niepotrzebne, jednym

miłości ojczyzny złączeni węzłem, traktat Buczacki za nieważny uznali, i wojnę przeciwko nieprzyjacielowi chrześciaństwa ogłosili.

Do podniesionej w pośrodku narodu chorągwi Sobieskiego co żywo cisnąć się poczęto, i każdy wstyd swój dawniejszy we krwi nieprzyjaciela zmazać żądał: że zebrane do czterdziestu tysięcy wojsko pod Lwowem, ażeby go jak najprędzej na nieprzyjaciela prowadzono, wołało. Król Michał, sam do boju przywodzić chcący, chorobą zatrzymany, chwałę tę Sobieskiemu zostawił, który okopanych pod Chocimem ośmdziesiąt tysięcy Turków napada, i do trzydziestu tysięcy na placu ich położywszy, resztę albo rozprasza, albo w niewolą bierze.

Nie mając już czem naród tak wielkich dzieł nagrodzić Sobieskiemu, kiedy i dawniejsze jego czyny nieśmiertelne, i to nowe, a tak chwalebne zwycięztwo widzi, którem z narodu wolnego obelżywą hołdu tureckiego suknią zdejmował, po zaszłej w tymże czasie śmierci Michała króla berło mu swoje ofiaruje. Ale, gdy Sobieskiego szczęście powszechne więcej niżeli swoje własne zatrudnia, do koronacyi przystąpić nie chciał, pókiby po karkach zupełnie poniżonego nieprzyjaciela na tron nie wstąpił.

Humań fortecę, jak można było najmocniej kozackim osadzono żołnierzem, i na sto tysięcy wojska tatarskiego w odsieczy mającą, niewstrzymanym szczęścia swojego zapędem odbiera, i zastraszonego Tatarzyna nie bez ostatniej klęski rozpędza. Zebrani w równej liczbie Tatarowie, chcąc się strat swoich pomścić, niespodziewającego się pode Lwowem napadają Sobieskiego; ale prawdziwy ten bohatyr nigdy się zatrwożyć nie umiał, i...w małej swoich liczbie odważnie stanąwszy przeciwko nieprzyjacielowi, pietnaście tysięcy Tatarzyna na placu trupem położył. Ani zuchwały wezyr Mustafa czarny, z niepoliczonem wojskiem wtargnąwszy w granice polskie, szczęśliwszy! Od oblężenia zamku Trębowli przez Sobieskiego, w odsieczy swoim idącego, sromotnie odegnany, mając, może na dziesięć razy tyle żołnierza, który go słuchał, dla tego tylko

przed Polakami uciekał, że go się Sobieski nie bał; i za przeprawą Dniestru, gdzie się już sądził bezpieczniejszym, dopiero obejrzawszy się, żadnej za sobą pogoni prócz strachu i wstydu swojego nie widział: bo nasz bohatyr, naglony od narodu, na koronacyą do stolicy powracał.

Wtenczas — kiedy okrzyki narodu powietrze napełniały, od mocarstw europejskich i z dalekiej Persyi poważne posły imieniem monarchów swoich powinszowanie mu składają — pyszny Mahomet, ani mu się pokłonić, ani nim pogardzać nie mogąc, zapomniawszy traktatu Buczackiego, i tylu klęsk po nim nastąpionych, siłę swoję całą na cesarza Leopolda obraca. Uwolniony na czas od nieprzyjaciela Sobieski, do poprawienia rządu i sprawiedliwości krajowej przykłada się: co z taką umiejętnością i usilnością wykonywa, że wątpliwość zostawił, czy wojną, czy pokojem był większy.

Mocarze ziemi! jeżeli was sprawiedliwe pobudki obrony całości i szczęścia poddanych waszych do wojny nie pociągną; za co dla marnych zysków, pychy, albo krzywdy, jak mówicie, honoru waszego, zabójczą jeden na drugiego broń podnosicie? Oto każde cięcie obwinionego żołnierza waszego, jest kreską najczarniejszą, którą was pokrzywdzona natura naznacza! Przyjdą te czasy, kiedy lud oświecony tych wojowników, którzy dla tego tylko, że mogli, narody niewinne napadali, jako nawalnice albo trzęsienie ziemi, co całą spustoszyły okolicę, będzie wspominał; a dni waszych pamięć królowie sprawiedliwi, i nad wszystko szczęściu kraju wam powierzonego zatrudnieni, uroczyście w potomności święcona będzie.

Leopold cesarz, chociaż lubił słuchać kiedy go wielkim nazywano, przecięż siły swoje z potęgą nieprzyjaciela porównywając, znalazł się słabym, i wtenczas, kiedy Jan III, sam tylko jeden, a w szczęściu i sprawności swojej zaufany, całej sile ottomańskiej opierał się, Wielki Leopold od niego posiłku żąda. Mustafa czarny, wezyr Mahometa, jako błyskawica od wschodu na zachód w oka mgnieniu przeleciawszy, i... jako wezbrane gwałtowne wody, wszystko co tylko na drodze

zastał, zniszczywszy, albo pochyliwszy, we trzykroć sto tysięcy wojska pod Wiedniem, stolicą cesarską, stanął. Cesarz Leopold zapominał w przygodzie swojej, że wielkich bohatyrów wielkie robią niebezpieczeństwa, i nie dufając twierdzom warownym, w głębsze Niemcy strwożony uchylił się. Karol, książę Lotaryński, trzydzieści tysięcy wojska dla odsieczy Wiedniowi mający, mimo całej zdatności i odwagi swojej, potężnemu nieprzyjacielowi w oczy spojrzeć nie śmiał; Sztaremberg, fortecy Wiednia kommendant, po trzech dniach najdalej ostatniego losu spodziewał się, i dziury w murze powybijane, nieprzyjacielowi do wejścia, a oblężonym do pewnej zguby drogę otwierały. Zatrwożeni mocarze Europy, każdy, z uchronu swego, końca tej okropnej sceny w bojaźni czekał, a pożar, który się tak gwałtownie zajmował, sąsiedzkim państwom zniszczeniem groził; kiedy Jan III. wielą prośbami od Leopolda naglony, pod Wiedeń z wojskiem polskiem przyciągnął.

Jednem oka rzuceniem na rozległy obóz nieprzyjaciela, bohatyr nasz zaraz Mustafą pogardza, wojskom chrześciańskim serca dodaje, i postacią najwspanialszą, którą mu natura dała, pewność tego, co wyrzekł, zabespiecza. „Ten (mówi) człowiek rzemiosła swojego nie zna, i łatwo nam z nim robota przyjdzie.“ Uszykowane wojska tak daleko mniejsze od ottomańskich śmiało ku nieprzyjacielowi postępują, bo Jan im obiecał, że zwyciężą. I nie długo czekano skutku obietnicy: broń chciwa zemsty i zaboju obaczyła tylko nieprzyjaciela, którego, kiedy pierwej bojaźń, niżeli oręż polski doleciał, zginął przestrachem samym pożyty, i na tem miejscu, z którego dopiero pysznie rozkazując wielkie nadzieje sobie układał, hańbę sromotnej ucieczki ze sprzętem całym wojskowym zostawiwszy, kwapił się Mustafa jak najprędzej, aby najpierwszy o klęsce Mahometa niespokojnej doniósł Azyi; wtenczas kiedy okrzykom zaczętym w uwolnionym Wiedniu od nieprzyjaciela dalekie Europy odpowiadając mocarstwa, imie Jana trzeciego, jako wybawiciela chrześciaństwa, głosiły.

I ten to jest dzień, Mci panowie, który dzisiejszych pochwał dla Sobieskiego pobudką, który, kiedy dosyć mu było tylko pokazać się, ażeby od nikogo w tamtym czasie potęga nieukrócona, przed nim pierzchnęła, największej sławy jego stał się przyczyną. Ale on, nie marnym jakim losem do tej wielkości przyszedł: W dziecinnem jeszcze sercu jego powinności obywatelstwa wszczepione cnót jego dalszych zasadą były; i ponieważ za pracę wszystko nam na ziemi przychodzi: wielkiemi zachodami wielkość swoję kupować musiał Sobieski. Widzieć go było, jak w doskonaleniu się w potrzebnych naukach pilny, i ten, który narodowi całemu w czasie miał rozkazywać, zwierzchności swojej najposłuszniejszy, z jaką usilnością w językach potrzebnych ćwiczy się, że ich aż do siedmiu umiejąc, każdym z nich z taką łatwością, jak własnym ojczystym mówił. Jak potem, kiedy mu z wiekiem młodziana siły przybywa, bronią najsprawniej władać, i co do dobrego żołnierza, albo wodza należy, dokładnie umieć, przykłada się. Męże narodu! niech was dalszym życiem swoim uczy Sobieski.

Wtenczas — kiedy sobą już samym rządząc, roskosz i swawola, (która zwyczajnie przy żywości wieku i wielkich dostatkach trzyma się) najsilniej go do siebie ciągnie; — on majątek z domu swejego i Żółkiewskich największy, on lata namiętności najgorętszej, staraniom ojczyzny oddał. Z tąd poszło tyle trudów dla narodu poniesionych! a powszechną szczęśliwość więcej nad życie własne ważąc, ztąd tyle chwalebnie wygranych bitew! I chociaż Lubomirski pod Inowrocławiem, i młody ów basza pod Parkanami pokonali Sobieskiego, przecięż tyle zwycięztw, dla kraju swego chwalebnych i pożytecznych, zatarło dobrze pamiątkę tych małych nieszczęść, którym gdyby podpadać nie mógł, nigdyby wielkim nie był.

Szedł śmiało na wszystkie niebezpieczeństwa Sobieski, bo go wszędzie religia i ojczyzna za rękę wiodły: a tym sposobem, nie mogą iść tylko drogą poczciwą, przyszedł nakoniec do tej prawdziwej chwały, która szczególną miłośników ojczyzny jest nagrodą.

Wszystko, co tylko tego męża wielkiego otaczało, zdało się nim być napełnione. — Zdziwiona nad dziełami jego Europa, jemu tryumfy czyni, jego obrazy chwyta i oświeca! Narody obce, młodym swym królom za przykład go wystawiają [1]), a Hevelius, sławny wieku tamtego astronom, ażeby pamiątkę bohatyra unieśmiertelnił, wynalezioną przez siebie nową konstellacyą, tarczą Sobieskiego nazywa: aby, jeżeliby zazdrość albo niepamięć zatrzeć na ziemi chciały chwalebne pamiątki Sobieskiego, na niebie wiecznie czytane były.

Zamiarem było komisyi narodu edukacyjnej, wszystkich szukającej okoliczności, gdzieby dzieciom ojczyzny ważne posługi swoje okazać mogła, dzień zwycięztwa Sobieskiego pod Wiedniem uroczyście w każdej szkole narodu obchodzić przykazującej, ażeby młodzież słuchając pochwał tego wielkiego męża, brać mogła z niego przykłady obywatelskie, i uczyć się tej miłości ojczyny swojej, bez której wszystkie insze nauki próżnemi stałyby się w rzeczypospolitej

Polacy! Młodzi szlachetna! potrzeba koniecznie kochać ojczyznę swoję!... Nie masz tu środka Mci panowie! obywatelem z was każdy, albo nieprzyjacielem ojczyzny jest: bo wtem sama oziębłość zbrodnią! Ani wiekiem waszym młodym wymawiać się możecie; wypełniając to napilniej, czego po was nauczycięle żądają, i myśląc o tem, jakbyście narodowi swojemu w czasie byli najzdatniejszem — oto już tem samem obywatelami jesteście. Annibal, dziecięciem jeszcze przysięga na szablę Bogom nieśmiertelnym, że nieprzyjaciół ojczyzny swojej będzie do śmierci nieprzyjacielem, i największe potem utrudzenia słodkiemu były dotrzymującemu tej przysięgi. Czyliż nie mamy pobudek dbania o ojczyznę ze stanu naszego nieszczęśliwego? i z przykładów sławnych mężów w narodzie naszym? Ta to sama ziemia jest, na której kiedyś wielcy ludzie rodzili się!

[1]) Karolowi dwunastemu, królowi szwedzkiemu, uczącemu się języków, dosyć było wiedzieć, że Sobieski ten język umiał; zachęcony przykładem naszego bohatyra zaraz się z pilnością uczył.

Te to są częste po polach naszych mogiły, gdzie polegli dla ojczyzny bracia nasi zdają nam z grobów swoich gnusność teraźniejszą wymawiać! Jeszcze chodzimy pomiędzy też same ściany, jeszcze prawie nie zatarły się ślady nóg wielkiego Sobieskiego, i po drogach naszych stoją drzewa, czasów jego rówienniki! Wszystko na nas zdaje się wołać, i wszystko nas napomina.

Kiedy wam ojcowie wasi pierwszy raz do boku broń przypasowali, (coby się nigdy płocho robić nie powinno), czyliż rozumiecie, że to dla próżnego jakiego poważania was, albo marnej zabawki waszej zrobiono? Obchód to był uroczysty ślubu ojczyzny waszej z wami. Oddając w ręce wasze żelazo, ktore tylko w inszy kształt przerobione dała wieśniakom, żądała zaraz, ażebyście niem bronili całości jej, jak tamci, ażeby roli, któraby wszystkich żywiła, pilnowali. — Te święte między ojczyzną i dziećmi swojemi zakłady, ponieważ każdego obywatela są powołaniem: dla tego stójcie czujni na poczcie swoim, aby, jeżeli nieprzyjaciel napadnie, śpiących was kiedy nie zastał; i jeżeliby ginąć przyszło, przynajmniej chwalebnie poginiecie.

Ale, kochając ojczyznę swoję, kochać wam trzeba razem i religią, bo już to tysiącznym doświadczono przykładem, że tam, gdzie te dwie warowne twierdze miłości ojczyzny i wiary stoją, nieprzyjaciel z tej strony napaść nie może.

Ale, przez względy na tęż ojczyznę waszę zbytku niepohamowanego, za którego śladem wszystko złe idzie, chronić się przynależy, bo ten fałszywy przyjaciel, który przychodzi uśmiechęjąc się, a porzuca zdradziwszy, tem bardziej nas nieczułymi na wszystko robi, im więcej wygody i spokojności szukać zdaje się, ażeby tem łatwiej państwa zamożne razem z pozorem ich szczęśliwości obalał.

Proste ojców naszych zagrody! błahe i nikczemne w porównaniu z wiekiem dzisiejszym pomieszkania! Wy przy wolności słodkiej nie zazdrościłyście zapewne wspaniałym gmachom, w których się gnieździ pycha niewolnicza! i mając za sprzęt cały: puklerz, przyłbicę,

tarczę i szablę; a za mieszkańców: Polaków starodawną rzetelność, wierność Bogu, królowi i ojczyznie dotrzymujących, jakże nierównie byłyście od dzisiejszych kosztowniejsze, cnoty tylko i żelaza posiadaniem! A wy, duchy przodków naszych świątobliwe! jeżeli z wysokości szczęścia, w którem przebywacie, patrzyć wam na nas pozwolono, jakże potomki wasze odmienione widzicie? Spuście oczy na dół Mci panowie, i zawstydźcie się przed obliczem ojców waszych, bo patrzą zapewne na was!...O jakże dla nich, (gdyby się smucić mogli), widok żałosny! Pod losem zawistnym, który nas niezbytym ciężarem przygniótł, a do którego zadawnioną chorobą aż nadto byliśmy przygotowani, że aniś my stęknąć nie umieli: bo nie ręka nasza, nie język, a nadewszystko nie serce nasze przodków odwadze i miłości ojczyzny podobne.

W pośrodku żalu tak sprawiedliwego, który zapewne nierównie więcej i najwyższe dotyka serce, oddajmy dzięki nieskończone panującemu nam monarsze, że w powszechnem narodu nieszczęściu, co tylko mógł uratować, na to całą siłę swoję obrócił. Wprowadzając do kraju wykonywanie sprawiedliwości, przyłączył do niej i ćwiczenie najprzyzwoitsze młodzieży polskiej, że duchem jego tchnąca Komisya narodu Edukacyjna, prócz inszych starań najpotrzebniejszych, oto i teraz przez nakazany obchód pamiątki Sobieskiego w sercach młodzieży obywatelstwo zaszczepiać pragnie, i tę nadzieję lepszego losu, którą nam jeszcze i niesworność nasza wydzierać zdaje się, najopatrzniej powrócić usiłuje.

Zróbcie więcej Mci panowie, proście ojców waszych, i sami z nimi razem obstąpcie tron dobrego króla: On chociaż wysoko siedzi, ale myśl jego jest między wami, ale zbiegnąć mu do was najmilej, ażeby jak ojciec chcących ratunku dźwignął. Mówcie mu, że przodkowie wasi dla tego tak potężnymi byli nieprzyjaciołom swoim, że kochając miłą ojczyznę; jaka dawniejszych czasów nauka wojenna była, takiej od dzieciństwa zaraz synów swoich nauczali, żeby potem w przygodzie zawołany każdy obywatel bronić ojczy-

zny umiał. Proście go, niech i teraz do szkół, najpożyteczniej rozporządzonych, jedną jeszcze klassę stara się przydać, gdzieby przynajmniej na kilkunastu w narodzie miejscach sztuki żołnierskiej z powołania uczono; przez którąby szkołę obywatel każdy, i człowiek pospolity przechodzić musiał. A tak przez wprowadzone nauki insze, założywszy już w kraju naszym Ateny, będzie razem i Spartę widział, gdy każdy z was stanie się sposobniejszym do naśladowania przykładów wielkich ludzi w narodzie naszym.

PRZYWILEJ

JANA KAZIMIERZA

KRÓLA POLSKIEGO,

SZCZEPANOWI CZARNIECKIEMU

na Starostwo tykocińskie dany.

ORYGINAŁ.

Joannes Casimirus Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lituaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolensciae, Czerniechoviaeque. Nec non Svecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius Rex.

Significamus praesentibus Literis Nostris, quorum interest, universis et singulis praesentis et futuri aevi hominibus. Majestatis nostrae Nos puderet, nisi Magnifici Stephani in Czarnka Czarniecki, Palatini terrarum Russiae, totius Europae fama conclamatas virtutes, haereditario testimonio gratiae nostrae consignaremus. Nihil magnum in armis aetate nostra sine Czarnieccio; et si quid bello, vel in laborem vel in consilium opportunius, ejus opera tam in promptu, quam in pretio.

Quae non mirabitur aetas tam expeditum in implicitis animum? in arduis facilem? in periculis non magis fortem, quam providum? Rebus perditis unica salus debebatur; Numinum providentia datus est Stephanus. Effusa per tot Regni nostri provincias faedissima calamitatum illuvies, religiones pollutae; pretiosa quaque direpta; munitissima asyla Regni capta aut diruta: Ipsi nos fide civium destituti, ingenui in servitutem abacti; miserrimae undiqne strages: diu nulli ad obsistendum virtus, donec Czarneccianna fortitudo supra opinionem emicuit. Optabant omnes ea tempestate virum, qui statum Reipublicae in

TŁUMACZENIE.

Jan Kazimierz z Bożej łaski, Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudźki, Inflantski, Smoleński i Czerniechowski. Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król.

Dajemy znać tym przywilejem naszym wszystkim i każdemu z osobna, komu wiedzieć należy; teraźniejszego i następnych wieków ludziom. Wstydby nam było majestatu naszego, gdybyśmy wielmożnego Szczepana na Czarnkach Czarnieckiego ziem ruskich wojewody dzieła, całej Europie sławą ogłoszone, dziedzicznem łaski naszej świadectwem nie oznaczyli. Nic wielkiego w boju wieków naszych bez Czarnieckiego nie stało się, i jeżeli podczas upału wojny, albo gdzie trudu, albo gdzie rady potrzeba było, on się i najpierwszy i znamienicie stawił.

Któreż wieki dziwić się nie będą nad jego w rozwiązaniu rzeczy zawikłanych sprawnością? łatwością w trudnych? w niebezpieczeństwach nietylko męztwem, ale i przezornością? Rzeczom zewsząd zgubionym jeden już tylko zostawał ratunek; i z daru nieba dany był Szczepan. Rozpostarty nie tylko obszernie; ale i bez odporu, po tylu królestwa naszego prowincyach okropnych nieszczęśliwości wylew; zmazana wiara, wydarte bogactwa kraju, najmocniejsze królestwa uchrony wzięte, albo zniszczone; my sami opuszczeni od obywatelów, słabi, i (?) prawie do niewoli przyprowadzeni;

varia discissum, in pristinum resarciret, qui spem in desperatis casibus erigeret, qui corruptam et refractariam militiam severiori disciplinae restitueret, qui labantis regni dignitatem stabiliret. Haec omnia a Czarnieccio exacte impleri, ipsi nos tantorum votorum compotes, admiramur.

Eo siquidem Cive Respublica pro tempore indigebat, qui suis vulneribus tantis Patriae vulneribus mederetur. In illo tumultuantis secum Poloniae freto, ubi multorum fides, integritas, virtus, naufragio praecipites, gloria Czarnieccii portum invenit. Non temeritate fortunae, sed consiliis aeternis in altum provectus, ipse sibi, aspirante Deo, fortuna, et ipse virtus, telluris feracis instar, quae non solum benigna Caeli temperie, sed innata glebae ubertate efflorescit. Bellicae virtutes, quae ubigentium vigebant, Polonia extorres in eum confluxere; omnia tamen temperate a nostra gratia postulavit, ut nec nimium sui oblivisceretur, nec ultra modum meminisset. Nefas illi negare, quod dedit omnibus, capiti nostro coronam, Regnum Ordinibus, Patriam Civibus, Cives Urbibus, Urbes Provinciis, Provincias Regno et Magno Ducatui Litvaniae reddidit. Tot variantis fortunae vicissitudinibus, veluli fatorum probris, proculcatam gentis utriusque famam summa gloria restituit.

Coguntur gentes externae praedicare sub ejus vexillis militantem fortunam: invidentes Poloniae quod Stephanum genuerit. Praeprospera felicitate tumentem Regem, capiti nostro infensum, mira celeritate armorum, infelicem, totique Christiano orbi infamem ejus fortunam effecit. Ambitionem Transilvanam montes Carpatios progressam, ac provinciis Regni insultantem, solutenus

między tak okropnemi zewsząd klęskami, długo nikogo, któryby się mógł oprzeć, nie widać było, póki się męstwo Czarnieckiego nad mniemanie wszystkich nie okazało. W pośrodku takiej niepogody żądali wszyscy człowieka, któryby stan rzeczypospolitej na wiele części rozdarty połączyl, któryby nadzieje rzeczy upadłych podniósł, ktoryby zepsute i niecierpiące podległości żołnierstwo do ściślejszej karności powrócił, któryby upadającego królestwa chwałę podźwignął. To wszystko, kiedy Czarniecki doskonale wypełnia, nam samym, już tych wielkich nadziei skutki widzącym, sprawuje zadziwienie.

Takiego albowiem obywatela rzeczypospolitej natenczas trzeba było, któryby ranami swojemi rany ojczyzny goił. W tej cieśninie biedzącego się z sobą narodu, gdzie wielu wiara i cnota pogrążona zatonęła, port bezpieczny sława Czarnieckiego znalazła. Nie zuchwałością fortuny ślepej, ale wiecznej rady wskazaniem podniesiony do góry, on sam sobie, za natchnieniem bożem, i cnotą był i szczęśliwością; podobny do bujnej ziemi, która nie tylko łaskawem nieba poleciem, ale i wrodzoną sobie płodnością kwitnie. Umiejętność wojskowego rzemiosła w inszych narodach kwitnąca, z Polski wygnana, w nim tylko jednym pozostała; przecież wszystkiego z umiarkowaniem od naszej łaski dopraszał się, ażeby, ani ze wszystkiem o sobie zapomniał, ani zbytecznie pamiętał. Niesprawiedliwość byłaby nie dać mu tego, co on dał wszystkim: głowie naszej koronę, królestwo stanom, ojczyznę obywatelom, mieszkańców miastom; miasta prowincyom, prowincye królestwu i w. x. litewskiemu powrócił. Tak wielą niestatecznej fortuny odmianami, niby złego losu uciskiem, przygnieciona obojga narodów sławę podźwignął.

Obce krainy przymuszone były wysławiać pod znakami jego bojującą fortunę, zazdrosne Polsce, że urodziła Szczepana. Gwałtowną szczęśliwością króla nadętego, a głównego naszego nieprzyjaciela, dziwną prędkością wojowania nieszczęśliwym i całemu chrześciańskiemu światu niesławnym uczynił. Wyniosłego Siedmiogrodzianina, że przejść karpatskie góry i pro-

dejecit. Moschum ipsa sua barbarie validum et ferocem, maximis cladibus domuit, et vinci docuit sui impotentem tyrannum. Cum ultra fines patrios victoriis provectus aequora et insulas suo nomine nobilitaret, tam fortiter apud remotissimos Cimbros, quam domi pro Patria bella gessit: exiguisque viribus ingentes exercitus aut fudit, aut repulit. Mutari illi animus, etiam mutante belli alea, potuit nunqunm.

Non posteritati tantum laudum materies erit Czarnieccius; priscae Antiquitati negotium suo nomine facesset, ex quo majorum suorum intaminata nobilitas, non incrementum modo, sed etiam originem posset ducere. Diu superstitem benedictione nostra Regia servent superi in amplum nepotum sobolem, quorum ex eadem radice fides in Principem, et ausus adolescat in hostem.

Quo itaque vindice Respublica pene patrio pulsa solo nuper suas haereditates recepit; huic Tykocinum gratiae nostrae memoriale aeternum, de concordia, et unanimi Ordinum Reipublicae ad comitia generalia protunc celebrata congregatorum consensu, inhaerendo eorundem Comitiorum constitutioni, in haereditatem locamus et donamus, juri terrestri incorporamus, a regali totaliter alienamus, et transferimus, absoluta et plenaria comitiali potestate; nihil nobis successoribusque nostris Serenissimis juris ad eadem bona tanquam jam terrestria relinquentes. Quae ab hinc eo nomine, titulo, ac immunitate, cum omnibus ejusdem hactenus tenutae nostrae Tykocinensis, villis, praediis, pagis, nomin tim: cum ipsa civitate Tykocinensi. villis Bierki, Łopuchowo, Stelmachów, Broniszowo, Lipniki, Siekierki, Saniki, Złotorya, Sawino, Młynary, Białystok, Starosielce, Bojarze, Wysokistok, Bojarze ad fluvium Supraśl dictum, Zawadów, Dolistaw, Radzie, Smogorówka, Trzeciano, na Cmentarzu Brzeziny, Jeżowo, Leśniki, Pajewo cum villis numero tredecem, dictis: Zakontki, Marusy, Mazury etc. nuncupatis, in genere universis attinentiis et pertinentiis, nullis omnino exceptis, ipse memoratus Magnifi-

wincyom. królestwa grozić ważył się, aż za jego góry wyrzucił. Moskwicina, samą swoją dzikością potężnego, wielą klęskami poskromił, i... niewładnącego sobą tyrana, coto jest być zwyciężonym, nauczył. Kiedy, aż za granice ojczyste zwycięztwami zaniesiony, morza i wyspy imieniem swojem uślachcał, tak szczęśliwie u Cymbrów odległych, jak w domu dla ojczyzny wojując, małą garstką swoich wojsko niezmierne, albo rozpraszał, albo odpędzał. Umysłu na wszystko przygotowanego, chociażby mu kiedy los wojenny odmienił się, nigdy nie umiał odmieniać.

Nie samej tylko potomności zadziwieniem i chwałą będzie Czarniecki; dawna nawet starożytność nim zatrudni się, gdzie przodków jego niezmazana szlachetność, nie tylko od niego wzrost swój, ale i początki mogłaby ciągnąć. Niechaj go Bóg z błogosławieństwa naszego królewskiego w wielkie rozrodzi pokolenie, w któremby, jako z tego szczepu pochodzącem, wiara dla królów, i śmiałość dla nieprzyjaciół wzrastała.

Za którego więc powodem Rrzeczpospolita, prawie ze swojego wypędzona siedliska, niedawno swoje dziedzictwa odzyskała, temu Tykocin, łask naszych pamiątkę wieczną, z jednostajnej stanów rzeczypospolitej, na sejm natenczas zgromadzonych zgody, przychylając się do tegoż sejmu konstytucyi, na wieczność oddajemy i darujemy; do praw ziemskich przyłączamy, od królewskich ze wszystkiem oddzielając, i przenosząc tą powszechną i zupełną sejmową władzą; nic sobie i najjaśniejszym następcom naszym prawa do tychże dóbr, jako już ziemskich, nie zostawując. Które odtąd tem imieniem, tytułem i przywilejem ze wszystkiemi tejże do tychczas dzierżawy naszej Tykocińskiej folwarkami, wsiami, wioskami; wyraźniej zaś: z samem miastem Tykocinem, i wsiami: Bierki, Łopuchowo, Stelmachów, Broniszowo, Lipniki, Siekierki, Saniki, Złotorya, Sawino, Młynary, Białystok, Starosielce, Bojarze, Wysokistok, Bojarze nad rzeką Supraśl, Zawady, Dolistaw, Radzie, Padule, Smogorówka, Trzciano, na Cmentarzu Brzeziny, Jerzowo, Leśniki, Polewo ze wsiami trzynastą nazwanemi Zakontki, Marusy, Mazury i t. d. i w po-

cus Stephanus Czarniecki Palatinus Russiae ac Successores ejus tenebunt, habebunt et possidebunt; iisque bonis secundum suum beneplacitum plenarie disponent in perpetuum.

Reliquum, quod merita Czarnieccii nunquam immoritura olim desiderent, sera posteritas rependet. Nos non virtuti tantum Stephani, sed gloriae nostrae data gratia consulere voluimus: Ut omnes ad ardua instimulati decernant, virtutem potius quam inertiam sectandam, et fortissimus quisque suae posthac fortunae patronum Czarneccii virtutem designet. Pro majori rei praesentis perpetuae firmitate ac stabilimento, seu clariori benefici animi nostri in praenominatum Magnificum Palatinum Russiae documento, eoque perenni, praesens diploma manu nostra subscriptum, sigillo Majestatis nostrae insignitum dedimus. Varsoviae, in comitiis generalibus Regni, die decima tertia mensis Junii anno Domini millesimo, sexcentesimo sexagesimo primo, Regnorum nostrorum Poloniae, decimo tertio, Sveciae vero decimo quarto anno.

Joannes Casimirus Rex.

wszechności ze wszystkiemi przyległościami, nic nie wyłączając, (zaczem wszystko) sam wspomniony wielmożny Szczepan Czarniecki wojewoda ruski, i następcy jego będą trzymać i posiadać, temiż dobrami według upodobania swego wieczyście rozrządzając.

Resztę zaś, co do nagrody nieśmiertelnych zasług Czarnieckiego jeszcze niedostaje, późna mu potomność wypłacać się będzie. My wyświadczając mu łaskę, nie tylko zasługom jego, ale i sławie naszej zaradzić chcieliśmy: ażeby wszyscy, do dźwigania ciężarów ojczyzny biorąc się, poznali, jak piękna jest drogami cnoty, nie zaś gnusności postępować, i odtąd jak z mężnych obywatelów każdy szczęście Czarnieckiego za wzór dla siebie obierać ma. Dla większej dzieła tego wieczystego wagi i siły; czyli dla jaśniejszego, a tego nieśmiertelnego łaski naszej dla wspomnionego wojewody ruskiego dowodu, ten przywilej ręką naszą podpisany, pieczęcią majestatu naszego stwierdzić kazaliśmy, w Warszawie na sejmie narodu, dnia trzynastego miesiąca czerwca, roku pańskiego tysiącznego sześćsetnego sześćdziesiątego pierwszego; królestw naszych: Polskiego trzynastego, Szwedzkiego czternastego roku.

Jan Kazimierz król.

O WYMOWIE
W PROZIE ALBO WIERSZU.

Do WW. Ichmość Panów
TOWARZYSTWA KSIĄG ELEMENTARNYCH.

Ćwiczenie przyzwoite młodzieży, jako między inszemi, znakomitą jest chwałą panowania najjaśniejszego Stanisława Augusta; tak mężowie w narodzie najpierwsi, którzy się dobrowolnie do tej pożytecznej pracy zaprzęgli, tak chwalebne do układania ksiąg elementarnych WMCpanów Towarzystwo, do tejże chwały należeć będzie. Wiek nasz doniesie to potomnym, z jak wielą przesądami walczyć potrzeba było, jak wiele zaciernionych dróg rozprzestrzenić; niżeli wyszliśmy nakoniec na owe jasne pola, gdzie już bez bojaźni błąkania się, torem równym do nauk prawdziwie pożytecznych dążymy. I chociaż jeszcze stare przesądy, do swoich przyzwyczajone ciemności, na rażące ich nagłe światło czasem i mrukną; przecięż niedołężnego tego nieprzyjaciela ledwie nie na to tylko opierającego się widzimy, ażeby widoczniej bojaźń i słabość swoję pokazał: bo w pośrodku nocy, która go otacza, ani on

sam siebie nie zna, ani przeciwko słońcu, którego nie cierpi, oczu otworzyć nie śmie.

Czytając ze wszech miar chwalebne ustawy Komisyi narodu edukacyjnej, roku przeszłego ogłoszone, szczególnie zaś rozdziału XV. do nauczyciela wymowy stosujące się słowa następujące: „w Klasie szóstej dawać będzie wiadomości i uwagi o Wymowie i Poezyi;“ spodziewam się, że nauczyciele wymowy mieć będą pewne przepisane prawidła, za któremi młodzież sobie powierzoną prowadząc, i najlepszym zamiarom Komissyi, i oczekiwaniom narodu dogodzą. Oto jest pobudka, dla której zebrane uwagi moje nad wymową przed WMci panów przynoszę. Szczęśliwym! jeżeli zdatnego co między myślami mojemi znajdziecie, czembym się narodowi (co jedynym moim zamiarem jest) przysłużyć mógł, i w najdalszej przynajmniej cząstce do tej WMci panów chwały należał, której wam wdzięczna powszechność tak sprawiedliwie nie zaprzecza.

Niżeli bojaźń przemocy (jak myśleć można) pozgromadzała ludzi w wieksze towarzystwa ([1]), żyli zapewne pierwej w mniejszych rozrzuceni familiach ([2]). Gdzie, kiedy codzienne dokuczały im potrzeby, a słabszy od mocniejszego ratunku żądał, zapewne najpierwej tłumaczył się przez znaki jakieś, czyli (jak pospolicie nazywamy) na migi. Co ponieważ jeszcze niedostateczne było, znowu potrzeba żażyła sposobnego do tego języka naszego, który przez insze? w gębie naczynia głos uformowany na słowo wyrobił, i tem słowem, według upodobania wynalazcy, rzecz jaką nazwał. To będzie pewna, że rzeczy, do potrzeby koniecznej należące, najpierwej między ludźmi swoje nazwiska miały ([3]). Do których to słów pierwiastkowych przyczyniając się, coraz insze, zrobiła się z czasem mowa, czyli złożenie wielu słów razem; co potem łacinnicy nazywali *Eloquentia*, od słowa *eloqui*—i co my dobrze także wymową nazywamy, jakoby to, co pojęcie nasze objęło i serce uczuło, wymawiając.

Wymowa patryarchów, dochowana nam w niektórych nagrobkach, żydowskich, chińskich, i perskich sięgach ([4]), nie wielą tłumaczyła się słowami, bo ich

nie wiele miała; a ten niedostatek szczęściem był niejako ludzi tamtych, że niemając z czego rozszerzać się, w krótkich wyrazach wiele zamykać musieli; i (co zawsze pięknością prawdziwej wymowy będzie) w kilku wspomnionych słowach najwięcej do myślenia zostawiali. Jednemu z monarchów Babilońskich, który dwa potężne miasta w jednym dniu zmurować kazał, po śmierci taki położono nagrobek: „Anchial i Tars“ *) w jednym dniu wystawiłem, a teraz umarłem. Kto wchodzić umie w siłę podpisu tego grobowego, jak wiele z pierwszej jego części o pysze człowieka zaraz mu do myśli przyjdzie! ale jak z drugiej każdy z nas upokorzonym się znajduje! Księgi żydowskie pełne w ich mędrcach i prorokach owej wysokości, do której nikt się nie podniósł; w ich dziejopisach owej krótkiej dokładności, która czytającemu czasu nudzenia się nie dopuszcza; i najdawniejsze księgi Chińczyków, Persów i Babilończyków, pokazują nam wieków tych oddalonych w słowach gospodarną oszczędność, i wprawując nas w podziwienie nad pięknością swoją, tyla uprzedzonych przesądami, ledwie nam nie próżne naśladowania piękności ich zostawiły żądanie.

Homer ([5]) ten ojciec wymowy Europejskiej, który nie tak daleko po wiekach patryarchów kwitnął — widać w nim i tę wysoką prostotę, i tę słodycz opisywania, którą zdaje się, że sam jeden posiadał. Czyli on zuchwałego Achillesa między królami bez względu żadnego mówiącego wprowadza, czyli mu poczesny Nestor przypadki swoje opowiada: umie (wyrazić) doskonale, jak daleko burzliwa młodość zapędzić się, i wielomówna sędziwość bez nudzenia słuchających zabawić może. I chociaż w miarę zepsucia, albo poprawienia się smaku wymowy, chwalony albo ganiony bywał ([6]), mówić przecię można, że przez wieków przeszło trzydzieści, nabytą chwałę w najdalszą potomność zaniesie; i póki tylko pism jego i ludzi, którzyby czytać umieli, stanie; zawsze on tem słodzej smakowany będzie, im to ja-

---

*) Anchial i Tars w Cylicyi.

śniejsza, że prawdziwa piękność wszystkich wieków jest pięknością.

Z tego to źródła czerpając, formował się starej Grecyi obywatel; ztąd miał wiarę w kościele, śmiałość w boju, gospodarstwo w domu, przezorność w radzie, i piękność w wymowie. Ztąd Greczyn dawniejszy, przejęty gorącemi wyrazami Illiady, zdziwiony nad sobą samym, razem widział się wojownym i zuchwałym Achillesem, i..jak gdyby poledz nie mógł, na licznego nieprzyjaciela jeden gotów był natrzeć ([7]). Ztąd w wymowie piorunujący Perykles, potężny Demostenes, ztąd Eschylowie, E..rypidesy, Pindary, Anakreonty wyszli. Ztąd Ateny — zawierzywszy jednej tylko Homera piękności, a trafem szczęśliwym mając ją taką, jaka prawdziwie być powinna, będąc do tego wolnym, i z siebie czułym narodem — stały się szkołą wymowy świata. Z Greckich wzorów do piękniejszej wymowy, a może i dzielnych czynów dowcipny złożył się Rzymianin ([8]): i czyli on wyroki swoje podbitym posyła królom, czyli z przyjaźnemi rozmawia narodami, czyli nakoniec przyciśniony pod twardą ręką chylić się musi, upadając nawet, swojemu grozi zwycięzcy, i na nieprzyjacielu znaki zostawia, że Rzymianin upadał; a jeżeli w pośrodku zgromadzonego ludu o wojnie albo pokoju rozmawia: w miarę potrzeby narodu w sercach słuchających zemstę, albo łagodność wzbudza. I ztąd to w rzeczachpospolitych wymowa stała się potrzebną rządu sprężyną, ażeby tam, gdzie musem obywatel pociągnionym być nie mógł, bywał zagrzany pełną miłości ojczyzny radą; i jako w despotyzmie królowie mówią wszystko za wszystkich, tak w rzeczachpospolitych każdy obywatel za monarchę, albo z monarchą mówić miał prawo. Jako zaś daleko wymowa stanom wolnym przydatna była, prócz inszych niezliczonych przykładów, kiedy Tyrteusz Spartańczyków, Cycero Rzymian, i Konstancyusz świat cały zachowuje ([9]), ćwiczenie w niej młodzieży z tak ważnych powodów, jak u dawnych najpierwszem było staraniem, tak i u nas szczególnie potrzebną, a zatem najpilniej doglądaną szkołą być powinno. O której przystósowaniu niżeli

wspomniemy, pierwej obaczyć należy, gdzie tejże wymowy szukać, i jak ją wyrażać mamy?

Między tylą słowami, które mowę naszę teraźniejszą składają, jako niezliczone być mogą słowa, ze słowem połączenia i wyrazy; tak zapewne ten straciłby pracę całą, któryby przepisy naznaczyć chciał, jakiemiby to, co pojęcie objęło, albo serce uczuło, tłumaczyć można. Wymowa bowiem, jak ów ptak bujny, traci zaraz z czerstwości i piękności swojej, skoro go tylko w klatce zamknięto.

Ziemia cała ze swojemi stworzeniami — co nas tylko otacza, dokąd okiem albo słuchem dosiągnąć możemy; zapędy myśli z niezliczonych czynione pobudek; wszystko to, pod różnem jednej rzeczy do drugiej odnoszeniem, przyrównaniem albo niezgodą, do warsztatu wymowy należy. Któżby teraz tak niezliczonemu rzeczy przychodzących tłokowi porządek, i dokładne mógł naznaczyć przepisy? Kto wpośrodku biegu swojego.. zaciek myśli, albo wylewy serca zatrzyma? i nieweczesnem chcąc je hamować prawidłem, wyrazu najpiękniejszego, jakim usta natury mówią, nie zepsuje? I z tychto przyczyn zdają się wszystkie przepisane reguły (prócz porządku i przystojności mówienia) wcale nam do wymowy niepotrzebne, któremi często na wiele stron razem ciągniony uczeń, i tłumem prawideł otoczony, od któregoby zaczynać miał, nie wie; a najczęściej, jak niewolnik, z ostrością wykonywając przepisy swoje, nudzącym staje się mędrkiem.

„Pojęcie rzeczy, serce czułe i piękne wzory,“ oto są źródła nadto dostateczne wymowy.

Co należy do pojęcia rzeczy (czyli dokładnego poznania tego, o czem mówić chcemy): powinniśmy uważać związki jej albo odnoszenia się do drugich, porównanie albo różnicę, skład naturalny, albo jej rozbiór; i zatrzymawszy nacisk mniej potrzebnych okoliczności, rzecz naszę do pewnych tylko granic rozważać mamy. Dla tego psują zawsze wymowy piękność.. bardzo zdaleka wzięte okoliczności; jako, przeciwnym sposobem, opuszczenie potrzebnych czyni jej krzywdę, oddzielając od niej część jej istotną. Pisząc o rzeczy

jakiej, a żadnego jej z drugiemi porównania, ani różnicy nie czyniąc, pewnie ją tylko nadto powierzchownie obaczymy: kiedy umiejętność nasza i sądzenie o rzeczach, ledwie nie na tem tylko porównaniu ich zależy ([10]). Wszystkich tedy sposobów zażyć potrzeba, któremibyś w tem, o czem pisać masz, najlepszego zasięgnął oświecenia. Obejdź w koło pokilkakrotnie rzecz twoję, i kiedyś ją, ile możności przeniknął, kiedyś jej najpilniej ze wszystkich stron przypatrzył się, mówić będzie można natenczas, żeś ją i poznał dostateczzie.

Czułości serca jeżeli kto z natury nie wziął, może ją sobie i sam z czasem utworzyć, i nauczyciel ucznia swojego do niej zaprawić. Ponieważ rzeczy wszystkie na ziemi, chociażby najlepsze były, wady swoje przecie mieć muszą; i przeciwnym sposobem najgorsze niepodobna, żeby w sobie co dobrego nie miały: w miarę potrzeby swojej nauczyciel niechaj uczniowi pokazuje je z tej tylko strony, z której widziane zamiarowi jego dogodzą. Złość naprzykład obaczona niechaj go pobudza do gniewu, zemsty, albo pogardy; co niechaj wyraża z ostrością jakąś i gwałtownością, które gniewowi i zemście są właściwe. Ale widziana dobroć niechaj go łagodniejszemi porusza sposobami, i tą wdzięczną napawa słodyczą, której tylko poczciwe serca kosztując, bez zazdrości się żadnej ze słuchającymi ich dzielą.

Niechaj nie umiejący, co to jest czułość serca, uczeń przestaje i rozmawia z tymi, którzy już ze swojej troskliwości serca dobrze są znani; a takiem towarzystwem, odwyknąwszy dzikości, nabierze słodkiego nałogu czułości serca. Niech wprawia się słuchać, albo stara się widzieć niewinnego w prześladowaniu, poczciwego w ubóstwie, zdatnego do wielkich rzeczy w pogardzie; niech to stosuje do siebie, gdyby w podobnym był stanie, jakby mu z słodyczą przychodziło drugich politowanie nad nim? a czegoby sam dla siebie żądał, niech tego i inszemu udzieli. Niech często pogląda na kaleków w niedostatku, na chorych opuszczonych, i niech w tej szkole uczy się być człowiekiem, podobnym każdemu nieszczęśliwemu.

Jeżeliby zaś komu przez większą do okrucieństwa, niżeli miękkości serca skłonność, do poprawienia się przyjść nie miało, niech próżno przed wrotami słodkiej wymowy nie czeka: one dla niego na zawsze są zamknięte. Wy tylko wnijdziecie śmiało, którzy boleć umiecie; którym nie wstyd i poczciwe czasem łzy wylać; których nędza bliźniego, nie oglądając się na nic, na pierwsze zaraz wejrzenie wzrusza; i którzy przyjaciołami narodu ludzkiego będąc, tę człowieka cechę, która nas od inszych różni zwierząt, w sercu swojem nosicie: politowanie.

Okrutny Nero, o którym powiadają, że się także między literatów zamięszał, i wiersze pisywał, on nigdy pięknego dzieła napisać nie mógł; ten, który krwią najzimniejszą matkę, brata, żonę, nauczyciela, i tylu niewinnych pozabijał obywatelów, mając serce tylko do mordów i krwi rozlania przyuczone, jakież w niem mógł znaleźć miejsce dla tej ludzkiej czułości i dotkliwego wyrazu, którego koniecznie wyciągać zdaje się trajedya? Bo jeżeliby się chciał podnieść wspaniałością wyrazów swoich, zawszeby je pomieszać musiał ze zwyczajną sobie pogardą powszechną ludzi, i z tą nie przebłaganą nienawiścią, do jakiej tylko okrutne serca skłaniać się mogą; jeżeliby do politowania poruszyć chciał, onby to tylko czczemi wyraził słowami, do czego i serce należeć miało: a tak nie widziałby skutków wzruszenia na słuchających, nie mając go pierwej w samymże sobie; jako albowiem człowiek okrutny, łatwo się rozśmiać może, ale płakać nie umie; tak niepodobieństwo, ażeby, sam niemając skłonności do łez, mógł je w kim innym wzbudzić.

Mając już serce do czułości (jakiej tu żądamy) skłonne, jeżeli w potrzebie jeszcze nam, według naszego żądania, dotkliwych wyrazów braknie, i niewczesna jakaś ociężałość, myśl naszę w nieczynności trzymając, wzbicia się jej w górę zabrania; możemy imaginacyą naszę zagrzać przez poglądanie, i rozważanie tej księgi, którą natura we wszystkich rzeczach stworzonych zawsze nam do czytania podaje ([11]). Szczęśliwy! który nad każdą rzeczą zastanawiając się, nad wszystkiem,

co obaczył, rozmyślał; ze wszystkiego potrzebne do robót swoich zbierał narzędzia! On wczasie nie będzie żądny tej obfitości, którą pełnemi słodyczy ustami prawdziwa wymowa rozdawać zwykła.

Dla niego widowisko natury otwarte jest, ażeby.. samemu sobie zostawiony, w milczeniu rozpamiętywając piękności jej, głośnemi je potem przez czułe wyrazy czynił. Dla niego uśmiecha się przyjemna łąka, niedostępne zasępiły się skały, w gruzach własnych niedobyte kiedyś zamki dawnej swojej siły i piękności płaczą. Dla niego zachód słoneczny tę bogatą chmurom przyległym rozdaje barwę, księżyc okropnej nocy w cichości panuje, i w niezmierzonej gdzieś tam odległości stateczne gwiazdy migocą. Dla niego szumią nawałne wody, porzuciwszy dawne koryta swoje — płyną swobodnie po fundamentach jeszcze pozostałych miast kiedyś poniszczonych; potężny sroży się wicher, i.. w puszczę nietknioną siekierą zakradłszy się, wyniosłe powalił dęby, pod któremi przy silnem korzeniu ich drzewka młodociane i kwiat leśny ubity poległ. Dla niego wpośród głębokiej na wiosnę nocy, kiedy całe uciszyło się stworzenie, słowik wyśpiewuje, poziomy potem skowronek wschodzące wita słońce; a pobudziwszy naród powietrzny sworne ptasząt śpiewania, ich pewnie miłości zaczęły się piosnki.

On, pomiędzy te i tem podobne bogate natury skarby przechodząc się, ze wszystkiego do upodobania swego brać, i zażywać ma pozwolenie; i jak ów wódz przezorny, którędy tylko przejeżdża, żadnego bez rozważenia miejsca nie opuści, jakby w takiem albo temu podobnem położeniu z nieprzyjacielem postąpić sobie powinien? tak myślący się składać na wymownego, ponieważ wszystko w naturze do jego rzemiosła wchodzi, nad wszystkiem zastanawiać się będzie.

Piękne wzory, czyli wymowy przykłady, (które nie dla tego czytać należy; żeby ślepymi ich być naśladowcami ([12]); ale dla tego, ażeby albo smak sobie naprawić, albo myśl ociężałą ocucić), nie tylko nam starych Greków i Łaciników pokażą pisma, ale i w nowych we wszystkich sposobach wymowy znaleźć

możemy. Wiele w tym razie na nauczycielach zależeć będzie, ażeby piękne miejsca uczniom pokazać umieli. I Homer (jak powiadają) czasem zasypia; niechże nauczyciel pokaże go uczniom swoim śpiącego; niech..i sen nawet tego wielkiego męża szanując, przestrzeże, kiedy się Homer obudził; niech te miejsca umie rozebrać przed uczniami, i niech w nich czucia doświadcza. Toż o inszych starych, toż i o nowych rozumieć.

W Homerze naprzykład, prócz tysiąca inszych, pokazać piękność pożegnania się Andromaki z Hektorem ([13]), albo prośbę Pryama do Achillesa o ciało zabitego Hektora ([14]); w Wirgiliusza Eneidzie, jak Dydo wyrzuca Eneaszowi, chcącemu odjechać, niestateczność jego ([15]); i inne w tym nieporównanym mówcy miejsca nieskończone.

Dotkliwa mowa Cycerona za Milonem, piękna za Marcellem, Fillipki jego, i dawniejsze Demostenesa; Trajedye Eschyla i Eurypidesa, Horacy, Owidy i Plutarch w życiach wielkich ludzi: oto są wymowne wzory warte rozważania; i dla których Greckiego, ale najbardziej Łacińskiego języka szkodaby zaniedbywać. Obyśmy na dobro nasze baczniejszymi być chcieli, i miasto tylu książek mniej potrzebnie z cudzych języków na nasz przeniesionych, (które czasem obyczaje uszkodziły) tych wielkich ludzi przynajmniej po części pisma tłumaczyli; zaś nie co do słów, ale do rzeczy, i sposobu wymawiania polskiego przywiązując się—tłumaczenia nasze każdemu ucznizwi pod ręką będąc powszechnie stałyby się zdatnemi.

Dbała o wymowę swoją Francya piękny nam z siebie podaje przykład— gdzie czyli co doskonałego w dawnych pisarzach było, czyli się u sąsiadów teraz pokaże, zaraz to na swój język przenoszą. Ani się tem zatrudniają, ażeby poetów dzieła wierszem koniecznie tłumaczyli; ale piękne cudzych autorów wiersze na ojczystą prozę przekładają, nie chcąc tym sposobem słowa jednego z wielkiego mowcy utracić. W tłumaczeniu z wiersza na wiersz spadków i liczby koniecznością przymuszony poeta..i słowa odmienić, i od myśli autora często odstąpić musi. Ponieważ zaś w prozie, albo w wierszu jednaż wymowa jest, i tylko liczbą pewną

syllab, spadkiem jednakim wierszów, albo wolniejszem użyciem fikcyi, poezya od prozy różni się; za cóż, zwłaszcza, gdzie długiej pracy potrzeba, albo robotnika sprawnego nie dostać, nie mają być na czystą prozę dzieła poetów tłumaczone?

Nauczyciel, pokazując uczniom przykłady w starych Grecyi albo Rzymu autorach, powinien jeszcze przestrzegać o mytologii, czyli o zażywaniu do wymowy dawnych pogaństwa bożków. Po ustanowieniu chrześciaństwa w szczęśliwej Europie, nie wiem, jakiem prawem ojcowie nasi pogańskie bożyszcza, które tak dalekiemi od czystości religii naszej widzieli, do swoich poezyj ośmielili się przyjąć? Zdaje się rzecz oczywista, że co poganie najsprawiedliwiej wzywając ich robili, to w naszym obrządku wcale niepotrzebnem stało się zachodem: Niech tak będzie, że fikcya do poezyi wchodzić koniecznie powinna; przecięż i na to nam zawsze zgodzić się potrzeba, że ta tylko słodycz nam sprawować zwykła, która bliżej do prawdy przystępuje.

I tym zapewne końcem starzy poganie, widząc z tej strony poezye swoje niedoskonałe, na dalekie częstokroć zapędy imaginacyi swojej wprowadzili bóstwa, którym nic do wykonania niepodobnego, ażeby tym sposobem cechę niejaką prawdy dali robotom swoim. Tak to od początków wieków pewna jest, że, co nie będzie prawdą albo podobieństwem do niej, zapewne podobać się nie może. Kiedy Homer, albo Wirgili nieśmiertelne swoje pisali księgi, oni do swoich bożków sprawiedliwym zwrotem uciekali się, ażeby bohatyrów swoich w razach ciężkich mogli poratować: bo Jowisz, insi bogowie i boginie, wiarą natenczas powszechną byli.

Ale my, po co tych Muz, tych Apollinów, w naszych wzywamy poezyach? o których próżności aż nadto przeświadczeni jesteśmy! a tym jeszcze sposobem odbiegamy od jednej z pomiędzy własności tak poezyi, jako i pisma każdego: ażeby powszechnie rozumiane były, jak były rozumiane poezye starych, zamykając w sobie wiarę, którą każdy z najnikczemniej-

szych pogan wiedzieć i wierzyć był obowiązany. Prócz umiejących mitologią, których proporcya może jak jeden do dziesięciu tysięcy będzie, kto, proszę, zrozumie wielu naszych poetów dzieła?

Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz, wszystkich bogów i boginie poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił; już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają, i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Bellony synem. W tych i tym podobnych okolicznościach niedołężny poeta, taką erudycyą marne dzieła swoje napychając, robi podobnie do owego malarza, który nie umiejąc odmalować Wenery pięknej, odmalował ją bogato przystrojoną. I chociaż z znaczniejszych chrześciańskiej Europy poetów wielu, miasto bajecznych bożków, prawdziwego do swoich poematów Boga wprowadzili ([16]); przecięż jeszcze, przez nałóg tylą wiekami zasiedziały i utwierdzony, żaden się z nich bez wzywania Muz nie obszedł, i (aby) niewczesnym zamętem prawdziwego Bóstwa z temi bajecznemi nie pokłócił.

Za co miasto Apollina nie ma być słońce? miasto Dyany księżyc? gwiazda, miasto Cynozury? piękność, miasto Wenery? sprawiedliwość, miasto Themidy? i t.d. Za co, jeżeli tego potrzeba wyciąga, nie dalibyśmy postaci ludzkiej cnotom wszystkim, występkom, albo namiętnościom? za co je nie wprowadzać zgodne, albo między sobą walczące? smutne albo weselące się? mściwe, albo pobłażające? a tam gdzie (jako w poematach obejść się nie można) potrzebne bywają machiny, czyli cudotwory jakieś, ściągane od poety na podźwignienie i wsparcie bohatyrów swoich; miasto dawnych bogów i bogiń, albo też i naszych świętości, kiedy można, nie tykając, za co z nieba, czy z piekieł duchy sprowadzone być nie mają?

Nie chcemy jednak mytologii, jak niepotrzebnej, odrzucać: owszem nauczyciel starać się będzie jak najdokładniej tłumaczyć ją uczniom swoim, tak dla potrzebnego nam koniecznie rozumienia pism starych pogan, jako też, ponieważ wiele jest w tej mytologii

osobliwych i najdowcipniej złożonych przygód, z których, alboli tez z dziejów dawnego świata, wziąwszy rzecz jaką do opisania, i wprowadzając osoby starego pogaństwa (naprzykład w trajedyi); za co, wystawując je takiemi, jak były i myślały: nie mamy i nie powinniśmy koniecznie wprowadzać je razem z tą ich wiarą, i ucieczką do bogów, do której się natenczas garniono?

Wieków chrześciańskich, pisarze mogą być także uczniom dla wzięcia pięknych wzorów czytni; i równie, jak się mówiło o starych, nauczyciel ma w nich piękniejsze miejsca uczącym się pokazać. Nabożny Torquato Tasso w swojej Jerozolimie wyzwolonéj, a przez Piotra Kochanowskiego przetłumaczonej; wyniosły Milton w swoim Raju zgubionym; zabawny Aryost w Orlandzie Szalonym; Young przeraźliwy w Nocach swoich; przyjemny Tomson we czterech roku porach; naturalny Gesner w śmierci Abla i śielankach swoich; słodki i razem wspaniały w Henryadzie i nieśmiertelnych swoich trajedyach Wolter, Wolter! którego nadto niktby nie pochwalił, gdyby w inszych pismach (gdzie naszych świętości, które my milczeniem samem szanujemy,dotykał) nadto nie był wartym nagany — a on nie bacznie, będąc, że tak rzekę, wszystkiem, przez zuchwałość swoję zrobił się nie dla wszystkich.

Oto są (między znaczniejszemi) z nowych pisarzów wzory, które rozważając z pilnością, do równej albo wyższej doskonałości postąpić moglibyśmy, gdybyśmy porzuciwszy niskie o sobie trzymanie, ludźmi będąc, jak tamci, siły swoje poznawać chcieli: ani dla tego tak na dawniejszych, jako i teraźniejszych autorów wzory poglądali, ażebyśmy ślepemi ich niewolnikami będąc, naśladowaniem tylko samem bawili się; ale na wzorach pokazanych poznawszy prawdziwą piękność, równą tej drugą (zwłaszcza kiedy wymowa niewyczerpana jest) utworzyć mogli.

Pojąwszy doskonale rzecz swą, czując ją, jak się wyżej nadmieniło, rozważając z pilnością widowisko natury, i mając sobie pokazane wzory doskonałe, żeby w nich uczeń na prawdziwą piękność zaraz natrafić

umiał, (ponieważ przez przykłady lepiej objaśnimy się, niżeli przez reguły), weźmy w rozbiór owę w Homerze Pryama mowę: w której prosi syna swego Hektora, aby sam jeden nie narażał się na Greków, i Achillesa nie drażnił ([17]).

„Hektorze, (wołał na niego) kochany synu mój! nie czekaj sam bez wojsk twoich tego człowieka okrutnego, żeby ci życia nie wydarł, bo jest daleko mocniejszy od ciebie! nieszczęśliwy ja! — gdyby on u bogów tyle miał, co u mnie, nienawiści, byłby już pastwą psów i sępów, a ja zostałbym wolny od boleści, która mnie tak ciężko ciśnie. On to mi już tak wiele dzieci powydzierał;... dziś nawet, z powrotem wojska, ani Likaona, ani kochanego mego Polidora nie widzę... Ale Trojańczykowie pocieszeni zostaną, jeżeli ty się uchronisz niebezpieczeństwa dnia dzisiejszego...powróć więc, synu mój ukochany, do miasta, zaprzysięgam cię na imiona bogów! powróć, i ocal Trojańczyków twoich i Trojanki; nie dawaj tej chwały synowi Peleusza, i chciej się zachować dla nas. A jeżeli te względy jeszcze cię nie poruszą, miej litość nad starością moją; może to już ostatnia łaska, o którą cię proszę, wyświadcz mi ją, zaklinam cię, póki jeszcze jestem w stanie czuć i poznawać, co możesz uczynić dla mnie. Ach! syn Saturna czyliż dla tego przedłużył tak życie moje, ażebym potem z największem zginął okrucieństwem? Przymusiwszy mnie pątrzyć na wszystkie razem nieszczęścia, na synów moich zanurzonych we krwi własnej, na córki moje wleczone gwałtem, na domy żon moich zgwałcone, na dzieci moje przy piersiach o kamień roztłuczone, na synowe moje przez zuchwałego zwycięzcę w niewolą prowadzone: kiedy gniew bogów wszystkie te okropne w oczach moich pokaże widowiska, nakoniec swywolny żołnierz przybiegnie, utopi żelazo w łonie mojem; a psy, które żywię w pałacu, i które strzegą bram moich, paść się będą ciałem mem, i krwią napawać się pana swego, którego natenczas poznać nie będą mogły. Na człowieka młodego, co poległ w boju, rozciągnionego na ziemi, nagiego, okrytego ranami, krwią i pyłem zmazanego,

jeszczeż bez wielkiego wstrętu spojrzeć można; ale widzieć człowieka starego, któremu lata włosy pobieliły, i od dawna już oddaliły od boju, widzieć go na ziemi odkrytego przed obliczem nieba i t. d.“

Przypatrzmy się, jak silny w namowach swoich Pryam wszystkiego porusza, czemby Hektora nakłonić mógł. Już mu prócz inszych wielu, dwóch synów i teraz nie dostaje; już go dla zeszłej starości może o ostatnią tę łaskę prosi; już opisując, jak można najdotkliwiej, domu swojego zaboje i gwałty, o swoim zgonie przepowiada; i ażeby mu okropności więcej przyczynił, psy srogie z łańcuchów spuszcza, które pana swojego nie poznają, i krew jego piją. Już nakoniec najsmutniejszy człowieka latami obciążonego, i zabitego obraz maluje; każdem prawie słowem w tej całej mowie chcąc od walki z Achillesem Hektora, syna, odciągnąć. I chociaż twarde wyrazy Homera zdają się surowością swoją delikatne nasze ucho teraźniejsze obrażać; ale weźmy na czas, (czego koniecznie prawdziwemu mówcy potrzeba), weźmy na siebie osobę nieszczęśliwego Pryama, który potraciwszy na wojnie synów, jednego Hektora, domu i państwa swego podporę, narażającego się na niebezpieczeństwa widzi; czylibyśmy, wrodzonej w takim razie niespokojności i trwodze zostawieni, podobnych nie zażyli wyrazów; i tam, gdzie natura całą swoją siłą sama tłumaczy się, oglądali się na jakieś tam przepisy nieobraźliwe?

Takiż jest Homer, kiedy opisuje polegających Trojańczyków pod bronią grecką, coś każdemu z upadających, czemby poruszył, przydając: Ten (powiada) zginął, i młodą zostawił żonę, która powrotu jego napróżno wygląda; ten odumarł małe dzieci w kolebce, już on ich, jak podrosną, nie obaczy, ani w młodości radą im i wsparciem będzie; ten rozpoczął obszerny pałać, a kto inszy zakończy go, i w nim z cudzem pokoleniem zamieszka. Te i tym podobne Homer zbierając okoliczności, najlepiej podobno do serca ludzkiego drogę znający, zewsząd do niego się wdziera.

Niemniej silny w wyrazach swoich Wirgili, (że tysiączne miejscą w nim pominiemy) obaczmy, jak wpro-

wadza Eneasza, o spotkaniu się swojem w Butrocie z Andromaką, przed Dydoną powiadającego ([18]): „Jak mnie ku sobie przychodzącego, i w zbroję trojańską przybranego zapamiętała postrzeże; przestraszona widowiskiem w samem spojrzeniu zdrętwieje, kości jej ciepło opuści, upada... i zaledwie nierychło przemówi: Synu bogini! prawdziwież to jest twarz twoja? prawdziweż mi niesiesz nowiny? czyli ty żyjesz? czyliś ty umarł! a gdzież jest Hektor? zawoła — i najobfitsze łzy wylewając, miejsce całe krzykiem napełni...Ledwie co trochę tak zażalony, krótkiemi słowami zmordowany od-odpowiedziałem: Żyję ja! i życie moje przez tysiączne wiodę przypadki! nie wątp o tem, bo mnie prawdziwie widzisz. O ty! straciwszy męża takiego, jakiegoż doznajesz losu? i jak godna ciebie służy ci fortuna? żonę Hektora Pyrrus za swoję bierze!... Spuściła oczy, i wolniejszym głosem mówić zaczęła: O szczęśliwsza nad inszych córko Pryama, Polixeno! przy nieprzyjacielskim grobie pod wysokiemi Troi murami zamordowana! któraś niedoczekała, ażebyś potem losem Greczynowi któremu dostała się, ani zwycięzcy pana zmazałaś się łożem niewolnica! My, po spaleniu ojczyzny, przez różne wiezione morza, za rodu Achillesowego pychą, w służbę wyniosłego młodziana poszłyśmy i t. d.“

Któż kiedy lepiej pomieszania wielkie wyraził? kto potrzebniej okoliczności pozbierał? kto w Andromace i obywatelkę, i stale Hektora kochającą żonę widząc, jej się wyrazami nie wzruszy? i wtenczas, kiedy woli okrutnie pod trojańskiemi murami być zamordowaną, niżeli w niewoli pysznemu ulegać Greczynowi, kto nad jej losem nie boleje? Jak tu wcześnie wspomniona córka Pryama Polixena? Jak stan niewolniczy odmalowany? gdzie aż nad miłością samą zuchwały zwycięzca panowanie rozciągać pragnie, i sercu, wstręt od nieprzyjaciela czującemu, kochać go jeszcze rozkazuje.

Żeby cokolwiek z dzieł wymownych i poźniejszych pisarzów przytoczyć, weźmy z poezyi Ersow, naprzykład, jak Armin opowiada Alpinowi smutną zgubę dzieci swoich: „podnieście się wiatry jesienne! Podnieście

się... Wiejcie po tej smutnej krzewinie, i tę noc okropną przypomnijcie mi, kiedy wszystkie dzieci moje poginęły; kiedy możny mój Arundal upadł; kiedy wdzięczna moja Daura ginęła! sama na skale w pośrodku morza fałami gwałtownemi tłuczona córka moja jęczała. Jej krzyk był częsty i głośny, a jej ojciec nie mógł jej poratować. Stałem całą noc nad brzegiem, widziałem ją nawet przy słabem świetle księżyca; słyszałem jęczenia jej; wiatr był gwałtowny, i deszcze biły w tę stronę góry; niżeli dnieć zaczęło, już głos jej był słabszy. Minęła się!...jako wiatr wdzięczny, który powionął po kwieciu i przeszedł! padła, umarła!"

To wołanie na wiatry, i sprowadzenie ich na krzewiny, to młodej dziewczyny na skale w pośrodku fali zostawienie, jej krzyk gwałtowny, potem wolniejszy, jej potem cichość i zgon, z jakąż wydatnością i czułością odmalowane? Jak ważne pochwytane okoliczności? które kiedy Armin wylicza, wzbudza w nas politowanie nad nieszczęśliwą; chęć ratowania jej, gdyby można, i ledwie nie tęż samę boleść, którą ten osierocony ojciec ponosił.

Na takie i tym podobne z pilnością zapatrując się przykłady, możemy niektóre powszechniejsze wymowy naznaczyć prawidła— i za tymi wielkimi ludźmi w ślady idąc, odkryć tajemnicę ich, która sztuki jest sprężyną.

POWSZECHNIEJSZE PRZEPISY WYMOWY.

1od. Słowa twoje powinny być, ile możności, ze swojego języka, nie z obcych pożyczane; właściwie rzecz wyrażające, nie obojętnemu tłumaczeniu podległe, albo z grubych sposobów mówienia wzięte. Język słowiański, który naszego matką jest, niech będzie i pierwszem źródłem, zkąd w potrzebie dla obfitości i doskonałości większej języka słowa brać, albo utwarzać mamy. Gdzie, jeżelibyśmy nic do przygody naszej zdatnego wynaleźć nie mogli, dopiero wolni jesteśmy, przykładem inszych oświeconych w Europie narodów, wziąć raczej całkiem z inszego języka słowo

jakie (jak nazywają) techniczne, niżeli, mniej bacznem do szczerej Polszczyzny przywiązaniem się, rzecz swoję, niby po polsku, ale niezrozumianie, albo śmiesznie wyrażać.

2re. W połączeniu słowa jednego z drugiem najpierwej uważać należy, ażeby, jak można najjaśniej i najłatwiej, rzecz, o której mówisz zrozumiana być mogła. Dla tego szkodliwe zawsze będą słowa, które przy sobie obok być powinny, rozdzielone i po kilkunastu słowach przeniesione: bo to zwyczajnie pojęcie nasze trudzi, i krzywdzi go w tej słodyczy, którąby wcześniej mieć mogło; przecięż zapominać nie trzeba, ażeby słowa twoje, w połączeniu jednego z drugiem, i zgodne jakieś brzmienie zachowały. Temu się zaradzi, starając się, ażeby wiele słów jedno-sylabnych, obok z sobą nie było; tym albowiem sposobem nie gładko i (jak mówią) z ustyrkiem tłumaczymy się; a ciąg mowy zdaje się niejako rwać ustawicznie. Ale ani to powszechną regułą być może: bo w wyrażeniu passyj gwałtownych... nawet piękniej jest monosyllabami tłumaczyć się, gdzie natura sama pasyj, jak najprędzej rzecz wykonywać, a zatem i tłumaczyć się słowami najkrótszemi każe.

Co się jeszcze tycze jasnego i latwego do pojęcia tłumaczenia się, przypatrując się wszystkim pięknościom, które za takie powszechnie wziętemi są tak w dawnych, jak i w teraźniejszych uczonych ludzi pismach: obaczymy zapewne, że to, co najbardziej w wyrazach ich podoba się, będzie bez wątpienia proste i każdemu do wyrozumienia łatwe, a tylko serca i imaginacye nasze poruszające. Na co zawikłaną robić piękność wyrażenia? idźmy w tej mierze drogą natury, która wszystko, co najpiękniejszego jest, na wierzch oczom naszym wystawuje; wewnątrz zaś samę tylko zostawiła sprężyny, które powierzchowną piękność utrzymują.

Prawdziwa wymowa próżnych i wysadzonych ozdób nie potrzebuje: milczą ptaki azyatyckie tyle bogatych kolorów piórami ustrojone w tenczas, kiedy nasz w wiejskiej odzieży słowik śpiewaniem swojem

pychę tamtych zawstydza. Dla tego uczyć się potrzeba pięknej i wysokiej razem prostoty, która, kiedy (jak powinna) z serca wypłynie, przebędzie zapewne wszelkie dowcipu samego czyny, do których żadna czułość nie przyłożyła się; zwłaszcza, że sposoby myślenia ludzkiego tak różne są, i gust, co należy do obrotu dowcipu, coraz inszy... z wiekami odmienia się; co zaś serce człowieka w początkach jeszcze świata dotknęło, to go zapewne i w najpóźniejsze wieki równo poruszać będzie.

3cie. Zważenie i dobre zażycie okoliczności, (między pierwszemi) wymowy wsparciem jest. Kto jesteś? do kogo mówisz? w jakiem miejscu i czasie, przy jakich osobach, i o czem? Okoliczności, które czasem drobnemi się być zdają, wspomnione, a oszczędnie w czasie swoim, dają jakąś cechę prawdy pismom, i wystawiają nam rzecz przez usta, jakbyśmy na nię przez oczy patrzyli. I jako najnikczemniejsze okoliczności największych w świecie przygód były przyczyną; tak w pisaniu i drobnych czasem opuszczać nie należy: bo z nich często ciągną się myśli najpiękniejsze, czyniące sławę rzeczy i pisarzowi, a najbardziej malują nam rzecz samę naturalnie, jak gdyby należycie ze wszystkich stron widziana była—które naśladowanie pięknej z siebie natury, jako w malarstwie całem zamiarem sztuki jest, tak też w wymowie koniecznie potrzebnem będzie. Na co szukać ozdób inszych wymowy? przypatruj się tylko dobrze rzeczy twojej: to, co widzisz, co sobie wnosisz, jak można najdokładniej opisane, prawdziwie piękne się pokaże. Do czego, jak się wyżej wspomniało, dobre zażycie okoliczności skutecznie się przykłada.

Żebyśmy się lepiej przez wzory jiakeś objaśnić mogli, chcąc naprzykład opisywać zgon Brutusa na polach Filipińskich ([19]), tak, albo podobnie możnaby się tłumaczyć: „Już przemagała fortuna Cezara; żołnierz Brutusa nie zemsty, ale wołał miłosierdzia, który po większej części zrąbany, pola Filipińskie pozalegał; wrzawa zwycięzców, z jękiem umierających zmięszana, okropnym głosem dalekie okolice napełniała; a słońce

chylące się ku zachodwi, zdawało się ostatni już dzień kończyć wolności rzymskiej. Brutus, odstąpiony od wszystkich, bo zwyczajnie chronimy się nieszczęśliwych, gorzko na klęskę swoich pogląda; i obaczywszy blisko siebie jednego z rotmistrzów swoich, który z bronią w ręku zabity leżał, a w twarzy jeszcze znaki zemsty widać mu było, pomyślił: „On szczęśliwy! nie pójdzie za wozem Cezara!...Jakże mu pięknie wolnym umierać, upadek ojczyzny swojej uprzedzić!“ Potem w rozpaczy znieważając przed zgonem cnotę, którą tak w życiu kochał, mieczem przyjacielskim, uproszonym od Stratona, zabił się“ ([20]).

4te. Krótkie wyrazy zawsze mocniej nas uderzają, niżeli o temże samem przydłuższa mowa: bo człowiek z natury do roskoszy dąży, i razem ją, jak można, największą mieć woli. Rozwleczeniem zaś mowy mniej potrzebnem krzywdzimy, że tak rzekę, smak słuchu naszego, niby wodą słodki z siebie napój rozlewając, że czasem ledwie co słodyczy uczuć możemy. Z tej przyczyny wszelkie synonima, czyli jednoznaczące słowa zdają się być do wymowy wcale niepotrzebnemi. Toż samo rozumieć o mniej potrzebnie przytoczonych okolicznościach; albo wszystkiem tem, co jednejże rzeczy powtarzaniem ciekawość słuchacza, pragnącego zawsze co nowego usłyszeć, nudzi i utrzymuje. Naprzykład, gdybyśmy chcieli napisać nagrobek Stefanowi Czarnieckiemu; miasto zwyczajnie zażywanych długich napisów, taki albo podobny możnaby mu położyć. „Żył dla sławy wieków swoich i dla zawstydzenia naszych; umarł, niezostawiwszy następcy - męża ani w domu, ani w narodzie.“ ([21])

5te. Jeżeli w piśmie twojem wchodzi osoba jaka, o której mówisz, wiele do wymowy twojej przyczynisz, jeżeli ją samę czasem mówiącą wprowadzisz, mając zawsze baczność, ażeby mowa jej była zwięzła, pełna rzeczy nie słów, i warta osoby, którą mówiącą wprowadzisz. Homer i Wirgili, ten wojny trojańskiej, ów założenia Rzymu dzieje opisując, trzy części prawie nieśmiertelnych dzieł swoich samemi różnych wpływających w historyą osób mowami napełnili — a tym spo-

sobem odmalowali nam w pismach swoich najdoskonalsze obrazy, których piękność nigdy się nie postarzeje; a w których przez wczesne zażycie wydatniejszych okoliczności, i wprowadzenie przed oczy niby żywych osób mówiących, zdajemy się poglądać z rozkoszą na dzieła, trzema tysiącami lat przed wiekiem naszym upłynione.

Według tego przepisu, gdybyśmy co zrobić chcieli, opisując naprzykład stan nieszczęśliwy Krezusa po wpadnieniu w państwo jego Cyrusa z wojskiem ([22]), tak albo podobnie możnaby się tłumaczyć: „Krezus słynął z dostatku i mądrości u postronnych, z sprawiedliwości i dobroci u swoich; był królem możnym, ale był z czasem i nieszczęśliwym. Sąsiedzi jego i wyrocznie nawet bogów zawiodły go; za potężnym Cyrusem wszystko to poszło ([23]). Już rozległe jego prowincye niewstrzymany nieprzyjaciel porozbierał; mała okolica, i miasto Sardes zdało się być całem państwem i schronieniem nieszczęśliwego. On nie dbał o panowanie, które mu wydzierać chciano; ale bolał nad ludem, który ciężarem tronu upadającego miał być gnieciony. Zewsząd gorzkie przynoszą mu nowiny; między inszemi zaś ta najwięcej przenikała serce Krezusa, że komu miecz przychodni litośnie pofolgował, tego niezgoda bratnia niebacznie dokonała — i samże zaślepiony obywatel obywatela krępować nieprzyjacielowi pomagał. Umrzeć natenczas pragnął dotkliwy Krezus, ale niebo dopuściwszy mu doświadczyć niestatku szczęścia, zachować go chciało dla lepszych nadziei i pociechy w czasie.“

Ci, którzy go jeszcze w małej liczbie w tak okropnym będącego stanie otaczali, nie śmieli oczu swoich na niego podnieść; w tej przygodzie cieszyć go nawet nie umieli, bo nie trafiło im się widzieć go nieszczęśliwym. Ale on pierwszy odezwał się: Kiedy (mówił) wstępowałem na tron Lidyi, okrzyk powszechny był ogłoszeniem szczęścia mojego; jakże nierównie mniej mnie teraz żałują, niżeli mi natenczas winszowali!... Jakże daleko szczęście moje uciekło!... umrzećby mi

teraz było z słodyczą, kiedy żyć muszę z obelgą! bo cóż za roskosz być królem nieszczęśliwych.“

6te. W rzeczy, o której mówić masz, szukaj strony dotkliwej; czem serce słuchająeych poruszyć możesz. Posłuży ci do tego zważenie tysiącznych okoliczności, które się rzeczy każdej trzymają. Na to obracaj całą moc twoję, nie koniecznie, co przez pewny słów układ pięknem tylko, ale co czułem jest. Wejdź pierwej zawsze, ile możności, w serce twoje, radź go się, i słuchaj; a dopiero, co w niem zacząłeś, niech głowa i dowcip twój zakończy. Oto najmocniejsza sprężyna sztuki, która całe to koło wymowy naszej obraca: bo za świadectwem wieków, które do tych czas przeminęły, to tylko, albo przynajmniej łatwiej pamięci naszej trzyma się, co serce dotknąć mogło. Same zaś piękne, ale bez czułości żadnej wyrazy, jak brzmienie sfornej muzyki, póki ich tylko słuchamy, póty nam sprawują słodycz; z zakończeniem zaś mowy bardzo w nas krótko tęż słodycz, która przeminęła, utrzymują.

Do tego, co się wyżej o czułości serca powiedziało, bardzo wiele przydaćby można: albowiem niewyczerpane są sposoby, którémi człowiek wzruszony bywa; przecięż między tysiącem dróg do serca ludzkiego, przez te dwie namiętności: smutek i radosć, najprościej do niego przychodzimy. Smutek, który się rodzi z litości, i który przyciągnieniem się, czyli wejściem w nałóg, staje się melancholią, jest źródłem z którego mocna wymowa płynie. Te swoje dzieła nieśmiertelne, posępny zapewne, nie śmiejący się Homer układał; i wszystko, co kiedy wielkiego w wymowie pokazało się, ma jakąś cechę ożywiającej robotę melancholii. Radość, chociaż zda się być przeciwna smutkowi, przecię, jeżeli zbyteczna jest, godzi się z nim w tem zaprowadzeniu człowieka nad siebie samego, w dotknieniu serca jednakiem, a nawet w powierzchownych znakach, jakiemi są łzy w zbytecznej radości, równie jak i w smutkach wylane.

Chcący pracować pożytecznie, czyli on naturę, jak w sobie jest, szpiegując, piękności jej na oczy wystawuje; czyli postawiwszy się w osobie tego, o którym

pisze, (co ile możności konieczną potrzebą jest) wszystkie, w jakich tylko być może, człowiek naprzykład uciśniony, sytuacyach dostateczniej malować pragnie; wszędzie go przewodnicza zaprowadzi melancholia. Z tej to kuźni wychodzą te ostre wyrazy, którym się często i najtwardsze serce nie oprze. Ale nie masz potrzeby, ażebyśmy ustawicznem zamyślaniem się siebie i kogo nudzili; ani o takiej tu rzecz melancholii, która niszcząc zwolną człowieka, odebrawszy go zupełnie ludziom, wreszcie go samemu sobie wydziera; ale o tej, którą, jak potrzeba zdarzy się, sami sobie na czas cudzym kosztem zrobić możemy.

Naprzykład, gdybyśmy chcieli opisywać żal Andromaki w Butrocie, rozpamiętywającej klęski swoje ([24]), wziąwszy na chwilę na siebie smutną postać tej nieszczęśliwej Trojanki, wchodząc, ile możści, we wszystkie okoliczności obciążające najbardziej stan jej opłakany, tak albo podobnie mówiącą moglibyśmy ją wprowadzić: „Jakże wiele Trojanów i sprzymierzeńców miecz grecki położył! tam Pryam stary, tyle rodziny jego, z winowajcą Parysem poginęło!... I ty Hektorze, poległeś pod Troją!.. Ciało twoje od okrutnego Achillesa stroskany ojciec bogatym sprzętem odkupił, który ja ze skrzyń moich oblany łzami gorzkiemi wydałam, i który w dniu twego tryumfu dla ozdoby domu naszego miał być okazywany!... Kiedy ciało jego z obozu greckiego przywieziono, najpierwsza do niego przybiegłam: wołałam, chociaż mnie już usłyszeć nie mógł; oczy mu skrzepłe otwierałam, chociaż mnie już niemi na wieki nie ogląda. Na cóż mu te piersi pozakrywano? on niema czego się wstydzić za rany, które dla ojczyzny odebrał!... Niewarty ołtarzów, marny Apollinie!...([25]) żal mi tylu ofiar i drogiego kadzidła, które dla ciebie wypaliłam. Ty nie umiesz być bóstwem, bo nie ratujesz tych, którzy cię wielbią... Ależ kolej przyszła i na Achillesa ([26]): Jowisz niestateczny o Eginie równie, jak i o Elektrze zapomniał ([27]); przecież mi się nie nadgrodziło za to, Hektorze mój ukochany, którego za świat cały nie mieniałabym! cóż dopiero dała mi Grecya, coby stracie mojej wyrównało? Butrot ([28])

jakże względem Troi nikczemny! i ten żółtowłosy ([29]) jakże się z Hektorem porównać może? Najpiękniejszy z pomiędzy Trojańczyków, kiedy na mnie dużemi oczyma swojemi spojrzał, kiedy się do mnie uśmiechnął, ja wiem, jakiej natenczas kosztowałam roskoszy! najmocniejszy z pomiędzy Trojańczyków, kiedy silnemi barkami wysokie mury Troi podpierał, ja wiem, jakie natenczas Azya nadzieje czyniła sobie! on umiał miłość połączyć z walecznością; on mi był Hektorem... Cóż mnie teraz na ziemi utrzymać może? ostatnia moja pociecha zginął Astyanax. Zabójca jego prawie mi pod bokiem w smutnej Itace mieszka ([30]), i jego Telemak żyje!... Bogowie podziemni! czyli to tylko Grecy mogli zstąpić do piekieł ([31])? a Trojanka, ani śmiałości, ani tam znajdzie politowania? Pójdę do wrót Plutona nieużytego ([32]); szukać cię będę, Hektorze i Astyanaksie! znajdę was i uproszę; bogowie zapewne żalu większego żony po mężu nie widzieli: oni (jak powiadają) mają roskosz cieszyć nieszczęśliwych! a gdyby się też i przebłagać nie dali, jakże mi lepiej będzie już nie powrócić na ziemię!"

7me. Nagłe podejście, czyli niespodziewane zagadnienie słuchających, wielką wymowy jest ozdobą. Zdatnem do tego będzie przytoczenie okoliczności jakiejś niespodziewanej, odpowiedź nadzwyczajna, albo wyrażenie zuchwałe, ale nigdy proste. Tym sposobem słuchający orzeźwia się niejako, i niby nagle z gmachów ciemnych, albo przeciwnie, przechodząc—widząc, czego nie widział, albo widzieć nigdy się nie spodziewał, przymuszony zdumiewa się. Naprzykład gdybyśmy chcieli opisywać spokojność na ustroniu Sydończyka Abdolonima ([33]), tak albo podobnie możnaby się tłumaczyć: „Nigdy tem się zatrudniać nie chciał Abdolonim, sprawiedliwie czyli nieprawnie Straton, przywłaściciel, tron Sydonu posiadł. Wiedział dobrze, że jemu bardziej krew do tego pierwsze dawała prawo; ale wierząc, że bogowie wszystkiem na ziemi władną, nie naganiał, ani się badał w wyrokach ich, dla czegoby tak zrobić chcieli? I uprawując rękami własnemi rolą, która mu żonę i dzieci żywiła, spokojny na ubóstwie swojem przestawał.

„Niech tam pilnuje miasta (mówił), kto bydź zdradzonym, albo zdradzić nie wstydzi się; i kto przed szczęściem Stratona umie się płaszczyć. Ja na tem ustroniu czeladzce i dzieciom moim potrzebniejszy, którzy mi tak daleko posłuszni przez wdzięczność, a o których dobro tak troskliwy jestem przez przywiązanie.“

Wielki Aleksander, (który między tysiącem złego, co ludziom powyrządzał, czasem i sprawiedliwość zamieszał, ażeby tem cokolwiek gorzką pamiątkę zniszczenia Azyi osłodził), jako błyskawica z grzmotem, przyleciał do Sydonu, Stratona nieprawnie panującego, niemiłego poddanym, i sobie podejrzanego z tronu zrzuca, który ubogiemu Abdolonimowi, z dawnej krwie prawych królów pochodzącemu, i człowiekowi w krainie najlepsze zalecenie mającemu, oddaje.

„Abdolonimie! (mówił do niego) bogowie jak wierzysz, są sprawiedliwi! Ja, któremu pozwolili królów zrzucać, albo stanowić, wracam ci berło ojców twoich w Sydonie; ażeby potomkowie twoi, po tobie osiadający tron ten, wspominali w potomności, że przechodził tędy Aleksander, i uczynił sprawiedliwość.“ Na co Abdolonim odpowie: „Ja jestem królem, Aleksandrze! kiedy nad sobą i małym domkiem moim panować umiem; a ty jesteś mniejszy odemnie, bo ja daru twojego przyjąć nie chcę. “Tak śmiałą odpowiedzią, nie chcąc przyjmować tronu, stał się go bardziej wartym Abdolonim, który nakoniec, szczęśliwością ztąd na Sydończyków spłynąć mającą pobudzony, przyjąć musiał.

8me. Jeżeli komu pochwałę pisać masz, piękniejsza nierównie pokaże się, jeżeli rzecz jaką inszą wiodąc, niespodziewanie przytoczona będzie; to jest, ażeby nie umyślnie od początku mowy twojej ciągniona; ale co inszego niby za zamiar mowy przeznaczywszy, do tego tylko, jakoby przypadkiem, przyłączona była: chybaby rzecz twoja obszerniejszego rozpostarcia się wyciągała. Ale w pochwałach, które dajesz, zawsze podłego pochlebstwa wystrzegać się należy, które i piszącego, i chwalonego poniża. Pochwała twoja niech będzie z rzeczy znaczniejszych; ani się zastanawiaj nad

niskiemi; ale najlepsza się zawsze udaje pochwała cnoty. Tak gdybyśmy pod imieniem naprzykład Palemona chwalić chcieli człowieka dobroczynnego, tym sposobem albo podobnie możnaby się tłumaczyć.

„Milon, przyciśniony ubóstwem, nie śmiał się ludziom pokazać. Nędza, nie jestci występkiem; wszelako często wstydzą się ubóstwa swojego nędzni. Niewiedziano o domie jego: bo mało kto do ubogich uczęszczać lubi. Chodząc zawsze smutny, chociaż był znany dawniej, nikt go się o przyczynę nie pytał: że niemiło nam słuchać i zatrudniać się nieszczęściem cudzem, a czasem boimy się jeszcze, ażeby nas o wsparcie nie proszono. Ale on sam nie śmiał nikomu o nie naprzykrzać się: będąc w bycie, nauczył się świadczyć dobrodziejstwa, a prosić miłosierdzia nie umiał. Tyle mu tylko w nieszczęściu jego pociechy zostało się, że był cnotliwym; ale cnota bez pieniędzy zwyczajnie głodna bywa. Widziałem raz Milona, jak mu się łaskawsza uśmiechała fortuna; z wygodniejszym domem, i pozorem szczęścia jakiegoś, zaraz się przyjaciele znaleźli; chociaż nie było u niego zbytków żadnych, bo tylko na uczciwą potrzebę domu i wychowanie dzieci majątek jego wystarczał. Tak nagłej odmianie wszyscy dziwowali się! ale zkądby mu przyszła, nikt ani dociec nie mógł, ani (przeszłego ubóstwa nie chcąc mu przypominać) zapytać się go nie śmiał. Umarł w mieście Palemon ([34]);—i którego za życia, dla zakazu jego, wyjawić nie można było: tego dobroczyńcę po śmierci gorzkie łzy Milona wydały. Płacz był prawie powszechny: bo wszystkich nieszczęśliwych, których zwyczajnie wiele bywa, strata ta obchodziła. Ale człowiek dobroczynny nie mogąc sam po śmierci wspomagać ludzi, zostawia przykłady do naśladowania następcom swoim, ażeby czasem sprawiedliwy nie zawiódł się na cnocie swojej, nie żebrał chleba pode drzwiami bogacza nieużytego.“

9te. W całem dziele wymowy twojej bądź mocnym przez związki silne rzeczy ważnych; ale przy końcu (co najbardziej w wierszu zachować należy) bądź najmocniejszym. Tym sposobem pogładzisz, i niejako oży-

wisz słabości, jeżeli się w ciągu mowy trafiły. I ponieważ to, co na końcu powiedziane jest, na końcu też i do pamięci przychodzi: potrzeba, ażeby ostatecznie pamięć słuchających czem pięknem się zatrudniła.

10te. Niech będzie wymowa twoja rostropna i poważna. Do tego trafisz końca, jeżeli rzeczy niskie i upodlone na materyą roboty twojej nie wybierzesz; jeżeli słowami mniej przystojnemi tłumaczyć się nie będziesz; jeżeli okoliczności, do rzeczy mniej potrzebne, opuścisz; jeżeli porządek mówienia zachowasz; jeżeli nakoniec w mówieniu pochlebstwa, albo niewolniczej bojaźni nie pokażesz.

11te. Utrzymywanie charakteru osób, w dziełach wymowy przydłuższych, znaczną i potrzebną zawsze pięknością będzie. Szczęśliwy w tem Homer: w pierwszem wspomnieniu o Achillesie, odmalowawszy go nam zuchwałym, już w całej Illiadzie, w czynach i mowach Achillesowych zuchwałość widać. Ulisses u niego wiecznie poradny i podejrzliwy. Nestor wielomowny i chwalący się; insi zaś jego bohatyrowie w swojej każdy do końca utrzymany skłonności. Pięknie w tem naśladuje Homera romans angielski pod tytułem Tom John, gdzie każdą wchodzącą osobę, taką w ostatniej księdze widzę, jaką w pierwszej poznałem.

12te. We wszystkich pismach twoich nie słów, ale rzeczy pilnuj tak dalece, ażeby rzecz twoja była panią dzieła, słowa zaś tylko sługami. Ale zawsze pisma twoje zimnemi będą, jeżeli ich nie zagrzejesz robotą jaką, to jest, jeżeli nie opisujesz prawdziwej, albo zmyślonej od siebie akcyi. Tego nie zachowując, wpadniesz w nudzące powtarzanie rzeczy jednej inszemi słowami, a próżno postępować będziemy, jeżeli, tylko słów chwytając się, rzeczy zaniedbamy.

13te. Przepisy, jaka być powinna mowa prozą, jakie poema heroiczne, trajedya, elegia, oda i tam dalej? na kilku kartach nauczyciel uczniom, dla nieobciążenia pamięci ich, pomieścić może. Chociaż Edward Young w nocach swoich żadnej nie zachowujący reguły, równie pójdzie do nieśmiertelności, jak pilniejszy

względem przepisów Wolter w Henryadzie; a z drugiej strony tak wielu — w pismach swoich czułości żadnej nie mających, ale tylko najsurowiej przepisów trzymających się — zginie w niepamięci. Według wspomnionych krótko zebranych przepisów, nauczyciel — na codzienne ćwiczeni uczniom swoim naznaczając roboty — nie marną rzecz jaką, ale wybierać i dawać ma materye, o miłości naprzykład ojczyzny, o jedności obywatelskiej, o powinności człowieka względem inszych, o pochwałach wielkich ludzi narodu, o cnocie, potrzebie religii, i tym podobne — a tak za jednym razem i mowców formować będzie i obywatelów.

14ste. Dokończywszy już pismo twoje, ty najpierwszym bądź jego surowym sędzią. Uważaj w niem: czyli nie popełniłeś niedbalstwa jakiego, szczególnie dla dopełnienia próżnego miejsca? co w wierszu częściej trafić się może; czyli rzecz twoję części składające łączą się należycie, i następują porządnie? czyli nie masz słów obojętnych i dwojako znaczących, z których obróconego rozumienia mogłoby się co wnosić obelżywego? czyli mowa twoja nie jest ciemna, i dla lepszego jej wyrozumienia jak ją poprawić masz? czyli nie powtarzasz rzeczy jednej, albo się sobie nie sprzeciwiasz?

Największy zaś wzgląd mieć powinien każdy, który pismo swoje roztrząsa, albo też do pisania zabiera się, ażeby w niczem obyczajów i religii nie naruszył. Koniec każdego piszącego być powinien: zrobienie pożytku jakięgo w czytających. Tam gdzie nas skłonność sama do swywoli tak silnie ciągnie, po co jeszcze niewstydliwemi wyrazami i nadto palący się ogień rozdymać? Nieszczęśliwy, który drogą pisania rzeczy szkodliwych poszedł! on winien odpowiedzieć narodowi swojemu i dalszym pokoleniom, które złośliwemi jego pismami psuć się będą! Matka, za zgorszoną córkę swoję przeklinać go, i ojciec za syna mścić się będzie na pamięci jego! Kto albo z łaski natury, albo długiemi pracami słodycz wymowy, a przez nię dar poradzenia pozyska: czemuż tej zdatności swojej na dobro kraju obrócić nie ma? nie tak, jak ów szkodliwy pio-

run, który na to tylko wypada, ażeby wszystko, czego się dotknie, zepsuł.

Przez pisma rozwiązłą lubieżnością zaprawne niewieścieje zwolna młodzież krajowa, i przyzwyczaiwszy się do pokrewnego sobie niewstydu, staje się niezdatną, albo przynajmniej niedbałą do noszenia ciężaru obywatelstwa, który tak słodkim był dla ojców naszych! Toż samo, albo więcej jeszcze myśleć należy o tych, którzy niezbożnemi pismami swojemi targają się na religią. Jakiego zuchwalec spodziewa się pożytku z pisma takiego? czyli przecząc istoty bóstwa, albo rząd jego znieważając, będzie mu sługa, żona, przyjaciel wierniejszy? Czyli bezbożnik wmówiwszy w ludzi, że kary albo nagrody po śmierci nie masz, będzie w życiu swojem bezpieczniejszym? w powodzeniach szczęśliwszym? Czegóż ten człowiek nieprzyjazny przemożnemu bogaczowi postrach, a nieszczęśliwym ucieczkę odejmuje? czego ten pies szczeka na pana swojego, z którego stołu żyje? on nie ma nadziei żadnej, bo jej i niewart! Ale będzie to zachodem sprawiedliwego naszego monarchy, ująć się o Boga, którego na ziemi zastępuje, i o swoję razem sprawę: bo to aż nadto pewna jest, że róg tronu na ołtarzu wspiera się; i kto bezbożnie podkopuje religiją, monarsze i narodowi całemu upadkiem grozi.

Oto już wszystko co mi o wymowie w prozie, albo w wierszu przyjść mogło. Myśli moje przynoszę przed sędziów dobrze oświeconych, którzy nie będą pewnie potępiać niektórych nowości tu wyrażonych, póki pobudek moich dokładnie nie roztrząsną. Jeżeli w czem pomylić się mogłem, upornie przy błędzie utrzymywać się nie chcę; a że człowiekiem jestem, mam prawo spodziewać się, że mi omyłki darowane będą zwłaszcza, że myślą zrobienia dla narodu rzeczy pożytecznej pracowałem.

Jeżeliby zaś cała ta praca moja wcale niezdatną się znalazła, wszelako powrócę do domu spokojny; jak ów nie wybrany, (jak się spodziewał) między inszymi do najwyzszych trzechset mężów magistratury Spartań-

czyk ([35]), cieszyć się będę: że jest w Laced monie trzysta mężów, więcej wartych nademnie."

PRZYPISKI.

([1]) Wiele już nad tem myślano, coby zgromadzenia ludzi, czyli towarzystwa początkiem było: zdaje się, że potrzeby wspólne nigdy nie były przyczyną założenia tych miast budownych, w których ludzie, sprowadziwszy się z lasów, zamieszkali: bo tam mając wyżywienie, napój i pod drzewami uchronę, to jest, to, co do utrzymania życia koniecznie potrzebne jest; nie mając zaś wyobrażenia lepszego stanu nad ten, w którym byli, zapewne go i żądać nie mogli; ręce zaś człowieka aż nadto dostateczne są do wyżywienia go. Ani przyjacielskie związki mogły rozrzucone po lasach zgromadzić familie: bo człowiek jest z natury podejrzliwym, sobie tylko dobrze życzącym; przyjaźń zaś jest bardziej dziełem edukacyi i skutkiem cnót moralnych, które w pierwiastkowych tych ludziach być nie mogły. Ale najpewniej zdaje się, że bojaźń przemocy pozgromadzała ludzi w towarzystwa, ażeby się łatwiej razem opierać mogli. Widzimy to i dziś w naturze ludzi, że chociaż ich strach nagły na chwilę rozproszy, przecież zaraz zgromadzają się, i tłum ich zebrany zwyczajnie jest śmielszym. Z tego podobno doświadczenia przyszło do założenia towarzystwa.

([2]) Że ludzie żyli nie każdy osobno, ale w mniejszych familiach rozrzuceni, zdaje się z przyrodzenia kobiet i dzieci, że powinny były mężów i ojców się trzymać; ta, znając siły swoje słabsze, kochając i będąc razem kochana od mężczyzny, trzymała go się i dla wspólnej miłości, i dla bezpieczeństwa swojego. Dzieci zaś, z przyczyny swojej w pierwszych leciech niedołężności przyzwyczaiwszy się do rodziców, w wieku dalszym mogły się ich trzymać dla doświadczenia większego w rzeczach, które w starszych widziały.

([3]) Ponieważ w początkach językowi razem przytrudno było, z prostego głosu przydłuższe słowa różnem łamaniem się wymawiać: prawie we wszystkich Europy językach, słowa koniecznie do utrzymania życia potrzebne z jednej się, a najwięcej ze dwóch syllab składają. Świadectwo oczywiste z ojczystego naszego mamy w słowach: jeść, pić, chleb, woda, i tym podobnych; to samo we francuzkim i niemieckim postrzegamy, to i w językach Azyi, na nich znający się, podobnie poświadczają.

(4) Znana wszystkim wspaniałość stylu w księgach żydowskich nie potrzebuje objaśnienia. Nie dawno przetłumaczona na język francuzki jedna z najdawniejszych ksiąg chińskich pod tytułem *Chou-King* ma piękną cechę silnej mowy wieków patryarchalnych. Wieku przeszłego przetłumaczona na tenże język z perskiego księga *Huszenka* pierwszego z królów Persyi i świata, pod tytułem Mądrość wszystkich wieków, której sam tytuł tak poważny nie zawodzi zapędu czytelnika, albowiem pełna jest najdokładniejszych prawideł obyczajności, i tego ducha czułego, który, zdaje się, że z ludźmi tamtymi umarł.

(5) Homer około dwóchset lat po zburzeniu Troi, a więcej nad 1200 przed narodzeniem Chrystusa żyjący, zdaje się, że nie mógł być pierwszym, któryby razem tak piękne dzieło napisał: bo dowcip ludzki i sztuka z wolna postępują. Jakoż powiadają, że Orfeusz, a po nim Linus, daleko przed Homerem wierszem pisali. Palamed, który się bił pod czas wojny trojańskiej był razem sławnym poetą greckim. Jakiś Korynus, Zyzyf, Dyktys Kreteński, Dares Frygijski: wszyscy za czasów tejże wojny żyjący, mieli sławę pisarzów tamtego wieku. Z których potem błędów, albo piękności doskonały Homer uformował się, i sławę ich na sobie skończył, a swoję aż do nas przesłał.

(6) Perrault pogardzał staremi autorami: Fontenel, La Motthe, nic w nich osobliwego nie widział: i chociaż ci trzej, ledwie nie połowę Francyi za sobą mieli, przecięż nie mogli nigdy zdjąć Homerowi z głowy wieńcá jego.

(7) Jak naszych czasów Kurcyusz uformował Karola XII. króla Szwedzkiego na wojownika; tak Homer wystawił dawniej wielkiego Aleksandra. Chciwy sławy młody ten monarcha, ruszony przykładami Greków dokazujących w Azyi, wziął myśl podbicia jej; a dzieła Homera, porządniej złożone i poprawione, w drogiej skrzynce między łupami Daryusza zabranej, jak świętość jaką przy sobie wszędzie mieć chciał.

(8) Rzymianie, już dobrze z wymowy słynący, nie tylko w domach własnych uczyli się greckiego języka, ale dla włożenia się lepszego, i poznania wzorów piękniejszych, do Grecyi nawet płynęli, którą, chociaż czasem pod moc swoję podbili, zawsze jednak jako nauczycielkę swoję szanowali.

(9) Tyrteusz miasto wodza, którego potrzebowali, poeta z Aten posłany Spartańczykom, upadłe ze wszystkiem siły ich wierszami do ratunku ojczyzny swojej zagrzewającemi podnosi, i do szczęśliwego nad Messeńczykami zwycięztwa siłą wymowy swojej sławnym staje się przewodzcą.

Cycero (jak sam o sobie mówi) więcej wymową swoją w rozhukanem pospólstwie wskórał, niżeli sto-tysiączne wojska dokazać mogły.

Konstancyusz, syn Konstantego wielkiego, wymową swoją nieprzyjacielskie wojsko pod przeciwnikiem swoim, Wetranionem, przeciąga, i bez wylania krwi kropli, część trzecią cesarstwa ojca swojego posiada, które natenczas między Rzymianami, jako panami świata, zakłócenia, światu całemu zamięszaniem groziły.

([10]) Gdyby na ziemi nie było tylko ciepło, jakież wyobrażenie lodu mielibyśmy, który rodzą zimna jest? Te dwie rzeczy dopiero, razem uważane, wiele nas nauczają o własnościach obudwóch. I dla tegoć to podobno o istocie Bóstwa rozumieć nie umiemy, że zapewne nic na świecie podobnego, ani w równym stopniu rozróżnionego nie znajduje się, z czemby ją porównać można

([11]) Między rzeczami, które imaginacyą naszę poruszać mogą, rachować można doskonałe, a wyrażające akcyą jakąś malowaniem: naprzykład, starych miast rozwaliny, okropne zacienienie lasów, i tym podobne widowiska. Ale najmocniej myśl ociężałą poruszać zdaje się sworna i piękna muzyka, której cudów w ocuceniu imaginacyi nie tylko dzisiaj doświadczamy, ale i u dawnych z tejże siły swojej słynęła.

([12]) Ślepe naśladowanie autorów znakiem jest niedowierzania siłom naszym, a podobno zagrodą wzrostu wymowy, która jak woda, ażeby zdrowa była, z wolnością płynąć lubi; naśladowanie zaś trzymając ucznia przy wzorze jego, gnuśnieć mu na miejscu każe wtenczas, kiedy honor i pożytek narodowi zapewne nie kopie, ale same zrobić mogą oryginały.

([13]) Andromaka, żegnając się z Hektorem w szóstej księdze Iliady, tak mówi: „Waleczny książę! twoja odwaga kiedyś zgubą twoją!... A mnie zostawisz wdową, i syna twojego sierotą! bo Grecy razem się zebrawszy na ciebie uderzą, i zemszczą się tylu klęsk swoich. Jakże byłoby lepiej, żebym ja pierwej umarła Niemam ni ojca, ni matki!... Luby mój Hektorze, ty mi zastępujesz ich miejsce. Cała moja miłość w tobie jednym, ukochany mężu, zebrała się. Miej więc litość nad żoną i dziecięciem twojem, a nie zapędzając się ku okrętom greckim, zostań pod murami Troi, i t d."

Tamże Hektor tak odpowiada Andromace. „Kochana Andromako! niemniej i ja twoją niespokojnością dotkniony jestem; ale coby Trojańczykowie i Trojanki powiedziały, gdybym jak bojaźliwiec ostatni od walki oddalił się? Nie mógłbym przenieść na sobie ich wyrzucania... Wszakże nie to jeszcze jest, co mnie tak robi odważnym: przyzwyczajony jestem tam, gdzie niebezpieczeństwo największe, dla sławy Troi narażać się.. Ja wiem, że Troja upaść musi! i nie tak bardzo mnie to obchodzi, jak myśl gorzka, że któryś z książąt Greckich w niewolą cię sobie zabierze, i natrząsając się z łez twoich, do państwa swego zaprowadzi: tam w obecności Argos, będziesz wydana na wzgardy pysznej jakiejś pani twojej, nad robotami jej pracując. Albo, (co mnie bardziej jeszcze przenika), posyłać cię będą po wodę, jako najpodlejszą jaką z niewolnic, do źródeł Hipperei, albo Messeidy... Ci, którzy cię z oczyma zawsze zapłakanemi w tak poniżającym stanie obaczą, będą sobie rozmawiać: oto jest żona Hektora, najwaleczniejszego z pomiędzy Trojańczyków, i t. d."

([14]) Równie jest dotkliwy Homer w mowie Pryama do Achillesa w księdze XXIV. Illiady, gdzie Pryam prosi Achillesa o ciało zabitego Hektora w te słowa: „Achillesie podobny bogom!

widząc mnie, ojca twojego przypomnij sobie, on równej zemną starości będzie; a kto wie? kiedy ja teraz przy nogach twoich leżę: sąsiedzi jego, pożytkując z oddalenia się twojego, może krwawą z nim prowadzą wojnę; nie ma nikogo, ktoby go w tak ciężkim razie poratował. Ale ach! między nim i mną, ta jest różnica, że odbierając wiadomości o zdrowiu twojem, czuje w swem sercu pociechę... i nadzieję, że wkrótce cię obaczy pełnego sławy... A ja najnieszczęśliwszy z ludzi z tylu tak walecznych synów, którzy mi się w Troi porodzili, zdaje się, że już żadnego nie mam! Byłoć ich z różnych żon do pięciudziesiąt, kiedy Grecy do brzegów naszych przybyli... Mars nielitościwy prawie mi ich wszystkich powydzierał. Jeden, który całą moją pociechę składał, którego waleczność była najmocniejszym murem rodu i ludu mojego, ukochany Hektor, od twojej ręki poległ, bijąc się odważnie za ojczyznę swoję Achillesie! bój się i szanuj bogów; miej litość nademną, wspomniawszy na ojca twojego!... Po tylu klęskach groźna fortuna przymusiła mnie do tego, że ośmielam się na to, na co przedemną żaden nie ośmielił się człowiek: do tego mnie przywiodła stanu, że całuję rękę zabójczą, i zmazaną jeszcze krwią dzieci moich, i t. d."

Andromaka w księdze XXII. tak płacze męża swojego Hektora: „W cóż się teraz obróci ten płód małżeństwa naszego! syn ukochany! którego w dziecinnym wieku zostawiłeś!... Ani ty jego wsparciem, ani on starości twojej podporą będzie... Ode drzwi do drzwi przyjaciół ojca swojego chodząc, żebrać będzie wsparcia od nich; a oni go słuchać nie zechcą. Codzień powróci do domu z oczyma zapłakanemi, i odnawiać będzie łzy matki swojej. Jakaż odmiana! mój ukochany Astyanx, który był karmiony na kolanach ojca swojego z taką wygodą i pilnością.. teraz bez ojca!... Bo ty Hektorze, koło okrętów Greckich, psów i sępów pastwiskiem będziesz! kiedy te nieczyste zwierzęta tobą się napasą, ostatki twojego ciała będą rozrzucone po brzegu, aby tak zgniły; a nie znajdzie się nikt, któryby je przykrył! Na cóż mi się przyda teraz tyle bogatych i pięknych jedwabnic, które mamy w pałacu? i nad któremi niewolnice moje pracowały i t. d."

(15) W księdze IV. Eneidy, Dydo tak gromi upierającego się wyjechać z Kartaginy Eneasza: „Zdrajco! nie Wenus (jak powiadają) urodziła cię, ani Dardanus rodu twojego głową; ale cię twardy z wnętrzności swoich wydał Kaukazus, i Hirkańskie tygrzyce mlekiem swoim karmiły. Bo czegoż się już ochraniam? Albo czego gorszego spodziewać się mogę? Czyli on na płacze moje się wzruszył? czyli na mnie obrócił oczy? czyli jednę przynajmniej łzę wylał, albo nad płaczącą zlitował się? i t. d."

(16) Tasso w swojej Jerozolimie wyzwolonej, Milton w Raju zgubionym i Wolter w Henryadzie, prawdziwego Boga do swoich wprowadzili poezyi.

(17) Illiad w księdze 22.

(18) Aenei. lib. 3.

(19) Brutus i Kassyusz z Oktawiuszem Cezarem, Juliusza

Cezara dóbr i władzy następcą, nieszczęśliwym bojem o wolność rzymską w Macedonii na polach się filipińskich rozpierali.

(20) Za naleganiem rozpaczającego Brutusa, Straton, przyjaciel jego, nie mogąc na srogość postępku jego patrzyć, głowę na bok zwróciwszy, miecz mu własny nadstawił; na który zapamiętale Brutus rzuciwszy się, wnętrzności sobie wskróś przeszył.

(21) Czarniecki zostawił tylko dwie córki po sobie. Chociaż zaś wiele po nim sławny dokazywał Sobieski, przecięż więcej daleko pierwszemu winna ojczyzna, że w stanie nierównie nieszczęśliwszym ratował ją. Nie miał władzy w narodzie żadnej ani majątku — i tylko przykładem ciągnąc obywatela, tyle razem sprzysiężonych potężnych ojczyzny nieprzyjaciół pokonał.

(22) Krezus, prócz królestwa Lidyi, był panem Frygii, Mizyi, Paflagonii, Tracyi, Karyi, i inszych narodów. Cyrus, fundator perskiej monarchii, podbiwszy te wszystkie państwa jego, i w Sardes stołecznem Lidyi mieście pojmawszy Krezusa, dla pamiątki mędrca Solona, do łaski go przypuścił — i czyniąc mu do śmierci poszanowanie, zawsze go do rad najważniejszych używał.

(23) Krezus, chcąc na Cyrusa wyprawę uczynić, wyroczni Apollina w Delfach pytał się, jaki skutek wojny będzie, gdyby Halim rzekę, granicę państwa swojego, z wojskiem przeciwko Cyrusowi przeszedł? I odebral odpowiedź: „Halim przeszedłszy, wielką bogactw potęgę zniszczy“ Krezus to zniszczenie na stronę Cyrusa tłumaczył, a przez obojętność tejże odpowiedzi to się na nim samym spełniło. Tak wszystkie dawnych bożyszcz wyrocznie, albo były niezrozumiane, albo po czasie zmyślone, albo obojętnemu tłumaczeniu podległe.

(24) Andromaka, córka Ecyona, króla Cylicyi, żona sławnego Hektora, po zabiciu męża i zburzeniu Troi, dostała się w dziale Pyrrusowi synowi Achillesa, który ją do Grecyi, do swego Epyrru, zaprowadziwszy, za żonę pojął.

(25) Apollo był szczególniejszem bóstwem Trojańczyków; miał swój kościół w mieście Troi, gdzie zdobyte na nieprzyjacielu łupy wieszano.

(26) Achilles podczas tej wojny zginął także pod Troją. Parys zdradliwie ugodził go jadem zarażoną strzałą w nogę, (które tylko jedno miejsce było, gdzie mógł być raniony), i z tej rany umarł.

(27) Achilles i Hektor obadwa wyprowadzali ród swój od Jowisza; pierwszy był synem Peleusza, Peleusz Eaka, Eak Jowisza z Eginy nimfy. Hektor wywodził się od Dardana; Dardanus był synem Jowisza i Elektry.

(28) Butrot miasto w Epirze, stolica Pirrusa; króla Epiru i męża Andromaki.

(29) Pirrus miał żółte włosy.

(30) Ulisses w zburzeniu Troi ukryte dziecię Hektora znalazł, Astyanaxa, którego, że się Grecy obawiali, żeby... dorosłszy lat, nie mścił się krzywdy ojczyzny zniszczonej, Ulisses z murów trojańskich zrzucił.

Itaka mała wyspa nie daleko Epiru.

(31) Z mitologii wiadomo, że Orfeusz za swoją Eurydyką, Herkules, i inni zstępowali do piekieł.

(32) Bajali poganie, że Acheron, rzeka niedaleko Butrotu, w Epirze była drzwiami do piekieł.

(33) Sydon miasto Fenicyi, nad brzegiem morza śródziemnego, najdawniejsze: bo założone przez Sydona syna Chanaan; za czasów Jozuego i sędziów żydowskich było już jednem z największych miast.

(34) August książę Czartoryski, wojewoda ruski, sławny z dobroczynności swojej; znany dawniej w literaturze pod imieniem Palemona, w najpiękniejszej Sielance przez J. W. Naruszewicza B. K. S. napisanej; umarł dnia 4go Kwietnia roku 1782.

(35) Spartańczyk Pedaret.

PRZYKŁAD UCZYNNOŚCI

DLA

BLIZNIEGO.

Almanzor między sąsiadami, był jak ojciec w pośrodku dzieci swoich. Drzwi jego otwarte dla każdego, i głodu we wsi nie było, póki u niego chleba stawało. Ale niebo zamknęło deszcze, i sucha rola stała się niewierną, straciwszy zupełnie nasienie, i przyszłego żniwa nadzieję. Stało się, czego się bano, przyszedł nakoniec głód ciężki, i znalazł każdego w domu swoim. Dzieci, ten robak jedzący ustawicznie, patrząc na ręce matki swojej z płaczem wołają chleba, którego im tak dawno obiecywała: a ona, próżno wytrząsa naczynie, w którem się chowała zboże; i jeszcze im się do jutra prosi. Indziej, niestrawną żołędzią napchany wieśniak puchnąć zaczął. Strapiony wierny przyjaciel jego radby go do śmierci ubiegł; i zdaje się być spokojniejszym, kiedy także na sobie równą puchlinę postrzega. Siedząc pod dębem, który ich trucizną żywił, przyrzekają sobie wzajemnie, że pierwej zmarły pogrzebiony będzie przez pozostałego; a poglądając smutno na dół, który sobie już wykopali, przyczyniają jeszcze boleści, wspominając na dzieci swoje po lesie rozpierzchnione.

Powietrze, ten wierny towarzysz głodu, już się zbliżało, kiedy Almanzor, przechodząc z synem po ulicy, napadł leżącego na ziemi człowieka zemdlonego, i w pół obumarłym głosem pożywienia proszącego. Wzruszyły się wnętrzności jego, i pomyślił sobie: na cóż mi tych sprzętów w domu, jeżeli za nie chleb kupiony sto ludzi od śmierci powróci? podzielę tę odrobinę zboża, którą mam jeszcze, pomiędzy bliźnich moich; pojadę w kraj jaki cudzy, gdziebym za mój dobytek chleba dostał.

Tak myślał litością zdjęty, i do syna swojego mówić zaczął. „Rustanie, synu mój! widzisz te siwe włosy na głowie mojej; znaki to są lat wielu! przecięż jestem rzeźwy, i lekarz żaden w domu moim nie postał. Szczęśliwy to skutek przestawania na małem, bez zbytecznych zabiegów, pomierności w napoju i pokarmie, bez wyszukiwania ich zbyt wymyślnego; trzymania się zawsze prawdy, bez pobłażania nikomu; udzielności dla bliźniego, bez fałszu; znoszenia przypadków, bez pochylenia się; szanowania religii, bez badania się w skrytościach jej: a ztąd błogosławieństwa nieba. Powiedz mi, synu! patrząc na tego z głodu umierającego człowieka, uczułeś tę siłę mocnego politowania, która zdaje się rozrywać wnętrzności? Potrzeba, dziecię moje, skoczyć w wodę, ażebyś tonącego brata twojego poratował; potrzeba nie żałować krwi twojej, jeżeli bliźni twój inaczej obronionym być nie może. Któżby dopiero marnego zbioru żałował, żeby nim drugiego w potrzebie nie wspomógł? Jużem, jak widzisz, posiwiał; a zawsze sąsiadom chlebem i pieniędzmi mojemi służąc, dotąd przecię niczego żądny nie byłem. Rozdajmy na zgłodniałych, co mamy pożywienia, weźmy tę trochę pozostałych pieniędzy, i szukajmy rychło w cudzym gdzie kraju chleba dla braci naszych. Nie stracimy na tem, synu mój! Ile tylko razy miałem sposobność udzielenia chleba mego potrzebnym, zawsze to u mnie było znakiem wielkiego urodzaju w roku przyszłym.“

Tak Bustana uczył Almanzor. Rozesłał zaraz pożywienie potrzebniejszym; zabrał pieniądze wszystkie,

cokolwiek z kostownych sprzętów zabrać się mogło, i ruszył wraz z synem w drogę.

Po dniach kilku podróży, nocleg im przypadł w lesie, zwierz dziki w nocy poszarpał bydlęta, któremi jechali — a strwożonomu ztąd Rustanowi, tak ojciec smutek rozwodził. „Ty widzę, synu! długo żyć nie chcesz, kiedy się tak lada przypadkowi podajesz. Jak tylko wierzysz, że z ręki Boskiej wychodzi wszystko; na kogóż narzekać będziesz? albo kiedy narzekania, choćby największe, szkodę komu powróciły? Z drugiej strony: Opatrzność o każdem swojem myśli stworzeniu. Zwierzowi drapieżnemu wyznaczyła cząstkę między bydlętami naszemi; i nie na to stworzonym jest, żeby głodem morzony był. Niżeli człowiek ugłaskał rodzaj koński, i pochlebnemi naprzód uwodząc go sposobami, zdradliwie potem do ciężkiej zaprzągł pracy; co rozumiesz? jak wiele przedtem wieków upłynęło, że konie bez przeszkody pod wilków były panowaniem? a to im prawo Bóg i natura w sercu ich napisała. Rozsądźże teraz miedzy wilkiem i człowiekiem, a pamiętaj nadewszystko, żebyś usprawiedliwił Boga i naturę.“

Stanęli nakoniec w mieście, w którem żywności dostać spodziewali się; ale tam zastali surowy zakaz sprzedawania zboża, a to dla bojaźni głodu, którym także groził niedostatek. Dla tego, potrzeba było wiele jeszcze przyczynić drogi i wydatku, niżeli nareszcie przyszli do miasta, gdzie kupić można było.

Długą podróżą wycieńczeni, i niepomiarkowaną ceną zagadnieni, przedawszy sprzęty, i obrachowawszy resztę pieniędzy, znaleźli się w niedostatku, że ledwie kupione za to wszystko zboże na domy ich wystarczyć mogło. W tym ciężkim stanie, oddaleni od swoich, bez przyjaciela i znajomego, (bo tam już nie słynęły cnoty Almanzora), byli przymuszeni z żalem powracać z próżnemi rękoma do domu swego, kiedy Rustan mówić zaczął: „Ojcze mój! pamiętam nauki twoje; i widziałem, z jaką przychylnością byłeś o dobro bliźnich. Na cóżbym żył na świecie, gdybym się nie starał naśladować ciebie?.. jestem młody, zdam się do pracy. Znajdziesz łatwo w tem mieście pana

jakiego, który mnie w niewolą kupi. Za te pieniądze dostaniesz zboża; a powrót twój do domu ożywi tyle ludzi umierających. Ja tylko na wolności mojej tracę; a jakeś mnie nauczał, potrzeba życie nawet samo ofiarować dla życia bliźniego mego. Nie będzie komu płakać za mną w domu naszym; (na coby ci patrzeć za przykro było) matka stara już umarła. Ani ja w zaprzedaniu mojem będę się mógł smucić, zawsze sobie przypominając, że współobywatele moi żyją wdzięczni ojcu mojemu.“

Łzy się rzuciły z oczu Almanzorowi, które i smutek nad utratą tak dobrego syna, i radość nad wielkością cnoty jego wycisnęły. „Tak jest, synu! tak (mówił Almanzor, łkaniem przerywając słowa), z pociechą patrzy niebo na ofiarę twoję. Bronić ci tego nie mogę; chociażbym cię nie chciał tracić z oczu, póki jeszcze cokolwiek temi słabemi oczyma widzę. Mnie lata zrobiły niezdatnym do niczego, że ci teraz tylko zazdrościć muszę. Bądźże wiernym panu, który ci się trafi. Jeżeli ci się co przykrego od niego zdarzy, znoś zawsze skromnie, i w bojaźni, jak niewolnik. Pokorą go uspokoisz, pokorą miłość sobie u niego zjednasz. Nie oszukuj go w pracy twojej; a w słowie twojem bąć rzetelny i stateczny.

Piękny z oblicza Rustan, i w samym kwiecie rzeźwej młodości, znalazł prędko na siebie kupca; znaczne pieniądze odrachowano Almanzorowi, z umową, ażeby, jeżeli syna uwolnić zechce, po trzech leciech oddane były: inaczej wiecznym zostanie u pana swego niewolnikiem.

Dobrze opatrzony w zboże Almanzor powracał do domu; kiedy z daleka współobywatele, poznawszy wozy dobroczyńcy swego, tłumami przeciwko niemu wyszli. Już się im przebrało było podzielone równo między nich pożywienie; i matki często wysyłały dzieci swoje na gór wierzchołki wyglądać powrotu Almanzora. Idźcie (mówiły), on tam w polu, jeszcze nie dojeżdżając, chleb wam rozdawać będzie: jego pożegnania, i najpierwsze z nami powitania, były zawsze dobroczynne. Ale długo powracały do domu dzieci spłakane,

niżeli przyszedł nakoniec dzień obfitości i pociechy powszechnej, którą płacz żalu i wdzięczności pomięszał, kiedy się dowiedzieli, jak się dla nich wspaniale Rustan ofiarował.

Żniwo przyszłe było plenne, i następujące lata urodzajne zrobiły taniość w kraju; z tąd poszła trudność przygotowania się na wykupienie Rustana. Kiedy już blisko następował czas odwożenia pieniędzy: przyjaciół swoich zastał Almanzor, albo w niedostatku, albo niewdzięcznych. Już i minęła pora umówiona; strapiony ojciec wreszcie odważył się jechać po syna, chociaż znacznej jeszcze części pieniędzy nie miał. Chciał na miejscu jego zostać, a syn uwolniony prędzejby się o resztę postarał. Ale ciężka choroba zatrzymała go w domu, którą nieznośny frasunek i praca wielka w tak późnym wieku sprowadziły. Czekał na łożku ód dawna śmierci, niczem niepocieszony starzec. Stracił i oczy, których nie żałował, straciwszy (jak mówił) Rustana, i nie mając już na co patrzyć na ziemi, kiedy nagle, jeden już tylko pozostały z sług jego, a wiernie go w chorobie pilnujący, o powrocie Rustana znać mu daje. Porwał się jeszcze z łóżka umierający Almanzor, i zdało mu się z radości, że na nogach stojąc z synem się swoim przywita. Ale w tem nadszedł Rustan: nie-wstawaj, mówił, ojcze, ty widzę słabym jesteś! o jakże to pociechę moję mięsza. „Ja, synu! nie widzę, rzekł Almanzor; ale poznaję głos twój. Rustanie, synu mój! ja cię podobno krótko i słyszeć będę. Powiedz mi rychło, jakim sposobem wyszédłeś z niewoli twojej, bo się obawiam, ażebyś ucieczką pana twego nie zdradził.“

Nie, ojcze mój! odpowiedział Rustan. Jam szedł zawsze za napomnieniem twojem. W pracy, którą mi naznaczono, bylem pilny; a co mi czasu nadto zbywało, pomagałem inszym niewolnikom słabszym i wolniej robiącym; chcąc ich przez to od kary uchronić, i niedawać przyczyny do zagniewania pana. Nigdy nikogo nie oszukałem, i nikt mnie o nic nie strofował. Uważał wszystkie kroki pan mój, i poznałem to, że miał przywiązanie do mnie. Kiedy przyszedł czas wykupu

mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać, zawołał mnie do siebie, i tyle mi tylko powiedział: „Pieniędzy nie masz; czas wyszedł; znasz opis: już moim jesteś.“ Prawda, że wtenczas zapłakałem, wspomniawszy sobie, że już na wieki domu mojego nie zobaczę; nie wiedziałem, jak blisko mnie było szczęście moje.

Pan mój pierwszy raz obaczywszy łzy moje, niemógł się dłużej utrzymać z dobremi dla mnie myślami swojemi, przycisnął mnie do siebie, i sam ocierał łzy moje. „Ty, powiada, Rustanie! lepszego losu wart jesteś. Zal ci zapewne domu, i będziesz go widział! Przecięż cię inaczej od siebie wypuścić nie chcę, tylko żebym wraz z ojcem twoim równe mógł mieć do ciebie prawo. Mam córkę, która będzie bogatą; z tobą Rustanie, będzie i szczęśliwą. Jedź do ojca; powieź mu odemnie dary; proś o błogosławieństwo. Niech się tu sprowadzi do mnie, albo ja pojadę ze wszystkiem do was mieszkać w tym domu szczęśliwym, gdzie razem i cnota mieszka.“

Almanzor, zaczął błogosławić syna — i już to ostatnie słowa jego były, bo wkrótce potem na ręku Rustana skonał.

PRZYKŁAD
RELIGII.

Słońce się miało ku zachodowi, kiedy Polidor, chcący zażyć wieczornej chwili, ponad brzegiem morskim w kilku przyjaciół przechodził się, i do córki swojej dziesięcioletniej, którą za rękę prowadził, tak mówić zaczął: „Dziecię moje, posąg ten Neptuna, który na tym wzgórku widzisz, i któremu się lud bałwochwalny, jako Bogu, kłania, szczerym tylko kamieniem jest; próżno na twarz przed nim padając, wśród gorących modlitw zimne jego liżą nogi, bo on z natury swojej, i głuchy i nieczuły. Ale ani księżyc, ani to słońce, (chociażby najbardziej ludzi zaślepiać mogło) Bogiem jest. Klimeno! patrz, jak się schyla ku zachodowi, i to znaczy niedostatek jego, że chcąc oświecić drugą połowę ziemi, dla nas mu już światła nie staje. Potrzeba, żeby Bóg był przytomnym wszędzie i zawsze; widzącym wszędzie i zawsze; widzącym wszystko bez zasłony, dostarczającym bez ujmy sobie; wszechmocnym bez wsparcia, i wielkim bez miary."

„Jeden tylko jest Bóg, ani więcej ich być nie mogło. On wolą swoją wyprowadził z niczego wszyst-

ko, co widzisz, żadna zaś rzecz sama siebie stworzyć nie mogła, boby musiała być pierwej przed sobą. On z drobnych proszków pozbijał te twarde kruszce i skały, i z nich insze ręka człowieka na ozdobę, albo wygodę jaką, insze zaś (wielorakie im postaci dając) na różne w bałwochwalstwie posągi obrócila; z których reszty po pod nogi nasze walając się, świadczą o podłym ich początku. On rusza te fale morza; i brzeg po którym chodzimy, położył mu za granicę. Kwiatami obsypał ziemię, i zrobił dla żywnosci stworzenia swego urodzajną. W głębokości powietrza pozawieszał gwiazdy swoje; inszym zaś bieg naznaczył, którego jednostajnie pilnują. A na ziemi prowadzi człowieka za rękę, środkiem tysiąca niebezpieczeństw, które go otaczają."

„Klimeno! gdzie tylko spojrzysz, on wszędzie jest, widzieć go możesz w tym równym rządzie świata; w tobie samej, i w twojem dalszem powodzeniu widzieć go bedziesz. On często umartwieniem pociąga do siebie ludzi; ale On dobry ojciec jest, nie długo martwi dzieci swoje. Przecięż chroń się złego, bo On jest sprawiedliwy; przenika myśli twoje, i nigdy nie karze bez przyczyny. Trzymaj Go się statecznie, a bądź Mu wierna."

Jeszcze coś chciał mówić Pollidor, kiedy niespodziewanie od zbójców morskich obskoczeni, wszyscy razem zabrani i na okręt zaprowadzeni byli: Zmrok, który nadchodził, powiększał okropność ich przypadku, za którym nastąpiła i rozpacz, kiedy z umykającym się śpieszno okrętem ginął przed oczyma brzeg ich, z którym się na wieki żegnali. Klimena przestraszona pod poly ojca tuląc się, tak go w spólnem umartwieniu cieszyła. Kiedyśmy po nad brzeg morski chodzili, Bóg widział nas równie, jak i tych zbójców, on nas pozwolił porwać. On nic nie robi, ani nie karze nikogo bez przyczyny; ale też, jak dobry ojciec, nie długo martwi dzieci swoje. Wielką to było pociechą dla Polidora słyszeć tyle z ust dziecięcia swego wtenczas, kiedy nawet przyjaciele ciężkim smutkiem przyciśnieni, w kącie okrętu wzdychając, i sobie i jemu radźić nie

mogli. Ale oczywista nędza, która ich trapiła, i myśl gorzka, która im więcej jeszcze nieszczęścia obiecywała, osłabiały prędko pociechę tę; a rozum, poradny w swobodzie, jedna przygoda zrobiła dla nich nieużytecznym.

Stanęli nakoniec u brzegu nieznajomego, który im żywszy wystawił obraz niewoli przyszłej. Oto już podobno ta jest ziemia nieszczęśliwości naszych! zawołał Polidor: Ojczyzno moja, jakżeś mi dzisiaj słodka; dogodziłó się przeznaczeniu memu: nie umrę w domu moim, i nie obaczę na wieki ziemi, w której mi się jedynaczka moja Kulmena urodziła.“

Tymczasem łodzie, które podpłynęły, przeprowadziły na brzeg rzeczy, i niewolnika; gdzie zaraz za cenę umówioną kupieni, i panu swemu oddani byli. Wszystkiego był dostatek wielki, co do wygody ich należeć mogło; jeden tylko zakaz nie wychodzenia za obejście domu i ogrodu, całą był ich niewolą tak dalece, że z czasem przyzwyczaiwszy się do życia tego, Klimena zaczęła być spokojniejszą, i tak do ojca mówiła: „Nie zapomniał widzę Bóg o nas, dając nam pana z sercem litośnem. Bo aźń sama była udręczeniem naszem, a istotnego złego jeszcze nie doznaliśmy. Jestem teraz zupełnie spokojna! (powtarzała to po kilkakroć całując w ręce ojca swego), zupełnie jestem spokojna z tobą.“

Ale Polidor westchnąwszy, odpowiedział: „Dziecię moje, nie ufaj nigdy fortunie, choćby cię najbardziej upewniła. Bardzo często pokazuje ona ludziom niby grunt mocny, na którymby się śmiało oparli, ażeby potem tem cięższy nastąpił ich upadek. Ty nie wiesz, co to był za człowiek dziad twój? Bogactwa jego daleko słynęły, a zazdrość i przypadek nie mogły mu zaszkodzić nigdy. Ja dobrze pamiętam, jak ze wszystkich stron przychodził dostatek w dom jego; a za nim, (jak zwyczajnie bywa) przyjaciół mnóstwo zrobiło go możnym w okolicy. Drzwi jego, otwarte dla każdego, zjednały mu powszechnie imie dobroczynnego. A co bardziej jeszcze zdało się upewniać mu stateczność szczęścia tego, że dziad twój zbierał zawsze poczciwie, a z tego bliźniemu swemu w potrzebie, na nic się nie

oglądając, udzielał hojnie. Nikogo w kupnie, albo przedaży nie oszukał; nikogo w danem słowie niezawiódł; był wiernym Bogu, i bliźniemu.“

„Otóż nakoniec ogień i woda podzieliły między siebie dostatek jego wtenczas, kiedy nam wszystkim oświadczył, że dla tego tak wielką, bo już ostatnią za morze wyprawę czynił, ażeby potem spokojnie resztę dni swoich kończył. Tej właśnie godziny przyszła nowina rozbicia się ze wszystkiem okrętu jego, kiedyśmy pomiędzy dogorywającemi popiołami spalonego domu naszego, zbierali kawałki naczynia stopionego. Ale Bóg wszystkiem rządzi, i rządzi sprawiedliwie: za te dziada twojego uczynność dla bliźniego, i jego w niczem nieposzlakowane życie, czyliż się był powinien takowego końca spodziewać?“

„Klimeno! dusza nasza nieśmiertelna jest, i nikt darmo cnotliwym nie był. Szczęście albo nieszczęście nie będzie na ziemi nagrodą cnoty: bo tyle razy doświadczamy, że się do końca wiedzie bezbożnym. Żeby tedy Bóg w rządzie swoim sprawiedliwym był: potrzeba, ażeby dusza nieśmiertelną była, i inszą nagrodę, nie tę na świecie skazitelną, odbierała. Wiedział to dobrze dziad twój, przyjął bez narzekania z ręki Boskiej ubóstwo, w którem dni swoich spokojnie dokończył.“

Rok blisko niewoli ich dochodził, a jeszcze pana swojego nie znali; sami tylko posługujący im o hojności i wspaniałości duszy jego wypowiedzieć się nie mogli. Kiedy raz w ogrodzie ojciec z Klimeną zabawiał się, wszedł niespodziewanie Altamor, (to było nazwisko pana ich), i tak mówić pocznie: „Bogowie dali mi dostatek, a ja się nim chętnie dzielę z bliźnim moim. Spodziewam się, że tu wam na niczem nie zbywało. Wdzięczność, którą mi za to mieć powinniście, bogom najpierwej należy; i dla tego, ponieważ wkrótce wielkie ich święto następuje, potrzeba, ażebyście i wy wraz z całem ludem moim, wystawionym w pośrodku miasta bogom się miejscowym pokłonili. Ja, Altamorze! odezwał się Polidor, jedynego wyznaję Boga; Jemu się tylko kłaniam, i Jemu za te łaski, któreśmy w tobie znaleźli, dziękuję. Na to żeś nas

w tych wygodach tak hojnie tuczył, ażebyśmy potem, jak bydlęta od żłobu na rzeź prowadzeni byli? Nie mięszaj, prosimy cię, tej wdzięczności, którą mamy dla ciebie; i pozwól niech w tej wierze spokojnie umieramy, w któryjeśmy się szczęśliwie porodzili. „Ani ty bezkarnie bogów moich szarpać będziesz, mówił Altamor: przez dwa dni jeszcze namyślać się macie: potem was, albo życie spokojne, albo śmierć okrutna czeka.“

Wyszedł z ogrodu i zostawił w sercu Polidora głęboki smutek, w którym utopiony, słowa do swojej Klimeny przemówić nie mógł. Ona zaś tak ojca swego cieszyła: „I czegoż na tej ziemi żałować mamy, jeżeliby umierać przyszło? śmierć nam otworzy szczęśliwe wrota do wieczności, gdzie nas, ani łaska Altamora pocieszy, ani gniew jego zatrwoży. Ale jeszcze... jak powiadają, on jest skłonny do politowania, i coś dobrego sama nawet twarz jego znaczy; wzruszyć go mogą prośby moje. Ja mu powiem, że jeżeli nas zgubić zechce, wierniejszych już sobie niewolników nieznajdzie.“ Klimeno! mówił Polidor, głęboko w sercu leży religia, i nikt jej dotknąć nie może, żeby razem i serca nie dotknął. Nie chcąc się kłaniać bogom jego, będzie to samo pogardą ich; a któżby się nie wzruszył, widząc znieważoną wiarę swoję? Przecięż trzeba nam wyznać prywdę: Boże! którego znam od dziecińa stwa mego, i któryś mnie i nikomu, nic złego nie zrobił, ja się Ciebie wstydzić nie będę.“

Już przyszedł dzień wielki, i wystawione w pośrodku miasta posągi niezmierne tłumy ludu otoczyły, za ołtarzem stosy gotowe na spalenie winowajców czekały, którzy albo za zbrodnie na śmierć osądzeni byli, albo czci bogom oddawać nie chcieli; ażeby tym sposobem nic przeciwnego bogom, uroczystości i ofiary ich nie mazało.

Przybył nakoniec Altamor, na którego tylko czekano, z niewolnikami swemi, a...kiedy się pospólstwo uciszyło, tak do Polidora i towarzyszów jego mówić zaczął: „Nie na tom was tak drogo u zbójców kupił, ażebym kiedy zguby waszej miał pragnąć. Wy do niej

sami upornie ciśniecie się, nie chcąc odstąpić Boga swego, a pokłonić się naszym; jakoby ten mocniejszym był, który was od niewoli teraźniejszej ochronić nie mógł, nad naszych bogów, do których się ziemi dostaliście. Boją się nas sąsiedzi, rodzi nam nad insze kraje plenniejsza ziemia, żyjemy spokojni i szczęśliwi. Dar to jest bogów krajowych, i znak oczywisty, że mocniejsi i łaskawsi są nad inne postronne bogi. Weźcie to kadzidło, które widzicie, i nachyleni przed niemi rzucajcie go na ogień; a potem wybierajcie ziemię do uprawiania, którą chcecie, albo miasto do prowadzenia kupiectwa, które sobie życzyć będziecie. Altamor wam przyrzeka wolność zupełną w kraju, i pomoc we wszystkiem.

Kliton, jeden z towarzyszów Polidora odpowiedział: „Prawdziwy Bóg nasz, tym, którzy go się statecznie trzymają, daje nadgrody nieskończone; a twoi bogowie docześnie tylko, jak mówisz, płacą. Nie chcemy tak marnie mieniać dobra istotnego za omamienie, i szczęścia nieśmiertelnego za roskosz krótką.“ W tem na stos podpalony winowajców kilku wrzucono; Kliton zaś przy wolnym (ogniu) postawiony; ażeby przedłużeniem męki do odmienienia przedsięwzięcia mógł być przymuszonym.

Stało się, jak sobie Altamor życzył, po krótkim czasie zawołał Kliton: Wielcy bogowie Altamora! ja was wyznaję.“ Rozwiązany zaraz do ołtarza przystąpił i razem nieszczęśliwym przykładem swoim resztę zalęknionych towarzyszów za sobą pociągnął. Polidor zasłoniwszy sobie oczy, (bo ani w niebo, ani na Klimenę swoję spojrzeć dla wstydu nie mógł) szedł zwolna ku ołtarzowi za drugiemi; w tenczas, kiedy okrzyk pospólstwa powietrze napełniał. Dał znak Altamor, żeby się uciszono; chcąc Klimenę, która się jedna tylko została, do ofiarowania bogom swoim namówić. Ale ona zaczęła pierwej:

„Wielki Bóg Chrześciański mocen jest w pośrodku ognia dać ochłodę wybranym swoim; albo stateczność, na wytrzymanie męki. Nie rozumiej Altamorze! żeby ustraszyć mogły stosy twoje. Ty nie wiesz, jak za

krótkie ucierpienie dla Chrystusa, hojny jest w nagrodę Bóg nasz. Ani tego życia żałować mogę, które mi odbierasz, dla przyszłego, które mnie wkrótce czeka. Żal mi tylko, że zostawiam na ziemi tych zwiedzionych chrześcian, a między niemi ojca mojego Polidora; że tego Chrystusa, którego po tyle razy przedemną wychwalał, dzisiaj odstąpieniem swojem znieważa. Dawny mój Boże! którego ja nigdy dla nowych nie odstąpię, daruj tę ułomność ojcu mojemu, i wróć mu serce wiernych twoich. Altamorze! chrześcianie krzywdy swoje darować powinni. Tylko o to żal miałam do ciebie, żeś był przyczyną rozdzielenia mnie z ojcem moim, otóż ci i to odpuszczam, i jeszcze w pośrodku ognia prosić za tobą będę, ażebyś, kiedyś oświecony, prawdziwego poznał Boga. Te twoje cnoty, powszechnie znane i chwalone, warte są wiary lepszej."

To kończąc, biegła ochotnie ku ogniowi; ale Polidor, za rękę ją porwawszy: poczekaj, mowił, Klimeno moja! jam z tąbą był zawsze od dzieciństwa twego, i nigdy cię postępek mój nie zawstydził; a ty dzisiaj chwalebnie dla ciebie, ale ze wstydem moim uprzedzasz mnie. Altamorze! ja na wieki wyznaję Boga Klimeny, który ją tak umacnia. Pójdźmy, córko moja! pójdźmy razem na ogień, ja ciebie Boże, i dziecięcia mojego nie odstąpię. Wziął ją na ręce Polidor, a ona płacząc z radości, i za szyję ojca swojego ściskając, wołała: „Altamorze! ojciec mój ze mną jest; już ci nie mam co odpuścić."

Reszta towarzyszów, porzucili także ołtarze, i obstąpili w koło Polidora z Klimeną, Kliton z pomiędzy nich tak mówić zaczął: „Mnie to najpierwej należy pójśdź na stos ten, którym was złym przykładem moim tak ciężko zgorszył. Nie brońcież mi tej sprawiedliwej poprawy mojej! niech w oczach waszych zetrę tę plamę, i pokażę wam drogę prawdziwego chrześcianina, od której odstępstwem mojem dopierom was był odwrócił. Spokojnie umierać będziecie, nie bojąc się już o mnie, który między wami najsłabszy byłem."

Kazał zatrzymać wszystkich Altamor, i przystąpiwszy do Polidora, wziął z rąk jego na ręce swoje

Klimenę, i tak do zgromadzenia całego mówił: „Czegóż zapomnieni płaczecie wszyscy? oto już w tych łzach waszych oddaliście ofiarę Bogu Chrześciańskiemu. Co ze mnie jest: odtąd innego Boga znać nie chcę, tylko tego, którego Klimena wyznała, i który przez nię tak do mnie mocno mówi, że mu się oprzeć nie mogę. Żyjcie szczęśliwi chrześcianie! ja bratem waszym jestem. Spodziewam się, że mi zawsze wiernymi będziecie, kiedyście Bogu waszemu wierni byli. Nauczajcie ludu mojego tej dobrej wiary; a dzień dzisiejszy niechaj się odtąd nazywa dniem tryumfu Chrystusowego.“

PRZYWARY.

Milton, załamując ręce nad nieszczęśliwością ojczyzny, przeklina sąsiadów, którzy ją przyciskają; żalem przejęty, że wiele objadów nie jadł, i nocy bezsennych strawił. Ale w sprawach, które mu naród powierzał, przedał sumienie, rozumiejąc, że za zgryzoty patryotyczne spokojność kupi.

Szczęśliwy, Polidor, zdaje mu się, że wszystko najlepiej zrobił. Bawi go muzyka jego, i tęsknego gościa nudzi nią ustawicznie. Czyta potem pisma swoje często zastanawiając się, ażeby dał czas zasmakowania słodyczy urojonych. Jeżeli ciąg ukontentowania przedłuża życie, Polidor wszystkich przeżyć powinien, kiedy każdego w obcowaniu swojem utrapi, sam zawsze kontent.

Tyrymak, prorokuje; wszystko on przepowiedział. Do każdego zdarzenia przydaje: „Nie mówiłżem dawno, że tak będzie, a wierzyć mi (powiada) nie chciano.“ Nigdy mu wierzyć nie będą, bo zawsze po skończonej rzeczy, do proroctwa się dopiero przyznał.

Euryal, przesadza w tem wszystkich, cokolwiek za pieniądze kupić można. Gdyby się rozum kupował, Euryal byłby pewnie najrozumniejszy.

Kleon obaczył kometę, i drży cały z bojaźni. Wojna, powiada, już była, ale to pan, któryś z naszych republikantów zapewne, umrze; jakby to astra zatrudniały się śmiercią mizernego człowieka.

Roland, nie zna tego słowa „nie wiem“ we wszystkie się dyskurca mięsza, i wszystkie pozwiedzał kraje. Przenosi państwa z miejsca na miejsce, a czasem za dobrej drogi lądem bywał z Europy w Ameryce.

Krantor, oddalony od interesów, któremi rządzić nie umiał, uważa z pilnością błędy następców swoich. W głowie mu się to nie mieści, jak mogą rządzić, nie znając się na aspektach niebieskich.

Kliton, nie dba, że się narazi, byleby prawdę wyznał. W swym niedostatku prosi bogacza o łaskę, i razem przydaje, że on wie dobrze co to nędza, bo z niej sam niedawno wyszedł.

Gwido, z każdego dyskursu coś do przodków swoich przytoczył; gani czasy teraźniejsze, i żyć chciałby w czasie ojców swoich. Nie idź próżno do nich Gwidonie, zapewne się do ciebie nie przyznają.

Medon, nic sam nigdy nie widział, ani słyszał, za każdym dyskursem swoim w posiedzeniu świadczy się przytomnymi, chociażby mu byli nieznajomi. Medon wyszedł z posiedzenia, a świadkowie powiedzieli, że jak jego pierwszy raz widzą tak i pierwszy raz tę powieść słyszą.

Nizus, w swych dyskursach nieskończony; ale co mówił przed tygodniem, znowu porządkiem powtarzać zaczął. Zdaje się, że Nizus żył tylko tydzień na świecie.

Menander, pogardza wszystkiemi, co swój tylko rodowity język umieją: przecięż Menander tylko z językiem, a ci z głową chodzą.

Linus śpiewał aryą fawórytę, a niektórzy w bliskości coś cicho mówić zaczęli; Linus rozgniewał się i przestał. Zrobiło to skutki fatalne, bo się księżyc w kilka dni potem zaćmił.

Dydym, rozsadza jak zechce planety po powietrzu. Kiedy jest w dobrym humorze, przyczyni na milion mil sfery Saturna, o której łasce Saturnus i nie wie, bo Dydym lubi dobrze czynić w skrytości.

Fanor wszystkie dyskursa do swego konia nakręca, jego gniadosz chodziwy zaraz po dzieciach jego następuje, a po nim dopiero przyjaciół kładzie. Zostawmy Fanora między końmi, a szukajmy przyjaźni ludzkiej.

Zożym wszystko złe w domu popełnia, a w kościele głośne sobie za to wycina policzki. Wielość świąt w tygodniu poznać mu można na mniej, lub więcej nabrzmiałej gębie.

Lidon zawsze się na swoję poczciwość zaklina; ustawicznem zażywaniem już by ją zedrzeć powinien. Prawdziwa poczciwość w sercu się ukrywać lubi, niedowierza piękności swojej, i zawstydzi się, kiedy się pokazać musi; równie jak w czystych kochaniach wspomniana miłość, niewinną kochankę zarumieni.

O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA.

LIST DO ROZYNY. *)

Co mi to za szczęście na ziemi? po tyle razy powtarzałaś Rozyno. Życie podległe chorobom, piękność odmianie, bogactwa utraceniu, sława uszczerbkowi, przyjaźń obłudzie i miłość niestateczności. Naprzykrzone zimna, albo upały, zbyteczne słoty, albo posuchy, wiatry i grady wyniszczają pożytki roli, i życie człowieka nudnością zarażają. Wstrzęsła się ziemia, i pogrążyły się w jej rozwalinach miasta z obywatelami ([1]). Wylały gwałtowne wody, i ludne niegdyś pozatapiały prowincye [2]). Góry wyrzuciły ognie swoje, i po tylu upłynionych wiekach dobywamy dzisiaj z popiołów miasta pozasypywane [3]). Nadeszła wojna, i połowę w kraju wyniszczywszy mieszkańców, resztę w ostatniej nędzy zostawiła. Głód i powietrze, jakoby zmówiwszy się z sobą, ubiegają się o lepszą, któreby z nich więcej rodzajowi ludzkiemu złego uczynić mogło ([4]). Niebo samo zdaje się nienawidzić ziemi opuszczonej, kiedy

*) Rozynie już lat dwadzieścia minęło, lubi historyą, przytaczanie świadectw pisarzów dawnych, i rozumowanie o wszystkiem; dla tego tak dla wieku jej, jako dla smaku w wiadomościach dziejów i autorów, albo się w tym liście czasem śmielej tłumaczyło; albo może za często przytaczać historyą i pisarzów dawnych pozwoliliśmy sobie.

przysyła z góry pioruny swoje, ażeby wyniszczyły na niej istność żyjącą, albo w perzynę obracały jej budowle. A co równie jeszcze jest nieznośna, gdy zaraz od początku świata mocniejszy statecznie słabszego uciemięża; cóż mi to za szczęście na ziemi?

Takeś często narzekała Rozyno, że między tysiącem dróg, które cię zawsze do smutku prowadziły, zaniedbałaś ścieżki jednej niepozornej, bo rzadki się na niej trafił przechodzień, ale ona prosto do prawdy wiodła.

Ktokolwiek w myśli bóstwo wystawił sobie, dobroć razem wystawić musi, takto jest nierozdzielną tej wiecznej istoty własnością. Jakżeby się to z dobrocią Boga pogodzić mogło, żeby natworzywszy tyle niewinnego stworzenia, chciał je mieć na ziemi nieszczęśliwemi? Bóg jest dobry; oto najsprawiedliwszy wniosek: toć i szczęście być powinno na świecie.

Rozyno! w rzeczach najokropniejszych znajdziesz szczęśliwość, jeżeli jej tylko szukać zechcesz. Śmierć (powiadają) ze wszystkiego złego jest największe, a przecież słyszałaś, że tylu, jak najpierwszego szczęścia, żądało śmierci, co cierpiąc długo, już się pomordowali. Nawet, jeżeli w obszerniejszem rozumieniu szczęśliwość brać będziesz, wszystko co tylko widzisz, w pewnym sposobie wzięte, jest szczęśliwe.

Być w karbie, być w miejscu, w którem rzecz jaką natura mieć chciała, jest być w stanie własnym, w stanie niegwałtownym, a zatem, jest być szczęśliwym. Póki dąb okazałością swoją zaszczycał puszczę całą, póki ptaszyna swobodnie po powietrzu latała, póki róża swojej trzymała się gałązki, powiedzieć można, że były szczęśliwemi; ale jak tylko gwałtowna siekiera dąb od korzenia rozdzieliła; swywolny chłopiec chytrze zakradłszy się ptaszynę złowił; a różę od swojej oderwano gałązki; dąb, ptak i róża stały się nieszczęśliwemi.

Ale ten czyżyk zielony,
Rozyny ręką pieszczony,

Co na jej barkach siaduje,
Co przy jej piersiach nocuje,
Nic go od niej nie odstraszy,
Ani zwabi naród ptaszy;
Niewoli swej zapomina,
Kiedy go lubi Rozyna.
Ani ta róża rumiana,
Białą twą ręką zerwana,
Gdy ci na łonie usiędzie,
Nieszczęśliwą zwać się będzie.
Bo choć życia postradała,
Wpośród roskoszy zemdlała.

To prawda; że opatrzność rozsypując po ziemi szczęście, i każdemu stworzeniu pewną jego miarę wyznaczając, czasem go albo utaić umyślnie chciała, żeby goręcej szukane, większą po znalezieniu roskosz przynosiło; albo (kto zgadnie na jaki koniec) niewidomego jakiegoś wroga przełożyła, któryby wszystkie ziemi obiegając zakąty, szczęśliwości nasze czasem goryczą zaprawiał; a czasem ledwieśmy ich cokolwiek zakosztowali, nieubłagany wydzierał. I ztąd to poszło, że gdybyśmy istotnego szczęścia na ziemi nie czuli i nie widzieli, ledwieby nam przyznać nie było potrzeba, że szczęźliwość, podobna do nocy ciemnej, żadną z siebie istotą nie jest; kiedy noc, na szczególnem tylko uchyleniu się promieni słońca, szczęśliwość zaś na oddaleniu się, wpadających na nas zewsząd przeciwności polegałaby (5). Ale jest szczęście istotne Rozyno, kiedy się nieszczęściu opierać może, chociaż ten tylko szczęśliwym będzie, kto mniej ucierpiał, i to szczęśliwością, co mocniej niezliczone życia przykrości słodzi, albo odpycha.

Tak uważana szczęśliwość jaśniej się jeszcze określi, kiedy ją nazwiemy: posiadaniem bez przeszkody dobra ulubionego.

Ludzi myślących o szczęściu czworaki jest rodzaj: Duchownych, pospolitych, polityków i filozofów. Pierwsi, ponieważ z niziny ziemskiej, aż do wysokości niebios podnoszą nas, a my o człowieku na ziemi, nie

stosując go tym czasem do życia przyszłego, mówić chcemy; dla tego szczęśliwość tamta, jako porównania żadnego nie mająca, do zamiaru naszego należeć nie będzie.

Lud pospolity za szczęście kładzie dostatek, i nie przeniknąwszy tysiącznych zgryzot, które w pośrodku nocy budzą bogacza niespokojnego, to rozumie najpożądańszem, czego mu najmniejszą cząstkę Opatrzność udzieliła.

Politycy, to szczęśliwością nazywają, kiedy każdy, składający powszechność, dosyć swojemu zamiarowi uczyni, i wzajemnie powszechność sprawiedliwie mu się wypłaca.

Ale filozofowie rozumiejąc, że do najskrytszych serca zakątów, (gdzie jest stolica szczęścia) przeniknąć umieli, z większem zapewnieniem zdają się nam do niego ścieżkę pokazywać, gdyby w różności zdań swoich na tysiącznych rozpierając się dowodach, nie osłabili w nas tego dowierzania, które odkryta prawda, a sprzeczek nigdy nie lubiąca, ciągnąć za sobą zwykła. Insi z nich, po drodze nas cnoty prowadząc, natrafiające się mimo chodem przypadki skarżyć się nawet zabraniają. I chociaż na twarzy ich ślady bolu, który im wewnętrznie dokucza, wyraźnie postrzegamy, chociaż i my sami w przygodzie tyleż przykrości czujemy; przecięż oni i nas i siebie w jednem cnoty posiadaniu szczęśliwemi nazywają (6).

Insi rozkosz za szczęśliwość człowieka założywszy, dogodzenie zmysłom największem na ziemi dobrem powiadają—i... żeby ją pod piękniejszą postacią naśladowcom swoim wystawili, cnoty nawet same pod wyraz roskoszy podsunęli, jako sprawujące słodycz posiadającemu (7). Insi zdrowie, spokojność wewnętrzną, i dostatek według potrzeby, za nagrodę najpierwszych człowieka zabiegów położyli (8); jak gdyby zdrowie szczęściem nazywać się mogło; spokojność istotą jakąś szczególną, a niepowszechną była; i potrzebny dostatek nie był dorobkiem ciała zdrowego i rozumu. Te, i tym podobne mówiących o szczęściu filozofów zdania, albo są nadto wyszukane, albo z ciężkością do każdego

z osobna człowieka przystósowane, albo (co gruntem jest naszej uwagi) słabiej trafiające się człowiekowi w życiu przypadki odpychają.

Szczęśliwości! dobro najpożądańsze! i gdzież cię szukać mamy? Czyli ty się głęboko we wnętrznościach bogatej ziemi ukrywasz? zkąd krwawym potem miliona ludzi dostana, póty mnie nasycić i uszczęśliwić nie możesz, póki drugi równy mi człowiek nie ucierpiał? Czyli, przez dalekie morza środkiem tysiąca niebezpieczeństw płynąć za tobą potrzeba, gdzie fortunną jakąś za stolicę sobie obrawszy wyspę, pierwej się rozbijać muszę, niżeli na jednej słabej desce wyratowany, pożądanego się twego brzegu dochwycę? Czyli ty, porzuciwszy spokojność i wygody, pomiędzy rozhukanym żołnierzem w krwawej potrzebie zamięszana, z wieńcem sławy wojennej zupełną rozdajesz rozkosz? I będzie mi potrzeba po tysiącach trupów do ciebie się przedzierać, matkom spłakanym z łona wydzierać dzieci, i budowne miasta zapalać? żeby o mnie kiedyś powiedziano: „Upokorzył całą okolicę, i był postrachem sąsiadowi.“ Czyli nakoniec zawistna dobra swojego, w odludnej ukrywasz się pustyni? A tam, ażeby ci zwierz nawet dziki posiadania roskoszy twojej nie przeszkadzał, nie przebytą ogrodzona zasieką, samemu tylko niebu się ukontentowania swego zwierzasz? Spokojna, żeś się uchronić mogła od oka zazdrościwego!

Rozyno! nie szukaj daleko szczęśliwości! ona jest w tobie samej. Bóstwo dobroczynne widząc człowieka niezachowującego miary i wyboru w napoju i pokarmie, a ztąd wpadającego w choroby ciała, zaraz przy nogach jego zasadziło skuteczne zioła, któremiby się, daleko nie chodząc, w słabości swojej poratował; a na przytrafiające się w życiu przykrości nie dałoby w duszy samej lekarstwa? nie dałoby w sercu siły jakiejś, któraby się mocniej napadającemu nieszczęściu zastawić mogła?

Tak jest Rozyno! ja sam widziałem szczęśliwość twoję; kiedy z pośrodka serca, gdzie sobie zwyczajną założyła stolicę, cząstkę rozkoszy uroniwszy, najpiękniejsze oczy twoje słodyczą zaprawiała. Przecież ty jeszcze szczęśliwą nazywać się nie możesz, bo po-

dobno nie wiedząc o skarbie, który się w tobie ukrył, w pośrodku bogactw jesteś najuboższą.

Miłość, której wieki dawne wystawiały ołtarze i zapalały kadzidła, a której dobroczynnością my dzisiaj żyjemy, i rodzaj ludzki po nas utrzymywać się będzie, nie stosując człowieka do życia przyszłego, ale w szczególnem rozumieniu, jak jest człowiekiem na ziemi, miłość jego jedyną będzie szczęśliwością.

Nie wspominając miłości powagą ksiąg pisma w pieśniach nad pieśniami uświęconej, gdzie czuły oblubieniec zdaje się nie żyć, tylko życiem oblubienicy swojej; gdzie wyrazy istotne zdają się nie znać tego, czego my dzisiaj, fałszywym wstydem obwinąwszy, wyrażać nie chcemy gdzie, mówiąc bez określenia o naturze, jaka jest w sobie samej bardziej ją zapewne szanowano, niżeli my: u których grzechem nazwiska jej przyzwoite wymawiać, a smutnym zwyczajem pogwałcać ją; poganie dawni śmielej o miłości pisali i mówili. Czytać w życiach wielkich ludzi Grecyi Dyogenesa Laercyusza (9) zdaje się tam, że wstydzili się tego tylko wymawiać, co robiło krzywdę popełniającemu; gdzie zaś o wyrażenie chodziło natury samej, wstyd każdy za niewczesny sądzili.

Miłość porządna ubóstwiona w osobach Wenery i Kupidyna, złem tylko tłumaczeniem sobie ludu pospolitego zrobiła się naganną w starożytności, a w rzeczy samej była potrzebnie natenczas w religią wciągnioną ustawą, dla większego rozmnożenia się ludu, a ztąd potęgi rodu greckiego. Gorszą nas dzisiaj tłumne po rynkach w pewnych dniach roku kobiet egiptskich obchody; gdzie nie myślą rozpusty jakiej, ale poczczenia matki natury z uszanowaniem obnoszono jej posagi. Przecięż to w tym Egipcie działo się, którego rządy w niczem nienaganione mogły być prawidłem dla ziemi całej; którego rządy, i dzisiaj zachowane, uszczęśliwiłyby zapewne narody uciśnione, gdy przez zepsucie nasze do zachowania prawie nie były niepodobnemi.

Lud rzymski, który światu całemu panować umiał, inaczej myślił o miłości, kiedy ją w rozległych swoich prowincyach wszystkiemi sposobami wspierać i zachę-

cać starał się: bo chciały tego narody dawne, ażeby co powszechne, i każdemu z osobna uszczęśliwienie przynosiło, to, jako obrządek jaki zachowane było.

Ale niżeli naznaczymy, dla czego miłość największem człowieka jest uszczęśliwieniem: pierwej obaczmy, czemu zdrowie, dostatek, spokojność umysłu, i cnota nawet sama, chociaż koniecznie w towarzystwie potrzebna, takiem być nie mogą uszczęśliwieniem?

Gdyby człowiek z rodziców zdrowych spłodzony, opatrznie potem pielęgnowany i żywiony, miarę pewną i wybór zdrowych pokarmów statecznie zachowywał, a namiętności swoje bacznie miarkował, zdaje się, że zdrowym byłby zapewne: bo z tych źródeł zarażonych wszystkich słabości naszych początki wypływają. Jakim tedy sposobem zdrowie szczęśliwością nazwać będziemy mogli, kiedy utrzymanie jego w naszej jedynie jest mocy, kiedy utrata jego naszą jedynie jest winą? Utrzymywanie zaś zdrowia nie jest żadnem szczęściem człowieka, ale tylko pilnością jego; bo szczęśliwość, z samego znaczenia słowa tego, wyrażać zdaje się traf tylko dobry.

Myśleć jeszcze skądinąd można: że to nie będzie szczęśliwością, czego nie czujemy posiadając go. Aufidyusz nie wspomniał, co to jest za dobro mieć oczy zdrowe; jak oślepł, mawiał: „Wolałbym oczy moje, niżeli wszystkie dostatki ziemi.“ Zapadł ktoś w ciężką chorobę, i dopiero rozpamiętywa słodycz zdrowia. Cóż mi tedy za szczęście będzie, którego ja nie czuję, chyba mi co przypomni o niem? My zaś takiego dla człowieka szukamy uszczęśliwienia, któreby wszystkie dni jego słodką napełniało czułością.

Bogactwo! ślepe ty bóstwo! które równie przybliżających się do ciebie oślepiasz, któż ci wysokie szczęśliwości nazwisko przyzna? Kto powie? że na tem drogiem wezgłowiu skłoniona głowa, i próżno uciekającego snu wołająca, szczęśliwszą jest, niżeli owego pod cieniem drzewa spoczywającego wieśniaka, który przestając na małem, między igrającemi wkoło niego dziećmi spokojnie zasnął.

Lukullus w pośrodku roskosznych ogrodów swoich

tęskny chodzi; Rzym wielki zdaje mu się pustynią, i nie znajduje, ktoby go w nudności jego rozerwał; ani go sława przeszła ucieszy, zdarte z tyranów Azyi łupy zabawiają; Lukullus przed końcem życia swojego zdaje się, że już dawno nie żyje! Między wielością pokarmów, które na stoły jego lasy i morza dostarczają, prawie do wszystkich smak stracił... i żazdrości obaczonemu na łące pasterzowi, który bez trosków i starania, zwyczajnym tylko żywiony chlebem, wesoło swojej Korynnie śpiewa! A kiedy zapewne są ludzie w pomiernym stanie od największych bogaczów szczęśliwszymi, toć już bogactwa najwyższą na ziemi szczęśliwością nie będą.

Ci, którzy spokojność umysłu na czele inszych szczęśliwości położyli, potrzebnych zaniedbali rachunków, jak wielorakie rzeczy do złożenia jej schodzićby się powinny; a tym sposobem wiele bardzo tłumacząc, zdają się nic nie naznaczać. Za tysiącznemi okolicznościami, pewnym sposobem powiązanemi, spokojność taka następowaćby powinna, które, ponieważ połączonemi być mają, małe z nich jakie, nieostrożnie zerwane ogniwo, całyby łańcuch szczęśliwości zepsuło. Nam, nie tak słabego potrzeba szczęścia, jakiego miękki szukał Sybaryta, którego jedno zapianie kura całą zachwiało szczęśliwością.

My, chcąc człowieka szczęśliwym zrobić, chcemy go jak można najlepiej uzbroić, ażeby (ile możności) przychodzący ze strony pocisk nie znalazł miejsca, gdzieby go pożył. Ani zdaje się, ażeby wiele rzeczy razem prawdziwa szczęśliwość potrzebować mogła, bo to samo między mnóstwem ciągnącego się dobra rozerwanie, robiąc człowieka zatrudnionym, nie wiedząc do którego bardziej przylgnąćby powinien, jużby go tem samem mniej szczęśliwym uczyniło ([10]).

Ale najmocniej na nas następować zdają się, którzy cnotę za największą szczęśliwość zakładają. Ona (mówią) człowieka w nieszczęściu pocieszyła, w szczęściu nie podniosła, *) we wszystkich przygodach życia jednakim uczyniła (tak), że Arystyd nieznajomemu Ateńczykowi sam przeciwko sobie na wygnanie kreskę napi-

*) Do pychy nie podniosła. W.

sał, a Sokrat podaną truciznę wypił nie strwożony. Wojenna burza miasta budowne od gruntu wzrusza; w tenczas, kiedy tysiąc razem głosów tłuszczy bojaźliwej zmięszanych z jęczeniem śmierci całe napełniły powietrze, człowiek cnotliwy, z pomiędzy gruzów dobywając się, ani po sobie przestrachu jakiego, (który poziome pochyla dusze) dał poznać, ani zuchwale ciężkością przypadku wzgardził. Bogaty sobą samym, nie boi się kradzieży żadnej, bo skarb swój w pośrodku serca schował... a stojąc na brzegu bezpiecznym, z politowaniem na towarzyszów drogi swojej pogląda, którzy, niebacznie wodą puściwszy się, bez sposobu poratowania toną.

Lecz zastanówmy się trochę, rozważając co to jest cnota? a dopiero, sądźmy o szczęściu cnotliwego.

Gdyby były słodkie związki towarzystwa rozrzuconych po lasach ludzi nie zgromadziły, i przy tem tylko, w samotnośności, zostałby każdy, co nie żaden układ, ale wrodzona natury skłonność dla wsparcia słabej płci białej, i ratunku dzieci niedołężnych w sercu zaszczepiła; jak wiele cnót upadaćby musiało, które społeczeństwo człowieka z człowiekiem wprowadziło? A przecięż, tak...od sposobów pełnienia cnoty oddalonego, od szczęśliwości razem oddalić człowieka nie moglibyśmy: bo bóstwo dobrym dla każdego stworzenia jest ojcem; i szczęście na ziemi, takim nieba darem byćby powinno, do któregoby udziału każdy z osobna człowiek samotnie, albo w społeczeństwie żyjący, należeć mógł ([11]).

Przeczyć nie można, że cnota w towarzystwie szczęściem jest powszechności; nad wszystko powinna być szukaną; ale niechaj... kto już między ludźmi, będzie najcnotliwszym, (mimo wszystkie gadania Stoików), twarda przygoda, chociaż powierzchownie człowieka cnotliwego niby nam spokojniejszym pokaże, trudu jednak wewnętrznego, który kazi serca szczęśliwość, nigdy od niego nie oddali. Czemuż to Katonie sprawiedliwy wnętrzności swoje rozdzierasz? Tak będąc cnotliwym, jużbyś być powinien najszczęśliwszym! Wszakże zamach,

który na Rzym wolny burzliwy Cezar uczynił, cnoty ci twojej nie wydziera: Ty przecię życie, ten dar najsłodszy dla człowieka, sobie odbierasz? A tym srogim razem, upadając dobrowolnie pod ciężarem nieszczęścia, którego unieść nie mogłeś, siebie i cnotę twoję poniżasz!.. Brutus, równy z Katonem miłośnik cnoty, będąc porażony: „Fraszka (powiedział) cnota, dla której tyle czyniłem, i próżne ma tylko nazwisko." Jakoby mówić chciał; nie idzie za cnotą szczęście, której, chociaż już wszystko poświęciłeś, jeszcze być możesz nieszczęśliwym.

W myśli teraz wystaw sobie, Rozyno! miłość uśmiechającą się do całego żyjącego stworzenia; miłość przybraną wdziękami, w które ją natura stosownie do każdego rodzaju przystroiła. Ona, w pośrodku nieprzebytych pustyń Azyi południowej słonia ogromnego, kiedy, chłodu od upałów słońca szukając, w głębokie lasy zapuścił się, nieznajomemi ścieżkami do swojej samicy wiodąc, miłym rozpala ogniem.

Kiedy lew srogi, porwany zapędem dzikim krwi chciwy ryknie, głosem przeraźliwym zasięgnione w okolicy zwierzęta w przestrachu na ziemię padną; jeżeli przypadkiem lwica przeciwko niemu nadeszła, zapomniawszy głodu i wrodzonej dzikości, pieszczotą daleko od niego mocniejszą zatrzymany, na czas jakiś pierwszemu zwierzęciu, które miał pożrzeć, życia przedłuży. Miłość, w pośrodku głębizny zimnych wód północnego oceanu, tę, niby dom jaki, pływającą massę, rozgrzewa wieloryba. On, silnym szybem miotany, rzutem jednym długi ciąg wody przebijając, między tysiącem mil obłąkaną kochankę swoję znalazł, niezmiernym ogonem wody morskie daleko odrzucił, i wartą miłości swojej, któraby mu ród jego wielki rozmnożyła, przyjął samicę.

Gad, po gorących Afryki piaskach czołgający się, tak deleko naturą i postacią różny, miłości podlega prawom, i ten w żyłach ich krwi przebieg, który najcięższe upały słońca zwiększyć nie mogą, miłość mocniejszym swoim ruszając ogniem gwałtowniej między; co potem syczeniem, albo przeraźliwym piskiem jadowita wydając gadzina, podobnego sobie rodzaju przy-

wabia parę. Kret ślepy w pośrodku ciemnej ziemi miłości szuka; a ptak powietrzny, kiedy ciepła nastała wiosna, w każdem ją piórku czuje... że bujnego orła, równie jak drobnego kolibra swoja samica uwięziła.

Ziemne robactwo, tak niezliczonemi podzielone rodzajami, kosztuje także tej słodyczy, i dąży za tą skłonnością, którą natura wszystkim rzeczom żyjącym wlała, pomnożenia rodzaju swego, że od największego z pomiędzy zwierząt słonia, aż do najdrobniejszego między robactwem mola, a od tego, aż do owych przez szkła tylko, i to jeszcze ledwie dojrzanych stworzeń żyjących, względem których znowu mól drobny (porównanie wielkości czyniąc), jak słoniem jest; wszystkie te niepoliczone ziemi istoty za głosem miłości, którą opatrzność jedynym do utrzymania ich środkiem mieć chciała, posłuszne naturze ochotnie idą. Ale przystąpmy już do człowieka.

Rozyno! gdybyś wiedziała,
Kiedy miłość zapalała
Niewinnych kochanków dwoje,
Niewinnych, jak oczy twoje;

Naprzód, były powtórzone,
Często, spojrzenia kradzione,
I tego najpilniej strzegli,
By się oczyma nie zbiegli.

Ale gdy ich ufność zdradzi,
I oczy razem sprowadzi,
Oboje w ziemię spojrzeli,
Wstydem rumianym spłonęli.

Zaraz się wzajem porzucą,
I znowu zaraz powrócą,
Zarówno i on, i ona
Najsłodszym ogniem palona.

Już śmielej na się spojrzeli,
Już bliżej siebie stanęli.
I co oczy umówiły,
Wierne ich dłonie stwierdziły.

Dopiero prędkiemi posły
Gdy oczy sercom doniosły,
Reszta zmysłów odstępuje,
A samo czucie panuje.

Wzrok chybia, język nie gada,
Miłość mocna milczeć rada.
Wyrzec: kocham, kto mógł śmiele,
Jeszcze ten kochał niewiele.

Potem, gdy tej pary miłej
Usta się wzajem zbliżyły,
I przez najczulsze ściśnienia
Dusza się na duszę mienia...

Cóż wtenczas zrówna na ziemi
Z ich roskoszami słodkiemi?
Królowie! jak dla nich mała
Szczęśliwość wasza i chwała!

Kiedy już wiedziałaś to, Rozyno, jak zdrowie, bogactwa, spokojność umysłu, i cnota nawet sama, chociaż koniecznie ludziom potrzebna, największem człowieka uszczęśliwieniem nie będą, że słabo trafiające się nam w życiu przykrości odpychają; obaczmy teraz, jak miłość nad to wszystko mocniejsza, jeżeli za sercem połączonem z rozumem pójdzie; jak miłość, najszczerzej do uszczęśliwienia się człowieka przykłada.

Gdyby kto miłość w powszechnem brać chciał rozumieniu, bez żadnej sprzeczki każdyby pozwolił na to, że ponieważ wszystko, o co tylko człowiek na ziemi ubiega się, dla tego od niego szukane, że mu jest miłe; wniesienie byłoby najjaśniejsze: że miłość jedynem jest człowieka uszczęśliwieniem. Ale tak nadto powszechnie wzięta szczęśliwość, chcąc razem niepoliczone rzeczy ogarnąć, nic nam pewnego nie naznacza. Ani o tej miłości mowa tu będzie, która nieporadzona od rozumu, za samej tylko zwierzęcej skłonności zapędem poszła: bo ponieważ z jej natury jest, żeby gwałtowną była, a gwałtowności znowu własnością niestateczność, niktby prawdziwem takiego szczęścia nie

nazwał, które mnie na to momentalną poi słodyczą, ażebym tego potem gorzką, a często powtarzaną koleją odżałował.

Ani jeszcze o miłości takiej myślimy, ktora pozwoliwszy rozpuścić cuglów, tysiąc razem celów sobie zakłada; i szukając w odmienionej coraz inszej rozkoszy zaspokojenia, nigdzie go stałego nie znajdzie; bo prawdziwa szczęśliwość, kiedy na części dzieloną być nie powinna, z wielu rzeczy od siebie różnych składać się nie mogąc, tem dalej od niej uchyla się, im bardziej miłość takowa w zabiegach swoich wszędzie na niespokojność i wyniszczenie swoje sama napada.

Ani nakoniec ta miłość będzie uszczęśliwieniem, która — na ustawiczne skazana wzdychania, wolnym trawiona ogniem — do prawdziwej nieszczęśliwości podobniejsza! która, czyli nieśmiałością, czyli przeszkodami nieprzejrzanemi zatrzymana, kochanków nieszczęśliwych, w pośrodku owej w myśli tylko samej zgotowanej uczty najroskoszniejszej, gorzkiemi napawa łzami. Ale ta miłość największem na ziemi człowieka jest uszczęśliwieniem, która (jako się już wspomniało), istotnem dobra ulubionego bez przeszkody będzie posiadaniem ([12]).

Małżeństwa święte!... Osoby, które myśl jedna i serce wzajemnie skłonne zjednoczyło, zdrowie wam! życie wam! Gdzie się kiedy na ziemi wróg taki znalazł, któryby (byle was od siebie nie rozłączał), mógł wasze szczęście obalić? Niech się wam niebo całe chmurą zasunie, i słońce o was zapomni; wy, sobą samemi napełnieni, z pogardą na wszystko poglądacie, cokolwiek mimo przechodząca niesie niepogoda.

Czegoż ten wieśniak odartą przyodziany siermięgą, obiadem nędznym, i to jeszcze nie do sytości pożywiony, wesoło śpiewa? Szczęśliwa miłość najgrubszą mu strawę słodyczą przyprawiła. Czego ten żebrak na ramionach niesie żonę przegniłą? On mówi, że się do ciężaru przyzwyczaił, a powonienie, żyjąc z nią od dawna stracił; a to pewniej, że miłość z nim razem brzemię mu niosła, i zgnilizną około niego powietrze zarażone wonnością ozionęła. Bianka Capello, ty z kobiet swego

wieku najpiękniejsza! Za cóż to bogaty i zacny dom ojca twego porzucasz, a przywiązując się do jednego sprawnika Salwiattych, na niepogody morskie i niebezpieczne przeprawy Appeninu życie narażasz? Kiedyżeś szczęśliwszą nazwać się mogła? czyli na bogatym Medyceusza zasiadłszy tronie, gdzie się przed tobą tyle tysięcy poddanego ludu korzyło; czyli w ubogiej zamknionachatce, oddalona od miasta i ludzi, ale z miłym ci Piotrem Bonawenturi żyjąca? ([13]).

Bogactwa, godności, i cnota nawet sama, nie tak blisko się do natury ludzkiej przysuwają: bo to, co z zepsuciem albo z społeczeństwem ludzkiem urosło, nigdy tak miłem dla człowieka nie będzie, jak to, co sobie sam w sercu swojem na świat rodząc się przyniósł. Dla tego szczęście to, któreby najmocniej sercu się przymiliło, ale razem i rozum do spółki z niem przypuściło, będzie zapewne szczęściem największem.

Od dzieciństwa zaraz z miłością oswoiwszy się, wszędzie ją potem nosimy z sobą. W niemowlęcych latach ona jeszcze nie pewna, albo za potrzebą nieodbitą pożywienia do matki przylgnie, albo do marnych jakich przywięzuje się bawideł. W wieku dziecinnym rówienników swoich wybiera, i koniecznie do czegoś przywięzując się, potrzebę niejaką kochania oznacza. W latach młodzieńskich niewinna Kloe sama nie może zgadnąć: co w niej tę niespokojność sprawuje? Krew, przestrzeżona od miłości o porze swojej, z większą nad zwyczaj gwałtownością przebieg swój czyniąc, czasem jej twarz całą zarumieni, a czasem...z pomiędzy żyłek zaskórnych wewnątrz i na ratunek sercu niospokojnemu biegnąc, bladą ją całą zostawi.

Toż samo i z młodym dzieje się Filonem, który próżno za zwierzem po lasach biega, próżno w domu z towarzyszami swoimi wielorakie wymyśla rozrywki: miłość mu do serca szepce ustawicznie, której głosu jeszcze nie rozumiejąc, przed nieznajomą tą jakąś niespokojnością wszędzie ucieka, która mu wszędzie zabiega drogę. W wieku zaś dalszym, chociaż zdawać się będzie, że nad kim obca jakowa skłonność panuje, nigdy jednak z serca człowieka miłość zupełnie wyrugować

nie potrafi (tak), że nie tylko wojenny Cezar swojej poddaje się Kleopatrze (14), ale nawet ów Cynik Diogenes pokazując się niby nie lubić kobiet, (jak wszystko wspak ludziom robił)—postrzegły wszelako po nim Ateny, że myślił o kobiecie.

Prawdziwa filozofia nigdy tą największą natury doskonałością nie pogardza, ale owszem zawsze ją szanować winna; i ów jeden podobno między dawniejszymi szczery filozof Sokrates, jak miłości podległym był, sam o sobie powiada: „Oparłem ramie moje o ramie jéj, przychyliłem głowę moję do głowy, i czytaliśmy książkę; uczułem razem w ramieniu mojem niby ukąszenia jakoweś, i więcej, niż przez dni pięć swędzenie trwało, które razem i serce czuło."

Ten, wierny cnoty i natury tłumacz, wyrazem takim każdemu zapewne człowiekowi traf podobny przypomina, jak miłość do serca z słodyczą wkradać się umie; i razem nas swoim nauczać zdaje się przykładem, że co tak w naturze jest umyślne, przeciwko temu zuchwale walczyć nie należy. Jakoż, ktoby na miłość gadał, niewart on, żeby się był na świat narodził, kiedy tak początek istności swojej szpeci, kiedy tak najmocniejszy ten sposób osłodzenia człowiekowi na ziemi losu gorzkiego wydziera.

Stanisławie! którego cnoty szacunek mojej dla ciebie czynią przyjaźni! Ja się w domu twoim, co to jest miłość szczęśliwa nauczyłem. Niewinne ubóstwo wstydu nikomu nie zrobiło, bo grzechem nie jest: dla tego nie wstydząc się, sam mi ten piękny życia twojego przypadek powiadałeś. Dobre urodzenie równie jak i cnotliwej Anny twojej, nie zawsze z dostatkiem chodzi: dla tego w młodym wieku pobrawszy się z szczególnego tylko przywiązania, potrzeba było od głodu ginąć, gdybyś był sam (co ci dla miłości nie przykro było), najcięższą rąk swoich pracą siebie i kochanki swojej nie żywił. Na całodzienną robotę, na nieznośne upały słońca, w pole wychodząc z rana, mały chleba kawałek, który tylko jeden w ubogim domku miała, na cały ci obiad cnotliwa Anna oddaje.

Kiedy po ciężkiej pracy godzina południa przyszła, (ty to ze wzruszeniem wymawiałeś, czego ja nie umiem na kartę przelać, ażebym równie czytających mnie poruszyć mógł); kiedy ci godzina południa przyszła wspomniawszy, że twoja tam żona najmilsza o głodzie w domu się została; nie chciałeś i spojrzeć na chleb, który ci ona, od gęby swojej odjąwszy, dała, i... na samej wodzie za posiłek cały przestając, resztę dnia uprzykrzonego, między potem czoła i głodem, dokończyłeś.

Powróciwszy wieczorem, twoja cię Anna przed zagrodą domu z uśmiechem wita; a...spytana o obiedzie— już ja (odpowie), z tobą tam razem jadłam. „Och! nie tak (zawołałeś) najmilsza żono! nie wartbym nigdy chleba kawałka, gdybym cię kiedy bez niego zostawić chciał. Oto masz ten sam chleb, który mi dałaś, oto ci go nietykany przyniosłem. „Między serdecznem, a często powtarzanem uściśnieniem, słodkiemi łzami...chleb zlany przełamawszy na dwoje, szczera wam miłość wieczerzą dała, nad którą (jak mówisz) dotychczas lepszej nie jadłeś, chociaż dziś u stołu twego i obcy i domownik do smaku i sytości pożywiony. A wtenczas, kiedy syn miły umarł, który już wam w starości rękę podawał, rozpaczającą matkę kilką słowami zaspokajasz: Bóg nam (mówiłeś) odebrał syna, ale mnie ciebie jeszcze zostawił.“ Jedno drugiemu zaraz łzy z oczu ocieraliście, po których uśmiech miłości nastąpił, miłości tej, która wam codzień zdaje się nowa, chociaż razem tak jest dawna.

Rozyno! mój przyjaciel kocha się, i żyje najszczęśliwszy; żadnego przypadku nie miał, któregoby mu (jak mówi) miłość nie osłodziła. Oswoił się niejako z nieszczęściami, i pod ich ciężar śmielej podsuwa ramie, bo już doświadczył, że go nie z takim gwałtem, jak inszych, gniotą. Wszystkim tedy przygodom oprzeć się można, kochając się, ale też i wszystko niemiłe jest, osobę ukochaną straciwszy. Wielki ów Soliman, po swojej Roxolanie do śmierci tęskny, kilka jeszcze lat po niej życia uprzykrzonego przepędził, w których ani go chwała nad wszystkich poprzedników swoich

większa nie rozweseliła, ani okrzyki wesołe Carogrodu bawiły.

Kiedy mu admirał jego, po zniesieniu flot chrześciańskich, tryumfy na morzu czyni, (on) podobniejszy do posągu jakiego siedział zasępiony; i zdało się, jakby nie do niego należało szczęście, którego mu poddany niepoliczony winszował, a reszta starego (całego?) świata zazdrościła. Jezyd drugi, Kalifa Muzułmanów, po śmierci kochanki swojej, przez dni kilkanaście przy trupie bez pocieszenia płacząc, z żalu umiera. Tysiąc mil kraju najpiękniejszego, który posiadał, miliony ludu, które skinieniem swojem zniżał albo podnosił, wszystkie te tak wielkie zyski przy życiu go utrzymać nie mogły; i kiedy tak dla kochanki swej nie pocieszony niczem Jezyd umiera, wnosić można, jak był szczęśliwy przy niej.

Bo komuż proszę, życie byłoby miłe... utraciwszy to, co szczerze kochał? Ale też, kto ostatniem przyciśniony nieszczęściem, w zapale pierwszym, chcąc sobie życie odebrać, jeżeli go miłej kochanki ręka, albo wspomnienie zatrzymywało, kto kiedy zabił się dobrowolnie ([15])?

Osoby! szczerą miłością kochające się, jeżeli przypadkiem to pismo moje czytać będziecie, wy w duszy waszej te myśli moje potwierdzicie! Wam jedna miłość za wszystko stanie, cokolwiek insi za największą w życiu zakładają szczęśliwość. Macie spokojność umysłu, bo kiedy nic szczęściu waszemu wyrównać nie potrafi, nie możecie być tak bardzo tróskliwymi o szczęścia niższe; i... jako owa wysoko nad ziemię wzniesiona twierdza, pogardzacie, albo przynajmniej okiem niezatrwożonem poglądacie, na upadające przy nogach waszych złego losu pociski.

Macie zdrowie czerstwiejsze: bo nie do zbytku, ale z umiarkowaniem za skłonnością natury idąc, dogadzając potrzebie jej, zdrowiu razem swemu dogadzacie, które wam, wspomniona wyżej spokojność duszy, jeszcze nierównie mocniej zabezpiecza. Macie majątek zawsze dostateczny, bo dziedziczycie dobro do-

skonałe, na którem dosyć jest człowiekowi. I kiedy ten tylko, co kontent ze swego, prawdziwie jest bogatym: wy macie majątek wielki. A ponieważ, jak w przyjaźni, tak i w prawdziwej miłości, same tylko cnotliwe osoby szczerze kochać się mogą (16), toć... jednę miłość posiadając, razem spokojność duszy, zdrowie, skarby i cnotę posiadacie.

Nie tak jeszcze miłość, o której mówimy samolubna jest, ażeby... tylko między osobami w szczególności wziętemi zostawszy się, największych razem dla powszechności nie przynosiła pożytków. Rzućmy okiem na ziemię całą, i rozrzucone po niej stworzenia niezliczone; na głos miłości, narody ludźmi, lasy zwierzem, powietrze ptastwem, wody rybami napełnione; i gdyby... przez niepodobieństwo, na lat kilkadziesiąt miłość w naturze zaginąć mogła, jakaż wszędzie pustynia!

Ale mówmy o samych tylko ludziach, i o rzeczach, jak są w istocie swojej. Zaludnienie kraju zapewne szczęściem największem jest narodów: kiedy to widocznie postrzegamy, że tam, gdzie większa panuje ludność, rola jest uprawniejsza, przemysł ludzki wyżej postąpił, słodycz obcowania łatwiejsza, i związki przyjaźni prędsze; a to wszystko dla częstszego człowieka z człowiekiem zdybywania się, albo ze wspólnej potrzeby przyszło.

Te tak wielkie dla społeczeństwa pożytki, to zaludnienie, które jest najpierwszą potęgą kraju, z ręki miłości narody odbierają (17). Jakoż zaczyna to poznawać lepiej oświeceńsza dzisiaj Europa, i zapewne, gdyby się powrócić chcieli, w żadnym swym kącie nie cierpiałaby owych Esseneńczyków, o których wspomina Pliniusz: „Naród jeden, (mowi on) w całym świecie nad inne dziwniejszy, bez żadnej kobiety codzień z tłumu przychodniów rozmnaża się, których los w życiu uprzykrzonem, do sposobu obyczajów ich zapędza. I tak, przez tysiąc lat naród ten uwiecznił się, w którym się nikt nigdy nie urodził.“

Z pomiędzy zaludnionych szczęśliwą miłością krajów, nieprzyjaciele ci natury wydarłszy się, nędzne osobno składali tłumy, i że jedynymi tylko na całej zie-

mi byli, nie tak nadto nieszczęśliwe za sobą skutki pociągnęli. Ale pomyślmy sobie: gdyby też jak Esseńieńczykowie, którzy ze swojej strony starali się być ludźmi cnotliwymi; gdyby też jak oni, za tym sposobem myślenia i insze narody poszły: te piękne miasta i prowincye—jakże prędko niby zaraźliwem jakiem wymorzone byłyby powietrzem, które dziś miłość dobroczynna szczęśliwym mieszkańcem napełniła.

Płeć wasza, gładka Rozyno,
Jeszcze być może jedyną
Obywatelstwa podnietą,
Pięknej miłości zaletą.

Wy, które swemi wdziękami
Tak panujecie nad nami,
Że wszystko, na co skazany,
Mężczyzna pełni poddany...

Obyście, znając swe siły,
Kochanków swych prowadziły,
Prócz słodkiej z wami zabawy,
Drogą honoru i sławy!

Ten, co mu ojczyzna łaje,
Niech waszej wzgardy doznaje,
Niechaj wzdycha pełen głodu;
Wy! dla kochanków narodu;

Niech próżno przy was nie klęka,
Nie dla niego jest ta ręka,
Ni mu to serce odpowie:—
Kto' swego nie dał krajowi.

Wam śmiało mówić... kto zbroni:
Co kogo wstydem zapłoni,
Coby kogo poprawiało,
Kto wam zbroni mówić śmiało?

I was ojczyzna strapiona
Wzywa z nieszczęść swoich łona;

I ty biegnij do zawodu
Piękna połowo narodu!

Próżno to mamy wywodzić:
Grunt nasz lauru nie chce rodzić!
Okrył pola oset płowy,
Gdzie kiedyś las był laurowy.

Może waszą ręką siany,
Ten krzew, narodom żądany,
Niepłodność swoję odmieni,
I u nas się zazieleni.

Wtenczas, przy swojej Temirze
Kleon, wdziewając pancerze,
Powie jej: „Za trud i blizny,
Wysłużę cię u ojczyzny.“

Ona mu broń dając znaną,
Rzecze z twarzą łzami zlaną:
„Nie płaczęć ja na tę drogę,
Lecz że z tobą iść nie mogę.“

Wtenczas z wyprawy wróceni,
Pyłem boju przykurzeni,
U nóg wam złożą swe wieńce
Szczęśliwszej Polski młodzieńce.

Tak miłość robiąc na ziemi
Wszystkich ludzi szczęśliwymi,
Stać się może bez zawodu
Największem szczęściem narodu.

PRZYPISKI

DO LISTU O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA.

---

[1]) Trzęsieniem ziemi za panowania Tyberyusza trzynaście miast znacznych w Azyi zapadło się z obywatelami. Antyochia za Trajana takiegoż doznała losu; a roku 742 po narodzeniu Pańskiem trzęsienie powszechne w Egipcie, i na całym prawie wschodzie, nocy jednej blisko sześćset miast znacznych z mieszkańcem obaliło. Bliżej nas, w roku 1755 Lizbona ledwie nie ze wszystkiem w rozwalinach swoich zagrzebała się; i w tymże czasie Europa prawie cała, i część Afryki toż nieszczęście poczuły; a wielkie miasto Quito w Ameryce, zapadło się. Roku 1783 opłakany stan Kalabryi, i owo jedno z najdawniejszych i najpiękniejszych miast Europy: Messina w Sycylii, ledwie ślady po sobie, gdzie było zostawiwszy, uczą nas, jak człowiek w pośrodku pokoju i szczęścia, które mu się zewsząd uśmiecha, jeszcze na ziemi nie jest bezpiecznym. Złe to, tak mocne na ziemi jest, że pozgładzało na niej najwyższe gory, a na tych miejscach jeziora pootwierało; i domyślać się można, że kiedyś dawniej trzęsienie ziemi, rozdarłszy te skały, gdzie teraz Gibraltar i Ceuta leżą, wpuściło wody Oceanu na piękne niziny, i zalało może najludniejsze na tem miejscu królestwa, gdzie teraz śródziemne morze widzimy. Trzęsienie ziemi... podobno Anglią od Europy, Sycylią od Włoch, Cejlan od Azyi, i inne pobliższe wyspy od ziemi stałej poodłączało. Tak człowiek, wszędzie potężnym usuwając się żywiołom, woła przecię, że jest ich panem.

[2]) Prócz powszechnego potopu świata, o którym w księgach pisma świadectwo mamy, wylania wód i w inszych czasach nieskonczone szkody na ziemi porobiły. Potop Deukaliona całą Tessalią, dawniejszy zaś Ogygesa Attykę i Beocyą zalał. O po-

topie Prometeusza, i zalaniu ze wszystkiem Samotraków, dawniejsi pisarze smutne nam pozostawiali pamiątki. W bliższych nam wiekach wylewy morza zalały tę część Niderlandu między Groeningą i Embden, która się dziś Golfem Dossard nazywa. W roku 1421 cała ta rozległość, która jest między Brabancyą i Holandyą zatopiona. Roku zaś 1783 wyspa Formoza wezbraniem wód morskich wiele tysięcy ludu swego zgubiła.

[3]) Wielka liczba gór, ognie wyrzucających, które znane są we czterech częściach świata, szczęściem jest dla ziemi: bo ognie podziemne, gdyby tych kominów dla wychodu swego nie miały, gdyby i dla wśródziemnego powietrza przelotu tego nie było, siły ognia wewnętrznego utrzymać nie mogąc ziemia, pewnieby się rozedrzeć musiała: która dzisiaj, ustawicznem prawie wybuchaniem tychże ogniów, cała się utrzymuje. W Europie najsławniejsze są wulkany: Etna w Sycylii, Hekla w Islandyi, i Wezuwiusz w Neapolu Etna i Hekla, jak dawno ognie wyrzucać zaczęły, śladu żadndgo nie mamy w historyi; ale o Wezuwiuszu, roku 79 po narodzeniu Pańskiem, kiedy ognie wyzionął, najpierwsze jest wspomnienie, gdzie ciekawy ów natury badacz Pliniusz starszy zginął. Przed tym przypadkiem przy górze tej najpiękniejsze były miasta i winnice Rzymian W teraźniejszych czasach dobyte Herkulanum, a w tamtym czasie pyłem ognistym ze wszystkiem zarzucone, świadczy, jak zamieszkane, jak wspaniałych budowli i drogich osobliwości pełne było. Przed tem wybuchnieniem ognia z Wezuwiusza, żyjący Sylius Halicus i Strabon, wyraźnie mówią, że ta góra najdawniej z siebie ognie wyrzucać miała; co z różnych znaków wnoszono. Toż samo dzisiaj na wielu górach Francyi postrzegają, że kiedyś były Wulkanami. Tak po różnych stronach ziemi ogień podziemny szuka miejsca swojego, żeby się uwolnił. Dwadzieścia kilka razy od tego pierwszego pod Tytusem wybuchania Wezuwiusza, góra ta ognie swoje z największym gwałtem i niebezpieczeństwem okolic wyrzucała.

[4]) Głód, często u nas przyczyną powietrza bywa; ale ten mór niebezpieczniejszym jest, który do nas z Egiptu, albo z Azyi przychodzi—i od dwóch tysięcy lat powietrze, które bywało w Europie, zawsze temi drogami przychodziło. Turcy najczęściej zarywają powietrza od karawan do Mekki; która zaraza u nich nie tak jest szkodliwa, podobno z przyczyny, że nic nadto jej się obawiają dla swojej wiary ślepej w przeznaczenie. U nas w Europie strach ją szkodliwszą robi, jak i wszystkie insze choroby rozpacz i trwoga chorującego powiększa. Zapowietrzonym, jeżeli puls gwałtowny mają, czasem krwi upuszczenie pomaga; pomaga także wiele wody krynicznej pijąc. Dzieje świata czynią wzmiankę o dwojgu powietrzach, między inszemi najstraszniejszych, które ziemię spustoszyły. Jedno przed przyjściem Chrystusa roku 431, drugie po (pod koniec) przyjściu wieku czternastego. Pierwsze przeszło wielką część ziemi, i spustoszyło Grecyą za Artaxerxesa Longimana. Zaczęło się w Etyopii, poszło do Libii, Egiptu, do Judei, Fenicyi, Syryi; przeszło przez całe państwo

Persyi, i napadło Attykę; w którym czasie ratowaniem Greków najwięcej wsławił się Hipokrates. Drugie, nierównie jeszcze gorsze, było w roku po narodzeniu 1346. Powietrze to zaczęło się w Chinach północnych, z jakiegoś waporu ognistego niezmiernie smrodliwego, który wyszedłszy z ziemi, zaraził powietrze całe, i z szybkością niewypowiedzianą dwieście mil kraju chińskiego z mieszkańców ogołocił. Powietrze to przez całą Azyą przeszło, napadło potem Grecyą, z tamtąd Afrykę, a nakoniec Europę, w której, zwłaszcza w stronach północniejszych, chociaż nie tak gwałtowne było, przecięż najmniej dwudziestą część ludzi wyniszczyło

[5]) Ażeby istota jaka była istotą, potrzeba, ażeby ją coś koniecznie postanawiało; i dla tego to noc, albo cień, który widzimy, żadną istotą nie jest: bo zasłoń tylko promienie słońca, i nic więcej nie przydawaj, już sam cień, albo noc z tego zasłonienia nastąpi. W łacińskiem to nazywa się *status negativus:* — a wielu było takich, którzy szczęśliwości nasze na ziemi: w takim stanie być rozumieli; jakoby nieszczęścia istotne były, szczęśliwość zaś nasza, na samem tylko oddaleniu się nieszczęść polegała.

[6]) Mawiali Stoicy, że stałość człowieka wszystko przewyższy, na wszystko być może obojętną; i kiedy łatwiej im było cierpienie duszy ukrywać: ból nawet ciała, ażeby powierzchownemi nie wydać znakami, starali się. Epiktetowi, kiedy pan gruby nogę przełamał, on niby uśmiechający się tyle powiedział: „A nie mówiłżem, że nogę przełamiesz?“—Epiktecie! ty, uporem utrzymując zdanie swoje, o bolu nic nie wspomniałeś, ale sama cię cierpliwa natura wydała, kiedy ci zapewne, wśród uśmiechu twego, tak gwałtowne uderzenie łzy z oczu wyciskało.

[7]) Epikur nie wszystko to myślił i mówił, co o nim myślano i mówiono. Jego roskosz, którą za ostatnie człowieka założył uszczęśliwienie, była, *nie cierpieć;* jego roskosz od cnoty była nierozdzielna. I gdyby to zdanie nadto powszechne nie było, któżby mu się sprzeciwić mógł? Cnota i wszystko, co tylko miłe w zamysłach i duszy jego sprawiało poruszenie, używanie każde rzeczy pożądanej, roskoszą było Epikura. I ja niwiem, za co Plato powszechnie powiedział, że roskosz z boleścią zawsze się łączy... jakoby nas tym sposobem myślenia swego od roskoszy w życiu zupełnie oddalać chciał. Zdaje się, że lepiej stary Cyrus pomyślił: „Od roskoszy (mawiał on) nie dla tego potrzeba unikać, i przyzwyczajać się do pracy, ażeby roskosz porzucić, ale żeby potem większej kosztować roskoszy.“

[8]) Horacyusz, za szczęśliwość człowieka kładzie rozum zdrowy w ciele zdrowem; Alexander Pope spokojność, zdrowie i życie wygodne naznacza; Tales nazywa szczęśliwym zdrowego, bogatego, i rozum mającego; sławny zaś wieku naszego Helwecyusz... na jednym rozumie i wiadomości rzeczy szczęśliwość człowieka zasadza. Dar rozumu, którego cząstkę największą między ziemskiemi stworzeniami ludziom Opatrzność udzielić chciała, jakże często człowieka staje się karą! Jak wiele rzeczy,

poznanych przez rozum, największego naszego umartwienia przyczyną było! Umiera sto razy przed czasem więzień, rozpamiętywając rozumem śmierć srogą, która go czeka; a bydlę na zabicie prowadzone wesoło idzie. Tyle rzeczy, które rozum, daleko zasięgając, widzi najokropniejszemi, człowiek nie tak roztrząsający wszystko, człowiek nie tak rozumny, bez wzruszenia na nie pogląda, i szczęśliwym zapewne jest(tak), że ledwie z Erazmem Rotterdamem (gdyby to nadto nieupodlało szczęścia ludzkiego, i inszych wad swoich nie miało) przyznać nie powinnibyśmy, że szczęśliwości nasze ziemskie bliżej głupstwa, niżeli rozumu leżą.

[9]) Diogenes Laercyusz—który nam życia i zdania wielkich ludzi dawnej Grecyi pozbierał, w życiach Arystyppa, Teofrasta, Stratona, Demetryusza, Platona, Heraklidesa, Kliniasza, Antystena, Kleanta, Chryzyppa i innych— wspomina miłość jak rzecz szanowaną w naturze, i nigdy, chyba tylko samym zbytkiem jej, nienaganną.

[10]) Ci, co spokojność umysłu za największą człowieka szczęśliwość kładą, na jedno wyjdzie, jak gdyby powiedzieli: „Największą człowieka szczęśliwością, jest szczęśliwość.“ Bo jak szczęśliwość w życiu, tak i spokojność umysłu w życiu, są to dwa słowa jednę rzecz znaczące; obadwa zaś, są skutkiem czegoś, nie zaś przyczyną. A nam, naznaczając, jakie być może szczęście człowieka, potrzeba naznaczyć, co się do niego istotnie przyczynia, i co go składa. f

[11]) Jakie, proszę, mieć może cnoty ów głupi w A ryce Hottentot, albo błąkający się ustawicznie po lasach Ameryki środkowej mieszkaniec? Prawo mocniejszego, i dogodzenie sobie, całem jego prawem i cnotą jest. Sprawiedliwość, która jest zasadą cnót inszych, u tych i tym podobnych ludzi nieznana, (bo jak opisują w podróżach swoich ci, którzy z nimi obcowali), za skłonnością do kradzieży bez żadnego zastanowienia się idą. To słowo *obyczaje*, jest słowem społeczeństwa i ćwiczenia, do którego sposobność największą dla pojętniejszego rozumu, i łatwości mową tłumaczenia się, człowiek pokazuje(tak). Ten zaś wyraz *wykonywanie cnoty*, wyciąga koniecznie, ażeby wykonywający cnotę znał to, że ją wykonywa. Biedny Hottentocie, ty nie wiesz, co to jest cnota, i jakby ją tam pełnić potrzeba; bo któżby cię tego nauczył? Ty taką rzeczą—od ojca powszechnego zapomniany, gdyby cnota, (jak mówią) jedyną tylko była szczęśliwością człowieka—nigdybyś szczęśliwym być nie mógł! Och! nie tak bracie mój! Ja...w największem uszczęśliwieniu żyjącego na ziemi stworzenia, i twoje prawdziwe obaczę szczęście! Ale powie kto, że szczęśliwość taką równie i zwierzęta mieć mogą, a tym sposobem człowiek takiem porównaniem upodliłby się. Mimo tego, żeśmy, zwłaszcza w towarzystwach ludzkich, i rozum i cnoty do spółki z miłością przypuścili, a czemuż nie upodla się człowiek, kiedy zwierzęta tylą nas rzeczami przewyższają?

[12]) Szczęśliwości ludzkie na ziemi przez zepsucie nasze nigdy doskonałemi nie będą, i zawsze coś do zupełności ich nie

dostaje, że choćby nie było przypadków inszych, sama bojaźń utracenia tego, co posiadamy, robi nas często w pośrodku szczęścia niespokojnymi. Ale, wybierając miłość szczerą z pomiędzy tak niedoskonałych naszych szczęśliwości, zdaje się, że w przygodzie jakiej naprzykład, ona najmocniej staje przy człowieku, złemu losowi tak opiera się, jak na jej miejscu insze od inzych zakładane, największe ludzkie szczęśliwości, oprzećby się nie mogły.

[13]) Skłonność niewstrzymana Biankę Capello poczciwym ślubem łączy z Piotrem Bonawentury; z którym, lat kilka ukrywając się umyślnie od tłumu ludzi, na odległych przedmieściach Florencyi żyła najszczęśliwsza. Po zabiciu męża, od Medyceusza książęcia Toskanii za żonę wzięta, na królestwo Cypryjskie koronowana, w krótce gwałtowną trucizną wraz z mężem padła; i ledwie, że jej pogrzebu przy kościele pozwolono.

[14]) Miłość, byle umiarkowana była, i na rozpustę nie wyszła, nietylko do waleczności, ale i do inszych spraw najchwalebniejszych bynajmniej nie przeszkadza. Owszem to postrzeżono, że ci, którzy z zimnego jakiego składu swego najmniej do miłości są skłonni, do niczego prawie przydatnymi nie będą. I nie trzeba tak myśleć, ażeby ów, cały wojną tchnący Karol XII. król szwedzki, nigdy miłości nie znał, kiedy jej nigdy po nim niepostrzeżono. Bojąc się zapewne, żeby mu miłość panującej jego passyi wojowania nie nadwątliła, i miarkując, jakby się jej słabo opierać mógł, umyślnie przed nią się chroni; a nie dufając sobie, przed sławną ową natenczas pięknością graffową Koenigsmark, nie chcąc się nawet z nią widzić, ucieka.

[15]) Kiedy kto miał się zabijać dobrowolnie, koniecznie to w sobie mieć musiał przekonanie, że nic już na świecie nie znajdzie, coby go pocieszyć mogło. Ale kto losem szczęśliwym wybrał kobietę, którą nad wszystko, co tylko być może, więcej szacuje: w myśli zgodzić się nie można, jakby się zabijać mógł z pobudek ze strony jakiego przychodzącego nieszczęścia, kiedy spojrzy, albo wspomni na osobę, którą kocha kochany; chybaby w rozpaczy i ona razem z nim ginąć chciała.

[16]) Ponieważ i przyjaźń i miłość szczera cnotami są, a cnoty, jak dobrane jakie poczciwe towarzystwo, razem się z drugiemi znowu cnotami trzymać lubią: toć, jako w przyjaźni, tak i wprawdziwej miłosci same tylko cnotliwe osoby szczerze ko chać się mogą. Osoba, prócz tego, cnotliwa w występnej długo kochaćby się nie mogła: bo kiedy wszystko pod pozorem dobrego lubimy, zbrodnie zaś, pozorem najokazalszym ukryte, długo utaić się nie mogą: więc lepiej sobie przypatrzywszy się, prędkoby się takie miłości, albo przyjaźni zrywać musiały. A dajmy to, że z obudwóch stron niecnotliwi zebraliby się kochankowie, ponieważ znowu zbrodnie z natury swojej są niezgodliwemi, miłość między występnemi długo utrzymaćby się nie mogła. Potrzeba tedy, i tak zapewnie jest, że same tylko cnotliwe osoby szczerze się kochają. I gdyby teraz, (kiedy miłość za

największą człowieka szczęśliwość naznaczamy), kto nam zarzucił, że chcemy tem pismem naszem, ażeby miłość była w każdym człowieku panującą; nie będzie ciężki na nas zarzut takowy; i owszem przyznamy się, że w tem rozumieniu, jaką tu miłość naznaczamy, niech sobie szczęśliwie i panuje nad ludzmi, bo razem z cnotą panować będzie.

[17]) Zaludnienie krajów u dawnych narodów, u Greków i Rzymian, najpierwszą baczność rządu ściągało. Ztąd owa wieków tamtych niezmierna ludność, o której w Herodocie, Dyodorze i Strabonie do zadziwienia czytamy. Może nadto turbował się Montesquieu, że po rachunkach, (które, jakie mógł w takiej rzeczy uczynił), ledwie dziesiątą część ludzi w porównaniu z zaludnieniem dawniejszem, wieku teraźniejszego znalazł...i, że, ponieważ coraz bardziej toż zaludnienie zmniejsza się, za dziesięć wieków najdalej ziemia w bezludną się pustynią odmieni. Wszelako, przeczyć mu nie można, żeby rządy teraźniejsze ziemi zaludnieniu przeciwnemi nie były. Azya i Afryka, pozwalając wielożeństwa, zatrzymała rozmnożenie się ludzi, w tylu marnie po serajach pozamykanych kobietach, i utrzymywanych przy nich eunukach. Zbytek prócz tego, którego sobie tamtych dwóch części świata pozwala mieszkaniec, zagrodą jest zaludnienia. W naszej Europie inny znaleziono sposób przeszkadzania temu największemu uszczęśliwieniu narodów. U nas, prócz inszych wad rządów, nietylko z chorobami, które za sobą ciągnie, ostatnia cierpiana rozpusta; ale wstrzemięźliwość nawet narodu ludzkiego rozmnożeniu przeszkadza. Dawni Persowie z prawa tłumaczonego przez Magów wierzyli, że dla bóstwa najmilsze dzieło człowieka jest: być ojcem dziecięcia, i rolą uprawiać; dla tego Persowie mieli zawsze wyżywienie dostateczne, i zaludnienie największe, dla tego się Persowie tak potężnymi na świecie zrobili. Zaludnienie potęgą największą jest kraju każdego, i w tym stanie, jak dziś Europę widzimy, Francya, rozległości swojej na mil dwieście mająca, około dwudziestu dwóch milionów licząc mieszkańca, choćby różnych (równych?) ludu przywodzców i po inszych królestwach Europy utrzymywano, zawsze ona przemagać będzie, bo zawsze rąk więcej do bronienia się, albo nacierania w domu dostanie. Ale mówmy lepiej o kraju naszym.

Szczęśliwe położenie Polski w powietrzu zdrowem i na gruncie żyznym, więcej nam daleko obiecywało mieszkańców. Co zaś do tego przeszkodziło, i coby błąd ten poprawić mogło? obaczmy. Holandya i Szwajcary, ta na bagnach przegniłych, te między nieużyteeznemi górami osadzone, tak ludnemi są, że, proporcyą ich rozległości do naszej biorąc, Polska przynajmniej drugie ty-'e mieszkańcow, jak teraz ma, miećby powinna; tak wolność, i zabezpieczenie każdemu własności jego zgromadza i rozmnaża ludzi. Zaludnienie krajów najwięcej składa lud pospolity. W narodzie naszym ostatnie uciśnienie wieśniaka, pracą ustawiczną sił jego wyniszczenie, niesposobnym go prawie robi do rozrodzenia się. Przyczynia się do tege, że nie ma zabezpieczenia majątku swego; a tak niedbając o nic, sposobu nawet wyżywie-

nia siebie i dzieci zaniedbywa. Nie ma zdrowego dla siebie pomieszkania, i gorzej, jak gdzieindziej bydlęta, między dymem i gnojem mieszka. Nie ma często potrzebnego do utrzymania życia wyżywienia; i wtenczas, kiedy ładowne statki pańskie na sprzedaż płyną, ubogi wieśniak, który do tego najpierwej należał, bez chleba został, i ze łzami w oczach sam od brzegu swojego zboże, które go żywić miało, odpycha. W pośrodku takich ucisków i nędzy wieśniaka nieszczęśliwego, pan, chciwy zewsząd zysków swoich, w każdej wiosce pod oczyma mu jeszcze karczmy wystawia, gdzie rozpaczającemu prawie wódkę, ten napój najgorętszy, nietylko mu w ręce podaje, ale nawet—po innych miejscach jeszcze pewną jej miarę na biednego poddanego narzuca; do której on zapewne prędko przywyka, bo odbierając mu zmysły, przynajmniej na czas zgryzoty jego umarza. A tak, czego ucisk ostatni, niewygody i głód nie dokończył, tego pijaństwo, wysuszając ze krwią płodności samej zawiązki, nieszczęśliwe dokonywa. Jeżeli zaludnienie w kraju poprawić chcemy, poprawmyż te błędy nasze. Nie podnośmy tak ustawicznie ciężkiej ręki na chłopka biednego, bo on nas rękami swojemi żywi; chciejmy mu się tylko przypatrzyć lepiej, a poznamy, że równym nam jest człowiekiem. Pogodziwszy się tak z tym nieszczęśliwym bliźnim naszym, postąpmy jeszcze dalej. Szczepienie ospy, którego tak skutecznie od czasów najdawniejszych zażywa Azya i Afryka, za co nie ma być aż do wsi naszych wprowadzone? Już tego tyle razy doświadczono, jak wiele zwyczajną ospą dzieci wymiera, a jak bez porównania mniej daleko śmiertelną dla nich jest zaszczepiona: bo w ospie zwyczajnej najmniej dziecię osme umiera, w zaszczepionej zaś najwięcej dwuchsetne zginie Wieśniak w początkach wzdrygnie się może na tę nowość niezwyczajną nad dziećmi swojemi doświadczaną; ale kiedy umiemy być gwałtownemi, gdzie o nasz przypadkowy pożytek chodzi, zacóżbyśmy do tego i przymusić nie mieli, co z takiem własnem ich, i razem r dzaju ludzkiego jest dobrem, a z czasem przyzwyczajeni, jak w Azyi lub Afryce, każda matka zaszczepiałaby ospę dziecięciu swemu. Chcąc zaludnienie kraju powiększyć, otworzmy miasta nasze przechodzącemu cudzoziemcowi; najbardziej jeżeli jest rzemieślnikiem, i chciałby się zabudować, na lat kilkanaście niech wolny od wszystkich ciężarów krajowych będzie... a na zawsze w niczem nieprześladowanym; to potem zamieszkawszy się, samemu już żal będzie domu swojego porzucić. Kiedy rozpusty, i ciągnących się za nią chorób niezliczonych, tak bardzo zaludnieniu szkodliwych zupełnie po miastach zatamować nie można (około czego wszelako wielkiejby baczności potrzeba), starajmy się przynajmniej wczesnem żenieniem pospólstwa uprzedzić ją; i toż samo do wsi naszych, dopomagając i osładzając wczesne małżeństwa, wprowadźmy. Bo przyczyny znaleźć nie można, dla czego Żydzi, ten naród z gorącego klima do nas przyniesiony. tak się, niezmiernie u nas, biorąc porównanie z mieszkańcem tutejszym, rozrodził, tylko że wcześnie, i zaraz jak pora namiętności przy-

chodzi, idąc w tem za ukazem natury samej, która nic próżno nie robi, żenią się. I chociaż po większej części, jak widzimy, w nędzy żyją, przecięż pijaństwa i prac ciężkich nie znając, nie tak zgubili siłę płodności, żeby nią wieśniaków naszych daleko przewyższyć nie mieli.

Religio! ty zawsze święta, ty zawsze matką jesteś! czyli ja jak człowiek w szczególności w ucisku moim do ciebie pójdę! czyli cię towarzystwo jakie, albo naród cały o co się pyta! nikogo od siebie smutnego nie odepchnęłaś Ty stanu bezżennego koniecznie wyciągać nie możesz, bobyś tem samem zniszczenia narodu ludzkiego chciała. Ty nas zachęcasz, błogosławisz i uświęcasz małżeństwa nasze! Niechaj ci tylko, którzy cię dobrze nieznają, smutni w zakątach swoich jęczą, a ja z Mistrzem moim, na przystojne uczty, wesela, i między zgromadzenia ludzi wnijdę, i z nimi bawić się będę.

O RZECZYPOSPOLITEJ.

Multa dies, variusque labor mutabilis aevi
Rettulit in melius. Virgil.

LIST
DO JMCI PANA SZCZĘSNEGO
POTOCKIEGO,
WOJEWODZICA RUSKIEGO.

O szczęściu człowieka w towarzystwie, czyli o Rzeczypospolitej.

Człowiek każdy w rzeczypospolitej szczęśliwym będzie, jeżeli powinnościom swoim względem niej zadosyć uczyni, i jeżeli ona sprawiedliwie mu się zawsze wypłaci.

Stan rycerski i duchowny, kupiec, albo wieśniak, różnemi drogami do jednego miejsca, gdzie jest dobro powszechne, dążyć powinni; jak różnej wielkości i kształtu w zegarze koła na to tylko obracają się, ażeby godzina sprawiedliwie wskazana była. Prawa, nietylko te, które są dobre, ale razem, które i krajowi przyzwoite, wspomnione cztery rodzaje ludzi do końca swojego przywodzić mają; a zwierzchność najwyższa, która praw strzeże, czyli człowiek szczególny od rzeczypospolitej,

czyli ta od każdego z osobna obywatela czego wyciągać będzie, sprawiedliwie z każdym się obejdzie.

Przyszedłeś, Mści Panie Szczęsny, do tej lat twoich pory, kiedy z książek elementarnych do rąk ci podanych nauki potrzebne bierzesz. Ten list mój o szczęściu człowieka w towarzystwie, niech będzie jedną z tych książek, w której, jak powinności twoje względem rzeczypospolitej, tak obowiązki kochania ojczyzny własnej, wcześnie poznawać będziesz. Nie ta to nauka, nie ta, którąby ci głowę utrudzić miała: bo tylko do serca twojego mówić będę. Pójdę z tobą razem na pola, i zbierając kwiaty, co na mogiłach dziadów twoich porosły, rozmawiać będziemy, co to jest być obywatelem w ojczyźnie? a tak o tobie z tobą gadając, obaczyż i to, co w latach twoich teraźniejszych uczynić masz; i to, co w wieku męzkim uczynisz.

Żeby naród miał w przygodzie zdatnych obywatelów, potrzeba, ażeby ich sobie wcześnie do tego przygotował. Wszystkiego, Mści Panie Szczęsny, uczymy się na ziemi. Cnoty moralne, pokazane nam w przykładzie, albo wyrażone w mowie mocnej;cnoty obywalelskie, i sama miłość ojczyzny, wystawiona w obrazie, ile możności wyrównywającym piękności rzeczy wyobrażonej—oto są prawidła, którym się przypatrując, i na człowieka poczciwego, i na obywatela wychodzimy.

Ponieważ w narodzie naszym stan rycerski inszemi stanami rządzi, wiele na tem zależy, i gruntem rzeczy jest, ażeby szlacheckiego dziecięcia ćwiczenie tak zrządzone było, aby wczasie od niego ojczyzna upominając się długu swojego, znalazła go zawsze w stanie wypłacenia się.

Edukacya fizyczna zaraz od lat niemowlęcych powinna zatrudniać rodziców, jako potrzebna koniecznie, ażeby i ci mieli dziecię swoje, ile możności, najzdrowszem, i potem ojczyzna obywatela czerstwym i silnym. Na ten koniec dla dzieci najprzyzwoitsze będą: Pościel twarda, potrawy grubsze, napój o wodzie samej, odzienie z czasem przyciężkie, ręce i nogi wolne, kąpiele w wodzie letniej częste, ręczna robota do upracowania, bieganie na wyścigi z rówiennikami, spanie i jedzenie nie

zawsze regularne, wstawanie zaraz po przebudzeniu się, ubieranie się samemu i prędko, ochędostwo około siebie, odkrywanie czasem głowy na słońce i słoty, przyzwyczajenie do znoszenia zimna i niepogody — i tym podobne zaprawienia ciała do tej twardości, która w latach dalszych przyda się zapewne często do znoszenia trudów, na które człowiek urodził się ([1]).

Kiedy rozum dziecięcia zupełnie rozwinął się, że już samo złe i dobre, ile można, rozeznać umie, a do poznania takiego własnem swojem doświadczeniem, nie zaś długiemi gadaniami przyszło; wtenczas (prócz edukacyi fizycznej, któa nieprzerwanie do lat męzkich utrzymywać się powinna), wtenczas zdaje się być pora dla niego uczenia się tego wszystkiego, co mu w społeczeństwie ludzkiem przydatne będzie.

Sposób ćwiczenia dzieci szlacheckich, być u nas niemoże jednaki, jak w inszych krajach Europy. W państwach absolutnych, gdzie wola jednego jest prawie wolą wszystkich, pozwolić można, żeby zacniejsze dzieci po domach prywatnie edukowały się: bo każde z nich w szczególności monarsze swojemu żyje, a monarcha dopiero tem życiem dla dobra wszystkich szafuje. Nie bywają tam między nimi zgromadzenia powszechne, gdzieby z nich jeden drugiego potrzebował, albo na swoje zdanie przeciągał; ani im zażycie obywatelskie tak dalece przydatne, gdzie swojem poruszeniem nikt nikogo nie rusza, i tylko każdy z kąta swojego na zawołanie czeka, albo się przy zawołanych szykuje. Ale w Rzeczachpospolitych, gdzie obywatel sam może wszystko, i nic nie może bez wszystkich, od pierwszych lat do życia towarzyskiego młodież przyzwyczaić należy. Ztąd zdają się być nawet w Rzeczypospolitej szkodliwemi owe dobrze urodzonych dzieci po domach osobnych ćwiczenia, gdzie żyjąc albo ze służącymi, którzy je pochlebstwem i podłościami w pychę podnoszą; albo ze swoimi, którzy je często pieszczą, a czasem środka prowadzenia ich poznać nie umieją; stają się w miarę pysznemi, pogardzającemi towarzystwo niższych, odludnemi, albo niewieściuchami.

Inszy wcale widok dziecięcia w społeczeństwie między równymi wychowanego. Smielej zawsze z każdym rozmawiać będzie, bo często zaczepiane od ró wienników, zadawać, albo odpowiadać na pytania przyuczyło się; weselej zawsze powinność swoją odbywać będzie, bo słodycz towarzystwa, w którém żyje, zwyczajnie wprawiając go w emulacyą, nie da mu czasu, ażeby czuło to, co ucząc się cierpi, kiedy się zatapia wcześnie w tej pochwale, której się spodziewać może.

Niech do tego nauczyciel, starając się najpierwej, ażeby go uczniowie jego kochali, żeby był zawsze stałym, szczerym, przykładnym i u dzieci poważanym; niech taki nauczyciel dzieci szlacheckich wprawia je wcześnie, ażeby umiały coś wycierpieć i darować rówienikowi. Jeżeli uprzedzić nie mógł, że dziei skłócone pobiły się, niech im to wystawia jak występek największy w społeczeństwie uczciwych; niech w nich to wraża, że jeden drugiemu pewnie kiedyś potrzebnym będzie, a kłócąc się albo bijąc, odrażają się od siebie i tracą przyjaciela, który może mógłby je kiedyś w przygodzie poratować. Niech im okaże smutek swój w przypadku niezgody między niemi, a będzie ..idział z pociechą (bo z gorącą krwią w dzieciach, nagłe w nich można robić odmiany), będzie widział ściskania się ich wzajemne, darowania krzywdy, i przyrzeczenia sobie przyjaźni. Nie lubi z nich jeden drugiego, że się sobie narazili, albo sami nie wiedząc dla czego? Zdarzyć obudwom sposobność, gdzieby się jeden bez drugiego obejść nie mógł, powtórzyć to częściej, a tak z czasem, utrze się droga do zgody między nimi.

Niech nauczyciel pamięta na to, że prawda, cnót wszystkich gruntem; a zatem fałsz, prawdzie przeciwny, niech będzie miany za największy występek. Dawniej w szkołach, gdzie w języku łacińskim zawsze mówić kazano dziecięciu, które po polsku przemówiło, dawano znak pewny, który był cechą kary nieomylnej. Jakże daleko pożyteczniej byłoby, ażeby znaki dziecięciu, które zmyśliło, dawane były, i żeby kary za to nigdy mu nie odpuszczono: kiedy z nałogu do mówienia fałszu tak wiele złego wypływa, ile tylko w towarzy-

stwie z przestępstwa sprawiedliwości, która jest prawdą istotną, trafić się może. Kara zaś nie koniecznie nie szczęśliwym przesądem naszym zaraz ma być na ciele, ale tysiąc pierwej sposobów umartwienia dziecięcia przeszedłszy, cielesna ma być ostatnia.

Jeżeli dusza, ożywiająca ciało, wszystkich spraw ludzkich źródłem jest, zaczóż kary na występnych raczej na duszę ściągnione być nie mają? Za co dziecię wykraczające, gorszące drugich w społeczeństwie, odłączone nie ma być od inszych, i niejako w pogardzie powszechnej zostawione, przekonywać się o występku swoim a takiem jego własnem przekonaniem poprawiać się? Zabronienie mu rozrywek wspólnych, zmniejszenie, albo odmiana potraw, czyli sukień na grubsze, ujęcie mu tego co go najbardziej kiedyś bawiło, brzydzenie się niem i nagana powszechna; mocneż to kary na człowieka, który w naturze swojej czuje skłonność, ażeby był koniecznie w towarzystwie, i który, z powodu miłości własnej, co w człowieku nigdy nie gaśnie, lubi, kiedy pochwalą.

Ale dziecię cnotliwe, dziecię pilne w naukach i pełnieniu swoich obowiązków, wszystko czego przestępnemu zabrania się, niech ma nietylko pozwolone, ale go jeszcze nauczyciel ma kłaśdź na czele przed inszemi. Niech poszanowanie dla niego będzie zazdrością dla drugich; a nadewszystko, niech go chwali publicznie; bo kto cokolwiek serce ludzkie uważał, przyznać musi, że silne zawsze na niem wrażenie pochwała publiczna dana od swojej zwierzchności czyniła.

Niech dzieci, przy inszych naukach, razem się i ekonomii domowej i cnoty uczą; niech poznawają, co to jest nędza albo wygoda, cierpliwość wczesna albo obruszenie się, pokora albo podłość, chwała prawdy, albo fałszu szkaradność. Niech do ostatka dziecię dziecięciu danego słowa dotrzymuje, i nauczyciel z pilnością niech tego dojrzy, ażeby przyrzeczenia dziecinne, byleby niewinne były, zawsze dopełnione zostały. Ale nadewszystko, wrażać im należy religią, żeby ją nietylko pamięcią, ale razem i sercem umiały. Wystawiać im należy Boga widzącego wszystko, cho-

ciaż sam niewidziany, a wniosą sobie, że się ukryć przed nim nie będą mogły, bo on z niemi razem i wszędzie jest. Wystaawiać im Boga, jak dobro najwyższe a potem dopiero sprawiedliwego, tak piękniejsza im uda się cnota przez miłość, niżeli byłaby wymuszona przez bojaźń.

Chociaż każdy dobry obywatel musi bydź razem człowiekiem poczciwym, ale nie każdy poczciwy człowiek jest razem obywatelem. Dla tego nauczyciel przy naukach wyżej wspomnionych, chcąc dać dziecięciu obywatelskie ćwiczenie, niech go razem, (jak wszystkiego) i miłości ojczyzny uczy.

Mości Panie Szczęsny! miłość ojczyzny, to źródło najczystsze szczęścia narodowego! którem kiedyś stary Polak na wszystkie przygody losu orzeźwiony, znosił cierpliwie trudy dla ojczyzny! źródło to, niedolą naszą zarzucone! i pozarastały ściéżki, którémi kiedyś chwalebne dziady twoje do niego przychodzili... Ale szczęśliwy ojciec twój odkrył go świeżo, pokazuje drogę: ciebie, pięknych nadziei dziecię, za rękę na miejsce zaprowadzi, gdzie zapewne więcej od niego nauczysz się, niżeli ja ci wypisać mogę.

Ponieważ wiek dziecinny lubi słuchać powieści zabawnych, albo dzieł jakich znakomitych; miasto bawienia dzieci bajkami niepotrzebnemi, niech nauczyciel albo im czyta, albo im daje do czytania dzieje narodu polskiego. Lepiejby jeszcze zrobił, gdyby unikając rozwlekłości kronik naszych, naczelnych narodu bohatyrów dzieła, z opisaniem miejsca, czasu, i przyczyny potyczek, z wyświeceniem zdatniejszych okoliczności, spraw publicznych, albo prywatnych tych wielkich ludzi, krótko pozbierał, i tego na codzienne czytanie, albo z dziećmi rozmawianie używał.

Niechby uczenie jeografii od Polski zaczął i czytając z dziećmi wspomnioną książkę, zaraz im na karcie odległość miejsc, przeprawy rzek, błota i lasy, którędy nieprzyjaciel, albo bohatyr nasz przechodził, gdzie kto poległ, albo zwyciężył, pokazywał. Dom, w którym się dzieci do nauki zgromadzają, niechby był pełen obrazów wielkich mężów narodu; ażeby dzieci w cza-

sie wolnym, czytając dzieje krajowe, palcem sobie skazywały: „Oto ten Krzyżaków, a ten Turków pogromił; oto ten Maxymiliana, a ten Szujskiego powiązanych prowadził.“ Niechby, jeżeli to być może, w ogrodach samych do przechadzki i zabawy dziecinnej, posągi bohatyrów krajowych postawione, uczyły ich wcześnie, czego po nich kiedyś ojczyzna wyciągać będzie.

Ale wszystkie te powierzchowne pobudki na bardzo mało przydać się mogą, jeżeli pierwej uczniom swoim nauczyciel serca nie utworzy, i tam miłości ojczyzny własnem ichże przekonaniem nie zaszczepi... Niech im tedy najpierwej wytłumaczy: że ojczyzna, jest to mieszkanie i groby ojców naszych wspołeczne; że jest składem chwały, i pobudką do dzieł szlachetnych każdego obywatela; że jest ucieczką w potrzebie, i matką zawsze. A z tego powszechniejszego opisania, niech uczniom widoczniej wyszczególni: że ten chleb, który jedzą, ta suknia, którą się przyodziewają, to imie uczciwe, które noszą, i wolność której używają, wszystko to spadkiem po dziadach swoich od ojczyzny odebrali, wszystko to teraz nie tylko ich własne jest, ale jeszcze i drugim nieporównanych tych imienia i wolności zaszczytów udzielać mogą.

Tak mocne powody kochania ojczyzny swojej za to, co się już z ręki jej wzięło, powiększają się nieskończenie tem jeszcze, czego się w czasie od niej spodziewać możemy. W cudzej krainie człowiekowi, chociaż czasem najniewinniejsze ubostwo, pogardę tylko na niego ściąga; ale w własnej ojczyźnie zaszczyt urodzenia, kiedy go cnota wspomogła, daje równe każdemu prawo posunienia się najwyżej. Jeżeli tedy ubogim jesteś i podźwignąć się żądasz, ofiary cudze zwyczajnieby cię poniżyły; ale dary, które własna ojczyzna dała, są razem wsparciem i chwałą obywatela.

Jeżeli jesteś w dostatku i sławy tylko pragniesz: ten krzew najdroższy na swojej ziemi, na gruncie krajowym i przyjmuje się najlepiej i wzrasta najszczęśliwiej. Za co mi nareszcie stanie, to słodkie w mojej ojczyźnie używanie języka, obyczajów, prawa i wiary wspólnych? Za co mi stanie to bawienie się między po-

krewnemi, między naszemi albo ojców naszych przyjaciołami? To uprawianie niwy przodków dziedzicznej, i pomieszkanie w zagrodzie własnej? a co nawet dzikie narody przywięzuje, te przytomne groby ojców naszych, których krew płynącą w żyłach czujemy, i których się cnotą i chwałą zaszczycamy? (3).

Oto są pobudki kochania ojczyzny własnej, które wrażając w umysły dzieci nauczyciel jako dług jaki w ojcach swoich, i osobach własnych zaciągniony, który tylko poświęceniem się zupełnem dla dobra tejże ojczyzny zapłacony być może. (tak) Niech na tem całego życia dalszego staranie zakładają, nie tylko o to ubiegając się, coby ich własnem, ale razem, coby narodu całego uszczęśliwieniem było; bo takie staranie jest jedynem zabespieczeniem sławy, życia i majątków wszystkich w powszechności obywatelów. Jeżeli się trafi przygoda, niech zgodą szczęśliwą majątek i krew własną nieszczęśliwej ojczyznie ofiarują; niech się jej w najgorszym stanie nie wstydzą, bo ta nieodstępność jest duszą jej, a niedbanie o nię w przygodzie, zgonem.

Niech nie wierzą tym wszystkim, którzy pod pozorem niby miłości powszechnej ludzi... świata obywatelami się nazywają. Oni to sobie samym, nie ludziom dogodzić pragną, gdy, osłabiając przywiązanie swoje do jakiego towarzystwa przez podzielenie go na więcej, żadnego potem zgromadzenia obowiązków nie wypełnią, ażeby, tak wolni, sobie samym tylko żyć mogli. Wszelako, kochać należy ludzi w powszechności, a tak naród każdy jednakie do serca naszego mieć będzie prawo, ale tylko póty, póki nas albo jawną pogardą, albo szkodą rozmyślną nie pokrzywdzi: bo w takim razie, ten, co się nigdy przebłagać nie dał, był zawsze za najcnotliwszego poczytany.

Ale tem bardziej, niech uszy swoje zatykają na głos zwodniczy tych wszystkich, których hasłem: „Gdzie dobrze, tam jest ojczyzna,“ bo utrzymywanie fałszu tego, jak prawdy, samychby tylko włóczęgów namnożyło. A co najgorsza, takim sposobem myślenia osłabiony obywatel w przywiązaniu do kraju swego, przekładając krainę taką, w której żyćby tylko, a umierać za

nię nietrzeba było, nigdy w przygodzie do ratowania swojej ochoczym nie będzie. A tym czasem naród obcy, słabością tak myślących duchów ośmielony, na niegotowych napadłszy: „Ustąpcie, (powie gnuśnym) ta ziemia mi się podoba, a wy o nię nie dbacie.“

Wtenczas te bujne pola, staraniem ojców naszych odkryte i potem ich krwawym skropione, człowiek nieznajomy między drużynę swoję podzieli, i w tych przez nas albo poprzedników naszych powystawianych gmachach, pozrzucawszy z nich znaki imion starożytnych, z cudzem pokoleniem zamieszka. Wtenczas, z siedliska swojego wygnany obywatel, ze łzami na zostawione zagrody swoje oglądając się, próżno po świecie po cudzych kątach poniewierany, schronienia szukać będzie!...Które, chociażby i znalazł, nigdy mu to, nigdy sierocie za jego straconą matkę nie stanie!...

Mości panie. Szczęsny, kiedy przyjdziesz do tej pory szczęśliwej, w której i serce i siły twoje poczujesz, jeżeliby się przypadek zdarzył, ty staniesz twardo na twojej albo bratniej obywatelskiej dzielnicy, i powiesz śmiało napastnikowi; „Oto ta niwa mnie i braci moich wyżywia; a ta mogiła, jest grobem ojców naszych wspólnym; od nich ja życie wziąłem, które mi ta rola utrzymuje. Broniąc obojga, między tą niwą i mogiłą życie położę.“

Niech dziecię szlacheckie wcześnie poznaje, co to jest broń, którą przy boku nosi. Rzeczy najdrobniejsze, jeżeli do nich uroczysty jaki obrządek przyłaczymy, stają się tem samem poważne. Kiedy dziecię do pewnego roku życia swojego przyszło; niechby ojciec jego albo nauczyciel, publicznie mu broń do boku przypasywał, niechby mu ten znak, jak świętą cechę urodzenia i powołania jego, oddawał; a zawsze zwracając się do sławy ojców żelazem nabytej, niechby go do podobnej wcześnie zagrzewał. Noszenia tego znaku szlachectwa jedna tylko ojczyzna pozwolić może; ale pozwala go szczególnie dla siebie samej zażywać. Dla tego w tem dzieci mają być jak najjaśniej oświecone, że w przygodzie tylko ratowania narodu swego broni obywatel dobywać może; na równego zaś sobie oby-

watela z bronią porwanie się ma być za zbrodnią największą poczytane.

Jeżeliby się między dziećmi (które przy broni chodzić będą) przypadek taki trafił: obwiniony rodzajem kary największej poskromiony, albo z pomiędzy towarzystwa rówienników wypędzony zostanie, jako godzący na życie obywatela, z których każdy w szczególności życie powszechne składa. Niechby owszem między uczniami swemi nauczyciel starał się przyjaźń największą utrzymywać, wiedząc o tem, jak dobre zażycie między dziećmi w dalszym ich wieku przydać się może, kiedy, nauczone cnoty i dbałości o dobro narodu, złączone z sobą przyjaźnią, doszedłszy pory męzkiej, po różnych się prowincyach rozejdą. Jakichże pożytków z takiego rozrzuconego nasienia w tym zwłaszcza kraju możnaby się spodziewać, gdzie radą i zagrzaniem wspólnem narodowi całemu obywatel i chwałę i pożytek przynosi? Przyjaźń, między dziećmi zabrana, w dalszym ich wieku zrobi między mężami zgodę, a zgoda, u przyuczonych z dzieciństwa do dobrego myślenia o ojczyznie, nie będzie zapewne insza, tylko dla uszczęśliwienia narodu swego.

Prócz przyjaźni, którą dzieci szlacheckie jak najmocniej między sobą utwierdzać mają, potrzeba jeszcze, ażeby i z niższego stanu dziećmi, albo ludźmi, jak najlepiej się obchodziły. Pokazać im to należy, że urodzenie szlacheckie losem jest, a każdy człowiek do człowieka podobny.

Niech się przypatrują tym, których przypadek tylko niżej posadził, ale nie odjął im prawa do miłości naszej i wspólnych tytułów, do których każdy człowiek należy. Niech sobie wcześnie myślą: że z ludzi niższego stanu miasta składają się, w których kupiec, albo rzemieślnik przez handel, albo przemysł swój przyczynia bogactwa, a tem samem i siły narodowi; że z ludu pospolitego wybierany bywa prosty żołnierz, który, miłe życie ofiarując dla życia kraju, zarabia sobie na względy pewnie największe, kiedy najwięcej ofiarował; nakoniec lud pospolity obejmuje w sobie i tę część szanowną mieszkańców kraju, którzy, rolą za-

trudnieni, siebie i szlachtę wyżywiają — a jak w kraju naszym, nie mającym rękodzieł powabnych, ani kruszczów bogatych, wieśniak jeden krwawym potem rolą uprawiając, jeżeli krążą jakie pieniądze w kraju, sam prawie wieśniak naród cały zbogaca. Niech tedy dzieci szlacheckie mają to za rodzaj niewdzięczności największej, ażeby kiedy tymi pogardzać miały, których trudami żyją.

Utrzymując zawsze edukacyą fizyczną, jak wyżej namieniło się, kiedy uczniowie za posunieniem się lat ich, w cnotach i naukach, koniecznie w towarzystwie potrzebnych, jako też i w przywiązaniu do ojczyzny swojej, przez ustawiczne im wbijanie tej wielkiej powinności, postąpiły; przyzwoita rzecz będzie, ażeby się jeszcze w osobnej na to szkole sztuki żołnierskiej ([4]) i prawa ([5]) uczyły. Co należy do prawa narodowego, wstyd jest zapewne dla obywatela nie wiedzieć, jak jest rządzonym, i jak ma rządzić; ale hańba dla człowieka stanu rycerskiego sztuki żołnierskiej nie znać. Nie trzeba się rozwodzić nad pożytkami, które z takiej szkoły na naród cały spłynąćby mogły. W przygodzie ojczyzny zawołany obywatel każdy do służenia jej znajdzie się zdatnym, i stan rycerski, rzeczą samą nie imieniem tylko, rycerskim będzie.

Do takiego tedy ćwiczenia dzieci szlacheckich, ażeby z nich w czasie i człowieka poczciwego, i dobrego obywatela wystawić, największe starania nie będą nigdy zbytecznemi, kiedy obejrzymy się na to, jak nałogi do złego, albo dobrego, w latach młodych zrobione, wpływają potem w dalsze życie nasze, że stajemy się chwałą, albo ohydą narodu swego. Ani odstręczać się mamy od ćwiczenia dzieci w społeczeństwie z drugiemi: jakoby w tłumie trzymane złych nałogów nabierać, i psuć się miały; bo niech tylko oko na nich będzie najpilniejsze, a zapewnić można, że jeszcze przykładami naprawiać się będą, kiedy te najwięcej uczą.

Po skończonem ćwiczeniu szkolnem, nie zaraz za granicę, jak pospolicie czynimy, (bo na to w wieku męzkim, kiedy namiętności z przeszłą młodością zwol-

niały, a rozum nad niemi wziął górę, kto zechce czas mieć, może najprzyzwoitszy), ale dzieci szlacheckie na podróż po kraju własnym wysyłane być mają. ([6])

Przyjaciel, który z niemi pojedzie, niech z niemi razem uważa w drodze trafiające się rzeki nasze, ich bieg i głębokości; lasy nasze, ich długość i zdatność; bagna i jeziora nasze, ich do osuszania, albo do pożytkowania jakiego sposobność; miasta nasze, ich od siebie, od rzek spławnych, albo od granicy krajowej odległość; położenia miejsc różnych po kraju, ich do założenia fortec, albo ustanowienia obozu zdatność: bo takie w podróży zastanowienia się nad wszystkiem w czasie wojny, albo pokoju, przydać się mogą. Niech przejeżdżają się po głównych miastach krajowych, tam prócz starożytności, które im przypomną dzieje narodu i chwalebne czyny ojców ich, uważać z pilnością będą rząd wewnętrzny kraju, zamożność mieszkańców, sposobność do jakich handlów; tam czas przydłuższy strawią na przysłuchiwaniu się sądom różnym, sejmom i sejmikom w narodzie; na przypatrzeniu się stanowi wojska krajowego, i na powzięciu tym podobnych wiadomości, które każdemu obywatelowi będą w przygodzie potrzebnemi.

A tak lat kilka w tej znowu szkole narodowej strawiwszy, z przychodzącą porą męzkiego wieku, ćwiczeniem takiem mąż przygotowany, odda serce swoje i ramiona ojczyznie własnej, gotowy nosić ciężary obywatelskie.

Mości panie Szczęsny! po trudach ćwiczenia twojego staniesz i ty w czasie swoim między inszymi rówiennikami w oczach narodu twojego! Staniesz tak, jak każdy obywatel stawić się powinien, ani płatny, ani leniwy. Tobie miła ojczyzna zaprzęgającemu się do prac obywatelskich, gdzie się tylko obrócisz, przypominać się będzie. Ty ją siedzącą na rozwalinach zamków naszych starożytnych obaczysz; ty z obrazu wielkich ludzi narodu mówiącą do siebie usłyszysz; na ciebie ona, z wysokich gór kraju naszego wołać i pokazując ci żyzne okolice, do bronienia ich, i sławy narodu twego zagrzewać będzie. Niżeli ta szczęśliwa

pora dla ciebie przyjdzie, naród nasz tym czasęm przeszłemi nieszczęściami nauczony, sporemi krokami, jak już chwalebnie zaczął, dążąc do poprawy; zastaniesz da Bóg w męzkim wieku twoim najszczęśliwsze odmiany, które tem pewniej nastąpić powinny, im bardziej potrzeba nagli nieuchronna.

Wieleż to rzeczy dzień jeden, wiele wieku praca, insze w ludziach myśli i starania na lepsze obróciły? Zadawniona szczęśliwość nasza pochlebnie nam przyszłość pogodną wystawiała; i kiedy w ślepem zabezpieczeniu się o niczem mniej, jak o sobie nie myślimy, właśnie takowej pory przygoda nieprzewidziana czekała, ażeby nas i zeszła bez wieści i przycisnęła bez odporu.

Czasów teraźniejszych obywatel, niedawnym przypadkiem, jak ze snu jakiego pożarem obudzony, mając na razie to najpierwsze uczucie, że jeszcze żyje; potem, czego już ratować nie można było, opłakawszy, resztę ocaloną pozostałego gmachu na czas dalszy, jak może, zabezpiecza. W swobodzie złotej nie nauczywszy się cierpieć, rana, którą odebrać przyszło, tem boleśniejsza jest, im bardziej pieszczenie cierpiące ciało wychowane było; a nieszczęście, ten wielki nauczyciel, odsunąwszy zasłonę, która nas ćmiła, pokazało nam stan nasz właściwy, i pojętny obywatel uczy się pilnie z przygody, czego może w bycie dawnym pojąćby nie mógł.

Z tego, co się już w tak krótkim czasie, za ojcowskiem staraniem panującego nam monarchy, pożytecznego w kraju zrobiło, jakaż nadzieja, co jeszcze zrobić się może? Radzi z obywatelem obywatel, i w świętych o lepszą sprzeczkach dają to poznać, jak gorąco szczęśliwych żądają odmian, któreby powszechnie ojczyznę, a w niej dalsze pokolenia mogły uszczęśliwić.

Waszym ja to, waszym, kochankowie dobra narodu! ogrzany duchem, o szczęśliwszej nadziei pomyśliłem; z serc waszych poczciwych od dawna wyjęte prawdy, do potrzeby mojej zbierając, obraz wasz tylko odmalo-

wałem—a dla mnie tyle zostało chluby, jeżelim go potrafić umiał.

Sokrates żyjący w wieku filozofów, obłąkaną tamtego czasu po gwiazdach i elementach filozofią do człowieka przyprowadził, która się go o szczęściu jego własnem zapytała. Nauki w kraju, czyli do jakiego pożytku, czyli tylko do zabawy dążące, są chwałą i ozdobą narodów; ale wiadomość rzeczy, szczególnie do szczęścia towarzystwa jakiego ściągających się, powinna być naczelną w narodzie każdym nauką.

„Ja chcę być szczęśliwym." myśli tak sobie król i poddany, a jeden bez drugiego nigdy być szczęśliwym nie może; oto są związki towarzystwa i potrzeby wspólnej ulegania i wagi wzajemnej. Miłość własna, to źródło zawołane najlepszych i najgorszych rzeczy między ludźmi, szepce każdemu człowiekowi: „dbaj o dobro swoje." Kiedy on jest wolny, ona natenczas szeroko swoje rozciąga panowanie; a żeśmy bardziej skłonni do złego, zażywamy wolności na złe; dobrze zaś robić się nam nie chce, bo robienie dobrze, jest oglądanie się na dobro drugich; otóż znowu wynika potrzeba prawa, któreby tę miłość własną i wolność w swoich utrzymywało obrębach. Stan dla tego prawodawczy tak go w Rzeczypospolitej układać powinien, żeby w nim każdy i swój szczególny, i z nim razem związany powszechny widział pożytek, a tak, żeby i miłości własnej każdego, i dobru się krajowemu dogodziło.

Ponieważ prawo, czyli czego pozwala, czy zakazuje, jest zawsze zabezpieczeniem jakiegokolwiek rodzaju własności cudzej, potrzeba tedy, ażeby prawodawca każdemu stanowi, naród składającemu, własność jego zabezpieczył. Co zaś (nie przystępując jeszcze do ludzi), z natury swojej we wszystkich wiekach i narodach najpierwszem było, to i u nas na czele położyć powinniśmy.

Bóg—który stanów utwierdza stałość, a pierwej każdemu człowiekowi udziela życia, wyżywienia, i do darów codziennych przydał jeszcze nieskończoną owę nadzieję—wart jest od nas wdzięczności, uszanowania i chwały największej. Wdzięczność naszę okażemy mu

miłością; uszanowanie posłuszeństwem; a chwalę oddawać mu będziemy w jego kościołach i wszędzie. Kościół Boży, jako takiej chwały i obrządków naszych świątynia, ma być jeszcze poważany, jako miejsce naznaczone, gdzie człowiek szczególniej do rozmowy z swoim Bogiem przychodzi.

Ale główny kryminalista, depczący Boskie i ludzkie prawa, krwią jeszcze bliźniego swego zmazany, nie będzie miał ucieczki i schronienia pod ołtarzem, który jest stolicą prawdy; ale fanatyzm, prócz inszych okropności swoich, nie złoży na tymże ołtarzu, ani poświęcać będzie miecza swojego, którymby potem, zapomniawszy na czyste wiary naszej nakazy, inaczej myślących bezprawnie wyniszczać miał: bo religia broni przy sobie nie ma, i.. jak sama niewinna jest, tak tylko czystością i niewinnością swoją ludzi pociągać będzie. Wszelako, targający się na Boga bluźnierstwem, kiedy tej Istocie najwyższej nie oddaje powinnej wdzięczności, uszanowania i chwały, (co jakoby za własność Bogu służącą jest poczytane), prawo krajowe zbrodnia takowego najsurowiej ukarać ma.

Przecięż nie zdaje się, ażeby na takiego rodzaju przestępców kara śmierci rozciągana być miała: bo pórywając się oni na Istotę taką, której uszkodzić, ani nic jej złego zrobić nigdy nie mogą, ich zamach będąc, jakoby pomięszanego rozumu skutkiem, podobniej jest, ażeby między szalonemi do śmierci zamknionemi byli, ani ta kara dla nich pod żadnym pozorem darowana nię będzie, tak dla poskromienia drugich, jako też, że taka rozumu słabość, prawie przykładu nie masz, ażeby kiedy zupełnie uleczyła się: zwykła zaś zarażać rozumy insze z taką prawie nagłością, jak i powietrze szerzyć się zwykło. Odcinając tedy zupełnie od społeczeństwa ludzkiego zbrodniów takowych, na jedno wyjdzie, jak gdyby śmiercią skarani byli, kiedy już tak zamknięci nikomu szkodzić nie będą mogli.

Dbałość narodu o utrzymywanie jak najstalej religii, nietylko jest długiem naszym, któryśmy Bogu oddawać winni; ale razem i największym pożytkiem kraju. Zwierzchność krajowa, przy prawie stojąc, po-

wagą i mocą swoją utrzymuje w karbach stany wszystkie; a ta podległość niższych dla wyższego; wyższego zaś prawom krajowym, każdego narodu istotną składa potęgę Ale na małoby się przydał postrach, ktorym ramię władzy, krajowej grozi, gdyby mocniejsza daleko religia, przykazując najsurowiej szanować i słuchać zwierzchności swojej, miliony ludzi, przez jednego albo drobną jaką cząstkę rządzone, w swojej nie utrzymywała podległości.

Bóg widzi wszystko, i karze zbrodnie; oto są dwa najmocniejsze na złość ludzką hamulce: bo przestępca każdy, dopuszczając się zbrodni, z tą ją myślą i z tą popełnia nadzieją, że się występek jego przed okiem ludzkiem ukryje, i kary zasłużonej uniknie. Ale mocno przekonany o prawdzie: patrzącego na ludzi i karzącego występki Boga, nie może mieć, ani myśli, ani nadziei uniknienia kaźni swojej, bojąc się zawsze tego świadka i sędziego, który wszystkie miejsca i wszystkie czasy napełnia.

Religia zabezpiecza jeszcze przez przysięgi rzeczy nasze domowe i publiczne, i staje się powszechnie potrzebną, jako moc jakaś niewidoma, która każdego z osobna, albo narody całe, nie rąk albo nóg, ale duszy i umysłu związaniem w swoich obrębach trzyma ([7]). Religia nakoniec siedząc na ołtarzu, jedną ręką króla, a drugą poddanego do siebie przytula; i rozkazując nam powszechnie miłość bliźniego, gdyby tylko słuchana była, najszczęśliwszeby na naród skutki ściągnęła.

Król ma być ojcem narodu, i już w tem wszystko się zamknęło. Nie sobie on królem jest, ale narodowi, jak ojciec dzieciom ojcem. Stary nasz Zygmunt mawiał: „że jest szczęśliwy, kiedy na łonie każdego obywatela bezpiecznie zasypiać może;“ tak dając serce narodowi, miał od narodu miłość, która jest największą chwałą panowania. A Polak wieku tamtego myślił wzajemnie o nim: „że w przygodzie chętnieby Zygmunt życie dla dobra poddanych swoich ofiarował;“ tak stał się wartym, żeby był za niego każdy z obywatelów życie swe łożył: Oto jest obraz króla i ojca razem.

Niezgodne dzieci zakłóciły się między sobą: smutny Zygmunt dawszy im poznać, jak tem ciężko dotkniony, staje w pośrodku zawziętej na siebie rodziny, nie zaraz używa władzy, która często przytłumia tylko, a nie gasi zawiści; ale zniża się aż do prośby samej, i tak zapomniawszy powagi swojej, powagą swoją godzi zawaśnionych. Niezgodne dzieci przeciwko ojcu swojemu coś niebacznie zrobiły, albo przemówiły, on wspomniawszy, że ojcowie zwyczajnie więcej kochają dzieci własne, niżeli od nich bywają kochanymi, jeżeli rzecz pomniejsze za sobą ciągnęła skutki, mniejszą pominął urazę i dla pamiątki, że to są dzieci jego.. i dla nadziei, że się poprawić mogą.

Ale kiedy na stolicy sądowej zasiadł, natenczas dla sprawiedliwości wszystkie porzucił względy, ażeby był przykładem sędziom niższym w narodzie. Nagrody samym tylko rozdaje zasłużonym, ażeby zachęcił do zasługi; urzędników stanowi zdatnych, ażeby przez nich łatwiej do celu zamierzonego trafił; dla samego upodobania swego do nikogo więcej nie przywięzuje się ażeby tak do serca swego równe każdemu dał prawo, a tylko cnotliwemu pierwszeństwo. Pieniędzy narodowych był rozsądnym szafarzem, i prawa krajowego stróżem, nie panem, ażeby ani ojczyznie za marnotrawstwo, ani Bogu za krzywdy ludzkie nie odpowiadał. Między wieśniakiem i szlachcicem, przemożnym bogaczem i ubogim, byle się o potrzebie dowiedział, znalazł się, jak najprędzej, ażeby i nigdy nie opóźnił się żądany... i nigdy na smutnych nie patrzył obaczony. Zygmunt był chwałą królów wieku swojego, a stał się wzorem dla potomnych.

Król w osobie swojej majestat cały obywatelów i moc prawa narodowego wyobraża; i dosyć to jest do uszanowania, które mu od każdego największe przynależy. Król poświęca wszystkie godziny życia dla dobra powszechnego, i dosyć to jest do miłości, która dla niego wzajemnym zwrotem najpowinniejsza. Uszanowanie tedy i miłość dla króla swego, są to najświętsze powinności każdego obywatela: bo uchybienie którejkol-

wiek z obudwóch nieszczęśliwszym jeszcze naród, niżeli króla uczyni.

Kapłan, jako osoba poświęcona dla usługi w obrządkach religii, ma być żywiony i szanowany dla tego ołtarza, przy którym stoi; a pamiętny wysokiego powołania swojego, życiem obyczajnem najpierwej, a potem przyzwoitą stanowi swojemu nauką ma oświecać i być przykładem dla każdego. Liczba księży w kraju jakowym nie ma się składać z tych wszystkich, którzyby tylko w stanie duchownym być chcieli; ale raczej tyle tylko księży w kraju byćby powinno, ile naród potrzebuje.

Rozciągłość powinności stanu tego nadto jest obszerna, żeby ją kto krótko opisać mógł. Ogółem tylko powiedzieć można: że biskup, albo pleban, obowiązki swojego stanu wypełniając, przyczynia się do największego uszczęśliwienia w narodzie. Ktoby plebana w parochii do samego tylko przywiązał ołtarza, ująłby mu zapewne dostojeństwa jego część najznakomitszą, po której ojcem ludu sobie powierzonego i pasterzem się owieczek swoich nazywa.

Nauki jego do ludu nie słów wyborem, ale gorliwością napełnione, nietylko do dobra duszy, ale i do pożytków ciała ściągać się mają. Jakże to piękny dla nieba i ziemi widok! Kapłan w pośrodku gromady dziatek i starszych, ucząc ich co wiara nasza umieć koniecznie każe, naucza razem uszanowania zwierzchności swojej, udzielności dla bliźniego, pożytków z życia pracowitego, miłości rządu i kraju. Godzi zakłócone strony dobrocią; osładza niesnaski w małżeństwąch poprawy nadzieją; prawdziwie nieszczęśliwych ratuje możnością całą; a tam, gdzie sam nie wydołał, podanemi sposobami wspomaga. I kiedy niczego nie naucza, czegoby sam pierwej nie zrobił, owieczki mu powierzone za jego przykładem z większą łatwością do cnoty przyjdą.

Oświecać lud pospolity i ciemny, jest najszlachetniejszem człowieka powołaniem; widzieć lud pospolity szczęśliwym pełnieniem cnoty i obowiązków stanu swojego, a tak razem i krajowi całemu przydatnym, jest

największą nagrodą, którą sobie kapłan pracowity mógł obiecywać.

Szlachcic, w Polszce dla całej massy ludu krajowego, prawa układa, które z czasem, według potrzeby, odmienić albo skasować może. Mając w ręku tę moc, której natura w początku wszystkim ludziom rządzenia według myśli sobą samym udzieliła, dbał najwięcej o rozszerzenie wolności swojej, jak tylko daleko rozciągnąć się mogła, ale zapomniał, żeby tęż wolność od nieładu domowego i sąsiedzkiej przemocy zabezpieczył.

Szlachcic w Polsce układający prawa jakże na wiele rzeczy oglądać się powinien? Skłonność powszechna narodu; gatunek ziemi, na której żyje; sąsiedzi którzy go otaczają; oto są powszechniejsze uwagi, które prawodawcę zastanawiać powinny. Szczęśliwego i bitnego zdawna narodu obywatele ([8]), którym jedno to wspomnienie „sława przodków“ rumieńcem twarze czerwieni! Czyli wy się stanu teraźniejszego wstydzicie? Czyli wy się na los uporczywy gniewacie? Pięknym to zawsze znakiem jest tego składu wewnętrznego gorącej krwi waszej, która wielkich bohatyrów na świecie do dzieł nieśmiertelnych zapalała. Urażony kto z was w poczciwe imie, razem dobywa broni i niebezpieczeństwo śmierci nad niesławę przenosi. Śmiało! śmiało serdeczny obywatelu, dbaj nad życie o sławę własną, byleś jej tylko życiem brata twojego nie kupował.

Sejmiki wasze, na których tysiące szabel dobytych niewinną czasem krew przelewały, zawsze będą miane za dzieło niegodziwe, ale waleczności zapęd z siebie chwalebny, i tylko złem użyciem naganny będzie. Niech tedy prawodawca tej skłonności narodu na dobro powszechne użyje, niech pokaże obywatelowi istotną sławę z dobycia broni, nie w pojedynku albo na sejmiku, co raczej najsurowiej zakazać przynależy, ale tylko za jedną ojczyznę życie swe ofiarując.

Naród nasz skłonny jest do zbytecznej okazałości majątków swoich; niech prawo skromną, ale imieniem całego narodu ofiarowaną nagrodą zachęcając, pokaże, jak zażyty zbiór poczciwy obywatela chwalebnym razem dla niego i dla narodu całego będzie, kiedy go na

wyprostowanie i naprawienie dróg, na połączenie rzek kanałami i tym podobnych robót dla dobra kraju zażyje; kiedy go nareszcie na wystawienie i nadanie szpitalów, na obmurowanie miast albo domów wspaniałych, które kraju ozdobą będą, poświęci.

Ziemia, na której Polska siadła, dobrocią swoją między najlepszemi rachowana być może. Te rzeki spławne, grunta urodzajne, lasy w niektórych prowincyach nadto obfite, kruszcze bogate albo potrzebne, wszystkie te dary, co wielu narodom ujęła, sama nam natura ofiaruje. Niech tedy prawodawstwo rzekom spławność lepszą, gdzie jej potrzeba, obmyśli; do uprawy gruntów przez zdarzenie łatwej i zyskownej przedaży zachęci; lasów zbytnich na pożytek z nich samych, albo z odkrytej roli użyje i wyrabianiem kruszczów bogatych bogactwa narodowe pomnoży.

Sąsiedzi, którzy nas otaczają, różnej są potęgi i każdy z nich insze swoje zamiary mają. Niech tedy prawodawca z siłami swojemi waży sąsiedzkie; niech przeszkadza, uchyla się, albo przez porobione przymierza zgadza się z sąsiadem potrzebniejszym; bo łatwiej będzie przyjść do porządku w domu, kiedy kto pierwej przeszkody wszystkie, któreby się do tego za własną zagrodą przytrafić mogły, uprzątnął.

Tak zastanawiając się i porobiwszy układy według tych powszechniejszych uwag prawodawca, niech potem, co do wewnętrznego rządu należą, prawa układa; a te nie z głowy swojej tylko, ale razem rozważając skłonności serc ludzkich, i godząc je ile możności pożytecznie, układać ma. Zgoda mocna towarzystwa jakiego o rzecz dla niego chwalebną i pożyteczną, robi rzeczpospolitą, jako przeciwnie niezgoda gubi ją. Prawodawca, pomnąc na to, że obywatel potężniejszy ciągnie za zbytkiem; poczciwy za cnotą, a wszyscy powszechnie ludzie, za dobrem swojem; niech tak układa prawa, ażeby z nich każdy swe własne widział dobro, a tym sposobem łatwiej mu było zgodzić się ze wszystkiemi.

Już to się wyżej powiedziało: że celem jest praw wszystkich, zabezpieczenie majątku każdego z osobna

człowieka składającego massę narodu. Szlachcica majątek, albo będzie fizyczny, jakie jest życie jego i dostatek, który posiada; albo moralny, jaka jest cześć jego i dobre imię. Prawa nasze krajowe dostatecznie ten dwojaki rodzaj majątku szlacheckiego zabezpieczyły, i gdyby je jak należy surowo zachowywano, nicby podobno, albo bardzo mało przyczynić do tego można.

Ale ponieważ, chociaż po ustanowionem takowem prawie, zawsze mocniejszy dąży do tego, ażeby z pobudki miłości własnej uciskał słabszych, a tak męszał bezpieczeństwo majątków obywatelskich; ponieważ nadto, sąsiedzka potęga gwałtem szczęśliwe napadając królestwa, ten dwojaki wspomniony rodzaj majątku szlacheckiego, nietylko pomieszać, ale i zupełnie wydrzeć może: Prawodawca roztropny nad tem się szczególnie zastanowić powinien, jakby naród od wewnętrznego, i zewnętrznego nieprzyjaciela mógł zabezpieczyć.

Należy tedy, ażeby była w kraju moc jakaś, którejby się i niespokojny obywatel, i gwałtowny sąsiad obawiał; a to krótko wywiedziona potrzeba trzymania wojska w narodzie. Wojskami państwa wszystkie stoją i stały; wojsko utrzymuje się pieniędzmi, a pieniądze daje podatek; oto prócz inszych jedna z głównych przyczyn podatku krajowego.

Ojcowie nasi podatek, winny rzeczypospolitej, osobami swojemi, i krwią własną wypłacali ([9]), a majątek swój w przygodzie ojczyzny na ściąganie tylko żołnierza każdy do siebie, jak mógł najwięcej, cały łożyli. W składzie teraźniejszym Europy, kiedy tłumne obywatela każdego na wojnę wyprawy stały się zupełnie nie pożytecznemi, żołnierz regularny pospolitego ruszenia miejsce zastąpił.

A ponieważ wojsko na nogach, (jak się wspomniało) podatek utrzymuje: obywatel każdy do składki dla ojczyzny nietylko z jego własnego interesu, to jest, dla zabezpieczenia majątku swego, ale i z natury samej dóbr swoich obowiązany; bo dobra ziemskie były kiedyś dziedziczne książąt i królów Polskich, i tylko za dzieła podczas wojny, albo za usługi znaczne w pokoju, różnym różnemi czasy rozdawane. Jednakże,

(jak w tylu starych przywilejach widzieć to można), książę albo król dający, obowiązuje odbierającego, ażeby w przygodzie krajowej z kilką albo kilkunastą kopijami na wojnę stawał.

Oto jest zakład, pod którym z rąk królewskich dobra wyszedłszy, dziedzicznem prawem dostały się obywatelom; oto razem fundament wypłacania z dóbr ziemiańskich podatku, z natury samej ich przywilejów wynikającego; który to podatek, gdyby był oddawany dzisiaj proporcyonalnie, do nieużyteczności dawnej osad krajowych i podniesienia się teraźniejszego ceny ziemi w narodzie: nadspodziewanie nasze byłby wielki: połowę tylko oddawszy ojczyznie, znalazłaby się zapewne w stanie licznego żołnierza utrzymywania.

Mości panie Szczęsny! Nieśmiertelny ojciec twój z pięknej woli daje corocznie znaczną część dochodu własnego na żołnierza krajowego ([10]). Ten bogaty dar jego dla ojczyrny, z szczególnej miłości dla niej ofiarowany, nie ciężki mu jest zapewne, bo go oddając myśli: „Wiekami ojczyzna dostatek i sławę dla domu mego przyczyniała; płacę jej za to cząstkę z majątku mego; cząstką w usłudze mojej odbiera — a za dług pozostały, dam jej i życie, jeżeli go potrzebować będzie.“ Mężu wielki! godzien przykładu tego, który dałeś w narodzie; ty sam się nie zostaniesz!... Czuły obywatel, który cię dzisiaj powszechnie chwali, około ciebie ściśniony i twoim duchem ogrzany, oszacuje się równie w domu swoim, i według możności przyniesie miłej ojczyznie cząstkę majątku na łonie jej wypracowanego, ktorą ona, chociaż jak powinną sobie odbierze daninę, przecięż jak dobra matka, jeszcze to darem nazywać będzie.

Szlachcic prawodawca, prócz inszych dochodów krajowych, ułożywszy podatek powszechny z pożytków ziemi, od którego stan żaden wyłączony być nie ma, jako każdy potrzebny zabezpieczenia, które naród mu winien obmyślić ([11]); z ogólnego przychodu skrzyni narodowej w miarę potrzeby wystawiwszy wojska, częścią żołnierza ściany graniczne opatrzy, a resztą spokojność wewnętrzną utrzymywać będzie.

Żeby zaś wybieranie żołnierza łatwiej przychodziło, za cóż dla miłości dobra powszechnego nie mieliby się zgodzić obywatele, ażeby w proporcyą ludności wieś każda, albo miasto liczbę pewną rekrutów przystawiały? Na tę liczbę mieszkańców, którą jeszcze w kraju naszym rachować można, gdyby setna część na żołnierża obrócona była, znaczne zapewne wojsko zebraćby można. A jeżeliby do użycia tego sposobu na szkodę naszę nie przyszło, ludzkie obchodzenie się z ludem pospolitym, przywiązanie ich do stanu szlacheckiego przez słodycz rządzenia nimi, obmyślanie uczciwego wyżycia kalece, albo uwolnionemu od służby zasłużonemu żołnierzowi, pamięć na żony i dzieci po zmarłym żołnierzu pozostałe, i poszanowanie od wszystkich dla prostego nawet żołnierza czynione; te wszystkie sposoby będą użytecznemi, że i dobrowolnie do zaciągu wojskowego rekrut garnąć się będzie.

Żołnierzem karnym, zwierzchnością wojskową pilną i umiejętną opatrzonym, zewnętrznej i wnętrznej spokojności krajowej zaradziwszy, zdaje się, że najpierwsze staranie mieć powinien prawodawca o edukacyi młodzieży kraju. Zrobiwszy to, albo co podobnego, co się wyżej o ćwiczeniu młodzieży polskiej rzekło, niech będą tejże powszechnej edukacyi dozorce, (jak są dzisiaj) ludzie najznaczniejsi ([12]). Niech dbają o to, ażeby dziecię sclacheckie prócz inszych potrzebnych wiadomości, sztukę żołnierską każde umiało; czemu łatwo dogodziłoby się, gdyby w kilkunastu przynajmniej miastach krajowych nauki żołnierskiej z powołania uczono.

Ale nadewszystko, ażeby dzieci szlacheckie, kiedy wszystkie ćwiczenia kosztowniejszego mieć nie mogą, przynajmniej ubożsi, ażeby pisać i czytać koniecznie umiały. Ponieważ oświecenie wiedzie do szczęścia, a niewiadomość rzeczy do nierządu; jak wiele na tem zależy, ażeby ubożsi szlachta czytając prawo nasze pospolite, dzieje narodu, i inszych potrzebnych wiadomości z książek nabierając, byli zdatniejszemi cząstkami w społeczeństwie, że ledwie niepotrzebaby na obradach publicznych tym tylko pozwolić głosu, którzyby

albo sami czytać i pisać umieli, albo przynajmniej dzieci swoje nauczyć starali się, żeby tą poczciwą niby kondemnatą zachęcić i najuboższych do nabycia tej tak łatwej, a tak potrzebnej umiejętności.]

Po obmyśleniu ćwiczenia młodzieży w naukach w społeczeństwie potrzebnych; sprawiedliwości krajowej utrzymanie powinno między najgłówniejszemi celami zutrudniać prawodawców. Dzięki nieśmiertelne ojcowskim staraniom panującego nam króla; obudwom tym petrzebom w narodzie, ile możności zabieżono. Uczy się dzisiejsza młodzież tego wszystkiego, co jej na całe życie przydatnem będzie; a sprawiedliwość krajowa wzięła tór pewny, którym naród do dalszej z czasem pójdzie szczęśliwości.

Za grunt prawa całego zabezpieczenie majątku każdego człowieka położyło się. Do tego samego celu i sprawiedliwość w powszechnem wzięta rozumieniu zmierzając, inszem słowem tylko, ale toż samo znaczy. Dbałość tedy o nię jest gruntem szczęścia i spokojności wewnętrznej: byle nie w samych tylko prawnych księgach zapisana, ale jak najsurowiej razem zachowywana była.

Pod tym tytułem prawa narodowego, kiedy nie sam tylko sąd prawny, ale i sposób praw stanowienia, ale i sejmiki albo sejmy narodu rozumieją się, wszystko to jak najświątobliwiej, wszystko jak najskromniej zachować przynależy. Gdybyśmy szczerze miłość ojczyzny naszej i dobra powszechnego mieli przed oczyma, prędkaby zapewne następowała zgoda w obradach naszych. Dziś, cóż znaczy ta szabla dobyta na sejmiku? Ona gwałci kościół, w którym sejmik; ojczyznę, dla której radzi obywatel; i obywatela samego, który pod obojgiem powinien być najbezpieczniejszy.

Co znaczą te zamieszania podczas sejmów? Skutek to, mówimy, wolności narodowej, której zakłócenie słodsze na wieki będzie, niżeli spokojne kajdany despotyzmu. Wszelako w naturze wszystko co się robi, a robi się dobrze, w cichości wzrosło; szumy zaś i hałas znakiem u niej niszczenia były. Prawda, że powinnosć bez woli, znosi wolność; wola bez wypełnienia

powinności, znosi podległość; ale też chcieć to, com powinien, utrzymuje i wolność i podległość; a taka dopiero wolność szczęściem jest narodu.

Każdy w szczególności obywatel podczas obrad publicznych niech tak dba o dobro własne, żeby razem było i cudzem, a tak dopiero wolność gruntuje Rzeczpospolitą. Darować tedy ojczyznje przynależy i pożytki własne, któreby jej razem nie zbogacały i nieszczęśliwe między współziomkami zawaśnienia, które (jak z tylu przykładów), najszczęśliwsze kiedyś królestwa obaliły.

Dusze czułe! miłością ojezyzny wspólnej zagrzane! stańcie w pośrodku między zakłóconymi bracią waszymi, radźcie im zgodę, która stron obudwóch jest pożytkiem; aby snadź nieprzyjaciele nasi, jak owe zgłodniałe żołny, napadłszy na zwadliwe między sobą pszczół roje, bez braku winne i niewinne nie połykały.

Po ułatwieniu sprawiedliwości, obywatel prawodawca ma mieć bacznosć na handel krajowy. Szlachcic, kupiec, wieśniak, mają mieć równe prawo do handlowania; ale zdaje się, że produktów takich handel, które zbytek, nie istotna potrzeba ściąga, sam naród trzymać powinien: aby albo zbytkom roztropnie zapobiegał ([13]), albo z rozrzutności bogaczów skrzynia krajowa zbogacała się. Insze zaś potrzebne produkta wszystkie, każdemu czy w środku kraju, czy wprowadzając, albo je wyprowadzając za granicę, do handlowania wolnemi będą. Rozszerzenie handlu tamują monopolia, przez które mała ludzi liczba przywłaszczając sobie handel krajowy, tępią w inszych przemysł do handlowania, o którym i myśleć nie chcą, kiedy im czynić zabroniono.

Zboże, bydło, woski, wełny, płótna, drzewo, popioły, składają prawie cały handel krajowy; ale niech te tylko gatunki produktów naszych należycie wyrabiane będą, niech w miejscach najlepiej pokupnych sprzedawane; jakichże kraj pożytków spodziewać się nie będzie, kiedy przedajemy, jak zbytnie u nas to

wszystko, czego inszym narodom do istotnej potrzeby nie wystarcza.

Mości panie Szczęsny! imie twoje nie jednym rodzajem chwały się wsławiło. Mąż myślący ([14]) podniósł się w górę przemysłem handlu i woła na drugich: „Oto za temi rzekami, oto za tem morzem góry kraju jakiegoś bogatym kruszcem świecą się, ale czcza ziemia głódnego mieszkańca nie wyżywi.“ Już do nieznajomych nam przedtem brzegów morskich żeglarz polski przybija, i za sprzedane kraju naszego produkta, potrzebnem kupnem, albo pieniądzmi naród zbogaca; już w umiejętności powszechnej handlu tyle szlacheckiej młodzieży, albo pod okiem jego ćwiczy się, albo w pryncypalnych Europy handlownych miastach, dla nabycia potrzebnych w tym wiadomości bawi; ażeby z nich w czasie rozsiane po kraju nasiona, szczęśliwe dla ojczyzny żniwo przyniosły. Już łatwością zyskownej przedaży, gdzie jej prawie żadnej nie było, zachęcony wieśniak Ukrainy, odłogiem od wieków leżące pola poorał, z których pewne pożytki słodząc mu pracę jego, razem dawne próżnowanie, a w niem skłonność do buntów zagasiły.

Kiedy więc handel z domowego doświadczenia od kilku lat otworzony, tak odmienił postać kraju tamtego; kiedy (jak widzimy na obcych) zgromadza zewsząd narodowi handlownemu złoto, a z niem łatwość do robienia rzeczy największych; kiedy nakoniec za handlem tyle rzeczy pożytecznych w narodzie, jako to uprawa roli, wydoskonalenie rękodzieł, i przemysł inszy krajowy ciągnie się; obywatel prawodawca wielkie mieć będzie baczenie, ażeby go w narodzie ustawami roztropnemi zaszczepił, i od zdzierstwa łakomych zabezpieczył.

Nauki wyzwolone w kraju są chwałą jego, a dbałość o ich rozszerzenie jest chwałą prawodawcy. W narodzie każdym sztuka miernicza, liczby, budowania, rękodzieł, zawsze będą potrzebnemi, jako istotnie każdemu pożytek przynoszące; ale prócz tych, w narodzie wolnym więcej, jak w inszych krajach sztuka

wymowy przydatna ([18]). Mówi kto umiejący mówić w zgromadzeniu, i byleby w sprawie poczciwej mówił, i sam za poczciwego miany był, tysiące za sobą ciągnie obywatelów.

Pisze kto o cnotach obywatelskich, o zgodzie miłości wspólnej, i tym podobnych; szlachcic takich książek czytaniem przygotowany łatwiej się na dobrą stronę skłonić może. Wszelako prawodawca pierwsze i mocniejsze starania łożyć będzie na utwierdzenie siły krajowej przez wojska, sprawiedliwość i handel; a potem dopiero losem nauk wyzwolonych zatrudni się; aby podobno z naszemi mówcami tak nie stało się, jak z owym słowikiem w Hezyodzie, który na próżno sępowi śpiewał, bo sęp się na tem nie poznał i pożarł nieszczęśliwego.

Mieszczanin w Polszce nie składa stanu żadnego; tem ci gorzej dla narodu. Miasta w Europie są ozdobą i bogactwem krajów inszych; i to też jest, co nas przekonywać powinno o potrzebie dbałości lepszej o nasze. Mieszczanin, albo jest kupiec, albo rzemieślnik; obadwa te rodzaje ludzi pożyteczne są narodowi, obadwa względów szczególnych wyciągają.

Nie samo zabezpieczenie majątków ich ma być już całym dla nich udziałem, oni zaleceni przez cnoty, lubią mieć cześć swoję i dobre imie. Niech tedy szlachcic prawodawca, przy zabezpieczeniu majątku mieszczan, zrobi ich jeszcze szanownymi przez prawo osobno napisane, któreby ich majątek moralny, to jest ich cześć jeszcze mocniej zabezpieczało; ażeby tak godząc się z niemi, razem i z prawami naszemi pogodziliśmy się, przez które kiedy im dajemy moc sądów gardłowych na kryminalistów, zdaje się, że już więcej dać im nie mogliśmy nad prawo utrzymania kogo przy życiu, albo zadania śmierci człowiekowi; przecięż ten tak wysoki, i od dawna w narodzie mieszczanom pozwolony przywilej, nie zgadza się często z tem małem ich ważeniem. Oto jest istotna przyczyna, czemu miasta nasze po większej części niezaludnione, albo z ludzi się ubogich składają.

Przyczynia się jeszcze do tego i małe ważenie rzemieślnika, który słodyczą i hojnością szlachty byłby zapewne dowcipniejszym, a rękodzieła krajowe, które zwyczajnie w miastach warsztaty mają, mogłyby się pomnożyć i polepszyć. W miastach różność podatków poznosiwszy, a gdyby można do jednego je a stałego przywiodłszy, poznosić uciążliwie jeszcze jakiegokolwiek rodzaju monopolia. Naznaczyć zwierzchność wyrozumianą, i pilną sprawiedliwości na winowajców; dać wolność nieokreśloną handlowania, czem tylko kto zechce, pozwolić wolnego używania obrządków wiary, jakiej kto będzie; oto są przynęty, które do miast naszych ściągną mieszkańców, a z niemi przemysł i dostatek do narodu.

Wieśniak idzie na końcu, który że naród cały żywi, wart był miejsca poczesniejszego. Żeby kraj był mocny i szczęśliwy, potrzeba, ażeby mieszkający w nim kochali go. Ta prawda do każdego rodzaju ludzi ściąga się; ale ci którzy największą część mieszkańców krajų składają, największą prawodawców baczność na siebie ściągnąć powinni; ażeby kochając kraj, w którym się porodzili, byli mu pomocnymi z chęci, nie z przymusu. Kilka milionów wieśniaków, wielka to potęga kraju, bylebyśmy ją własną naszą potęgą przez roztropne prawodawstwo zrobić chcieli ([16]).

Niech wszystko robią Panowie, czemby sobie poddanych swoich przywiązać mogli; ale najpierwej niech zaczną od zabezpieczenia majątku rolnika swego. To pomieszkanie i zabudowanie domowe, jeżeli jest własnem wieśniaka, miło mu coś koło niego poprawić, coś do wygody przyczynić; bydlęta do pracy rolnej chętniej żywimy swoje, i wszystko co nasze własne, więcej nas zwykło obchodzić. Niechaj tedy wieśniak, (co po wielu miejscach nie był) panem domu i bydląt swoich będzie.

Pomiar gruntów po całym kraju szczególnie potrzebny jest; i z tylu nazwisk włók i łanów różnych ([17]) ułożywszy powszechnie pewną miarę pola po majętnościach, część jakaś według zamożności wieśniaka ma mu być wiecznie oddana, ażeby z niej (co zawsze dla

obudwóch stron wygodniej jest), pewną kwotę pieniężną corocznie płacił. Jeżeliby zaś opłaty podjąć się nie chciał, ażeby dni roboczych na tydzień liczba mu pewna wyznaczona, nigdy pod żadnym pozorem odmieniana nie była. Mając tak rolnik grunt sobie wydzielony, będzie zapewne pilniejszym w uprawianiu go, kiedy robiąc dla siebie, razem i dla dzieci, które po sobie zostawi, rolą uprawiać będzie, ale razem i ogólnem dla narodu, przez podniesienie się rolnictwa, pożytek przyniesie.

Pomyśli i nad tem roztropny prawodawca, ażeby wieśniak, nad wypłacenie się dworowi, do niczego więcej pociąganym nie był. Dla tego poznosi owe po wielu miejscach narzuty dworu dla poddanego, jako też zabroni i tych zakazów dworskich, gdzie wieśniak produkta swoje samemu tylko dworowi sprzedawać bywał przymuszony. A tak będąc panem domu, gruntu, i jeżeli się opłaty podjął, całego czasu swojego, będąc wolnym w przedaży produktów swoich, gdzie zechce, i komu zechce, oświecony od plebanów w powinnościach swoich istotnych, rządzony od własnej zwierzchności słodyczą i sprawiedliwością ojcowską; wspomagany od dziedzica radą dążącą do pomnożenia majątku jego, zaratowany czasem i pieniądzmi, na tenże koniec poprawienia losu wieśniaka danemi; znajdzie w sobie i przemysł i ochotę do polepszenia bytu swojego.

I ponieważ drogą upodlenia człowieka nigdy z nim na dobre nie wyjdziemy, kiedy jeszcze wieśniak i szanowany będzie ([18]), co rozumiemy, jakie ztąd na naród cały pożytki spłynąć mogą? Szczęśliwy rolnik lubiący pana, który go uszczęśliwia; prawo narodowe, które mu to szczęście zabezpiecza; i rolą swoję, która go żywi; będzie razem lubił i naród, którego stałością stoi. I kiedy teraz jak niewolnik bić się za pana nie chce, którego (czasem przyciśniony) za przygodą radby i odmienił, w tenczas w potrzebie da dziecię swoje na żołnierza krajowego, wtenczas da ochotnie majątek, albo w razie gwałtownym stanie i sam bronić

zagrody własnej i panów swoich, którzy mu ją dostatkiem napełnili ([19]).

Za co ci stanie obywatelu zacny ([20]) ta słodycz, której serca dobroczynne doznają, zrobiwszy kogo szczęśliwym? Wywiodłeś ociężałego przedtem poddanego twojego na rolą, pokazałeś mu ziemię pełną pożytków, i ręce jego zdolne do pracy; potem szczęśliwem urządzeniem we wszystkich osadach twoich poznosiłeś ciężary z wieśniaka twojego, przy samej tylko opłacie z gruntu zostawiwszy; a tym sposobem i wieśniak twój dzisiaj zbogacony, i przychód twój roczny we dwójnasób pomnożony; i co ty częściej powtarzać lubisz, jeszcze cię poddany twój przyjacielem swoim nazywa.

Obywatel prawodawca tak utwierdziwszy religią, króla i kapłana; obmyśliwszy edukacyą przyzwoitą dzieciom szlacheckim, ustanowiwszy sprawiedliwość, handel i nauki; miasta przywilejami pożytecznemi, i wsie prawami na ludzkości założonemi opatrzywszy; słowem: różny lud, massę całą mieszkańców kraju składający (pokazując im wszędzie ich szczęśliwość i dobro własne, z dobrem powszechnem połączone), różnemi drogami do usługi ojczyzny sprowadziwszy; kiedy to wszystko w narodzie swoim porobił, niech potem na siebie spojrzy, kto też on jest, co tak wiele dokazać mógł? I z robót swoich niech stan swój oszacuje. Jakże wiele ten o sobie myśleć powinien, który o wszystkich myśli!

Szlachcic każdy ma się mieć za nieopłaconego, bo jeden... kraj cały ratować może, a dając szczęście i stałość narodowi całemu, rzecz zapewne daje nieopłaconą. Służąc ojczyznie nie dla nagrody samej, ale więcej na wysokie swoje baczny powołanie, cnota obywatelska największą mu nagrodą będzie. Wszelako ojczyzna dzieła wielkie dla zachęcenia drugich nagradzać winna; ale dary jej mają być i rzadkie i skromne; dla tego zaś, że będą imieniem narodu całego ofiarowane, wyrównają największym czynom obywatela, nie przez rzecz, która się odbiera, ale przez rękę, która ją dała. ([21]).

Ateny, pierwszemu Peryklesowi dały wieniec ze dwóch ruszczek oliwnych śpleciony; potem dawano i złote wieńce, ale już bohatyrowie nie byli Peryklesami. Każdy szlachcic, aby ojczyznie służył, wcześnie jest od niej zapłacony. Dała mu ona wolność, i gdyby ją szacować umiał, dosyć ma na tem ([22]).

Wolności! o tobie lodowatych krajów mieszkaniec, równie jako i przypieczony słońcem ziemianin wzdychając myśli; do ciebie człowiek każdy wrodzonym instynktem przestrzeżony podnosi ręce; a ledwie milionowa część ludzi jest wolna. Brazydas, nie chce skarbów Persyi, które mu Satrapa, chcąc go zatrzymać, ofiaruje. „Ty nie znasz (odpowiedział), tylko twoje bogactwa, a ja znam i te, i wolność w Grecyi.“ Brazydas umiał sobie wybrać szczęśliwość; bo wolność, ani jest uboga, ani bogata, ale jest wolność.

Polski tedy obywatel, byle tę wolność swoję zrozumiał, i na dobre jej zażywać chciał, im wyżej podnosi się nad inszych ludzi, tem więcej stan swój wysoki szanować ma. Zdrada ojczyzny w osobie zdradzającej niszczyćby szlachectwo powinna, bo dziecię na matkę porwało się; i kiedy jej darów niewdzięczne było, zdaje się, że się i niegodnem stało. Zamięszanie domowe narodu kończy się zwyczajnie zgubą jego. Kochający ojczyznę obywatel przyjdzie do zakłóconych nie z mieczem, ale z radą pokoju; bo gdy się uzbraja część obywatelów przeciwko częci, jakoby jedna ręka przeciwko drugiej uzbroiła się, ażeby się wzajemnie kaleczyły.

Upadanie podłe w złej doli każdego jest hańbą. Stań śmiało w przygodzie obywatelu! Wszelako nie ślepy na wyraźne niebezpieczeństwo, roztropnie opierając się przypadkom, z mężną cierpliwością czekaj nadziei lepszej; a wstydzić się nie będziesz, choćby i upaść przyszło, bo jak wielki człowiek, niezgięty, ale złamany chyba upadniesz. Wszystko, co nie jest występkiem, nikogo wstydzić nie może.

Dlatego, jeżeli cię obywatelu, los twój chciał mieć ubogim, nie poniżaj się ubóstwem twojem. Szlachetny Focyon, gdyby się chciał był upodlić, okazałby się do-

statkiem między najpierwszemi, a on po tylu zwycięztwach i cnotach boso środkiem. A ten sam sobie wodę niesie! lud go cały okrzykami do niebios wznosi, a bogacz spojrzawszy nań z góry, zapomniał razem o skarbach swoich, i tylko zazdrości chwale Focyona. Nie wstydź się obywatelu, służyć nawet równemu sobie szlachcicowi ([23]). I chociaż ojczyzna obowiązana jest, jak matka myśleć o dzieciach swoich, ażeby te, jej tylko służąc, (co właściwym stanem szlachcica jest) za usługę z powszechnego chleba żywione były, przecię jeżeliś się w wojsku, albo cywilnie zażyty pomieścić nie mógł, nie wstydź się służyć równemu. Myśl tak, jak gdyby cię brat twój wspomagał przez miłość; a czyń tak, jak gdybyś przyjacielowi twemu służył przez przywiązanie.

Próżniackie tylko życie ([24]), i podłych szukanie zysków przez pochlebstwa, niedotrzymanie danego słowa, sianie niezgody, potwarze, krzywdy, i tym podobne występki, jak wysokie szlachcica urodzenie znieważają; tak poczciwość w całej swojej rozciągłości wzięta, tak dbanie o dobro kraju swego w każdej przygodzie, człowieka obywatela od inszych ludzi rozróżnić ma, jeżeli chce, i nadziejom ojczyzny i swemu powołaniu odpowiadać.

Mości Panie Szczęsny! Potrzeba tylko urodzić się szlachcicem, ażeby się nim nazywać; ale jakże wiele robić przynależy, ażeby się kto sprawami swojemi szlachcicem pokazał.

PRZYPISKI.

do listu o rzeczypospolitej.

(¹) Dawni Grecy i Rzymianie w swojej gymnastyce, i w inszych sposobach zaprawienia dzieci do życia twardego, byli pilnemi. Naszych wieków miękkie młodych wychowanie, robi ich niecierpliwemi na niewygodę, tak razem i oni na tem i ojczyzna szkoduje.

(²) Pierwsze wrażenia na umyśle dziecięcia, są zawsze najtrwalszemi. Dla tego zaraz od lat niemowlęcych niech dziecię to widzi, słyszy i robi, co mu na całe życie przydatne będzie; a powtarzając mu jeszcze toż samo częściej, będzie przez nałóg robiło dobrze; jak przez częste powtarzanie i inszych rzeczy nałogu nabieramy.

(³) Coś jest wrodzonego człowiekowi, groby ojców swoich szanować. U dawnych narodów było to między pierwszemi punktami wiary. Teraźniejsze nawet zacząwszy od Chin, (którego państwa Cesarz niedawno zmarły, pięknemi wierszami podróż do grobów ojców swoich opisał), przez Azyą i Afrykę idąc, sam dziki Amerykańczyk od nikogo nienauczony, prawo to w sercu swojem poczuł, kiedy Anglikom w północnej Ameryce głębiej w puszczа posuwającym osady swoje, Kacyk jeden powiedział: „Wy dalej pomknąć się nie możecie, bo tu są groby ojców naszych; którym nie powiem: wstańcie i usuńcie się A my ich też nie odstąpimy“

(⁴) Rzymianie dzieci swoje do tego wszystkiego zaprawiali, co tylko podczas wojny przydatne im być mogło. Robienie ręką składne, dźwiganie ciężarów, rzucanie kamieni, ubieganie się w zawody, wszystko to, do ćwiczenia dziecinnego należało. Oprócz tego jeszcze do żadnego w Rzeczypospolitej urzędu żaden tam przyjść nie mógł obywatel, który pierwej dziesięć lat w wojsku nie służył.

(⁵) Dzieci rzymskich senatorów chodziły ze swymi ojcami na radę, dla uczenia się prawa. Sędzia mniej śmiał przy dzieciach mają-

cych rozum, (aby ich nie zgorszył) sądzić niesprawiedliwie; a dzieci poznawały wcześnie i sposób toczenia prawa, i rodzaj kary na różne występków rodzaje.

(6) Złe skutki z wysłania dzieci za granicę z wielu bywają przyczyn. Już to jest pewna, że pierwsze wrażenia na umysłach dzieci trwalszemi są zawsze, niżeli późniejsze. Dziecię napatrzywszy się pierwej miast pięknych Europy, a powróciwszy do kraju, widząc mało coś podobnego w narodzie, tęskni do tego, co gdzie indziej poznało piękniejsze. Widząc przytem za granicą rząd inszy, sposób myślenia tamtejszych obywatelów odmienny, a czasem i nagany narodu swojego słysząc, obmierzi go sobie młodzian przed czasem; i choć potem do ojczyzny powróci, nie długo zabawiwszy kwapi się znowu za granicę, albo z tęsknoty do wolnego życia, za które tam nikomu nie sprawia się, albo znałogu włóczenia się, którego od lat dziecinnych nabył. Inszych skutków czekać należy, jeżeli dziecię, po odbytych naukach potrzebnych w domu, z człowiekiem rozsądnym kraj swój własny objeżdżać będzie. W swojej ojczyznie murów zwaliska, robota rąk dziadów naszych, nagrobki i obrazy bohatyrów krajowych, drzewa nawet wielkich ludzi rówienniki; wszystko to, silniej niż gdzie indziej mówi do nas; wszystko to młodego uczy pożytecznie. Poznanie przytem położenia kraju swego, czyli kto żołnierską, czyli cywilną drogą pójdzie, w dalszem życiu przydatne mu zapewne będzie. Podróże zaś za granicę w wieku doskonałym, i od ludzi już w kraju doskonałych czynione, pożytecznemi tylko będą: bo tak każdy z zagranicy potrzebnemi zbogacony wiadomościami powróciwszy, i kraj swój razem zbogaci.

(7) Ten co nie ma żadnej religii, wszystko zdaje się mieć za Boga, prócz Boga samego. Bo poruszywszy z miejsca swojego nieporuszone Bóstwo, cóż na tem miejscu postawi, na którem, dla samego rządu w narodach, coś być koniecznie postawione być powinno? Przysięga jedna, której celem bóstwo, utrzymywała od wieków, i po dziś dzień państwa utrzymuje; a w miarę gdzie ten punkt bywał osłabiony, i naród słabieć musiał. Polibiusz powiada, że za jego czasów przysiędze Greczyna nie można było wierzyć; ale Rzymianin szczerze przysięgał; ten Rzymianin który natenczas światu panował.

(8) Sławacy dawni, od których Polacy poszli, jest naród Sarmatów europejskich, którzy wraz z Wenedami osiedli między Elbą i Wisłą. Jornandes i Prokopiusz najpierwsi o nich piszą. Około roku 500, napadli na Niemcy; za króla zaś Francyi Dagoberta, na Francyą. Wierzyli w Boga jednego, który rzuca pioruny, a w którego ręku wszystkie losy ich są zamknięte. Sławianie przeszli za Dunaj za panowania Justyniana, gdzie napadli na Illiryk, i podobywali twierdz mianych od Rzymian za niedobyte. Nakoniec osiedli w Illiryku między Sawą i Drawą rzekami, która część Panonii dotychczas zowie się Slawonia.

(9) Grecy i Rzymianie w początkach, służyli Rzeczypospolitej bez żadnej zapłaty. Dzielili się tylko łupami zdobytemi na nie-

przyjacielu, do których w części i lud w mieście pozostały należał. Perykles najpierwszy żołnierzom Ateńskim płacę naznaczył. U Rzymian zaś 'dopiero około roku 400 po założeniu miasta, płacić żołnierzowi zaczęto.

(10) Stanisław Potocki, wojewoda ruski, na sejmie Grodzińskim r. 1784 darował Rzeczypospolitej regiment najlepiej zebranych i przystrojonych ludzi, który do śmierci swojej znacznym nakładem z własnej skrzyni utrzymywać miał. Przyczynił jeszcze i armat spiżowych 24 z tym na nich wypisem: *Civis me obtulit Patriae*.

(11) Ten poczciwy obywatel—który ochotnie dawał dziesiąty grosz zysku swojego rocznego, z dokładem, ażeby mu dziewięć pozostałych zabezpieczono — słowo mocne powiedział.

(12) Ateńczykowie mieli swoich Sofronistów, czyli dziesięciu urzędników, którzy postrzegali obyczaje młodzieży, i zamykali gorszących.

(13) Zbytki w obywatelach do upadku tylu narodów się przyczyniły. Ateńczykowie, zbici od Filippa pod Cheroneą, już nie powstali — i miękkością, rozkoszami i igrzyskami cieszyli się w smutku, aż do zawojowania ich ostatniego przez Rzymian. Rzymianin przeciwnie po tylu klęskach od Annibala, albo Mitridadesa, jak ów w bajce Anteusz, mocniejszy wstawał po upadku. Chrońmy się przykładu pierwszych, a do naśladowania drugich mjejmy pobudki.

Plato, w swojej rzeczypospolitej, prawa handlowania samemu tylko rządowi krajowemu pozwala.

(14) Prot Potocki, niezwyczajnym w Polsce obywatelowi przemysłem, handel podnosi. Przez czarne morze do Livorny, Marsylii produkta kraju przesyła. Wszystkiego, co tylko może, w handlu krajowym dotknie, i szczęśliwie do końca przyprowadza. Zbogaca siebie dowcipem, a naród przykładem.

(15) W rzeczachpospolitych wymowa zawsze potrzebną była robót sprężyną. W Homerze Agamemnon do poczesnego mówi Nestora: „Rozsądny starcze, ty w wymowie Greków wszystkich przechodzisz! Wielcy bogowie! czemuż nie mam w wojsku mojem dziesięciu ludzi, tak umiejętnie mówiących w radzie, a wkrótceby się to miasto Pryama poddało.“

Trzeba wyznać, że...za panowania monarchy naszego, literatura polska we wszystkich prawie rodzajach, równie jak i umiejętności potrzebne, tak daleko podniosły się, że więcej za tego króla pism pożytecznych w różnych rodzajach drukarnie powydawały, niżeli prawie za wszystkich razem poprzedników jego wyjść mogło.

(16) Lud rolniczy, byleby mu los jego osłodzić umiano, bardziej zawsze będzie lubił ojczyznę swoję, niżeli lud handlowny; bo przyzwyczajenie się do jednego miejsca robi mu zagrodę jego słodką. A Holendrowie, naprzykład, handlem swoim świat obiegając, nigdy się dzisiaj z taką gorliwością o kraj swój nie bili, z jaką się z pod władzy Hiszpanów wybijali. Mają drugą

swoję ojczyznę w zachodnich i wschodnich Indyach, które są składem bogactw holenderskich.

([17]) Owe różne, w różnych prowincyach, a ledwie nie w każdej majętności, włoki, morgi, staje, sznury, pręty, łany: frankońskie, niemieckie, polskie, chełmińskie i t. d. gdyby przez pewną miarę gruntów, powszechnie na kraj cały naznaczoną, porównane były, nietylko dla samego wsi dziedzica wygodniej byłoby: bo majętności swojej z obcemi prędzej mógłby wziąć proporcyą, kupujący zaś pewniejszą wiadomość; ale też ogółem dla kraju całego pomierzenie i porównanie miary pola, z wielu okoliczności, najpotrzebniejsze byłoby. Toż myśleć i o porównaniu miar zboża w Koronie i Litwie, które ułatwia handel krajowy. Toż myśleć o wagach i łokciach, które po wielu miejscach, nie tak się surowo, jakby powinny, utrzymują.

([18]) Chiny, ten naród, od najdawniejszych wieków szczęśliwie utrzymujący się, winien zapewne potęgę i ludność swoję rolnictwu, w najwyższym stopniu tam zawsze kwitnącemu. Dobroć ziemi zachęca rolnika w Chinach do pracy; ale go zachęca więcej i rząd krajowy przez nagrody publiczne i poszanowanie dla wieśniaka czynione. Cesarz sam w pewnych dniach co rok wychodzi na pole—swoją ręką orze, sieje i zbiera w czasie. Rozdaje nagrody przemyślniejszym rolnikom, i niewstydzi się, niejako z nimi porównać się, ażeby tak z monarchów Azyi nikogo sobie równego nie miał.

([19]) Gdyby u nas wieśniak, jak u Szwajcarów, był zarazem żołnierzem w kraju, mówimy: żebyśmy się z czasem więcej własnych poddanych bali, niżeli bocego nieprzyjaciela. Dajmy im tylko jakąś ojczyznę, a bić się za nią będą wraz z nami.

([20]) Joachim Chreptowicz podkanclerzy lit. poddanych własnych we wszystkich wsiach swoich od robienia pańszczyzny uwolnił, płacę tylko, w miarę gruntu posiadanego przez wieśniaka, naznaczywszy. Może u niego poddany wyjść ze wsi, i do inszego dziedzica przenieść się, ale tego nie zrobił nigdy, i owszem wsi jego ludniejsze są nad sąsiedzkie. Może u niego poddany z cudzej wsi trunki sobie sprowadzać, albo swoje wyrabiać, ale do tego nieprzychodzi, bo miłość pomnożenia majątku swego oduczyła go pijaństwa... a... przekonany pożytkiem własnym, uprawia rolą najpilniej, i nawet o handlu przemyśliwa. Lat kilkunastu praca obficie mężowi temu nagrodziła się! ma dzisiaj wieśniaka swego bogatszym, przychód swój roczny w dwójnasób pomnożonym, i słodkie wspomnienie, że ludzi zrobił szczęśliwymi.

([21]) Kościół święci zwycięztwo nasze pod Chocimem: to razem świętem obywatelskiem Chodkiewicza, który krajowi tę chwałę zdarzył, byćby powinno. Dawni Grecy swoim bohatyrom kaplice albo posągi wystawiali. My w Polsce posągów dla wielkich ludzi naszych, z woli narodu wystawionych, nie znamy. Mała ta nagroda, byle jak najoszczędniej dawana, wielkie za sobą pociągnęłaby do dzieł bohatyrskich zachęcenie. Na publicznem miejscu posąg wystawiony, do każdego z przechodzących, gada

o tejże cnocie, która na posąg zasłużyła; a skłonność w każdym człowieku, ażeby się unieśmiertelnić, zrobi chęć pełnienia dzieł nieśmiertelnych. Jeżeli obywatel mężny ubogim jest, naród winien go dostatkiem przyzwoitym opatrzyć, ażeby widział każdy, że nie darmo ojczyznie służy; jeżeli kogo dostojeństwa, albo majątek łechce, żeby drogą zasługi w ojczyznie starał się o nie. Ale obywatelowi, który mężnie i roztropnie w przygodzie jakiej stawił się, w czasie zgromadzenia narodu, szabla naprzykład z wypisaniem na niej dzieła bohatyra, imieniem całej ojczyzny oddana, ale przydomek do imienia przyczyniony, albo znak jaki, dla różnienia się od inszych, publicznie od narodu zasłużonemu do noszenia pozwolony; ale nakoniec posągi żywym a wreszcie zmarłym wielkim ludziom w ojczyznie przez sejm naznaczone, i tym podobne nie tak kosztowne, jako bardziej pochlebne dla uczynienia komu sławy, albo nieśmiertelności nagrody, najszczęśliwsze skutki za sobą pociągnąć mogą.

(22) Znaczenie tego słowa Wolność, nie przypomina nam tego drugiego słowa: Porządek; i człowiek, idąc za skłonnością woli swojej, częstoby krzywo poszedł, dla tego rostropność drogami jej kierować powinna, ażeby użycie tejże wolności na wybraniu tylko między dobrem i złem zależało, pełnienie zaś rzeczy szkodliwej zupełnie jej zabronione było. Oto jest prawdziwa wolność szlachecka, jaka w porządnej Rzeczypospolitej byćby tylko powinna.

(23) Służyć ojczyznie, albo królowi swemu, jedna tylko służba jest, która nietylko nie poniża, ale jeszcze chwałę czyni służącemu, jaką miewa ten, kto się matce swojej, albo ojcu wysługuje. Przecież i poczciwa służba szlachcica, równemu szlachcicowi, szpecić nie może; i marne nad tem uwagi szlachty innej europejskiej narobiły tyle dystyngowanych żebraków i próżniaków szkodliwych w społeczeństwie. Lepiej zapewne służyć szlachcicowi, niżeli w nieczynnem ubóstwie, wtenczas kiedy pracą poczciwą, mógłby się pięknie wyżywić, podłemi zabiegami spuszczać się na względy i dary cudze, które zawsze upodlają odbierającego, kiedy nie są dane od ojczyzny, albo króla, od krewnego, albo przyjaciela, jeżeli kto był szczęśliwym znaleźć prawdziwego. W rzeczypospolitej Acheów nie wolno było ani partykularnemu nikomu, ani nawet narodowi całemu brać darów od potęgi jakiej zagranicznej. Eumenes, król Pergamu, ofiarował Achejczykom 120 talentów — i namyślano się w zgromadzeniu: czyby mu za to wojny nie wypowiedzieć, że ich tym darem upodlić chciał. Apolloniusz z Sycyonu z kolei mówił: „Dziś ten dar z siebie niewinny jest; ale o nim Eumenes nie zapomni. Zechce nas kiedyś uszkodzić, albo upodlić; my nie będziemy śmieli odmówić mu, bo zawsze za nim dar jego mówić będzie.“

(24) Życie próżniackie, nietylko szlachcica, ale każdego w szczególności człowieka, i kraj cały razem pokrzywdza. Jeden z cesarzów chińskich powiedział: „Kiedy w jakim kącie państwa człowiek próżnuje, w inszym kącie drugi z głodu umiera.“ U Persów zaś dawnych trzy były naczelne prawa narodu:

Ni zadłużać się, nie zmyślać, i niepróżnować.—Niech tedy wieśniak pilnuje roli, kupiec handlu, rzemieślnik wydoskonalenia rękodzieł, kapłan świętych stanu jego powinności, a obywatel niech wspiera ojczyznę radą, majątkiem, albo żelazem. A tak życie czynne każdego stanu, ponieważ za pracę tylko niebo nam wszystko przedaje, będzie każdego z osobna człowieka, i razem narodu całego uszczęśliwieniem.

ROZMOWY
PLATONA
Z UCZNIAMI SWOIMI.

DO NAYJAŚNIEJSZEGO
ALEKSANDRA I.
IMPERATORA ROSSYJSKIEGO
PANA MIŁOŚCIWEGO.

NAYJAŚNIEJSZY IMPERATORZE!

Jakżeto wiele narodów i ziemi twojej słońce oświeca a Ty je uszczęśliwiasz!..Tak jest, gdzie tylko twarz swoję obróciłeś, szczęściem do ludów uśmiechasz się; a sam jeżeli kiedy smutnym byłeś, to chyba wtenczas, gdy wspomnisz jak Tytus, że Ci się nie zdarzyło w dniu jakim dobrze komu uczynić. Imiennik twój, gdzie tylko poszedł, niósł z sobą krzywdę i spustoszenie; Ty, spokojnie rozleglejszą część świata od tamtego posiadając, wszędzie rozsyłasz łaskę i sprawiedliwość; a tak Tyś u nas większy od Wielkiego Aleksandra. W dziele tem, które Ci Najjaśniejszy Panie, ośmielam się ofiarować, Platon z uczniami swoimi: o poprawie człowieka, o cnocie i szczęściu jego rozmawia. Jeżeli mnie ta książka moja przeżyje, kiedy Wasza Imperatorska Mość, na czele jej jesteś położonym, ja z moim Platonem w zgodzie; on najpierwej powiadać będzie potomnym o cnotach Waszej Imperatorskiej Mości na wzór monarchom przyszłym; o Jego łagodności, i prawdziwie ojcowskiej dobroci, z którą jak dawne rossyjskie dzieci, tak i nas świeżo przybyłych przytulasz; a nawet język ten polski, ażeby Cię więcej

w świecie chwaliło języków, najłaskawiej przyjmujesz. Tylu krajowemi nieszczęściami przytępiona tkliwość serca. naszego..używać jej na nowo zaczynamy, czuciem słodkiej a tlej najżywszej wdzięczności naszej. To co miałem najmisze w domu, przynoszę Monarsze memu serce moje takiiego uczucia pełne:

Waszej Imperatorskiej Mości

Pana naszego Miłościwego

wierny poddany

Franciszek Karpiński.

PRZEDMOWA.

Platon Ateńczyk, syn Arystona, pochodził od ostatniego króla ateńskiego Kodrusa; a z matki, od Solona prawodawcy; tak ród jego szlachetny był między najpierwszemi z Ateńczyków. Z młodych lat ćwiczył się w malarstwie, muzyce i gimnazyach ciała umocowaniem, a... mając dowcip żyzny i mocną imaginacyą, chwycił się poezyi Epiki; ale porównywając swoje wiersze z Homerem, spalił je, i spodziewając się, że mu się lepiej powiedzie w trajedyi, gdy już aktorowie grać mieli na teatrze sztukę jego, poznawszy sławnego natenczas mądrością Sokratesa, zarzucił zupełnie pisma poezyi, i przy tym mistrzu do jego śmierci bawił, po której oddał się zupełnie naukom.

Odprawił podróże: do Włoch, do Cyreny, do Egiptu, wszędzie zbierając, coby go oświecić mogło. Był dwa razy w Sycylii u starego i młodego Dyonizego; z pierwszym, wolniej nieco umawiając się, mało życia nie stracił, i tylko na zaprzedaniu go w niewolą skończyło się; zkąd potem od przyjaciół wykupiony powrócił do Aten, gdzie w domu swoim przy ogrodzie Akadema spokojnie pisał księgi, i uczniów swoich nauczaniem się zatrudniał. Prócz inszych wielu, między pierwszymi uczniami jego byli: Dyon Syrakuzanin Arystoteles Stagirita, Speuzyp jego siostrzan, Ksenokrates Chalcedończyk, Demostenes, Phocyon, Eschines,

Hipperyd i Likurg Ateńczycy, wszyscy sławni ludzie w dziejach dawnej Grecyi.

Były także między uczniami jego i dwie kobiety: Lastenia z Arkadyi, piękna, ale rozwiązła kochanka Speuzyppa; i Axiothea z Achaii, panna najskromniejsza, która suknią męzką przyodziana słuchała nauk Platona. Cnoty jego i pisma, przy prawdzie śmiałe, zrobiły mu wiele nieprzyjaciół, którzy wszelako spokojności umysłu jego nie pomięszali. Był i najsłodszym i najpoufalszym dla uczniów swoich, którzy największe mu czynili uszanowania, nawet przez pochlebstwo tak do góry ramiona wznosząc, jak u niego naturalnie były podniesione. Miał twarz wspaniałą, ale zawsze zamyśloną; wejrzenie słodkie, czoło duże, piersi szerokie, powagę w chodzeniu, skromność w całej powierzchowności—i zacność jakaś się w nim na samo wejrzenie wydawała.

Wszystkie krainy Grecyi, jaki dla niego szacunek miały? pokazało się to na igrzyskach olimpijskich, gdzie się raz przez ciekawość widzenia znajdował. Z całej Grecyi kilkadziesiąt tysięcy zacniejszych ludzi zgromadzonych, sami nawet ubiegający się o wygraną, zaniechawszy zawodów swoich, powszechne czynili okrzyki Platonowi. Był skłonny do melancholii, równie jak jego nauczyciel Sokrates, często sam przydłużej chodząc zamyślony: po której zwyczajnie go weselszym widywano, i to mu zapewnie zdrowia nienadwerężało, jak długie podróże, po których był zawsze słabszym; ale potem jedząc i pijąc najmierniej, i jak można najmniej ulegając namiętnościom, poprawił zdrowie. W rocznicę urodzin swoich wesoł z przyjaciołmi, tyle jedząc i pijąc, jak zwyczajnie czynił, nawet kilka wierszy napisawszy poprawiając traktat swój o Rzeczypospolitej, bez żadnej choroby stracił razem pamięć, i w pośrodku przyjaciół, lat mając ośmdziesiąt jeden, umarł, przed Narodzeniem Chrystusa na lat trzysta kilkadziesiąt.

W pismach Platona widać często styl wyniosły; w jaki sposób pisania wprawił się pewnie w początkach, idąc drogą poezyi: wszelako skromna w prozie jego

wyniosłość nietylko nie odraża, ale nawet zachwyca, że go prawdziwie wymownym nazwać należy. Układając te Rozmowy Platona z uczniami swoimi, starałem się naśladować styl jego, i wiele myśli z pism jego wyjętych całkiem do tego dzieła przenieść, insze zaś, czasem niezgodne z teraźniejszem oświeceniem, odrzucić musiałem, albo nawet przeciwnie utrzymywać, kiedy dwudziestu dwóch wieków po Platonie wynalazki i dociekania tyle dawnego świata błędów poprawiły.

Dzieło to na dwie części podzieliłem — w pierwszej wyrażając: co człowiek, jak człowiekiem jest, wiedzieć i robić między ludźmi powinien; w drugiej tenże człowiek, jak pod rządem jakimkolwiek zostający sprawować się, albo rządzić ma inszymi ludźmi. Pierwsza część zamyka w sobie pięć rozmów, a w każdej z nich rozmawia Platon z uczniami swymi na wybranem w dawnych Atenach, albo w bliskości miejscu jakiemsiś stosownem do materyi, o której jest rozmowa. Tak Rozmowa pierwsza, o Bogu i nieśmiertelności duszy, jest przy kościele Minerwy na wybrzeżu Sunium. Druga, o wielkości i nikczemności człowieka, w Ceramiku, czyli przy grobach wielkich ludzi ateńskich. Trzecia, o cnotach i występkach, w rynku Pecyle zwanym, przy posągach zacnych cnotami Ateńczyków. Czwarta, o szczęściu, i nieszczęściu, bogactwie i ubóstwie, przy domie owego najsprawiedliwszego i razem ubogiego Aristidesa. Piąta, o obcowaniu między ludźmi i przyjaźni, w ogrodzie Akadema, gdzie publiczne Ateńczyków były przechadzki.

W drugiej Części: *) Rozmowa szósta, o rządzie w powszechności, czyli o królach, albo rzeczypospolitej, przy kościele Tezeusza pierwszego króla Ateńczyków; siódma, o prawie podczas pokoju i wojny, przy Areopagu. Osma, o ćwiczeniu dzieci, przy gimnazyum ateńskiem. Dziewiąta nakoniec, o miłości ojczyzny, w Cytadelli, w miejscu siły i religii Ateńczyków. Chociaż Ateny, jak i cała Grecya w czasach Platona były

*) Części II, nie ma w dawniejszych wydaniach, zatem i tu umieszczoną być nie mogła. Przypisek wydawcy warszawskiego.

bałwochwalne, przecież wielu dawniejszych mędrców, a potem Sokrates, jedność bóstwa utrzymywali: Platon zaś, jak się w pismach swoich z tem wydał, samem dociekaniem rozumu przyrodzonego jednego także wyznawał Boga, o którym jaśniej i śmielej, jak w pismach, między uczniami swemi rozmawiać mógł. Dla tego w pierwszej Rozmowie widać jego religią naturalną, jakiej tylko człowiek rozumem swoim dosięgnąć może.

Nie wszystkie w tem dziele myśli są mojemi; może dziesiąta część cudzych, z Platona i z inszych autorów zebranych. Kiedy między ludzi to dziecko moje wychodzić ma, ustroiłem go tak tem, co chata uboga miała, jako też pożyteczną od drugich przystojniejszą odzieżą. Ani zatrudniałem się cytowaniem, zkądby myśli cudze wziętemi były, bo to czytelnikowi na nic niepotrzebne, i tylko powiększa książkę, a nic to nie przyczynia ani do słodyczy czytającego, ani do poprawienia go w błędach, że ta myśl poważnego jakiego pisarza myślą była. Tak jest, celem moim jedynym było, ażeby to dzieło, jako o tem traktujące, co najpierwej człowiekowi potrzebnem jest, wszystkim, a najwięcej ćwiczącej się młodzieży, mającej wychodzić na świat, użytek jaki przyniosło. Szczęśliwy jestem, jeżeli zamiarowi mojemu dogodziłem... I kiedy ocierając się między ludźmi, przez zdrożności moje, wielu z nich popsuć mogłem, jestem najlepiej za pracę moję nagrodzony, jeżeli kogo ten mój Platon poprawi.

ROZMOWA I.

O BOGU

I NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.

Rozmowa ta jest nad morzem na wybrzeżu Sunium, przy kościele Minerwy. Wchodzą w nię: Platon, Dyon syrakuzański, Speuzyp siostrzan Platona, Aristoteles, Ksenokrates, Phocyon, Demosten, prócz inszych uczniów Platona.

Platon: Ta Minerwa, której to kościół, nie jest oddzielnem bóstwem, ale istotną własnością Boga. Jego mądrość jest Minerwą, sprawiedliwość Plutonem, opatrzność Cererą, Apollo, przewidzeniem. Człowiek na różne potrzeby, któremi był przyciśnionym, różne sobie potworzył bóstwa, niepomyśliwszy, że inaczej Boga wystawić sobie nie można, tylko jako jednego, a dostarczającego wszystkiemu. Bóg powinien być wszystko mogącym i nieograniczonym, oto przyczyna, że jeden tylko być musi: bo gdyby ich więcej być mogło, pierwszy nie mógłby wszystko, nie mając mocy na drugiego; ani dwóch nieskończonej rozległości pojąć można, żeby się granicami swojemi nie stykały. Bóg powinien być bez początku, bo Bóg poczęty ustąpiłby miejsca temu, który go począł; a ztąd wniosek wyraźny: że co trwa niezaczęte, trwać musi nieskończone.

Tak o nim myślił Tales nieśmiertelny, wierząc, że napełnia wszystko i widzi, a nawet myślom naszym przytomnym jest; Orfeusz go źródłem wszelakiego życia, Hezyod miłością, która między tworami zgodę utrzymuje, a wielu dawnych początkiem bogów i ludzi twierdzą. Assyryjczyk nazywa go Belusem, Egipcyanin Serapisem, Greczyn Jowiszem, insze narody inszemi imionami: ale Bóg nie zna imienia, bo któż go przed zaczęciem wieków i świata nazywać, albo kiedy, jeden jest, kto go od innych imieniem rozróżniać miał? on jest to co przez siebie samego jest, a ma coś podobieństwa do najlepszego ojca.

Takim Bóg z natury swojej być musi; ale że pewne Bóg jest, wszędzie się mięsza, i wszystkiém rządzi: niebo i ziemia świadkami. Jednym rzutem oka swojego obziera on światy, unoszące się w przestronności powietrza — i znajduje, że pilnie wypełniają powinność swoję. Przechodzi się po nich, trzymając w ręku początek, środek i koniec istności wszystkich, a sprawiedliwość za nim idzie. Roskosz i chwała, te skarby jego, tak dawno, jak jest panem, zawsze używane i zawsze nienaruszone leżą; on w nich nieskończenie bezpieczny, bo niema sąsiada, żeby mu jego napadał osady. Zawiesił gwiazdy jedne przy podnóżku tronu swojego, że się na wieki nie poruszą, a inszym powyznaczał gościeńce, którędy przechodzić mają, i niechybiła żadna ani czasu, ani miejsca przeznaczonego. Pytagorze! w zaciszu namiętności moich, często i mnie zdawało się, jak tobie, żem słyszał harmonią brzmiących przechodem swoim sfer niebieskich!...

Natura, ten robotnik bóstwa pod oczyma jego pracujący ustawicznie, mięszając razem kłótliwe z sobą elementa, wyprowadza miliony istot kształtem i skłonnościami od siebie różnych, i nad sobą wzajemnie dziwujących się; a pracując ogląda się często na pana, jeżeli w czem nie zechce biegu jej wyznaczonego odmienić. Ale istoty rzeczy wszystkich w klubach swoich stoją nieporuszone; naturze ludzkiej przygodne ich kształty odmieniać czasem pozwolono. A tem bardziej istotą bóstwa, chociażby światy jeden na drugi waliły

się, chociażby natura cała aż przy tronie jego zatrzęsła się, stoi nieporuszona: bo istotą jego całą moc jest, a mądrość mocą. Ztąd, czyli ma stłuc miesiąc, albo zagasić słońce, on tylko się samego siebie radzi. Tak jest, moc jego włada przez samę siebie— i dla tego może, że chce, a tak jego wola robi moc jego.

Widzimy w tak swornych obrotach gwiazd i planet konieczną potrzebę gospodarza jakiegoś, któryby to wszystko w porządku swoim utrzymywał; a za cóż przypuścić nie mamy, że i na ziemi ręka jego, albo wszystko porusza, albo w stanie spokojnojści utrzymuje? Bóg żywi dozorem swoim robaka pod kamieniem dyszącego, a od wiosny do zimy trwa uczta pańska, którą na powierzchowni ziemi twory żyjące częstuje, w czasach zaś zimnych, żywi je dobrocią swoją, nie ich zapasem. Bóg dobrym jest— i to wiemy, że bez dobroci pojąćby go nie można: dla tego też on się nie gniewa; a zkąd inąd, nic nie masz tak silnego, coby go dotknąć mogło; on się nie smuci, bo nic utracić nie może. Nie cieszy się, bo nic mu do jego szczęcia na wieki nie przybędzie; nie namyśla się, bo wszystkie prawdy w jednem wyobrażeniu, i wszystkie miejsca w jednym punkcie obaczył.

Za co Bóg o jednym czasie nie mógłby być na każdem miejscu? kiedy myśl człowieka w oka mgnieniu w najdalsze strony przenosi się, za cóżby on, tej myśli sprawca, nie zdołał być w momencie wszędzie przytomnym ?... On zawsze blisko ciebie, on w tobie jest i nim się ruszasz. A będąc świadkiem nie tylko spraw twoich, ale i najmniejszego poruszenia serca twojego, będzie kiedyś i sędzią, bo sprawiedliwym być musi, karząc albo nagradzając; wszelako nagroda jego zawsze wyżej zasługi, a kara niżej surowej sprawiedliwości była; on lubi nawet czynić najlepiej ludziom, chociaż go człowiek znieważa. Jam tego doświadczył; co mówię? ja sam od dzieciństwa mojego, gdziem się tylko obrócił, wszędzie litość jego zdybywałem; ani mnie jeszcze surowa sprawiedliwość, chociaż na nię zasłużyłem, nie przyciskała! Ztąd z miłosierdziem jego

oswoiwszy się, z nałogu łatwiej mi przychodzi kochać go, niżeli go się obawiać.

DYON. Wyznać potrzeba, że gdyby nie było Boga, nie byłoby i ciebie Platonie! On cię duchem swym natchnął, a ty nas uczysz o bóstwie. Ale często uważając ten w rzeczach ludzkich nieład, zdaje się jak gdyby Boga niebyło. Bo jeżeli Bóg jest, rządzi wszystkiem, i bez woli jego włos z głowy człowieka nie spadł; za cóż tylu zbrodniarzów szczęśliwemi? Za co tyle złego na ziemi? Zdaje się, że albo nie jest wszechmocnym, kiedy złym do szczęścia przeszkodzić, przygód zaś, które napadają na dobrych, zatrzymać nie może; albo nie jest sprawiedliwym, kiedy nie chce. Każdy szczęśliwy złoczyńca, mówi Dyogen, świadkiem jest przeciwko Bogom, kiedy wiek długi żyje w pomyślności.

PLATON. Z tego, co się wyżej powiedziało, to jasna prawda: że Bóg jest: bo coś być musi koniecznie początkiem rzeczy, która każda z nich sama siebie stworzyć nie mogła. Ale choćby przez niepodobieństwo Boga nie było, dla poskromienia zbrodniów, dobro narodów wyciągałoby tego koniecznie, ażeby bóstwo jakieś utworzone było, kiedy potrzeba, ażeby człowiek obawiał się tego, czego nie widzi, bo źle zawsze zrobić zechce, ile tylko uchronić się zdoła oczu tego, co widzi. Dlatego nie obalaj wiary, tej mocnej baszty, która cię strzeże, bo ośmielasz zbójców, żeby cię najeżdżali. Ty inaczej myślisz, Dyonie, ale ten który złośliwie przeczy istoty bóstwa, albo rząd jego znieważa, czyli sługa, żona albo przyjaciel będzie mu dlatego wierniejszym? Czyliż bezbożnik wmówiwszy w ludzi, że kary albo nagrody po śmierci nie masz, będzie w życiu swojem bezpieczniejszym, w powodzeniach szczęśliwszym? Czemuż ten człowiek nieprzyjazny przemożnemu bogaczowi postrach, a nieszczęśliwym ucieczkę odejmuje? Czego ten pies szczeka na pana swojego, z którego stołu żyje? On nie ma nadziei żadnej, bo jej i niewart.

Nie tylko tedy Bóg jest, ale i rządzi sprawiedliwie, chociaż niektóre niby przykrości przesyła na nas; bo większa część złego, która się ludziom przytrafia,

nie jest złem z natury swojej, ale tylko z sądzenia naszego, które o niem mamy. Tak prócz inszych śpiewa wesoło wieśniak kopiący grzędę, a płakałby przy tej samej robocie człowiek pieszczoch Fortuny, gdyby do tego stanu przyszedł. Ale wyższa przyczyna usprawiedliwia przygody, które się ludziom czasem przytrafiają. Czyliż Bóg dla jednego robaka ziemi, jakim jest człowiek, ma odmieniać układy powszechne natury, albo tamować nieznajome nam jej potrzeby? I ażeby się Platon w rozwalinach nie pogrążył, ziemia się trząść nie będzie? Czyliż ogół stworzenia szczególnemu któremu człowiekowi, nie zaś człowiek ogółowi służyć powinien? Z pomiędzy gruzów ziemi, z której wyszli, wysoko rozumem swoim ludzie podnoszą się; wszelako w porównaniu niezliczonych widomych i niewidomych istot, które ziemię, powietrze i nieba napełniły, jakże oni są drobni!...

Speuzyp. Ale złe fizyczne, jakiem jest dokuczanie głodu, zimna i niewygoda z niedostatku; ale więzienie, chłostanie, albo ran zadawanie przez zbrodniarza przemożnego cnotliwemu ubogiemu, czyliż potrzebne są na co ogółowi stworzenia, i biegowi powszechnemu natury? A kiedy bóstwo w takiego rodzaju nieszczęściach nie chce nas poratować, kiedyż nas ratować będzie? Raczej rzecz widoczna zdaje się, że los ślepy wszystkiem władnie na ziemi, i nawet tych więcej przyciskać lubi, gdzie słabsze znajdzie ramiona.

Platon. Myśleć nie można, Speuzyppie, ażeby Bóg, tylu tworami napełniwszy światy, los ślepy do rządzenia niemi przełożył. Ten, który umiał stworzyć, za cóżby nie umiał, albo nie chciał rządzić stworzeniem swojem? Z gwiazd i planet sworności postrzegamy gospodarza, który niemi kieruje, zacóżby ten sam nie miał rządzić i ziemią? Dom pustoszeje bez gospodarza, a rzeczy poziome na losy ślepe miałoby bostwo zostawić? Ja to czuję, że dusza, która mnie ożywia, jest nieśmiertelną, i oto usprawiedliwione bóstwo, kiedy pozwala cierpieć na ziemi cnotliwemu.

Dusza ludzka zrodzona w niebie, przeznaczeniem jej było szlachetność swoję pierwiastkową utrzymywać,

nie przedając jej za lada cenę na ziemi. Powinna była, jak zacny jaki podróżny, przejść tylko, i...zawistna godności swojej, z lada czem jej nie pospolitować; ale dążyć z powrotem do ojczyzny. Ogień gwałtownie z dymów dobywa się, i w górę do swoich znajomych ogniów, których pełne powietrze, wzlatuje; a człowieka namiętność trzyma przy ziemi, żeby się nie dźwignął ku Bogu, i zapomniał o wysokim początku swoim!...

W pierwiastkach świata dusza ludzka miała być dzielniejszą, i szlachetniejszych zapędów; teraz tego tylko w niej ślady pozostały w tym pięknym zapale i podniesieniu czasem myśli, którego często doświadczamy, a które zwyczajnie trwa tak krótko! Ale namiętności zwierzęce zwolna tępiły ostrość pojęcia jej, że wielu ludzi widzieliśmy, których ledwieby z przemyślniejszemi zwierzęty nie porównać. Wszelako dusza ludzka być musi nieśmiertelną! Powiedz, Speuzyppie, zkąd człowiekowi ten niesmak w rzeczach tych świata, i zaco ta dusza niczem tu na ziemi tak nasyconą nie będzie, ażeby do większej szczęśliwości nie dążyła, której dostawszy, znowu jak pierwej zostaje niespokojną?...

To będzie najpewniej, że poniewierając żądania swoje po rzeczach ziemskich, do mety, którę jej natura wyznaczyła, nie przychodzi. Każdy to wyznać winien, że Bóg jest; widzimy, że ten Bóg rządzi, i zgodzić się na to także potrzeba, że rządzi sprawiedliwie: bo niesprawiedliwość najmniejsza bóstwoby jego obalała. Jakżeby on okrutnym był względem samego tylko człowieka, tyle inszych tworów najszczęśliwszemi porobiwszy na ziemi!...Bez żadnych swoich starań zwierz i ptaszyna, odziane i żywione do sytości ciepłą czy zimną porą, wolne i wesołe darów ziemi tyle używają. Za cóż człowiek na tysiączne trudy potępiony, i jeszcze mu często na chleba kawałku zbywa? Jakiżto byłby rząd bóstwa, gdyby dusza, wraz z ciałem umierała, a cnotliwy człowiek za niewinną cierpliwość, po skończonem życiu na ziemi, nagrody nie miał?

Niech mówi, co chce Dyogen, że zbrodniarze, żyjąc długo w pomyślności, świadkami są przeciwko bo-

gom ich niedbałości o rzeczy ziemskie; ja pewny jestem, że i zbrodniarz ma jakiekolwiek cnoty, które bez nagrody zostać nie mogą — a kiedy żyjąc na ziemi, zapomniawszy wysokiego przeznaczenia swojego, samym tylko zaufał bogactwom, bóstwo jako sprawiedliwe tych mu udziela, i na tej ziemi za cnoty jego jakieś darzy go pomyślnością, którę sam sobie za cel ostateczny założył. Ale w życiu przyszłem nie siądzie on przy tobie, nie siądzie, mistrzu mój Sokratesie! wieczną szczęśliwością za cnoty twoje nagrodzony.

Arystotel. Wszakże i zbrodniarzom w tem życiu nawet nie wszystkim się udało. Cierpi ich wielu przemoc, chorobę i niedostatek; a zatem, gdy równym z cnotliwymi ulegają przygodom ziemskim, zdaje się, że stan nędzy cnotliwych dowodu nieśmiertelności duszy nie stanowi, ale bardziej, że los rzeczami ziemskiemi władnie.

Platon. Bóg wszystkich ludzi jest ojcem, i byleby człowiek sam żądał, do każdego z ratunkiem przyjdzie. Zbrodniarz i cnotliwy, jego to dzieci. Na cnotliwego dopuszcza klęski, żeby mu przyczynił zasług; a zbrodniarza czasem przyciśnie, ażeby go poprawił. Jeżeli Bóg w nierządach moich zostawia mnie, i nie leczy przeciwnościami, jużem zdesperowany od lekarza. Tak jest, że cię lubił Bóg, potrzeba było, ażebyś był czasem nieszczęśliwym. Nie było dziecięcia, ażeby go kiedy nie upomniał, albo nie ukarał ojciec. Ale chłostany od Boga jakąż ja ulgę w mym bólu czuję, wspomniawszy na sprawiedliwość i na cel tego, który mnie chłoszcze? Jego doświadczanie nas przez przeciwności jest jego nauką dla nas.

Ksenokrat. Wieluż tu ludziom, cierpiącym długo, gdy już wyniszczyła się ciarpliwość, rozpacz przychochodzi! i mimo tego ręka, która ich przyciskała, ani łzami, ani jęczeniem utrapionych dała się wstrzymać.— Zdaje się, że w takiem zdarzeniu Bóg o jednem dziecięciu swojem zapomniał, a niebo i ziemia zrobiły się kamienne na prośby nieszczęśliwego.

Platon. Taki miał być rodzaj choroby, że z nim tak postępować musiano. Pod przykrem żelazem leka-

rza jęczysz, lekarz zaś, nie roskoszy twojej tymczasowej, ala zdrowia szukając, leczy cię przecię. Gdybyś miał wiarę, że to cierpienie koniecznie z woli Boga było potrzebnem, wieleby ci zapewne bolu ubyło. Wszelako bóstwo, jak dobre jest, daje się czasem i uprosić człowiekowi. Nie w kamiennego ja wierzę Boga, ale go sobie wystawiam jak ojca, który lubi być kiedyś proszonym od dziecięcia swojego, chociaż mu nie wszystko na prośbę jego uczyni. Ani to z niego, ale raczej z natury próśb naszych wynika, że często wysłuchanymi nie jesteśmy: bo proszącym o rzeczy ziemskie bać się czasem należy, żeby nas Bóg na karę naszą nie wysłuchał — i światby prędko zaginął, gdyby niebo wszystkim modłom ludzkim dogadzało.

Focyon. Wyznaj, Dyonie, czyliżeś nie prosił Boga o ratunek cierpiącej ojczyzny twojej Syrakuzy? Czyliś wszystkich sposobów sam nie poruszył, ażeby była szczęśliwszą? A — mimo tak sprawiedliwego usiłowania twojego, i prośby Boga o rzecz najuczciwszą, bo o szczęście całego zgromadzenia — twoja Syrakuza w niewoli do tych czas jęczy.

Platon. Pewnie Syrakuzanie nie byli tego warci, że się to Dyonowi nie udało. Ale Bóg usłyszy z góry westchnienia upokorzonych, sądzi jednemi prawami wszystkich, i z wysokości tronu swojego spyta się królów! Prośby nasze powszechnie nie są takiemi, jakiemi byćby powinny. Dawniejszy Spartańczyk, póki się nie zepsuł, prosił Boga o piękne sprawy, jeżeli już miał dobre. Albo jak prosił inszy: „Boże! daj mi to, co widzisz najlepsze a wszystko złe odwracaj.„ Oto wzór prośby najmilszej Bogu i najpożyteczniejszej człowiekowi. My prosimy o coś ustawicznie; odebrawszy zaś tyle już darów, za które cały bieg życia nie wystarczyłby na samo tylko dziękczynienie Bogu, niewdzięczni za łaski przeszłe, domagamy się od niego przyszłych. Bóg na tej ziemi sporządził nam ucztę: i zdaje się, że jest jakąś nieprzystojnością godujących prosić o co więcej, ale należy być spokojnymi, na tem (poprzestając), co przed nami położono.

Demostenes. Kiedy przedemną goryczą tylko wszystko zaprawione położą i chleb mój codziennemi oblewam łzami, jakże mam być spokojnym? Zwłaszcza widząc siedzącego koło mnie najwygodniej żywionego zbrodniarza! Jak mam być spokojnym? w nieszczęściu od nikogo nie wsparty, zapomniany, albo pogardzony; w sprawie najlepszej odstąpiony, a czasem jeszcze ukarany. Bóg, mówimy, i sędziowie, dwie są ucieczki ukrzywdzonych; ale u tych sprawa niepewna, a u Boga często nie zaraz.

Platon. Na zły dzień bezbożnych Bóg zachowuje, i każda krzywda niezaspokojona u niego karą się tylko kończy. Ale nie zaraz, mówisz, sądzony u Boga zbrodniarz: nie wywołujmy przeciwko sobie wyroków Bożych, Demostenie. Któż z nas jest, żeby mu w czem nie przewinił? i gdyby karał zaraz, alboby ludzi na ziemi wkrótce nie stało, albo sami tylko byliby na niej nieszczęśliwi. Dla tłumu litości, którę bóstwo wyświadcza ludziom, ciężko dojrzeć, kiedy kto jeden będzie ukarany sprawiedliwością. Spuśćmy losy nasze na tego, który lepiej kierować umie. On nie może tak znienawidzieć człowieka, żeby mu wszystko samemi goryczami napełnił. Między temi kolcami są pewnie i róże, tylkośmy ich nie uważali. Nareszcie, dosyć to pociechy dla cnotliwego, kiedy sobie powiedzieć może: „Bóg widział sprawy moje."

Arystotel. Dajmy to, że kara Boga ściga człowieka obwinionego, ale widząc, że i niewinnych fatum prześladuje, zdają się wszystkie nasze starania i wszystkie prośby o polepszenie losu niepotrzebnemi, kiedy przeznaczenia ludzkiego nic odmienić nie potrafi.

Platon. Jeżeli tak szczerze myślisz, jak mówisz, Arystotelesie, czemuż z tej skały Sunium nie skoczysz na dół? Bo jeżeli niebyłeś przeznaczonym tą śmiercią zginąć, zginąć nigdy nie możesz. Człowiek nie ma takiego przeznaczenia, jak słońce, które codziennie wschodzić i zachodzić musi; ale ja czuję, żem przeznaczony, ażebym był wolnym. To prawda, że ojcowie nasi, największą mający podległość dla bogów, myśleli, że człowiek jest tylko narzędziem nieczułem w ręku Boga,

jak młot w ręku rzemieślnika, i dawny Greczyn mawiał: „Ja tylko dałem rękę, a Bóg nią zabił nieprzyjaciela.“ Ale kiedy wiara takowa rozum i wolą ludzką, które nam dano na używanie ich w każdej przygodzie, robi darami niepotrzebnemi; kiedy temu przeznaczeniu, czyli fatum, słaby człowiek nigdyby się nie oparł, Bóg, którego najpierwszą własnością jest dobroć i sprawiedliwość, i karałby i nagradzał bez przyczyny. Na cóżby dawał nam sumienie, które nas napomina? i po złej sprawie popełnionej zgryzotę, która nas zaczyna karać? I czyliż nie piękniej jest dla Boga i ludzi, że ten wspaniale utworzył człowieka wolnym, ów wolą swoję samochętnie i zupełnie jemu poddaje?

Ale mimo tego, jako wszelkiego tworu, tak i ludzi Bóg jest panem. Może karać przygodą albo nagradzać pomyślnością, jeżeliśmy na to zasłużyli. Oto tym sposobem w tem życiu losy nasze są w ręku Boskich— i to podobniejsze, że jacy będą ludzie, takie i przeznaczenie dla nich. Byłeś dla Boga dobrym, albo na jakąś nieznajomą tobie potrzebę chciał on cię w życiu zachować, dla tego nie ty sam, ani ten koń twój ulubiony wyniósł cię z niebezpieczeństwa wojny; a byłeś mu krzywym? zginąłeś i ty sam swoją ręką, i Bóg cię razem zabił sprawiedliwie. Ale, kiedy upada w boju cnotliwy Epaminondas, bóstwo dopełnia na ziemi chwały bohatyra, ażeby go jako ulubionego swego prędzej do siebie sprowadziło.

Z tego konieczna wypada potrzeba, żyć człowiekowi jak najcnotliwiej, i ulegać Bogu swojemu jak najzupełniej. Życie cnotliwe zrobisz sobie pełnieniem sprawiedliwości we wszystkiem, a podległość twojemu panu okażesz przez zdawanie się zupełnie na wolą jego, i przez prośbę rostropną. Bóstwo, jak dobry ojciec, zatrzyma czasem umyślnie dziecięciu łaskę, ażeby był proszonym o nią, i nie wspiera go zaraz, kiedy się nachylił, ażeby przywykał wołać o wsparcie. Dla tego o tę pomoc nietylko człowiek każdy w szczególności, ale i towarzystwa całe kołatać mają do Boga w każdej przygodzie swojej: bo jak o niego dbają narody, tak on je zwykł podwyższać, albo poniżać. Boże!

ty wszędzie jesteś, ażebym cię wszędzie w potrzebie mojej znalazł!... Do jakiejże mnie jaskini odludnej zaprowadzić chcecie, żebym tam Boga mojego nie zdybał!..Któregokolwiek kraju językiem zawołamy na niego, czyliż myślimy, że się nie obejrzy i nie poratuje nas, jeżeliśmy tego wartymi byli?

Proś go tedy, proś go każdy za siebie, nie zaś kto inszy za ciebie, proś go śmiało człowiecze! nie cudzym ty u niego jesteś!... On to ociera łzy nieszczęśliwych, i samo wspomnienie na to, że widzi mnie niesprawiedliwie cierpiącego, czyni ulgę bólowi memu. Nie bójcie się, ażeby o którym z was zapomnieć mógł: — ten, który zna po ich imionach dzieci niedołężne, i dostarcza żywności matce-ptaszynie i pisklętom jej, jakżeby o człowieku zapomniał? On kocha ludzi tak, jak żąda, ażeby się ludzie, będąc dziećmi jednego ojca, między sobą kochali. Jeszcze się niezbudzę każdego rana, już na mnie czekają dary od niego. Siadam potem z drugimi za stołem jego codziennym, gdzie nie marszczę się na gorycz, którą mnie czasem częstuje, bo on to wie lepiej, że może być ona najzdrowszą dla mnie. Tak myśląc, duch człowieka na chwilę z upału świata tego wznosi się ku niebu, i czuje ochłodę jakąś!...

Tak myśląc, we wszystkich zdarzeniach, jeżelim z mym Bogiem w zgodzie, śmielej w nim ufność, że mnie poratuje, pokładam, i śmielej go o łaskę proszę. Ale i sam też nie opuszczam nigdy rąk pracowitych, i używam sposobów z taką pilnością, jak gdyby wsparcie jego nie było mi potrzebnem, a w nim samym mam zaufanie takie, jak gdybym bez niego był razem bez sposobów żadnych dokonania dzieła rozpoczętego. Wszystko tedy rozpoczynajmy, Boga się pierwej poradziwszy; tak przy nim robota nasza pójdzie nam zręczniej, i dojdzie pewniej. Pracujmy zaś, ile możności, ustawicznie: bo jak sam czynnym jest zawsze tak najmilsza mu jest pracującej ręki chwała. Pamiętajmy nadto służyć wiernie Bogu swojemu, kiedyśmy w szczęściu, a on zapewne w nieszczęściu służyć nam będzie.

Ale my wspak prawie zawsze czynimy, kiedy w naszych tylko przygodach pomyślimy, że Bóg jest; czyli, wtenczas tylko w niego wierzymy, albo się do niego uciekamy, kiedy nam go potrzeba. Co do niego: on zapewne lubi tych, którzy go lubią... Ażebyś się światu podobał, wieleż ci to do tego talentów potrzeba! Miej tylko serce prawe, i dosyć na tem — już się Bogu twojemu podobałeś. Czystem to sercem i sprawami dobremi najdoskonalej bóstwo szanujemy. Tak Zeleukus Lokrom, a Charondas Sycylijczykom prawa dając, najpierwej o uszanowaniu bogów przez życie cnotliwe zaczynają. Nie na powierzchownych obrządkach jakich zawisła podległość Bogu twojemu, ani marnych twoich ofiar on potrzebuje: bo Jego jest wszystko.

Nie żąda on twojego złota; ale twojego serca, którego daru zawsze ci wystarczy. Najmilszym jemu ołtarzem jest serce twoje, a ty mu kapłanem i ofiarą razem. Kiedyś mu prawy, idź wtenczas śmiało w każdej potrzebie twojej do ojca, bo masz na sobie charakter dziecięcia jego. Ale w czasie bytu i pomyślności twoich nigdy na niego nie wspomniawszy, jakim śmiesz czołem przychodzić do niego potrzebą przyciśniony, i zmazanemi usty prosić go o co? Szukaj wtenczas inszego (gdyby to było podobne) Boga, boś tego zbrodniami swemi od siebie odraził.

Skończmy już mówić o Bogu, ktorego żaden rozum nigdy nie pojął, a tem bardziej słabe oko ludzkie nigdy nie widziało. My to tylko w tej ciemnocie, człowiekowi nieprzebytej, omackiem idąc, niektórych własności jego dotykamy; albo co nam o wielkości Boga ci jego dworzanie: słońce i gwiazdy powiadają albo czego nas mrówka przechodząc nauczyła.

ROZMOWA II.

O CZŁOWIEKU;

JEGO WIELKOŚCI I NIKCZEMNOŚCI.

Rozmowa ta jest w Ceraniku, czyli na cmentarzu Ateńczyków. Wchodzą w nią ciż sami.

Platon. Człowiek podniósł głowę swoję nad twory ziemskie, i pogroził reszcie stworzenia. Wszystko mu na ziemi ulega, co tylko żyje, i zdaje się, że tylko żyje dla niego. Dosięga myślą Boga, słońca i planet— a tak przybliża się do pokrewnych sobie ducha i ciała. Dziecko natury, przystraja matkę swoję...i sam rozumem swoim przybrał się w odzienie wygodne, znalazł powietrze zdrowe, pomierzył niebo, podbił wodę, i dobiegł lotu błyskawicy między chmurami. Rzekł żywiołom zawaśnionym: „ustąpcie, bo mam przechodzić“ — i dały mu miejsce przechodu. W potrzebie robi sobie chłody przez wykopane podziemne gmachy, albo na ziemi ciepło przez wytrzebione lasy niedostępne. Rozkazał morzu: „usuń się, żeby mi była ziemia przestronniejsza“ i usłuchało go morze. Płynie okrętem po grzbiecie jego, a to mruczy; ale słucha pana, który je podbił.

Wiatrów i ognia używa do wygody swojej, i położył tamy, któreby zatrzymywały ich natarczywości. Porusza wnętrzności ziemi, i dobywa z nich drogie kamienie, metale, sole i marmur dla pożytków, albo ozdoby swojej. Szpiegując skrytości natury zbiegł ją nad warstatem jej, i widział sprężyny, któremi działa. Poszedł na bagna niezbrodzone i lasy nieprzebyte, a pod nogami jego stały się polem urodzajnem i piękną łąką, że zdaje się, jakoby natura świat jeden wystawiła, a przemysł człowieka drugi. Rozum to ludzki ugłaskał jedne zwierzęta, które, dziesięćkroć silniejsze od człowieka, pracują cierpliwie na pożytek jego; drugie zaś, które w dzikości swojej pozostały, sprawnością swoją więzi, albo zabija. Wół wziął od natury siłę do znoszenia najcięższej pracy; koń, rzutkość, piękność i dzielność; lew zaś moc największą i śmiałość; a człowiek, który na swój udział wziął tylko rozum, zjada wołu, siada na konia, i lwią się skórą przyodziewa.

Człowiecze! pokazałeś mi, jak wiele możesz, a ja ci pokażę, jak słabym jesteś! Oto Ceranik, koniec wielkości ludzkich! gdzie mędrzec, albo bohatyr równie ze zdechłym robakiem ginie! Cmentarze, są to miasta najludniejsze, ale—cichości i pokoju; jakże jest wymowne milczenie popiołów tych!... Jakże toż samo nam powtarzać zdają się, co Sylen Midasowi powiedział: że możeby lepiej było, aby się człowiek nie rodził; a blisko tego, ażeby...urodziwszy się, zaraz i umarł. Dziecię z matki wychodzi na świat, którego tyle na ziemi trudów, tyle niebezpiecznej przeprawy czeka! Wychodzi z nasionami miłości i nienawiści, które z nim razem w potężne wzrastają namiętności, a te obiedwie wszystkie nasze zabiegi w życiu poruszają. Dziecię, jak mdłe i nagie, gdyby go niechroniono, zgniotłby poddany jego zwierz, albo żywioły! Królu ziemi! gdzież twego panowania znaki?...

Po przykrościach w dzieciństwie, po ostrości ćwiczenia młodego wieku, wiek męzki tysiące trudów odkrywa; potem przychodzi starość, w której pogardzają — i śmierć, po której zapominają o człowieku! Każdy z ludzi żyje pysznym, bo każdemu miłość własna po-

chlebia; a umiera niewdzięcznym, bo nigdy się Bogu, a często i ludziom niewypłaci. Zdrowie byłoby największym skarbem dla nas, przecięż my je niszczymy, jedząc bez głodu, pijąc bez pragnienia, spiąc bez potrzeby, i gniewając się bez miary. Namiętności nasze, jakże często pogardziły rozumem, tym sternikiem swoim, i na skopuł niebacznie zabiegły. Oświecenie się, czyli wiadomość rzeczy w człowieku, jakże wiele w nas żądań obudziło, które bez tego nigdyby znajomemi nie były! I kiedy dobro istotne, albo pozorne porusza w nas miłość własną, w tym razie rozum powinienby rozeznawać i miarkować jej zapędy; ale jakże często, gdy myślimy, że on nam panuje, namiętność jaka, rozumu pochlebnica, rządzi człowiekiem; a tak, jak owa pańska polubiona robi się panującą, i.. jak wiatr stały wszystko do jednego brzegu zaganiając, znajdzie zawsze przyczynę usprawiedliwienia się. Prócz tego, kiedyż w człowieku zgodziło się zupełnie to kłótliwe rodzeństwo: rozum z namiętnościami? Rozum kazał mi przed niemi serce zamykać, ażeby się tam nie zagnieżdżały: że jak tylko wnijdą, razem z sobą i niepokój wprowadzą; ale u mnie już były w domu, i trzeba z niemi codzień wśród mego podwórza walczyć.

Zostawmy namiętności nasze, z któremi każdy przez całe życie ma co do roboty; jakże to zkąd inąd nędznym jest człowiek, kiedy nie masz na świecie nic tak słabego i tak drobnego, żeby mu szkodzić nie mogło! Któż był, żeby od rana do nocy najmniejsza mu się przykrość nie zdarzyła? Odłączmy na stronę jednego na ziemi Sokratesa, który jednakiem przyjmowaniem zdarzeń wszelakich prawie się podniósł nad człowieka, i mówmy tak o reszcie ludzi, jakimi są powszechnie. Nasze nadal układy cieszy, prawda, i osładza nadzieja, ale zawsze przy niej stoi bojaźń, która do wszystkiego goryczy swojej przymiesza. A wstąpiłeś wysoko, bój się upadku; a stoisz nisko, czekaj w nędzy twojej upodlenia. Ten chodzi wzdychając i za każdym krokiem zdaje mu się, że na ciernie nastąpił, a on cierń w sercu swem nosi! w żadnem miejscu nic go niebawi, bo wszędzie z sobą siebie samego włóczy. Ów cnotliwy

w gnoju leży, i chociaż mu nie żal, że był cnotliwym, wszelako płacze! tym czasem życie bogacza bezbożnego szybko upływa z szumem, jak rzeka wezbrana, a mętna!... I nie myślmy, ażeby i on szczęśliwym był: zazdrość, pycha i sumienie, oto jest, co go udręcza. Rozum ludzki, ten dar dla nas największy, jakże on często staje się karą naszą!...

Anibym tyle ucierpiał z wniosków okropnych, które czynię, gdybym go nie miał; anibym tak często błądził, gdybym się nim niezagłębiał. Z czego tak marny człowiecze! możesz się chełpić? Życie twoje pełne kłopotów, jak pole dzikie, po którem idąc ledwie kiedy kwiatek nadybiesz. Nie kontent z dnia dzisiejszego, ustawicznie myślisz o jutrze, aż póki nie stanie jutra. To, co masz najlepszego: cnoty, talenta, umiejętność, nie możesz zostawić spadkiem dla dzieci swoich; zostawisz im albo ubóstwo, które uciska; albo majątek który obłąka; albo imie szlachetne, które nadyma. Jaki to człowiek! mówił Momus: ma oczy tylko na świat patrzące, a w siebie patrzących niema; ale on i do serca okna niema. Ta nakoniec ziemia, jest to więzienie napełnione samemi zbrodniarzami, potępionemi na śmierć: czas w momentach wyznaczonych jednego po drugim wyprowadza kogoś i zabija. Ród człowieczy, jak liście z drzewa, co już opadło i wiatr je po ziemi rozniósł, a na jego miejscu drugie zielenieć zaczyna tegoż samego losu czekając. Wypuść mnie Boże z tego więzienia! oto po mnie drudzy następują i robi się ciasno!

Focyon. O Platonie! Ja ubogi, że mała miedza w Atenach ledwie mnie wyżywić może! Nie zarobiłem na sławę, żebym miał względy; ani na wielu przyjaciół, żebym miał od nich wsparcie: a przecie nie żądam śmierci; ale codzień, jak mogę, walczę z przeciwnościami. Ciebie Grecya cała uwielbia, zagraniczne narody zazdroszcząc nam wspominają; — i gdybyś był w niedostatku, co nie jest, Focyon głodny przyniósłby ci jedzenie swoje: przecięż ty, żądając śmierci, chcesz nas porzucać. Któż od ciebie lepiej nam objaśni prawdy człowieka? I kiedy ty iść zaczniesz, któż się ośmieli iść pierwej?

Platon. Jużem się zestarzał, Focyonie, i niemogąc ludziom tak być użytecznym, jak żądam, wolałbym przyjść do śmierci, jak muszę. Człowiek, który w życiu starał się o cnotę, pogląda na grób swój jako na miejsce, gdzie złoży słabości i troski swoje, od których się uwolnić ma. Tak jest, umierający składa niewygodne odzienie, które używaniem przytarło się; czegoż się smucić, że wezmę nowe? i jeżeli to życie było dla nas po wielkiej części goryczy ucztą, czegóż się troskać, że się ta uczta skończy? Wypłaciwszy się, jak mogłem, ludziom, widząc się coraz do służenia im mniej zdolnym, usuwam się, jak ów po skończonym dniu swoim spracowany robotnik, któremu już siły na jutro nie zostało. Prócz tego, dusza moja po śmierci nie może być w ciaśniejszy kąt zamkniętą, jak była w ciele; i śmierć nieprzyzwoicie ktoś nazwał skopułem ona bardziej portem jest naszym! Próżne żądania i układy, które sobie starzec czyni, nie mając siedliska na świecie, wracają się nazad do serca jego i zdaje się, że Bóg umyślnie tyle przykrości do starego wieku przywiązał, ażebyśmy tak bardzo życia nie żałowali.

Dyon. Jeżeli nie dla ciebie, Platonie, to przynajmniej dla nas żałować go powinieneś. Ty albo przykładem, albo nauką poprawisz błędy, i tamujesz zapęd naszych namiętności. Pod okiem twojem nie mamy śmiałości rozgniewać się, zemścić się, chodzić za nierządem, i dogadzać miłości własnej; a bojąc się, żebyś czego po nas nie widział, przywykamy do cnoty, chociaż na nas nie patrzysz. Ale ponieważ nie tylko wiek podeszły, ale i my młodzi, ledwie nie codziennie w życiu przykrości doznajemy: naucz nas Platonie! co robić z tem sercem — które tak z natury swojej tkliwe, albo skłonne do złego — i z tym rozumem, który. . . z jednego nieszczęścia czyniąc sobie wnioski jeszcze okropniejsze, przydaje ciężaru tkliwości naszej?

Platon. Ty się odemnie jakiego ratunku spodziewasz, a ja nie lekarz; ale także chory: namiętności z latami stygną, nie niszczeją. W żywszym wieku jakże wiele napracowałem się z niemi!... W pierwszych

początkach zaraz je postrzegając, jaki cel mają, zapęd ich miarkować powinniśmy. Tkliwość serca dobra natura, dla jego dobra, udzieliła człowiekowi, i kto niema serca skłonnego do litości, mało mieć może cnoty. Ale każdy zbytek na złe wychodzi. Długo płakać nad stratą swego dziecięcia, albo przyjaciela, słabością jest; być zaś nieczułym w stratach takiego rodzaju, znakiem jest więcej twardości serca, niżeli filozofii. Mądrego rany rozum prędko zagoi kiedy głupi czasu długiego potrzebuje. Prawda, że rozum, w zdarzeniach ciężkich całą rozległość nieszczęścia rozbierając, większej mu przyczynia okropności; ale też onże sam, jak owa włócznia Achillesa, i zada i może ranę zagoić. Wystawia on człowiekowi piękność zwycięztwa, konieczność znikomości, i uczy go cierpieć bez mruczenia, co cierpi bez swojej winy.

Dogadzanie miłości własnej musi być często skrzywdzeniem cudzej; tak nie dba pieszczoch Fortuny, że się komu najgorzej dzieje, byle on sobie dogodził. Ale też za to wtenczas, kiedy zahartowany walką z losem cnotliwy tysiączną przeciwność pokonywa, pieszczoch Fortuny pod pierwszą upadł. Gniew, to krótkie szaleństwo, że z siebie ślepym jest, nigdy mnie dobrze nie prowadził; dla tego odłóż na potem, do czego cię porywczość gniewu zaraz pociąga; nie podżegaj gniewu słowami; ale słowami go twemi poskramiaj, tyle przynajmniej mocy nad sobą mając, ażeby ten zapał całe zwierzęcy rozumu twego z domu nie wygnał. Rozpusta słodką jest z siebie, i początki drogi jej kwiatem usłane; ale zawistna ta polubienica odrywa człowieka od wszystkiego, i... sama tylko chcąc nad nim panować, nieużytecznym go ziemi ciężarem robi a tym czasem krótka jej droga kwiatem usłana kończy się, i okropne skutki rozpusty dobijają przed czasem młodzieńca wyniszczonego; albo, jeżeli cokolwiek życia przewlókł, starości ciężary przed czasem dźwigać zaczynającego na większą karę w bólach ustawicznych przepędzają! Jakże to obelżywy widok!.... Oto ten rządzca ziemi unurzany w błocie rozpusty idzie,

a reszta tworów żyjących, w takowych żądzach skromniejsza, urąga mu!

Speuzyp. Nie chcę ja nigdy bronić rozpusty; ale wartby nieco pobłażania słabość serca ludzkiego, które z największą trudnością tej się namiętności opiera. Człowieka, chociażby najbardziej lubiącego cnotę, ale młodego, jakże wiele kosztuje zwycięstwo nad nią!... I niebo niespokojnie patrzy na wątpliwą walkę jego.

To było obojętne, żem spojrzał na przechodzącą przypadkiem Lastenią; ale obaczona twarz najpiękniejsza w momencie jednym przez oczy zapaliła mi serce, i przy niej mnie przez czas jakiś zastanowiła. Już mi rozum radził z nią się niewidywać. Jakoż mogłem o niej zapomnieć, póki przypadkiem nie zeszliśmy się w domu przyjaciela. Długo ukradkiem posyłane wzajemne na siebie wejrzenia, na końcu razem oczy nasze zbiegły się, i mimo zawstydzenia zobopólnego ośmielił się Speuzyp z Lastenią. Niewinnem pewnie zdarzeniem pierś jej odsłoniła się, i co tylko potem mówiła, zdawało się nam, że wszystko najgruntowniej było powiedziane: tak twarzy wdzięki, wzmocnione widokiem piersi najpiękniejszych, na stronę jej zdania wszystkich nas pociągnęły! To mnie najbardziej nęciło, że chociaż uboga, miała za sobą natenczas cnoty, o których głośno mówiono. Wszelako, mówmy co chcemy, przykład kobiety pięknej, a cnotliwej, to prawda, że nas wiedzie do cnoty; ale zawsze twarz jej rozkosz nam przypomina.

Kiedym pierwszy raz całował Lastenią, radbym był w tenczas całą moc życia mojego w usta moje sprowadzić; i kiedy w tym razie spojrzałem na nię, ona pewnie w oczach moich widziała najżywszą miłość, a ja w jej oczach nadzieję obaczyłem. Już na ten czas rozum mój był słabszym, i tysiącznemi nawet pozorami usługiwał namiętności mojej: bo widać to, że piękność ma prawo naturalne władania ludźmi, i zastawia w sercu naszym sidła na rozum, z których się wywikłać ciężko. Z czasem, albo dla wzajemnej skłonności do mnie, albo że się zdało tak myśleć Lastenii, że piękność bez pieniędzy jest rzeczą mniej potrzebną

w domu, (którę często i przedać można) majątek mój do niej się przeniósł, i więcej jeszcze: bo dusza moja nawet w niej więcej bawiła, niżeli we mnie samym, kiedym ją kochał.

Platon. Doświadczyłeś Speuzyppie, mocy twarzy Lastinii za pierwszem jej obaczeniem: zacóżeś, (jak mówisz) tak często poglądał na nię w domu przyjaciela? Niechby ten sam rozum odprowadzał cię od niej, jak za pierwszem zdarzeniem; o tak, sam pozwoliłeś wziąć nad nim górę namiętności twojej. Mówisz, że była uboga a ty majętny: Wyznaj sam teraz, gdybyś ty był ubogim, a ona bogatą, czyliżby z takim gwałtem namiętność cię opanować mogła? A ztąd wniosek, że tę pożądliwość zaufanie w majątku twoim bardziej podnieciło; a wniosek zawsze poniżający człowieka, żeś albo ty sam więcej od siebie dostatek twój otaxował, albo ona więcej pieniądze twoje, niżeli ciebie ulubiła! Wiele jest kobiet, które za pierwszem wejrzeniem wzbudzają miłość, ale oddalają nadzieję; ty wolałeś pójść za Lastenią, że ci ubóstwo jej robiło nadzieję, którą potem w oczach jej obaczyłeś.

Sam człowiek najczęściej nieszczęścia swojego przyczyną bywa, i nie może powiedzieć, że go odwrócić nie mógł: bo tylko nie chciał. Bądź czynnym zawsze użytecznie, a unikniesz rozpustnej miłości, która przychodzi z próżnowania, a żyje niespokojnością—i... chcąc przedłużać trwałość rozkoszy, nadewszystko ukraca życia. Czemuż chodzisz żebrając, kiedy możesz być panem w domu? Sądzisz, że Lastenia wszystkiego ci najszczerzej życzyła? wszystkiego; ale oprócz wstydu i rozumu. Na cóż się w takie więzy dobrowolnie podawać, w których tego obojga wyrzec się trzeba, a których potem ani znieść można, ani chce się ich zrywać? Rybom ponętą pastwa, a ludziom do zguby rozkosz — i zwierz to jakiś przemówił, że roskosz ciała jest najwyższem w życiu człowieka dobrem. Ona zdradliwą jest, i pod słodką powłoką truciznę kryje, a tak—razem szkodzi i oszukuje.

Arystoteles. Natura ze swojemi skłonnościami przychodzi do człowieka najpierwej i osiada go. Ro-

zumowi, który potem przyszedł ciężko walczyć z namiętnościami od dzieciństwa w ludziach zasiedziałemi; nawet ten sam rozum leniwym sługą jest: albo wcale nieprzyjdzie, albo często póżno przychodzi, że podobno lepszy u zwierząt instynkt, który je prędzej wspomaga. Ale ten rozum wyniosłże człowieka aż do panowania nad resztą całą tworów tej ziemi? Tak jest, i to też tylko pochlebia pysze jego, (chociaż zkąd inąd żartuje lew z tej wielkości ludzkiej, i... kiedy głodny, albo obrażony, rozedrze i pożera człowieka). Jednakże i tego nie zaprzemy, że natura ze swojemi namiętnościami nie tyle nam złego zrobiła, ile danym nam rozumem, który my jeszcze darem nazywamy.

Rozumowania ludzkie, nabywanie wielu wiadomości, rozszerzyły daleko sferę chuci człowieka, bo nie żądamy nigdy tego, czego nie znamy; i gdyby on schodził ze świata takim, jakim nań przyszedł, umierałby zapewne niewinniejszym. Że lepszymi się rodzimy, niżeli umieramy, cała to wada rozumu, nie natury: bo według jej rozporządzenia zwierzęta i owoce w swojej dojrzałości są lepszemi. A tak ten człowiek, to głupstwo rozumne, samą wielkością i ciężarem, przemagającym na stronę rozumu, upadł — który, gdyby był mniej miał rozumu, daleko byłby szczęśliwszym. Niewiadomość rzeczy, ta siostra niewinności, która się z nią razem urodziła, dana nam jest od natury, jak dobro wrodzone; czemuż człowiek rozumem swoim chce się zrobić lepszym, kiedy zyskowniej dla niego byłoby przy samej zostać niewinności?

Platon. Nie twój rozum, ale ty leniwym dla dobra twojego jesteś, kiedy rozumu w zdarzeniach napaści od twoich namiętności nie wzywasz. On zawsze będzie na doręczu, tylko ty uprzedź samego siebie i stale samemu sobie powiedz: „Ulegać namiętnościom nie będę, bo mnie upodlają, ale owszem tak niemi kierować chcę, ażeby nawet do dobra mojego przyczyniały się.“ Tak przygotowany nie stracisz przytomności w przygodzie. Widząc do tego, że pod tym zakładem życie udzielone człowiekowi, ażeby z sobą i ze złym losem walczył ustawicznie, przed przykrą for-

tuną nie zaraz, jak bojaźliwy, pochylisz się, ażebyś tak powołaniu swemu dogodził. Ale że instynkt zwierząt przekładasz nad rozum, wyznaj szczerze, czy chciałbyś z niemi zamiany? Obacz co człowiek rozumem swoim zrobił ze zwierzętami, a jak ich instynkt niedołężnym na człowieka. Niech zwierz jeden, choćby najdzikszy i najmocniejszy, z całą swoją siłą, a z drugiej strony człowiek z całym swoim przemysłem przeciwko źwierzowi stanie, człowiek zapewne zwierza pokona.

Prawda, że wiadomości ludzkie rozszerzały sferę żądzy człowieka; ale czyliż na to dana umiejętność, żeby jej na złe zażywać? Ona tylko twoją bronią być powinna, którą się w potrzebie zasłaniać masz; a ty tę broń przeciwko sobie samemu obracasz! A tak zawsze na tem się skończy, że rozum i wiadomość rzeczy są największym zaszczytem ludzi, i tylko złe ich użycie hańbą. Mówisz, że się lepszymi rodzimy, niżeli umieramy; jeżeli, jak się spodziewam, inaczej myślisz o Sokratesie, a cóż ci przeszkadza być Sokratesem? Mówisz, że niewiadomość rzeczy jest dobro wrodzone, bo nam ją dała natura; a wszakże i nagość dała natura, a przecięż się w potrzebie przyodziewasz, włosy i paznogcie przycinasz. Kimże ty być wolałbyś, czyli obdarzonym dobrami natury: zdrowiem, siłą i ogromnością ciała Polifemem, czyli rostropnym Ulissesem? Wszakże taż sama natura dała nam i rozum—a rozum taki, który nieskończenie może się wydoskonalać — czyliżby ona chciała napróżno tego nam daru udzielać?

Xenokrat. Przynajmniej wiele jest rzeczy, o których, lepiej byłoby, żeby był człowiek nie wiedział. Powszechnie mówiąc: rozumu celem jest, prawdę wyszukiwać; ale jakże wiele błędów nazbierał, niżeli kto na jednę prawdę natrafił? I za co to natura tak wielką nam dała ciekawość do wszystkiego, kiedy poznanie nasze tak jest ograniczone? Proch drobny, który nogami depcemy; ziele, kamień, i tam dalej, kto z ludzi chlubić się może, żeby zupełnie natury ich dociekł, i zgadł koniec, na który na ziemi położone? a bez przyczyny zapewne nie są namnożonemi, bo Bóg i natura nic nie robią nadaremnie. A tak, kiedy rozum

ludzki w tak drobnych rzeczach ustaje, czegóż się po gwiazdach zapuszcza? Zdaje się, że dosyćby miał do roboty z namiętnościami swojemi — i ten mędrzec co za najpierwsze w życiu prawidło człowiekowi naznaczył: „Znaj siebie“ wielkie słowo powiedział.

Platon. Stało się Xenokracie, że człowiek, szukając rozumem uszczęśliwienia siebie, wiele rzeczy takich wynalazł, które dla niego niepotrzebnemi, albo szkodliwemi były. Ale sam przyznasz, że przy tak ograniczonem poznaniu naszem, gdyby nam natura nie dała była tej ciekawości, jaką mamy, czemżeby ta ziemia była, i czem człowiek, który ją tak pięknie wykształcił? Że tysiączne błędy w szukaniu dobra założonego zdybujemy, czyliż dla tego szukać już prawdy nie trzeba? Że sieć twoja z wody same niezdatne żaby albo szkodliwą gadzinę wyciągnęła, czyliż nie zapuszczasz na nowo sieci, ażebyś potrzebną ci rybę ułowił? Ale skończyłeś najpiękniej, że dosyć roboty dla rozumu człowieka: walczyć z namiętnościami— i to powiedziane: „Znaj siebie“ znaczy ich poskramianie.

My jednak pospoliciej w pokoju z naszemi namiętnościami żyjemy, a na cudze tylko podnosić się wolimy. Jeżeli znasz siebie, jakeś powinien, poznajesz i słabość, swoję przez poznawanie siły swojej: nie pnijże się do rzeczy, którym sprostać nie możesz. Czemuż chcesz mieć wzrok taki, jak orzeł? słuch, jak wieprz dziki? albo jak sęp powonienie? Kiedy z takiemi zmysłami, jakie posiadasz, bóstwo chciało cię utworzyć, znać, że mu takiego człowieka potrzeba było, ażeby on mógł zgnieść mrówkę, a słoń jego, — i na tem zaspokoić się powinieneś. Czemu tak wysoko aż ku gwiazdom wzlatujesz i nie masz bojaźni, ażebyś ciężarem swoim nie zleciał w błoto, z któregoś wyszedł? Nie znasz ziemi, a rozgraniczasz między sobą planety! Zbierz myśli twoje nad samemi tylko obowiązkami, ciebie, albo dobra ludzi, twoich braci, się tyczącemi. Czemu, o tych istotnych twoich zapomniawszy powinnościach, biegasz żądzami twojemi za tysiącem przedmiotów, i dobrowolnie robisz się, jak ów chory, niespokojnym, który z miejsca na miejsce przenosi się,

a wszędzie jest chorym. Pomniąc, jak wyszedłeś na świat, i jak z niego schodzić będziesz, jakże mało rzeczami zaspokajać się powinienbyś! ale od mleka i pieluch, dwóch tych drobnych w dzieciństwie wojem potrzeb, często ci potem największe królestwa nie wystarczają.

Znaj siebie, a znać będziesz i inszych ludzi — oto wielka zasada towarzystwa: bo czego sobie nie życzysz, tego drugiemu czynić nie będziesz. Czyń nawet dobrze inszym, ile tylko wydołasz: bo nad tę jeszcze wielkość, którą pokazał człowiek w przyozdobieniu ziemi tej, większym jest każdy, który wielu dobrze uczynił. Żebyś spokojność duszy, jak można, zyskał, pogardzaj ślepemi losami; niemiej wiele przywiązania, wiele zatrudnienia, i wiele nadziei. Chciej to, co mieć możesz snadnie, a będziesz miał to, co zechcesz. Bieży wiek cicho i zdradza mieszkańców świata! a tym czasem człowiek zakłada gmachy, których nie dokończy, albo snuje w głowie układy, których nie zacznie, i tak jest niebacznym, że nie wiedząc, na którem miejscu śmierć go nadybie, nie dba o siebie, żeby przygotowany czekał jej na każdem. Grób jest końcem powszechnym, a na tę jednę drogę do grobu wszystkie nasze gościńce schodzą się, czyli kto z ubogiej chaty, o nędznym kęsie chleba, czyli z pańskiego gmachu, otoczony tłumem służebnych wyszedł.

Patrząc powszechnie na ziemię, tak przemysłem człowieka wykształconą, szczególniej zaś na naszę Grecyą tylą wspaniałemi miastami ozdobioną, patrząc na te piękne Ateny, nad które ziemia nic wytworniejszego nie pokaże, a razem stojąc nad temi popiołami Ceramiku, wspomniawszy na tyle słabości, które i najwięksi ludzie miewali, jakże myślicie, czy wielkość, czyli też nikczemność ludzka przemaga?...

ROZMOWA III.

O CNOTACH I WYSTĘPKACH.

Rozmowa ta jest w Pecyle, czyli w rynku wielkich ludzi Ateńskich. Wchodzą w nię ciż sami.

Platon. Oto posągi wielkich ludzi Ateńskich! Kamienie jako i człowiek mają śmierć swoję, ale przetrwa wieki pamięć cnotliwego! Cnota sama swojemi wdziękami tak jest piękną, żebyśmy za nią zaraz pójść powinni, jednakże ludzie więcej robią dobrze z miłości sławy, niżeli cnoty—tak, czego nie można zyskać na ich rozumie, zyskujemy na ich słabości i głupstwie. Inszych zdarzone okoliczności, stracone zdrowie, albo majątek; inszych nadzieja zysku, albo posunięcia się, do cnoty przybliżały—ale najpiękniej zrobił ten, który ją poznał, dla niej samej ukochał, i umarł na ręku jej. Wszelako cnota, jako jest robotą istoty słabej, a tylko woli mocnej, nie łatwo ludziom przychodzi, i potem zlana droga do niej prowadzi.

Cnota i rozum na jednej stronie zostały się, a orszak cały namiętności robią wszystko, co mogą, żeby jej nie dać zagnieździć się w sercu człowieka. One z cnotą i rozumem sobie rodzinne: bo, jak namiętności dała człowiekowi natura; tak mu wlała i politowanie,

z którego rodzi się cnota. Rozum poznawszy prawdę, czyli sprawiedliwość, (co na jedno wychodzi), położył ją za grunt cnoty, jako fałsz jest gruntem występków wszystkich: bo pełniący cnotę, pełni prawdę, jak zbrodniarz fałszu dopełnił. Z poznania potem prawd wielu, a między niemi przyczyn najwyższych, z uwagi do tego nad sobą samym i nad inszymi, robi się mądry. Chlubą narodu ludzkiego Sokratesie! pod twojem ja okiem wzrastałem i twojej nauki słuchał! Tyś obłąkaną po gwiazdach i żywiołach filozofią do człowieka przyprowadził, ażeby go się zapytała o jego istotnych obowiązkach. Ona w domu twoim jak skrzętna była gospodyni, która w każdy kąt zajrzy, gdzieby co poprawić można. Ty życiem twojem przykładnem, ty śmiercią samą mądrości nas nauczałeś i kiedy w różnych zdarzeniach nikt Sokratesa nie widział, żeby się kiedy albo cieszył, albo zasmucił; kiedy jednaka zawsze, a ta spokojna, twarz jego wydawała nam stan duszy jego wielkiej, przed której jakoby tronem złe i dobre przypadki przy podnóżku pełzając, aż do jej wysokości nigdy się podnieść nie mogły— Sokratesie, ty wartym byłeś urodzić się człowiekiem!...Już go nie masz!... Mądrości! a gdzie cię szukać mamy?

Ona pewnie lubi osobność, bo jej tam głupstwo, którego pełno wszędzie, do roboty nie przeszkadza. Tam ona daleko od szumu świata złożyła skarby swoje, i samej siebie uczy się. Mądry złe i dobre na pożytek obraca, a łatwo przewidując złe, które nań przypaść ma, jeżeli się uchylić nie mógł, czeka go bez bojaźni. W pośrodku burzy namiętności rozum posadziwszy przy styrze, zawsze kierując ku portowi, sobą tylko samym ciężką łódź swoję z różnych stron napadającej zawierusze nadstawia—a tak bez trwogi pod okiem swojego Boga walczy z nawałnościami. Nie z rzeczy, z boku przychodzących, ale z pośrodka siebie zebrał majątek swój, przy którym nigdy się ubóstwa nie obawia: bo byleby wyżył, reszty mu skarb jego najobficiej dostarcza. Nie lęka się śmierci, bo nadto nie kochał życia; ani niewoli, bo on i w więzieniu wielkim, jak lew, któremu pan własny służy.

Mądry lubi milczeć, i z sobą samym najwięcej rozmawia, dla tego nie wiele mówi w posiedzeniach; jest przyjacielem narodu ludzkiego i wszystkich kocha, że jest człowiekiem, jak oni; nie może przed nikim upodlać się, bo się nikogo nie boi; nie chce zaś szkodzić nikomu, choć może, w tenczas, kiedy głupi chce szkodzić, chociaż nie może. Zbliżony ku starości zwraca oczy swoje za siebie bez żalu i przed siebie bez bojaźni; a nachylenie się jego ku śmierci jest pięknym wieczorem po dniu pogodnym.

Mądry od cnotliwego nie różni się: obudwóch celem jest poznawać prawdę, zabawą szukać jej, a charakterem kochać ją. Ale powszechnie prawda do ludzi nie śmie przychodzić jawnie, i często wkrada się przy fałszach, które łatwiejszy do nas przystęp mają. Jednakże człowiek cnotliwy, jak z nią oswojony, zna lepiej cechę, po której ją poznawać można; mówi ją śmiało, choćby dla niej ucierpiał: bo pewien jest, że więcej jeszcze przywiąże się do prawdy, kiedy go co kosztowało wyznanie jej — i jak matka lubi dziecię, które rodziła.

Widzi on przyjaciół fałszu bogato przystrojonych, i wygodniej żyjących, a miłośników prawdy nagich, jak ona! Wszelako on ją dla niej samej ukochał, że piękna; i dla piękniejszej nagrody, niżeli ten znikomy blask ziemski. Tak lubiąc prawdę, czyni dobrowolnie to wszystko, co insi przymusem prawa przynagleni; i przy wewnętrznem przekonaniu jego, choćby trafiło się zdarzenie takie, gdzieby potrzeba stracić sławę poczciwego, odstrada jej, byleby sumnienia swego i prawdy nie nadwerężył. Wiedząc, że gorzej jest krzywdę czynić, niżeli ponosić, nikomu on jej nie uczyni; a fortuna go skrzywdzić chciała? nie dba, byleby w czem sam siebie nie skrzywdził. Widział kiedy ulatywała od niego, a on, cnotą swoją ogarnąwszy się, bez żalu z nią się rozstawał: bo równie blask miecza, jako i złota, oczu jego nie przeraża.

Cnotliwy jest litośnym, i wzruszy się nad bydlęciem cierpiącem, wtenczas, kiedy twardego serca człowieka nie porusza głód ubogiego. On uprzedza prośbę,

ażeby uczynił łaskę, bardziej się ciesząc, kiedy dał, niżeli gdyby odebrał. On nie sądzi i nawet sądzić nie umie o występkach cudzych, bo ich nie zna u siebie; a uchybienie sobie od kogo tak łatwo daruje drugim, jakby żądał, ażeby jemu błąd jego był odpuszczonym; wszelako tak się go zawsze chroni, jak gdyby nikomu go darować nie chciał. Prawdziwa cnota nie żąda, żeby się nad nią zadziwiać, żeby miała wspieraczów i popleczników; ona, jak wierna małżonka, samemu tylko ulubionemu swemu chce się podobać. Nie dba o pochwały człowiek cnotliwy, bo nie dla nich jest cnotliwym; a tak, pogardzając chwałą, ma ją prawdziwą. Jeżeli ma majątek, nie trwoni go marnie, żeby mu wystarczało dzielić się z cnotliwymi; a jeżeli ubogi, byleby wyżył, nie ubiega się zapamiętale za majątkiem, bo woli, że go zowią poczciwym niżeli szczęśliwym; spokojny na swojem ubóstwie, kiedy do niego nie dał przyczyny, wtenczas chyba przypomni sobie, że jest ubogim, kiedy jest głodnym.

Cnotliwy nie jest podejrzliwym, i. to jest przymiotem niewinności. Ona lubi dzień jasny i nie szuka zakątów; — nie, żeby chciała być koniecznie widzianą, ale że nie myśli, żeby kto patrzył umyślnie i zastanawiał się nad nią. Niewinność człowieka nigdy nie kłamie przed nim; a w przykrościach życia kiedy, jak zwyczaj, wszyscy go opuścili, ona najpierwsza przychodzi do niego, dzieli z nim bolu jego ciężar, trzyma go żeby pod nim nie upadł; i trafia się często, że... kiedy insi potonęli, on na jednej desce niewinności swojej wypłynął.

Cnotliwy jest wstrzemięźliwym, bo się przekonał, że wstrzemięźliwość daje zdrowie, tak jak czyste sumnienie spokojność. Jest on pokornym a nie podłym w tenczas, kiedy występek zuchwałym a czołga się; jest miłośnikiem drugich, bo kocha i siebie; jest wielkomyślnym, bo chce tego, czego tylko chcieć powinien; jest rostropnym, bo pamięta na rzeczy przeszłe, uważa teraźniejsze, a niedowierza przyszłym; jest mężnym, bo umie i postępować i cierpieć mężnie. Takim cnotliwy każdy! a domek, w którym mieszka i czeka swojego końca, jest razem przybytkiem Boga, bo on tam

często do cnotliwego wstępuje. Jaka pociecha dla człowieka takiego, kiedy podniesie oczy ku niebu, i nic nie czuje, coby mu sumnienie jego wyrzucało; albo je spuści na ludzi, i nic nie widzi, czegoby się przed nimi wstydził!

Obaczmy z drugiej strony czarny ten orszak zbrodni i występków, co się na ziemi, jak na swojej, rozpościerają, która początkowo niewinności oddaną była. Ten zazdrośny cierpi ustawicznie, czyli jemu samemu, co złego trafiło się, czyli jego sąsiadowi dobrego— i płacze dla tego, że nikt nie płacze. Jego zazdrość umiera z nim; ale potwarz rzucona przez zazdrosnych trwa i po śmierci. Ten skąpy dla nikogo dobrym nie jest, dla siebie najgorszym; on jak jezioro jakie, które wiele potoków w siebie przyjmuje, a nic z niego widocznie nie odchodzi, tylko ukradkowe go ścieki uszczuplają. Tyle ma starania o zbiory, jak gdyby je dla siebie samego zbierał; a tyle ich używa, jak gdyby były cudzemi; tak życie jego podobne do uczty pogrzebowej, gdzie wszyscy jedzą, prócz pana uczty.

Ten chciwy urzędów nie patrzy na miliony ludzi, niżej siebie będących, ale tylko na małą liczbę nad sobą; całe życie tem się zatrudnia, jakby się coraz wyżej podniósł; i...postępując do góry podłością, fałszem, albo przekupstwem, czuje rozkosz okrutną depcąc nogami tych, którzy niedawno wyższymi byli. Ten zawzięty zabił przeciwnika, ale tem nie zaspokoił zawziętości swojej; i gdyby mógł wstać zabity, jeszczeby go powtóre zabił. Nie darował on nikomu, kto tylko miał nieszczęście urazić go: życie, sława, majątek, co człowiekowi najmilsze, to jego łupem. Ten hipokryta ujmuje się od wszystkich wesołych występków, a popełnia smutne, jakie są: chciwość, nienawiść, zemsta, i tym podobne. Jest sprawiedliwym, nie, żeby lubił sprawiedliwość, ale żeby myślano, że ją lubi; w okamgnieniu staje się nabożnym, i... spojrzał kto na niego, on mówi pacierz. Ten gniewliwy nigdy pierwszego swego poruszenia nie utrzymał: łajał, uderzył, zabił i... burząc się na wszystko, co go otacza, często sobie samemu

najwięcej szkodzi. On jak zła iskra, która dom spali i sama zgaśnie.

Ten fałszywy i oszukujący drugich, byle siebie zbogacił, pochlebia każdemu, żeby się przymilił, a bogaczom, żeby co na nich wyłudził; tak, jeżeli oszukał, kradnie, a jeżeli pochlebiał, kłamie dla zysku; i... czołgając się ustawicznie, myśli, że powstał. Ten rozrzutny nie ma miary w wydatkach niepotrzebnych, a niezapłacił dłużnikowi i służącemu; na niczem mu niedosyć, dla tego nic mu także nie jest niegodziwego. Próżniacy, psy i konie zjadają u niego wyzywienie ubogiego; a jeżeli świadczy łaski, bez braku złemu i dobremu rozrzuca; tak, porównywając cnotliwego ze zbrodniarzem, pierwszego poniżył, drugiego w zbrodni utwierdził. Ten lubieżny swoję rozkosz za największe szczęście położył, a ona mu życie ukraca; lgnie on jak mucha w słodyczy swojej, która mu razem grobem. Lubieżnik zyje, byle dziś użył, on sobie na dziś potrzebny, a ludziom nigdy.

Ten pyszny pogardza cnotliwym, że albo imienia, albo majątku nie ma; drogi kamień w gnoju nie przestaje być kosztownym; ani proch podróżny wiatrem wzniesiony do góry dla tego, że się wyniósł, kosztowniejszy. Ten złodziej, albo zbójca więcej waży zdobycz marną, niżeli śmierć obelżywą; rzuca się na cudze dobro i życie wtenczas, kiedy ręce jego, użyte na uczciwą pracę, dostatecznemi są i jego samego i inszych przy nim wyżywić. Nieprzyjaciel to całego rodu ludzkiego, bo każdego, byleby mógł, ukrzywdzić żąda. Ten zdrajca ojczyzny przedał za pieniądze bracią swoję; tak jednym zamachem uderzył teraźniejsze i przyszłe razem pokolenia, żeby jeszcze potomność złorzeczyła pamięci i przeklinała popioły jego. Ten nakoniec pobożny nie wierzy w Boga, którego powietrzem, ziemią i wodą żyje, a odbierając, prócz tych insze a te ustawiczne dary, rzuca się jeszcze na swojego dobroczyńcę. Ale on to wściekłym jest, i dla bezpieczeństwa potrzeba go gdzie daleko od ludzi trzymać, bo może szkodzić!

Xenokrat. Człowiek wyuzdał się na wyliczone, i z nich insze jeszcze pochodzące zbrodnie, wziąwszy od natury politowanie, która mu ten dar ofiarując, zdaje się, że żądała; ażeby był dobrym. Mimo tego widzimy jak daleko ludzie odsunęli się od dobroci. Nawet przeciwnie, przemaga w nas powszechnie skłonność do złego. Widać to na niemowlęciu, które... niemając jeszcze poznania żadnego, i tylko za poruszeniem natury idąc, okazuje gniew, zemstę i niesprawiedliwość, napierając się gwałtownie rzeczy cudzej, która mu się podoba. A ztąd wnosić można, że mocniej od złej natury ciągnieni jesteśmy do złego, niżeli potem przyszedłszy rozum całą nas siłą swoją utrzymać zdoła. Ztąd następnie poszło, że tylu zbrodniarzów napełniło ziemię, których miłość własna, na prawo się nie oglądając, ze zbrodniami oswoiła. A w takim składzie zostanie wieczna owa walka między naturą i obowiązkiem, że ta kazała nam być słabymi, ten nie być. I tak dalej: układy, które ludzie między sobą porobili, uwięzić chcą naturę, którą Bóg zrobił.

Platon. Natura, dając człowiekowi politowanie, żądała, ażeby był dobrym; ale przyczynić do tego należy i rozum, także wzięty od natury. Tak te dwa razem szczęśliwe dla nas dary piękną stwarzają cnotę; jedno zaś bez drugiego, nicby uczynić nie mogło; i przy samym rozumie, danym człowiekowi, jeszcze ludzie byliby najdzikszemi zwierzęty, gdyby mu na pomoc nie przychodzilo politowanie. Ale (wyżej to powiedzieliśmy), ciężko jest tym dwojgu oprzeć się orszakowi namiętności, który przeciwko nim walczy ustawicznie. Wszelako pokazał nam to Sokrates, że nie jest niepodobne ich zwycięztwo. Tylko tedy niechcąc ludzie doświadczyć trudności w boju tym, a tak lżejszą poszedłszy drogą, do zbrodni przyszli.

To prawda, że niemowlę wcześnie pokazuje swoję do złego skłonność, bo idzie za mocniejszemi, już wtenczas namiętnościami, które, kiedy się jeszcze rozum nie rozwinął, już górę nad dziecięciem brać zaczynają. Wszelako i to może uważałeś, że politowanie daleko przed rozumem widzieć się daje w dziecięciu,

i dzikość inszych namiętności w niem ułagadza. Żeby zaś układy ludzkie obyczajności naszej, któreśmy (jak mówisz) porobili, więzić miały naturę, którą Bóg zrobił, mylisz się, Xenokracie. Jak namiętności nasze, tak rozum i politowanie dane nam są od natury. Te dzieci jednej matki złe z dobremi kłócą się ustawicznie, i co rozum układy jakie zrobi przeciwko namiętnościom, te wszystkiemi sposobami wywrócić to usiłują. Tak natura w rozumie walczy tylko z naturą, która jest w namiętnościach. Bóg zaś, zdaje się, że umyślnie wystawił rozum przeciwko takiemu mnóstwu nieprzyjaciół, żeby piękniejsze widział zwycięztwo, i tem większą dał nagrodę człowiekowi.

Speuzyp. Co wyżej o prawdzie powiedziałeś, Platonie, choćby do tego nie przyszło, żeby dla niej ucierpieć, wiele jest prawd takich, które głosić byłoby największem okrucieństwem. Po większej części pociechy nasze na ziemi są fałszywemi. Któżby był tak dzikim, żeby oświecał ludzi i wydzierał im chociaż łudzące ich tylko szczęście, kiedy tak mało znaleźć możemy prawdziwego! Ślepy kochał kobietę najszpetniejszą z oblicza i wiedział o tem, chciano mu wzrok przywrócić, on nie przyjął, żeby jej kochać nie przestał. „Wolę (mówił), być szczęśliwym, niżeli prawdę poznać.“ A tak prawda, chociaż nam daje pewne poznanie rzeczy, nie daje nam, albo rzadko udziela szczęścia, którego każdy nad wszystko żąda, a najmniej go na ziemi znajdzie. Ta prócz tego cnota, której gruntem prawda, i ten rozum, który tę prawdę poznaje, tak często człowiekowi szkodliwemi bywają, jak nigdy głupstwo.

Platon. Nie dobry byłby to wniosek, że prawda nie zawsze ludzi uszczęśliwia, więc jej szukać nie potrzeba: bo choćby połowa prawd odkrytych była szkodliwą dla człowieka, druga połowa obfitym mu to zyskiem nagrodzi. Nawet toż samo odkrycie prawdy, ciężkiej dla ludzi, użyteczne nam bywa, bo przestrzega drugich o rzaczy dla nich szkodliwej. Że zaś często dla prawdy ucierpieć trzeba, któż tego kiedy żałował? będąc zwłaszcza przymuszonym swojem sumnieniem

do wyznania jej głośno. Mnie samego Dyonizy dla prawdy utopić, albo w niewolą zaprzedać kazał, i tylko Dyonizy na tym stracił. To pewna, że są prawdy takiego rodzaju, których, jeżeli potrzeba nie przymusza, wydawać nie należy, zwłaszcza, kiedy wyprowadzając kogo z błędu, wprowadzamy go w zmartwienie: bo też i to prawda, że niepowinniśmy, ile możności, zasmucać człowieka, brata naszego; a tak, nic się tu przeciwko prawdzie nie stanie, bo tylko jedna prawda drugiej ustępuje. Twój zaś ślepy zrobił najrozumniej, że wybrał szczęście raczej, niżeli poznanie prawdy: bo w takiem zdarzeniu, gdzie poznanie jej mogłoby mi przynieść przykrość jakową, każdyby tak wybierać powinien. A z tego wszystkiego wypada, że prawda, potrzebna tylko i użyteczna człowiekowi nadewszystko szukaną być powinna. I kiedy prawdziwa szczęśliwość nasza od wewnętrznej spokojności sumnienia zawisła, idący prawdą zawsze będzie szczęśliwym, ale nadto i dobrą jeszcze sławę między ludźmi zyskuje.

Focyon. Praca to jest nie mała dobrej swojej sławy dopilnować. Miłość zaś jej tak jest właściwą ludziom, że nie masz tak pokornego, któryby się słodyczą sławy nieuwiódł. Ztąd poszło, że rzadko znaleźć człowieka, żeby chciał dobrą sprawę zrobić bez świadka; tak każdy znas, lubiąc siebie, żądałby, ażeby o nim i ludzie dobrze mówili. Jest tedy sława, czyli dobre o kim, wspomnienie, pobudką do czynienia dzieł uczciwych, jest razem i nagrodą cnoty na ziemi. Ale jakże ta nagroda fałszywie na świecie rozdawana!... Jak wiele czarnych zbrodni okrytych postacią cnoty poszło do nieśmiertelności! Nie jeden przeżył kata, który go wieszać miał, a przeżył szacowany od ludzi, że umiał pobielić brudne postępki swoje. Trophoniusza między bogami posadzono; ty zaś, cnotliwy Solonie, zostałeś się między ludźmi! A tak, kiedy równo na świecie zyskuje cnotliwy i zbrodniarz, jakże poniżony cnotliwy, kiedy do jednakiej nagrody równo ze zbrodniarzem przystępuje! a często nawet trafia się, że mu ją szczęśliwy winowajca wydziera!

Platon. Zmowy twojej wniosek wypadałby: więc nadaremnie jesteśmy cnotliwymi — a to ztąd poszło, żeś sławę tylko za nagrodę cnoty położył. Słaba to cnota, która się ogląda, czy patrzą na nię; i kiedy dosyć dla poczciwego nagrody to uczucie, że cnotę pełni; dla czegożby w oczach cudzych szukać jej miał? Niech dla przykładu widzą ludzie, jeżeli zechcą, albo im się nadarzy, sprawy cnotliwego; ale on przestaje być cnotliwym, jeżeli je na to tylko pełni, ażeby widzianemi były. Do jego spokojności wewnętrznej, do jego szczęścia, żeby było szczęśliwsze, cóż ludzie przyczynić mogą?...O cnoto! ty moje pieniądze! kiedy mam ciebie, mam wszystko.

Trophoniusz umarł przemyślnym złodziejem, a dzikie natenczas wieki po śmierci przemysł jego ubóstwiły. Ale gdyby kto był zapytał żyjącego cnotliwego Solona, czyliby pod zakładem umieszczenia go po śmierci między bogami chciał być Trophoniuszem? odrzuciłby zapewne dar taki, któryby go pierwej nieskończenie upodlić musiał. — Wszelako, chociaż często dobrą sławę błąd, albo niesprawiedliwość ludzka rozdaje, pogardzać nią nie należy: bo ludzie nie zawsze są ślepymi, a czyjaś sprawiedliwie nabyta sława jest przykładem i pobudką do dzieł podobnych. Ale mimo tego człowiek cnotliwy pewniejszej trzyma się strony, i robi dobrze tak dla piękności samejże cnoty, jako i dla Boga swojego, który... nie mogąc pobłądzić, być niesprawiedliwym w nagrodzie swojej nie może.

Arystoteles. Niesłuszna rzecz bronić występków, ale zdaje się, że ich ani potępiać tak groźno nie należy. Popełniający zbrodnią bardziej wart będzie politowania, niżeli surowości, kiedy wspomnimy, że to słaby brat nasz, że to człowiek upadł! Jeżeli on potem jęczy niepocieszony, daje nadzieję poprawy, i sam wyznaje grzech swój, ja wzruszony biegnę do niego: on chory na sumnieniu, a tak u mnie niewiele już różni się od tego, który nie zgrzeszył. Wszelako można się litować, ale lubić nie można zbrodni, chociaż czasów teraźniejszych nie jest ona występkiem, tylko dla nieszczęśli-

wych; i chociaż, z inszej strony widziana, nie ma tej obrzydliwości, którą każdego uczciwego w pierwszem wejrzeniu na nię odraża. Jak cnota i występek są to dzieci człowieka, tak jedno z drugiem mają jakoweś podobieństwo, i coś też dzieci wzajemnie od siebie pobrały. Wiele bardzo cnót poczynają się z pychy; a zemsta ma coś ze sprawiedliwości, podłość z pokory, pycha z wielkomyślności, zawziętość z stałości, rozrzutność z dobroczynności, obmowa z prawdy; i tym podobne. Gdyby kto nawet surowo to oboje roztrząsał, znalazłby pewnie w wielkich występkach cnót wiele, równie, jak i w cnotach występki.

Platon. Niechby występki między dobremi sprawami mięszały się, byleby między niemi zbrodni nie było. I Platon, kiedy się postawi przed sobą samym, wtenczas to widzi, jak jest daleko niższym od Platona. Bóstwo, które gruntownie sądzi, bo serca przenika! pewnie żadnego człowieka nie znajdzie, aby mu nie był obwinionym. Sumnienie nam powiada, że sprawiedliwe dzieło uczyniliśmy; ale Bóg sam rozsądzić może, czy dzieło i świadek sprawiedliwy. Jakże to poprawić mamy? kiedy tak słabość natury chciała, i udało się jej. Co się zbrodniarza tycze, gdyby kto pewnym być mógł, że mu żal szczerze zbrodni popełnionej, któżby się z nim surowo obchodzić chciał? ale jak niełatwo porzucić cnotę, i ten, który ją lubił, długo niespokojny wspomina na piękność jej; tak przywykły do zbrodni, często, jak zwierz ugłaskany, wraca się do dawnej dzikości swojej.

Nie dosyć na tem Arystotelesie! że zbrodniarz grzech swój wyznaje; robi on to czasem z chytrości, albo, że sprawa jego już głośna, albo spodziewając się, że się odkryje, i (że) wzbudzi nad sobą politowanie; a tak tem oszukaniem zbrodnia jego jeszcze większej nabiera okropności. Wszelako, ile można, surowość ma być miarkowaną na winowajców, i... jeżeli który stale poprawił się, ma być od każdego przyjętym jak brat nasz, któregośmy mieli za zgubionego, a który się nam niespodziewanie powrócił. Że zaś często cnoty zamię-

szają się między występkami: nie potępiajmy zupełnie winowajców, tak dla cnót wielu, które mieć mogą, jak równie dla tego, że i my też nie bez winy jesteśmy; a mając nadto gwałtownej roboty około siebie, nie zatrudniamy się tem, co też kto robi.

Na wierzchołku przykrej góry, i ciężkiemi przeprawami zawalonej cnota mieszka!... Zostaw na dole, ile można, namiętności, te ciężary twoje i tym prześladkiem, którym poczciwy jakiś przechodził, idź w podróż twoję!...Bądź cierpliwym na przygody, które ci się przytrafić mogą, i myśl sobie, kiedy się nieraz zakolesz, że pan twój, doświadczając ciebie, ten cierń na twojej drodze umyślnie rzucił. A choćbyś czasem upadl, znajdziesz tam towarzyszów wędrówki twojej, którzy cię podniosą i przeprowadzą. Jakaż to ulga dla cierpiącego, który pod sobą upadł, kiedy go sami dobrzy ratują. We wszystkich zdarzeniach, które się człowiekowi przytrafić mogą, prawdy nadewszystko przestrzegaj, i niech język twój będzie zawsze w porozumieniu z sersem twojem: bo, jak się wyżej powiedziało, ona gruntem cnoty jest, i z małej niby rzeczy, z nałogu mówienia prawdy albo fałszu, zwolna robi się cnotliwy, albo występca. Sumnienie czyste, które jest głosem duszy, tak jak namiętności ciała, daje nam spokojność. Chrońmy się tedy nadwerężać go, i...pilnie nadsłuchiwając głosu jego, zaraz wypełniajmy, co nam wskazuje: bo godzina jedna słabości traci lat wielu cnotę. A jeżelibyś powątpiewał, czyli postępek twój złym albo dobrym jest, lepiej wstrzymaj się od niego, ażebyś nie trafił na zły.

Czyń ludziom dobrze, ile możności, nic się nie odrażając, chociażbyś trafił na niewdzięcznych, abyś znalazł i wdzięcznego. Wszakże i po roku nieurodzajnym siać potrzeba. Do wyświadczonego dobrodziejstwa ostrości słów nie przydawaj, ażeby nie żal było proszącemu, że cię prosił. Dając co potrzebnemu, okazuj to, że mało dajesz; a jeżeliś odebrał łaskę, tak ją przyjmuj, jak gdyby najwięcej wziąłeś. Myśl, jakbyś też żądał, ażeby ci w potrzebie twojej dogadzano; bądź-

że takim dla potrzebnego, dawaj mu i chętnie i prędko. A jeżeliby ci się trafiło, że ci wysłużonej twojej nie oddano nagrody, więcej to dla ciebie niech waży, być jej wartym, niżeli ją odbierać. Nie szukaj zemsty nad tym, co cię pokrzywdził, on to się pomylił; i dosyć zemszczonym jesteś, kiedy możesz, a tylko mścić się nie chciałeś. Wetuj krzywdy twojej dobrodziejstwem, nie zaś odporem, każdemu odpuszczając, a tylko sobie samemu nigdy! Jeżeli chcesz być dobrym i sprawiedliwym, zacznij najpierwej myśleć w czem to złym jesteś? czyniąc to nadewszystko, co ci uczciwość każe, choćby cię ludzie sądzili za nieuczciwego; i to co sprawiedliwość, choćby się za nię nie było czego od Boga spodziewać, a wszystkiego obawiać od ludzi. Kiedy usłyszysz kogo mówiącego o cnocie jakiej, pomyśl: „on to mówi, a ja to zrobię."

Ani się odrażaj tem, że z ciężkością ci przyjdzie wypełnienie jej; wszakże ludzie, dla zysków wielkich niedbając na trudy, dokopują się złota. Kiedy obaczysz nieszczęśliwego, a on cierpi bez ratunku: litość, ta usłużna przyjaciółka ludzka, radzi ci, ażebyś ulgą jaką wspierał potrzebnego. Słuchaj głosu jej; ona cię prosi za równym tobie człowiekiem! Ludzkość litośna najdziksze nawet porusza serca, znajdzie sobie drogę w pośrodku mieczów wojujących, i ze krwią nieprzyjaciół łzy swoje miesza. Chroń się gniewu, bo kochać ludzi, twoich braci, powinieneś; pychy, bo jednaką drogą wszyscy na świat przychodzimy i jednaką go porzucamy; chciwości, bo troskliwość zbyteczna o zbiory od ważniejszych cię powinności odrywa; zazdrości, bo ta losu twojego nie poprawia, a tylko serce trapi; skąpstwa, bo do twojego majątku przyjaciel i ubogi ma prawo; obmowy, bo kogo ogadujesz, albo może tego nie zrobił, albo się już poprawił, albo nie do twego sądu należał.

A nadewszystko, chroń się rozpusty. Patrz na nię, nie wtenczas, kiedy do nas przychodzi, ale kiedy odeszła, i taksuj ją z czarnych śladów, które po sobie zostawiła. Rozpusto! coż mnie za tobą pociągnąć

może? Ciebie się trzyma niesława, pijaństwo, próżnowanie i orszak zbrodni! Pójdę tam raczej, gdzie skromne cnoty stoją — przy nich widzę zwycięztwo chwałę prawdziwą, i w życiu całem spokojność — ażebym tak kiedyś przybił do brzegu, jako łódź pełna pięknych owoców w roku urodzajnym.

ROZMOWA IV

O SZCZĘŚCIU, NIESZCZĘŚCIU, BOGACTWACH, UBÓSTWIE.

Rozmowa ta jest przy domie Arystydesa. Wchodzą w nią ciż sami.

Platon. Jest w naturze człowieka, żeby w tme życiu więcej przykrości, niżeli pociech doznawał, a tak nieszczęściami, jako i śmiercią, dopełnia on zakładu, pod którym na ziemię przyszedł. Przecięż człowiek mądry mniej daleko w życiu miewa umartwienia, bo albo nieszczęścia inszych on niema za nieszczęście, albo go roztropnością swoją uprzedził, albo przychodzące wycierpieć umiał. Niektóre przygody bardziej nas dręczą, niżeli powinny; insze prędzej, niżeli powinny; insze zaś dręczą chociaż nie powinny. A w rzeczy samej, wyłącz zdrowie, wyżycie i dobre zaświadczenie sumnienia, wszystkie dobra tego życia są tylko mniemaniem; wyłącz bóle ciała, wielki niedostatek, i trapienie się duszy, reszta złego jest urojona. Mało tedy człowiek ma nieszczęść prawdziwych, i te często samże na siebie ściąga: bo po większej części złe użycie darów przyrodzonych porobiło ludzi nieszczęśliwymi. A wtenczas, kiedy tak idziesz, o twoje nieszczęście udaj się raczej do miłosierdzia

Bóstwa, niżeli do jego sprawiedliwości. Wreszcie choćbym sam nie dawszy przyczyny mimo wszelkich stań moich nie mógł się z nędzy wydobyć, Bóg tak chciał, ażebym na tej ziemi grał rolę ubogiego, i dobrze mi się to udaje, a przynajmniej nie wstydzę się złej fortuny mojej, kiedym na nię nie zarobił, i nie smucę się nad tem nadaremnie, czego smutkiem polepszyć nie mogę.

Ubóstwo lepiej do pojęcia uczy nas cnoty, niżeli bogactwo: bo kiedy bogaczowi wszystko pochlebia, wszystko mu się uśmiecha, leniwym jest, i nie umie, jakbyto walczyć i dobijając się o cnotę. Kiedy zaś jak ludzie, tak wszystko stroni od ubogiego, on o cnotę stara się, żeby ona go przynajmniej w nędzy cieszyła. Przy niej coś mu się zdaje wygodniej, i coś niby weselej!...wtenczas, kiedy gryziony od sumnienia bogacz czuje gorycz w potrawach, nudność w posiedzeniach, przerwę we śnie i chciałby umrzeć, a nie może, co jest nad śmierć samę okrutniejsze. Przeciwności, które się nam w życiu trafiają, robią człowieka roztropniejszym; tysiąc złych zdarzeń tysiącznych nas uczą sposobów zapobiegania, ulegania, albo opierania się losowi. Ale szczęśliwy! którego filozofia nauczyła roztropności, i przypadki nim nie poniewierały!

Nieszczęściem wielkim nie dosyć bywa, że nas czasem przycisnęły, ale lubią jeszcze powiększać się przez wspominanie na szczęście nasze przeszłe! Co miała cierpieć Hekuba, kiedy po zburzeniu Troi ledwie kto z Greków chciał ją na dział swój przyjąć! Tak wielki Hektor z ciężkością znaleźć mógł swej matce pana. Powiększają się nieszczęścia nasze (prócz inszych) i tem, kiedy przyjaźń, albo wdzięczność nam winna, przyczynia się jeszcze do zguby naszej. Tak, jeżeli między zabójcami, którzy za życiem mojem przyszli, i przyjaciela mojego z żelazem w ręku obaczyłem, cóż mi zostaje? tylko zasłonić oczy, i prosić, ażeby mnie prędzej zabili.

Ale obaczmy już (ile na ziemi widzianą być może) szczęśliwość, która jest powodzeniem w rzeczach uczciwych; a Sokrates zowie ją roskoszą, która niczego

nie żałuje. Prawdziwe szczęście nie jest to czucie przechodzące tylko przez zmysły; ale jest stanem duszy stałym, i w sercu niespokojnem nigdy się ostać nie może. Człowiek szczęśliwy nie zna na czele tej wesołości, którą lekkość wzbudziła; a twarz jego wypogodzona ma postać niby słodyczą jakąś serca poruszonego;— co ktoś głupi wziąłby za smutek. Szczęśliwy człowiek nie lubi tak bardzo uczęszczać na biesiady po cudzych domach: bo ten zwyczajnie za tem ubiega się, który nie wiele ma szczęścia u siebie w domu. Szczęśliwy swojem szczęściem nie chwali się: bo to tylko drobniejsza pomyślność czyni, jemu słodzej czuć go, niżeli o niem rozmawiać. I dla tegoć to ciężko nam widzieć tak uszczęśliwionych, bo albo się rzadko ludziom udzielają, albo, zawistni szczęścia swojego, w sercu go swojem zamknąwszy, nic o niem nawet niepowiedzą. Ale tak być szczęśliwym, jest razem być bezpiecznym wewnętrznej spokojności swojej, którą sama tylko i to wysoka cnota rozdaje. I chociaż często srożejąca fortuna aż do jej progu zapędzi się, straszyć tylko, nawet uderzyć; ale zranić jej nigdy nie może: bo cnota, w porozumieniu z niebem, najcięższe przygody jeszcze na swoje dobro obraca.

Inszego wcale rodzaju jest, co ludzie pospolicie szczęściem na ziemi nazywają. W światowem to tylko szczęściu, gdy nam przydłużej trochę poświeci, sam nałóg używania odejmuje smak jego. I tak, jeżeli nic przychodzącego z boku nieodmienia się, to się serce odmieni: że jeżeli szczęście nas jeszcze nieporzuca, to my go porzucamy. Doświadczamy tego patrząc na to niebo, wody i ziemię, które chociaż pięknemi i każdemu miłemi są, przecięż codziennem na nie patrzeniem tak nam spowszedniały, że i zastanowić się nad pięknością ich nie przychodzi. Ale znowu po długiej chorobie widziałem cię wiosno, łąko, ptaszęta! wieleż to wam wdzięków od ostatniego ze mną widzenia się przybyło!...

Szczęście świata jest wszędzie, ale w małej cząstce, (jak ów ogień, który każdą rzecz ożywia), i dlatego, że drobne, nie ma siły, ażeby statecznie przywiązało i

zaspokoiło człowieka! W drobnych tych szczęściach poziomych, jeżeli przynajmniej możemy jakieś ich mieć bezpieczeństwo, szczęśliwszymi daleko jesteśmy od tych, co...na śliskim stopniu posadzeni, największych bogactw używają. Mysz żyje wygodnie w mieście, ale z wielkiem niebezpieczeństwem; szczęśliwsza lasowa, małe ma wyżywienie, ale bezpieczniejsze. A ztąd się wnosi, że taki majątek będzie mi lepszym, który ani mnie trzyma w niedostatku, ani oczy ludzkie na siebie obróci; niczego zaś nie czeka od nadziei. Za bogactwem, jak za największem szczęściem, zwyczajnie ludzie ubiegają się! a widzieć to można, że ubogi wieśniak na łące wesoło śpiewa wtenczas, kiedy na drogiem we zgłowiu siedzący bogacz łzy leje. Nawet zdaje się, że naturą jest szczęścia światowego, ażeby robiło ludzi niespokojnymi: bo nikogo tak fortuna niewyniosła, ażeby już bać się jej nie mógł. Ani Krezus był tak szczęśliwym, jak o nim powiadano: albo go fałszywy przyjaciel zdradził, albo ułożony zamysł nie doszedł, albo dziecię ulubione umarło! Potrzeba być albo głupim, ażeby takich i tym podobnych przypadków nie czuć; albo nie człowiekiem, żeby ich nie mieć.

Ale jeżeli wierzymy, że Bóg szczęście i nieszczęście ziemskie rozdaje, nie mógł on nas nauczyć lepiej, w jakim u niego szacunku bogactwa położone, jako kiedy ich często ludziom najgorszym udziela — i człowiek, któremu się we wszystkiem powodzi, zdaje się, że jest niższym u Boga, bo nie wart był tego, ażeby go obrał do walki ze złą fortuną. Mimo tego, temu złotemu bałwanowi świat się oślepły powszechnie kłania!...Jakże wielu, mogąc wygodnie wyżyć, a ubiegając się za urojoną większą szczęśliwością, nawet honor stracili, a tę szczęśliwość mieli już w honorze swoim! Jak wielu tak próżnych! których wstyd ubóstwa wprowadza, że się niszczą na życie wystawne wtenczas, kiedy człowiek roztropnie gospodarny ujmuje sobie zbytków przez bojaźń, ażeby do nędzy nie przyszedł. Tak pierwszy przychodzi do ubóstwa, który go się wstydził; drugi unika go, który go się obawiał. Jak wielu takich! którzy będąc cnotliwymi,

nabywszy bogactw zepsuli się! I chociaż to widzą insi, przecięż przez skały, morza i ogień uciekają od ubóstwa, a ubiegają się za bogactwem.

Co do mnie, byleby mi wystarczały zdrowie, chleb, woda i odzienie, z nikim się na moje szczęście nie mieniałbym. I matka natura... widać to, że nie chciała, ażebyśmy zbytkowali na ziemi, kiedy wszędzie rozsypała rzeczy, do koniecznej człowieka potrzeby służące, bardzo zaś rzadko do zbytku. Żelazo ludziom od złota potrzebniejsze, i wszędzie też łatwiej go znaleźć; ale ludzie przylgnęli do złota, które często miękczy duszę, odbierając hart potrzebny ćwiczącym się w cnotach; upodla człowieka, że czasem o wysokich swoich obowiązkach zapomina; robi go nakoniec pysznym nie żeby go robiło lepszym, ale że się na nim połyskuje. Umknij się cnotliwy człowiecze przed tym wezbranym potokiem, który z takim szumem przebiega! On dzisiaj większy od rzeki, ale to nakrótko. Nigdy w szczęściu w pychę podnosić się nie będziesz, ale dalszemi postępkami dowodzić, że wart byłeś takiego szczęścia; tak powodzeniem twojem, ani patrzących na cię obrazisz, ani... dowierzając zbytecznie fortunie, w upadku twoim tyle boleści uczujesz.

I takie to w powszechności są ziemskie szczęścia nasze, jeżeli do ugruntowania ich jakiegoś cnota się nie wmięszałą! Są one albo zupełnie fałszywe, albo samem używaniem sprzykrzone, albo krótką trwałością martwiące, albo przez swoję niedostateczność na połowę zmięszane z losami ludzi nieszczęśliwych. Śnie! który przykrości nasze przerywasz! spoczynku duszy, i słodsza cząstko życia człowieka, ty równie do króla i do nędzarza przychodzisz! .. Śpimy przez połowę życia naszego, i przez połowę życia równy ci był Krezusie, Irus ubogi....

Arystotelles. Warte pogardy złoto, gdyby mu byli ludzie ceny nie nadali, za którą wszystkiego nabyć można. Tak w wiekach teraźniejszych majątek ludzi ze złota składa się, nie żeby do potrzeb naturalnych należało, ale że nam dostarczenie tychże potrzeb ułatwia. Warta największego szacunku cnota; ale na

nieszczęście wieków naszych cnotliwy bez złota (bez tej największej dzisiaj różnicy człowieka od człowieka), z głodu umiera. Ubogi nie ma przyjaciół i krewnego: bo kiedy fortuna od niego drzwiami wychodziła, ludzie zaraz oknami pouciekali; krewni i przyjaciele boją się nawet do niego przyznać, ażeby o co nie prosił. Uprawia on wzdychając rolą niewdzięczną! i widziałem pole zbrodniarza w roku suchym deszczem ożywione, a niwę nędzarza oschłą! Ten zuchwalszy przyszedł pod wrota fortuny i sam je sobie otworzył, inszy mniej śmiały pode drzwiami jej umiera.

Rozrzewniam się nad nieszczęściem poczciwego, a gniewam się na powieść nawet o pomyślnościach zbrodniarza; wszelako tak się pospolicie dziać zwykło, że ten od jednego do drugiego przechodzi szczęścia; ów, mimo największych starań, nie ma odmiany w złym losie swoim: przeznaczony, jak drzewo, żyć, róść i umrzeć na jednem miejscu.

Otoczony gromadą dzieci, głodny, pogląda na głodne! Już mu się oczy zmordowały wyglądając ratunku z nieba; a niebo i ziemia stały mu się kamienne! Czyliż cnota nędznego ojca pocieszy? czyli dzieci jego pożywi, albo przyodzieje? kiedy (dajmy to) dla kalectwa nawet na nic zapracować nie może. On milczy, bo myśli że widzą go, ale milczenia jego ludzie nie rozumieją, albo rozumieć nie chcą; on czasem coś i powie, ale do uszu tylko ludzkich zwyczajnie słowa jego przychodzą. A zdarza się, że nie trafi przez całe życie na serce takie, któreby się za usłyszeniem, albo obaczeniem nędzy wzruszyło i wsparło nieszczęśliwego. A tak na tem się skończy, że głodny przy samej cnocie zawsze jest głodnym.

Platon. Sparta z prawa Likurga długo bez złota obchodziła się, i wtenczas, panując Grecyi całej, wszyscy ją sądzili za najszczęśliwszą. W miarę, kiedy tam bogactwa w cenę posunęły się, upadł szacunek cnoty. Można tedy być szczęśliwym bez złota, ale nie można się ustrzedz tylu przykrości, które się też przy złocie trzymają. Prawda, są ludzie tak nieszczęśliwi, że, mimo cnót swoich i starania usilnego,

na niczem im się nie powodzi—i...chociaż fortuna częściej jest przemysłu i sposobności, niżeli losu ślepego skutkiem: przecięż kogo niedola nęka, temu i przemysł cbybia, a zbiegawszy wszystkie drogi, któremi Fortuna z darami swojemi przechodzić zwykła, nigdy się z nią zdybać nie mógł. Ale czyliż możesz zabezpieczyć, że taki nieszczęśliwiec najlepsze sposoby do poprawienia losu swojego wybrać umiał? że z niemi przyzwoitego czasu i miejsca użył? To niepodobieństwem jest, żeby przy największym obrocie człowieka wszystkie mu układy przez życie pochybiały.

Ale choćbyśmy jeszcze i na to pozwolili, na co pozwolić nie można, powiedz nam Arystotelesie, czyś widział albo przynajmniej słyszał, ażeby który nędzny a cnotliwy (chyba w powszechnych klęskach) z głodu umarł? Zbywać mu może na życiu wygodnem, ale na pierwszych potrzebach nigdy. Ludzie się rodzą z litością w sercach; a prędzej ją daleko wzbudzi cnota ubogiego. Czyliż tego sami niedoświadczaliście, że zbrodniarz wiedziony na śmierć, w momencie, kiedy kara ta ma go dobijać, wzrusza w was politowanie, i jużbyście go życiem darować chcieli; a cnotliwemu ubogiemu umierać z glodu czyżbyście mogli dopuścić? Ale mylisz się, kiedy myślisz, że cnota niezdolną jest pocieszyć nieszczęśliwego. Świadczę się wszystkimi, którym gorzki przygody napój cnota osłodziła, i...po ostrej drodze ciernia ziemskiego przechodząc, ta nieodstępna przyjaciołka ciężar im dźwigać pomagała. Co wyrówna tej świętej chlubie, tej wewnętrznej spokojności duszy cnotliwego, kiedy się nigdy występkiem żadnym dla poprawienia losu swojego nie upodlił?...

Xenokrat. Bogactwa z siebie samych zlemi nie będą, ale tylko złe ich używanie pogardę na nie ściąga. Jaka roskosz majętnemu tysiące ludzi ubogich wspierać, naród w przygodzie ratować, i przyjaciołom być użytecznym; i byle bogactw występek nie obydzał, cnota je mile przyjmuje; i z uśmiechem w drodze swojej postępuje bogacz cnotliwy. Ale inszy daleko widok, spojrzeć na cnotliwego nędzarza. Przykrość, którą ponosi, chociażby płakać nie chciał, gwałtownie łzy mu

wyciska—i chociaż dusza jego umie to dobrze, jak się nieszczęścia ponosić mają; ale ciało i zmysły naturze cierpiętliwej posłuszniejsze. Nie dla niego to przyrodzony uśmiech człowiekowi! Chodzi smutny, bo zawsze w okropnem towarzystwie klęsk swoich, którego w polu, w domu, w drodze i w posiedzeniach prześladują. Uważając nieszczęścia całożytne, jakie się wielu ludziom trafiają, zdaje się, że kogo Bóg kocha, tego w dzieciństwie z tej ziemi zebrał. Na prośbę matki dla cnotliwych synów, aby Juno dała im coby widziała najlepszego, Biton i Kleobis następnej nocy obadwa pomarli. Tak jest, gdyby kto umiał nędzę życia ludzkiego najżywiej wyobrazić, wiele ludzi śmierćby dobrowolną podjęło.

Platon. Niemów, Xenokracie, żeby cnotliwy ubogi w miarę sposobności swojej nie mógł wspierać nędzy swojej towarzyszów, ojczyzny ratować, i przyjaciołom być użytecznym. Każdy w swoim obrębie niech się wypłaca, jak może, tym trzem obowiązkom, a czuć będzie rozkosz, jak wszyscy, z dopełnionej sprawy poczciwej. Nie myśl także, żeby nędzarz cnotliwy zawsze był smutnym. Dajmy to, że wszystkie rodzaje nieszczęść przygniotły jednego nieszczęśliwego—nawet w tem niepodobnem zdarzeniu, taki cierpiący wspomniawszy na cnoty, które spełnił, dla Bóstwa sprawiedliwego myśląc, że bez winy jakiej nie mógł się obejść, jakże cieszyć się nie będzie, że, cierpiąc w życiu, maże je, ażeby tylko z czystemi cnotami swojemi przyszedł kiedyś po nagrodę swoję! Ale jeżeli nie jest tak nieszczęśliwym, jakiego dopiero przywiedliśmy, on zawsze (jak mówisz) chodzić smutnym nie może, chybaby prawdziwie cnotliwym nie był. Słaba to tylko cnota upada prędko w ubóstwie, sieroctwie, pogardzie, i tem podobnych nieszczęściach; ale cnota krzepka tym więcej nabiera siły i odwagi, im z większą natarczywością zła dola nękać ją usiłuje. Nie to, co do nas z boku przychodzi, jest szczęściem naszem; ale to, co mamy wewnątrz.

A tak, kiedy cnota serce nasze osiadła, tą stroną, która jest mocna, bok słabszy zasłaniając, napadowi

Fortuny zastawiamy się. Wewnętrzne przeświadczenie o swojej niewinności, o swojej sprawiedliwości, nigdy nikogo nie odstępuje—a małaż to pociecha, kiedy człowiek sprawiedliwy niewinnie cierpi? Mówisz: Kogo Bóg kacha, ten w dzieciństwie umiera. Wszakże Bóstwo, stwarzając wszystkich nas, jak dzieło swoje kochać musi: toć, gdyby wszystkich zabrało w dzieciństwie, światby się zrobił bezludnym. Juno na Bitona i Kleobisa śmierć zesłała, bo po dobrej, albo tej podobnej sprawie, jaką oni zrobili, gdy matkę starą, miasto bydląt do wozu zaprząglszy się, do kościoła zawieźli; po dobrej (mowię) sprawie lepiejby każdemu umrzeć zaraz, ażeby znowu kiedy nie upaść i obelgi z sobą do grobu nie zanieść.

Focyon. Nie jest to skutkiem zazdrości, ale uwagi nad niesprawiedliwością losów, że nam tak odrażającym pokazuje się widok zbrodniarza szczęśliwego. Zdaje się, że pomyślnościami ludzi szczęśliwych cnota znieważona wyrzuca zbrodniarzom, że jej nagrodę swoję wydarli. O Platonie! nie mówię ja tego o sobie, bo więcej na dzień pełnię słabości, niżeli cnoty! ale poglądając na inszych, czemuż tak pospoliciej dzieje się, że gdzie cnót najwięcej, tam najmniej bywa fortuny? Niechby przynajmniej rozpustny bogacz, kiedy ziemia i woda, ażeby żądze jego zaspokoić, ubiegają się, niechby przynajmniej nie pogardzał ubogim, który woli, że go zła fortuna, niżeli pycha przyciska! Czyliż niedosyć, że cnotliwego nędza nędzą jest, żeby ją jeszcze nogami deptać?

Mówisz, że... byle zdrów ubogi, wyżyje między ludźmi; a jabym przydał, że i dłużej się nacierpi. Zdaje się, że czerstwość sił jest darem nieużytecznym prawdziwie nieszczęśliwemu: boby prędzej, słabowitym będąc, przykrości swoje zakończył. Przechodzień mnie słodko przywitał: „zdrowie ci!“ (rzecze), a jam się rozpłakał, bo byłem nieszczęśliwym. Cóż mi po zdrowiu, (pomyśliłem) które mi pomaga do czucia większej bolu ostrości? W przeciwnościach codziennych, z któremi się ustawicznie mocuję, nie chciałbym się naginać, ale złamać się podobno przyjdzie!

Platon. Śmiało Focyonie! śmiało! twojej odwadzj, równe się trafiają niebezpieczeństwa! Wypij ten napóe choć on jest gorzki, ale zdrowy. Niechaj cię widok zbrodniarza szczęśliwego nie obraża, on wziął zapłatę swoję na ziemi, dla której służył. Bóstwo w drugiej ręce dla cnotliwych piękniejsze nagrody trzyma; ani się tem cnota znieważy, że bezbożni wzięli znikome. Gdy się zaś pytasz, czemu, gdzie cnót najwięcej, tam najmniej bywa fortuny? Prócz tego, com dopiero o rozrządzeniu Bóstwa powiedział, to jeszcze naturalnie dzieje się: że całą siłą swoją i wszystkiemi sposobami człowiek chciwy robi sobie majątek, a pospolicie wielkie dostatki idą za wielkiemi staraniami.

Ale człowiek poczciwy, za cel swój najpierwszy cnotę położywszy, podzielił zabiegi swoje, i tam je czyni usilniejszemi, gdzie cel swój widzi szlachetniejszym. A wtenczas, kiedy zbrodniarz i sumnienie swoje zawiedzie, byleby pomnożył majątek: człowiek cnotliwy od wszystkich zysków uchyla się, gdzie tylko najmniejsze skażenia się widzi podobieństwo. Nie bądź zaś tak tkliwym na pogardę ludzką, Focyonie, kiedyś się sam występkiem jakim nie znieważył. Czyliż człowiek cnotliwy, mniej ważony od gminu niedołężnego, albo od bogaczów pogardzony, straci co przez to z szacunku zacności duszy swojej?.. Nie mów także, że zdrowie, które zdaje sie nam, kiedy go mamy, że nie robi szczęścia człowieka, (wszelako bez niego być nie można szczęśliwym),—nie mów, że zdrowie jest darem nieużytecznym dla nieszczęśliwych. Z tym, który powiadasz, że cię pozdrawiał, i ja cię pozdrawiam: „zdrowie ci Focyonie!“. Niech ci go wystarcza najdłużej do znoszenia trudów, które są zasługą w podróży twojej.

Dyon. Trafia się tak tkliwy skład serca ludzkiego, że go przygody, które nań zewsząd przychodzą, do ostatniej rozpaczy przyprowadzają. Niech to będzie słabością cnoty, niech żywością krwi przyrodzoną, czemu nikt nie winien—nie mogąc dłużej wytrzymać losu srogiego, sam sobie człowiek życie odbiera. Nie wszystkiego mi zabronić może twarda fortuna, kiedy mi

umrżeć nie zabroni. Za cóż tedy narzekam, żem nieszczęśliwy, kiedy, bylem chciał, zawsze mi umrzeć można i skończyć wszystko? Jeżeli w rozdzieleniu się ciała od duszy boleść być musi, przynajmniej tę mieć będę pociechę, że ostatnia.

Platon. Lepiej myśli Focyon walcząc ze złym losem całemi siłami swojemi, niżeli ten, któryby, sprzykrzywszy sobie bój ciężki, żeby do niego codziennie nie powracał, sam się zabija; a tym sposobem daje zwycięztwo fortunie, której natarczywość może na czas jaki krótki przetrwawszy, zostałby się przy chwale i przy korzyściach zwycięztwa nad nią. Czemu on w tej rzeczy tak się pokwapia, którą raz zrobiwszy, już na wieki odmienić, ani poprawić nie można? Albo kto go zapewnił, że o jutrze pogodniejsze mu słońce nie zaświeci? I chociaż ta walka tak mu ciężko przychodzi, ale też, kto zwycięża bez niebezpieczeństwa, bez sławy tryumfuje. Bóstwo, postawiwszy nas w towarzystwie między ludźmi, tysiączne na każdege powkładało powinności, które jak dług najpierwszy wypłacać mamy. Ty, który sam siebie zabijać chcesz, czyliż już wszystkie twoje wypełniłeś obowiązki?...

Mówisz, że.. obmierzłym sobie samemu bądąc, nikomu użytecznym nie będziesz. Czekaj, może na ciebie czeka niedołężny, któremu w pragnieniu woda podana, pokrzepi go i poratuje; inszego radą, inszego ramieniem wesprzeć możesz. Nigdy tak nędznemi nie jesteśmy, żebyśmy w czemkolwiek bliźniego naszego poratować nie mogli. Czyliż już zupełnie twojej ojczyznie i twojemu Bogu wypłaciłeś się? On pomiędzy ludzi każdemu takie podzielił ciężary, któreby ramiona nasze znieść mogły; tobie także w miarę dostał się ciężar, i tylkoś niecierpliwszy nad inszych. Mówisz, nie mogę wyjść z ubóstwa, albo, straciłem majątek i dobrą sławę u ludzi; z życiem się wszystko zakończy. Czemuż tak myślisz, że niedostatek kogo zawstydzić może? Jakże jest pięknie, kiedy kogo z ubóstw poczciwego, a nie z bogactwa chwalą! A jeżeli dobrą twoję sławę straciłeś, czyliżbyś ją cnotami nie mógł jako odzyskać? Wreszcie, jeżeli ci się już umie-

rać zachciało, ojczyznie tylko krew twoję poświęcić możesz. Pójdź między obrońców jej, i z chwałą twoją nie żaluj życia, któreś sobie obmierził.

Tak jest, Bóg tylko i ojczyzna mają prawo do życia twojego, i kiedy sam chcęsz go sobie odebrać, wdzierasz się w prawo cudze, i bierzesz to, co nie jest twojem. Stój w miejscu, gdzie cię Bóstwo postawić chciało, i jako mąż silny walczyć masz z przeciwnościami, które na ciebie napadają, póki nie przyjdzie odmiana twoja! Źle tedy jest chcieć śmierci swojej, ale i bać się jej nie należy; najlepiej czekać na Pana, który dał życie, i nie wychodzić aż zawołają.

W ziemskiej tej wędrówce, gdzie tak często na ciernie po drodze naszej napadamy, same kłopoty niech nas być lepszymi nauczają! Coż z tem robić mam, że uboga moja fortuna, a i ta mi czasem przeciwna? Co robić, że zły los, mijając wielu, mnie zawsze zastanie w domu? Oto, największe sobie w myśli cudze układam nieszczęścia, a porównywając je z mojemi, zapewne folgę jakąś uczuję. Nie żądam wiele, ażebym wiele nie żałował, a w czasie trochę pogodniejszym robię zapas na czas burzliwy, to często sobie przypominając, że fortuna kogoś już dokonała, może teraz i o mnie myśli; tak los zastając mnie zawsze przygotowanym, przewidziany pocisk jego nie tak zaboli. Będąc przekonanym, że nie kto inszy obcy, ale sam człowiek, byle chciał tylko, zrobić się może szczęśliwym: ile możności około siebie w domu zbierz wszystko twoje, bo co za domem zostawiłeś, to losowi podpadać może.

Darów duszy i serca Fortuna nam odebrać nie zdoła, bo i dać ich nigdy nie mogła. Nie tak ci ona straszna, jak o niej powiadają: zajrzeć jej tylko śmiało w oczy potrzeba, i mężnie odeprzeć nacierającą — jest to nieprzyjaciel na wielkie odwagi bojaźliwy, a znęca się nad tymi tylko, którzy się przed nim nachylili. To na nią najcięższą bronią jest, kiedy twe żądze według stanu twojego miarkować będziesz, i to, co ci odjętem być może, nauczysz się tracić bez mruczenia. Trafiło się często, żeś jej nie prosił, kiedy cię wynosiła; ani żałuj, kiedy cię na dół spycha; i jeżeli się

zupcłnie usunęła, na złość losowi zostań tylko człowiekiem. A zważając niestatek i niesprawiedliwość Fortuny, z pogardy osób, które ona wyniosła, przychodź do pogardy jej samej. Kącie mały ziemi, czyliż nie mogę tu na tobie zastanowić błędliwe zabiegi moje, i... znany od ciebie tylko oreszcie świata zapomnieć?! ..

Na cóż tak ludziom mogą się przydać bogactwa? kiedy często widzimy, że skąpy i łakomy żyje w nędzy, ażeby w dostatku umarł; kiedy wielu nędzarzów, przychodząc razem do zbiorów, odmienili tylko nędzę, a nie zakończyli jej; kiedy prawdziwe bogactwo nie robi się przez pomnożenie majątku, ale przez ujęcie sobie żądań; kiedy fortuna zastawia wprawdzie kosztowne stoły, ale wstrzemięźliwość zdrowie? Nie można wszystkich bogactw odziedziczyć, ale (wyjąwszy potrzeby konieczne) wszystkiemi pogardzać można. O ty cnotliwy Arystydzie! w tym domku nikczemnym kiedyś przemieszkiwałeś! Najpierwsze i najzyskowniejsze posiadając urzędy, po śmierci, że nie było o czem, publicznym kosztem pochowany! Miał do wyboru bogactwo i ubóstwo. On sobie drugie wybrał, ojczyźnie najlepiej służył, tę grzędę na swoje wyżywienie uprawiał, i te drzewa, pod któremi siedzimy, swoją ręką zasadzał!...

Wielu współżyjących natenczas bogaczów zostali dzisiaj w zapomnieniu, a jego ubóstwo bez zmazy wieki wiekom podawać będą! Cnoty, bracia ludzie! cnoty trzymajcie się nadewszystko. Czyliżeście nie widzieli w tem nawet życiu nagrodzonych wielu cnotliwych? Bóg z ziemi często wyrywa pysznych, a natem miejscu zaszczepieni wzrastają skromni! Wreszcie, kiedy wam losowi ciężko przychodzi opierać się, robiąc swoję powinność, płyńcie z wiatrem, jaki wam Fortuna dała. Szczęścia i nieszczęścia koniecznie z śmiercią kończyć się muszą — i ta śmierć, co nędznemu pociechą, trapi w pośrodku wygód jego bogacza. Płyńcie z wiatrem! myśląc w pośrodku nawalności, że wie Pan, za co was na taką niepogodę w tę drogę posłał; a tem uzbrojeni, staniecie się tem samem szczęśliwymi,

kiedy żadnego nieszczęścia, któreby tylko przypaść mogło, bać się nie będziecie. Tak osładzaj każdy nieszczęścia swoje; ale jeżeli chcesz, jak można, być szczęśliwym na ziemi, potrzeba mieć więcej cnoty, niżeli wiadomości rzeczy; więcej przyjaźni, niżeli miłości; więcej roztropności, niżeli dowcipu; i więcej spokojności, niżeli zysków.

ROZMOWA V.

O OBCOWANIU MIĘDZY LUDZMI I PRZYJAŹNI.

Rozmowa ta jest w ogrodzie Akadema. Wchodzą w nię ciż sami.

Platon. W początkach świata, (jak piękna powieść niesie), do ludzi wtenczas niewinnych i świeżą pamięć mających Bóstwa, które ich utworzyło, niewinna w gościnę z nieba zstąpiła Astrea. Jak słodkie było tych nowotnych mieszkańców obcowanie, kiedy wszystkich darów ziemi wszyscy bez zdrożności używali, i kiedy samą tylko przyjaźnią rzeczy ludzkie toczyły się! Widzieć się z czuciem, gadać z sobą z szczerością, i z gorliwością (sobie nawzajem) usługiwać, całym było zachodem w tamtych społeczeństwach. Na jedno to wychodziło tej córce sprawiedliwości, czyli między swojemi niebiankami, czyli w towarzystwie ziemian bawić się — gdzie do wszystkich niewinnych rozrywek ludzkich i ona niewinna należała.

Ale niedługo tym złotym wiekiem cieszył się człowiek! Miłość własna, zrobiwszy się początkiem złego, swoje i cudze szczęście obaliła! Z drobnej zapewne rzeczy jakowejś, że może Teona piękniejszego jabłka dostała, albo gładszy baranek z jej ręki jadał, ten płód

obrzydły miłości własnej: zazdrość urodziła się — a z niej potem tysiączne występki, pod różną postacią, niezmazaną dotąd ziemię napadły. Że zbrodnie z niewinnością żadnego mieć nie mogły społeczeństwa — powracając nazad, zkąd była przyszła tkliwa Astrea, żegnając ludzi, którzy ją znieważać zaczęli, nieszczęściom, (co zwyczajnie idą za zbrodniami), obwiniony ród człowieczy zostawiła

Ale przyjaźń nie porzuciła przecię tej ziemi, że Bóstwo na ulgę w nieszczęściach, które naród ludzki dobrowolnie na siebie ściągnął, przez litość nam ją zostawić chciało. Prawdziwa przyjaźń nie może być tylko między dobrymi, a źli ludzie ani między sobą, ani z dobrymi sprzyjaźnić się nie mogą, tak jak drzewo proste z krzywem, albo dwa krzywe nigdy się ściśle nie złączą. Celem obcowania między ludźmi być powinno zrobienie sobie przyjaciół; a przyjaźń prawdziwą sama tylko cnota związywać może. Przyjaźni! w tobie to Likurgus... Sparty swojej najwyższe widział uszczęśliwienie! Na twojem to łonie złożone troski pomniejszają się, a radość obficie zwykła powiększać się! Ty, słodkim węzłem związując człowieka jednego z drugim, robisz ich jakoby istotą jedną! i ja to czułem, jak się dusza moja łączyła z duszą przyjaciela mojego.

Tak jest, kiedy z moim przyjacielem bawię się, ani ja sam jestem, ani ja we dwóch! Na równe części wszystko z nim podzielilem; i byłoby to kradzieżą, ażeby przyjaciel sam używał szczęścia, a niechciał się niem z przyjacielem podzielić: dla tego też i on wzajemnie został się zawsze przy mnie, chociaż już i fortuna odeszła! Nie przykre mi są jego, chociażby najostrzejsze, napomnienia: bo sam siebie, przez miłość własną, nigdybym tak surowo nie dojrzał, jak mnie ten mój świadek i razem sędzia bezstronny dogląda! Przyjaźni najpierwszą własnością jest szczerość między przyjaciołami. Ona razem jest cechą poczciwego człowieka, jest poręką słów jego i myśli, a świadków nie potrzebuje. Szczerości obietnice, są skutkiem, jej dary, nabyciem — rodzi się w sercu, a przebywa w ustach.

Przyjaciel przyjacielowi w szczerości prawdę koniecznie mówić powinien; ale i w publicznych posiedzeniach trafiają się zdarzenia takie, że ją ludziom koniecznie powiedzieć należy, chociażby (tego) nie chcieli. To pewna, że prawdę milej nam wyznać, niżeli komu słuchać; ale nie oglądajmy się na to, kiedy ona jest gruntem cnót wszystkich, a prawidłem Boga i ludzi. Wszelako, ilekroć przymuszonym jesteś otwarcie ją powiedzidć, pokazuj, że to czynisz niechętnie, tak, jak się dotykasz rany, przynaglony tylko potrzebą uleczenia. Jednakże w teraźniejszych towarzystwach, gdzie, jeżeli chcesz być kochanym, musisz wiele ulegać: jeżeliś nie spytany, i nic cię nie przymusza do wyznania surowej prawdy, jak wiele razy potrzeba zrobić ci się ślepym, ażeby nie powiedziano, że ślepym jesteś, zwłaszcza, kiedy się trafi, że lżej jest znieść wady ludzkie, niżeli je poprawić. A potem ma dosyć człowiek zatrudnienia na całe życie: wady swoje poprawiać—nie, żeby jeszcze i cudzemi się zatrudniał.

Ale zwyczajnie cudze występki prędzej, jak swoje postrzegamy: bo rozum nasz oswoił się, wraz mieszkając, z przywarami naszemi, a cudze rażą go prędzej. Jużem się postarzał na tem, jak ludzie w posiedzeniach źle lubią mówić o inszych, i widzę umrę, a nie poprawią się. Że zaś, (chociażby i spytanym byłeś) nikomu w obcowaniu z ostrością prawdy mówić nie należy— nie przeto pochlebiać powinieneś. Pochlebca jest kłamcą, mówiąc to, czemu sam nie wierzy; i jest podłym, nie mając śmiałości mówić to, co myśli. Szczerość niechętnie mieszka na dworach, i mało znana panom— a pochlebce są u nich jak lekarze u chorych urojonych, ci płacą lekarzom za choroby, których nie mają; tamci za cnoty, które miećby powinni. Chronić się nawet należy zbytecznych pochwał dla kogo, bo mają podejrzenie pochlebstwa, jako zbyteczna nagana: złości. Nareszcie mój pochlebca gorszym jest od mego nieprzyjaciela, bo ten, wyrzucając mi błędy, obudza mnie, abym się w nich poprawił—a pochlebca usypia.

Mimo tego, pochlebstwa popłatne między ludźmi, a najwięcej na dworach pańskich. Tam, gdzie cnota

przechodzi okrzyczana od zawistnych, i ledwie że kącik przytulenia znajdzie, podły pochlebca tym czasem rozszerza się, roznosząc nad słabszymi rękę protekcyi, odbiera od nich na stronę swoję marne kadzidło, które sam na ołtarzu bogacza dopiero palił. Nie dba na to pochlebca, wiele mu to obelg znosić potrzeba wchodząc do domu bogaczów, a jak nierównie więcej wyszedłszy, wiele to razy uchylić sie, niby trzcina wiatrowi, ażeby się jeszcze podnieść można! Dwór, to mieszkanie pełne dymu, zkąd częzto wychodzimy ze łzami w oczach — to prawda, że nas naucza życia świata; ale drogo bardzo za tę naukę opłacamy się, kiedy, po śliskich stopniach jego przechodząc, tak łatwo pośliznąć się i upaść można, a czasem, jak bydlę tuczone przy pańskim żłobie, padniesz na pastwę tego, który cię tuczył.

Zysk, ta wielka w zgromadzeniach sprężyna, daje ruch obcowaniom teraźniejszym. Cały świat krząta się, albo odzyskać to, co stracił, albo nabyć to, czego nie ma. Zysk rodzi zdradę i niezgodę, a przymusza rozum wchodzić w to, co jemu, nie zaś słuszności dogadza — i niemogąc się podnieść do wysokości cnoty, ściąga ją często ku sobie na dół. Zysk robi dworaka niewolnikiem; żołnierza ślepym na śmierć; kupca oszukującym; skąpego nieużytym; wieśniaka cierpliwym — i, jeżeli prawdziwa przyjaźń zginęła na ziemi, zysk jeden utrzymuje towarzystwa. Dla tego, jeżeli żądasz podobać się w obcowaniu, nie mów ludziom, żeś nieszczęśliwy, bo zaraz od ciebie stronić będą, przez bojaźń, ażebyś ich o wsparcie nie prosił. Nie tykaj nadewszystko tej sprężyny, gdzie o ich zysk jaki chodzi; a jeżeli jesteś w stanie czynienia im dobrze, radą albo majątkiem twoim wspieraj, nigdy tych nie upokarzając, którym dobrze uczynić mogłeś, ani się odrażając tem, że będą i niewdzięcznemi, albo czasem dla tego, że mało na tobie zyskali; albo, że wszystko wzięli. „Mam dwie skrzynie (mawiał Symonides), jedna wdzięczności ludzkich, druga moich pieniędzy; skrzynia wdzięczności obiecanych ..próżna!"

Lubiony także w posiedzeniach człowiek skromny i uczciwość mający. Dla tego chroń się w mowach

twoich być chełpliwym, albo nieuczciwym, bo skromność i cnotliwemu i niecnocie potrzebna: w tym utwierdza cnotę, w drugim zakrywa występek. Co zaś do uczciwości należy — nawet względem siebie samego taką ją zachować powinieneś, jak gdybyś siebie miał za najpierwszą w posiedzeniu osobę; a taką dla drugich mieć grzeczność, jak gdybyś względem nich najniższym był. Nie pokazuj, że starasz się o to, ażebyś się podobał w towarzystwie, ażebyś swój rozum wszędzie okazywał; ale bardziej o to, ażebyś pokazał bawiącym się z tobą, że oni go mają. A tak znajdą w tobie rozum, żeś go roztropnie ukrywać umiał; znajdc i dar podobania się, żeś nie nadto usiłował, ażeby się podobać.

Jak w zwierciedle ciało, tak w mówie duszę człowieka widzimy. Wchodzi ktoś nowy w posiedzenie, i przyjmowany jest według sukni, w jakiej przyszedł; ale wychodzi ztamtąd szacowany z rozumu, jaki w obcowaniu pokazał. Wiele bardzo mówiąc, albo wiele milcząc, podobać się nie będziesz. Ale przynajmniej milczenie daje myśleć ludziom, że możesz mieć rozum; i milcząc niczem się nie różniłeś od rozumnego, kiedy milczy; otworzywszy zaś usta, i powiedziawszy co niedorzeczy, otworzyłeś dom twój, że obaczyli wszyscy cały w nim nieporządek — a tak gadatliwością twoją więcej nauczyłeś drugich, niżeli sam chcieć mogłeś, bo razem poznano, żeś głupi.

Kiedy więc nie masz tyle rozumu, żebyś co dobrze powiedział, miej przynajmniej tyle rozsądku, ażebyś milczał. Trafia się, że ktoś sam prawie mówić musi w posiedzeniach, nie żeby mówił najlepiej; ale że lepiej mówiącycych nie masz: w takiem zdarzeniu niech mówi i dłużej, kiedy musi; ale zawsze o to starać się należy, (co razem powszechnem w każdem mówieniu prawidłem jest), ażeby mówić wiele, a mało słowami; nie zaś mało, a obszernem tłumaczeniem się; — czyli (co na jedno wyjdzie), okoliczności niepotrzebnych w mówieniu swojem nie mieszać.

Insza rzecz, człowiek wielomowny z nałogu. Jemu trudno, ażeby się obszedł bez powiedzenia fałszu jakiego: bo lubiąc mówić bez miary, mówi bez zastano-

wienia się, tem, co wie i nie wie, mowę swą napełniając— wtenczas, kiedy człowiek mądry mówi tylko znajome prawdy, których mało, dla tego też i mało mówi. Wielomowny z nałogu przychodzi łatwo i do obmowy; ale jeżeli ma roskosz obmowca źle gadając o ludziach, straciłby ją powinien, spodziewając się, że i o niem zapewne tak mówią. Rzecze kto, że ogadywanie pochodzi czasem z politowania; ale... płacząc nad słabością brata człowieka, i razem zabijając go na sławie, jakżeś się nad nim zlitował? Nadewszystko w posiedzeniach starać się masz poznać skłonności obcujących z tobą, i ich sposób myślenia, do nich się zawsze ile możności przyłączając, nie zaś ich do siebie koniecznie przeciągając. Tak pewnie drugim podobać się musisz, i zarobisz sobie na przyjaźń, której tylko w obcowaniu między ludźmi szukać powinieneś.

Dyon. O Platonie! zapominam nieszczęść moich, wspomniawszy na prawdziwą twoję przyjaźń dla mnie! ale powszechniej mówiąc, nie masz nic tak pospolitego między ludźmi, jak oświadczenie przyjaźni; ani tak rzadkiego, jak skutki jej! Wielu używa przyjaciół, jak naczynia jakiego: potrzebują go, kiedy pełne; jak wypróżnione, porzucą. Tylkoto, gdy słońce świeci, cień jest przy swojej godzinie, tak i fałszywy przyjaciel w czasie pochmurnym zniknął. Od fałszywej przyjazni, która mnie milczkiem gubi, czyliż nie lepszy nieprzyjaciel każdy, ten wielki nauczyciel, który szpieguje i wyrzuca śmiało wszystkie złe sprawy nasze, a któremu za naukę wtenczas płacimy, kiedyśmy się poprawili.

Jeszcze człowiek młody, nie mający doświadczenia, myślący o wszystkich ludziach dobrze, i ufający im, łatwo sprzyjaźni się — co potem drogo zwyczajnie opłacić musi. Ale poznawszy ludzi, kiedy im tak rzadko dowierzać można, na cóż mi takich przyjaciół, których równie, jak nieprzyjaciół, wystrzegać się potrzeba? i którym wszystkiego co myślę i czuję zwierzyć się nie mogę? Czyliż mojem najszczerszem wylaniem się zyskałem serce Dyonizego? Albo za moje pieniądze, czyliż prawdziwego kupię przyjaciela? Taki, kto mu

da więcej, gotowy znowu się sprzedać. W tych wiekach nie słyną przyjaźni wielkie, a to prawda, że wielu poczciwych zostałoby zagrzebanych w niepamięci, gdyby byli nie mieli nieprzyjaciół. Dawniej to szukano przyjaźni, teraz tylko zdobyczy.

Platon. Przeczyć nie można, że bardzo rzadko prawdziwa przyjaźń na świecie. Dawne dzieje Grecyi nie wiele także nam przykładów pokazują. Tezeusz i Pirytrus, Achilles i Patrokles, Orostes i Pilades, oto już wszyscy, którzy dawniej wsławili się przyjaźnią. Ale Damon i Pitias w Sycylii, nie tak dawno po długich czasach pokazali ludziom, że jeszcze prawdziwa przyjaźń nie zginęła na ziemi! W wiekach grubszych, póki nie było ćwiczenia takiego, jakie dziś mamy, ludzie albo się kochali, albo nienawidzili w najwyższym stopniu. Dyssymulacya przyszła z edukacyi—i ztąd to w dawnych czasach przyjaźni sławne, albo nieprzyjaźni okrutne. Wszelako z takim światem żyć nam potrzeba, do jakiego przychodzimy, i kiedy każdego z nas wrodzona do życia w towarzystwie skłonność przestrzega: „Szukaj przyjaciela!" ten głos natury nie jest nadaremny. Oddałeś mi sprawiedliwość, wyznając głośno, żem prawdziwym twoim przyjacielem; ale prócz mnie, czyliż już niemasz serca między ludźmi, ażeby cnotliwego kochać mogło Dyona?

Mówisz, że przyjaźni teraźniejsze są tylko dla zdobyczy, i widząc wiele wad ludzkich, nie chcesz się z nimi przyjaźnią złączyć. Złącz się tedy z kimkolwiek, choćby dla tego tylko, ażebyś go poprawił. To prawda, że wiernego przyjaciela za pieniądze nie kupisz; ale często największe przyjaźni od dobroczynności zaczęte—a potem, nie zadatek jaki, ale serce tylko za serce mieniają przyjaciele. Nigdy ja o tem nie myślę, ażeby mnie czem mój nieprzyjaciel wspomagał; ale tylko, wczembym jemu przysługę jaką uczynił, i kiedy go ratować nie mogę, znakiem to już niedostatku mojego: bo gdybym nie chciał, skończonej przyjaźni byłoby dowodem. W czasie mojej radości po niego najpierwej posyłam, ażeby wspólnie cieszył się ze mną; a w czasie smutku, on sam najpierwej przybiegł...

i kiedy drzwi do mnie otwierał, zaraz w mym żalu poczułem ulgę.

Przyjaciel może się mylić, ale niechce oszukać. Ztąd, choćbym szkodę jaką ucierpiał od przyjaźni, niemam tego za krzywdę, gdzie mój przyjaciel krzywdy mej nie chciał. Na ulgę w nieszczęściach dana jest ludziom przyjaźń! Dlatego, podległym będąc losowi, jak wszyscy, i robiąc sobie zapas na czas przygody, jeżeli tak poczciwego kogo ująć mógłbym, przedam rolą, i zrobię choćby jednego sobie przyjaciela. Żebym zaś od ludzi powszechnie lubionym był, czynić będę dobrze nieprzyjaciołom nawet, i psu szczekającemu rzucę kawałek chleba. On się zaspokoi, i łasić się będzie.

Arystoteles. Tak ulegając ludziom, żebyśmy dobrze czynić mieli nawet nieprzyjaciołom naszym — zdaje się, że niepodobna to robiąc, żebyśmy się razem podłemi nie zrobili. Nieprzyjaciel błagany zrobić się może zuchwalszym na mnie — tak, jak ulegając w posiedzeniach łgarzom, ośmielamy ich do mówienia tem więcej fałszów. Lepiej tedy jest obrazić kogo przez prawdę, niżeli zasłużyć sobie na miłość przez pochlebstwo, bo wolę mieć dobre wspomnienie między poczciwymi, niżeli słynąć grzecznością w obcowaniu, a cnotę i przekonanie moje zawodzić. Próżność wyniosła chce być jedyną zawsze, wszystko ona od siebie wyłącza, i wszystko niżej kładzie. W zdarzeniu zdybania się z człowiekiem wyniosłym, czyliż mam zginać kolana przed pychą i deptać prawdę? a zapomniawszy, żem równym człowiekiem, łasić się mam przy nogach razem z szczenięciem pańskiem? Jabym nie chciał mieć nieprzyjaciół w obcowaniu, ale i siebie, uleganiem ustawicznem drugiemu, obrażać nie chcę.

Platon. Na datek jaki, którybyś nieprzyjacielowi twojemu ofiarował, ludzie patrzyć umiejący, najpierwej widzieliby w tem wspaniałość duszy twojej, i uczynek rzędu wyższego: bo tak bliżej do sposobu postępowania Bóstwa przystąpiłbyś, którego słońce równie na złych, jak i na dobrych świeci. Możesz w posiedzeniach nikomu nie pochlebiać, możesz cnoty twej nie zawodzić, ale możesz razem i milczeć.

Milczenie w swoim czasie i miejscu zawsze jest pięknem - a w tęnczas dopiero odezwać się, kiedy będzie rzeczą niegodną milczeć. Na co człowieka publicznie upokarzać, że błądzi, kiedy my wszyscy błądzić możemy! I jeżeli błąd jego szkodliwych za sobą nie ciągnie wniosków, na co, żebyś się pokazał znającym się, upokarzasz brata człowieka, przekonywając go przed ludźmi, że głupim jest! Najpierwszy rozum: swoje głupstwa poznawać i poprawić. Czemuż inszych błędom nie ulegać, kiedy żądamy tego, ażeby i naszym ulegano? Trzymać się najlepiej środka, i bez podłości być grzecznym dla każdego. Podłość zaś tam się zaczyna, gdzie ująłeś coś charakterowi swojemu, ażebyś to przyczynił tym, których uwielbiasz. Słowem, ulegaj ludziom bez podłości, bo to można; a nie zawstydzaj ich w posiedzeniach, choćby coś i pobłądzili, bo to niesprawiedliwa.

Focyon. Jeżeli tylko potrzeba chwalić kogo, ażebym się podobał, jakbym się w posiedzeniach znajdować niepowinien, nie żebym ludzi nienawidział, ale tylko, że sam zmyślać nie lubię, a ich szacować nie mogę; życzę im wszelako, i czynię dobrze, bez żadnej nadziei wzajemności. Prawda, że wszystkie dary dane nam od Boga takiemi są, że niemi bliźnich wspierać możemy. Uczę się, żebym kogo nauczył; mam czerstwość sił, żebym siebie i kogo potrzebnego poratował; widzę lepiej od drugich, prowadzę ślepego.

Ale w społeczeństwie, kiedy ślepy gniewa się, jeżeli go poprowadzę, albo przykra nawet zbrodniarzom, (których pełno), przytomność moja: czyliż nie lepiej, żebym się usunął nawet dla tego, aby nie myślał złośliwiec, że przytomnością moją i milczeniem potwierdzam złe sprawy jego? Jak mam szacować ludzi? widząc, jaki tam nacisk, gdzie łaski rozdają, a jak tam nikogo prawie nie widać, gdzie już rozdali! Nie tobie, ale szczęściu twojemu ludzie kłaniają się. Jeżeliś biedny, wszerz i w zdłuż przechodź Ateny, nikt się do ciebie nie przyłączy; a pokazał się na rynku bogacz, zaraz go czcicielów orszak otoczył! Jeżeliś prawego serca, jakież mieć możesz społeczeństwo z ludźmi,

którym najgorsza skłonność najmilsza? którzy nie chcąc słuchać, choćbyś najlepiej radził, idą raczej za urojonym blaskiem, za tem marnem światłem ponocnem, które ich do zguby wiedzie? W takim składzie rzeczy, zdaje się, że człowiek uczciwy najlepiej obrał, kiedy unika społeczeństwa, i raczej samotny żyje.

Platon. Potrzeba Focyonie, w wielu rzeczach przymuszać się, bez przymuszania drugich, jeżeli chcesz, jak wart jesteś, ażebyś był kochanym. Nie sobie samym urodziliśmy się. Do urodzenia naszego ma prawo Bóg, ojczyzna, rodzice, i wszyscy ludzie; błędy ich i słabości znosić potrzeba: bo też sam wyznasz, że insi cię i przykładem swoim nauczają. Mówisz, że za dobrą twoję dla kogo sprawę, żadnej się wdzięczności nie spodziewasz: czyńże ludziom dobrze bez handlu, choćby dla tego tylko, że pięknie jest pełnić uczynek dobry. Na zdrożności ludzkie poglądaj z politowaniem, a nie ze złością—tak prędzej ci przyjdzie chęć sprostowania, co krzywe, niżeli deptania nogą, co upadło.

Sprawiedliwy Arystyd, cnotliwy Sokrates, czyliż jeden i drugi, obrażony powszechnem zepsuciem, chronił się ludzi? Między największe zgromadzenia, i do pierwszych idą urzędów, ażeby przynajmniej, jak mogli, kiedy nie tak, jak chcieli, ludziom użytecznymi byli. Pódź czasem, i tam siądź, gdzie ludzie świata siadają; nie tak, jak zbiegły jaki do nich, ale jak człowiek do ludzi. Pójdź między zbrodniarzów: ty przytomnością swoją w zbrodniach ich nie potwierdzisz; ale owszem, popełniając je przy tobie, wstydzić się będą. Któż cię przynagli, ażebyś zbrodniarza chwalił: kiedy tylko milczeć i będziesz chciał i będziesz umiał? A nawet nikt nie uwierzy, gdybyś go chwalił, jako i jemu, gdyby cię ganił. Powinność każdego być użytecznym drugiemu: jakże nim będziesz chroniąc się z ludźmi obcowania? Kiedy układ najwyższy człowieka między ludźmi postawił, jest to coś zuchwałego, ktoby chciał być od nich oddalonym. Bóg to tylko jeden sam z sobą jest, a człowiek ma być w towarzystwie.

Speuzyp. Ja lubię posiedzenia wielkie, bo różność zdań ludzkich i charakterów bawi mnie. Tu wiadomości publiczne, tam szczególnych osób opowiadane cnoty, albo słabości rozrywają. Ani ogadywanie, zdaje się, że koniecznie złem będzie, kiedy wielu winnych publiczne o nich gadanie poprawiło. Człowiek jeżeli jest słaby, czyli uboższy, gada na mocniejszego, i...nie mogąc inszym, tym niby rodzajem zemsty robi sobie z niego sprawiedliwość. Ale jeżeli kto mocny, czyli majętny gada na słabszych od siebie, że słabi; a na równych, że równi (sic); i tak się powszechnie składają społeczeństwa. Ja zaś kiedy nie miarkuję dobra mojego z gadania o mnie tłumu niedołężnego, ale ze świadectwa mego sumienia, niech sobie moim kosztem bawią się ludzie. Ciężko bardzo o takiego, żeby o ludziach nic złego nie mówił, ani o sobie dobrego. Pozwólmy jedno zabawie, drugie miłości własnej.

Platon. Powiadasz, że ogadywanie złem nie będzie, kiedy wielu ogadywanych poprawiło się. Ale któż tak srogim sposobem leczy chorego, zwłaszcza najmniejszej pewności przywrócenia go do zdrowia nie mając? Albo prawdę mówisz ogadywając, albo rzecz niepewną potwierdzasz? w obojgu zdarzeniu winnym jesteś. W pierwszem, że nie będąc sędzią tego, którego ogadujesz, karzesz go najsurowszym sposobem, bo na sławie, którą mu bierzesz; w drugiem, więcej jeszcze, że może karzesz niewinnego. Tak złemi jesteśmy, że złym mowom zaraz uwierzymy; a dobrych doświadczać chcemy. Człowiekowi, któregoś skrzywdził obmawianiem, jakże ciężkie przywrócenie sławy, chociażbyś żądał, kiedy słyszący gadanie twoje powiedzieli to inszym, których znowu zbierać i z błędu wywodzić nie w twojej mocy.

Ogadywacza strzegą się wszyscy, bo każdy o siebie ostrości jego języka boi się; a tak tyle na tem zyskał, że chcąc być zabawnym, robi się w posiedzeniach niebezpiecznym. To często powtarzać przychodzi, że mamy co w domu naszym do roboty, nie żebyśmy jeszcze cudzą zagrodę zamiatali. A tem ci gorzej co mówisz, że ciężko o takiego, któryby o ludziach nic złe-

go, ani o sobie nic dobrego nie mówił. Zacznijmyż poprawiać zabawy w posiedzeniach, niech ludzka krzywda nasza nie będzie; ani pochwała nasza przez usta nasze drugich unudzeniem. Nie wszystko zabawie, nie wszystko miłości własnej poświęcajmy, bobyśmy z gruntu obalili społeczeństwa.

Xenokrat. Podobnie jak Focyona i mnie jątrzą posiedzenia, gdzie tysiąc zdrożności widzę. Ten się oświadcza z przyjaźnią, żeby co zyskał, a ubolewa nad swoim nieprzyjacielem, kiedy go się obawiać nie ma przyczyny; ów albo siebie ustawicznie chwaląc, chełpliwie nad inszych się wynosi, albo sam o wszystkiem gada, jakby tylko (miał) język, a uszu nie miał. Ten niedawno, jak gąsienica czołgał się po ziemi, dziś dostał skrzydeł, i górą lata. Inszy w posiedzeniu nie powie rzeczy zdrożnej, a nigdy nie zrobi dobrej. Nikt nie jest kontent ze swojego losu, ani niekontent ze swojego rozumu; i ja niechciałbym być mędrszym, jak Tymonowi zdawało się, że mądrym jest. Żeby cię miano za grzecznego, potrzeba, ażebyś z drugimi rozmyślnie czasem głupstwa popełniał, żebyś sobie przykrości czynił, żebyś prawdę zataił; i rozum, ten dar Boży dla człowieka, często mi szkodził, żem się go poradził w obcowaniu. Im więcej serce się psuje, tem powierzchność kształtniej się układa; tak ludzie, stawszy się grzecznymi, dawną cnotliwą prostotę postradali, a zyskali za to fałsz pozłocony.

Obcowanie z ludźmi każe nam znosić wszystko: cóż przykrzejszego, jak słuchać mowy głupiego? On nie umie milczeć, a gadaćby nie powinien; i jeżeli jeszcze trafi się z pamięcią i wiadomościami, on daleko głupszym jest od prosto głupiego. Oni się znają dobrze, i głupi znajdzie jeszcze głupszego, nad którym się zadziwia. A wtenczas, kiedy człowiek duszy niepospolitej ma coś codzień sobie do wymawiania, głupi codzień z siebie kontent. I kiedy dzieci mówią to, co robią, starzy to co robili: on powie i to wszystko co robić ma. Fałsz i głupstwo wszystkie napełniły społeczeństwa; czyliż nie lepsze będzie ustronie, gdzie od

własnych tylko głupstw wycierpię, a fałsz zemną samym nie ma co do roboty.

PLATON. Nie wszyscy są przyjaciołmi naszymi tylko dla zysku, niewszyscy nieprzyjaciołami do śmierci. Mając zaś doświadczonego już przyjaciela, choćby go przed tobą w czem obwiniano, sam wyszukuj przyczyny, jakbyś go u siebie wymówić mógł. W nieszczęściach wielkich udaj się pierwej do niego, niżeli do rozpaczy; a gdzie chodzi o jego dobro, on go zaś nie widział, wtenczas zawsze winieneś mu się sprzeciwić; wreszcie wiecznie zgodny, jak Orestes z Piladesem, którzy przez życie raz tylko poróżnili się, kiedy jeden za drugiego umierać chciał. A jeżeli dawny twój przyjaciel robi ci się nieprzyjacielem: lepiejby zszyć przyjaźń, która się psuje, jeżeli można, niżeli do reszty zedrzeć. W zdarzeniu zaś, że wszystkiemi sposobami chcąc się pojednać, nic nie wskórałeś, hańbić to powinno poczciwego człowieka, żeby reszty przyjaźni, która się kończy, używał na dogodzenie nienawiści, która się zaczyna — a nawet, kiedy się przyjaźń skończyła, obowiązany każdy do sekretu, który mu w przyjaźni powierzono. Jeżeli zaś przymuszonym jesteś być czyim nieprzyjacielem, bądźże nieprzyjacielem poczciwym, niechcąc przeciwnikowi odbierać życia, sławy, ani majątku; ale tylko złą wolą jego, tyle go mając w nienawiści, jak gdybyś spodziewał się kiedy mieć go przyjacielem twoim. Najszczęśliwszy ten stan człowieka jest, kiedy może się mścić nad nieprzyjacielem, i nie chce; a przyjaciołom swoim chce świadczyć i może.

Co wspomniałeś o samochwałach, chełpliwych, i gadających ustawicznie w posiedzeniu — cóż ci przeszkadza litować się nad głupstwem ich? albo kto ci dał prawo, żębyś ich miał publicznie strofować i zawstydzać? Chełpliwy śmiałek czeka na kogoś, który mu się ostro stawiwszy, uniży go. Zostaw to komuś niegrzecznemu, bo tobie piękniej z grzecznością. A jeżelibyś kogo poprawić i napomnieć miał, rób to albo cicho, albo z taką skromnością, żębyś go nie zawstydził. Ten gada sam wszystko w posiedzeniu, to szkoda, że się

milczeć nie uczył; ów z przodków swoich chełpi się — to szkoda, że się myli, szukając owoców we pniu drzewa, którychby na gałęziach patrzeć powinien; wszelako ten i ów sobie tylko szkodę robią, nie tobie. Czegoż się gniewać na cudze zdrożności, kiedy i u nas nie wszystko proste!

Dawniej mówiłem ci Xenokracie, ażebyś Gracyom ofiarę czynił—i tego ci tylko potrzeba, cokolwiek przynajmniej do twojego piołunu miodu przymięszać. Chcąc we wszystkięm naganiać drugim, tem samem chcesz chwalić siebie, dając znać, żeś do nich nie jest podobnym, a tak sam wpadasz w naganę, którąś dopiero srożał przeciwko samochwałom. Unikać zaś należy podobieństwa nawet, w czembyś sam siebie chwalił: bo zbyteczną miłością własną zatrzymujesz dla siebie miłość ludzką, służąc skromnej cnocie, zawstydzasz ją chełpliwą pychą. A tym podobno sposobem przyszedłeś do pogardy ludzi, z którymi opatrzność chciała, ażebyś żył, jak z bracią swoimi. Prędzej zaś zniosą ludzie rozgniewanie się twoje, wyrzucania komu choćby najgrubsze, i przypadkowe uczynione przykrości, niżeli rozmyślną pogardę: bo pierwsze mogą być na niektóre tylko występki, pogarda zaś zupełnie uniża i upodla człowieka.

Nie chcesz się widzę w niczem przymusić, żebyś się ludziom podobał — i co na to samo wychodzi: Ty chcesz żyć między nieprzyjaciołami! Nie wstydź się z ludźmi i małe głupstwa czasem popełniać, żeby przyswoiwszy ich do siebie, wielu potem poprawić, i na drogę rozumu naprowadzić. To prawda, że grzeczność ma więcej pozoru powierzchowności, niżeli szczerej cnoty; ale mówić nie można, ażeby każdy grzeczny wyrzekł się być cnotliwym. Zgodzić może, kto zechce, i cnotę swoję, której nigdy odstępować nie należy, i uprzejme obcowanie z ludźmi, którego nigdy nie chronił się Sokrates. Znosił on głupstwa ludzkie, nieporuszając się ani mową nierozsądną, ani nawet kiedy był potrąconym od głupiego. Jakże pięknie Xenokratowi naśladować Sokratesa, i nie robiąc się szczególnym, wchodzić

pomiędzy zgromadzenia ludzi, ażeby albo oni z ciebie, alboś ty nareszcie z głupstw ich samych pożytkował.

Ktoby zaś żądał, jaką drogą do ujęcia sobie ludzi przychodzimy, następującemi sposobami prócz inszych przyjdzie. Tak ułożyć się potrzeba w życiu, żeby nie być, ani postrachem dla niższych, ani pogardą dla wyższych—z pierwszymi zawsze postępując z słodyczą, jak chciałbyś, ażeby wyżsi z tobą postępowali; z drugimi, zawsze jak z ogniem, ani nadto blisko, bo spali, ani nadto dalcko, bo nie grzeje. Kiedy cię honor cnoty nie przymusza, nie przymuszaj nikogo w posiedzeniu, bo inaczej stracisz prawo podobania się. Ztąd wypada dalej, ażebyś w sprzeczkach, które się trafić mogą chociażby przyczyna zatobą była, pierwszy ustąpił. Znajdzie się ze słuchających sędzia rozsądny, który cię osądzi za rozumnego, że ustąpiłeś. Zkąd indąd, niekoniecznie przy swojem, (choćby się zdawało dobrem) utrzymywać się możemy: że trafiają się zdarzenia takie, które są bardziej prawdziwe, niżeli do prawdy podobne. Odmieniaj tedy czasem zdanie twoje, byleby to było z przyczyny, a nie z płochości. Nie bądź tkliwym na wszystko: człowieka zacnego lada fraszka nie wzruszy— i kiedy gniew nie różni się od szaleństwa, tylko że trwa krócej, któżby choć na czas chciał być szalonym?

Gdybyśmy słów obojętnyeh w posiedzeniach często do siebie nie stósowali, albo mniej się zapalali na pierwsze słowa, które w początkach gniewów zwyczajnie są łagodniejsze, wiele gniewu spełzłoby. Potrzeba, coś mówić w posiedzeniach, jest człowieka dowcipnego; mało i gruntownie, mądrego; wiele i źle głupiege. Szczęśliwy! który albo umie mówić, albo umie milczeć. Nie wiem, kto większą miał wiadomość rzeczy, jak Epaminondas, i ktoby mniej mówił od niego. Pamiętaćby o tem każdemu należało, co mawiał Pytagoras: „Albo milcz, albo powiedz co lepszego, jak milczeć.“ W posiedzeniach ludziom znaczniejszym daj czas mówienia pierwej; we środku mowy nikogo nie przerywaj; a stronę uboższych, bylebyś tem kogo nieobraził, utrzymuj w obcowaniu—tak osłodzisz im to, że ubodzy; tak i siebie pokażesz, żeś niepochlebny. Myśl

człowieka mądrego uprzedza zawsze sława i robotę jego; a głupi mówi i robi pierwej, niżeli pomyśli.

Od ślepych uczymy się rozumu, oni kroku nię uczynią, póki swoim kijem, albo nogą nie doświadczą. Rozrywki w posiedzeniach niech będą przystósowane do wieku. Starzec, im się więcej między młodymi trzpiocze, tem się wydaje starszym. Niech będzie w starych powaga, w mężczyznach środek, a wesoła skromność w młodzieży. Ale i młodzi niech szukają społeczeństwa ze starymi—tak, żebyś niebył pijanym, przyczyniaj wody do wina. Gra i wino niech będą na rozrywkę, albo na rozweselenie się, nie zaś na szkodę i zbytek; a odpowiedzi trafne na zabawienie przytomnych, nie na żartowanie i ukrzywdzenie kogo. Nie szczyp językiem nieprzytomnych, bo cię sie obawiać będą przytomni. A najbardzięj chroń się ogadywać umarłych, jak rozbójnik napadający na bezbronnego. Kiedy za nami w życiu stanie przyjaciel, albo nasz odpór własny, przy nich tylko stoi politowanie. Tak ich sobie wystawiaj, jak dziecię, albo jak starca zgrzybiałego, którzy tylko mają nadzieję w politowaniu cudzem.

Jeżeli ci kto uczynił dobrze, pamiętaj, że większy jest dług odebranej łaski, niżeli pożyczonych pieniędzy. Przysługa czyja powinna być rozważaną, jak wiele ten, który ją czyni, łożył na nią; nie zaś, jak wiele z siebie warta? A jak we wszystkiem, tak najbardziej w pożyczonych pieniądzach słowa dotrzymuj, bo czem jest kamień probierski dla złota, tem złoto dla człowieka. Mimo tego dług zaciągniony jest u wielu tak, jak poczęte dziecię, które ze słodyczą przyszło; ale jak matce rodzić, tak dłużnikowi oddawać pieniądze przykro. Ratuj według twojej sposobności, jak możesz, opuszczonych niewinnych, nawet chociażby tobie znajomymi nie byli; a piękniej jeszcze zrobisz, kiedy i oni wiedzieć nie będą, kto ich poratował.

Nie rozmawiaj z człowiekiem nieszczęśliwym o twojem szczęściu, bo tak zdajesz się z niego urągać! ale chcąc pocieszyć smutnego, płacz z nim. Ani go ciesz w nieszczęściu, że to już nie powróci, bo właśnie też dla tego płacze, że strata jego niepowrócona.

Jeżeli chcesz być lubionym w posiedzeniu, jak w słowach, tak nawet w ubiorze twoim nad nikogo się nie przenoś; chwalić samego ciebie, jest to człowieka próżnego; jak ganić siebie, czasem głupiego. Zacznij tylko mówić o sobie, żeś cnotliwym: zaraz ludzie, choćby o tobie dawniej dobrze sądzili, o cnotach twoich wątpić zaczną. Ludzkie chwal cnoty, a ile możesz słabość występnych exkuzuj; twoja zaś względem siebie samego skromność już twoją pochwałą jest. Żyj tak, ażeby temu nikt nie wierzył, co o tobie złe języki powiedzieć mogą; a tak się stanie, jeżeli grzecznością twoją zrobisz sobie przyjaciół, a życiem przykładnem poważanie. Uczynkiem nieskromnym, a nawet słowem chroń się pogarszać drugich. Zły przykład naucza złego tych, którzy o niem nie wiedzieli, a ośmiela tych, którzy mieli wstręt ód złego.

Żebyś wskórał między ludźmi, upatruj czasu i miejsca, i— w czem jest miękki człowiek? z którym masz do czynienia. Przynajmniej po części z człowiekiem rządowym naucz się mówić o polityce; z żołnierzem o walkach; z gospodarzem domowym o rolnictwie; z kupcem o handlu; z uczonym o umiętnościach; z rzemieślnikiem o rękodziełach; i w miarę każdego sposobności do odpowiedzenia zadawaj pytania, ażebyś tym sposobem zamilknieniem na zapytania, albo krzywą czyją odpowiedzią nikogo nie zawstydzał. A nareszcie, żądasz ty ludziom podobać się? bądźże dla wszystkich uprzejmym, wadom ludzkim ulegającym, dla nikogo podłym, a powszechnie bez ostrości sprawiedliwym; do gniewu nieskwapliwym, mężnym w nieszczęściu, a w szczęściu niezuchwałym; jak możesz, ratując potrzebnych, radą, pracą, albo majątkiem.

WIARA, PRAWA I OBYCZAJE
INDYAN,
PRZETŁUMACZONE Z FRANCUZKIEGO.

Tłumacz w pierwszym Rozdziale zebrał krótko to wszystko, co autor dzieła P. Michaud miał najciekawszego o powstaniu i upadku państwa Misory, pod nieszczęśliwym Tipo-Saibem. Gdzie razem znaleźć można opisanie niektórych państw Indostanu, w których najbardziej Prawa, Wiara i Obyczaje dawne Indyan kwitną.

DO KAROLA
PROZORA

Oboźnego byłego litewskiego, orderów polskich kawalera.

Kiedyśmy się pierwszy raz poznawali, i czas jakiś z sobą przebyli, ja myśliłem o tobie: On widzę wart kochania; O! gdybyś i mnie wartym swojego znalazł! Z czasem przyszła skłonność wzajemna, a potem serce moje zadłużyło się twojemu. Oddaję ci, Przyjacielu, ten dług częściami. Gdzie tylko się sposobność zdarzy, mówię o Tobie (jak wart jesteś) wszędzie najlepiej; a teraz tę Ci książkę Wiary, Praw i Obyczajów Indostanu przypisując, będzie i to cząstką zaciągnionych powinności moich przyjacielskich dla ciebie.

Wróżą nam, że język Polski, przetrwa Polskę nieszczęśliwą, która upadła; ja sobie wróżę, że kiedyś prawnuki Twoje czytając to pismo, w myśli ich ścisną się znowu Karol z Franciszkiem, i żyjąc w pamięci potomków, nie damy się przynajmniej po części tej śmierci i temu czasowi, które włócząc się po ziemi wszystkoby zniszczyć chciały. Ale gdyby to jeszcze mogło być prawdą, co Indyanie mają za wiarę, że dusze ludzkie, po różnych przechodach w ciała różne, wracają się znowu do ożywienia: ciał ludzkich ja prosiłbym Boga, ażeby dusza moja, po wielu wiekach przenosze-

nia się swojego, ożywiała nakoniec ciało jakiego Prozora z potomków twoich — a tak mieszkałbym w krwi twojej dobrej, co teraz myślą moją tylko za Tobą chodzę. I nie samato była zgoda skłonności podobnych, która serca nasze złączyła. Ty dobry Synu, Mężu, Ojcze, Przyjacielu, Sąsiedzie, Panie dla sług i poddanych swoich; Ty dobry Obywatelu! poświęcający życie i majątki twoje dla ratowania upadającej Ojczyzny, tak wieląto ogniwami spajałeś przywiązanie moje do Ciebie! Ty wziąłeś od Fortuny sposobność do pokazania się na wysokich urzędach, a w duszy twojej znalazłeś hart cnoty, że ze wszystkich wyszedłeś z honorem. Mnie los dał serce tkliwe, poznanie ludzi, i pióro w rękę, ażebym to pisał, co mi serce powiedziało — serce, które Cię kochać będzie do śmierci.

Franciszek Karpiński.

WIARA, PRAWA I OBYCZAJE INDYAN.

ROZDZIAŁ I.

O powstaniu i upadku Państwa Misory.

Gdyby człowiek, poznawszy ziemię całą, chciał na niej wybierać sobie mieszkanie, zapewne nad insze krainy świata osiadłby w Indyach azyatyckich. Tamto obszerne równiny bez żadnej prawie pracy wyżywić mogą człowieka; tam odwilżona ziemia tylu najpiękniejszemi rzekami, ochłodzone zdrowe powietrze wiatrem z gór bliskich powiewającym, sprawują, że człowiek chodzi (że tak rzekę) po szczęściu, widzi go wszędzie, i szczęściem samem oddycha.

Pierwsi mędrcowie świata przychodzili ze wszystkich stron do Indyi, ażeby się tam nauczyli prawideł obyczajów, nieznanych natenczas ziemi. Od Indyan Arabczyk wziął znaki liczebne, których dotychczas używamy w Europie. Wielu sądzi, że druk wynaleziony w Indostanie, pierwej daleko, niżeli był znanym w Chinach. Tales nauczył się tego od Indyan, czego żaden

z jego Greków nie umiał i Pytagor, u nich goszczący, ogłosił z powrotem do Grecyi metempsichozis, czyli przechodzenie dusz ludzkich w różne ciała, co jest dotychczas wiarą Indyjską. Od nich pewnie Grecya większą część wzięła, albo poprawiła swojej Mitologi. Burris, czyli okręt święty, był dawniej znany na wschodzie, niżeli bajeczny Argo w Grecyi, i uszanowanie dla Budka w Indyach uprzedziło Merkuryusza w tylu narodach; toż samo myśleć o wielu wynalazkach i astronomicznych obserwacyach. Indyanie, żyjąc w kraju, który im bez żadnej pracy dawał wyżywienie, jak było od początków, tak i teraz za największą mają szczęśliwość życie spokojne i nieczynne. Nie trudniąc się żadnemi staraniami ziemskiemi, bo bez pracy wszystko do wyżycia mieć mogli, patrząc tylko na piękne niebo: to jest rzecz naturalna, że najpierwej obroty planet dostrzegli, i z tej między niemi zgody przyszli pewnie do odnoszenia się wspólnego ludzi między sobą; a niemając żądz żadnych, albo powiększenia majątków, których nie potrzebowali, albo sławy, o którą dbać nie mogli, zapewnie pierwsze ich społeczeństwa były najsłodszemi.

Ale zwyczajnie za wielkiem szczęściem zazdrość chodzi. Byli długo Indyanie najszczęśliwsi cnotami swemi i życiem bez trudów, póki pobyt ich nie ściągnął napastnych naśladowców Mahometa, że w wielu miejscach Indostanu obyczaje i wiara boga ich Bramy odmieniona; a tak po części lud ten niewinny wziął broń w swą rękę, lud, który natura uformowała do pokoju. Gengis-kan ten Tatar najpierwszy najechał krainy Indostanu; a potem tegoż narodu okrutny Tamerlan w roku 1398 napadłszy Indyą, (którego dzieje tamtejsze niszczycielem nazywają), dzikie Tatarów jego i Afganów obyczaje zacierały ślady nawet spokojnych cnót Indyjskich. Potęga następców Tamerlana, jadem swoim niszcząc kraje Indostanu i sama siebie osłabiła: że dopiero za panowania Akbarai Oremgzeba, na początku wieku przeszłego zmarłego, wrócił się blask dawny panów tych, w Indyi cudzoziemców. Oremgzeb poodbierał kraje poodrywane od Imperium Mogoła, i

przez czterdzieści siedm lat panował nad krajem w świecie najpiękniejszym, szerokości i długości około mł czterechset. Był to monarcha Mahometanin, równie jak i poprzednicy, i następcy jego dotychczas, którzy trzymali i trzymają miecz podniesiony nad karkiem dzieci Bramy, przelawając krew niewinną za wiarę Boga Muzułmanów. Oremgzeb dopiero przed śmiercią poczuli zgryzotę za tyle krwi wytoczonej niesprawiedliwie, w liście do synów swoich pisząc: „Jeżeli się można zapomnieć na wysokiej godności posadzonemu, oświecenie się prędzej, albo później nastąpić musi. Na którąkolwiek stronę obrócę oczy, wszędzie mię teraz Bóstwo zdybuje."

Po jego śmierci upadać znowu zaczęło państwo Mogoła. Ferokser, jeden z następców jego, najpierwszy podpisał przywilej kompanii handlowej Angielskiej kupczenia wolnego w Indyach, ujęty przez felczera imieniem Hamiltona, który był przy posłach Angielskich, z temi prośbami przybyłych do Dely, i który chorującemu w tym czasie cesarzowi zdrowie przywrócił. Od śmierci Oremgzeba, w jedenastu leciech, jedenastu było następców jego na tronie tym, jeden drugiego zabijających. Państwo to w zakłóceniach największych niszczone przez Szeików i Maratów, którzy się oderwali od Imperium, równie jak pod Nizam, czyli wicekróla Dekanu, także oderwanego od tego państwa, obaczyło wchodzącego z tryumfem do stolicy Dely, w roku 1738. Nadir Szacha, czyli Tamas Kulikana uzurpatora Persyi. Rozdawał tam zaraz pomiędzy lud medale swoje z wypisem: „Nadir król nad wszystkich królów świata, rozrządzający wszystkiemi czasami." Wyrznąwszy w Dely do sta tysięcy mieszkańców, okrutnik ten między trupami obchodził wesele syna swojego z wnuczką Oremgzeba, i przyłączywszy do Persyi prowincye zachodnie Indostanu zostawił na słabym tronie Mehmet Szacha, a z łupem niepoliczonych milionów powrócił do Persyi. Po jego odejściu większy jeszcze nierząd wdarł się w prowincye cesarstwa. Życie jednego monarchy było podobne do wszystkich; ich seraj, i nieczynność cały im czas życia zabierały. Co do ludu, wiarą i wielością panów

rozróżnionego, ten, który go najwięcej ustraszyć mógł, największe odbierał uszanowanie.

Prowincya Bengal, którą Oremgzeb nazywał rajem narodów, między inszemi zrzuciła także jarzmo Mongołskie. Podbijana przez Nabadów Arkot, najeżdżana przez sąsiadów, wpadła nakoniec w ręce Angielskie. Maratowie, nie tylko się wybili z pod władzy, ale jeszcze popodbijali sobie przyległe prowincye. Dekan sławny dawnem królestwem Golkondy, zrzucił jarzmo Dely, i udzielnego miał pana, Nizam. Abdala, jenerał Perski Tamerlana, posiadł zachodnie prowincye przez tegoż Tamerlana od Imperium oderwane; sama stolica Dely, różnych potem widziała panów. W pośrodku takich nieładów, niektóre indyjskie prowincye zrzuciły nawet zwierzchność nad sohą Muzułmańską, a królestwa Tanżor, Willapur, Misory i t. d. pod panowaniem swoich Rajah utrzymywały rząd patryarchalny Indyan. I tamto w spokojności zbierał ryż swój Indyjczyk, z politowaniem poglądając na zaboje ościennych prowincyj; ale z czasem i do niego trafiło nieszczęście. W takich zamięszaniach cień tylko cesarzów Mogołskich został. Rozdają oni wprawdzie, czyli rozdawać muszą korony, sami jej prawie nie mając, a rozdają na to, ażeby tymże samym, których podnieśli, częstokroć się uniżali. Tak przyciśnieni z swoją razem wiarą mieszkańce Indyi, nie dbają dzisiaj, kto tam niemi rządzić ma; równie nieszczęść z ręki rodaka, czyli Europejczyka doznawszy.

W tem krótkiem opisaniu, dwie uważać można epoki Indyi: pierwsza, wieku złotego, w którym żyjąc w pokoju wiecznym, świat im cały zazdrościł i cnót i światła ich; druga wojen okrutnych, gdzie z żalem wspomnieć spustoszenie i zaboje niewinnych mieszkańców Indyi. Nikt tam do nich dzisiaj, jak dawniej, nie jedzi, ażeby się oświecił; tylko chyba po korzenie, które ztamtąd bierze Europa, do tego sławnego Benares, gdzie dawni Rzymu i Aten filozofowie czerpali umiejętności, i tajemnic natury dociekali. Handel prędzej podobno, jak broń, zawojuje państwa te — i tam, gdzie potęga Alexandra Wielkiego napocząć tylko mo-

gła Indyan, kupiec więcej przemysłem niż bitwą, już w środku krajów tych obszerne założył panowanie. Już Ganges tychże samych, jak i Tamiza, praw słucha, i jest podobieństwo, że Azya cała, jak już Ameryka, ulegnie kiedyś Europie. Dawniej honor zapowiadał wojnę, albo stanowił pokój, dziś to wszystko jeden interes robi, i ziarno goździka Indyi przeważyło szalę polityczną. Anglicy teraz w Indostanie albo mają sąsiadów takich, których obawiać się nie masz przyczyny, albo po upadku królestwa Misory takich alientów, którzy największe im czyniąc pożytki, jeszcze ich się do tego obawiają.

Królestwo Misory jedno opierało się Anglikom, póki żył Hyder-Aly, sławny bohatyr Indyi, i potężny tylu przyłączonemi przez niego do państw Misory prowincyami. Wśrodku świeżo przeszłego wieku Hyder-Aly prostym był tylko oficerem w wojsku Rajach Misory. Znajdował się on w tenczas w Dely, kiedy Nadir wszedł tam był z wojskiem swojem, i widok ten tak go zapalił, że będąc w tym wieku, w którym dzieci same tylko bawidła lubią, już on najwięcej bawił się szablą. Ojciec jego, na żołdzie Rajach Misorskiego, wygrawszy jakąś potyczkę przeciwko Maratom; odebrał w nagrodę fortecę i krainę Bengalor, co objął dziedzictwem po ojcu Hyder-Aly. W roku dwudziestym pierwszym wieku swego, młody Hyder na brzegach Koromandelu bojem się wsławił; i już imie jego zaczęło być głośnem w Indyach: że król Misory postawił go na czele wojsk swoich, w kraju takim, gdzie nie wiele oddala się tytuł hetmana wojska od władzy samego króla. Jakoż Hyder zaraz o tem myśleć zaczął jakby i panowanie swoje utwierdzał; kiedy to po nim minister państwa Kanero postrzegł, trzeba było przyzwać Manitów, ażeby go w zamku jego Bengalor attakowali. On nie tylko odpędził od oblężenia fortecy swojej Maratów, ale nadto Rajach jeszcze swojego trzymał w oblężeniu w Seryngapatam. Otworzył w Rajach bramy miastà, kiedy mu Hyder wyperswadował, że nigdy państwa jego nie żądał. Dla większej jeszcze z nim zgody, oddał mu w ręce ministra swego Kanero, który w Ben-

galor w klatce żelaznej przez dwa lata do śmierci swojej zamknięty i pospulstwu na widok wystawiony był. Od tychczas młody Rajach Misory do niczego prawie nie należał, chociaż Hyder wszystkie mu honory czynił, sam się tylko regentem państwa nazywając, a tak stał się razem panem jednego z najpiękniejszych królestw Indostanu.

Góry Gaut, które oddzielają Koromandel od Malabaru, przerzynają królestwo Misory, a z nich wytryskujące różne strumienie orzeźwiają ziemię, i ochładzają zdrowe powietrze Misory. W królestwie tem najwięcej rodzi się ryżu, gdzie razem trzody kóz i owiec najlepiej wypasają się na łąkach tamtych. Misorczykowie płacili trybut Maratom, i za trochę złota cieszyli się długim pokojem w domu, który tak zgodny był z prawidłami boga ich Bramy. Hyder-Aly chociaż sam był Mahometanin, nie odmienił im wiary ich, ale tylko chciał Misorczyków wydoskonalić w wojnie, aby się bronić mógł przeciwko ambicyi sąsiadów, i chciwości Europejczyków

Podbił najpierwej Sirpi, kraj położony między państwem Misory i Maratami; a wkrótce piękne królestwo Kanary zabrał. Oddalony niesprawiedliwie od państwa młody Rajach Konary, tułał się w zakątach kraju swojego. Hyder, niby z powodu wspaniałości umysłu, dał mu wsparcie, uzurpatora wypędził, a prawdziwego Pana na tronie w Bednor posadził. Młody Rajach miał przy sobie wspólniczkę tułania się swojego, pannę najpiękniejszą, w której Hyder rozkochany, jak nagrody, za swoję przysługę, żądał; ale natura, która utrzymywała miłość, przemogła za tronem mówiącą ambicyą, i młody Rajach panny ustąpić niechciał, którą wszelako zagniewany Hyder razem mu z królestwem wydarł, osadziwszy go w więzieniu do śmierci w fortecy Maddegurey.

Zwrócił się potem do kraju Sonda, blisko Goa, i podbił go; a potem na brzegi Malabar, i dobył tam stolicy Kalikut, gdzie wziął i króla Samorynu w niewolą. Ten monarcha był z Sekty Braminów, i... będąc już więźniem w swoim pałacu, prosił Hydera, ażeby

mu kazał dawać żywność na wielką liczbę ubogich, których zwyczajnie karmił. Hyder chciał się sam widzieć z Samorynem; ale ten, według obrządków wiary swojej, nie mogąc traktować osobiście z Muzułmaninem, jakim był Hyder-Aly, odmówił mu wizyty. Został tedy zwycięzca w swoim obozie, a posłał tylko królowi Kalikut żywności tyle, żeby mógł pięćset ludzi na dzień wyżywić. Nazajutrz Samoryn znowu odebrał żywność, ale potem niepodobna było Hyderowi odejmować sobie tyle żywności, która na utrzymanie wojska jego była koniecznie potrzebną. Ubodzy tedy, którzy codzien nie żyli z ręki króla Kalikut, zostali bez sposobu, i głód dał się już uczuć w pałacu Samoryna. Hyder-Aly posłał do niego kilku swoich jenerałów, ażeby go odwiedzili; ale ci, powróciwszy, opowiedzieli mu, że się obawiali czegoś okropnego, bo postrzegli na twarzy Samoryna smutek jakiś najgłębszy; już pościł trzy dni, i gotował się na jakiś obrządek swojej religii.

W krótce dowiedziano się, że ten nieszczęśliwy monarcha, zebrawszywszy całą swoję familiją, i odmówiwszy swoje modlitwy w pośrodku wielu Braminów, kazał ogniem otoczyć pałac swój, i żyć nie chcąc, kiedy czynić dobrze potrzebnym nie mógł, wskoczył ze swoimi w ogień. Tak Hyder został panem Kalikutu, i podbiwszy jeszcze więcej kraju na brzegach Malabaru, z tryumfami najwspanialszemi powrócił do Seringapatam, do tego miasta, które go niedawno prostym widziało officerem.

Wkrótce potem zaczął myśleć o Anglikach, których sąsiedztwo najbardziej go dolegało; dla tego udał się do Nadabów i stanów Dekanu i Koromandelu, żądając po nich, ażeby się z nim przeciwko Anglikom połączyli. „Przyszli (mówi on w swoim manifescie) dla odmienienia tylko produktów, a oni wyniszczyli kraj z bogactwa, z chwały, i z mieszkańców. Cóż nam za to przynieśli do Indyi? Swoje występki, swoje choroby, i nędzę. Liczba ich zdrad i krzywoprzysięstw równa jest ich traktatom i ich oświadczeniom.“ Będąc Misory i tylu krajów zawojowanych panem, tłumy żołnie-

rza zbiegły się ze wszystkich powiatów: że wojska jego do dwóchkroć sto tysięcy piechoty, a dwadzieścia tysięcy kawaleryi liczono. Przydaj do tego 750 głów wojska europejskiego pod komendą jenerała Lalley Francuza, którego (?) mu przesłał Pan de Bussi. Subad Dekanu złączył się z nim jeszcze, mając 100,000 wojska.

Potęga Angielska w Indyach była w tenczas w najwyższym stopniu; byli panami Bengalu, najpiękniejszego kraju w Indostanie, brzegów Orissy, Koromandelu, i miast wielkich Kambai i Suraty; wyspy do tego Bombay i Salsetti, przy brzegach Maratów. Cóż mówić o wielu fortecach na brzegach Malabarskich, i osiadłościach na wyspie Sumatra? W tych państwach mieć mogli do dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierza, po większej części z Europejczyków złożonego, i Cypajów żołnierzy z Indyan, zupełnie trybem Europejskim wyćwiczonych. Wojsko zaś aliantów ich, które się z nimi złączyło, do dwudziestu tysięcy wynosiło. Wojsko Hyder-Alego wielką liczbę miało z sobą armat, ale artylerya angielska sprawniejsza była. Na czele Indyan odważny Hyder, a na Anglików generał Szmit, znany z swojej roztropności i wiadomości wojennej. Hyder-Ali w początku popędził Anglików, że się usunąć musieli w miejsca nieprzystępne kawaleryi. Wiele bitew, stoczonych przy rzece Pallier, nic jeszcze z obudwóch stron nie decydowały, aż gdy wojska obadwa poszły ku Trynomali, i Szmit odebrał posiłki znaczne, wtedy dopiero decydująca była batalia. Hyder sam przywodził z największą żywością piechotę swoję, ale jazda cała dla miejsc górzystych prawie była nieczynną. W początkach najżwawsi, ale z czasem mięszać się zaczęli Indyanie, że potem nic nie pomogła odwaga Hyder-Alego — i poznał, jak ćwiczenie żołnierza europejskiego przemaga tłumy Indyan. Wojsko jego zniesione; całą artyleryą Subada Dekanu, i wielu niewolników zabrano.

Kiedy Szmit pod Trynomali zwycięża: część kawaleryi misorskiej pod komendą Tippo-Saiba, syna Hydera, weszła w Karnatyk w państwo angielskie, i już

przysuwali się ku stolicy Madras, gdzie ten młody bohatyr trwogę powszechną zrobił! nie dowiedziawszy się o przegranej ojca, z pilnością do niego pośpieszył. Hyder z świeżego przypadku starał się poprawić taktykę w wojsku swojem, chronił się akcyi generalnej, i podjazdami tylko napadał Anglików, albo im żywność ich idącą do wojska przejmował. Temi małemi zwycięztwami znowu ośmielony, wpadł całą siłą do Karnatyku, burząc wszędzie i niszcząc: Anglicy opuścili opanowane dzierżawy Hydera ratując siebie, ale Hyder już tylko o siedm mil był od Madras; kiedy Anglicy chcą mu bronić przeprawy przez rzekę św. Tomasza, zniknął im razem, i gdy nie wiedzą, gdzieby się obrócił, on tym czasem pokazał się przed bramami Madras i dyktował artykuły pokoju radzie Angielskiej. Pokój zrobiony dnia 3 Kwietnia 1769 w którym umówiono: ażeby fortece z obudwu stron panom swoim były pooddawane; żeby odmiana niewolników nastąpiła, i żeby handel był wolnym, tak w Karnatyku, jako i w państwach Misory. Poznali podczas tej wojny Anglicy, że mogli bydź zwyciężonymi, i dosyć jest dla pychy poczuć to; poznał i Hyder potrzebę doskonalenia lepiej w sztuce wojowania żołnierzy swoich, i zjednoczenia się z sobą ściślejszego państw Indyjskich przeciwko powszechnym nieprzyjaciołom Anglikom. Ale roskosz największą poczuło serce jego, widząc syna Tippo-Saiba godnego siebie, który się tylą podczas tej wojny pięknemi czynami wsławił.

Wtenczas kiedy Anglicy z swojego pokoju handlem wolnym pożytkować zaczynają, w tymże roku traktatów, głód w Bengalu z przyczyny upałów tam niezmiernych bez deszczu, jak dawno taki nieznany był, uderzył krainy tamtejsze. Do trzech milionów ludzi wymarło, których trupów pełno po drogach i polach zdybywano, które potem w rzekę Gangesu wrzucono, że aż woda zaraziła się — i, że powietrze nie nastąpiło, zwierz to drapieżny sprawił, który większą część tychże trupów zewsząd zgromadzony pożerał. To dziwna, że w tak ciężkim głodzie Indyan, żaden z nich

wiary swojej nie zapomniał: i umarł, a jeść nie chciał mięsiwa żadnego, coby go przy życiu utrzymać mogło.

Hyder-Ali po tej wojnie familią Rajów panujących odesłał do Seringapatam, a sam mieszkał w Bednor stolicy Kanary, któremu miastu dał imię Hyder-Nagun, i tak go powiększył, że niektóre ulice jego ciągnęły się na 6 mil długości równą linią. I tamto wszystko zgromadzone było, co tylko Indye mieć mogły ponętniejszego, coby życie człowieka najwięcej osłodziło, a handle, sprawiedliwość, rękodzieła, w najwyższym stopniu kwitnęły. Takto pod panowaniem serca i rozumu wszystko weselszą przybiera postać. Maratowie, lud niespokojny, po dwa razy przerwali wojną krótką słodycz pokoju Misory. Ale Hyder, myśląc zawsze o Anglikach, uczynił i w tych nawet zatargach z Maratami, jakby lepiej temu strasznemu nieprzyjacielowi szkodzić mógł. Prawie w środku boju z nimi, podał przyjacielską rękę Maratom, i razem z Subadem Dekanu znowu ukonfederował się na Anglików, ażeby Indostan cały zrobić zupełnie niepodległym władzy angielskiej. Rajah dotego Beraru, kiedy pierwsi trzej sprzymierzeńcy bliższe prowincye Angielskie napadną, Bengal sam opanować miał.

W tym właśnie czasie, z przyczyny rewolucyi amerykańskiej, Francya z Anglią wojnę zaczęły, która nietylko w Ameryce, ale i na morzach Indyjskich dała się poczuć; ale Francuzi nic już prawie w tenczas w Indyach nie znaczyli, i przeminęły czasy sławnego Dapleix w tamtych krainach. Niżeli sprzymierzeńcy Hydera mogli co rozpocząć przeciwko Anglikom, już osady Szodernagor, Yaman, Karikal, Muzulipatam, wpadły były w ręce ich, a Podyszery oblężone i wzięte: że Anglicy nie mieli już żadnych Europejczyków rywalami w Indyach, przy pomocy których spodziewał się Hyder wypędzić ich zupełnie z Indostanu.

Wszelako Anglicy na radach w Madras i Kalkuta poznali to, że samych nawet sprzymierzeńców Indyjskich ciężko im będzie pokonać; ale łatwiej może rozłączyć. Nizam Dekanu i Maratowie zazdrościli szczęścia Hyderowi, otóż Anglicy zawiść ich i ambicyą po-

duszczali; i chociaż ci dwaj sprzymierzeńcy nie porzucili zupełnie ligi z Hyderem, jednakże tak dla niego byli oziębionymi, że się sam prawie przeciwko całej potędze Anglików został. Wojna, wkrótce zaczęta, jedną była z nojokrutniejszych. Napadł Karnatyk, i wszystko prawie ogniem i mieczem niszczył, woląc pustynię między sobą i morzem zostawić, niżeli sąsiadów Anglików. Miał on sto tysięcy żołnierza, i pobił dwa razy nieprzyjaciół pod Arkot, stolicą Karnatyku, a po kilku dniach oblężenia miasta tego sławnego dobył. Anglicy zatrwożeni tym posuwaniem się Hyder-Alego, (którego już krajowcy tamtejsi wybawicielem Indyi nazywali), ściągali jak mogli najprędzej wojska i ammunicye z Bengalu. Eyre-Koot Anglik wziął kommendę nad wojskiem kompanii, i zastał wszystko w największym nieładzie. Armaty bez lawetów, fortece bez należytych zapasów, i żołnierzy bez ochoty, od których wszyscy prawie krajowcy będący w służbie pouciakali. Ale Eyre-Koot nie zapominał się w tym ciężkim razie: zrobił wszystko, co mógł, i napadł na nieprzyjaciela, którego pobił. To zwycięztwo zatrzymało przez niejaki czas zapęd Hyder-Alego, ale go nieobaliło. W kilku dniach potem przegrał on nawet kilka utarczek, ale nie stracił nigdy ani wyższości, ani sławy swojej.

W tem pan Suffren pokazał się z potęgą morską francuzką przy brzegach angielskiego Koromandelu. Odbrali Francuzi Trankwemal, i przeszli aż do brzegów Sumatry, czekając okrętów liniowych z Francyi, i pięć tysięcy wojska pod kommendą p. de Bussi. Niektóre już korpusy ich złączyły się z Hyder-Alim, i myśleli, o oblężeniu Madras. Tippo-Saib zbił zupełnie jenerała angielskiego Mattews na brzegach Malabaru. Ale w środku wielkich nadziei zręczna angielska sprawiła polityka, że nie szczerzy alianci Hydera zdawali się nawet chcieć połączyć przeciwko niemu z Anglikami. Maratowie zrobili alians z kompanią angielską, a ta pewna z tej strony posłała wojsko na opanwanie bogatego królestwa Kanary, i samego nawet Missoru. Takie zdarzenia wprawiły w rozpacz Hyder-Alego; w ciężkich zmartwieniach rozchorował się i dnia 9.

Grudnia 1782 umarł. A tak pozbyli się Anglicy w Indyach największego, jakiego mieć można, nieprzyjaciela.

Ten wielki człowiek, którego wielu pisarzów Fryderykiem indyjskim nazywa, miał rozum czysty, rzut oka w potrzebie pewny, cnotę najpotrzebniejszą królom: dobroci i sprawiedliwości dla wszystkich; znajomość ludzi, że wiedział kogo na jakiem miejscu postawić, i.przy swojej głębokiej polityce, użycie według potrzeby każdej okoliczności.: „Królowie (mawiał) są na to na ziemi, ażeby czynili słabszym sprawiedliość, bo przez niesprawiedliwość tracą oni miłość swojego ludu.“ Jakoż lubiony był za życia od żołnierzy i poddanych swoich, a po śmierci płakany powszechnie.

Hyder-Ali zostawił dwóch synów. Typpo-Saib starszy wstąpił na tron po nim, któremu zostawił na piśmie zalecenia pełne rozumu; a w nich, między inszemi rzeczami, zagrzewa Tippo-Saiba, ażeby upadłe imperium Mogoła w osobie swojej dźwignął; do czego inaczej przyjść nie może, tylko Europejczyków niszcząc przez samychże Europejczyków, a tak przy lidze francuskiej wypędziwszy z Indostanu Anglików, z samymi potem lżej będzie Francuzami. Te zalecenia, czyli testament, zaczyna Hyder od tych słów: „Synu mój! zostawiam ci tron, który nie wziąłem od ojców moich.“ A kończy na tych: „Kiedy kto ma koronę przez podbicie i z bojaźni ludu, może się ona łatwo wyśliznąć, jeżeli jej nie oddamy pod straż miłości narodu.“

Tippo-Saib mówił wielu europejskiemi językami, miał wiadomość nauk znanych w Indyach, ale nie miał przenikliwego rozumu ojca swojego, że odwaga bez roztropności na mało mu się przydała. Miał często głupi upór za stałość, szaleństwo za odwagę, i zemstę za politykę. Będąc temperamentu gniewliwego, przekładał sposoby gwałtowne nad powolność roztropną, i nie mogąc nieprzyjaciół przekonać mocą, chciał ich zastraszać okrucieństwem, znęcając się nad więźniami ich. Jednakże z takiemi wadami był razem najlepszym dla swego ludu królem. Nie dosyć mu było, jak ojcu,

być regentem królestwa, ale po śmierci Hydera nazwał się zaraz Sułtanem. Młody Rajach Misory za panowania Hyder-Alego bywał czasem ludowi pokazywany, i wszystkie pisma publiczne pod jego imieniem wychodziły. Tippo-Saib tę całą nieszczęśliwą panującą dawniej familią w największej nędzy zostawił.

W czasie śmierci Hydera Tippo-Saib był w królestwie Tanzor o sześćdziesiąt mil od obozu ojca. Pierwszy minister Misory objął na siebie władzę i przyaresztowawszy dwóch jenerałów kawaleryi, którzy z Anglikami mieli porozumienie, tak rozrządzał wszystkiem, że Tippo-Saib za powrotem spokojnie tron ojca posiadł. Anglicy, chcąc pożytkować z zamięszania, którego spodziewali się po śmierci Hydera, zlecili jenerałowi Matthews, żeby mówił z Misorczykami, że jeżeliby odrzucili panowanie Tippo-Saiba, rząd im spokojniejszy obiecywali. Ale kiedy to się im nie udało, po nieprzyjacielsku królestwo Kanary niszczyć zaczęli. Jenerał Mathews obległ fortecę Onor, i dowiedziawszy się, że część familii królewskiej była w Omapor, posłał oddział wojska swojego dla dostania tego miejsca i skarbów w niem złożonych. Dostano Omapor, i najokrutniejszym sposobem z mieszkańcami postępowano, płci nawet białej nie folgując. Ale dzieci Tippo-Saiba uciekły wcześnie, i... przeprawiwszy się przez rzekę, w lesie kokosowym ukrywały się, a ztamtąd do Bengalor uszły.

Tippo-Saib przyleciał, jak piorun, ratować swoję prowincyą. Jenerał Matthews już był obległ Hyder-Nagur, czyli Bednor, i gubernator miasta już podpisał kapitulacyą, oddając miasto, fortecę, skarby monarchy, i własność jego, zwycięzcom; ale wymówił całość życia i majątków obywatelskich—co zgwałcone zostało; i gubernator wzięty, okuty w kajdany, a miasto na łup żołnierzowi oddane. Nad skarbami wziętemi pokłóciła się starszyzna angielska; wielu ich nieukontentowanych porzucili razem wojsko z żołnierzami; a tymczasem Tippo-Saib zbliżał się z pospiechem ku nieprzyjacielowi — gdzie przybywszy pobił jeszcze kłócących się między sobą Anglików, którzy zostawili na placu wiele trupów, bagaże i artyleryą, a po tej bitwie mia-

sta wszystkie, zabrane przez Anglików, otworzyły bez trudności bramy swoje zwycięzcy, że poszedł bez przeszkody aż do stolicy Bednor, gdzie się usunęła reszta Anglików, i gdzie ich obległ Tippo-Saib. W dniach siedmnastu przyciśnieni głodem Anglicy, w pośrodku złota, które tamże zabrali, kapitulować musieli. Umówiono się, żeby garnizon broń złożył; dyamenty, insze klejnoty, złoto, srebro, które Matthews zabrał, wchodząc do Hyder-Nagur, i summy wydarte obywatelom miasta, miały być powrócone. Po wypełnionych tych warunkach, Tippo miał żołniery z swoim kosztem odesłać do Bombay. Ciężko było Anglikom dopełnić wszystkich tych pokoju warunków: bo skarby rozchwytali różni, a klejnoty przez brata swego przesłał Matthews do Madras. Tak garnizon został się na dyskrecyi zwycięzcy, który równie, albo i więcej zbytkował nad nimi, jak oni nad miastem niedawno się znęcali. Brat Matthewsa, złapany z klejnotami w górach i przyprowadzony przed Tippo-Saiba, zabitym został. Sam jenerał Matthews trucizną zgładzony, i dwudziestu officyerów śmiercią skaranych; insi więźniowie najokrutniejszemi sposobami w więzieniach dręczeni byli. Ale na nieszczęście wyznać tu należy, że okrucieństwa popełniać Anglicy pierwsi zaczęli.

Wojsko angielskie na brzegach Malabaru szczęśliwsze było od Matthewsa: wzięło Tippo-Saibowi Mangalor, gdzie miał warstaty marynarskie, i już gotowe trzy okręty od sześciudziesiąt armat, a inszych wiele zaczętych. Tippo-Saib, przybywszy, obległ fortecę, a tymczasem pokój nastąpił między Anglią i Francyą; a tak i Tippo-Saib, który miał w pomocy eskadrę Suffrena... i Francuzów w obozie, przystąpić musiał do traktatów. Działo się to w jego stolicy Seringapatam w roku 1784. Nabytki wszystkie jeden drugiemu pooddawał i więźnie wzajemnie do swoich panów powrócili; a przez tę wojnę ugruntowali się, jak można najmocniej, Anglicy w Indostanie, gdzie francuzka influencya zupełnie upadła.

W czasach tych był najwyższym rządcą dzierżaw angielskich w Indostanie P. Hastings, na którego tyle

potem oskarżeń było, jakoby gwałcił tam prawa narodów. A samiż Anglicy, jakiem prawem weszli tam i posiedli tak znaczną część Indyi? Prawda, że Hastings nieludzko się obszedł z księżniczkami Oud, i Rajah Benares, ale ci oskarżyciale, żądając kary za nieludzkie obchodzenia się Hastingsa z wspomnionymi dopiero, czemuż nie żądali razem, żeby im zabory wzięte pooddawano? Hastingsa to obrot i polityka tak umocniły Anglików panowanie w Indyach; i rzecz dziwna, że kiedy go tu w Europie tyranem nazywali, lud go tam indyjski w Bengalii adorował.

Nie od rzeczy tu będzie nadmienić krótko o sposobach wojowania Indyan, którzy przedwiecznych jeszcze zwyczajów swoich poczęści trzymają się; wtenczas, kiedy w Europie na nieszczęście nasze sztuka zabijania ludzi nad insze nauki wydoskonaliła się, Indyanów piechota jest prawie bez uniformów: mają fuzye długie robione w kraju, bez kurka, i zawsze lontem zapalane. Insi mają łuki, strzały, piki; infanterya porządniejsza ma, prawda, broń naszę, ale jej używać nie umie, a bagnetów wcale nieużywa. Niżeli pójdą na nieprzyjaciela, bierze każdy wielką dozę opium, zmięszanego z pokarmem, co ich zapala do boju, a nazywają tę preparacyą *bank*. Kawaleryi broń: szabla z fabryk tureckich, tak bierna, że przetnie najlepszy pałasz angielski; i najzręczniej tą bronią robią Indyanie, mając nawet najwięcej skłonności do takiej potyczki. Służą im do tego konie rodu arabskiego, i szybkie i zwrotne. Kawaleryą Indyanie ubierają lepiej, niż piechotę: bo płacą konnemu drogo niezwyczajnie, i każdy kawalerzysta na swoim koniu wojuje; mają zaś, prócz szabli, pikę i łuki, któremi zręcznie robią. Wojsko indyjskie zaczyna z największą żywością bój swój; ale prędko wolnieje i ucieka. Fortece ich, podobne do dawnych Rzymian i Greków: gładkie i wysokie ściany z kamienia, a na czterech rogach okrągłe baszty.

Ma być to pewna, że lud indyjski, tak daleko przed Rzymianami jeszcze kwitnący, a który Europy nigdy nie widział, zapewne od Rzymian sposobów fortyfikacyi wziąć nie mógł, ale raczej dawni Grecy i

Rzymianie od niego się nauczyli. Konie w Indyach wykarmiają lepiej korzeniem trawy, niżeli u nas trawą, a jeździec tam, tak do konia swojego jest przywiązanym, że po nim w żałobie chodzi. Ale najwyższy jenerał wojska, cesarz, albo rajah, konia nie używa, i siedząc na słoniu w środku obozu wojskami zarządza. Okrucieństwo Indyan dla więźniów, podczas wojny zabranych, sprawuje w nieprzyjacielu bicie się z rozpaczą, aby się w niewolą nie dostał. Zwyczaj był w Misorze przed Hyder-Alim, ucinać nosy i uszy niewolkom wojennym, i posyłać je nasolone monarsze. Żołnierz, albo oficyer był nagrodzony w miarę, wiele nosów i uszu poobrzynał. Ten zwyczaj był u dawniejszych jeszcze zwycięzców, i Aleksander macedoski kazał poucinać nosy wielkiej liczbie Persow po wzięciu Persopolis. Misorczykowie mieli przy sobie w bitwach broń umyślnie na to zrobioną, żeby nieprzyjaciela za nos chwytali. Indyanie bardziej ufają w kawaleryą, niżli w piechotę, a to zaufanie jest w świecie najdawniejszem; przekonali się o mocy daleko większej żołnierza pieszego, czego teraz Europa zupełnie zapewniona doświadcza.

Po traktacie, jak się rzekło, w roku 1784 z Anglikami uczynionym, Tippo-Saib stworzony bardziej do pokoju, bo oprócz odwagi nic więcej nie miał, czego wojna żąda po jenerale, osiadłszy w stolicy Seringapatam, wszystkie starania na uszczęśliwienie ludu i życie najwspanialsze obrócił. Podniosł przyciśnioną wojnami sprawiedliwość, ustanowił drogie manufaktury w Kanara, i wszędzie zachęcał nad wszystko do rolnictwa, które najpiękniej kwitnąć zaczęło. Pilnie zachowując, jak ojciec jego, swoję religią, staral się nadto rozszerzać Alkoran mahometański, nie robiąc wszelako przeszkody i obrządkom braminów, których nawet pagody czasem odwiedzał. Szedł lud mnogi do świątnic swoich, a tam, i potem po ulicach chwalił Boga w pieśniach za pana i pokój. Tak przez ośm lat Azya zazdrościła wspaniałości dworu i życia Tippo-Saibowi, którego teraz, jak nieszczęśliwego, razem żałuje.

Fizyonomia Tippo-Saiba dawała w nim poznać dowcip, słodycz i majestat jakiś; chociaż dla wsparcia okazałości jego, zwyczajem monarchów inszych indyjskich, żadnych na sobie drogich rzeczy nie nosił. Przystępnym będąc dla każdego, lubił rozmawiać ze wszystkimi, i wszystkich sobie ujmować: cudzoziemiec najbardziej nigdy przededrzwiami jego nie czekał; sam pracowity, wstawał najraniej i służył potrzebom kraju. Według zwyczaju królów Azyi wstępował często na balkon, ażeby widział i odbierał pokłony od słoniów swoich. Jak się tylko pokazał, sukwedary wołali: „Twój majestat twoje słonie witają.“ W tym momencie wszystkie słonie uszykowane w półcyrkuł po trzy razy naginały kolana swoje. Tygrysy ugłaskane, od polowania królewskiego, bywały nawet po mieście prowadzone, ubrane w paludamenty drogie z czapkami na głowach, które można im było na oczy nasunąć, kiedy się bano ich dzikości.

Po pracach różnych całodziennych, w pół do siódmej oświecano wszystkie pokoje w pałacu. Pierwsi panowie, jenerałowie i posłowie różni przybywali w nocy uperfumowani najdroższemi wonnościami. Cztery niby szambelani czynili służbę każdodzienną. Oni jedni tylko chodzili z szablą w pochwach w lewej ręce trzymaną po pokojach, insi goście broń swoję u sług swych wchodząc na pokoje zostawiali. Każdego wieczora grano na pałacu komedyą, trwającą od osmej do jedynastej, przeplataną tańcami i śpiewaniem, w której najczęściej intryga jaka męża, oszukanego od żony, bywała. W czasie komedyi roznoszono obficie sorbety, frukta i konfitury, a prawie zawsze na końcu komedyi przynoszono Tippo-Saibowi koszyk z bukietami, które on panom pobliskim rozdawał, którego zaś z nich bardziej szacował, sam z bukietów zwijał wieniec i kładł mu na szyję — a takiemu nazajutrz wszyscy oddawali wizyty. Dziewczęta tylko grały na teatrze, wybierano od pięciu lat najpiękniejsze w państwie, i uczono wszystkiego, czego teatr potrzebuje. Prócz dużych oczu czarnych, płci delikatnej, i składu ciała najlepszego, najpiękniejsze w świecie zęby miewają. Ubierają się w ga-

zę tylko bogato złotem haftowaną, i prawie całe w klejnotach, nawet na każdym u nóg palcu je nosząc; tańcują zaś z nieporównaną żywością. Najstarsza z nich najwięcej miewa lat siedmnaście, a w tym wieku wypuszczają je od monarchy, i rozchodzą się po kraju najwięcej bawiąc się przy pagodach, gdzie ich wdzięki są największym dochodem braminów. Seraj Tippo-Saiba, w którym było trzysta najdystyngowańszych kobiet państwa, polowanie, promenada, teatr, wszystko to go na chwilę zabawiło, a mawiał, jak Hyder-Ali, że pracować dla dobra ludu, to jego najmilszą było zabawą.

Lubił sławę wojenną Tippo-Saib, ale na nią zarabiać nie umiał; w środku pokoju zawsze o wojnie rozmyślał, i niespokojny, wysłał do Francyi posłów Indyanów, którzy w roku 1787 dwudziestego drugiego Lipca wsiedli na okręt, a w roku 1788 stanęli w Tulon. Przybywszy do stolicy mieli audyencyą u króla, trzeciego Sierpnia. Ludwik XVI. w największej, jaka być może, okazałości słuchał ich na tronie. Ale kiedy prosili o posiłki wojenne, te im, dla pokoju z Anglią, były odmówione; skończyło się na tem, że przyjaźń stwierdzona między Francyą, a Tippo-Saibem. Już na tenczas duch rewolucyjny i duch wojny knował upadki obudwom tym sprzymierzeńcom; kiedy oni sobie przysięgali przyjaźń z interesów wspólnych zajętą, wkrótce obadwa i trony i życia okropnie potracili; jeden, jak ofiara wojny, której tak gorąco żądał, drugi, jak ofiara cnót swoich spokojnych.

Posłowie powrócili do Seringapatam 1789 i nie dobrze byli przyjęci od Sułtana, z próżnej tylko przyjaźni francuzkiej nieukontentowanego. Posłowie ci o potędze i okazałości dworu francuzkiego nagadać się przed wszystkimi nie mogli; co dotykało Tippo-Saiba, który siebie miał za najpierwszego monarchę w świecie, i zakazał posłom gadać o Francyi. Ale kiedy wieści te rozszerzać się bardziej zaczęły, przechodząc się z temiż posłami na osobności, kazał ich pozabijać, jakoby za zdradę jakąś, i już tam więcej o Francuzów wielkości nie gadano.

Nie mogąc wytrzymać długo bez wojny Tippo-Saib, chwycił się najpierwszej do niej okazyi. Holendrowie mieli dwie fortece niedaleko państwa Misory. Jedna z nich Granganor wzięta była przez Hyder-Alego w roku 1779. W krótce potem Hyder ściągnąwszy ztamtąd dla potrzeby wojny garnizon swój. Holendrowie znowu objęli Granganor... i próżno, zatrudniony czem inszem, o powrócenie fortecy Hyder upominał się. Tippo-Saib w roku 1789 zrobił wyprawę na Granganor; w tem Holendrowie, nie będąc w stanie bronienia się, przedali prawo swoje fortecy rajach Trawankoru. Ten Rajah był wazallem Tippo-Saiba, a aliantem Anglików. Tippo chciał się sprzeciwić tej darowiźnie, a Anglicy przysłali do niego z reprezentacyami, których on nie usłuchał, i tak zajęła się wojna między nimi. Ta wojna trzy lata trwała; w pierwszej kampanii nie wiele było czynności, w drugiej wzięli Anglicy Tippo-Saibowi Bengalor.

Dwa wojska angielskie, jedno kommenderowane przez lorda Kornwallis, drugie przez jenerała Aberkromby, podstąpiły pod Misorę, i nic zatrzymać nie mogło ich zapędu. Ale, będąc już pod murami Seringapatam, rzeka Kowery, która to miasto oblewa, z wylewu deszczów wezbrana zalała wszystkie okolice, i przygotowania do oblężenia popsuła. Oblężeńcy, do tego osłabieni przez głód i choroby, odstąpili od oblężenia, zostawiwszy swoję artyleryą, i straciwszy nadzieję zrobienia się kiedy panami Misory. Za pomocą aliantów swoich Maratów i Subada Dekanu, Anglicy usunęli się z tych topieli, i w tym roku wiele jeszcze podobywali fortec w kraju Bengalor. Forteca Nundydrog na wierzchołku góry tysiąc siedmset stóp wysokiej, będąc przez sztukę razem i naturę mocna, po miesiącu oblężenia poddała się. Forteca Sawendroog, albo kamień śmierci, położona między Bengalor i Seringapatam, jestto ogromna skała na sto pięćdziesiąt łokci wysokości, jak ściana w górę podnosząca się, na podstawie blisko trzech mil w koło otoczonej zewsząd murem, i przez insze mury krzyżowe, do tego wszędzie palisadami, gdzie tylko przystęp jaki znalazł

się, obronionej. Ta ogromna skała ma i to jeszcze że jest rozłupana od góry aż do dna: a na obudwóch jej wierzchołkach są dwie cytadelle, zdolne wytrzymać attak najmocniejszy. Tato forteca była całą nadzieją Tippo-Saiba przeciwko nieprzyjaciołom: wszelako, po jedenastu dniach oblężenia, ta twierdza, miana w Indyach za niedobytą, była wzięta szturmem we dnie, w godzinie, bez stracenia jednego człowieka, tylko jednego żołnierza ranionego. Po wzięciu tej fortecy, insze pootwierały bramy swoje Anglikom. Wojsko także Maratów, które osobno dokazywało, wiele zdobyło miejsc znacznych na Tippo-Saibie.

W miesiącu Styczniu 1792 wszystkie wojska aliantskie, prócz dywizyi pod Bombaj, poszły na nowo ku Missorze. Tippo-Saib, w swoich okopach pobity, aż pod mury Seringapatam zapędzony. W Lutym i wojsko z pod Bombaj pod kommendą jenerała Aberkromby przyłączyło się do armii aliantów i oblegli stolicę. Dnia 24 Lutego, kiedy już wszystko było gotowe do attaku, pokój zrobiony pod następującemi warunkami: Tippo-Saib ma ustąpić połowy państw swoich aliantom angielskim; będzie płacił trybutu dwadzieścia kilka milionów, wszyscy więźniowie będą oddani, i ze trzech synów sułtana dwaj starsi będą w zastawie u Anglików, aż do wypełnienia punktów traktatu. Smutek był wielki w pałacu, kiedy synów w zastaw odsyłano. Na dwóch bogato ubranych słoniach z domu wyjechali, a ojciec z murów fortecy długo ich oczyma prowadził. Lord Kornwallis przed swoim namiotem przyjmował dzieci sułtańskie, uściskał je, i wprowadził za ręce pod namiot. Abdul Kalik, starszy, miał dziesięć lat, młodszy zaś ośm. Kiedy posiadali po prawej i po lewej ręce koło lorda: Gulam-Aly guwerner ich rzecze do Kornwallis: „te dzieci były dziś rano synami sułtana, a teraz ciebie powinny uważać, jak swego ojca.“ Dwaj młodzi książęta drżeli patrząc na Europejczyków, jak na okrutnych nieprzyjaciół ojca swojego; ale wkrótce ośmieleni byli najlepszem z nimi obchodzeniem się lorda, i do zadziwienia obchodzenie się tychże dzieci najgrzeczniej z każdym w obozie ujęło wszystkich An-

gielczyków. W tej wojnie stracił Tippo-Saib sześćdziesiąt siedm fortec, ośmset armat, i 39,340 ludzi; wypełnił wszystko podług traktatu, i synowie mu byli w krótkim czasie powróceni. Od tych czas dwór jego był smutny; a sam zgryźliwy i surowy w rządzie krajowym.

Po śmierci nieszczęśliwego Ludwika XVI, kiedy między francyą i Anglią wojna się zajęła, zwrócił się dyrektoryat francuzki do układów jeszcze Ludwika, ze nie można łatwiej osłabić Anglii, jak napadnieniem na ich państwa azyatyckie. Z tych widoków, po skończeniu traktatów w Campo Formio, Bonapartemu zlecono podbicie Egiptu; a ztamtąd Czerwonem-morzem tentowanie dostania się do osad angielskich w Indyach. Dnia 27 Maja 1797 wyszedł on na morze w Tulon, na eskadrze ze 191 żaglów, mając porządnego wojska dziewietnaście tysięcy. Wiadomo z jaką łatwością dostał Malty, a potem całego Egiptu, i jak flota francuzka, powracając z Aleksandryi, zniesiona pod Abukir przez Anglików. Wszelako pomyślności Bonapartego w Egipcie i nad Jordanem, jakichże nadziei nie czyniły Francuzom? Już w myślach łączyli Śródziemne z Czerwonem-morzem, a Ganges, rzekę, z Nilem i Sekwaną.

Tippo-Saib; tym czasem dowiedziawszy się o rozruchach pierwej, a potem o wojnie Francuzów z Anglikami, starał się nad wszystko, ażeby się jako wydobyć z pod jarzma Anglików—i...kiedy Maratom i Subadowi Dekanu nie ufał, że się z nabytków jego zbogacili, wysłał posłów w roku 1797 do Zeman szacha, króla Kaszemir, Kandahar, Kabul; i t. d jednego z najpotężniejszych monarchów rozerwanego imperium mogolskiego, wciągając go z sobą w wojnę przeciwko Anglikom, których, jako najezdników, Zeman sekretnym był nieprzyjacielem. Zachęcał go swoim listem Tippo-Saib, ażeby, przyłączywszy do swego państwa nabytki od Anglii i ich aliantów, podniósł znowu upadłe cesarstwo mogolskie—a Tippo-Saib go w tak szlachetnym zamiarze swojemi wojskami będzie posiłkował. Ale nie zdawała się Zeman szachowi wyprawa ta; i.. kiedy

Tippo-Saibowi to się nieudaje; według maksymy ojca swojego Hydera, że nie można Europejczyków wypędzić z Indyi, chyba przez samychże Europejczyków—znowu myślił udać się do rzeczypospolitej francuzkiej.

Po wzięciu przez Anglików Pondyszery, miasta Francuzów w Indyach, wielu Francuzów, zrujnowanych przez upadek handlu, bawiło po różnych dworach Indostanu; ale najwięcej ich zgromadzało się do stolicy Tippo-Saiba. Francuzkie *prawo człowieka*, znalazło łatwo missyonarzów między nimi; i obaczono na wschodzie rzecz niewidzianą, to jest: *„równość ludzi.“* A tę naukę opowiadano publicznie nawet na dworze króla Misory— i... żeby to niejako ugładzać, w pismach albo dyskursach publicznych mówili: *„Obywatel Sułtan.“* Ale Indyanie nie są ludem, ażeby co nowego naśladować: trzymają się oni przedwiecznych ustaw swoich. Francuzi, bawiący przy dworze Tippo-Saiba, czynili mu nadzieję prrzyjaźni i pomocy francuzkiej. Zegarmistrz Francuz osiadły w Seringapatam, człowiek bez edukacyi, i ledwie pisać umiejący, był sekretarzem rady króla Misory, co do projektów tyczących się Francyi. Rzeczy były w tym stanie, kiedy korsarz francuzki, nazwiskiem Ripaud, przybił do brzegu Malabaru. Przyprowadzony był przed Tippo-Saiba, i sam go król wybadywał. Ustąpiły wszystkie o nim podejrzenia, kiedy zapewnił sułtana o przyjaźni rzeczypospolitej dla niego. Zrobił się nawet posłańcem od Francuzów z oświadczeniem przychylności do sułtana narodu swego. A wtenczas poważenie powszechne i skarby mu były otworzone.

Zaczął swoje poselstwo Ripaud od założenia w Seringapatam klubu Jakobinów. Ten klub (jakie i Francya sama już była zniosła natenczas) miał pierwszą sessyą dnia piątego Maja 1797. Otwierał go korsarz Ripaud głupią mową, w której zachęcał braci do palenia wszystkich znaków panowania, a do położenia na tem miejscu chorągwi nacyonalnej; to jednomyślnie było przyjęte; a potem przysięgli bronić konstytucyi republikańskiej, i umrzeć z bronią w ręku przy wolności. Potem dał im spisane prawa rzeczypospolitej,

które były zebraniem praw rewolucyjnych. Na niczem już nie zbywało w Seringapatam, tylko mieć trybunał rewolucyjny; a tak mieliby Indyanie zupełny u siebie obraz francuzkiej rewolucyi.

Dnia 15 Maja zebrani licznie Francuzi w stolicy wyszli do utknięcia chorągwi nacyonalnej. Było to wykonane przy odgłosie wystrzałów piechoty i artyleryi. Potem Ripaud, (który wziął tytuł reprezentanta nanarodu francuzkiego u Tippo Saiba) z niektóremi członkami ludu poszli na publiczny plac musztry w Seringapatam, gdzie obywatel sułtan, (takie są słowa wyraźne opisania autentycznego), czekał ich. Kiedy przybliżał się do tego miejsca, witano ich wystrzeleniem pięćset razy z armat. Po wzajemnych oświadczeniach przyjaźni, drzewo wolności ze wszystkiemi uroczystościami we środku placu zasadzone. Ripaud miał mowę o wielkości tej ceremonii; a potem przysięgli w te słowa: „Przysięgamy nienawiść przeciwko wszystkim królom, oprócz Tippo sułtana alianta Francyi, wojna dla tyranów, miłość dla ojczyzny, i dla Tippo obywatela.“ Potem przy drzewie wolności i chorągwi nacyonalnej śpiewano hymny do ojczyzny.

Po tych obchodach ułożył z radą swoją Tippo-Saib, ażeby posłać do wyspy francuzkiej na Oceanie— południowym leżącej, i nawet do dyrektoryatu francuzkiego poselstwo, dla otrzymania posiłków przeciwko Anglikom. Było interesem sułtana cicho to poselstwo wysyłać, i posłowie jego mieli tylko mieć nazwisko kupców z pieprzem na handel płynących. Wzięli instrukcye do wyspy francuzkiej dla wybadania tam zamysłów Francyi, dla zrobienia aliansu i proszenia o wojska. Wzięli także listy i instrukcye do dyrektoryatu w Paryżu. Nie wchodząc w to, co jest równość obywatelska? on w listach swoich nazywał dyrektoryat: „wspaniali i wyniesieni najwyżej, szlachta stanowiąca władzę wykonawczą.“ Popłynął w drogę z posłanymi i żegarmistrz Francuz z Seringapatam, który był tłumaczem poselstwa. Wypłynęli na morze 27 Grudnia 1797, a Ripaud uproszony, ażeby ich prowadził. Ripaud, jak korsarz, obchodził się najgrubiej z tymi posłami,

wydarł u nich instrukcye, i ponieważ to był jego okręt, straszył ich, że z nimi popłynie do Anglików. Nakoniec po ciężkiej żegludze przybili do brzegu wyspy francuzkiej dnia 19 stycznia 1798, gdzie Ripaud powrócił do swojej nikczemności, i już nie był widywanym.

Mimo przykazów Tippo Saiba, ażeby ta legacya była najsekretniejszą, rząd wyspy publicznie tych posłów przyjmował, co potem rozgłosiło się w Indyach między Anglikami, i było początkiem zguby sułtana. Gubernator wyspy obiecał Tippo-Saibowi pomoc, i to ogłosić kazał. Posłowie, nie myśląc, ażeby jeszcze potrzeba im była płynąć do Francyi, popłynęli do domu w Kwietniu — i miasto wojska przybył z nimi jeden tylko jenerał piechoty, jeden kommendant morski, dwóch oficerów artyleryi, sześciu morskich, czterech rzemieślników do robienia okrętów, dwudziestu sześciu oficerów, sierżantów i tłumaczów, trzydziestu sześciu mieszańców; słaba pomoc do atakowania Anglików, którzy, dowiedziawszy się o wszystkiem, oburzyli się na Tippo-Saiba.

Wszelako w tym czasie Anglicy nie byli tak strasznymi dla sułtana, ponieważ ich alianci Maratowie, domowemi zamieszaniami zakłóceni, sami o sobie myśleli, a dzieci Nizam Dekanu także na partye podzieliły się, a nawet u dworu, i w wojsku. Jakóbin Francuz Rajmund miał pod swoją kommendą czternaście tysięcy ludzi, na których utrzymanie wziął dziedzictwem kraj, przychodu rocznego czyniący pięć milionów francuzkich. Ten Francuz przed pałacem samym monarchy Dekanu zaszczepił drzewo wolności, i przymusił Nizam, że oddalił pułk Anglików, który u niego konsystował. A tak i ten król nie tylko nie był użytecznym Anglikom, ale jeszcze mógł im szkodzić, którzy nawet u siebie zupełnie o wojsku zapomnieli, samym handlem nadewszystko zajęci.

Taki był stan Anglików w Indyach, kiedy odebrali wiadomość o wyprawie wojsk francuzkich z Tulon. Gabinet londyński miał coś podejrzenia o tej wyprawie; ale przejście do Indyi przez Egipt zdawało mu

się niepodobne, i nie myślano, ażeby temuż zapobiegać. Sam pan Dundas widział niebezpieczeństwo grożące dzierżawom kompanii, której on był jednym z dyrektorów. Za jego naleganiem pięć tysięcy żołnierzy, przywykłych do klimatu gorącego, wzięto z Gibraltaru, z Portugalii, z Kapu dobrej nadziei, i wysłano do Indyi miesiącem pierwej, przed wyjściem floty francuzkiej z Tulonu, dając zlecenie bronienia przystępu do Golfu Perskiego. Ale gdyby byli Francuzi przygotowali się wcześnie w Suez okrętami podesłanemi z wyspy francuzkiej, na małoby się przydały te Anglików rozrządzenia... zwłaszcza, że z Suez do Indyi przeprawa, ledwie dni trzydzieści zabawi.

Nowiny pomyślności Bonapartego w Europie przyszły do Indyi w Październiku 1798. To prawda, że dowiedziano się razem i o zwycięztwie Nelsona nad flotą francuzką, wszelako nie przestano tam bać się Francuzów, zwłaszcza, że i sąsiad ich Tippo-Saib z nimi trzymał. Do bojaźni tej przyczyniło się przejęcie przez Anglików dwóch listów, które Bonaparte pisał z Kairu, jeden do Szerifa Meki, drugi do sułtana Misory. List do Tippo-Saiba był taki: „Bonaparte członek instytutu narodowego, jenerał en szef, potężnemu sułtanowi, naszemu przyjacielowi Tippo-Saibowi, z obozu pod Kairem.“

„Już wam pewnie wiadomo, że przybyłem do brzegów Morza-czerwonego, na czele niezliczonego i niezwyciężonego wojska, pełnego żądzy do uwolnienia was z kajdan angielskich. Używam tej sposobności donieść wam, jak życzyłbym sobie dowiedzieć się od was samych, przez drogę Muskaty, albo Mokki, o sytuacyi waszej politycznej. Żądałbym nawet, ażebyście przesłali do Kairu osobę jaką wyzozumiałą i mającą wasze zaufanie, którąby się mogła zemną ułożyć. Niechaj Najwyższy pomnaża potęgę twoję, i zniszczy twoje nieprzyjacioły.“

Markiz Wallesley był w tym czasie na czele kolonij angielskich w Indyach, człowiek pełen sposobności największej. Obudził on razem Anglików, zebrał wojsko, mimo przeszkód nieskończonych, zrobił alian-

tów w kompanii czynnymi i przywiązanymi—i... niżeli nieprzyjaciele jego zebrać się mogli, on chciał napaść pierwej, a tak ocalić dzierżawy Anglii. Ponieważ ten generalny gubernator widział wiele przewłoki przez radę w Madras i Bengalu, zakazał nawet wdawać się w roztrząsanie rozkazów swoich; ale prosto wypełniać je. Władza Francuzów nad żołnierzem w Dekan była najniebezpieczniejszą. Posłał tam Welleslej kapitana Kirpatryk dla rozpoczęcia negocyacyi z Nizam. Proponowano mu, ażeby rozpuścił korpus pod kommendą francuzką będący, a znowu przywołał Anglików, na co on łatwo pozwolił. Ale kiedy potrzeba było mocy angielskiej, ażeby ten korpus francuzki rozpròszyć, sam do tego pomógł przypadek. Zrobiła się insurrekcya w obozie francuzkim: oficyerowie przez żołnierzy pobrani byli do więzienia, a nawet im śmiercią grożono; dywizya pułkownika angielskiego Robertsa, która w tenczas przyszła dla uskutecznienia umowy Anglików z Nizam Dekanu, przyjętą była od Francuzów, nie jak nieprzyjaciel, ale jako wybawiciel w więzieniu będących, podczas rozruchów korpusu tego francuzkiego. Tak Nizam cieszy się, że mu zdjęto kajdany francuzkie, chociaż Anglicy swoje zaraz mu kładli.

Nana Farnez, minister stary Maratów, znowu na urząd przywrócony, był przyjacielem Anglików. I chociaż obiecał w tej wojnie być czynnym przeciwko Tippo-Saibowi, dosyć zyskał Welleslej, gdyby się nawet Nana do żadnej strony nie przywiązał. Opatrzył gubernator brzegi morskie, uzbroił okręty i osadził żołnierzem wyspę Zakotore, przy wyjściu z Morza-czerwonego leżącą. W miesiącu Październiku dowiedziawszy się Anglicy indyjscy o Francuzach w Egipcie, nie mieli żadnej do wojny gotowości, a w Listopadzie już fortece wszystkie opatrzone, i siedmdziesiąt pięć tysięcy wojska gotowego do boju było. W tenczas to Markiz Wellejslej posłał do Tippo-Saiba, chcąc z nim traktować, ażeby się można bez wojny obejść. Kazał mu powiedzieć, że wie o jego wojennych przygotowaniach, i porozumieniu się z Francuzami, proponował mu, że chce do niego posłać posła dla ułożenia znowu zgody,

i uchylenia podejrzliwości mianej do Sułtana Tippo. Ten ani chciał zrywać pokoju z Anglikami, ani przyjmować posła ich, odkładając to na potem; na końcu, już w Grudniu, pisał do Markiza Wallesley, wywodząc niewinność swoję o zarzuty, które mu czyniono. Wszystko to było planem zwłoki tylko, ażeby tym czasem od Francuzów posiłki jakie mógł zyskać, albo żeby wylewy wód, które koło Seringapatam od Maja zwyczajnie przypadające, a przez Czerwiec i Lipiec trwające, zatrzymać mogły zapęd angielski.

Markiz Welleslej, wiedząc o zdarzeniu Lorda Kornwallis w roku 1791, że dla słot i wylewów w Maju od oblężenia Seringapatam odstąpić musiał, chciał wcześniej z sułtanem kończyć negocyacye, i znowu w Styczniu posłał z propozycyami zgody, ale znowu zwlekał Tippo-Saib. Wtenczas wojsko angielskie wzmocnione jeszcze czterema tysiącami Angielczyków na żołdzie Dekanu; sześcią tysiącami piechoty, i sześcią kawaleryi Dekińskiej, odebrało ordynans dnia trzeciego Lut. 1799 ku Misorze ruszenia się. Tego wojska tak dobranego, jak nigdy nie było lepiej w Indyach, odebrał komendę jenerał Harris, biegły w sztuce wojennej, i przywykły do tamtego klimatu, razem z ogromną artylleryą; mając opłacone wojsko na trzy miesiące, i uprowidowane w żywność na taki czas.

Nakoniec Tippo-Saib, widząc takie na siebie przygotowania, pozwala na przyjęcie posła angielskiego, ale pierwej chciałby wyjechać na polowanie. Na takie polowania dworów azyatyckich, zwierzchność wojskowa, dwór cały, i ministeryum zwykło wyjeżdżać; a tem znowu Sułtan chcąc widocznie czas zwlekać, posłał tym czasem jenerała Dubuc Francuza posłem od siebie do rzeczy-pospolitej francuzkiej. Ten jenerał, mając z sobą razem dwóch Indyanów, miał żądać od Francyi imieniem Tippo-Saibo pietnaście tysięcy wojska na żołd Sułtana, i okrętów wojennych, ile można. O czem skoro się dowiedzieli Anglicy, upadła zupełnie nadzieja zgody.

Wydał rozkaz generalny gubernator, ażeby dwie armie, jedna w Karnatyku, druga w Bombaj, pod je-

rałem Sztuartem, pierwszych dni Lutego ku Misorze postępowały. Ale tłumne zwyczajnie obozy Indyjskie nie tak się łatwo ruszają. Tam wojsko od dziesięciu tysięcy, liczy przynajmniej w obozie ludzi sto tysięcy, każdy żołnierz, a tem bardziej oficer mając służących swoich. Tam żołnierz nic nie robi koło siebie, wszystko mu powinno być dostarczone, a on bić się tylko obowiązany. Wojska angielskie dopiero pierwszych dni Marca ruszać zaczęły, a Tippo Saib samym tylko siłom swoim zostawiony, nie mając już czego się spodziewać od negocyacyi, samej się tylko oddał rozpaczy i odwadze swojej. Pochlebni dotego dworzanie czynili mu nadzieje największe, że przytomnością swoją w obozie wszystkie te niebezpieczeństwa oddali. Derwisze zapewniali go, że już się podniósł miecz Mahometa dla obrony państwa Misory.

Sułtan tedy opatrzywszy fortece swoje garnizonami, w sześćdziesiąt tysięcy wojska ruszył ku nieprzyjacielowi, i stanął obozem w Periapatam, zkąd uważał obroty wojska angielskiego. Udał się potem lasami i w czasie mglistym ku nieprzyjacielowi tak, że bez wieści napadł na wojsko angielskie i attakować zaczął frontową linią, i tylną razem straż nieprzyjacielską, ale wkrótce usunął się, i zamknął się w okopach swoich Periapatam. Prócz utarczki z jenerałem Sztuartem, z której wyszedł niepomyślnie, dowiedziawszy się, że drugie wojsko pod jenerałem Harris przeszło granice Misory, ruszył przeciwko niemu, i znalazł go, że brało pozycyą koło Malaweli, o mil ośm od Seringapatam. Sułtan Misory, który sam komenderował środek wojska, dał znak do bitwy, kazał wystrzelić artyleryi na szyki bliższe angielskie. Kazał potem piętnastu tysięcy piechoty wsiąść z tyłu na konie za swoją kawaleryą, i tak najżywiej natrzeć; ale przełamać nie mogli wyćwiczonego żołnierza europejskiego. Po godzinie potyczki wojsko sułtana poszło w rozsypkę, on z resztą co mógł swoich zebrać, uchodził ku Seringapatam. Stracił już nadzieję zatrzymania w marszu Anglików, i Misorczykowie... straciwszy także śmiałość, z gór tylko nieprzystępnych poglądali na posuwanie

się ku stolicy wojsk nieprzyjacielskich. Klęska ta pod Malaweli, zdarzona 27 Marca 1799, jest epoką upadku królestwa Misory. Trzydziestego marca infanterya Sułtana z artyleryą weszła do Seringapatam, i w tym to już ostatnim uchronie swoim czekał Tippo-Saib Anglików.

Czwartego Kwietnia postrzeżono Anglików przybliżających się przez rzekę Kowery, założyli obóz o dwie mile francuzkie od Seringapatam. Z drugiej strony generał Sztuart z wojskiem Malabaru postępował także ku stolicy. W tak ciężkim razie Tippo-Saib chciał już negocyować; i jenerał Harris mając na to pozwolenie od jenerała gubernatora, ofiarował mu takie pokoju kondycye: Ażeby sułtan oddał połowę krajów swoich kompanii angielskiej i jej aliantom; ażeby zapłacił koszta wojenne, ażeby dwóch synów swoich dał w zastaw; oddał stolicę Seringapatam w ręce Anglików, aż do zakończenia zupełnego pokoju. Nie dał Sułtan na tak surowe punkta żadnej odpowiedzi i już tylko myślił, jeżeli można zwyciężyć, albo się zagrzebać w rozwalinach stolicy.

Żywiej zaraz zaczęto oblężenie, i więcej daleko nocami bili się, niżeli we dnie, dla nieznośnych w tamtym klimacie upałów. Przez dni czternaście łamano w jednem miejscu mur armatami dla zrobienia w nim dziury do wnijścia, przez który czas Tippo-Saib wszędzie był wszystkiem. I kiedy przełom w murach był już dostateczny, do wpadnienia tą stroną Anglikom; w godzinę po południu w czasie najgorętszym, gdzie Indyanin, chociaż przywykły, w cień się schrania szukając spoczynku, jenerał angielski Barird wyskoczył z okopów z bronią w ręku, i za nim dwie kolumny, któremi komenderował. A tak przeszli rzekę pod ogniem z fortecy Misorczyków. Anglicy szli z wolna z bagnetami w ręku; każda cieśnina, każdy zakąt nową był batalią; bito się jeszcze w mieście w pośrodku ulic, pod przywództwem Francuzów, a sam sułtan równo ze swoim prostym żołnierzem potykał się, i widząc, że że już obronić się nie zdoła, wolał zginąć między swoimi.

Tak skończył życie Tippo-Saib w czterdziestym piątym roku wieku swojego, który dlatego może szczęśliwszy, że upadku swego i państwa swojego nie przeżył. Był on raniony najpierwej w piersi; i kiedy mu wierny minister radził, ażeby dał się poznać już w mieście będącym Anglikom, zakazał mu tego najgroźniej. Żywy jeszcze, ale między trupami leżąc, kiedy (widząc na nim pas bogaty od szabli), jakiś angielski żołnierz chciał mu go zedrzec, skaleczył jeszcze żołnierza tego pałaszem swoim, co się i z drugim stało, ale trzeci, strzeliwszy mu w głowę koło skroni, dobił go. Takie szczegóły o śmierci sułtana po uspokojeniu cokolwiek rozruchu zwycięzcy, mieli Anglicy; tak też zaraz następnej nocy jenerał Barird znalazł go między trupami. Oficer indyjski przytomny znalezieniu Tippo-Saiba, za pozwoleniem jenerała angielskiego, odwiązał przy ramieniu Sułtana talizman, który się składał z czegoś kruchego, metalicznego jak srebro; i jakieś papierki, gdzie były popisane charaktery magiczne w języku arabskim; wszystko to było zaszyte w materyi cienkiej jedwabnej. Zdarzenie osobliwe, że ten sam jenerał Barird, który przed pietnastą latami był w niewoli w Seringapatam, razem z jenerałem Matthewsi ledwie śmierci uszedł, o dwieście kroków od tego miejsca, gdzie długo w niewoli jęczał, znalazł zabitego sułtana ciało.

Po śmierci Tippo Saiba, jego żony, dzieci, krewni, ministrowie, i Francuzi w służbie będący, poddali się zwycięzcom. Znaleziono w fortecy 372 armat, 60 moździerzy, 11 haubic, 466 armat żelaznych. Skarby i klejnoty Sułtana szacowane były około miliona sto kilkadziesiąt tysięcy funtów szterlinków, Missorczykowie stracili w attaku ośm tysięcy ludzi. Angielczykom ledwie do sześciuset zabito w całej tej chwalebnej dla nich kampanii, która we dwóch miesiącach skończyła się, a podbili tak obszerne państwo, przed którem nie raz zadrżała angielska potęga w Indyach. Tippo-Saib umiał nienawidzić Anglików, ale im szkodzić nie umiał Z mieszkańcami Seringapatam najsłodziej obeszli się zwycięzcy, aż do zadziwienia Indyan: dla tego ci, którzy byli pouciekali z miasta, powrócili zaraz słysząc o

ludzkości Anglików. Miasto Seringapatam zrobiło się teraz miastem najznaczniejszem w Indostanie; jest na wyspie oblanej rzeką Kowery; mury ma grube od dwudziestu, do trzydziestu pięciu stóp wysokości, i fosy ciosane w skale. Pałac sułtana jest gmach wspaniały gustem azyatyckim. W mieście wiele znaleźć można złotników, zegarmistrzów, obrabiających klejnoty, i życie tanie. Wszystkie wiary miały tam przytulenie; ale muzułmańska, która była wiarą monarchy, najwięcej poważana. Anglicy po zabraniu państwa wszystkim wiarom jednaką oświadczyli protekcyą, co niezmiernie ujęło mieszkańców tamtych.

Nazajutrz po wzięciu Seringapatam Abdul-Kalik, syn Tippo-Saiba, który był uciekł z pałacu, oddawał się dobrowolnie Anglikom, byleby mu osoba i honor jego były zabezpieczone. Co kiedy otrzymał, był przyprowadzony do pałacu i przyjmowany przez jenerała Barird z największą ludzkością. Między inszemi od jenerała pytaniami, zapytał go także, czy niema jakiej wiadomości o ojcu? Abdul odpowiedział, że nic nie wie; jenerał przydał, że jest podobieństwo, jakoby miał zginąć w attaku, i że trup, który jest w pałacu, powiadają, że był jego. Na te słowa żadnego po sobie nie pokazał wzruszenia Abdul, tylko żądał, żeby kto od boku jego poszedł i zobaczył. Zaraz posłaniec powrócił z potwierdzeniem śmierci Tippo-Saiba, i tego znowu bez poruszenia żadnego słuchał, chciał tylko, ażeby sam mógł widzieć ojca; i kiedy mu pokazano, patrzył długo nań, ale bez znaków żalu. Prosił tylko, ażeby go najprędzej pochowano przy ojcu jego Hyder-Alim. Trudno wytłumaczyć tę nieczułość Abdul-Kalika, patrzącego na trupa ojca swojego, chyba, że już tylu nieszczęściami wysiliła się tkliwość jego, a może i bał się Anglików, żeby się nad nim nie mścili za łzy wylewane nad ich nieprzyjacielem. Młodsi dwaj bracia jego aż do rozpaczy rozrzewnili się, dowiedziawszy się o śmierci ojca na placu wojny.

Pogrzeb Tippo-Saiba z rozkazu Anglików był z największą, jak tylko można, okazałością obchodzony. Ciało sułtana dworzanie jego nieśli, przy którem szły

cztery kompanie grenadyerów europejskich. Syn Abdul-Kalik jechał na koniu za ciałem, reszta szła piechotą. Tłok niezmierny lamentem napełnił okolice; złożono go w grobie przy ojcu, i hojne rozdawano jałmużny. Wieczór był do tego sam okropny, bo taka burza z grzmotem i błyskawicą wszczęła się, że dwóch oficerów i kilku żołnierzy piorun zabił; a wielu było ranionych.

Tippo-Saib w rządzie był niestałym, drobnostki równie z rzeczami znaczniejszemi ważącym, do gniewu skłonnym, honor lubiącym, w sny wierzącym, których jego rękopismach książka została, i do Alkoranu swego nadewszystko przywiązanym. Co się tycze honoru, zwykł on był mawiać: „Sentyment honoru, powinien być przewyższający w duszy monarchy, ani powinien upadać pod przeciwnościią, póki się nie zemści za krzywdę nad nieprzyjacielem.“ Mawiał także: „Żebym pamiętał o moich nieszczęściach: nie sypiam na łożu miękko usłanym, abym się budził, i przypominał sobie stan mój; a to będzie póty, póki nie wyjdę zwycięzcą nad nieprzyjacielem moim.“

Wszyscy u niego byli zarówno taksowani; najdawniejszy ze sług ojca jego, albo dzisiejszy jaki przybylec, który mu się spodobał. Widać ztąd, że demokracya dobrze się zgadza z despotyzmem oryentalnym. Rzecz dziwna, że lud zawsze-więcej jest kontent w tym dwojakim rządzie, niżeli w inszych. Dlatego mówią, że nic nie masz bardziej despotycznego, jak demokracya, i bardziej demokratycznego, jak despotyzm. Skłonność niepohamowana do wojny zgubiła Tippo-Saiba. Często on mawiał: „Że woli żyć dwa dni, jak tygrys; niżeli dwieście lat, jak owca. „Kosztowny tron jego w Seringapatam był wsparty na grzbiecie tygrysa stojącego na nogach, wielkości naturalnej, który zdawał się grozić łbem swoim srogim. Tron sam ośmiokątowy, między drogiemi kamieniami, miał wszędzie tygrysie głowy, kunsztownie ze złota wyrabiane, a schody do tronu srebrne. Hamui ptak rajski wisiał pod bałdakinem z rozciągnienemi skrzydłami nad głową sułtana; w Indyach urodziła się bajka Feniksa... i Hamui do tych czas u nich tym ptakiem cudownym. Ten nad głową Tippo-

Saiba był wielkości gołębia, był cały złoty, i cały okryty dyamentami, rubinami i szmaragdami; odesłano go do Londynu dyrektorom kompanii indyjskiej.

Niemogli Anglicy zabrać sobie całego zawojowanego państwa Tippo-Saiba. Wszystkie nabytki, przyczynione do Misory przez Hyder-Alego i Tippo-Saiba, podzielili między siebie Anglicy, ze swoimi aliantami, Maratami i Dekanem. Królestwo gołe Misory, jak dawno było, tak zostało, i to jeszcze Anglicy wyłączyli sobie stołeczne miasto Seringapatam. Nie dosyć że zabity w boju Tippo-Saib, dzieci jego jeszcze zrobiono nieszczęśliwemi, bo niby z powodu politowania i sprawiedliwości, potomstwo Rajach Misory strącone z tronu przez Hyder-Alego, które w największej pod Tippo-Saibem nędzy żyło, do tronu przywołano; dzieci zaś Tippo-Saiba do Welory odesłano, gdzie dla nich miano względy, i wygody czynić kazano. Kazała polityka usunąć od tronu to nieszczęśliwe potomstwo, które z czasem wichrzyćby mogło; a sukcessorowie przeszłego Rajach, z ostatniego ubóstwa na tron wyniesieni, wdzięcznymi zawsze i posłusznymi będą angielskiej kompanii. Takto interes weźmie czasem sukienkę cnoty, ale to łatwo poznać, że nie na niego zrobiona była.

Kisna Rajach, dziecko pięć lat mające, z linii następstwa wybrane na tron. Dziewiętnaście osób było przy nim różnej jego rodziny, wszyscy, jak i on z babką w ostatniej nędzy: że posłów angielskich i misorskich do siebie przysłanych, nie mając gdzie w domu swym przyjąć, w izbie przepierzenie z płótna zawieszonego zrobili, i reszta tej nieszczęsnej familii wstydząc się nędzy swojej za płótnem stała. Kiedy Anglicy według układów ze swymi aliantami na siebie zabrali Seringapatam, w dawnem mieście Misora, zrobiona stolica nowych Rajów. Z wielkiemi okazałościami dziecko to z domu jego brano na tron Misory, i sam jenerał kommendant angielski Harris, z jenerałem Dekanu, wziąwszy go za ręce między siebie, w pośrodku wojsk uszykowanych idąc, przy strzelaniu z armat i ręcznej strzelby, posadzili go na tronie dziadów, a Harris oddawał mu pieczęć i znaki króla. Znowu tu niezapomnieli

o sobie Anglicy. Z ministrem, którego dali młodemu Rajach, ułożyli posiłki pieniężne, które dawać obowiązani będą Anglikom Misorczykowie, corocznie do pięć kroć sześćdziesiąt tysięcy czerw. złt. w czasie wojny prócz tego dawać składkę taką, jaką wystarczyć będą mogli Misorczykowie. Ale nędzarz zrobiony królem, zapomniał się co dawał, w ukontentowaniu z tego, co odebrał. To, co tej wojny na królestwie Misory zyskali Anglicy, wyniesie dochodu rocznego do miliona sześciu set tysięcy czerwonych złotych.

Kompania angielska w Indyach teraz tam najpotężniejszem jest mocarstwem; opanowała najżyźniejsze królestwa Bengalii, Karnatyku, Kanary, wiele do tego ubocznych powiatów i wysp; po wypędzeniu Francuzów z Pondychery, i z sąsiedztwa swego Holendrów, zostawiwszy tylko Portugalczyków pod swoją protekcyą, w małych tam osadach swoich, mając do tego jak za swoje królestwa Dekanu i teraźniejszej Misory, które jej płacą za protekcyą corocznie ogromne summy—tak z państw dziedzicznych, jako i z dopiero wspomnionych dochodu rocznego mieć może kompania do szesnastu milionów czerwonych złotych. Ludności zaś poddanych dwadzieścia pięć milionów. Wytrąciwszy utrzymywanie tam wojska, marynarki, osób rządowych, członki kompanią składające, mogą corocznie z Indyi sprowadzać do Anglii kilka milionów czerwonych złotych. I temito skarbami więcej, niż istotną potęgą swoją, tak mocną między potencyami Europy zrobiła się Anglia.

Nie od rzeczy tu będzie krótko opisać stan teraźniejszy Indostanu, z jakiemi to państwami albo graniczy, albo mogłaby się czego od nich obawiać Anglia.

Dekan. Królestwo to za przemocą jeszcze Mogołów nie mogło być zupełnie podbitem. Tamto kapłani Wisnu wypędzeni z Guzaraty przez Arabów, dla nieprzystępności niektórych miejsc tego państwa, znaleźli bezpieczny uchron. Tam tańczą jeszcze Syreny według wiary Braminów na honor Bawani, Wenery indyjskiej. Gdyby nienapady i spustoszenia częste Maratów, Dekan byłby jednem z najpiękniejszych królestw Indosta-

nu. Do niego należy królestwo Golkondy, sławne minami dyamentów. Nizam Dekanu dwa od sta na skarb swój wybiera dyamantów. Tam lud dzieli się na 40 klas. Najpierwsza jest Braminów, którzy do wiary swojej Metempsichosis, żadnego mięsa nie jedzą, nawet, że cybula miewa niektóre żyłki, od niej się także chronią. Dalsze klasy są kupców, kobiet rozpustnych, rzemieślników, każda zaś z tych klassa pogardza niższemi od siebie, a najniższa Paria pogardzona od wszystkich, że nawet im w mieście bywać zabroniono. Ktoby się z wyższych klas dotknął Paryi, powinien się zaraz umywać. Rozległość państwa Dekanu może być do 430 mil długości, a szerokości do 300 mil. Dochodu nad cztery miliony czerwonych złotych mieć nie będzie. Anglicy tak opanowali Dekan, że w stolicy nawet wojska swoje trzymają.

Maratowie. W Indyach wielką część kraju posiadają. Dosyć powiedzieć, że Indostan tam, gdzie jest między morzami najszerszy, od brzegu do brzegu posiadają. Rodzi się wiele ryżu w ich kraju, ale do handlu i manufaktur ochoty nie mają, kochają się najbardziej w stadach koni, które ztamtąd wychodzą piękne, ale bardzo drogie. Jestto naród mniej czarny, niż insi Indyanie, z ciała silny, wojny szukający, wolący żyć ze zdobyczy, niżeli z pracy rąk, trudy łatwo znoszący, który urywkami bić się woli, bez wydawania głównych batalii. Kupuje kto chce ich przyjaźń, albo neutralność, a przedają się temu, kto im da więcej. Ich napady na kraje sąsiedzkie nie trwają dłużej nad trzy miesiące. Po odprawionym Desserad, co jest wielkiem świętem u Maratow, kiedy ziemię swoję już poupprawiali, i ziarnem zasiali, zgromadzają się pod swoje chorągwie, i robią układy, kogoby napaść mogli; a wypadłszy jak błyskawica, i zniszczywszy potem jak piorun wszystko, nie zważając ani na prawo wojny, ani na prawa narodów, powracają, jak Cincinnatus do pługa, i spokojnie pracają około pola. Kobiety u nich chodzą bez zasłony i rozpustne bezkarnie, a na wojnę z tyłu za mężami na koń wsiadają. Bardzo mało jest między nimi mahometańskiej wiary. Wiara Bramy tam

panująca, i Biraminowie, którzy według swoich ustaw powinniby żyć na osobności, tam się mięszają do rządu, i publiczne sprawują urzędy.

Szejkowie. Jestto kasta wojenna Indyan w prowincyach Lahor i Dely osiadła. W siedmnastym wieku zakonnik jeden indyjski, nazwany Nanek, sławny w prowincyi Lahor przez swoję łagodność i ludzkość ustanowił nową indyjską sektę, którego uczeń Gobindsing, mając niezmierne tłumy sektarzów, dał im broń w rękę, i dobył stolicy Lahor; pobity potem wzajemnie, znowu powstał, pokazawszy się na czele sta tysięcy zbrojnych uczniów, aż nareszcie zbity ostatecznie, złapany razem ze swoją familia śmiercią skarany był. Sekta Szeików bardziej się jeszcze wzmogła śmiercią tego icho męczennika. Nie przypuszczają Szeikowie ani obrazów, ani bałwanów. Noszą na szyi pacierze, mające sto dziewięć paciorków. Bogaci czy ubodzy, zawsze są w błękitny kolor ubrani; a większa ich część brody zapuszcza. Szeików liczba nidzmiernie się powiększa, bo przypuszczają do siebie wszystkie wiary. Dają jeść z mięsem świniem, albo przynajmniej mięszają potrawę kłem wieprza, a to robią dla muzułmanów przystępujących do nich, a z wiary swojej świni nie jadających. Potęga Szeików dzisiaj wystawić może samej kawaleryi 150,000. Miecz rozstrzyga u nich spory za domem, a prawa Naneka w domu.

Zeman Szach najobszerniejsze w Indyach posiada królestwa, jakoto królestwo Kaszemir, Kobol, Kandabar i Multan. Mają Persowie położenie miejsca najpiękniejsze, nad odnogą Perską leżące, zowiące się Firucbad; mają Tatarowie Uzbeci z położenia miejsca osobliwego zachwycające okolice Samarkandy, które rajem ziemskim nazywają: ale całe królestwo Kaszemir tym rajem ziemskim najsprawiedliwiej nazwaćby się powinno. Długośc jego 120 mil, szerokość na 25 rozciąga się. Przeszedłszy góry, które zawsząd na dolinie to państwo leżęce otaczają, zdaje się, że wszedł kto do najpiękniejszego w świecie ogrodu, gdzie prócz wszelkich drzew pieszczonych od natury Indyi, ledwie nie wszystkie i europejskie znaleźć można.

Jest tradycya u Indyan, że ta dolina kiedyś była morzem, które Indyanin Keshap spuścił, przeciąwszy góry; na której potem dolinie ludzie osiedli. Ale to pewniejsza, że jakąś od dawnych wieków mieć mogli z Hebrajczykami kommunikacyą, kiedy dotychczas między niemi, chociaż są wiary Indyjsklej, w wielkiem poszanowaniu mają imiona Mojżesza i Salomona. Góry otaczające Kaszemir, są okryte śniegiem, i zdają się bronić przystępu do tego raju ziemskiego reszcie ludu światowego. Tam to pełno łąk najżyźniejszych, i roślin wszystkich rodzajów, które bez pracy sama natura rozdaje ludziom, i wypasa bydlęta ich. Tam szanowni wiekiem w wielu miejscach między górami mieszkają pustelnicy, którym z wysokich skał z szumem kaskady spadające spokojnie potem przy nogach płyną. Nagar stolica królestwa, dla trzęsienia tam ziemi częstego, domy ma z drzewa budowane, na których dachach z płaska robionych, ogródki najpiękniejsze tulipanami pozasadzane. Kaszemir całe jest krajem kwiatów, i najpiękniejsza w świecie róża tam kwitnie.

Zwierzyny wszelakiej po łąkach i lasach pełno, a co osobliwsza, że żadnego tam, ani ptaka, ani zwierza drapieżnego nie masz. Cesarz mogolski Akbar po trzy razy jeździł umyślnie do tej swojej pięknej prowincyi, ażeby użyć tam najsłodszych wczasów, i odpocząć od trudów i tronu. Orengezeb sam, ten czynny ustawicznie zwycięzca ludów, był tam także umyślnie na łowach w sześćdziesiąt tysięcy ludzi; nie chciało mu się porzucić tych miejsc najpiękniejszych i nie mógł się dosyć nadziwić słodyczy klimatu, urodzajności ziemi, różności produktów i piękności położeń. Oremgzeb z tłumem dworu nie mógł się nasycić temi pięknościami, i nabawić obyczajami i niewinną prostotą mieszkańców Kaszemiru; ale oni nie bardzo byli tym gościom radzi, którzy im spokojność ich, dobro największe, pomięszali. Lud Kaszemiru jest dowcipny i przemyślny, kobiety tam nierównie piękniejsze, niż w całej Indyi; ludność zaś ma być największa, kiedy więcej, niż sto tysięcy wsi osiadłych najlepiej liczą. Tam to robią te szwale, czyli szale, znane już i u nas w Europie. Tkają je

z wełny delikatnej koz tamtejszych. Kaszemirowie są po większej części wiary indyjskiej, albo Mahometanie; gdzie wiele znaleźć można i Persów, czyli dawnych czcicielów ognia.

Królestwo Kandahar, gdzie wszyscy ludzie są żołnierzami, i o szablę się tylko i konia starają. Królestwo Multan, ma żelazo i trzcinę cukrową; do sześćdziesiąt tysięcy koni rocznie dostarczać może Zeman-Szachowi, na rekrutowanie jego licznej kawaleryi. Prowincya Kabul ze stolicą tegoż imienia, na trzy mile w koło murem otoczoną, która jest zwyczajną Zeman-Szacha rezydencyą. W tej prowincyi, jak i stolicy, znaczniejsze osoby mówią językiem Perskim, jak u nas w północnej Europie francuzkim. Zaman-Szach w tych krajach rozległych, zdrowych i ludnych, może utrzymywać samej kawaleryi dwakroć sto tysięcy. Rzeka Indus, płynąca przez królestwo Kandahar, przypomina wejście do Indyi Aleksandra Wielkiego, i flotę macedońską na tej rzece pod kommendą Nearka. Król indyjski Porus, sławny w historyi Aleksandra, panował w bliskości Kandahar, i wspaniały zwycięzca jego przyczynił mu jeszcze kraju, któy teraz Zeman-Szach posiada. Prócz Aleksandra Wielkiego, który wszedł do Indów przez Kandahar, tąż drogą potem przychodzili do Indyi Tamerlan i Nadir Kulikan.

Zeman-Szach zamyśla teraz podnieść potęgą swoją upadłe Imperium Mogoła, do czego łatwo przyjść mógłby, kiedy w stolicy Dely panujący jeszcze cień jakiś cesarza żadnej mu w tem pewnie przeszkody nie uczyni. Bojąc się o to Anglicy, chcieli podbudzić Persów na Zeman-Szacha, który tego narodu pewnieby się nie obawiał, jako rozdzielonego na tyle fakcyj, które uważane jedna od drugiej, sił swoich rozdzielać nie mogą. Nie spodziewając się tedy z tej strony wsparcia Anglicy, obrócili myśli swoje do Rossyi. Myślano w Londynie, że też same rossyjskie wojska, które od brzegów Wołgi i dalej przyszły aż nad równiny Lombardyi, i między góry szwajcarskie, z mniejszemi zawadami przejść będą mogły pod Kaukaz indyjski. Wojsko rossyjskie, gdyby wsiadło na okręty w swoim Astrakanie,

i przylądowało do Astrabat na drugiej stronie morza Kaspijskiego, ztamtąd przez Persyą, około dwóch set mil tylko miałoby do Kabul stolicy Zeman-Szacha w Indyach. Ale te układy Anglików z Rossyą potem się odmieniły, i tylko pokazali Anglicy drogę, jakby im Rossya w Indyach szkodzić mogła.

Większa część państw Indostanu z tej strony rzeki Gangesu, o których albo wspomnieliśmy, albo wspomnieć nie przyszło, mają monarchów Mahometanów, których wiara jeszcze z Tamerlanem weszła do Indyi. I chociaż ci jedynowładzcy wszelkiemi sposobami, a czasem i okrutnemi starali się rezszerzać Muzułmanizm, przecięż powiedzieć można, że ledwie tysiączna część będzie Mahometanów w Indyach. Lud zaś w powszechności utrzymuje wiarę swoję w świecie najdawniejszą, równie jak prawa i obyczaje swoje patryarchalne, o których mówić zaczynamy.

ROZDZIAŁ II.

O Religii.

Dwie Religie pryncypalne panują między ludem Indostanu: Mahometańska, i religija Indyjska. Mahometańska ustanowiła się nad brzegami rzek Indu i Gangesu zwycięzcami, którzy podbili te krainy. W potędze największej państwa Mogoła, wiara Alego była wiarą panującą u Indyan; była wiarą zwycięzcy i monarchy. Na miejscu Pagod, w wielu miejscach stanęły Meczety; i dzieci Bramy wszędzie gonione mieczem, chyba tylko gdzie na ustroniu i skrycie hołd Bogu ojców oddawały. Tamerlan, Oremgzeb, Thamas, Kulikan, wygubili milion Indyan, którzy się pozwalali zabijać za wiarę przodków.

Religia Mahometańska zrodzona w pośrodku zgiełku obozów nie mogła utrzymać swego blasku okropnego, tylko między zamieszaniem i nierządem, zdatnemi pod-

niecać jej gorliwość barbarzyńską. Póty, póki przy niej stało zwycięstwo, wielu bardzo swoich liczyła wyznawców, ale w miarę, kiedy fortuna była przeciwną jej apostołom na placu bitwy, traciła dar robienia cudów między ludem mniej zalęknionym. Zapał podbijania, przywiązany do religii mahometańskiej, powinien był mało mieć wstępu do serca Indyan, u których spokojność jest szczęściem najwyższem: dla tego też większa część między nimi zachowali wiarę pierwiastkową, i liczba Indyan jest większą, niżeli Mahometanów;

Religia, która przetrwała tyle odmian, tyle rewolucyj, jest przedmiotem godnym zastanowienia się wszystkich, głębiej zastanawiających się nad rzeczami. Wędrownicy po świecie jadą do Egiptu, ażeby się dziwili piramidom, jadą zastanawiać się nad szlachetnemi ułomkami starożytności Rzymu i Aten; ale są oprócz tych odwieczne zabytki, warte zastanowienia się mędrców, które nietylko oparły się czasowi, ale i dzikości wojny, rozwalinom państw, natarczywościom tylu ludzkich namiętności, i dotychczas śmiało jeszcze stoją w pośrodku ruin, które ziemię przywaliły: a te są ustawy wiary wieków pierwiastkowych. Jeżeli mamy tyle uszanowania dla dzieł wyszłych z ręki ludzkiej w wiekach, które nas poprzedziły, jakież czucie uszanowania nie powinno nas ożywiać dla tych ustaw, które są dawnych obyczajów zabytkami, i których początki ukrywają się w nocy czasu, i w łonie Bóstwa?

Religie, które do nas przyszły od wieków pierwiastkowych, są zamieszane z błędami wielkiemi; ale wszędzie nam pokazują w ich obrządkach i w ich naukach obraz wierny zwyczajów i sposobu życia pierwszych mieszkańców świata. Są ludy, których dosyć jest poznać religią, ażeby poznać ich dzieje. W dzieciństwie narodu ludzkiego ustawy wiary mięszały się z ustawami cywilnemi, i domowemi. Pyszna filozofia jeszcze natenczas nie powiedziała ludziom, że można im napisać prawa, bez przymięszania się do tego Bóstwa. Te ustawy zachowały się jeszcze między narodami, w miarę jak były mniej, lub więcej złączone z drugiemi: można jeszcze zobaczyć je w Indyach w ich stanie

pierwiastkowym. Do nich to powinniśmy przyprowadzać prawodawców, dziejopisów i mędrców. Kiedy mówić będziemy o Brama, Wisnu, Szywen, damy poznać obrazy religii wszystkich czasów, i Indyan wszystkich wieków.

Indyanie, podług Sonnerata i wszystkich wojażujących, wyznawają trzy bóstwa pryncypalne: Brama, który ma moc stwarzania; Wisnu, bóg zachowujący wszystko; i Szywen, któremu dają moc niszczenia wszystkiego. Brama dał swoje imie swoim księżom, którzy do niego modły obracają, i robią na jego honor ceremonie Sandynów. Ten bóg nadto zajęty swoją wielkością, sądził się być równym Szywenowi, a śmiał nawet hańbić i poniżać Wisnu. Między Brama i Wisnu wszczęła się walka najsroższa. Gwiazdy z firmamentu pospadały, światy się pogrążały, i ziemia się aż w swoich fundamentach zatrzęsła. Dewerkelowie, czyli stworzenia niebieskie, zalęknione, pozamykały oczy, i przyszły do Szywena, prosząc tego jedynowładzcę wszystkich przeznaczeń, tego boga, rozrzuconego we wszystkich duszach świata, jak olej w ziarnie Gangeli, ażeby go wzruszył los ich. Ten bóg wszechmocny stanął w pośrodku bijących się dwóch bogów, pod postacią słupa ognistego, który przechodził przez to wszystko co było życiem, i co było niczem — i który zapuścił się swoją ogromnością po rozległych uchodach nieskończoności. Ten słup ułagodził zapalczywość Wisnu i Bramy, i ażeby skończyli zatargi swoje, zgodzili się na to: że ten, który dojdzie wierzchołka słupa tego, albo który się dogrzebie do spodu jego, będzie za pierwszego boga uznany.

Wisnu, pod postacią wieprza dzikiego, wgrzebał się we wnętrzności ziemi, robiąc drogi na trzy tysiące mil w mgnieniu jednym oka, a tak postępując przez tysiąc lat, zstąpił nakoniec do przepaści, nie dostawszy jeszcze spodu samego słupa. Wtenczas Wisnu, wyznając pana, czynił mu pokorne modły. Brama chciał doścignąć wierzchołka słupa, i wziął na siebie postać Annoma, (rodzaj to jest łabędzia), w momencie jednym podniósł się w górę na sześć tysięcy mil wyżej nad

ziemię. Przebiegał nadaremnie rozległość nieskończoną przez lat sto tysięcy, siły jego wyniszczyły się, i upokorzył się także przed majestatem pana. Bóg chciał go doświadczyć, i rzucił kwiat Kaldeir na jego drodze. Brama zdjął ten kwiat, który mając dar cudowny mówienia, prosił go, ażeby mu dał wolność; Brama zaś chciał, ażeby Kaldeir z nim szedł do Wisnu, i tam świadczył, że Brama dosięgnął wierzchołka słupa. Smiał to on utrzymywać przed Wisnu, a kwiat Kaideir stwierdzał to swoim świadectwem. Zaledwie to kłamstwo było wyrzeczone, zaraz słup rozpękł się z trzaskiem niezmiernym; ośm słoniów, które świat utrzymują, krwią żygnęły, i wszystkie się chmury zapaliły. Wtenczas Szywen pokazał się we środku kolumny, i rozśmiał się podobnie, jak w tenczas, kiedy pognębił Piriburonów trzy twierdze, złotą, śrebrną i żelazną, gdzie się zamykali Aszurery nieprzyjaciele Dewerkelów. Wisnu padł do nóg Pana, który mu odpuścił jego winę. Szywen przeklął Bramę i potępił go, ażeby nigdy nie miał kościoła na ziemi. Kwiat Kaldeir był na wieki wyrzucony z miejsc poświęconych.

Poznał potem Brama błąd swój i żałował tego: „Z przyczyny twojego żalu, (rzekł do niego Szywen litościwy), wszystkie obrządki Braminów, będą dla ciebie.“ Brama wziął za żonę Sarassowadi, boginią nauk i harmonii, ona się urodziła w morzu, i była uformowana z mleka; kiedy Dewerkelowie i Aszurery żnaleźli Ambrozyą, czyli napój niebieski. Sarassowadi jest jeszcze boginią języków, ale w samych ją tylko szkołach wzywają.

Wypada z tradycyi i z zabytków, których Braminówie skład mają, że Brama był najpierwszym prawodawcą Indyan. Dano mu za żonę boginią nauk, ażeby to przypominało, że on lud wyprowadził ze stanu dzikości, i przywiódł go do zatrudnienia się naukami i rękodzieły. Sarassowadi jest także boginią harmonii, ponieważ pierwszy prawodawca nauczył ludzi poznawać stosunki, które miały ich łączyć. Wzywają jeszcze Sarassowadi, jako bogini języków, bo język jest narzędziem, które przybliza do siebie ludzi; i robi społe-

czeństwo między niemi. Może to być, że mędrzec Brama na złe użył władzy, którą mu nadał tytuł prawodawcy, że pokazał swoję pychę i wyniosłość na tym poważnym urzędzie, gdzie samę tylko mądrość swoję odkryć był winien, i dla tego znalazł może przeciwników potężnych — a ztąd poszło, co mówią wschodnie narody, których wszystkie prawie wyrazy są allegoryczne, że Brama był ukarany przez Szywena. Jednakże Pan Dow utrzymuje, że ten Bóg jestto tylko osoba przeobrażona; a gruntuje się na tem, że słowo Brama w języku Sanskryt, znaczy mądrość. Trzeba przyznać, że ta mądrość nie zawsze miała rozum. Posągi Bramy wyobrażają go ze czterema rękami, i ze czterema głowami, które, według wielu Indyan, są znakiem czterech ksiąg znanych pod nazwiskiem Wedam. Trzyma on w jednej ręce cyrkuł, znak wieczności, w drugiej wiązkę płomienia, co znaczy moc jego. W trzeciej i czwartej trzyma znaki władzy prawodawczej; niema kościołów, jakeśmy wyżej wspomnieli, ale posągi jego są czasem w lasach postawione, i tamto Braminowie idą mu cześć oddawać w zaciszu i milczeniu pustyni. Jeżeli cześć powierzchowną ma za mniej potrzebną mędrzec, którego kościół jest w jego sercu, a pobudki czczenia Boga około siebie; nie można tego mówić o ludziach pospolitych, których głowa potrzebuje tego ustawicznie, ażeby widziała, i była ocucona obrządkami jakiemi, któreby jej przypominały religią. Dla tego Brama od swoich tylko cześć odbiera Braminów, a Wisnu i Szywen podzielili między siebie ludu bałwochwalstwo.

Wisnu jest adorowany, jako Bóg zachowujący wszystko. Miało to przychodzić na myśl pierwszym kiedyś Indyanom, jakim sposobem istoty różne utrzymują się w naturze? widowisko krągoziemu pokazywało im wiecznie odmiany w kształtach materyi, która się utrzymuje, i zdaje się, że każdego dnia na nowo się z chaosu odradza. Oni przystósowali te odmiany ustawiczne kształtów powierzchownych do ich wyobrażeń religii, i szukali, jak było można wyrazić harmonią i różność natury przez przemiany, czyli wielorakie Wisnu

przeobrażenia—ich Boga, zachowującego i polepszającego wszystko.

Wisnu wziął na siebie postać ryby, ażeby zachował od potopu Sattiawiradena i żonę jego. Ten bóg był także na przodku okrętu, który im posłał. Kiedy wody pomału ustąpiły, Sattiwiradon zatrudniał się zaludnieniem ziemi pod opieką Boga, który go zachował. Pod tąż samą postacią ryby, Wisnu walczył z olbrzymem Kanagaszen, który był porwał cztery księgi Wedam, i połknął je; otworzył mu brzuch jego, ale tylko znalazł trzy księgi święte. Ta tradycya mitologiczna Indyan jest widocznie wzięta z ksiąg rodzaju z biblii. Potop świata jestto epoka, do której się posuwa każda wiara wszystkich narodów. Jestto okres najokropniejszy rodu ludzkiego; jest to czas, kiedy ziemia podnieść powinna była oczy swoje zalęknione do Boga zachowującego. Dlategoto przeobrażenie Wisnu w rybę jest najpierwszem. Ludzie powinni byli wierzyć, że niebo ten bicz swój, potop świata, nie dla czego innego przysłało na ziemię, tylko, że była obwinioną o największe występki, i że zapomniała obyczajności, którą jej Bóg przepisał. Indyanie wyrazili zepsucie ludzi przez zgubienie czterech ksiąg świętych, które były księgami obyczajów. Cnota pokazaną im była, jako sposób jedyny zabezpieczenia bycia swego, i uwierzyli, że Bóg opiekujący się nimi odzyskał znowu Wedam.

Drugie wcielenie się Wisnu było w żółwia. Bogowie i olbrzymy (powiadają mitologiści indyjscy), chcąc się zrobić nieśmiertelnymi, przenieśli górę Mandregiri w morze mleczne, ażeby tak dostali Amurdon, czyli Ambrozyi (?). Za pomocą węża Adiseszna, kręciła się góra na jednem miejscu końcem przemienienia morza mlecznego w masło. Wisnu ośmielił się natrzeć na węża ogromnego, któremu z tysiąca gąb otworzonych gwizdaniem brzmiało powietrze, i które żgały trucizną najstraszniejszą; a ta w momencie wszędzie się rozchodziła. Góra Mandregiri, będąc pogrążona w morzu, że jej widać nie było, Wisnu wziął postać żółwia, wielkości niezwyczajnej, i podniósł górę pogrążoną. Nakoniec po wielu wiekach postrzeżono wychodzącą z mo-

rza mlecznego krowę Kamadenu; konia Uczysarawan, słonia białego Airapadam, i drzewo Kalpaga-Wrutszam. Wyszły także z morza mlecznego trzy boginie Latszymi, bogini bogactwa, która była potem żoną Wisnu, Sarassowady żona Bramy, i Mondewi, bogini niezgody i nędzy. Lekarz Dannwandy wyszedł potem z morza z naczyniem napełnionem Amurdon, którym napojem Wisnu samych tylko bogów częstował. Olbrzymi niekontenci rozeszli się po ziemi, i wziąwszy na siebie różne postaci, szukali i znalezione wszędzie obalali ołtarze, przez pobożność ludzką wystawione.

To przeobrażenie Wisnu ze swojemi okolicznościami, nietylko ma wiele podobieństwa z mitologią grecką, ale i z Genesis biblii; zkąd Indyanie mogli to przenieść. Wąż Adiseszen dał Egipcyanom wyobrażenie ich Tyfona, wychodzącego z jeziora Sarbonidy, i niszczącego wszystko swoim oddechem zarażonym. Grecy mają także bajki swoje o olbrzymach, którzy ośmielili się walczyć naprzeciwko bogom, kładąc górę Pelion na Ossę, i którzy, będąc pogrążeni na ziemię, wzruszyli wnętrzności gór, i postrach wszędzie roznieśli. Obraz potopu jeszcze tu powtórzony przez górę Mandregiri pogrążoną, i odkrytą potem przez wszechmocnego Wisnu. Wyjście na świat niezgody przypomina sposobem wyraźniejszym zamięszanie przy wieży babilońskiej po potopie. Uważać tu należy, że Indyanie zrobili niezgodę: boginią nędzy. To wyobrażenie jest moralniejszem, niżeli Greków, i ma więcej zgody z biblią. Olbrzymi, którzy się rozbiegają po ziemi, aby na niej robić zamięszanie, przypominają nam sławnych aniołów w Miltonie, którzy po upadku swoim o tem tylko myśleli, jakby naród ludzki pogrążyć w tejże samej przepaści. Wisnu (mówią Indyanie), był zawołany na pomoc słabego człowieczeństwa: ażeby zwalczyć olbrzymów, ten bóg zachowujący przyjął na siebie wielorakie wcielenia. Łatwo tu można poznać środkiem tego prostego bajania boga, który obiecał zetrzeć głowę wężową, i który bierze na siebie postać człowieka.

Wisnu był przymuszonym wcielić się po trzeci raz, ażeby zwalczył olbrzyma Erenakszasen, który wniwecz

obracał ziemię, i co mógł złego, to wszystko robił stworzeniu. Bóg zachowujący wziął postać wieprza dzikiego. Inszy olbrzym, nazwiskiem Erenien, żądał tego, ażeby był tak, jab bóg adorowany; Wisnu przeobraził się w połowę człowieka, i w połowę lwa, walczył na pysznego olbrzyma, otworzył mu brzuch jego, i całą krew wypił. Piąte przeobrażenie Wisnu było w Bramę, karła, pod imieniem Wamem. Pokazał się tak przed olbrzymem Bely, i prosił go o kawałek ziemi na trzy kroki tylko, ażeby sobie chatę pobudował. Bely mu powiedział, że go o bardzo małą rzecz prosił, pozwolił na żądanie jego, i nalał mu wody w rękę, jakoby potwierdzając darowiznę swoją. Ten zwyczaj jest dotychczas zachowywany w Indyach względem Bramów, którym nie można żadnego daru uczynić, jeżeli im razem wody w rękę nie wlejesz.

Odebrawszy Wamem kawałek ziemi, o który prosił, tak się wzdął razem, że cały świat napełnił. Bely padł do nóg jego, i bił mu czołem. Wisnu wziął postać człowieka, ażeby ukarał olbrzyma Rawanem tyrana wyspy Cejlan. Ten Bóg długo bawił pod tą postacią nazywając się Rama. W roku piętnastym po tem wcieleniu porzucił dom ojca swego Dessaraweden, i zrobił się pokutującym. Przeszedł przez rzekę Ganges, ażeby osiadł na górze Sytrekondon, gdzie dawał nauki uczniom, dając im wiadomość o przechodzeniu dusz ludzkich po śmierci w ciała różne. Bawił potem przez dziesięć lat na pustyni Engererion, w pośrodku swoich uczniów, i inszych ludzi, którzy czynili pokutę. Rama przeniósł się ztamtąd na wyspę Cejlan, gdzie zrzucił z tronu Rawanena. Służebnicy boscy świadkowie zwycięztwa Ramy, rzucając kwiaty, padali na twarze przed nim; powrócił potem, ażeby osiadł tron ojca swojego Dessarawadena, w królestwie z drugiej strony Gangesu. Siedział na państwie jedenaście tysięcy lat, a potem przeniósł się do Waikondon, czyli do raju Wisnu. Siódme przeobrażenie Wisnu było jeszcze w człowieka pod imieniem Balapatren, w tem wcieleniu nie wiedział naprzód Balapatren że był bóstwem. Żył w odludności i bez szumu; wytępił złych, których zdyby-

wał na swojej drodze. Oswobodził ziemię z wielkiej liczby olbrzymów, nieprzyjaciół bogów i ludzi. Wyobrażają go z lemieszem pługa, jako ze znakiem robót użytecznych, dając razem poznawać skromność bohatyra, który uczy rolnictwa, ucząc pierwej zwyciężać.

Wisnu chciał ludzi nauczyć cnoty i pogardy dóbr znikomych; Parassurama ósme wcielenie boga zachowującego, który wypowiedział wojnę królom pysznym z pokolenia słońca. Zwyciężył ich, i rozdał te królestwa Braminom. Ale nie mógł znaleźć schronienia w obszernych tych państwach, które rozdał księżom Bramy; był przymuszonym schronić się na góry Gaut, o których brzegi morze się odbijało. Prosił Boga morskiego Warunina, ażeby cokolwiek uchylił wód morskich, a tak, ażeby mu dał więcej trochę ziemi do mieszkania. Żądał tylko tyle usunienia się morza, ileby zajęła miejsca strzała z łuku jego wypuszczona. Warunin na to pozwolił; ale świątobliwy Warader dał mu do zrozumienia, że to był zapewne sam Wisnu, i wystrzeli tak daleko strzałę swoję, że potem nie będzie się gdzie podziać z wodami morskiemi. Warunin smutny, że nie mógł odmienić słowa danego, uciekł się do Boga śmierci, a ten przemienił się w mrówkę białą, i nadgryzł w nocy cięciwę łuku Parassuramy tak, że nie mógł wystrzelić strzały swojej tylko do małej odległości. Miejsce, które zabrała strzała wystrzelona, zaraz wyschło, i odkrył się kraj Malealon, brzegi Malabaru. Parassurama wspomniawszy na niewdzięczność Braminów, przeklął ich, i zapowiedział, że jeżeli który z nich umrze w krainie Malealon, wróci dusza jego do ciała osła. Widać to, że Braminowie nie boją się tej wyroczni Wisnu, bo tyle ich można znaleźć w Malabar, ile i w inszych stronach Indyi. Według tradycyi: Parassurama zostaje dotychczas na brzegach tych, pokazuje się tam czasem pod postaciami strasznemi. Mieszkańcy brzegów Koromandelu wyobrażają go pod postacią przyjemniejszą: trzyma on w jednej ręce siekierę, znak władzy, i wachlarz z liścia palmowego, obraz osobności i pokoju w pustyniach.

Wisnu wcielił się dziewiąty raz, i pokazał się na

ziemi w postaci pasterza czarnego, pod imieniem Kwiszena. Urodził się z Dewegui, siostry Kaużena króla Madury. Ten król, któremu przepowiedziano, że będzie zabity od syna swojej siostry, wszystkich swoich siostrzeńców zabić rozkazał. Ale Kwiszena wyśliznął się zabójcom. Kaużen kazał szukać tego dziecięcia po całem królestwie; i kiedy go znaleźć nie można było, kazał wygubić wszystkich chłopców w królestwie. Kwiszena schronił się był między pasterzami. Ten Apollo indyjski grał tak pięknie na flecie, że zwabiał do siebie zwierzęta i miękczył kamienie. Uwolnił okolice od węża Kalengana, który, jak wąż Piton, nosił z sobą wszędzie śmierć i postrach. Napadł na niego w rzece Jomunadi, pląsał mu na głowie, i zgniótł go nogami.

Można uważać w tem miejscu, że wąż znaczy coś zawsze we wszystkich wiarach, które zapewne jeden mają początek. Hydra lernejska, wąż Piton, wąż wyrażający Eskulapiusza, wąż w pierwszych czasach dający odpowiedź wyroczni Delfów: dają poznać że narody wzięły wyobrażenie węża, czasem za znak bojaźni, czasem jak przedmiot uszanowania; obraz węża widzieć można na wielu zabytkach starożytności. Mieszkańcy części Europy mieli długo wężów w uszanowaniu; dziś jeszcze niektóre ludy Afryki uznają węża za bóstwo. Bogowie, wygnani z Olimpu, uciekli do Egiptu, i poprzemieniali się w rośliny, w zwierzęta i w wężów. Serapisa wyobrażano z ogonem i ciałem węża, W całej starożytności wąż był obrazem wieczności, albo roztropności i mądrości. Wyobrażenie tego zwierzęcia, które przez siebie same nie może w nas wrazić żadnego czucia uszanowania, jest więc wyobrażeniem bardzo dawnem, które się wiąże z pierwszemi obrządkami wiary, jaką ludzie mieli dla Boga stwórcy, a w której namiętności, przesądy i różne okoliczności poodmieniały przystosowanie, w miarę odsunienia się ludzi od wiary pierwiastkowej. Karon Jezuita mówi o Kwiszenie, i nazywa go Chrisnen. To, co mnie najwięcej zadziwiło (mówi ten missyonarz) że Indyanie mają jednego Boga, którego nazywają Chry-

snem, urodzonego o północy w stajni i adorowanego przez pasterzów.

Dziewiąte wcielenie Wisnu, jest ostatnie. Indyanie wierzą, że on pokaże się jeszcze na ziemi pod postacią człowieka i konia, trzymając w jednej ręce szablę, a w drugiej tarczę:—pod tą straszną postacią wyniszczać będzie złych. Gwiazdy spadną z firmamentu, słońce i księżyc zaćmią się, ziemia z gruntu wstrzęsiona będzie, i wąż Adiseszen żygnie płomieniem, który popali gwiazdy, i wszystkie stworzenia będą w przepaść pogrążożone. Sonnerat, z którego mamy te powieści mitologiczne, uważa to, że wszystkie narody ziemi żyły w oczekiwaniu bóstwa. Rzymianie oczekiwali króla świata, przepowiedzianego przez Sybillę. Oraculum w Delfach, było składem dawnych i tajemnych proroctw o urodzeniu się syna Apollina, który ma przywrócić ziemi królestwo sprawiedliwości. Persowie na końcu wieków czekają Alego; Chińczykowie Phelo, Japończykowie Peirum i Kambadoksi, Siamczykowie Samonokodon. Wszystkie te podania, czyliż mają zasadę jaką na boskiem objawieniu? albo też czy są tylko skutkiem tej wrodzonej niespokojności, która bezprzestannie ciągnie człowieka w przyszłość, i w niej każe mu szukać pobudek swojej nadziei albo bojaźni?

Wisnu jest adorowany od Indyan pod różnemi postaciami, które brał, pokazując się na ziemi. W wielu kościołach wyobrażają go ze czterema rękami, trzymającego w jednej ręce Sangu, rodzaj pewnej muszli; w drugiej Szakran, broń zrobioną w cyrkuł, z którego wychodzi ogień ustawiczny; w trzeciej Dandedon, czyli pałkę; czwartą okazuje to, co Indyanie nazywają Abcaston, to jest znak ręką zrobiony, protekcyi, jakoby chciał mówić: „Nie bój się niczego.“ Wisnu przez ten znak oświadcza stworzeniom wszystkim, że jest bogiem zachowującym.

Szywen jest bogiem psującym. Ma on nieskończoną liczbę nazwisk, i adorowanym jest, jak wszechmocny. Widać to z dziewiątego rozdziału Upnekat, z tej jednej z świętych ksiąg Indyan, jakie oni uszanowanie mają dla tego bóstwa. Ferztahowie stanąwszy przed Ru-

dnerem, czyli Szywenem, Bogiem który niszczy wszystko to, co jest, i oddawszy mu pokłon, zapytali go? „Kto ty jesteś?„ Rudner im odpowiedział:“ Gdyby był drugi ja sam, powiedziałbym, kto ja jestem. Ja zawsze byłem, jestem i zawsze będę. Nie masz takiego drugiego, o którymbym mógł powiedzieć, że ja jestem nim, i że ten drugi jest ja sam. Jestem wewnątrz wszystkiego, co jest wewnątrz; jestem zewnątrz wszystkiego, co jest powierzchownością. Wszystko co jest, ja jestem, i wszystko co nie jest, ja jestem. Jestem Brama, jestem przyczyna pierwiastkowa przyczyn. To co jest na wschodzie, ja jestem; to co na zachodzie, ja jestem; to co jest na północ i południe ja jestem, to. Wszystko, co jest na dole, ja jestem; co na górze, ja jestem; wszystko co jest w zakątach między sześcią położeniami świata, ja jestem. Ja jestem człowiek, i nie człowiek, i kobieta, i miara kaitu (jestto figura, przez którą wyznają Indyanie jedność Boga), jestem jeszcze i rzecz insza. Jestem każdym ze trzech ogniów, to jest ogniem, który się czasem pokazuje, ogniem słonecznym, i ogniem naturalnym ja jestem. Jestem prawdą, jestem wołem, (?) jestem każdą istotą ożywioną. Jestem starszy, niż wszystko; jestem królem królów, i jestem we wszystkich najwyższych własnościach; jestem ogień, woda, istota doskonała; jestem istota pilnująca; jestem zakryty, jestem schowany, jestem pustynią, jestem miejscem nieuprawnem, jestem wszystkiemi kościołami, jestem przed, jestem po, jestem wewnątrz i zewnątrz; jestem światłem. I dla tego to wszystkiego, jestem jeden; kto mnie zna tylko, zna wszystkie księgi.“

To systema Wedam, jest toż samo, co Spinozy. Pytano się raz Bramina, gdzie jest Bóg jego? On zerwał kwiatek, i pokazał go. Pytano go o toż samo drugi raz, on wziął garść liścia i pokazał; pokazał do tego ręką niebo, ziemię i całą naturę.

Szywen jest adorowany pod różnemi postaciami, ale szczególnie pod postacią Lingam. Ta figura jest zawsze stawiana w przybytkach kościołów jego. Rzecz jest do uważania, że naśladowcy Szywena, którzy go mają za boga niszczącego wszystko, reprezentują bóstwo

jego pod postacią części, która służy do rozmnożenia rodu ludzkiego. Zdaje się że Szywen Indyan nie był powściągliwszym od Jowisza greckiego. Szywen słysząc, że chwalono piękność niektórych kobiet, wziął postać młodego żebraka doskonałej piękności; powiedział zaś bogu Wisnu, ażeby się także przeobraził w piękną dziewczynę. Wisnu pod tą postacią poszedł między mężczyzny; a młody żebrak, poszedł między kobiety. Mężczyzni, którzy byli odwiedzani przez Wisnu, wszyscy zwiedzeni byli przez tę piękność: „Ty masz figurę tak piękną, mówiły kobiety do Szywena, czego żebrać chleba ode drzwi do drzwi? zastanów się przy nas, a będziesz tysiąc razy szczęśliwszym.“ Kobiety daleko piękniejsze od Latszymi, zrzuciły tyle kwiatów i wonności przy nogach jego, że całe ulice były napełnione. Szywen wyszedł z miasta, wszystkie kobiety wyszły za nim do gaju bliskiego, od których miał wszystko, czego żądał. Mężczyzni, poczuwszy zawiść, wysłali monstrów przeciwko Szywenowi, który je pozabijał. Użyli ostatniego sposobu, posłali swoje modlitwy, i swoje upokorzenie do boga, a tych skutku sam bóg zatrzymać nie mógł; wzniosły się w górę, jak smuga ognista, uderzyły w część ciała Szywena, i oderwały ją od reszty ciała. Szywen rozgniewany chciał spalić ziemię całą, i póty się nie zaspokoił, póki mu nie obiecano, że będzie adorowany pod postacią Lingam. Widać przez tę powieść, mniej budującą, że Indyanie dawali postać modlitwom, jako i Grecy; ale nie użyli tego, ażeby nam wystawić obrazy tak okazałe i podniesione, jak te, które znajdujemy o prośbach ludzkich w Homerze, ojcu mitologii greckiej.

Szywen miał czterech synów, pierwszy i potężniejszych nad innych Pollear, który jest na czele małżeństw; wystawiają go z zębem słoniowym, siedzącego na szczurze. Drugi syn Szywena jest Supremanier: on wyszedł z czoła ojca swojego, ażeby zwalczył olbrzyma, który świat pustoszył. Wainewert, trzeci syn Szywena, urodził się z jego oddechu. On upokorzył pychę Bramy i Dewerkelów. Wirewert według Indyan przyjdzie świat zniszczyć na końcu wieków. Szywen wyprowadził z potu swojego ciała czwartego syna. Ten

syn, któremu dają imie Wirapatryn, urodził się z tysiącem głów, i dwoma tysiącami rąk. Indyanie, w kościołach Wisnu, prośby swoje także zanoszą do Boga cnoty, którego nazywają Darmadewe, i którego wyobrażają pod postacią wołu. Olimp Indyan zaludniony jest mnóstwem niższych inszych bogów, których dzielą na pokolenia; — ci bogowie tak, jak w Grecyi, przełożeni są nad górami, rzekami, porami roku, i nad gospodarstwem domowem. Prócz tych bóstw, duch zabobonny Indyan napełnił naturę wielką liczbą geniuszów, których powinnością trapić, albo ratować ludzi. Lud indyjski (mówią listy budujące), przypuszcza aż do trzydziestu milionów bogów. Ta liczba jest przesadzona. Missyonarze wzięli za bogów każde różne imie, które dają tam jednemu któremu bogu. Pan Dow powiada, że Brama sam więcej ma imion nad tysiąc dwieście.

Jest to do zadziwienia, że Indyanie, lud spokojny i słodki, dali w swojej mitologii pierwsze miejsce bogu Szywen, który niszczy wszystko. Taka wiara zdaje się usprawiedliwiać systema filozofów, a najbardziej Bulanżera, który powiada, że strach porobił wiary. Ale Indyanie mniej strachu doznawaćby powinni, niżeli insze narody. Indyanin rzadko widzi spór elementów i te straszliwe rewolucye natury, które zdają się donosić o gniewie bogów. Indyanin mieszka w klimacie żyznym; może każdego dnia widzieć promienie słońca, i nie będzie to zapewne pod niebem, prawie zawsze pogodnem, w Indyach, żeby się miała utworzyć wiara ze strachu. Jest rzecz podobna, że jeżeli strach dał wiarę Indyanom, ta religia byłaby oznaczona przez ofiary, któreby miały na sobie piętno dzikiego ich początku; byleby odnowili wrażenia strachu, przez obrządki jakie barbarzyńskie.

Uważano to, że u nas, ludzi słabych, okrucieństwo prawie jest zawsze towarzyszem bojaźni. Ale obrządki Indyan tak są słodkie, jak ich charakter. Ołtarze bogów ich są pełne ofiar, ale nie widać tam krwi i dymów całopalenia. Obrazy, które wystawia oczom religia Bramów, zawsze są smutne. Trzeba uważać, że religia ta urodziła się na osobności, że jest córką namiętności

rozpamiętywania, które wiedzie człowieka do melancholii. Możnaby także powiedzieć, że religie rodzą się w sercu ludzkiem z potrzeby kochania i adorowania. Nie jestto niepodobne, żeby natura przywiązała do tego uczucia głębokiego, które nas wiedzie do adorowania nieba, takież same wrażenia, jakie przywiązała do miłości z wszystkich uczuciów żywych, które się okazują przez melancholią. Wszelako mitologia Indyan nie jest zupełnie oddalona od obrazów weselszych. Mają oni swojego Manmadin, syna Wisnu, boga zachowującego, który jest bogiem miłości i umizgów. Wyobrażają go pod postacią dziecka, niosącego sahajdak na plecach... a trzymającego w ręku łuk i strzały. Łuk jest ze trzciny cukrowej, a strzały złożone są z kwiatów rożnych.

Gdyby Indyanie robili wierszyki miłośne, jak nasi poetowie, dla ukształcenia ich Manmadin, który nieco innego jest... tylko Kupidyn grecki przebrany, nie mniejby znaleźli wyrazów miłośnych i galanteryi. Trzeba wyznać, że wielka część bajek religii indyjskiej jest dziwacznej imaginacyi płodem, ale na tem im tylko zbywało, że nie mieli wielkich poetów, którzyby tymże bajkom zaletę zrobili i u inszych narodów. Bogowie Indyan nie mieli Homera; nie nauczyliśmy się od dzieciństwa wymawiać imion ich; mało umiemy wytłumaczyć allegorye, których pełniąc obrządki wiary, znają dobrze znaczenie Braminowie. My uważamy tę religją jako dzieło grubej niewiadomości — ona ma jednakże coś takiego, coby nas zastanowić więcej powinno, niżeli w religii Greków, albo Rzymian, która już tylko w zabytkach historyi pozostała. Religia Indyan przeżyła wszystkie rewolucye ziemi; i kiedy Jowisz, Junona, Saturn, Neptun, są tylko dla narodu ludzkiego poetycznemi wynalazkami, Brama, Wisnu, Szywen, Manmadin mają jeszcze ołtarze u tak wielu narodów Azyi.

W początkach Indyanie jedno tylko Bóstwo wyznawali, które miało w sobie trzy własności, tworzenia, zachowania i niszczenia; ale z czasem, w miarę jak religia zaczęła się mięszać z podłemi ludu wyobrażeniami, zrobiła się potrzeba, ażeby wystawiona była pod jakiemiś obrazami... a tak podpadała bardziej pod zmy-

sły, niżeli pod rozum. Każdej własności boskiej dano oddzielną postać, i była bogiem. Powszechność Indyan, mówi Sonnerat, w same tylko trzy pierwsze bóstwa wierzy, ale niektórzy mędrcowie ich modły swe czynią do trzech bogów w jednym złączonych. Można widzieć wyobrażenie tego w wielu Pagodach ich, na jednem ciele trzy głowy ludzkie, które bożyszcze na brzegach Oryxy ma nazwisko Sari-Hara-Brama, na brzegu Koromandelu Trymusty; a w języku Sanskrit, Tetratrejam. Wiele kościołów tej trójcy jest poświęconych; które wyobrażenie rozeszło się po Egipcie i pomiędzy Chaldejczykami, było przyniesione do Włoch przez Pitagorę, i nauczane przez Platona między Grekami. Braminowie oświeceńsi mniej są zabobonnymi, niżeli się zdaje. Wierzą w jednego Boga, który rządzi światem. Ich Bóg, jest nieodmienne Fatum starożytności, które panowało nad całą naturą i nad bogami samemi. Istność najwyższa (mówią Braminowie w ich składzie wiary), ten Bóg; którego my nazywamy Szywen, a którego inni nazywają Wisnu, jest Bóg jeden, którego my uznajemy za wszechmocnego. On jest początkiem pięciu elementów, czynności i poruszenia, które formują życie i czas. Pomięszany z duszami naszemi daje nam bycie; a tym sposobem istota duszy, i wiadomości które ma, nieco inszego jest, tylko Bóg sam. On stworzył wszystko, zachowuje wszystko z dobrocią, a na koniec ma zniszczyć wszystko.. On jest Bogiem bogów, on jest sam panem. Wszystkie niższe bóstwa są tylko stworzeniami. On już kilka razy świat zniszczył, i znowu go stworzył. On jest istota nieograniczona, i podobny do świata, on się rozszerza wszędzie. On jest wszystkiem, i będzie w każdym czasie; on jest początkiem wszystkich rzeczy, a sam nie miał początku.

„Bóg, który jest nieskończenie mniejszy od proszku najdrobniejszego, jest większym nieskończenie od świata całego. Ten Bóg i pan udzielny, ten Bóg wolny, był zawsze sam, bez własności, bez czynu, bez przymiotu; nie był przywiązanym do miejsca, ani do czasu, dla tego też nieprzemiennym jest. Ta istota je

dyna i prosta nie ma żadnych związków z materyą; tak jak promienie miesiąca; odbite na wodzie, zdają się być w poruszeniu z wodą, która się rusza; chociaż nie masz nic prawdziwego względem miesiąca. Oto obraz tej istoty ze wszystkiem tem, co jest materyą, przymiotem, namiętnością, albo czynem— Bóg się ukazuje w wielu ciałach, równie jak w wielu duszach, jak słońce, ktore jest jedno, piętnuje twarz swoję w wielu naczyniach wodą napełnionych. Na jego to rozkazy wiatr powiewa, słońce oświeca, ogień ogrzewa, i deszcze spadają. Nakoniec, on jest doskonałością, prawidłem i chwałą swoich wielbicielów."

„Co do bogów (dodają oni), których my pomnożyli, i których my szanujemy pod tylą wyobrażeniami— taką to im tylko daliśmy postać dla ludu prostego, którego gruba religia, potrzeba było, ażeby miała coś materyalnego i dotykalnego. Ci którzy mogą pojąć, co to jest Bóg, nie mają potrzeby wystawiania bałwanów."

„My wierzymy także, iż rośliny i zwierzęta mają prawdziwie duszę, jak i my, i że z tej przyczyny wszystkie zwierzęta żyjące powinny być szanowane, a ci, którzy je zabijają, popełniają zbrodnią wielką. My wyznajemy, że wiele rzek i miejsc jest świętych, bo Bóg nam przyobiecał, że łaski swoje świadczyć będzie tym, którzyby przy nich mieszkali. Różnice naszych familii, są ugruntowane na ich własnych początkach. My uważamy Bramów, jak pierwszych, bo wyszli z twarzy Brama; Szartriery drudzy, bo wyszli z ramion jego; Wassierowie trzeci, bo wyszli z brzucha jego; Szutowie są w rzędzie ostatni, bo wyszli z nóg jego. Może to być, że te początki są tylko znakami allegorycznemi prawdy, ale je mamy za istotne. Oto nasza wiara i religia. Ona nie jest doskonałą, bo my nie wiemy sposobu, jakby to lepiej przypodobać się Bogu; ale obfitość i wielkość miłosierdzia jego zastąpiła, czego nam nie dostaje do czci mu winnej. W tem tedy wszyscy się zgadzamy. Mimo różnicy sekt naszych, utrzymujemy wszyscy i jednostajnie twierdzimy, że ci, którzy robią dobrze w tem życiu, są nagrodzeni według ich spraw dobrych; ci zaś, którzy źle czynią, są według ich złych spraw ukarani.

Dobroć Boska nie zatrzymuje jego sprawiedliwości, a jego sprawiedliwość nie przeszkadza jego dobroci. Ale tajemnica jego obchodzenia się jest niepojęta. My go adorujemy, że jest niepojęty.“

Mało jest religii na ziemi, którychby nauki były tak czyste, spokojne, i bardziej zgodne z wyobrażeniami rozumu. I w tymto punkcie wiara Bramów lepszą daleko będzie nad dawnych Rzymian i Greków. Wiara Indyan jest wypisana w wielu ich księgach świętych; oni szanują te zabytki wyznaniaich, tak jakbóstwo jakie. Podzielone są te pisma na cztery księgi, ktore nazywają się, Iruku, Issuru, Saman i Adrenam; większa część tych ksiąg nie o samej tylko pisze religii, ale i o wszystkich naukach— jak gdyby dowodzić chciały, że wszystko, co tylko dąży do zrobienia człowieka lepszym, wypływa z Bóstwa samego. Wszystkie te księgi o religii i o umiejętnościach są napisane w języku Sanskryt, który tylko sami Braminowie rozumieją; umiejętności nie przechodzą u nich do pospólstwa, któreby na złe ich używało. Zkądinąd, lud więcej ma ponęty do tego, co się ukrywa przed jego oczyma, i co jest jakąś tajemnicą. Religia naturalna, tyle wychwalaną przez filozofów, mało zawsze miała naśladowców, dla samej tej przyczyny, że nie miała tajemnic żadnych, i że okazywała się naga rozumowi ludzkiemu, który często przestaje cenić rzecz jaką w miarę poznania jej lepszego.

Bramowie, tłumacze ksiąg świętych, uczą Indyan szanować i ratować nieszczęśliwych, znosić cierpliwie przykrości, kochać ludzi, być wiernymi prawom małżeńskim, zachowywać milczenie, dawać jałmużnę, pościć, modlić się, czynić ablucye, czyli obmywania się: nauczają kobietę, aby miała baczność nad gospodarstwem, ażeby starała się być kochaną i szacowaną od swoich krewnych, ażeby przystrojoną była dla przypodobania się swemu tylko mężowi. Nauczają lud, z jakiegokolwiek pokolenia są, czynić dobrze inszym, co tylko mogą, pełnić cnoty domowe i powinności stanu ich.

Cnoty najbardziej u nich przykazywane, są: miłość bliźniego i wdzięczność za łaskę odebraną; pobożność,

która każe szanować życie wszystkich istot, jest bardzo przyjemna Bogu. Prawdziwa jemu ofiara, jest ofiara duszy. Budować kościoły dla Bóstwa, domy gościnne dla podróżnych, kopać sadzawki, drzewa zasadzać, są u Indów sprawami cnotliwemi.

Cnotliwi będą przeniesieni w przybytki niebieskie, gdzie roskoszować będą roskoszą Boga. Źli ludzie będą pogrążeni w piekło, które jest pod ziemią ku południowi świata. Tam będą przyprowadzeni przed Boga śmierci Yamen, który je potępi podług grzechów, jakie popełnili. Piekło Indyan bardzo podobne jest do Tartaru, czyli piekła Greków. Księgi Wedam nie przypuszczają nauki wieczności kar po śmierci. Grzesznicy, ucierpiawszy długo, powracają na ziemię, i jeżeli się przyłożą do pełnienia cnoty, mogą przychodzić po nagrodę sprawiedliwych. Nauka Metempsihosis, czyli przechodzenia dusz w ciała różne, powszechnie jest przyjęta od Indyan. Dusza grzeszników jest potępiona do ożywienia stworzeń najpodlejszych; i kiedy taki zwierz zdechnie, dusza grzesznika idzie ożywiać drugiego, i bawi bardzo długo w tym stanie przenoszenia się, bo zwierzęta nie mające rozumu i zasługi przed Bogiem mieć nie mogą.

Podanie o stworzeniu świata jest częścią wiary wszystkich narodów. Widok świata świadczy ustawicznie o bytności Bóstwa. Jest to naturalna, że nauki wiar różnych przychodzą do epoki, w której to wspaniałe mieszkanie człowieka było wyprowadzone z niczego. Religia Indyan posuwa tę epokę do wieków bardzo oddalonych— i według Bramów naród ich już był ucywilizowany, długo pierwej, niżeli świat według nauki religii chrześciańskiej był wyprowadzony z chaosu Wiele jest tłumaczeń ksiąg świętych o złożeniu się świata. Bramowie, równie jak filozofowie, w tej mierze nie zgadzają się, którzy we wszystkich wiekach chcieli tłumaczyć to okazanie wszechmocności Boga, i wyprowadzić świat z mózgu ich (?). U dawnych, jedni wszystko przypisywali ogniowi, drudzy wodzie, insi atomom; u teraźniejszych sądzono także, że woda była początkiem rzeczy wszystkich; że ziemia początkowo była oceanem,

a ludzie rybami. Uciekli się potem do komet, które się po rozłupywały o słońce, i których kawałki porobiły się planetami. Z mojej strony, dziękuję filozofom za wszystkie trudy, które ponieśli stwarzając świat ten, ale ich rozum nie zawsze ratował ich śmiałość. Im się lepiej udało wrzucić wszystkie rzeczy w chaos, niżeli je z niego wyprowadzić; i miło mi wierzyć, że Bóstwo nie wołało ich nigdy do swojej rady, kiedy chciało układać porządek świata. Wreszcie nie mówię ja tu o systematach filozoficznych, tylko ażebym przestrzegł filozofów, że nie mają prawa urągania Braminom.

Między wszystkiemi podaniami indyjskiemi o stworzeniu świata, jedno jest powszechniej nad insze uznane, a zapisane w księdze Shesta. Jestto rozmowa między Bramą, czyli mądrością, i Narudem, czyli rozumem ludzkim: „O mój ojcze (mówi Narud) ty jesteś najpierwszy z bogów, i ty co świat stworzyłeś! Córka twoja zdziwiona nad tem wszystkiem, co widzi, chciałaby wiedzieć, jakim sposobem te wszystkie rzeczy są zrobione? Nie myśl tego (odpowiedział Brama), ażeby trzeba wierzyć, że ja jestem bogiem stworzycielem świata, i niezawisłym od boga dającego ruch powszechny, który jest istotą pierwszą, i który stworzył wszystkie rzeczy. Uważaj mnie tylko jak instrument, i jako część Ishur, (czyli woli najwyższej), której wezwał najwyższy sprawca, ażeby wypełnił układy swoje. Jakże tedy ten wielki sprawca wyprowadził świat z niczego? Mając (jestto początek każdego upodobaniu) był z Bogiem przed wieki, on urodził Jotna (moc), Jotna w złączeniu się przychylnem z Kaal, (czas) i z Adarysto (przeznaczenie), przyjęły do siebie Pikirti (dobroć), i tak wyprowadzili Moho (materya), trzy istotne własności Boga wyprowadziły świat następującym sposobem. Z czynności sobie przeciwnych, z własności niszczącej, i z własności tworzącej wyszedł Ahankar (początek ruchu i życia). Ten początek miał trzy dążenia różne, jedno ku harmonii i zgodzie, drugie ku nieładowi, trzecie ku spoczynkowi. Te własności rozróżnione wyprowadziły Akasch (element powietrza),

który ze swojej strony wyprowadził powietrze, ogień, wodę i ziemię.

„Materya powietrzna wzniosła się wysoko lekkością swoją. Powietrze zrobiło atmosferę naszę, ogień zabłysnął na firmamencie, a woda spadła na ziemię. Takim sposobem świat był wyprowadzony z chaos, w którym trzymany był przez Boga. Potem porządek był ustanowiony na świecie. Siedm niebios były uformowane, i każdy z siedmiu światów miał miejsce naznaczone w przestrzeniach swoich. Wszystko tak zostanie, aż do epoki wielkiego zniszczenia, kiedy wszystkie rzeczy w Bogu się pogrążą. Kiedy Bóg obaczył ziemię uformowaną, i ruch rozrzucony pomiędzy stworzeniami, stworzył natenczas Mun (rozum, pojęcie), który był obdarzony własnościami i narzędziami, ażeby tak porobił różność zwierząt na ziemi. Te zwierzęta dostały pięć zmysłów, ażeby te miały straż nad ich zachowaniem. Ale człowiek odebrał nad pięć zmysłów jeszcze i Manus (reflexya), ażeby się podnosić mógł nad insze stworzenia. Mężczyźni i kobiety, samce i samice między stworzeniami porobione, ażeby się rozmnażać mogli. Każda roślina wzięła nasienie swojego rodzaju, ażeby ziemia była okryta zielonością i ażeby zwierzęta żywić się mogły.“

Jużeśmy wspomnieli na początku tego dzieła tradycyą Bramów o stworzeniu świata, a dopiero wypisaliśmy podania ich, nie tak dla tego, ażebyśmy dali wyobrażenie teologii Indyjskiej; jako bardziej, ażebyśmy wsparli zdanie tych, którzy utrzymują, że Bramowie przez same tylko podobieństwa tłumaczą się, i że większa część bogów indyjskich, są tylko własnościami najwyższej i wszechmocnej istności. I zapewne z tego to tłomaczenia się ich pod figurami poszło, że Ganges, Kwiszena, Kowery, i t. d. zrobiły się rzekami świętemi u Indyan. Pierwsi mieszkańcy Indyi, posadzeni w klimacie gorącym, powinni byli uważać rzeki, które ochładzają powietrze, i ziemię robią urodzajną, jako dobrodziejstwo zdarzone od Boga; i szanowali rzeki, jako świadectwa dobroci nieba. Woda ma własnośc dawania czystości ciału: pomału zaczęto szanować ten

element, jako przymiot czystości duszy; wzięto wizerunek prawdy za prawdę samę.

Człowiek ma potrzebę ustąwiczną podsuwać pod zmysły rzeczy do rozumu tylko należące, ażeby tak miał je lepiej na doręczu. Rozum ludzki więcej zastanawiał się nad figurami, niżeli nad rzeczą samą, i zaniedbawszy pomału początków moralności, aby się tylko przywiązał do ich wyobrażeń, skończył na tem, że rzeczy wszystkie w samym tylko ich wstępie widział. Tak skłonność ludzka: sądzić o rzeczach przez podobieństwa, przyczyniła się więcej, jak myśleć można, do utworzenia i rozszerzenia błędów bałwochwalstwa na ziemi. Indyanie powiadają, że Ganges początek swój bierze przy nogach Bramy. Ich mitologia daje wiele początków tej rzece świętej. Bogini Parwadi, żona Szywena (mówi księga Kandon, jedna ze świętych ksiąg Indyjskich) położyła raz swoje ręce na oczy Szywena; w tym momencie natura cała była w ciemnościach pogrążona. Ciała, rozrzucające światłość, zgubiły cały blask swój, bo go nie miały, tylko od oczu Szywena. Parwadi, jak tylko te ciemności postrzegła, odjęła zaraz ręce; ale że te mokre były od potu Szywena, kiedy pot ten otrząść z nich chciała, z każdego palca wyszła rzeka większa, niżeli morze. „Panie! zawołali na tenczas Brama, Wisnu i Dewerkelowie, my nie wiemy, jakie się rzeki rozpościerają po ziemi, ale one nie pochodzą z morza! jeżelibyś nie raczył uchronić nas od nich, świat pewnie będzie zatopiony.“ Szywen przykazał, ażeby rzeki stawiły się przed nim, zmniejszone w małą cząstkę wody, a tak wziął je i na swojej głowie położył. Wtenczas Bogowie i Dewerkelowie prosili Szywena o cząstkę tychże wód, które wyszedłszy z niego początkowo, i jeszcze położone potem na głowie jego, tem samem stały się świętemi. Szywen każdemu z nich nalał w rękę wody tej, i rzekł im: „Niech każdy z was poniesie tę wodę w kraj swój, one tam zrobią się wielkiemi rzekami.“ Ganges począł się z tej wody, którą wziął Brama.

Wiele dają jeszcze bajecznych początków Gangesowi. Jego źródło początkowe było długo niezna-

ne, jak źródło Nilu, i dla tej podobno przyczyny, tłumaczenia o nim cudowne dotychczas nie zginęły. Cesarz Akbar posłał wielu ludzi światłych, ażeby szukali źródła Gangesu; ale nieznaleźli nic takiego, coby mogło przekonać Indyan, że rzeka ta nie wypływa z pod nóg Bramy. Wiemy nakoniec dzisiaj, że Ganges ma swoje źródło w górach Tibetu. Przebiega miejsce ośmiuset mil w kraju górzystym i nieprzystępnym, i płynąc długo pomiędzy dzikiemi kamieniami, staje się dopiero Bogiem, wyszedłszy na równiny Indostanu. Ostatnie góry, z których zdaje się wydobywać, pokazują oczom Indyan niby głowę krowy, i jestto obrazem świętym dla ludów Indostanu, które tak prawie szanują krowy, jako i Ganges. Największe szczęśc, które kiedy zyskał Indyanin, jest umrzeć w wodzie Gangesu, kiedy w niego wjechał na krowie trzymając ją za ogon.

Wody Gangesu mają dar zmywania brudów duszy. Indyanie powinni się w nich kąpać w niektórych czasach. Biorąc tę cudowną wodę do domów swoich, daleko od niej oddalonych, trzymają onę u siebię, kładą ją na ołtarzach bogów; kiedy mają jakie nieszczęście, uciekają się do wód Gangesu; kiedy mają zgryzotę sumienia czynią w Gangesie swoje obmywanie święte; kiedy są chorzy do Gangesu najpierwej się uciekają. Często się trafia widzieć umierających, przyniesionych nad brzegi rzeki; i jestto pociechą dla Indyanina, jeżeli skona mając ciało zanurzone w tej wodzie ożywiającej, i gębę pełną mułu z brzegu zebranego. Nieszczęśliwy człowiek, który żyje i umiera daleki od tej rzeki świętej! Ganges jest pokazywany w Pagodach pod postacią pięknej kobiety, trzymający w jednej ręce kwiatek, a w drugiej naczynie służące do ofiar.

Nie zapomniano bajki bogini Parwadi, która pogrążyła świat w ciemnościach, położywszy ręce swoje na oczy Szywena, i która sprawiła to potem, że wyszły rzeki z palców jej, zmoczonych potem boskim. Ta bajka zdaje się być allegoryą, której wynalazek po większej części zrobił strach, który Indyanie mieli z zaćmień. Kiedy widzą, że zakrywa się krąg słońca,

albo księżyca, boją się zawsze, ażeby bogini Parwadinie położył rąk swoich na oczy Szywena, i ażeby światu nie była odebrana światłość. I wtenczas to uciekają się do wody, która dana była bogom od Szywena na znak pokoju, i kryją niejako strach swój na łonie opièki rzek. Tawernier znajdował się w Daly, podczas sławnego zaćmienia w roku 1066 i wypisuje to, czego był świadkiem.

„Z podwórza swego domu położonego nad brzegiem Gemeny, widział obadwa brzegi tej rzeki na milę długości okryte bałwochwalcami, którzy weszli w wodę aż do pasa, patrząc na niebo, ażeby się zanurzyli w wodzie, i myli, jak się tylko zaćmienie zacznie. Małe chłopcy i dziewczęta były zupełnie gołe, mężczyzni byli także gołymi, mieli tylko przepaskę niżej brzucha. Mężatki i panny, które nie przeszły lat siedmiu, były przykryte prostem suknem. Osoby znaczące, jakie tam są Rajach, Serraf, bankierowie, kupcy klejnotów, i wszyscy bogaci ludzie, przechodzili przez wodę z familiami, porozpinali namioty swoje na drugim brzegu, i położyli w rzece kanaty swoje, które są takie, jak nasze parawany, ażeby tam czynili ceremonie, i myli się spokojnie, usunąwszy się tak od patrzenia na nich. Jak tylko słońce ćmić się zaczęło, wzniósł się krzyk wielki i zanurzywszy się potem w wodzie, gdzie dosyć długo bawili, podnieśli się potem i stali na nogach, a podniosłszy oczy i ręce ku słońcu, mówili pacierze swoje z wielkiem nabożeństwem; brali czasem wodę z rzeki rękoma, i rzucali ją ku słońcu, schylali głowę, ruszali i kręcili ramionami i rękami, a tak powtarzali swoje zanurzenia się, swoje ruszania się dziwaczne aż do końca zaćmienia. Wtenczas każdy się obrócił w swoję stronę, rzucając pieniądz jaki daleko w rzekę, i rozdając jałmużnę Bramom, którzy się zeszli w wielkiej liczbie. To zaćmienie, mówi tenże Tawernier, było obchodzone podobnie nad rzekami Indu, Gangesu, i inszemi rzekami indyjskiemi.

Indyanie mają wiele świąt swoich. Większa część tych świąt na tem się zasadza, ażeby nosić z tryumfem obrazy Boga, wewnątrz i w koło Pagód swoich.

Każdy (mówi Sonnerat) przynosi potem ofiary masła i ryżu, co Bramowie przyprawiać każą dla bogów, i co lud jeść może, kiedy mu dadzą. Święto Tyrunel jest najuroczystsze, jestto poświęcenie kościoła. Trwa to święto dziesięć dni, a w Pagodach sławniejszych zbiera się zgromadzenie ze wszystkich stron Indyi. Niosą bożyszcze w processyi przy odgłosie niezliczonych instrumentów; stawiają go czasem na rodzaju niby łabędzia, nazwanego Annon, czasem na lwie bajecznym, nazwanym Syngam, czasem na małpie, na tem siedzeniu zwyczajnem Wisnu, czasem na Budom, albo olbrzymie, na wole, czasem na wężu Adiszen, a czasem na słoniu białym. Dziesiątego dnia bóstwo kościoła, którego obchodzi się dedykacya, jest ciągnione przez liczbę niezrachowaną pokutników; którzy się zaprzęgają do wozu ogromnego, na którym wojny, życie i przemiany Boga są wyobrażone. Ten wóz przybierają girlandami kwiatów; wielu Bramów wachlarzami bóstwo ochładzają, które siedzi na podstawie, otoczone smokami, końmi zrobionemi z kartonu, i tłumem bajader i muzykantów, że brzmi powietrze całe, tysiącem instrumentów poruszone.

Miesiąc Kwiecień, który jest pierwszy roku księżycowego, jest początkiem roku indyjskiego. Indyanie obchodzą powrót miesiąca Szytter (Kwiecień), przez święto nazwane Waruszeparupu, co znaczy urodzenie roku. Obchodzą to święto w swoich domach, wzywają swoich bogów domowych, i robią wiele obrządków na pamiątkę umarłych. Lud indyjski ma wielkie uszanowania dla swoich przodków. Pierwszy dzień roku jest poświęcony na oddanie hołdu ich duszom szanownym: w tej to szczęśliwej porze, kiedy czas odnawia się, ten lud bogobojny przypomina sobie pamiątkę tych, których już nie masz; podobni do wędrownika, który przechodzi rzekę bystrą, i rzuca słodkie wejrzenie na tych, którzy już przeszli na drugą stronę. To święto, czas w którym się obchodzi, zamykają w sobie głęboką moralność; staje to w imaginacyi Indyan, jak święty jaki zbytek między śmiercią i życiem położony. To święto przestrzega ludzi o czasie szybko upływają-

cym. W momencie, kiedy czas zdaje się nowy bieg swój zaczynać, ten obrządek Indyan połącza przez wspomnienie umarłych wieki, których już nie masz, i wieki, które się rodzić zaczynają.

W drugim miesiącu obchodzą w Indyach święto na honor Wisnu. Święto Maharawajsagi, które przypada także w tym miesiącu, i które sami tylko Bramowie obchodzą, jest jeszcze naznaczone na pamiątkę umarłych. W wielkiej części ceremonii Indyjskich przodkowie są z uszanowaniem wspominani; i zdaje się przejeżdżającemu tamtędy cudzoziemcowi, że każde pokolenie Indyan, ledwie że zniknie, żaraz jest położone w liczbie bogów tamtejszych. Insze święta znaczniejsze są te: Mahar-Naomi w siódmym miesiącu; Pongol w dziesiątym miesiącu. Pierwsze z tych świąt, nazywa się święto broni. Puki trwa to święto, robią processye i ceremonie w kościołach. Dziewiątego dnia tego święta robią Aida-Putsze, to jest ceremonią broni. Każdy zbiera broń swoję całą, i kładzie ją bez pochew w izbie dobrze oczyszczonej ze swojemi księgami i ze swojemi instrumentami muzycznemi.

Braminowie takie każą robić w domach ceremonie: Biorą wodę w małe naczynie, święcą ją prezentując ją bogom, i kropią nią potem powozy, izby, meble, słonie, konie, woły i krowy. Ten ostatni dzień jest poświęcony na uczczenie bogiń: Parwadi, Latszymi i Sarasuwadi. Pierwsza, która jest Pallas Indyan, wyobraża się przez broń, druga żona Wisnu, jest boginią bogactw, wyobraża się przez słonie, konie, pojazdy i wszystkie znaki dostatku i kupiectwa. Księgi i instrumenta muzyczne, są znaki bogini Sarasuwadi, Minerwy indyjskiej, która jest na czele nauk i rękodzieł.

Święto Pongol obchodzi się z większą jeszcze okazałością, niżeli Aida-Putsze. Przypada w dziesiątym miesiącu, który jest nasz Styczeń. Indyanie obchodzą przez to święto powrót słońca na północ. Ceremonia na tem zawisła, ażeby warzyć mleko, dla czynienia wróżby z kipienia mleka. Na pierwsze zakipienie kobiety i dzieci wołają: „mleko kipi“. Miejsce, gdzie się ta ceremonia obchodzi, powinno być oczyszczone gno-

jem krowy. Warzą ryż, który naprzód bogom ofiarują, i każda osoba z familiją jeść go powinna. Drugiego dnia święto bierze nazwisko Maddou-Pongol, czyli Pongol krów. Malują rogi krów, prowadzą je potem z tryumfem po drogach i ulicach, ponawiają znowu dla nich ceremonią Pongoł. I w tem to święcie, z powracającym się rokiem słonecznym, Bramowie st..rają się dochodzić z wróżenia przeznaczeń ludu wieśniaczego. Przepowiadają o przyszłych porach roku, o obfitości żniwa, o biegu i wpływaniu gwiazd.

Można widzieć w tem święcie Pangol wyobrażenia dochowane życia dawnego pasterskiego. Poszanowanie czynione krowie w tej uroczystości, i w wielu inszych, malują nam tkliwy obraz starożytności pierwiastkowej. To bydle pożyteczne było w tamtych wiekach jedynym towarzyszem człowieka, którego mlekiem swoim karmiło, i było całem bogactwem jego.

Indyanie mają także święto na uczczenie cnoty, którą wyobrażają pod postacią wołu. Czynią to bez wątpienia dla uświęcenia pamiątki tych pierwszych wieków, gdzie ludzie, w pośrodku swych bydląt, zachowywali obyczaje i niewinność natury. Ceremonia Pongol odnawia się w wielu świętach indyjskich.

Większa część świąt indyjskich jest poświęcona bogom pierwszego rzędu. Robią ceremonie na honor bogów poniższych; ale cześć ich nie ma naśladowców między pierwszemi kastami. Te kasty czyli rangi tak są znaczącemi w Indyach, że pycha kast nie upokorzy się nawet przed bóstwem poniższem. Są bogowie dla ludu: bogini Mariatal od samych tylko Pariów odbiera kadzidło. Chociaż to bóstwo pospolicie wzywane bywa w ospie, której wspomnienie jest straszne u Indyan, lubo ma wiele kościołów w Indostanie, byłoby to wstydem dla jakiego Rajach albo Bramy stanąć przed ołtarzem Mariatal. W wielu miejscach Indyanie podzielili tę boginię na dwie części, ażeby cześć jej nie była powszechną. Pierwsze kasty adorują głowę jej, reszta zaś ciała jest oddana adoracyi Pariów, którzy, ażeby się zemścili za tę pogardę, kładą swoje bóstwo wyżej nad Szywena i Wisnu. Paria kasta ma ce-

remonie, które Bramowie mają za ohydne. Bramowie nawet robią satyry na niektórych bogów niższego rzędu. Dziwują się, dla czego budują monumenta z kamienia, bogów z kamienia; pytają się, czy mur kościoła nie wart więcej, niżeli bóg, który w nim mieszka? Te satyry kończą się zwyczajnie oświadczeniem hołdu istocie najwyższej, jednemu Bogu wszystkich narodów i światów niezliczonych, rozrzuconych w niezmiernej przestrzeni.

Ayenar, syn Szywena, jest bogiem drugiego rzędu, i chociaż kładą go na czele policyi, kościoły jego po wsiach tylko obaczyć można; równie w lasach, jak i przy drogach odludnych. Darmada-Rajach, i Drobede żona jego, dwa te tylko są bóstwa niższego rzędu, którym oddają kadzidła uroczyste i na honor których obchodzą święto ognia. To święto trwa ośmnaście dni; przez który czas, ci którzy się ofiarowali obchodzić go, powinni pościć, wstrzymać się od kobiet, spać na gołej ziemi, i chodzić po zarzewiu. Tradycya powiada, że Drobede poślubiła pięciu razem braci. Każdego roku porzucała jednego, przenosząc się do drugiego, ale zawsze z pilnością oczyszczała się przez ogień. Taki jest początek tego święta. Przykład Drobedy jest bez wątpienia ośmieleniem i upoważnieniem zwyczaju, który mają wiele kobiet brzegu malabarskiego, i w inszych stronach Indyi, brania razem po kilku mężów. Bałwochwalstwo było tym sposobem bardzo dogodne w czasach pierwiastkowych dla tych, którzy mieli wpływ jakiś w układy religii. Nakoniec, ażeby komuś darowany był występek, zrobiono z występku cnotę boską; zrobiono, że namiętności zstępowały z nieba, ażeby je usprawiedliwiać; i kiedy już nie mógł kto dokazać tego, ażeby go ludzie szacowali, nie wątpię o tem, że mu przyszło udać się między bogów, i siąść pomiędzy niemi.

Indyanie mają wielką liczbę ceremonii w religii. Te, przez które (mówi Sonnerat), oddają prosto hołd bogom, są znane pod powszechnem nazwiskiem Putsze. Takowe ceremonie na tem zależą, aby obmywać bóstwo

wodą i mlekiem; namazywać je masłem i wonnemi olejkami, i to (powiadają) bogu bardzo jest przyjemnem; kiedy bóstwo jest bogate, kładą na nie drogie kamienie; ale kiedy ubogie (bo są w Indyach i bogowie żebracy), ceremonia zawisła na ofiarowaniu mu samych modlitw, albo kwiatów, które mu są poświęcone. Bajadery tańcują przed bałwanami kościołów, Bramowie długiemi wachlarzami odpędzają owad, Popi bogów i bogiń odbierają ofiary. Nie wolno jest pokazać się w pagodach nieco sławniejszych z rękoma próżnemi. Nietylko w kościołach ceremonie Putsze są obchodzone; ale czynią je w niektórych czasach po domach nawet, gdzie przygotowują bogu miejsce godne jego, oczyszczając go gnojem i uryną krowy, kładą naczynie wody we środku izby, zapalają lampę. Bramowie mówią pacierze, i bóstwo zstępuje w naczynie, przy którem składają ofiary; Bramowie żegnają potem bóstwo przez inszą znowu ceremonią.

Ksiądz Karon, missyonarz, zaskoczony nocą, schronił się do jednej pagody, i powiada że widział tam, jak czyniono ofiarę. Brama gotował jedzenie w kącie kościoła, wylał potem wiele wiader wody na posągi bógów, wycierał je długo, i włożył ogień w garnek stłuczony, na który wrzucił kadzidło, i kadził przed każdym bałwanem wymawiając coś obrządkowego. Potem na siedmiu czy ośmiu liściach palmowych pozszywanych położył ryż i leguminy przygotowane. Robił wiele ukłonów przed bałwanami, jakoby zapraszając ich na ucztę; potem sam zaczął to wszystko jeść z wielkim apetytem.

Często Bramin, który ma służbę w Pagodzie, trzyma w jednej ręce dzwonek, którym dzwoni, a w drugiej lampę miedzianą, pełną masła, którem okrąża bałwan boga, a wtenczas Bajderowie śpiewają himny i tańcują; przytomni zaś w milczeniu z złożonemi rękoma czynią modlitwy swoje do bałwana. Bramin rozrywa potem girlandę, która zdobiła posąg, rozdaje kwiaty ludowi, a wzajemnie odbiera od nich ofiary pobożności. Ta ceremonia nazywa się ceremonią ognia. W kościołach Szywena leją mleko na Lin-

gam, to potem mleko z pilnością zachowują, i dają go kilka kropel umierającym, ażeby im otworzyć bramy nieba.

Przypomnijmy sobie, że Brama był skarany przez Szywena, ażeby tylko od jednych braminów odbierał modły; oni też oddają hołd temu bogu przez Sandinawe. Ta ceremonia zawisła na tem, ażeby czerpać wodę z jednego stawu garścią ręki, i rzucać potem tę wodę tam i sam, wzywając Boga stworzyciela. Taki obrządek robi się o wschodzie słońca, jak gdyby przez to oznaczyć chcieli moment stworzenia, gdzie natura wychodząc z chaos, zobaczyła razem to dzienne światło. Bramowie rzucają wodę ku słońcu, i wyrażają tym sposobem swoje uszanowanie temu obrazowi Bramy. Reszta ceremonii jest na obmyciu się w łaźni. W ceremonii Darpenon, postanowionej na uczczenie umarłych, bramin leje wodę na ręce przytomnych, i kiedy woda spadła, rzuca na ręcè oczyszczone liście z rośliny Herbe, i ziarna Gengelii, wymawiając imiona osób, za któremi wzywa się bogów. Modły bramów i ludu czynione są do Dewerkelów, protektorów umarłych. Naga-Putsze jest jeszcze osobliwsza ceremonia. Do kobiet tylko należy czynić tę ceremonią której nazwisko Indyjskie znaczy: „Służba gdzie rożni Aryszi i Margozior, kąpią się i oczyszczają w imię bogów. Lingam wiele tu znaczy w tej ceremonii. Kobiety niosą Lingam kamienny, położony między dwoma godzinami, myją go, palą przed nim kawałki drzewa poświęconego; rzucają przed nim kwiaty, i proszą go o bogactwa i długie życie dla swych mężów.

Bóstwa indyjskie mają wielką liczbę sług i ludzi, którzy się poświęcają na ich służbę. W krajach gorących, (mówi jeden z naszych pisarzów politycznych), człowiek jest mniej skłonny do działania, niżeli do spekulacyi. Nie trzeba się dziwić, że sposób życia, który samego tylko wyciąga rozpamiętywania, ma wielką liczbę garnących się do tego. Między popami indyjskiemi kładą najpierwej Aramów, którzy wyszli z głowy Bramy, i którzy są najpierwsi, tak w porządku towarzystwa, jako i w porządku zakonników. Niektórzy pisa-

rze rozumieli, że Bramowie czyli Braminowie, jestto toż samo, co i dawni Brakmani, z których kilku pokazało się Alexandrowi, gdy przyszedł do Indyi. Wędrownicy teraźniejsi zbijają to zdanie; widać wszelako wielkie podobieństwo między Braminami dzisiejszymi, i Bra- i Brakmanami za czasów syna Filipa. Można znaleźć teraz między Bramami też same obrządki i ceremonie, które oznaczały w starożytności indyjską religią. Braminowie nie jedzą tego wszystkiego, co żyło; to utrzymanie się jest skutkiem naturalnym metempsyhozys, czyli przechodzenia dusz w ciała insze — czego nauczali dawniej Brakmanowie.

Bramowie, którzy rozumieją język Sanskryt, są bardzo szanowani, i zaleceni przez wszystkie prawa cywilne i duchowne, ludzkości panującego i względom ludu. „Monarcha, (mówi jedna święta księga) wtenczas nawet, kiedy jest w potrzebie, niepowinien tego cierpieć, ażeby Bramin światły był głodnym. Królestwo, w którem Brama głód cierpi, będzie pewnie przez głód spustoszone.

Bramowie dzielą się na trzy klassy. Wardegiery, czyli Pandżankarery składają pierwszą. Odbywają ceremonie za umarłych, i ich jest obowiązkiem, przygotować i wiązać małżeństwa. Oni czynią wróżby, opowiadają stan przyszły pory każdej rocznicy, i robią kalendarze Indyanom. Sewebramnale, którzy formują drugie pokolenie Bramów, służą po kościołach Szywena, i robią sznurki kwiatowe dla zdobienia Lingam. Powiadają, że na ich prośby bogowie zstępują do kościołów. Oni są przełożonymi nad budowami kościołów. Trzecie pokolenie Bramów, które zowie się Striwaiszewenal poświęcone szczególnie bogu Wisnu. Ze dwóch ostatnich pokoleń wybierani bywają Guru, czyli naczelnicy kapłanów. Guru są bardzo szanowani w Indyi.

Prócz tych Bramów Indowie mają jeszcze i innych swoich zakonników. Pierwsi są Syniassy, czyli Synassy. Czynią śluby żyć w ubóstwie, w czystości, i w trzeźwości. Błąkają się po różnych stronach Indyi, prawie nadzy, głowę mając ogoloną i grzbiet przykryty kawałkiem siermięgi żółtej. Ten kolor w Chinach i Indyi

jest kolorem oznaczającym żałobę, albo powagę; on oznacza to, co kolor czarny w Europie. Syanissowie zakładają swoje uszczęśliwienie, żeby nic nie mieć, i do niczego się nie przywięzywać, jacy byli niektórzy Grecyi filozofowie. Zdawałoby im się, że uchybili co bóstwu swojemu, gdyby żyli z pracy rąk swoich, albo z własności swojej. Oni jedzą tyle, ażeby tylko żyli. Po Syanissach idą Pandaru, poświęceni szczególnie obrządkom-Szywena. Oni pomazują twarz, ręce, piersi swoje popiołem z gnoju krowiego, rozchodzą się po wsiach i miastach śpiewając pochwały boga swego. Można ich poznać po wiązce piór pawich, które noszą w ręce, i po Lingam, który mają zawieszony na szyi.

Wiele jest rodzajów Pandoru. Tadynowie, poświęceni Wisnu, śpiewają przeobrażenia tego bóstwa. Dla dopomożenia śpiewaniu biją jedną ręką w gatunek niby bębna; na końcu zaś każdego wiersza, biją w blachę miedzianą pręcikiem. Noszą na nogach pierścienie miedziane, które robią wiele łoskotu. Kiedy się ci zakonnicy pozłączają na wsiach, mają natenczas przełożonego swego, który się tylko różni od inszych przez czapkę czerwoną, której wierzchołek schyla się naprzód, a kończy się głową ptaszka. Puczary formują inszą klassę zakonników, ale Bramowie niemi pogardzają; mając ich za ustanowienie światowe. Ta sekta jest poświęcona bogom poniższym, a najbardziej bogini Mariatal, bóstwu pogardzonemu w pierwszych kastach. Można znaleźć jeszcze między Indyanami wielką liczbę zakonników, którzy się poświęcają na to, ażeby dawali przykład pokuty. Oni to szukają sposobów, aby co ucierpieli, jak insi starają się, ażeby czego nie cierpieć. Na to wysilają się ustawicznie, jakby to ciało swoje niszczyć można najbardziej utrudzającym sposobem; ujmują sobie tego, bez czego z największą przykrością obejść się przychodzi: jedni nie używają rąk swoich, drudzy nic nie mówią, insi robią ślub stać zawsze na słońcu. Są tacy, którzy patrzą stale na koniec nosa swojego, i oczy ich na żaden inszy nie zwracają się objekt. Oni to nazywają: „widzieć ogień święty.“ Większa część tych zakonników, znanymi są pod

powszechnem nazwiskiem Fakirowie—słowo arabskie, które znaczy ubogiego.

Te zakonniki oddalają się często od ustaw swoich; i ci którzy się chełpią, że mają świętobliwość Dewerkelów, są często gorszymi od inszych ludzi. Oni się zgromadzają czasem (mówi jeden pisarz angielski) do dziesięciu i dwudziestu tysięcy, i... pod pozorem czynienia peregrinacyi do niektórych Pagód, wkładają kontrybucye na całe prowincye. Ci święci mało z sobą rzeczy mają do przenoszenia, i zdają się niezmiernie silnymi, widząc ich w drogach świętobliwych. Kiedy to zdrowe wojsko świętych, zupełnie nagich, kieruje drogę swoję ku jakowemu kościołowi, ludzie we wszystkich stronach, przez które te orszaki przechodzić mają uciekają z domów, mimo uszanowania dla świętego charakteru Fakirów. Co do kobiet, te są nabożniejsze: mniej mają odrazy od wojska świętobliwego, i zostają się w domach swoich. Te, które są w pogardzie dla ich niepłodności, często polecają się modlitwom Fakirów, i co do tego punktu najbardziej widać skutki ich modłów.

Trzeba myśleć, że mężowie bardziej się obawiają tych zakoników, niżeli ich kochają; mimo tago mają oni nad ludem moc wielką, który jest tknięty ich ubóstwem, i ostrem życiem, na które się poświęcają; ale uszanowanie, które im czynią, nie wyrównywa temu, jakie oni o sobie mają rozumienie. Oni pogardzają tem wszystkiem, co nie jest sektą ich; i rozumieją, że spodliliby się, gdyby jedli z Indyaninem, który nie ma szczęścia być Pandaronem, Tadynem, albo Braminem. Nieszczęśliwość była zawsze rzeczą świętą na ziemi. Hipokryci na złe użyli tego powszechnego uczucia, jak i wielu inszych; zmyślili, że są nieszczęśliwymi, ażeby ściągnęli na siebie względy winne nieszczęśliwym; a tak Fakirowie swoję wziętość założyli na ubóstwie; i tymto sposobem nędza ma swoję pychę, a pokora swoję ambicyą. Nie należy mieścić wszystkich Fakirów w tem oskarżeniu; wielka ich liczba jest, którzy są w samej rzeczy dobrymi, i w krainach gdzie Europa nie zaniosła jeszcze swoich występków, i muzułmanizm swojego

zapału, Bramowie zachowują dotąd moralność i obyczaje swych pierwszych przodków.

Mówiłem o naukach, wierze, i o ceremoniach Indyan, zostało mi mówić o miejscach szczególniej poświęconych uszanowaniu bogów.

Pagody są bardzo liczne w kraju Indyan. Widzieć je można w miastach, w wioskach, w lasach, przy drogach. Kształt tych kościołów jest kwadrat doskonały, którego rogi są równo obrócone na wschód, zachód, północ i południe. Wchodzi się naprzód w wielką zagrodę, otoczoną murami. Na wejściu tej zagrody jest zawsze naczynie z wodą, a w koło muru galerya z dachem płaskim, pod tą galeryą lud się zgromadza. Braminowie sami mogą wnijść wewnątrz świątyni, która jest wymurowana w pośrodku tego dziedzińca. W galeryi postawione są posągi bóstw, wyobrażonych przez figury allegoryczne. Wewnątrz kościoła nigdy nie dochodzi światło słoneczne. Tyle tam światła być może, co wejdzie przez drzwi bardzo wązkie i przez małe okienko w dachu. Ta ciemność ściąga tam ptastwo nocne, i mieszkanie bóstwa jest razem schronieniem nietoperzów. Kiedy się wejdzie w to miejsce tajemne, zdaje się być w lochu podziemnym; i może pomyśleć Europejczyk, że Indyanie, lubiący tajemnice, chcieli nawet bogów swoich ukryć przed światłem. Te narody (mówi Grose) są przekonane, że miejsce ciemne sposobniejsze jest ogarnąć ludzi strachem świętości religii. Pod czas ceremonii lampa pali się w głębi świątyni, i oświeca niektóre bałwany utłuszczone masłem i olejem. W wielu Pagodach trzymają małpy: tego zwierza Indyanie szanują, bo go mają za pierwsze stworzenie żyjące po człowieku. Blisko Pagody jest zwyczajnie zbudowany Szudry, czyli dom gościnny. W tym domu, albo też pod galeryą Pagody mieszkają Bajaderowie którzy tańcują przed bałwanami pod czas ceremonii w religii. Bajaderówie wzywają szczególnie bogini Wahabi, która jest boginią miłości i umizgów.

ROZDZIAŁ III.

O Prawach.

Wiele mówią pisarze o rządzie despotycznym Indostanu. Tu jest miejsce dać wyobrażenie rządu tego dokładne, nie z systematów tylko filozoficznych, ale z historyi i wiadomości, którą mamy o ludach tych krajów.

Pan Dow dobrze uważa, że słabość sił, której przyczyna jest klima indyjskie dla tamtych mieszkańców, zrobiła im skłonność do nieczynności. Przez bojaźń, ażeby nie stracić spokojności swojej, przywiązali się do despotyzmu; i nie w takim to kraju, jak Indye, mowca zapalony ośmieliłby się przenosić rozruchy wolności nad spokojne posłuszeństwo Indyan. Indowie może w tej mierze są rozsądniejsi nad insze narody; więcej zapewne przejęci wyobrażeniem nieszczęść, przywiązanych do natury ludzkiej, rozumieją, że bardziej na tem zawisła szczęśliwość ich, kiedy mniej złego ucierpieli, niżeli na używaniu dobra istotnego, którego tak mało znaleźć mogą. Insze jeszcze przyczyny przyłączyć można do wspomnionej sił słabości, chcąc wytłumaczyć początek i rozszerzenie się despotyzmu w Indostanie. To samo słońce, które wyniszcza ciało Indyan, rozradza na ziemi tej wszystkie rodzaje owoców. Indyjczyk bez żadnego trudu znajduje tam swoje wyżywienie; cień przyjemny daje mu wszędzie chłodne uchrony, zimne wiatry północne nie są tam znane, i pory roku nie takie, jak u nas; u niego następowanie tylko nocy po dnia odmianę powietrza czyni. Despot nie może zabronić nikomu używania wielkich tych darów; lud ma tyle rozumu, aby spokojnie na tym przestał, i mało trafia mu się interesu z panem jego. Pod pięknem niebem Indyjskiem ludzie żyją w surowości dawnych filozofów, i wstrzemięźliwości pustelni-

ków; przyzwyczajeni nie pozwalać nic ciału swojemu, mniej na nich wrażenia czyni złe czasem z niemi obchodzenie się drugich, i ich oszczędność w życiu dąży zawsze do uspokojenia ich namiętności.

Płodność ziemi, która początkowo ochroniła Indyan od ostrości despotyzmu, wydała ich potem na zapalczywość żołnierskiej tyranii: mimo ich wstrzemięźliwości i klimatu mdłego, zawsze oni bywali przemyślnymi, i rękodzieła ich, wspomniawszy, że sami dla siebie ledwie czego potrzebowali, zgromadziły w ręku ich bogactwa, ktore ściągnęły oczy ludów wojennych. Łatwość zawojowania narodu spokojnego i słodkiego ściągnęła do nich napadaczów świata. Zwycięzcy, miasto tego, ażeby przeprowadzali łupy z Indyi do kraju swego, woleli zostać w kraju piękniejszym nad swój; i rządcy ludu podbitego stali się niby nawzajem łupem podbitych.

Azya zamykająca w sobie państwa najobszerniejsze, jak uważa jeszcze pan Dow, była częścią ziemi, na której zawsze widziano najposłuszniejszych niewolników. Góry Persyi nie mogły zatrzymać zapędu despotyzmu; i pokazał się on w klimacie nawet lodowatym—ten pod różnemi się okazuje postaciami. Arabowie w pustyni, sami tylko mają jakowąś zdolność, z przyczyny niepłodności ich gruntu. Nie doznając u siebie odmian rewolucyi, patrzą na państwa powstające, albo upadające około siebie. Nie dali się nigdy podbić, ani bronią, ani zbytkami. Zachowali stale swój język, swoje obyczaje i strój. Cały ich majątek zależy na ich trzodach, ich namiotach, i ich uzbrojeniu. Dają dobrowolnie dary naczelnikom pokoleń swoich, ale nie są ich poddanymi. Są oni wolnymi z natury, kiedy myślą, że są wolni przez wybór. W samej rzeczy, kiedy ludzie są przymuszeni błąkać się dla wyżywienia się, despotyzm nie wie, gdzie ma szukać swoich niewolników.

Tatarowie jednakże, którzy wiodą życie podobne do Arabów, nigdy tak wolnymi nie byli. Gwałtowna arystokracya panowała zawsze w ich obszernych krajach; prócz krótkiego czasu przeciągu, gdzie los pod-

niósł nad inszych jakiego naczelnika, który panował nad wszystkiemi. Tam człowiek jest zawsze uzbrojony przeciwko człowiekowi, naczelnik przeciwko naczelnikowi i pokolenie przeciwko pokoleniu. Wojna nie jest tam rzemiosłem niektórych tylko osób, ale zatrudnieniem powszechnem. Ludzie bardziej się tam przestraszają, obaczywszy równego im człowieka w pustyniach Tartaryi, niżeli żeby obaczyli najdzikszego zwierza. Wędrujący tam, idzie z bojaźnią, i kiedy nadybie ślad człowieczy wypiętnowany na piasku, zaraz mu przychodzi broni dobyć. Ubóstwo wypędziło ztamtąd zbytek, ale nie chciwość. Człowiek nie może tam być niepodległym, chyba że nie ma nic do stracenia. Kradzież i rozbój, jak było u pierwszych napadaczów, ma tam nazwisko zdobycia, i zabijanie bierze u nich świetne imiona odwagi i zwycięztwa.

Natura i klima zrobiły nowy rodzaj towarzystwa w górach, które oddzielają Persyą od Indyi. Każda dolina zamyka zgromadzenie poddane jakiemu panu, którego despotyzm jest umiarkowany przez wzgląd, że jest naczelnikiem pokolenia i razem panem. Tem z większą łatwością są mu posłusznemi, im bardziej zastanawiają się nad tą władzą, jako własnością domu panującego; i zwierzchność naczelników, chociaż czasem ostra, miana tam bardziej za karność wojskową, niżeli za urojone tylko despoty. Twardzi i dzicy, jak klima ich, opryskliwi i gwałtowni, jak zawieruchy, które wzruszają góry ich, lubią napady i rozboje, lubią śmierć i zabijanie. Przyjaciele wierni podczas wojny okrutnicy i wiarołomcy dla swoich nieprzyjaciół, wspierają sprawiedliwość na mocy, a zdradę porudą zręczności zakrywają. Tacy są Afganowie, czyli Patanowie, którzy zawojowali Indyą, i którzy ją przyciskają od wielu wieków.

Afganowie przynieśli w kraje od nich zdobyte, gwałtowność swego charakteru narodowego. Ich tyrania, która się niemniej trzyma chciwości, jako i pychy, była podsycona przez przybywania do nich ustawiczne ludu z gór Afganistanu. Kiedy zwycięzcy postradali ducha narodowego w zbytkach Indyjskich, jak zaczęli się wyradzać od przodków swoich, zawołali

sobie na pomoc naczelników odważniejszych z północy, którzy udzielili żywości swojej machinie państwa. Monarchie utrzymywały się przez następstwo jenerałów i ministrów zdatnych bardziej niżeli przez następstwo dziedziczne książąt. I był to zawsze duch despotyczny Afganów, niezaś sukcessorowie pierwszych zwycięzców, który utrzymał ten rząd dotychczas w Indyach.

Przybywanie ustawiczne cudzoziemców, wyszłych z północnej Azyi, zrobiło się potrzebnem dla utrzymania się despotów, którzy nie tę wiarę wyznawali, jak ich poddani, w obszernych krainach Indostanu. Wojska były złożone z żołnierzy różnych narodów, urzędy dworskie były zajęte przez szlachtę królestw sąsiedzkich: wszyscy zaś wyznawali religią mahometańską. Ta religia jest stworzona dla despotyzmu. Ona podobno jest z przyczyn najważniejszych, które dać można, że trwa dotychczas rząd ten na wschodzie. Ten, co tę wiarę układał, dał dosyć poznać zamysł swojej nauki, udając że wszystkie swoje pomyślności, szabli swej winien, a nie polityce, albo darowi perswazyi. Tyrania, którą ustanowił, nie zna granic żadnych, wywiera ona moc swoję na ciało i na duszę. Okrutny ten dowód szabli, wtenczas jeszcze u nich przekonywa, kiedy miłość, uszanowanie i omamienia polityki zniknęły. Mahomet zrobił rewolucyą w myślach ludzkich, równie jak i w krajach; i nauka jego bardzo jest dogodną skłonnym do ambicyi, żeby ją kiedy porzucać mieli. Despotyzm u Mahometanów, ma źródło swoje w każdej familii gdzie ojciec i mąż są sędziami najwyższemi, i przygotowywują tym sposobem serca do władzy nieokreślonej. Młody Muzułmanin, który widział despotę w osobie ojca, nie jest zastraszony widząc go na czele państwa.

Mały szacunek, który jest życia ludzkiego na wschodzie, sprawuje to, że człowiek mniej tam poznaje zacność swoję, i nie śmie podnieść się przeciwko tyranii. Nauka fatalizmu, czyli przeznaczenia nieodwołanego, która jest pierwszym charakterem religii muzułmańskiej i Wisnu, ma wielki wpływ na prawa i obyczaje. Kiedy jakie nieszczęście jest przepowiedziane przez wieszczków, chronienie się gó mają za rzecz

nieużyteczną, i usiłowania wszystkie zdają się niezdolnemi naprzeciwko zawadzie, którą bóstwo samo położyło. Mężczyzni z przykazów Mahometa żyją w osobności, i zawiść, która zawsze stoi przy drzwiach haremu, sprawuje że osoby dom składające, są cudze jedna dla drugiej. Nie masz tam tych schadzek między niemi: gdzie mówiąc jeden przed drugim o dolegliwości swojej, toż samo wygadanie się robi ją czulszą: Honor mężczyzny zawisł na cnocie żon swoich; i pan ma zawsze w swoim odludnym seraju zakład wierności sług swoich.

W środku milczenia, które otacza despotyzm, każdy akt zwierzchności najwyższej, ma ciemną jakąś i solenną cechę swoję; sprawiedliwość tam wymierzona bywa w zakryciu; a czasem jedno wystrzelenie z armaty pałacowej w pośrodku nocy, ogłasza wyroki tyranii. Każdy się natenczas uchyli na bok, i cieszy się tajemnie, że tyran o nim nie pomyślił. Kiedy naród przez przydłuższy czas był podległy rządowi despotycznemu, powrót do wolności jest niepodobny. Niewolnictwo przez sam nałóg niejakim sposobem zjednoczyło się z naturą ludzką, i ten sentyment nieokreślony: „zdanie publiczne“ przygasł tam zupełnie u wszystkich. Poddani nie podniosą nigdy myśli swojej do poprawienia niektórych nadużyciów, a monarcha, który je sam poprawić może, obawia się wprowadzać nowości, któreby szkodziły władzy jego. Despot nawet, gdyby chciał co odnawiać, sami poddani jego podnieśliby się naprzeciwko wolności, i powróciliby gwałtem do formy rządu, który ich trzymał w oddaleniu od interesów politycznych, i od niespokojności ustawicznej, którą sprawia władzy wykonywanie. A tym sposobem despotyzm, który często zaczyna się od gwałtu, ma swój pobyt i utrzymanie się od charakteru, jaki nadaje swoim niewolnikom.

Nic nie jest widoczniej złożone, jako despotyzm, i prostota kształtów jego zgadza się bardzo dobrze z powolnością i niewiadomością ludów, których ułożył do jarzma swego. Jego huk jest, jak nawalnicy, a jego uderzenie jak piorunu. Przez szybkość ruchu swojego

zaślepia lud pospolity, i wraża w dusze sentyment głębokiego uszanowania, które przemienia się jakoby w bałwochwalstwo dla tyrana. Zkąd indąd despota zawistny w swojej tyranii, niechce tego, ażeby ona była wykonywaną przez kogo inszego, i chociaż władza jest straszna, poddani sobie winszują, że mają tylko jednego pana, którego się obawiają.

Despotyzm uderza tych, którzy się przybliżyli do niego, ale lud pospolity uchyla się od zapalczywości jego, stojąc na boku. Oko zatrwożone widzi na tronie tyranią, ale prócz niej, można wszędzie zdybać smutną równość, jak w Rzeczachpospolitych, z tą tylko różnicą, że równość była zawsze burzliwa, zawsze niepewna u narodów europejskich, na wschodzie zaś jest zawsze jednaka. W naszych demokracyach każdy obywatel dąży do tego ustawicznie, ażeby się podniósł ze swojego miejsca, a stopnie na tem się kończą, że się wszystkie obalą. U wschodnich narodów, miejsca są naznaczone przez despotę, i nikt nie może swojego ustąpić bez pozwolenia pana. Wiele Rzeczypospolitych podobne są do pola batalii, gdzie obywatele prędzej pozwolą na to, ażeby ich zarzynać, niżeli żeby dalej nie postąpić. Niewolnik wschodni tak nie myśli porzucić swojego stopnia, jak trup trumny swojej. Któryż jest z tych dwóch sposobów rządu, który więcej dla ludzi pożytku pokazuje? W pierwszym umiera człowiek w konwulsyach, a w drugim już umarł.

Zdaje się, że tu powinienem zrobić uwagę powszechną nad despotyzmem. On nigdy nie jest strasznym dla poddanych wtenczas, kiedy jest mocnym i twardo stoi: że bardziej potrzeba się obawiać jego słabości, niżeli siły, bo ta pierwsza sprowadza wojny domowe; i jego zwycięztwa są często nie tak okropne dla ludu, jak jego upadek, po którym zawsze następują krwawe uzurpacye. Tamto wielkie charaktery, wielkie talenta bardziej są potrzebnemi, niżeli w państwach, gdzie prawo rządzi.

U wschodnich narodów, gdzie prawo niczem jest prawie; gdzie machina polityczna samą tylko najwyższą wolą ruszana, małoletność dziedzica, albo bezkró-

lewie jest nieszczęśliwością największą. W takich zdaniach, nagła potrzeba exkuzuje tam największe zbrodnie: takie nawet zdarzają się okoliczności, że całość państwa zawisła od ratowania się, na które gd ie indziej ludzkośćby zadrżeć musiała; a w tym klimacie na to tylko wzgląd mają, z jakiego powodu to się stało. Darują zabójcy, z przyczyny dobra, którego się z tego zabójstwa spodziewają. Na wschodzie zaś najbardziej do tego wiarę przykładają, że jeżeli się udało srogiego jakiego dzieła dokonać, taka wola boża być musiała. Często jestto wielkiem nieszczęściem być panem: trzeba umrzeć ofiarą swojej łaskawości, albo żyć między duchami rozgniewanemi swoich pozabijanych rywałów, albo swojej familii. Polityka despotyzmu tak wysoko w górę podnosi się, że oko pospólstwa dosięgnąć tam niezdoła. Zamięszania, których czasem doznaje, zamordowania, które rozkazuje, są zawsze dla ludu widokiem obojętnym, a czasem nawet z sekretną radością na to pogląda. Kiedy despotyzm w siebie samego uderza, niewolnicy nie zawsze są spokojnemi, ale kiedy bije około siebie, samych tylko dosięga pośrednich wspieraczów tyranii. Lud prawie zawsze jest nieinteresowany w wielkich zakłóceniach, widzi po nad głowami swojemi zbijające się zapędy magnatów, i dworu fakcye, jak widzi chmury trącające się na powietrzu, ani go to cokolwiek obejdzie, póki nieobaczy nawalnicy do swego pola przychodzącej.

Chociaż wielka część monarchów Indostanu niemają żadnego wędzidła polityki, są oni wszelako utrzymywani przez moc moralności, a czasem i przez bojaźń. Nakazującemu rozlewać krew inszych despocie, przyjdzie też czasem do głowy, że i jego rozlewać mogą. W obojętności narodu o jego osobę i o rząd jego, jest wystawiony na spiski dworzan swoich; i śmiałość, która bez bojaźni spojrzy na tron jego może czasem postraszyć i ukrócić jego ambicyą. Otoczony niewolnikami, i potępiony, ażeby nigdy niemiał przyjaciół, sam często tę bojaźń czuje, którą dał drugim. Im więcej władza jego nad ludzi wzniesiona jest, tem mniej ma potrzeby siły używania. On nie jest

otoczony fakcyami, które zwyczajnie burzą Rzeczypospolite, i zawady, któreby gwałtownych sposobów wyciągały, rzadko mu na drodze stawają. Często bardzo nie ma żadnej przyczyny być okrutnym, ażeby panował. Nie zatrudnia się temi, którzy się nim niezatrudniają, i lud żyje w pokoju pod jego rządem. Chociaż Alkoran Mahometa upoważnia despotyzm, wszelako nie zostawuje go bez opisania mu granic. Alkoran zakazuje wyraźnie jedynowładzcom, ażeby ludu nie ciemiężyli. To święte przykazanie, czasem to sprawia, że do despotów prawda ma przystęp. Orengzeb żałował błędów wspomniawszy na Boga mściciela. Kiedy ten monarcha żądał, ażeby historyą życia jego pisano, pisarze ośmielili się zapytać, jak mają wyrazić, że ojca swego więził, i braci swoich pozabijał. Orengzeb raczył się przed niemi usprawiedliwiać. Oto hołd najpiękniejszy który kiedy despotyzm oddał moralności i religii.

Despotyzm (mówi historyk, któregośmy przywiedli), okazał się czasem w blasku największym za panowania książąt z domu Timur. Wielu z nich przez wielkie talenta, charakter słodki i ludzki, przyczyniło się do zrobienia Indostanu więcej, niż przez dwa wieki, krajem najbardziej kwitnącym w świecie. Wspaniała polityka Babera, ochroniła prowincye jego od gwałtów; poglądał na zwyciężonych, jak na swoję własność, i szanował ich przez ludzkość, może tyle, ile przez skąpstwo. Humajon, który po nim nastąpił, okazał cnoty spokojne na tymże tronie zwycięzkim. Nieszczęścia, które skłóciły panowanie jego, przyszły nie tak z jego ambicyi, jako bardziej z inszych. Wypędzony z kraju swojego, był potem żałowany i adorowany z powrotem swoim. Akbar miał odwagę Babera podczas wojny, i ludzkość Humajona w pokoju. Podzielił życie swoje i starania między zwycięztwami i rządem kraju. Akbar zachęcał do handlu i rękodzieł, był tolerującym, i dawał przytulenie wyznaniom wiar wszystkich. Poniżył pychę wielkich wazalów, i czynił sprawiedliwość dla wszystkich. Wyroki Akbara były potwierdzone przez Jehan-Gir, i Szah-Jehan. Państwo kwitnęło pod ich rządem, i dopiero za ich zastępców zaczęły się

nieszczęścia i ruiny. Orengzeb podniósł Imperium mongolskie. I chociaż polityka jego zawsze dążyła do wojny, niemniej jednakże pracował, aby utrzymywany był rząd prowincyi przez ustawy ostrej sprawiedliwości, i nakazy rostropne. Nie obalił on władzy feudalnej, której korona i rządcy jej używali nad ziemiami sobie podległemi; ale naznaczył jej tylko granice, za któremi poddani jego żyli bezpieczni.

Stały układ rządu Mogołów zakazywał dziedzicznych w państwie godności; a z tej przyczyny magnaty stanu mieli tylko pozwoloną moc sobie doczesną, i tak nie byli strasznemi ludowi, ani monarsze. Państwo miało swoje różne trybunały sprawiedliwości, jako inne państwa najrządniejsze. Prowincye były podzielone na powiaty, w każdym powiecie sędzia naznaczony przez samego cesarza, dawał wyroki w sprawach cywilnych i kryminalnych. Miał także moc dekretowania w zbrodniach kapitalnych; ale wyrok powinien był być potwierdzony przez rządcę prowincyi. Miasto stołeczne było razem stolicą wielkiej juryzdykcyi, gdzie rozsądzano wszystkie appelacye, i najwyższemu temu trybunałowi, często sam cesarz prezydował.

Wielcy urzędnicy stanu zwyczajem z dawnego ustanowienia, składali radę, której zbierał zdania cesarz w interesach publicznych. Te zdania powinny były być proste i zwięzłe, rada zaś ta niemiała mocy decydowania. Despotyzm zgodził się na to, ażeby byli poradnicy, ale obawiałby się znaleźć między niemi cenzorów. Cesarz udawał się czasem do konsyliarzów w poniższych departamentach; i kiedy rzecz była o interes jakiej prowincyi, szlachty tej części państwa zwyczajnie się radzono. Kiedy chodziło o kryminał jaki popełniony przez magnatów, poznanie tego należało do rady, w której radcy byli jakoby sędzie w Anglii, Jury nazwane. Monarcha miał moc dania kreski na śmierć bez zbierania wotów, ale uszanowaniu jakiemuś dla dawnego zwyczaju, prawo monarsze ustępowało. Jednakże łatwo było panującemu pogodzić formy sprawiedliwości, z namiętnością czasem władzy arbitralnej.

Despotyzm był czasem przymuszony udzielić części władzy swojej, dla rządzenia państwem swem rozległem. Podzielenie tej władzy chociaż potrzebne, często stawało się szkodliwem panującemu. Jego podręczni rządcy, w miarę odległości swojej prowincyi od stolicy, byli panu swojemu podległemi. Zwyczajnie bunty wszczynały się w odleglejszych prowincyach, a od końca państwa i do środka przychodziły. Ztąd pochodziły rozruchy, które po tylekroć państwo zamięszały, i które skończyły się na obaleniu jego. Despotyzm zawistny o zachowanie praw swoich, starał się zatrzymać złe szerzące się, odmieniając często rządców prowincyi. Głośne są w Indyach słowa tego gubernatora, który siedząc na słoniu wyjechawszy z miasta Dely, zwrócił twarz na miasto, patrząc, (jak mówi), czy nie jedzie już następca jego, ale te ostrożności były nieużyteczne. W prowincyach oddalonych lud oślepiony blaskiem i okazałością rządców swoich, nie znał monarchy, tylko w jego czasem nakazach; ten który przywodził do wypełnienia rozkazów, zapominał częstokroć o tym, który dał rozkaz, i gadano tylko w prowincyi o cesarzach, jako o geniuszach jakich opiekujących się państwem, które utworzyło bałwochwalstwo, a których nikt nie widział. Pierwsi cesarze mogolscy popełnili błąd niepowetowany, dając rozległość wielką swoim prowincyom. Władza gubernatorów przyzwyczajonych do rozkazywania obszernym krajom, dała im wiele nadziei i sposobów, podniesienia się i zrobienia się niepodległemi władzy najwyższej. Obojętność poddanych na los ich panów, wzrosła z nieporządkiem, i łechtała śmiałość uzurpatorów. Prosty Ryot (mówi jeden pisarz), dowiedziawszy się po wielu miesiącach, że się zrobiła rewolucya w Dely, nie wstrzymał w robocie swoich wołów, ani żelaza płużnego nie przerobił na broń. Śpiewał powrót żniwa w chacie swojej, i ledwie się spytał, kto tam był nowym cesarzem.

Państwo Mogoła upadło, ale ustawy jego zostały się; gubernator na to tylko zbuntował się przeciwko władzy absolutnej, ażeby był także absolutnym: i despotyzm wkorzeniony w każdej prowincyi, nie stracił

najmniej kształtu swojego, jaki przyniósł z kraju Afgan. Nie znalazł żadnego oporu między Indyanami, którzy przywykali łatwo do wszystkich rządów, byleby im zostawiono ich zwyczaje. Od najdawniejszych czasów mieszkaniec Indyi, był w stanie niewolniczym. Historya indyjska ma tysiąc ośmset lat przed narodzeniem Chrystusa, mówi o wielu Rajah, którzy w tych obszernych krainach mieli rząd absolutny. Despotyzm, to dziecko klimatu, jest jak roślina jaka, którą natura dała ziemi na wschodzie. Jej gałązki są tam zawsze zielone, jak inszych roślin; i Indyanin lubi się schronić pod cieniem gałęzi jego, ze swojem próżnowaniem. Ojciec każdej familii był tam najprzód miany za króla i za kapłana w domu, a tak despotyzm złożył się z władzy bożej i ojcowskiej; ale w miarę, jak się powiększały familie, intryga i przemoc wtrąciły się na miejsce rządcy w domu naturalnego, i człowiek obcy obrał się ojcem. Wtenczas despotyzm zrobił się burzliwym i gwałtowniejszym. Na wielu miejscach ziemi narody pozrzucały to jarzmo, które zdało się im zbyt ciężkie, ale w Indostanie despotyzm związany jest z maksymami religii. Naczelnik tam wystawia się w myśli Indyanina, jako posłaniec nieba, i władza arbitralna wysyła tam niejako swoje wyroki z łona meczetów i pagód. Gdyby między tym ludem spokojnym i zabobonnym, mówił kto o wybiciu się z niewoli, mianoby go za nieprzyjaciela pokoju, i byłby wypędzony, jak bogów nieprzyjaciel. Indyanin robi to co widział, że jego ojciec robił, to co zawsze robiono w jego pokoleniu, i duch podległości jest w nim uczuciem dziedzicznem. Przyzwyczajony do życia rozmyślającego, stracił to poruszenie, które jest duszą państw wolnych; woli wierzyć niżeli rozumować, i przykrość ulegania i posłuszeństwa zdaje mu się być słodszą, niżeli opierania się, Przywiązany przez przesąd religii do brzegów Gangesu, pogardza inszemi narodami, i mało ma skłonności iść za ich przykładem. Indyanin ma siebie za lepszego, za szczęśliwszego, niżeli insi mieszkańcy ziemi. Nie chce mieniać swojego losu na nasz: podobno nie byłoby ciężko dowieść, że ma przyczynę po sobie.

Historycy Alexandra powiadają, że ten zwycięzca znalazł Rzeczpospolitą przy brzegach rzeki Indus. Wędrownikom teraźniejszym zdało się, że widzieli także rząd niby republikański w niektórych prowincyach Indostanu, ale mówią o tem tak niedokładnie, że świadectwo ich mniej ma wagi. Możnaby znaleźć między Szeikami rodzaj niby rządu skonfederowanego, utrzymywanego przez wielu naczelników połączonych; ale to zjednoczenie skonfederowane, dalekie jest, ażeby miało znaczyć wolną Rzeczpospolitą. Wreszcie taka rządu forma, tak trudna jest do jej określenia, jak i do znalezienia. Łatwiej to jest wiedzieć, gdzie nie masz wolności, niżeli ją znaleźć, gdzie jest.

W klimatach europejskich ludzie pomnożyli passye swoje, pomnażając potrzeby. Rzeczy jednej żąda czasem wielka ludzi liczba, ztąd się rodzą zabiegi, burze polityczne, które dały początek rządom republikańskim: dla dogodzenia potrzebom swoim, ludzie zrobili się czynniejszemi i zakłóconemi, duch się w nich zajął gorętszy, bardziej rozumujący, każdy starał się być potężniejszym, i władza naczelnika była częstokroć obalona, przez tłok pasyi zawiści. Póty, póki Indyanin może patrzyć na słońce, póki się może kąpać w Gangesie, i niech mu do tego ziemia daje wyżywienie proste i zdrowe, niema on więcej do żądania. On odebrał wolność z rąk dobroczynnych natury, mniej go zatrudnia ta, którą daje społeczeństwo. Ludzie indyjscy nie tak dbają o utrzymanie własności, jak ludzie europejscy, bo mniej mają potrzeb; i podobno będzie to ta pogarda bogactw, że mniej mają względu na próżne pogróżki despotyzmu. W naszych rewolucyach europejskich mówią, że ludzie boją się niewoli, a mnie się zdaje że to oni boją się ubóstwa. My się mamy za wolniejszych od wschodnich narodów, a my podobno jesteśmy niewolnikami nędzniejszemi i gorszemi od tamtych.

W klimacie, gdzie mało myślą, naczelnik nie powinienby doznawać wiele trudności, kiedy wolą swoję ogłasza, i państwo, jeżeli nie jest w stanie wojny, powinno zawsze zostać w spokojności. Przeciwnym spo-

sobem w towarzystwach, gdzie każdy ma swoje zdanie i swoją wolą, gdzie każdy roztrząsa i rozumuje; gdzie każdy chciałby się podnieść, i w części przynajmniej być tyranem; despotyzm bywa gwałtowniejszym, i stan jest bliskim do upadku. Indyanie nigdzie nie widzą kajdan, duch podejrzliwy europejczyków wszędzie sobie pęta kuje. Jedni spokojnie znoszą despotyzm; drudzy znieść nie mogą ani wolności, ani despotyzmu. Nie wiedzieć, kto tu z nich wolniejszy, albo większy niewolnik; ale można wiedzieć, kto jest nieszczęśliwszy.

W Indostanie jeden tylko żołnierz nieprzyjacielski może spustoszyć prowincyą: „Patrzcie na moję ziemię (napisał w swoim manifeście przeciwko Angielczykom Rajah Benary) „moje role są uprawione, moje miasta i wioski wielu mieszkańcami zaludnione, mój kraj jest ogrodem, i moi poddani szczęśliwemi. Pierwsi kupcy Indyjscy, dla bezpieczeństwa pod moim rządem, opływają we wszystko w stolicy mojej. Jestto bank indyjski, on zamyka skarby Maratów, Jattów, Szeików, Indyan i Europejczyków. Tu to wdowa i sierota składają bogactwa swoje, tu znajdują schronienie przeciwko łakomstwu i zdzierstwu. Wędrujący wszerz i wzdłuż mojego państwa, mogą tu złożyć swój ciężar i spać spokojnie." Ten obraz jest pocieszający człowieczeństwo! Uważano, to że wszędzie, gdzie despotyzm nie robił wiele złego, tam wiele dobrego zrobił. Monarcha, który nie ma przeszkód do pełnienia tyranii, nie ma także zawady, kiedy pracuje nad uszczęśliwieniem poddanych swoich. Państwo wschodnie, gdzie monarcha chce szczęścia ludu swojego, jest państwem, w którem cnota absolutnie nad ziemią panuje.

Rząd indyjski, mówi pan Dow, jest despotyczny, ale tak ułagodzony przez principia cnoty wmawianej przez religią, że zdaje się być słodszym, niżeli monarchia Europy najbardziej określona. Uważać można między nazwiskami, któremi się zdobią zwierzchności indyjskie, imiona, które przypominają początkowe rządy Indyan. Tytuł Nana, który biorą często sami Rajah, znaczy: „ojciec." Rzadko w Indyach widzieć mo-

żna konspiracye, chybaby tylko w samym pałacu monarchy. Prawa penalne ledwie tam są znane. Często tam dosyć jest wypędzić Indyanina z jego pokolenia, ażeby go skarać za największe występki. Religia indyjska ma to w sobie pocieszającego, że najmocniej wmawia cnoty w monarchę; ale kiedy władza ta jest wykonywana sposobem twardszym, daje ludowi cierpliwość i odwagę do znoszenia ciężaru z obojętnością. Mimo ich miękkości powierzchownej, Indyanie mają gatunek jakiś stoicyzmu, który ich przybliża do ostrości tych filozofów. I ostatni z poddanych mógłby powiedzieć, jak Epiktet, że umie być wolnym i w niewoli.

Maratowie i Szeikowie, którzy wszędzie z sobą noszą trwogę, i wszystkie okropności wojny, są to w domach swoich pasterze i rolnicy. Znany jest rząd Maratów z jego słodyczy. Ragobat był między niemi wojownik sławny, i ukochany od narodu; on zamordował swojego wnuka, ażeby panował; ale mimo jego sławy, był strącony z tronu przez sam wstręt od niego dla przewagi moralności publicznej. Zdaje mi się, że powiem prawdę, iż lud zepsuty nie może być wolnym, w którymkolwiek będzie klimacie położony; a lud cnotliwy nie może być niewolnikiem, jakikolwiek jego jest rząd panujący.

Maksymy prawa narodów mało są znane na wschodzie, a najbardziej w Indyach. Dawna historya nas uczy, że monarchowie tych krajów posyłali czasem do siebie posłów, przez których zadawali sobie zagadki; ale nie masz tego nigdzie, ażeby utrzymywali u swoich sąsiadów posłów, dla dostrzegania relacyi nawzajem politycznych. Posyłają swoich wakelów, dla ułatwienia interessów, ale ci posłowie powracają natychmiast, jak tylko oddali prezenta swoje, i tak się ich poselstwo skończyło. Jak nie mają między sobą interesów ciągłych, ambasador rezydujący, byłby dla nich nieużyteczny. W niewiadomości największej prawa publicznego, które łączy narody, i robi, jak mówić można, jedno państwo z wielu, oni mają zawiść jakąś do wszystkich innych mocarzów, i wszystkiemu temu nie dowierzają, co im ze strony przychodzi. Nie wiedzą

oni, co to jest waga polityczna narodów. Nie mają przyjaciół i sprzymierzeńców, których im nadarzą okoliczności: zawsze chciwi rozszerzania granicy swojej; ich najwięksi nieprzyjaciele, są zwyczajnie ich najbliżsi sąsiedzi. Ta zawiść i te ich nieporozumienia się; rozerwały wszystkie ich koalicye, i zaraziły wszystkie usiłowania, z któremi w wielu zdarzeniach stanęła Indya naprzeciwko napadom europejskim, a najbardziej angielskim.

Polityka powierzchowna każdego monarchy indyjskiego zawisła na tem, ażeby najwięcej kraju zawojować; a polityka wewnętrzna zgromadzać najwięcej skarbów. W pośrodku rewolucyi, i ustawicznych niesprawiedliwych nabytków, które odmieniają postać Indyi, monarcha wypędzony z kraju swojego, zabiera z sobą skarby, a tym sposobem ma nadzieję ściągnienia jeszcze wojska, albo kupić sobie prowincyą jaką bogatą, lepszą nawet nad tę, którą opuścił. Człowiek myślący dobrze, któryby powiedział Nababowi albo jakiemu Rajah, że złoto nie jest prawdziwem bogactwem żleby był w radzie jego przyjętym.

Powiedzieliśmy, że sprężyny despotyzmu są najbardziej znaczne z niewymyślnej ich prostoty. Ich prawa same tylko zamykają układy militarne: prawa zaś cywilne są w bardzo małej liczbie, i ich exekucya zawsze jest poddana pod wolą pana. Gengis-Kan kazał publikować zbiór praw, który był długo zachowany w Indostanie. Znają tam jeszcze i prawa Tamerlana, który postraszywszy pierwej Indyą przez wojska swoje, usiłował pocieszyć ją, rządem i prawodawstwem swojem. Ale większa część tych praw staroświeckich z państwem Mogołów zaginęła, i te się tylko zostały, które były zmieszane z religią. Same prawa pisane i stale zachowywane, są nakazy alkoranu dla mahometanów, księgi zaś święte dla Indów. W każdem tam państwie machina stanu rusza się przez wpływ tych dwóch religij. Zwyczaj prawie jest zawsze prawem u Indyan, którzy mają tak wielkie uszanowanie dla swoich przodków; i u których rzeczy przeszłe są niejako wyrocznią

bogów. Znając się mało na tem, co to są względy wzajemne poddanych z rządem, nie wiedząc zupełnie, co to jest waga władz i zwierzchnictwo narodów, nie słysząc nigdy, mówienia o konstytucyi i o układach spółeczeństwa, tem bardziej nie znając się na abstrakcyach metafizycznych o początkach towarzystwa, sprawują się według prawideł moralności, więcej niżeli według polityki. Często jedno przysłowie między niemi, staje im za ustawę, jedna jaka maxyma, ma więcej mocy, niżeli prawo.

Chociaż urządzenia publiczne u Indyan są bardzo proste, ciężko nam jednakże będzie poznać wszystkie ich szczegóły. Wędrownicy więcej ciekawi uważać naturę, niżeli społeczeństwa, i obyczaje, niżeli prawa narodów tamtych, dają nam w tej mierze mało objaśnienia. Pierwsza polityka rządów indyjskich, jest pomnażać swoje dzierżawy, albo ich bronić. Człowiek, który tam jest ministrem wojny, musi być razem najpierwszym urzędnikiem w kraju. Po jenerale wojska, który jest zawsze najpierwszym urzędnikiem, następuje ten, który czuwa nad bezpieczeństwem pana, i razem dostarcza potrzebom jego. W państwach mahometańskich pierwszy jenerał nazywa się Kotual, albo minister policyi, i sprawiedliwości kryminalnej; drugi jest Kazanehdar, czyli podskarbi, minister dochodów.

Sepeh-Salar (jenerał w wojsku), jest zwyczajnie rządcą prowincyi. Tego instrukcya od monarchy jest taka: „Niech najpierwej przed nim mają miejsce prośby i błagania. Myśląc tylko, ażeby dobrze uczynił człowiekowi, niech nie trzyma nad nim ręki wyciągnionej. Niech stosuje charakter swój do roztropności; tam gdzie narzekania i jęczenia mogą czego dokazać, niech się do tego nie miesza; niech nie powierza sekreta swoje wielu osobom w zgromadzeniu; niech urzędnik, którego serce żąda sprawiedliwości, będzie razem wszędzie w swojej prowincyi; niech nie zadaje męki oczekiwania długo tym, którzy prędkiej żądają sprawiedliwości; niech żyje tak, ażeby człowiek nie taksował mocy wysokości urzędu, podług mocy zrobienia złego inszym. Wykopać sadzawkę, studnię, kanał, zasadzić

ogród, zbudować dom gościnny, są to roboty takie, w których uszczęśliwienie swoje znajdować powinien. Niech dla utrzymania starożytnych zabytków otworzy rękę dozoru; niech wprawia do słuchania rządu tych, którzy głowę na bok zwracają; niech buntujących się poskramia przez słowa ostre; niech ich każe wiązać i chłostać; niech im każe ucinać członki, ale niech ma wzgląd głęboki na życie ludzkie."

Po tych instrukcyach są nakazy jenerałowi wojska, przytulać słabszych, używać pod rękę ludzi pilnych i cnotliwych, być przystępnym skargom i prawdzie. Będzie to dla niego sposób służenia Bogu, kiedy zechce ratować i wspierać rolnika; powinien skracać spanie swoje, ażeby powiększył życie jego. Kiedy z majestatem wschodzące słońce podnosi się, niech siądzie do modlitwy; i żeby się ocknęli ci, którzy spią jeszcze, niech ich obudzi wystrzałem broni. Jak tylko słońce poranne zaświeci, jak tylko godzina wieczorna zacznie przychodzić, niech każe zabrzmieć Nakarah, i niech powiększa pilność i ostrożność.

Jestto rzecz pocieszająca słyszeć, kiedy takie prawidła rządu i sprawiedliwości, wściekłość wojny osładzają. Człowiek wojenny mając ustawicznie przed oczyma ludzkość i religią, powinien przybiegać na wsparcie uciśnionego, i rozdzielać zdobycze między potrzebnych, między tych, którzy mają ręce próżne. Powinien ustawicznie rozmyślać nikczemność wielkości ludzkich, i tak poglądać na ostrą i nieubłaganą przyszłość. Mawia monarcha do swego jenerała: „Poślij ten listek życia twojego do twego grobu, nikt po tobie nie przyniesie go na ziemię, jeżeliś ty go pierwej nie posłał". Nietrzeba jednakże sądzić wojenników Indyjskich przez te instrukcye moralne, które pięknemi są tylko maxymami, a rzadko wypełnianemi. Tak się dzieje z rządcami, jak z ludzmi partykularnemi. Często dalekie bardzo są ich sprawy od gadania.

Katual ma obowiązek pilnowania bezpieczeństwa publicznego: „Ten (mówią prawa Mogolskie) wartym jest tego urzędu, który do odwagi przyłączy umiejętność trzymania ręką lewą cuglów administracyi; który

postępuje z ostrożnością i rozwagą węża, który przez cały dzień szuka, coby zrobił dobrego, i czyni obieg w nocy, wtenczas kiedy insi zasnęli".

Katuala obowiązkiem jest sprzątać złych z urzędów publicznych; mieć spisany rejestr domów, dróg znaczniejszych, miejsc gdzie ludzie uczęszczają; i wynajdować wsparcia zobopólne, które sobie ludzie dawać powinni. Powinien mieć baczność na porządek miast i bazarów, (czyli sklepów kupieckich), i na uprowidowanie w żywność prowincyi. Powinien mieć baczność na wszystkich tych, którzy przychodzą do kraju, i za szpiega powinien wybrać cudzoziemca osiedziałego w mieście, który był dobrze przyjmowany u wszystkich, a razem chytry i najzręczniejszy. Katual powinien nadewszystko rzucać łańcuchy na gwałtowność, ażeby nikt nie wdzierał się gwałtem do domu cudzego, ażeby złodzieje byli wystawieni na widok publiczny; i żeby prawa były wykonywane sposobem wyraźnym. Ten rodzaj ministra policyi, ma razem zdany sobie rząd cały publiczny. On nakazuje kary na kryminalistów; dogląda obchodzenia ceremonii wiary; jemu nakazano najsurowiej wypędzać grających w gry azardowne, przedawających napoje upajające, gorszących przez zły przykład itd.

Kazanehdar, albo minister skarbowy, niemniej ważny urząd stanu wypełnia. Instrukcye, które mu dają, są przychylne stronie rolników. Rolnictwo składa największą część bogactw panującego, i ci którzy uprawiają rolą, są tem więcej państwu użytecznymi, im bardziej dają cenę ziemi posiadanej. Prawa Mahometanów i Indyan są napełnione maxymami respektu i protekcyi, którą winniśmy rolnikom tej części ludu, która znosi skutki pracy swojej do skarbu publicznego.

Jako pszczoła, która zbiera żywność swoję pomału (mówią księgi Sanskryt), rząd powinien odbierać z ziemi dochód roczny i mały. W inszem miejscu też same księgi wystawiają monarsze przykład ogrodnika, który zbiera część owoców w miarę, jak dojrzewają, ale który nigdy drzewa nie wycina, które mu daje żywność i jest razem ozdobą ogrodu jego. Podskarbiego obowiąz-

kiem jest wspierać handel i profesye mechaniczne. Przychody zawisły na płodach ziemi i na taxie handlu.

Rząd Indyan jest zostawiony woli naczelników, ale ich stan cywilny wspiera się na podstawach mocniejszych. Ich prawa, a najbardziej zwyczaje ich, mają wzgląd najostrzejszy na honor osób i na całość własności. We wszelkich zdarzeniach, gdzie poddany nie może się obronić przeciwko władzy arbitralnej monarchy, sprawiedliwość cywilna i kryminalna, jest dla ludu potrzebna każdego dnia i na każdem miejscu. Człowiek przywykły do podległości, może zapomnieć odnosnia się, które rozum położył między nim i panem, wktórego kraju mieszka; ale nie zapomni nigdy tego, co go łączy z ludźmi w tem samem towarzystwie. W każdej osiadłości w państwach indyjskich jest ustanowiony sędzia dla czynienia sprawiedliwości każdemu. W każdej prowincyi jest sędzia wyższy, do którego można appellować od decyzyi pierwszego, a ztamtąd znowu appellacya do sądów monarchy. Indyanie wystawiają sobie sędziów w najpoważniejszych wyobrażeniach; czytać można w dawnym statucie Gentu, znalezionym w Benares, a przetłumaczonym na angielski język r. 1774, że prowidencya utworzyłą zwierzchność dla bezpieczeństwa publicznego i powinna być poważaną, jak światło bóstwa samego. Ten który będzie szanowany przez swoję zwierzchność względami i dobrocią, obaczy własność swoję pomnożoną i byt najszczęśliwszy; ktoby zaś zwierzchność rozgniewał, będzie potępiony na śmierć, ktokolwiek ją upadla i urąga jej, życie swoje naraża. Zwierzchnik, dodają prawa Gentu, powinien mieć na wodzy swoję pożądliwość, swój gniew, swoje łakomstwo, swoje pijaństwo i swoję pychę; nie będzie zbytecznym w polowaniu, ani do gry przywiązanym; nie będzie sypiać w dzień, nie będzie nikogo posądzać nie będzie się zamykać w swoim domu, nie będzie znieważać ludzi uczciwych; nie osądzi nikogo na śmierć przez intrygi głuche i sztuczne, i nikomu jego własności nie wydrze. „W milczeniu to tylko i w zebraniu się w siebie samego powinny być czynione wyroki sprawiedliwości. Jeżeli zwierzchnikowi będzie się zdawało deliberować ze

swojemi konsyliarzami, powinien na to obrać miejsce odludne, na dachu domu, na wierzchołku góry jakiej albo na pustyni, i na takich to miejscach ma się naradzać; w innych zaś miejscach, gdzie zalatują sroki i insze ptastwo gwarliwe, nie powinien mieć swoich naradzań, póki te będą przytomnemi". Można myśleć, że te nakazy nie zupełnie są wykonywane, ale są sposobne do podniesienia duszy sędziego.

Chociaż prawa cywilne są bardzo liczne u Indyan, ale że są napisane w języku Sanskryt, i mało znane od ludu pospolitego, są tylko na to, ażeby oświeciły sumienie sędziego bez przymuszenia go, ażeby szedł koniecznie za niemi. Najwięcej tam zwyczaj ustanowiony, i światło proste rozumu, w processach decydują. Sprawiedliwość w stanach despotycznych ma to dobrego, że jest prędka; jak i postępowanie rządu. Władza monarchy, która się powinna okazywać we wszystkich częściach administracyi, zgubiłaby się pod marnym tłokiem form prawniczych, i sprawiedliwość podobnoby nie wiele zyskała w długich deliberacyach: w miarę jak sprawiedliwość starła się z intrygą i wykrętem, ukryła się razem w zamęcie form swoich, i częstokroć czas który tracimy na jej wyszukiwaniu, jest droższym, niżeli mara za którą się ubiegamy. Uszanowanie, które ma lud dla swoich sędziów, i wysokie wyobrażenie, które sędziowie czynią o sobie samych, powinny zabezpieczać nieprzełamaną ostrość sądzenia. Sprawiedliwość nie jest samym tylko interesem cywilnym, ale jest razem rzeczą świętą. Wszędzie moralność ksiąg bożych zaleca sędziom bydź sprawiedliwemi. Indyanie są wychowani od dzieciństwa w pryncypiach sprawiedliwości naturalnej; nie można wydziwić się tej pięknej maxymie: „Monarcha obowiązany rozsądzić sprawę między swoim poddanym i swoim synem, powinien uważać syna jako poddanego; a poddanego jak syna swego." Pamiątka monarchów sprawiedliwych, i sędziów cnotliwych utrzymuje się od wieku do wieku z uszanowaniem. Pod ich to panowaniem (mówią Indyanie), bogowie zstępowali na ziemię, i rzucali kwiaty na głowy sędziów nie przekupionych w sprawiedliwości. Jeżeli

sędziowie znieważą urząd swój, nie wzywają przeciwko nim piorunów praw ludzkich, ale gniewu bóstwa samego, jakoby sam tylko Bóg był wyższym nad godność sędziego na ziemi: „Zły sędzia, który potępił niewinność, obaczy swoją familią zniszczoną, dom swój obalony, zielska i drzewko Eruku porodzą się w izbach gdzie mieszkał, a dzieci jego pomrą w młodości.“ Prócz sędziów postanowionych przez monarchę, każda kasta ma swój trybunał familii, gdzie rozsądzają sprawy, które się tyczą członków jednego pokolenia.

Sprawiedliwość cywilna daleko mniej kosztuje w Indyach, niżeli w Europie, z przyczyny, że tam nie znają, ani prawnictwa, ani patronów. Każdy powiada sprawę swoję, albo uprosi jakiego przyjaciela ażeby jej bronił, nie długo zaś trzeba czekać wyroku sędziego.

Taki sam zwyczaj zachowany jest w wielu prowincyach Indyi, co się tycze processu cywilnego. Ale że sprawiedliwość kryminalna jest narzędziem potrzebnem w ręku rządców despotycznych, ci prawie zawsze zostawują sobie samym prawo pełnienia jej ze słodyczą, albo z surowością, według potrzeby wmówienia w poddanych miłości, albo bojaźni. Legislacya kryminalna Indyjska bierze czasem kształty wielorakie według charakteru monarchy, i polityki stanu; a jej wyroki wzięte są z woli jedynowładcy bardziej, niżeli z praw ustanowionych.

Gentu wiele zawiera praw penalnych w swych statutach w języku Sanskryt: ale prawa napisane, ustępują prawie wszędzie zwyczajom, a czasem i woli sędziego. Oto są niektóre prawa wyjęte z statutu Gentu: O występkach i karach:

„Jeżeli mężczyzna uderzy kobietę bronią jaką w ucho, w nos, w rękę, w nogę, w usta, w język, w oko albo w miejsce wstydliwe, albo w zginanie się kolana, zapłaci winę tysiąc puns kauris, ale to jeżeli członek nie jest oddzielony od ciała: jeżeli zaś oddzielony, ten sztrof się podwaja.

Jeżeli człowiek jeden drugiemu odbierze życie, sędzia potępia na śmierć winowajcę; ale jeżeli zabójca

jest Bramin, życia mu odbierać nie można, bo żadna nie znajdzie się przyczyna, dla którejby życie odbierał kto Braminowi: będzie tylko za zabójstwo osądzony na grzywny tysiąca Asruzów.

Jeżeli człowiek wybił obiedwie oczy komu, sędzia równie jemu obiedwie oczy wybić każe, i potępi go jeszcze na więzienie do śmierci:

Jeżeli człowiek jaki uderzy Bramina ręką lub nogą, członek którym uderzył będzie odcięty przez sędziego.

Jeżeli sam sędzia zbrodnią popełni, i gdyby na tym fundamencie ktokolwiek się ośmielił tego sędziego uderzyć, albo łajać, ten w takim przypadku popadnie w taką winę, jak gdyby zabił sto Braminów. Sędzia każe przeciągnąć rożen żelazny przez środek ciała jego, i piec go każe. Jeżeli to jest Bramin, który podobny występek popełnił, będzie potępiony na grzywny sta Asruzis.

Jeżeli człowiek kasty niższej chcąc się udać za równego człowiekowi kasty wyższej, pozwoli sobie iść obok z nim w drodze, albo spać na jednem posłaniu; będzie osądzony na sztrof tak wielki, jaki będzie w stanie wypłacić.

Jeżeli człowiek z niskiej klassy Gentu siądzie na kobiercu Bramina, sędzia każe mu przekłuć, część którą siedział, żelazem rozpalonem; potem to przetnie, i napiętnowawszy go na czele, wypędzi go z królestwa.

Jeżeli człowiek tejże niższej kasty plunie ze złości na ciało Bramina, sędzia każe mu obciąć wargi; jeżeli go pomaże swoją uryną, kanał będzie ucięty; a jeżeli smrodem podkadzi, tył mu będzie przecięty.

Żona może być bita przez swego męża rózgą z bambu, syn przez swego ojca, niewolnik przez swego pana, i małoletni przez swego opiekuna.

Jeżeli kto zabił kozę, konia, wielbłąda, będzie miał obiedwie ręce ucięte; jeżeli części naturalne odetnie koniowi, wołowi, albo inszemu jakiemu zwierzęciu, zapłaci sztrofu pięćdziesiąt punów. Jeżeli zabije ptaszynę mniejszej wagi, zapłaci trzy puny; a pięćdziesiąt, jeżeli ptak będzie piękny. Zabicie robaka, ryby,

łasicy, węża, i t. d. ma także różne sztrofy. Ale ten, który utrzymuje swoje życie zabijając i przedając mięso zwierząt zabitych, nie jest podległy żadnej winie pieniężnej.

Tego, który kradnie z wyłamaniem drzwi, albo muru, sędzia skaże na odcięcie rąk, a potem na ukrzyżowanie.

Ten, który rozbija na wielkiej drodze, ma być potępiony na szubienicę. Złodziej, który swój kraj własny odziera, i pustoszy swoję prowincyą, będzie ukrzyżowany, i dobra jego skonfiskowane.

Ten, który okrada człowieka kasty wyższej od siebie, ma być spalony zielem nazwanem Beena; a jeżeli okradnie kobietę kasty wyższej, sędzia każe go rozciągnąć na blasze żelaznej rozpalonej, i obwinąwszy go w Beena, podda ognia i spali go.

Ten który podczas wojny ukradnie słonia, albo konia, ma być potępiony na śmierć, ale podczas pokoju, tylko mu rękę i nogę utną.

Ten, który popełni cudzołoztwo z kobietą swywolną, nie będzie karany; ani nawet który go popełnił z dziewczyną professyi tanecznic, albo śpiewaczek, nie będzie także karany.

Ten, który gwałtem popełni cudzołoztwo z kobietą swojej kasty, albo z kasty niższej, odebrać mu należy cały jego majątek, odciąć mu znaki mężczyzny, i oprowadzać go potem przez miasto na ośle.

Jeżeli przez jakie omamienie i wybieg człowiek popełni cudzołoztwo z kobietą rzędu równego, albo niższego od siebie, byleby ona na to dobrowolnie nie zezwoliła, sędzia skonfiskuje jego majątek, jego na czele napiętnuje żelazem rozpalonem, znakiem wstydliwości kobiecej, a potem będzie z kraju wypędzonym.

Jeżeli jaki Suder, albo Szut; jeżeli człowiek klassy podłej popełni cudzołoztwo z Braminką wolną, sędzia skonfiskuje mu dobra, i uciąć mu każe znaki mężczyzny.

Jeżeli Suder popełni cudzołoztwo z Braminką niewolną, nawet chociażby za jej zezwoleniem, sędzia

skonfiskuje mu majątek, skaleczy go, i przywiązawszy go na blasze rozpalonéj, spali go zielem Beena.

Jeżeli kto popełni cudzołoztwo z żonami swojego ojca, z siostrami swojej matki, albo z żoną swojego wuja, z siostrami swojego ojca, z żoną swojego przyjaciela, albo swojego małoletniego w opiece, ze swojemi siostrami, ze swoją córką, albo z żoną swojego syna, z żoną pochodzącego od dziada, którego ma i winowajca, a któryby jeszcze był pod jego protekcyą, któryby z żoną sędziego, albo inszą jaką kobietą znaczniejszą przez swoje dobre obyczaje; winowajca będzie obcięty i śmiercią skarany, a gdyby sama kobieta pozwoliła na takie cudzołoztwo, sędzia skaleczy jej wstydliwe miejsca, i śmiercią ją ukarze.

Jeżeli żona Bramina dobrowolnie z Suderem popełni cudzołoztwo; sędzia urznie jej włosy, namaże ciało jej masłem; i każe ją prowadzić nago po mieście, siedzącą na ośle; potem wypędzoną będzie za miasto na północ, albo zjedzona od psów.

Jeżeli kobieta z własnego poruszenia pójdzie szukać człowieka, i sprowadzi go ażeby z nim mieć spółeczeństwo obwinione; sędzia utnie jej nos, usta i uszy; każe ją oprowadzać na ośle, potem utopić, albo dać psom do zjedzenia.

Ten, który popełni cudzołoztwo z panną klasy wyższej nad swoję, będzie osądzony na śmierć.

Jeżeli mężczyzna włoży palec swój gwałtem w miejsce wstydliwe panny, równej sobie klassy, sędzia każe mu uciąć dwa palce, i skaże go na zapłacenie sześćset punów kaurich winy.

Jeżeli człowiek, albo przez gwałt, albo za wspólnem zezwoleniem, toż zrobi z panną klassy wyższej nad swoję, będzie skarany śmiercią, i dobra jego skonfiskowane.

Ten, któryby wykradł córkę kasty wyższej nad swoję, będzie karany karą ostatnią.

Jeżeli który Bramin popełni grzech bestyalstwa z krową, sędzia skaże go na zapłacenie za winę ośmdziesiąt pieniędzy złotych; jeżeliby jaki Suder tenże sam grzech popełnił, będzie skarany śmiercią.

Kiedy jaki człowiek złączy się przez bestyalstwo z jakiemkolwiek zwierzęciem, byleby nie z krową, będzie karany pięciąset punów za winę.

Jeżeli człowiek nie jest posłusznym rozkazom sędziego, będzie potępiony na ucięcie ręki, nogi, albo inszego członka ciała; jeżeli powtórzy ten występek, tedy na śmierć.

Jeżeli kobieta kogo struje trucizną; jeżeli zabije mężczyznę, albo podłoży ogień pod dom; sędzia przywiąże jej kamień do szyi, i każe ją utopić, jeżeli nie jest w ciąży.

Jeżeli kobieta jaka zabije swego przewodnika duchownego, albo swojego męża, albo swojego syna, sędzia kazawszy jej urznąć nos, ręce, wargi, i uszy, wystawia ją, ażeby była zabita przez krowy, byleby nie była w ciąży.

Jeżeli człowiek z kasty Szartrierów popełni cudzołostwo z Braminką wolną, za wspólną zgodą, będzie osądzony na zapłacenie tysiąc punów kaurich, i każe sędzia mu ogolić głowę, nasmarowawszy go oślą uryną.

Nie masz na świecie występku większego, jako zabić Bramina; dla tego sędzia żadnego z nich na śmierć nie osądzi, ani członki im obcinać będzie. Jeżeli Bramin będzie obwinionym, że pił wino, będzie napiętnowany żelazem rozpalonem na czole. Jeżeli popełnia cudzołoztwo z żonami swojego ojca, sędzia naznaczy go na czele piętnem rozpalonem, znakiem wstydliwego miejsca kobiety.

Jeżeli Bramin jeden zabił drugiego, sędzia napiętnuje mu żelazem rozpalonem na czele znak człeka bez głowy".

Legislacya kryminalna na wschodzie nie tak ma za przedmiot szukać obwinionych, jako bardziej niewinnych. Prawodawca używa całego rygoru sprawiedliwości przeciwko fałszywym świadkom. Kiedy zaczynają proceder kryminalny w Indyach, roztrząsają najpierwej obyczajność oskarżających świadków, niżeli zaczną sądzić o postępku oskarżonego.

Znaleźć jeszcze można na brzegach Malabaru, i po wielu częściach Indyi sąd przez dowód ognia, zna-

ny w Europie w wiekach barbarzyńskich. Kiedy kto jest oskarżony o złodziejstwo, i że jest na niego porozumienie mocne, przymuszają go, ażeby dowodząc swojej niewinności, włożył rękę w garnek oleju kipiącego. Jak tylko rękę wyjął z oleju, obwijają onę szmatą i znaczą szmatę pieczęcią koło garści; we trzy dni potem oglądają rękę; jeżeli na niej żadnych znaków nie masz spalenizny, oskarżony bywa uznany za niewinnego. Indyanie uciekają się czasem do innego sposobu, który niemniej jest dziki, do poznania prawdy. Przynoszą, mówi xiądz Buchet, wielkie naczynie okrągłe, do którego dziura jest tak mała, że ledwie ręka tam wleźć może. Sadzają w naczynie gadzinę, której ukąszenie śmiertelne jest. Kładą tam także i pierścionek. Każą potem temu, na którego pada podejrzenie złodziejstwa, dobywać tego pierścienia z naczynia; kiedy jest ukąszony, już miany za winowajcę. To wywodzenie się, w rzadkich tylko przypadkach jest używane. Kiedy występek po części jest już dowiedziony; sędzia stara się więcej przymusić oskarżonego do wrócenia szkody, niżeli do wyznania występku swego.

Każda kasta ma swoję legislacyą kryminalną. Oskarżeni przyprowadzani bywają przed Guru, sędziów naturalnych wielu zbrodni; kary wstydu i obelgi są częstsze w sądzie, niżeli kary śmierci. Zwyczajniejsze są: ogolić głowę kobietom, prowadzić po ulicach na ośle winowajcę, wypędzić go z miasta; zerwać znak dystynkcyi, który nosi, przymusić winowajcę, ażeby jadł z ręki Paria. Największa kara, którą Indyanin może ponosić, jest być wypędzonym z kasty swojej; razem on jest wyrzucony ze swojej familii, i ze swojej ojczyzny. Samotny jest między ludźmi, nikt się nie ośmieli dać mu pożywienie; jeżeli ma córki, nikt je nie weźmie za żony; jeżeli synów, żadna dziewczyna za nich nie pójdzie. Indyanin niemający kasty swojej, zdaje się, że już nie należy do narodu ludzkiego.

To postanowienie kast, zdaje się ustawą przedziwną. Powie ktoś, że jest ugruntowane na przesądach; ale przesądy, które mają za cel od tak dawnego cza-

su utrzymywanie towarzystwa, zdają się być lepszemi od smutnych wyroków rozumu. Lud pospolity łatwiejszy do rządzenia nim jest ten, gdzie można najwięcej zrobić przez opinią; a u Indyan podzielonych na kasty, przez opinią tylko robi się policya, i utrzymuje się porządek w społeczeństwie. Ta łatwość, którą mają królowie rządzenia swojemi poddanemi, przez wpływ dawnych przesądów, przykłada się więcej, jak można myśleć, do umiarkowania rządu absolutnego w Indyach. Władza niema tam co do robienia, kiedy za nię wszystko zrobiły przesądy; i prawa zachowywane są bez przeszkody, przez samę moc zwyczajów i obyczajności. Podzieleniem się na kasty, rząd zawsze lepiej może dojrzeć każdego człowieka; w tem nadto podzieleniu się, każdy członek składający kastę, ma interes powszechny, jakby swój własny; obelga która spływa na kastę całą, z występku jakiego w niej człowieka przymusza Indyan, ażeby jeden drugiego uważali, i utrzymywali się tak w obrębach powinności. I tym to sposobem policya każdej kasty utrzymuje moralność w swojej czystości, i prawa w mocy ich pierwiastkowej. Każda kasta do jednej jakiejś przywięzuje się professyi; i w Indyach samych iści się piękne systema Szmita o podziale roboty. Towarzystwo tam jest mocniej sklejone, i podobno znalazłby kto w tem ich połączeniu się, prawdziwą wolność polityczną wśród łona rządu absolutnego. Wielki Bossuet wynosi pochwałami kasty egipskie; ale kast egipskich już nie masz; kasty zaś indyjskie dowodzą jeszcze w ośmnastym wieku mądrość tych, którzy je ustanowili.

ROZDZIAŁ IV.

O Obyczajach.

Naród ludzki jestto wielka familia, której różne gałęzie pooddzielały się i rozproszyły po wszystkich częściach ziemi. Są podzielone przez odmienne zwyczaje, prawa, odległości; ale zawsze są złączonemi przez ten instynkt wzajemny, który jednych do drugich ciągnie, przez potrzebę ich wspólną poznania się. Im bardziej naród jaki jest oddalony, tem więcej natura zdaje się przybliżać go do drugich przez sentyment interesu obopólnego. Odkrycie narodu nowego, kraju jakiego oddalonego, było zawsze epoką w krajach cywilizowanych: zdało się, że znaleźli brata obłąkanego na pustyni, i że powrócił znowu do swojej familii.

Indya nie tylko przez morza jest oddzielona od Europy, ale nadto oddzieloną jest od nas przez odległość wieków. Niech dzisiaj kto nam powie, że Rzym, Babilon, Memfis powstały z grobów swoich, i że te ludy tak sławne w starożytności, pokazały się znowu na ziemi z ich obyczajami, zwyczajami, prawami które je różniły od inszych narodów; poczulibyśmy w sercach naszych sentyment najżywszy poszanowania i ciekawości, i czytalibyśmy najpilniej powieści wojażujących, któreby nam te cuda opisywały. Obyczaje Indyan są teżsame dotychczas, jakie były za czasów Rzymu, Babilonu i Memfis. Ustawy dawne, których szukamy w ruinach Herkulanum; w popiele, który był kiedyś miastem Palmira; można je znaleźć używane w Benares, w Dely, na brzegach Malabaru i Koromandelu. Indyanie o których można powiedzieć, że są bracią starszemi narodu ludzkiego, zachowali dotychczas pierwiastkowych wieków obyczaje. Religia miała

baczność nad ustawami ich, które broniąc od zębów czasu, Bóg ich Wisnu zachowujący wszystko pokazał wszechmocność swoję.

Obyczaje Indyan były najpierwej poznane przez Missyonarzów europejskich. Ci ludzie pełni gorliwości porzucili ojczyznę swoję, ażeby opowiadali narodom naukę Ewangelii; niedbali na skały morskie, na niebezpieczeństwa inszego klimatu, na wściekłość dawnej zabobonności byle tylko lud oświecili. Śmieją się teraźniejsi filozofowie z tych pobożnych zabiegów; ale nieroztrząsając tu prawdy nauk chrześciańskich, można tylko powiedzieć, że religia, która taki zapał mogła wzniecić w sercach apostołów, powinnaby mieć coś nadnaturalnego. Filozofia nie ma nic takiego, ani w swoich pryncipiach, ani w swojej obyczajności, coby tak mogło w dwójnasób wzmocnić siły człowiecze, i sprawić to niepospolite odżałowanie siebie.

Missyonarze, którzy obiegali Indyą, byli po większej części, ludzie światli; i jeżeli ich wędrówki nie zawsze były użytecznemi dla religii, przyczynili się przynajmniej do zwiększenia oświecenia naszego. To jednakże prawda, że Missyonarze często prześladowani, a prawie zawsze będący bez sposobów docieczenia pewniejszego, wzbudzili tylko ciekawość, nie mogąc jej zaspokoić we wszystkich punktach; ale przynajmniej byli przewodnikami wojażującym, którzy po nich nastąpili. W miarę jak handel europejski zaczął się szerzyć w Indostanie, łatwiej już było prostować i dopełniać powieści missyonarskie, a od pół wieku oswoiliśmy się z ustawami Indyan, które nam tak długo tajemne były.

Możnaby napisać wiele ksiąg o obyczajach Indyan, ale ja tylko krótkie zebranie robię mniej zatrudniony w wyszukiwaniu materyałów, jako bardziej w wyborze ich. Radziłem się ludzi światłych, którzy wiele lat bawili w Indyach; przywodząc uwagi ich, przywiążę się szczególnie do tego, co do tychczas znane nie było. Chcę wziąć Indyanina od jego kolebki, i iść za nim przez jego życie, aż do jego śmierci. Weźmę go w klassie środkowej, gdzie obyczaje zwyczajnie więcej zacho-

wują swoję czystość pierwiastkową. Ta klassa jest rzadko podlegającą odmianom, zostaje prawie taż sama zawsze, miedzy zepsuciem, które często napada na klassy wyższe, i prostotą ludu, który zwykł przeobrażać ustawicznie pierwiastkowe ustawy.

Narodzenie dziecięcia w Indyach jest dniem dziękczynienia bogom. Dziękują im, że raczyli pomnożyć pokolenie, albo familią. Ale połóg matki iż tam uważany jest, jak zmazanie jakie, ojciec z Braminami robi kropienie wodą lustralną w domu. Wszyscy domownicy nacierają sobie głowę olejem, i omywają z największą pilnością. Indyanie nie znają kolebek i powijania, które zatrzymują rozwinienie się sił w dziecięciu, i te nie były nigdy znane na brzegach Gangesu. Zaraz po połogu, który kobiety indyjskie łatwiejszy mają niżeli europejskie, i który samo klima robi mniej ciężkim, baba odbierająca niesie nowonarodzonego do rzeki, albo do jeziora dla obmycia. Od pierwszych dni jego pościelą jest kobierzec rozsełany na ziemi, i karmiony zawsze piersiami matki.

Dziesiątego dnia po urodzeniu zgromadzają się krewni i przyjaciele familii, ażeby nadali imie dziecięciu. Imię, które mu dają, jest zwyczajnie jakiego boga, który ma być jego aniołem stróżem na ziemi. Pierwej niżeli dadzą imię nowonarodzonemu, Braminowie pytają się planet; i jeżeli ich influencye pokażą się smutne, uciekają się do ceremonii, żeby odwrócić złe ich skutki. Wzywają boga Yamen, robią ofiary, leją na głowę dziecięcia wodę świętą z Gangesu. W sześć miesięcy potem zapraszają krewnych, ażeby byli przytomni ceremonii, która na tem zależy, ażeby pierwszy raz jadło dziecię ryż przygotowany z mlekiem ocukrowanem.

Nie dają dziecięciu żadnego ubrania, aż do czwartego, albo piątego roku. Igra w domu ze swoimi bracią i siostrami zupełnie nagiemi, jak i ono. Dla tego siły się tam nierównie prędzej rozwijają u tamtych dzieci, niżeli u naszych. Matka nie weźmie dziecięcia na ręce, aż w szóstym miesiącu. Czołgając się po ziemi dzieci, uczą się trzymać pomału na nogach, i

chodzić bez pomocy pasków. Rozum rozwija im się równie prędzej, jak i siły fizyczne: Więcej go mają w sześć lat, niżeli nasze w dziesięciu.

Szkoła dziecka na tem tylko zawisła, ażeby umiało czytać, pisać i rachunki. Prowadzą go do szkoły, gdzie w krótkim czasie bez ksiąg i papieru robi postępek do zadziwienia. Nauczyciel zgromadza swoich uczniów pod cień drzewa palmowego, przede drzwiami swojego domu, i kładzie przed każdym z nich trochę piasku; wyrównawszy piasek pisze palcem literę jednę alfabetu. Dziecko to naśladuje; i kiedy już wprawi się w formę tej litery powtarza swoję lekcyą przez cały dzień, wymawiając zawsze literę, którą na piasku pisze. Tak nauczywszy się całego alfabetu, nauczyciel mu powiada, jakim sposobem przez małą odmianę w formie jakiej litery można złożyć syllabę. Jakim sposobem przez odmianę także w literze, rodzaj, liczbę, spadek, albo czas słowa radykalnego można naznaczyć; nie męcząc go długiemi regułami grammatyki, której Indyanie w swoim języku nie mają. Kiedy już dziecię umie pisać słowa na piasku, a tak i czytać, usiłuje toż samo robić ostrem żelazkiem na liściu palmowym, które jest papierem Indyan.

Tym samym sposobem uczą dzieci rachunków i w krótkim czasie regułami najprościejszemi, widzieć można, jak z łatwością do zadziwienia rozwięzują największe liczebne zagadnienia. W izbach kupieckich dwóch tylko osób używają do rachunków najzawilszych, i pamięć jednego, jest tablicą dla drugiego. Pierwszy powtarza najdokładniej wypadki z rachunków drugiego, które ten według powiedzenia sobie zapisuje. Prócz tego, uczą się jeszcze dzieci języka perskiego, który w całym Indostanie jest językiem dworskim i dobrej kompanii, jak język francuzki na północy Europy. Wszystkich innych nauk nie znają.

Indyanie nie mają najmniejszego wyobrażenia malarstwa, równie jak i snycerstwa, jak dowodzą tego dostatecznie figury dzikie w ich pagodach. Ich muzyka, jest szumne brzmienie złączone z wielu instrumentów wrzaskliwych; ich śpiewanie jest bez harmonii, ich

taniec, jest śmieszne wyrabianie rękami, połączone z grymasami i wykrzywieniami ciała, prawie nigdy z miejsca się nie ruszając. Ich poezya, jest prawdziwe bałamuctwo, zbieranie frazesów bez rymowania; i byłoby to u nich nieprzystojnością, ażeby młody człowiek dobrze wychowany, uczył się podobnych rzeczy. Dosyć im, żeby kto z kasty niższej tyle umiał, iżby mógł im pokazywać swoję umiejętność za jaki pieniądz. Chłopcy nadewszystko, uczą się jeździć na koniu.

W edukacyi dziewcząt, dosyć mają na tym układzie, ażeby były dobremi żonami i matkami; dają im prócz tego naukę religii i moralności.

Kiedy piękność najpierwsza dziewcząt indyjskich na tem zależy, ażeby białemi były, młode panienki z pilnością chowane bywają przed słońcem. Zwyczaj namazywania je olejem, jak o tem mówią wszyscy wojażujący, między tylko niższemi kastami zachowywany bywa; między ludźmi, którzy są przymuszeni żyć z pracy rąk swoich, i którzy w samej rzeczy wystawiają dzieci swoje tak utłuszczone na słońce. Czem się dzieje, że takie dzieci mają skórę prawie czarną; kiedy przeciwnym sposobem bogatsi Indyanie są prawie biali. Komplexya kobiet jakąś na skórze ma gładkość i przezroczystość, że można przez skórę przebięgającą krew w żyłach ich widzieć, co łatwo postrzedz można na szyjach ich najpiękniejszych. Tych samych ostrożności od słońca używają i dla chłopców, nie tylko ażeby zachować ich piękność, ale także, ażeby im dać coś niewieściuchostwa i próżniactwa, co tam u nich najpierwszym jest znakiem bogactw i szlachetności.

Zaczynają wcześnie nauczać dziewczęta sposobów podobania się. Nauczają je wymuskiwać swoje włosy, czesząc je z pilnością, i nakrapiając olejkami wonnemi, i essencyami drogiemi, spuszczając je z gracyą na plecy w długie kręgi pierścieniami złotemi przewięzywane. Umieją poczerniać sobie powieki, co robi ich wejrzenie słodszem; daje więcej blasku dużym oczom, a czarnym. Umieją malować sobie czerwone paznogcie rąk i nóg, pokazywać przez muszlin przezroczysty najpiękniejszy gors na świecie, i pozwalać widzieć pod

tąż przezroczystą zasłoną małą i białą nogę, której palce i nadstopnie są jeszcze więcej przybrane pierścieniami i obrączkami, niżeli ręce i palce u nich. Słowem panny tamtejsze nic nie ustępują naszym europejskim w tej zwodniczej sztuce: a to mają więcej nad nasze, że nie potrzebują uciekać się do sztuki pokazania się z wdziękami swemi, bo natura przychylniejsza jest kobietom w tamtych krajach, niżeli u nas; ciężko tam zdybać młodą kobietę, żeby o niej powiedzieć można, że jest zupełnie brzydką. Wszystkie narzędzia toalety naszych kobiet, na nic im się nie przydadzą. Piękność idzie szukać wdzięków swoich, gdzie ma i religia swoje uświęcenie: i woda która oczyszcza duszę, jest jedyną ucieczką, do której się udają kobiety, ażeby dodały wdzięku młodości swojej.

Nie można widzieć więcej ochędóstwa, jak powszechnie u Indyan. To prawda, że na pierwsze spojrzenie zdaje się rzecz obrzydliwa, widzieć piękną Indyankę kładącą do gęby palcami żywność swoję: ale kiedy kto wie, że ta ręka prawa; która służy razem za łyżkę i za widelce, niczego nie dotknie się, i że wszystkie inne posługi należą do ręki lewej; prócz tego, że nigdy nie zapominają o tem, żeby przed i po obiedzie umyć się najpilniej, wtenczas ta odraza ustępuje, i nawet znaleźć można jakąś gracyą w takiem jedzeniu. Czystość i ochędóstwo jest im nawet zalecone przez religią, czyli bardziej jest częścią wiary ich, ufundowaną na tem principium, że osoba fizycznie nieczysta, musi być także i moralnie.

Religia Indyan zawisła po większej części na obrządkach, które zdają się, że są przepisane ludziom tamtego klimatu, ażeby utrzymywały ich zdrowie i życie. Nie uczą ich tego nigdy wyraźnie, jakie są nakazy i ceremonie religii, oni tylko naśladują to, co widzieli robiących rodziców swoich; i przykład ojca familii jest pryncypalną nauką, która idaje się dzieciom. Nałóg żywić sie potrawami, prostemi, po większej części rozlicznemi, robi w nich ze krwią charakter prawie jednaki. Są oni słodcy, dobroczynni, bez mocnych passyi, i natura sama wlała w serce ich uczucie, co jest

złem lub dobrem. Zdaje się, że obyczajność biorą z powietrza, którem oddychają pod dachem ojczystym; są oni cnotliwemi, tak przez nałóg, jako i przez obranie. Miłość dla rodziców nie jest im nigdy nakazywana, i nigdzie widzieć nie można dzieci bardziej kochających rodziców i podległych im. Są rzeczy, które tam nie są zabronione przez prawo, które jednakże są celem pogardy powszechnej. Obyczaje, więcej się zachowują przez wpływ domowych przesądów, niżeli przez prawodawstwo.

Indyanin rzadko miewa nauki, ale umie to dobrze, czego się raz nauczył. Nie mając łatwości poradzenia się książki, tem więcej wydoskonala rozumu swego sposobność. Nie widać w Indyach tego tłumu zbiorów dykcyonarzów, które są porobione, dla dogodzenia lenistwu głowy, i które same tylko kawałki wiadomości zamykają. Pamięć naszych uczonych Europejczyków jest w ich bibliotece, a Indyan biblioteka jest w ich pamięci.

Indyanin jest dotychczas dziecięciem, ale wkrótce przyjętym będzie w poczet ludzi. Przychodzę do epoki najznaczniejszej w życiu jego, to jest małżeństwa. Urodzenie człowieka jest otoczone chmurami, koniec życia jego żałośny, i łzami kropiony; ale małżeństwo postawione między pierwszą i drugą nędzą człowieka, jest epoką do której wszystkie narody przywiązały wyobrażenia wesołe i pomyślne. W tejto epoce człowiek prawdziwie wybiera sobie ojczyznę, robiąc się naczelnikiem nowej familii; zastanawia swoje mieszkanie na ziemi, i swoje przeznaczenie w rzędzie społeczeństwa. Indyanie wielkie dają znaczenie obchodowi swych małżeństw. Jak tylko młody Indyanin doszedł dziewięciu, albo dziesięciu lat, rodzice namyślają się wybrać mu żonę, a ta zwyczajnie dwoma, albo trzema latami młodszą bywa od niego. Starają się o to, ażeby te dzieci bawiły razem z sobą, aby w ich igraszkach niewinnych można dostrzedz, czyli nie mają jakiego wstrętu do siebie naturalnego.

W tym czasie rodzice układają kontrakt małżeński i przygotowywują ceremonie, które mają związać ten

węzeł cywilny. Ślub bywa czyniony, ale małżeństwo nie dopełnia się, póki wiek młodzieński nie przyjdzie. Wszystko jest ułożone przez roztropność rodziców i Manmadin (Kupidyn Indyan), nigdy nie jest wzywany w czasie przygotowań i pierwszych wesela ceremonij. To się będzie zdawało dziwnem, że rzadko widzieć można małżeństwa nieszczęśliwe w Indyach, chociaż małżonkowie biorą się, jak gdyby się nie znali, w wieku kiedy serce nie wie nic jeszcze, co to jest kochać. Ta obserwacya przeciwna jest małżeństwom, które my nazywamy małżeństwami ze skłonności wzajemnej. Zwyczaj żenienia małych dzieci, przyczynia się u Indyan do zachowania obyczajów. Nie widać nigdy Indyjczyka przepędzającego młodość na bezwstydach i niosącego potem przed ołtarz weselny resztę hołdu duszy i ciała wyniszczonego. Rozum i charakter młodych małżonków, rozwijają się pod oczyma ojcowskiemi. Indyanin nie zna tylko swoję żonę i żona nie myśli podobać się komu inszemu, tylko swemu mężowi. Chociaż się nie rozkochali przez wybór, przecież się kochają przez nałóg; a tym sposobem obyczaje zachowują się najczyściejsze, namiętności są mniej burzliwe, Indyanie żyją szczęśliwszemi i dłużej. Krew ich, można mówić, ma czystość ich duszy a ich zaludnienie jest liczniejsze i piękniejsze.

Kiedy wszystkie przygotowania weselne są dokończone, kładą posąg Poleara na dziedzieńcu domu ojczystego. Braminowie czynią bogu wesela ofiary, skła dają przed nim kokos, banany i betel; wzywają jego protekcyi i proszą go, ażeby łaskawie patrzył na złączenie się, które się obchodzić ma. W dniach które poprzedzają małżeńskie śluby, tanecznice tańcują balety, i śpiewają pieśni weselne na honor nowożeńców. Rodzice odbierają pod namiotem wizyty ceremonialne i dary od tych, którzy przychodzą winszować państwu młodym. Wesele zawisło na balu, który trwa przez wiele dni, i na procesyi uroczystej po ulicach pryncypalnych miasta, gdzie rozkładają do dziwienia się publiczności wszystkie prezenta dane nowożeńcom a nawet i łóżko weselne. Mnóstwo bajaderów poprzedza palankin, w którym niosą pannę młodą. Pan młody jedzie na koniu,

za którym jego krewni. Ta kalwakada zatrzymuje się na wszystkich miejscach publicznych, a bajaderowie bawią pospólstwo swojemi tańcami, wtenczas, kiedy instrumenta, które poprzedzają procesyą, brzmią bez przestanku. Dom państwa młodych i ulice pobliskie ubrane są girlandami, i całą noc illuminowane, a póki trwa wesele, żaden sąsiad spać nie może.

Indyanie, jakeśmy uważali, są bardzo zabobonni. Nie tylko wierzą w influencyą astrów, ale nawet robią sobie prognostyki z najmniejszych zdarzeń życia: mówią, że oczy ludzkie mogą być urokliwe, czyli czarodziejskie, których uroków skutki odwracać należy. — Gdyby wtenczas, kiedy państwo młodzi po mieście przechodzą się, trafiło się, żeby kto widząc pannę młodą, zazdrościł panu młodemu takiej żony, mają to za znak zły dla małżeństwa. Dla tego powróciwszy z processyi tryumfalnej, gdzie państwo młodzi byli wystawionymi na oczy niedobre, robione bywają ceremonie dla oddalenia uroków. Obracają trzy razy przed oczyma państwa młodych naczynie pełne wody czerwonawej, potem wylewają tę wodę na ulicę. Czasem rozdzierają na dwoje, przed oczyma państwa młodych, płótna kawałek, i rzucają dwa kawałki rozdarte, jeden w jednę a drugi w inszą stronę. Często na tem kończą, że tylko podrzucają przed oczyma młodych, kawałek płótna a potem to płótno wyrzucają, jakoby napojone jadem nienawiści. Przywiązują także na głowach nowożeńców, pewne misterne cyrkuły, którym dają moc odwracania wróżby szkodliwej. Te ceremonie zwyczajnie bywają dopełnione przez stare kobiety, które nie mogą na siebie ściągnąć zawiści żadnej. Piękne i młode, gdyby to robiły, przyspieszyłyby nawet złe, nie żeby go odwrócić miały.

W dniu wesela państwo młodzi siadają jedno koło drugiego. Wiele naczyń pełnych wody i ułożonych w cyrkuł; kładą przed nimi. Braminowie modlą się, ażeby sprowadzić w największe naczynia wielkiego boga i wielką boginią Szywena i Parwedy albo Wisnu i Latszymi. Bóstwa poniższe, jako to Dewerkelowie, proszą braminowie, ażeby zstąpiły w najmniejsze naczynia. Lampy po-

zapalane, reprezentują Agwini, boga ognia, jak naczynia znaczą inszych bogów. Rozniecają ogień z drzewa poświęconego; Braminowie na ogień rzucają masło, i mówią modlitwy w języku sanskryt. Ojciec natenczas daje w rękę swojej córki betel, bananasy i pagody złote i kładzie tę jej rękę w ręce swojego zięcia. Matka leje trochę wody na ręce państwa młodych. Ojciec w obecności Szywena, Parwady i wszystkich Dewerkelów, co w naczynia powstępowali, biorąc na świadectwo boga Agwini, daje córkę swoję temu, którego obrał, ażeby był zięciem jego. Bramin natenczas bierze klejnot jaki panny młodej i okazuje go bogom, boginiom, Braminom, krewnym i inszym gościom. Pokazując go każdemu przytomnemu, Bramin powtarza te słowa sposobem niby życzenia czyniącego się państwu młodym: „Będą mieli kamienie drogie, złoto, krowy i wiele dzieci.“ Małżonek bierze klejnot i przywiązuje na szyi żony swojej, a wtenczas śluby już się skończyły. Pan młody przysięga przez boga ognia, że będzie kochał żonę swoją; żona obiecuje być wierną powinnościom małżeństwa i naśladować Aryndali, której Indyanie, a najbardziej Talmowie, życie najlepsze w małżeństwie, kobietom wszystkim dają za przykład. Jak tylko panna młoda wychodzi z lat dziecinnych, ponawia się znowu wesele. Te ceremonie, często bywają zrujnowaniem familii. Kiedy Indyanin znaczny i bogaty żeni się, Braminowie schodzą się o dwadzieścia mil na około; Sonnerat mówi, że czasem ich będzie do pięciu i sześciu tysięcy, i żywić ich trzeba przez wiele dni.

Cała ta okazałość, samą tylko próżność tuczy. Indyanie nie znajdują w niej tego szczęśliwego spoczynku, który jest wszystkich żądań jego objektem; dlatego powraca z radością do osobności domu swojego. Wszystkie jego ukontentowania są zgromadzone wśród jego familii. Próżnowanie jest jego dobrem najwyższem. On nie szuka tego, ażeby albo się rozerwał, albo głowę sobie nabijał interesami mniej więcej ważnemi, on niczego nie żąda i dusza jego tak mało potrzebuje, jak jego ciało. Można widzieć młodego Indyanina leżącego po całych dniach, w miejscu gdzie chłodnem swojego do-

mu, otoczonego swoją familią, bez inszej żadnej zabawki tylko żującego betel, i palącego swoją uckę. Ta jednostajność przerwana jest czasem przez przybycie jednego albo dwóch sąsiadów, którzy tak, jak i pan domu, biorą się do puszki z betel; łatwo to każdy wniesie, że tam nie gości wesołość z temi gośćmi. Rozmowa, ani jest żywa, ani jaka dowcipna. „Słowa (mówi jedno przysłowie wschodnie), są jak lekarstwa, które dobrze służą, kiedy ich z umiarkowaniem zażywamy, a które szkodzą, jeżeli niemi zbytkujemy.“

Kobieta ze swej strony nie zna tam większej zabawki, jak mieć u siebie złotnika, który jej oprawia klejnoty. Łatwo temu gustowi dogodzić można w kraju takim, gdzie złotnik tak mało potrzebuje narzędzia. Kiedy poddyma swoim małym mieszkiem, kiedy roztapia, lutuje złoto albo srebro, które mu dano, pani nie oddala się od niego na moment; jeżeli cel jego pracy jest coś znaczący, rzemieślnik często otoczonym jest wszystkiemi w sąsiedztwie mieszkańcami. Godzina chyba obiadu może ich oderwać od tego zabawnego dla nich widoku.

Ich jedzenia nic takiego nie mają, czemby ściągnęły apetyt Europejczyka. Naczelna ich potrawa jest ryż moczony, a potem w wodzie gotowany. Często dla oddalenia nudności tej potrawy codziennej, domy indyjskie uciekają się do jakiej potrawy, bardzo korzeniem przyprawnej. Woda ryżowa, do której kładą wiele pieprzu długiego i soli, jest ich napojem zwyczajnym. Po jedzeniu rozdają jakiś rodzaj sorbetu: wino i likwory mocne są wygnane z bankietów indyjskich. Przygotowanie stołowe zawisło na rogóżce, którą rozściełają na ziemi. Szcrokie liście bananierów, są u nich talerzami, i jakeśmy już powiedzieli, miasto łyżek, widelców i nożów, mają tylko prawą swoją rękę. Nie mając inszego celu, tylko ugasić apetyt, nie kwapią się tak bardzo do jedzenia i nigdy ich proste jedzenia nie kończą się zbytkami. Godzina, która następuje po tym ich skromnym obiedzie, jest zupełnie poświęcona na strawienie i upływa zawsze w nieczynności największej; Indyanin nie

porzuci tego swojego odpoczynku, choćby mu dom się zapalił.

Przystrojenie pokoju, podobne jest do stołowego porządku; a nawet między najpierwszemi familiami nie znajdzie się tam, chyba jaki kobierzec i poduszka, kilkoro naczynia z miedzi albo ze srebra, dla czerpania wody do picia, mała skrzynia na klejnoty żony a druga na narzędzie do ubierania się; wielka do tego paka dla chowania odzieży całej familii i ucka czyli wielka lulka dla gospodarza domu. Domy ich są podobne do takich meblów; są bardzo niskie i nie mają inszej ozdoby, tylko pobielenie murów. Familia zgromadza się zwyczajnie na korytarzu podniesionym na dwie albo na trzy stopy od ziemi, który okrąża wewnątrz dom wybudowany w kwadrat. Pokoje są bardzo ciasne, oświecone małemi okienkami, które dane są na dziedziniec wewnętrzny, czasem zamknięte okna żaluzyami, bo tam szkła nie znają. Zbytkowanie w domach indyjskich, jest zbytek przez bogów przykazany, największe w domu ochędóstwo. Indyanin zawsze wychodzi z izby swojej, kiedy ma plunąć i niżeli wejdzie do domu rzuca pantofle.

Familia domowa z rana tylko wychodzi z domu, lub wieczorem kiedy wielkie upały kończą się, albo się kąpać, albo oddawać wizyty, albo dla przepędzenia kilka godzin w ogrodzie; ale we wszystkich tych zdarzeniach, widzieć ich można zawsze nie zajmujących się żadnem czuciem, prócz tylko swojej spokojności niezamięszanej.

Pan Henrichs, z którego wzięliśmy część tych wiadomości, zabrał znajomość w Madras z prezydentem handlu krajowego, Tyntiunu, człowiekiem między najbogatszemi z Indyan w tem mieście. Będąc on połączony handlem z najpierwszemi bankierami angielskiemi, widział z blizka zbytki ich i usiłował ich naśladować; wszelako nic nie odmieniając swoich zwyczajów i swojego sposobu życia. Między inszemi zbytkami, w pięknym ogrodzie, który miał blisko miasta, kazał sobie wybudować pawilon w guście włoskim; ten pawilon był umeblowany po europejsku. Dla okazania

swoich bogactw i przesadzenia jeszcze europejczyków, nie dosyć mu było, że meble jego były najdroższe, krzesła, taborety, nawet stoły i komody, były ze słoniowej kości nasadzane złotem i hebanem, ławy były przykryte najdroższemi japońskiemi kobiercami; w około sali dziwiono się obrazom i biustom najkosztowniejszym, po stołach pełno wszędzie zegarów i inszych kosztownych piękności sprowadzonych z Anglii albo z Chin, lustrów bez liczby wiszących od sufitu, jednem słowem wszystko to razem było tak nawalone, chociaż niby z jakąś symetryą układane, że zdawało się, jakoby to był magazyn jakiś mebli, nie sala. W pokoju sypialnym widzieć można było łóżko, podobne do mebli sali; i podobno najdrożej przystrojone, jak kto kiedy mógł widzieć. Wszystko, co tylko żądanie jakie wzbudzić mogło, tam było sprowadzone. Gabinet bliski był bogato umeblowany gustem tureckim, z wezgłowiami czerwonemi złotem garnirowanemi i przykrytemi muszlinem. Może kto pomyśli, że pan tego miejsca używał go i tych jego okazałości; był w pośrodku bogactw swoich, jak Ryot, którego przypadek jaki sprowadził do pałacu, był on tylko stróżem ale nie panem domu swego; obchodził czasem swoje te najwspanialsze pokoje, ale większą część czasu widziano go ze swojemi przyjaciołmi siedzącego na rogożkach na korytarzu pawilonu, którego drzwi pootwierane, pozwalały cudzoziemcom wchodzić i zadziwiać się nad zbytkiem mebli, które jak gdyby tylko na przedaż były wystawione, a których nikt nie używał. Uważano to, że Indianin wszędzie nad czemsiś zastanawia się, ale zastanawia się z obojętnością.

Zawsze to za rzecz niepojętą mieć będziemy, jak może Indianin nie nudzić się ustawiczną tą swoją nieczynnością, to, co u nas w Europie najnieznośniejszem jest. Ale zdaje się, że Indianin jest niejako uorganizowany do próżnowania. Ze wszystkich objektów, które się Europejczykowi podobają, żaden mu nie jest miłym; zdaje się, że on mniej żyje przez zmysły, niżeli przez duszę. Indyanin zasnąłby na naszych najpiękniejszych operach; i szczęścia, żeby miał swój betel do żucia, nie mieniałby nigdy na nasze fety najokazalsze.

W naszych ożywionych kompaniach, idziemy szukać rozkoszy, szczęścia albo pociechy, której w sobie nie mamy; Indyanin urodził się szczęśliwym, bo on to wszystko ma zawsze w sercu swojem. My zakładamy na tem szczęście nasze, ażebyśmy niejako sami od siebie uciec mogli, wchodząc w tłumy i zgiełki; Indyanin zdaje się robić przeciwnie; nad tem się wysila, ażeby się szukał, siebie poznawał i sam z sobą zostawał. Ciężkoby odpowiedzieć, który jest człowiek smutniejszy czyli ten, co w sobie samym znalazł pociechę, czyli ów, który ustawicznie jest przymuszanym wyjść z siebie, aby ją znalazł?

Uczucie mocne ciekawości, nie zgadzałoby się ze mdłą krwią Indyanina, dla tego też jest on zupełnie nieciekawym. Czasem Fakirowi każe sobie powiadać jakie historye albo wiadomości z miasta swoim służącym. Widzieć tam można takich, których cała zabawa przez dzień, nosić ptaka i żywić go swoją ręką; insi bawią się bilboką albo czem podobnem. Praca, będąc udziałem ubogich, bogacze tuczą się tem wyobrażeniem, że są szczęśliwemi w oczach inszych.

Rzadko znaleść bibliotekę w domu Indyanina. Biblioteka Rajów indyjskich, mówi Kardon, była założona z wielkiej liczby książek, że potrzeba było sto wielbłądów do przewożenia jej. Jeden Rajah, przyjaciel nauk, prosił mędrca, żeby wybrał krótko to wszystko co się w każdej książce znajduje i złożył z tego bibliotekę mniejszą i łatwiejszą do przewożenia. Mędrzec porobił wyjątki i dosyć było dziesięć wielbłądów do przewożenia jej. Inszy król i tę liczbę książek miał jeszcze za wielką. Zlecono Braminowi, żeby jeszcze je zmniejszył; on całą tę bibliotekę zamknął w tych czterech maksymach:

1. Sprawiedliwość powinna być duszą spraw królewskich, ona robi spokojność w jego państwie i miłość w sercach jego poddanych. Niesprawiedliwość przeciwnie jest źródłem wszystkich zamieszań i oddala od niego serca wszystkich.

2. Państwo nie może się utrzymać, jeżeli obyczaje tych, którzy go składają, są zepsute. Naprożno odwo-

lywać się tam na prawa. Powinien tedy Rajah przeszkadzać wciśnieniu się złych obyczajów między swoich poddanych. Lud cnotliwy, jest zawsze ludem wiernym.

3. Jedyny sposób utrzymywania zdrowia, tego daru tak drogiego, jest wtenczas jeść, kiedy się chce, a przestać, kiedy jeszcze apetyt nie zupełnie zaspokojony.

4. Cnota kobiety zawisła na jej ustroniu, co ją ochrania od okazyi; niech będzie niewidziana od nikogo, kto nie jest mężem jej; niech nawet nie patrzy na mężczyznę inszego, choćby był pięknym jak anioł.

Biblioteka najliczniejsza w Indostanie jest w akademii Benares. Jest ona składem ksiąg świętych; ale zabroniono jest prostemu Indyaninowi mieć te księgi u siebie. Są napisane w języku sanskryt, który sami tylko Braminowie rozumieją. Gdyby który Bramin powiedział komu obcemu to, co czytał w Wedam, byłby wyrzucony ze swojej kasty. To utrzymywanie się Braminów przyczyną jest, że sekret zwyczajów i religii indyjskiej jest niedocieczony. Sonnerat jest najpierwszy wojażer francuzki, który pokazał jakieś światło w tej rzeczy. To prawda, że dzisiaj Braminowie pokazują się w tej mierze mniej trudnemi i towarzystwo uczone w Kalkucie, które radziło się zabytków świętych i świeckich indyjskich, odkryło nakoniec tę zasłonę, która zakrywała zabobony i obyczaje indyjskie.

Mówiliśmy, że Tippo-Saib miał bibliotekę złożoną ze dwóch tysięcy ksiąg. Syn starszy Nabada Arkot, zebrał cztery tysiące woluminów w swojej. Ale dziwiono się temu zgromadzeniu książek, jako rzeczy bardzo rzadkiej. Cała literatura znana w familiach indyjskich zawisła na niektórych bajkach moralnych, które zostawiają rodzice dzieciom swoim, jako obyczajność dziedziczną; na na niektórych także powieściach wschodnich, co je Fakirowie w przechodach swoich, opowiadają po domach, gdzie goszczą. Można myśleć, że ta literatura jest wysadzona i z uprzedzeniem; zawsze trąci sposobem życia tych literatów błąkających się.

Indyanie mają niektóre bajki, które są weselsze od ich charakteru. Te bajki, gdzie prawie zawsze żo-

ny oszukują swoich mężów, są materyą wszystkich ich komedyj. Z tego jednak nie można Indyanów sądzić z surowością. Oni są zwyczajnie lepszemi, niż ich reprezentują na teatrze; i ich bajarze, równie jak ich poetowie dramatyczni, przesadzają swoje malowania, aby je zrobić zabawniejszemi. Nic nie jest podobniejsze do dania materyi muzie dramatycznej, jak życie domowe Indyan; wzięte nadewszystko w pierwszych klasach.

Żony indyjskie chociaż wolniejsze od machometańskich, jednakże wiodą życie osobne i prawie ostre. Nakazy Braminów mówią, że kobieta nigdy wychodzić nie będzie z domu swojego, bez pozwolenia swego męża, że zawsze będzie miała piersi zakryte i że ich nigdy nie pokaże; nie będzie śmiać się bez zasłonienia się swoją zwyczajną zasłoną; nie wejdzie nigdy do domu obcego, nie będzie się przede drzwiami zatrzymywać i nigdy nie będzie patrzeć przez żaluzye. To co się tycze kobiet w prawie Gentu, widać, że nie wiele znały wykwintnych umizgów: Kobiety (mówią prawa indyjskie), mają sześć przywar im własnych: pierwsza niepomiarkowana żądza klejnotów, mebló, sukien pięknych i jedzenia smacznego; druga, niepowściągliwość bez końca; trzecia, gwałtowna skłonność do gniewu; czwarta, nienawiść głęboka a kryjąca się; piąta, zawiść dla której biorą za złe najlepsze uczynki drugich; szósta, skłonność naturalna do złego.

Czas jest powrócić do domu naszego Indyanina. Żona, którą pojął, jeżeli jest niepłodna, mało tam ważoną. Czynią ceremonie, uciekają się do bogów, ażeby była płodną; ale jeżeli zacznie rodzić a osobliwie chłopców, przestają mieć ją za przedmiot przeklęstwa bogów i ziemi. W miarę jak małżonkowie posuwają się w lata, familia pomnaża się nie tylko przez dzieci, ale i przez pobocznych krewnych, którzy kiedy nie mają wsparcia od swoich bliskich, schronienia szukają u dalszych krewnych. Ten zwyczaj żywienia bez różnicy wszystkich krewnych, jest zachowany w kastach nawet najuboższych. Można często widzieć prostego wieśniaka utrzymującego razem ze swoją familią kilka ciotek, synowic, swego dziada, babkę albo krewnych swojej żo-

ny. Byłoby to wstydem dla niego, gdyby się wzbraniał dopełnić tego świętego obowiązku i owszem tem chętniej go wypełnia, im bardziej pewnym jest, że po jego śmierci jego krewni toż samo z jego dziećmi i żoną zrobią.

Indyanin trzeźwy i spokojny, nie jest wyjętym od słabości do natury ludzkiej przywiązanych. Wielka część chorób europejskich są znane w Indyach. To złe okrutne, które napada płodność w jej źródle, w ostatnich klasach bardzo się tam szerzy, w których obyczaje nie są tak czyste. Wolter powiedział, że wszystko przychodzi od wschodu i złe i dobre. Dając obszerniejsze znaczenie temu zdaniu, trzebaby Indyanom zrobić honor z chorób wenerycznych; ale my nie utrzymujemy tej opinii. Gdyby to złe miało swój początek w Indyach, jestto jasna rzecz, że zrobiliby jaki postępek w leczeniu go. Ale mało oni mają sposobów wstrzymywać szerzenie się jego, a w niektórych prowincyach mało jest familij, gdzieby ta zaraza nie była niejako dziedziczną; trzeba myśleć, że ta choroba przyszła do Indyj ze złotem amerykańskiem, które więcej niż od dwóchset lat tonie w imperium Mogoła i rozsiewa na swoich przechodach występki, wzburzenie namiętności i choroby. Sztuka lekarska w Indyach jest zostawiona tym, którzy żadnego sposobu życia nie mają. Zawisła na niektórych tylko przepisach, których się łatwo nauczyć można i na niektórych ceremoniach religii, gdzie więcej ufności zakładają na dobroci bogów, niż na sprawności ludzkiej.

Przystępujemy do ostatniego momentu Indyanina. On przepędzał życie swoje daleki od rozruchów świata, on nie smakował w rozkoszach żywych, ale za to wiele złego uniknął. Każde wschodzące słońce w jednakiej go znajduje postawie, i jego życie upływało z jednostajnością szczęśliwą, jak pory roku u nich. Podobny do rośliny w ogrodzie swoim, rośnie, i potem upada spokojnie na miejscu, gdzie mu natura urodzić się pozwoliła. Kiedy śmierć we drzwi jego zakołacze, rzadko go znajdzie z żądaniami i układami na długą przyszłość. Śmierć nie tak mu się ostro wystawia, bo

jest obrazem spoczynku, którego szukał przez całe życie: „Lepiej jest (mówi jeden mędrzec indyjski) siedzieć niżeli stać; spać, niżeli być obudzonym; i umrzeć, niżeli żyć."

Europejczycy, którzy to czytacie, wniesiecie łatwo, że nie wielka jest odległość od szczęśliwości domowego życia Indyanina, do szczęśliwości, którą mędrzec znajduje w śmierci. Ale jak dzieci Bramy, czyliż i my nie szukamy spoczynku? Chociaż nasze obyczaje różnią się od ich, równie jednakże do jednego celu dążymy. W Europie pracujemy, ażebyśmy kiedyś spokojnie żyli; w Indyach odpoczywają, ażeby jeszcze odpoczywali. Natura zawsze jednak jest w dążeniu do porządku powszechnego i mędrzec nie widzi różnicy wody potoka, która upływa z szelestem ażeby znowu przyjść do swojej równowagi i wody jeziora odbijającej na sobie spokojnie obraz niebios.

Kiedy Indyanin ostatniego ducha wyzionął, z całej okolicy zgromadzają się płacznice, których lamenta drogo opłaca familia. Dom był miany za nieczysty w czasie jego rodzenia się, nieczystym jest i w śmierci jego. Czynią kropienia wodą lustralną, ażeby go oczyścić. Jeżeli był z sekty Szywena, grzebią go w ziemi, a jeżeli z sekty Wisnu, ciało jego spalone bywa. Niżeli go poniosą na stós ognia albo do grobu, ubierają umarłego w odzież najpiękniejszą; kładą mu betel w gębę i Braminowie w pośrodku familii płaczącej proszą bogów, ażeby zgładzili zmazy umarłego. Indyanie mają cmentarze swoje za miastem i każde pokolenie ma swój. Pogrzeb robi się wieczorem, kiedy przybliżanie się nocy przyczynia świętego pomięszania, do tej żałobnej ceremonii.

Jeżeli żona przeżyła męża, wiedzie ona żywot nieszczęśliwy. Wdowieństwo uważane jest w Indyach, jak kara zesłana od bogów na kobietę. Wdowy żyją w odludności, porzucają swoje klejnoty, wyrzekają się wszystkich rozrywek, dla wypłaeenia się przeznaczeniom.

Od czasu jak mahometanie zrobili się panami Indostanu, zwyczaj kobiet skakania w ogień po śmierci swoich mężów, nie tak był powszechnym w Indy-

ach. Cesarze mongolscy surowo go zakazywali w prowincyach podległych władzy ich. I chyba to tylko działo się przez łaskę jakąś szczególną i przez mocną jaką protekcyą, kiedy wdowie, poddance państwa, pozwolono dawać te ostatnie dowody przywiązania żony do męża. Europejczycy zakazali tego zwyczaju surowiej jeszcze, niżeli mahometanie. Pan Henrichs, który bawił dziesięć lat w Indyach, jeden tylko widział przykład tego dzikiego ofiarowania się. W miesiącu czerwcu roku 1784, młoda wdowa przyszła prosić komendanta w Tripator na brzegach Koromandelu o pozwolenie zabicia się dla zmarłego męża. Komendant zabronił, powiedziawszy o wyraźnych zakazach, które miał od swego rządu. Przydał do swojej odpowiedzi niektóre uwagi nad barbarzyństwem tego zwyczaju. — Familia indyjska odeszła, ale znowu przyszła nazajutrz razem z Braminami i z pierwszemi mieszczanami, którzy prezentowali komendantowi sorbet (znak uszanowania u Indyan) i zaklinali go na nowo, ażeby pozwolił dopełnienia tej ofiary. Naczynie, w którym był sorbet, było oddane adjutantom jeneralskim, którzy z wielką trudnością przynieśli go na stół. Komendant, który postrzegł ciężar naczynia, przybliżył się do niego i znalazł, że było napełnione pieniędzmi. Powtórzył uwagi które i wczoraj czynił, ale już tonem nie tak ostrym; skończyło się, że się dał ubłagać, ażeby się nie sprzeciwiać tolerancyi uniwersalnej, która nadewszystko zakazuje poruszać naród w pełnieniu obowiązków swojej religii; młoda wdowa otrzymała pozwolenie spalenia się.

Ta wdowa, była piękna kobieta, która mieć mogła szesnaście do siedemnastu lat. Przepędziła lat pięć w życiu spokojnem ze zmarłym swoim małżonkiem, który nie doszedł był jeszcze lat dwudziestu. Chciała nawet jeszcze podczas choroby męża pozwolenia dopełnienia tej akcyi heroicznej. Miasto tego, że trupa nazajutrz palić mieli, był on wystawiony na widok ludu przez trzy dni. Bangalo (gatunek to jest daszku z bananierów) przystrojony kwiatami, był położony przed bramą domu. I tamto ta dobrowolna ofiara siedziała przy ciele swojego męża, wystawiona na dziwowisko

publiczne. Była przybrana z całą okazałością orientalną i otoczoną tłumem Braminów, którzy ją zachęcali do tego szlachetnego ofiarowania się, wynosząc aż do nieba zasługę tego czynu. Dwaj bliscy krewni siedzieli u nóg jej w postawie smutnej. Wszyscy muzykanci miejscy uszykowani ze dwóch stron Bangalo, napełniali powiętrze brzmieniem instrumentów, woźny czasami obwoływał tę ofiarę miłości małżeńskiej. Zgiełk instrumentów trwał noc całą, kiedy miasto było illuminowane. Wdowa schroniła się wieczorem do domu, ale nikt z przytomnych, którym rozdawano betel i kwiaty nie odszedł. Każdy chciał witać rano bohaterkę, jak pierwsza jutrzenka sprowadzi ją znowu pod Bangalo.

Cała ta okazałość na to była, ażeby wzbudzać i zachęcać tę nieszczęśliwą ofiarę. W czasie dwóch pierwszych dni, które uprzedziły ofiarę jej, pan Henrichs nie mógł w niej widzieć żadnego znaku smutku; i owszem jej postawa była spokojna, jej piękne oczy czarne zdawały się być wypogodzone. Trzeciego dnia już miałą spojrzenie smutne i bojaźliwe, i nic nie gadała; cera jej była blada i całe ciało trząść się zdawało.

Nastąpił nakoniec dzień fatalny; już od południa schroniła się była wewnątrz domu swojego; muzyka głośniej brzmiała i wszystkie miejsca były napełnione ciekawemi, kiedy okropna procesya wychodzić zaczęła. Na przodzie jej szli muzykanci potem kupa płacznic następowała z głowami nachylonemi, ale bez głośnego narzekania. Ciało męża niesione na marach między długim szeregiem Braminów, następowało zaraz; nieszczęśliwa ofiara, pokazała się przybraną jeszcze kosztowniej, niż dni przeszłych i otoczona sześcią pryncypalnemi Braminami, którzy nie przestawali ją zachęcać, wynosić pochwałami i obiecywać jej chwałę wieczną.

Jednakże twarz tej nieszczęśliwej nie była to taż sama i równego jak dawniej nie wzbudzała uczucia. Oko jej dzikie i twarz jej odmieniona, nie miały wyrazu żadnego sentymentu; opadła płeć jej i gęba otworzona, wystawiały obraz kobiety pijanej i było to widoczne, że odurzyli rozum jej, dawszy jej dozę jakąś opium. Kiedy się chwiała, była utrzymywaną przez

swoich krewnych, którzy kończyli procesyą. Stan jej zgłupienia zdawał się powiększać w miarę, jak procesya przybliżała się do stosu przygotowanego w małej odległości od miasta, w dziurze na trzy stopy głębokości, nad którą drzewo podnosiło się na stopę. Tam ciało z marami złożone było i robiono jeszcze jakieś ceremonie mniej znaczne, postanowione na honor Yamen boga śmierci.

Tymczasem ta nieszczęśliwa kobieta, była jak śpiąca zupełnie. Kiedy się skończyły ceremonie, pozdejmowano z niej klejnoty, zasłoniono jej twarz własnemi włosami i przyjaciele jej żegnali się z nią ostatecznie, kiedy ona żadnego prawie znaku czucia nie dawała. Dwaj Braminowie wzięli ją wtenczas za ręce i okrążyli z nią stós trzy razy, z okrzykami powszechnemi. W tem krewni przybliżyli się z pochodniami i podpalili stós. Jak tylko nieszczęśliwa postrzegła płomień, razem się ocknęła jakoby ze snu swojego i zatrzymała się, a potem zaczęła iść z pośpiechem. Byłto skutek poruszenia konwulsyi, która obróciła się w tak gwałtowną, że ci, którzy ją prowadzili, użyli całej siły, aby ją utrzymać; zatrzymali się nakoniec na miejscu fatalnem i położyli ofiarę naprzeciwko twarzy męża jej, który już był otoczony dymem i płomieniem. Wyrwała się jak jędza jaka z rąkt ych, którzy ją prowadzili, nie chcąc już słuchać ich ostatnich słów cieszących ją, i jak tylko uczuła się być wolną, wskoczyła w płomień na ciało swojego męża. Wtenczas niewypowiedziane okrzyki radośne wszyscy przytomni uczynili i instrumenta, które dotychczas milczały, napełniły powietrze zgiełkiem niesłychanym. Krewni rzucali małe wiązki drzewa i garki z olejem, jak weń ta ofiara wskoczyła; a Braminowie, zapewne przez politowanie, ożogami rozniecenia się większemu ognia dopomagali. Pan Henrichs komenderowany przez swego jenerała do asystowania tej ceremonii i utrzymywania porządku, uważał wszystko, jak się co działo; i widział, siedząc na koniu, że niektóre uderzenia ożogiem, były w głowę tej nieszczęśliwej, ażeby tak prędzej skończyła cierpienia swoje. Ostatek tej sceny barbarzyńskiej był taki, jaki

w spaleniach zwyczajnych; i zgromadzenie powróciło z tryumfem do miasta. Kilka dni potem kolumna wystawiona na miejscu stosu, przypominała przechodzącym rozrzewnionym, heroizm młodej i nieszczęśliwej Latszemy; to było imie wdowy, która się ofiarowała na pamiątkę swojego męża.

Nie trzeba myśleć, żeby to była miłość Indyanek dla swoich mężów tak mocną, że nie mogą przeżyć śmierci małżonka. Taki zbytek podniesienia się duszy nie może się znaleść w sentymencie spokojnym, który napełnia ich serca.

Drugą opinia niemniej fałszywa, która przypisuje ten zwyczaj zawiści mężczyzn, którzy nie mogą znieść na sobie tej myśli, ażeby kto po ich śmierci brał żony ich. Zawiść Indyan nie jest tak mocna, ażeby ich ciągnęła do takiej zbrodni. Zkądinąd kobieta, która nie ma już czerstwości młodego wieku, (a wiemy jak tam wcześniej kończy się młodość u kobiet Indyjskich) nie może już w nikogo wmówić uczucia, które się trzyma bardziej nałogu, niżeli żywej skłonności. Insi mniemają, że ten zwyczaj oddawna był wprowadzony przez jednego cesarza Indostanu, dla przeszkodzenia swojej żonie, która się zakochała w książęciu następcy tronu, ażeby go nie struła. Dow, sławny przez swoję historyą Indostanu, powiada, że ten zwyczaj zrobił się z jednego miejsca położonego w księdze Wedam; które jest takie: „Żona, która umiera ze swoim mężem, będzie z nim używać życia wiecznego w niebie.“

Chociaż to tłumaczenie się pana Dow umocnione świadectwem Braminów jest jasnem, nie jest jednakże zupełnie zaspakajającem. Każe wnosić o zwyczaju ustanowionym, ale nie pokazuje początku jego. Ten zwyczaj zdaje się być dawniejszym od przykazania Wedam. Dawna historya uczy nas, że w najodleglejszej starożytności ta okrutna ofiara była we zwyczaju nie tylko dla kobiet, ale równie i dla przyjaciół i dla niewolników zmarłego. Im więcej ludzie w pierwiastkowych wiekach żyli samotnemi na ziemi, tem bardziej złączonemi byli potrzebą miłości i przyjaźni. Mężczyzna albo kobieta, któremukolwiek z nich śmierć odebrała

małżonka, przyjaciela, pana, zostając sam z przykrościami tylko tego życia, szedł dobrowolnie do grobu, żeby tam odzyskał wsparcie, które stracił, i używał szczęścia, które mu religia ofiaruje na tamtym świecie. W miarę formowania się i rozszerzania życia w społeczeństwie, związki domowe powinny były osłabnąć; zaczęto mniej żałować umarłych, bo znajdowano więcej sposobności zapomnienia ich; i sposobów nagrodzenia tej szkody. Ale to, co z początku robiono przez przywiązanie, robią dotychczas przez nałóg i próżność tam, gdzie despotyzm zachował w wielu narodach zwyczaj ustanowiony przez miłość nie przyjmującą pociechy żadnej.

Pierwsze kroniki Indyan są napełnione przykładami bogiń i królowych, które się zabijały na pamiątkę mężów swoich. Wirgiliusz maluje nam Dydonę ginącą na stosie po odjechaniu Eneasza. W czasach mniej oddalonych, Mnestor wyzwoleniec Agrypiny, zabił się z żalu na pogrzebie tej pani. Toż zrobiło wielu żołnierzy przy stosie cesarza Ottona. Za naszych przodków Gallowie, kiedy szef familii umarł, ci, którzy mu za życia jego byli najmilszemi, do grobu z nim zstępowali. — W Egipcie pierwsi urzędnicy stanu, bywali pogrzebieni razem z monarchą. Naszych czasów, kiedy Han tatarski umiera, często widzieć można, jako jego bliscy krewni albo przyjaciele, zabijają się na jego grobie. W Japonii po śmierci cesarza, dziesięć, dwadzieścia lub trzydzieści osób znaczniejszych i wielu jego wazalów, rozrzynają sobie brzuchy, ażeby wraz z nim pomarli. Wędrownicy powiadają, że po śmierci króla syamskiego, jego żony i jego faworyci, rzucają się na stos swojego króla.

Tyle przykładów zdaje się dowodzić, że zwyczaj, o którym mówimy, nie ma swojego początku z Wedam i że do wyższej starożytności należy. Żaden naród, jakośmy powiedzieli, wierniej nie zachował zwyczajów staroświeckich, jak Indyanie. Zkądinąd uważać trzeba, że zwyczaj skakania na stos zmarłego męża, tylko się między kobietami znaczniejszemi zachowuje. Próżność podobno niemniej do tego przyczyniła się, jak religia.

Może to być, że stan nieszczęśliwy wdów indyjskich jest im powodem do tego poświęcenia się barbarzyńskiego, które jest bardziej dziełem rozpaczy niżeli heroizmu. Wdowa tam nie może więcej pójść za mąż a w porze lat 20, już widzi niknący blask młodości swojej. Wreszcie nie będziemy się więcej zagłębiać w roztrząsaniu początków zwyczaju tego, który się gubi w nocy wieków i w ciemności ustaw świata pierwiastkowych.

PISMA POZOSTAŁE
FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

Pieśń do Najjaśniejszego Imperatora Aleksandra, przez dwanaście panien ubogich, z powodu przybycia jego do Grodna wyposażonych przez obywatelów, śpiewana.

Kiedyś się do nas przybliżał, Panie,
Radość przed Tobą pierwej przybiegła,
Wstąpiła w każde Grodna mieszkanie,
I mieszkających serca zaległa.
Widzisz ją w twarzach, jeszcze to mało:
Jakże jej wiele w duszy zostało!

A teraz z Tobą razem przybyła:
Ludzkość, łagodność i cnót gromada,
Która Ci wszędzie towarzyszyła,
W domu i w drodze bawić się rada.
Ciebie i gości takowych nieba,
Trudnoż to ludziom przyjąć jak trzeba!

Z podniety Twojej pańskiej litości,
Zajął się ogień obywateli,
Że na pamiątkę Twej tu bytności
Posagi rozdać ubogim chcieli,
Wiek opóźniony będzie Cię chwalił,
Któryś ten święty ogień zapalił.

Rzucajmy wszędzie kwiaty z wieńcami,
Którędy ojciec narodów idzie,
Te kwiaty zwiędną, bo są kwiatami,
Na czułość naszę ten los nie przyjdzie.
Słodycz dnia tego, czuć będziem stare:
Bo widzę jakąś słodycz nad miarę!

Wyjątek z poema pana Delille o politowaniu nad służącymi.

Nie hańb sługi, co twemu oddał się skinieniu,
Niech służy twej potrzebie, nie zaś uprzedzeniu.
Pokryj twarzą ojcowską, ostrość władzy twojej;
Niechaj przy surowości zawsze słodycz stoi.
Niech pan łagodny, kiedy ma sługę wiernego,
Mienia z nim dobrodziejstwa za gorliwość jego.
Każdy z nich swoim węzłem widząc się związanym,
Ten zdaje się nie władać, ów nie być poddanym.
Serce pierwej zgadnie, niżli co kazali,
Idzie za swą ponętą i ponętę chwali.
A tak skłonność z dobrocią dokaże powoli,
Że posłuszeństwo weźmie postać dobrej woli.
Przyjaźń to nad powinność lepiej usługuje!
Ale to, co ci litość nad wszystko wskazuje,
Postarzały w twym domu ten twój sługa miły,
Co go już lat i służby ciężary schyliły,
Pofolgnj mu, niech jego dawność spracowana
Ma za przychylność jakąś nagrodę u pana;
Już nic zdoła, wszelako chce robić dzień cały,
Jego przykład ci służy, gdy ręce zemdlały.
Nestor służących: jego wiek im rozkazuje,
Jego uśmiech pochwala, zwrot oka strofuje.
Gdyby wreszcie gorliwość jego oczą być miała,

Czyż zechcesz, by mu w nędzy starość upływała?
Czyż możesz nieczułości twej zostawić świadki,
Dni straconych dla ciebie zapomnieć ostatki?
Litość i sprawiedliwość tego broni zgoła,
Ale jeżeli trudom w mieście nie wydoła,
Niechby gdzie mieszkał na wsi, w tym słodkim uchronie,
Jeszcze ci użytecznym mógłby być na stronie.
A ty, gdy cię w dniach pięknych chęć na wieś położenie,
Przyjdzie ci tam z rozkoszą na niego spojrzenie,
(Tego świadka twych uciech, smutku domowego)
Jak na jakie wypisy świata dawniejszego.
On przez twoich dawniejszych robót wspominanie,
Stawi ci w myśli twoje bitwy, polowanie,
I czynów twego życia historyą całą.
Sprawy wygrane; i to oblężenie z chwałą,
Gdzieś był ranny; wesele i twe słodkie chuci,
A ta ci powieść, młodość niejako powróci.

Do Elżbiety z Poniatowskich Branickiej kaszt. krakow. z okoliczności sług jej starych.

Pani! imieniem, rzeczą, jakich znaleść mało,
Tobie to tłumaczenie prawem należało.
Delill serca poeta, tu miałby rycerzem,
Sług twych od lat pięćdziesiąt, Gaspra z Kazimierzem.
Oni nie chcą być na wsi na łaskawym chlebie,
Bo nic tam nie obaczą milszego nad Ciebie.
Długim wiekiem z usługą oswojeni twoją,
Chociaż stać ledwie mogą, za krzesłem twem stoją,
Albo gdy po ogrodzie masz przechadzki małe,
Wloką jeszcze za tobą nogi ociężałe.
Myśląc: „może się potknie, to ją poratuję“
Biedny! a on to ledwie, że ma ręce, czuje.
Oni wieczorem dzieje młodszym powiadają:
Co to za nieboszczyka pana trudów mają.
Szumne na osób dwieście stoły zastawiano;
Tu muzyka, tu tańce, tam teatra grano.
Teraz blisko czterdzieści lat, jak owdowiała,
Mniej pani tak wystawnych obiadów dawała.

I spokojniejszy przy niej wiek mają służebni.
Co jej przepych nie zabrał, to wzięli potrzebni.
Umie jak sobie począć w szczęściu i w przykrości,
A zawsze idąc dobrze, przyszła do starości.
Pani! lat siedmdziesiąt z górą Bóg cię chowa,
Jak i te twoje sługi, żyj do stu lat zdrowa.
Po których po nagrodę z góry obiecaną,
Ty, jako dobra pani, ci jak słudzy staną.

Klorys i Egla.

Klorys z Eglą nazwałbyś aniołami dwiema.
Obiema skromność rządzi, niewinność obiema.
Nad Eglą Klorys miała nabytych cnót z górą,
Starsza: bo była matką; a Egla jej córą.
Tobie (mówiła Klorys) tobie miłe dziecię,
Aby ci szło spokojnie i wiodło się życie,
Nadewszystko przestrzegać skromności należy,
Co cię to ma wstrzymywać, że kto jak chce bieży.
Idź prostym torem cnoty, każda ubocz krzywa,
A występek i czerni i wzgardą okrywa.
Trzeba ci z sobą walczyć, Eglo ukochana,
I nie iść tam, gdzie droga wiedzie kwiatem słaną.
Świat cię czeka obłędny i piękne pozory,
Zgłębiać masz, co fałszywe, co brać masz na wzory.
Kochaj cnotę nad wszystko, znaj żeś w Boga pieczy,
Jedna cnota, jeden Bóg, o dwie proszę rzeczy.
Eglo! z pociechą widząc wiosny twojej porę,
W te cię kwiaty przystrajam, nie więdnieją które.
Idźże tak, jak ci radzę, abyś nie zbłądziła,
Ciebie ja o to proszę, com cię urodziła!
Zaklinam cię na los twój, on prac moich płatą!
O ty! jedno me dziecię!... Rzecze Egla na to:
Wzorów cnót upatrywać każesz mi bez wady?
A w tobie cóż ja widzę?... alboż nie przykłady?...

Trzy panny do wybrania, niewinna, piękna, bogata.

Ja niewinność mam na czele,
Chociaż majątku nie wiele,

Czego mi nikt nie poruszy.
Mój dostatek w mojej duszy.
Insza się twarzą nadstawi,
Inszej morze złoto pławi,
Tej w skarbach, tej ufność w ciele,
Ja niewinność mam na czele.

Jam zdrowa i wiek mój młody
Różą mi zdobi jagody,
Ledwie mię kto z chłopców z oczy,
Sto ich koło mnie się tłoczy.
Co z miłością stanie w rzędzie,
Wszystko od niej niższą będzie,
Wszystko zastąpi uroda,
Jam zdrowa, piękna i młoda.

Ja bogata! kto bogaty,
Najpierwsze do niego swaty
Złoto światem całym włada,
I najkrócej ludziom gada.
Wielka piękność bywa szkodną,
Głodna niewinność jest głodną.
Wdzięki i ty głodny wstydzie.
Z drogi, z drogi, złoto idzie.

Pieśń wieśniaków puławskich w dzień imienin swojej Pani.

Księżno twójli wieśniak śpiewa,
Za której zwróceniem powiek,
Wszystko się w szczęście odziewa:
Kwiaty, drzewa, bydlę, człowiek.

Nasza księżna lud swój lubi,
Dobrze się nam przy niej dzieje,
Wieśniak nią się pyszny chlubi,
Jak słońce, świeci i grzeje.

Nikt przy niej nie doznał licha,
A twarz jej wypogodzona

Zawsze się do nas uśmiecha;
Jak sosna, zawsze zielona.

Agata smutna chodziła:
Widziała ją, jużci śpiewa.
Księżna oczom naszym miła.
Jak pięknej pszenicy niwa!

Żyj najdłużej kobiet chwało:
Niech cię zły los nie dotyka,
Niech cię szczęście przejmie całą,
Jak woda wodę przenika.

Pieśń do Kloe.

Nieś potoku te łzy moje,
Blisko ciebie Kloe żyje,
Umywać będzie twarz swoję,
W nich się umyje.

Gdyby jeszcze skosztowała
Tej ze łzą zmięszanej wody,
Możeby ze mną płakała
Mojej przygody.

Pieśni gości na zapustach do Maryanny Prozorowej, Wojewodziny Witebskiej.

Za twoje serce najlepsze w świecie
Serca ci nasze kiedy oddamy;
Choć nas w twym domu tak wiele, przecie
My na tej zmianie zysk jeszcze mamy.

Żyj długo, pani, i ciesz się z nami,
To mówią starsi, to mówią młodzi;
Bóg twój przed złemi stanie losami,
Że ci na świecie nic nie zaszkodzi.

Pieśń na imieniny Felicyanny z Głuchowskich Laskowskiej, Wojsk. Kobr. śpiewana od dzieci i wnucząt.

Twoje nam imie szczęście oznacza,
Twa dobroć błędy nasze wybacza,
Tyś u nas pierwsza, tyś u nas sama,
Tyś domu tego radość i mama.

My teraz młode, lat mało mamy,
Gdy się starości swej doczekamy,
Jak dziś, każda ci wtenczas też powie:
Felicyanno!.. szczęście ci, zdrowie.

Pieśń na drożyznę.

Jakaż to drożyzna! jaka!
Czegoś dostał za szóstaka,
Dzisiaj ceni talar cały;
Jeszcze towar przeleżały.

Kiedy człeka zdejmą żądze,
Niedba wtenczas o pieniądze,
Wszystko, co ma w worku złoto,
Wrzuci razem w słodkie błoto.

Ale potem, jak zmiarkuje,
Że roskosz drogo kupuje,
Woli na chleb schować grosze,
Z tamtem czeka na uprosze.

Fragment o sławie.

Tu sola animos, mentemque peruris
Gloria!... Te viridem vidit, immunemque senectae
Phasidis in ripis stantem, juvenesque vocantem,
Valerius Flaccus de Jasone.

Sławo! której powaby najsilniej nas wiodą!
Ciebie to Jazon widział hożą, wieczno-młodą,
Gdyś go z wysokich Fazu brzegów wyglądała,
I burzliwą z nim młodzież ku sobie wołała.

Ciebie dawnemi krzywdy Greków zajątrzony.
Szukał po krańcach ziemi młodzian Macedony,
Płakał, że mu świat jeden zamała opłata;
Ciebie znalazł krwi kosztem i swojej i świata.

Bohater, żeby się nim daleki wnuk chlubił,
Tysiąc razy sam ginął, tysiąc razy, ubił;
Jak trawy ludy krajów w zapale wykosił;
Pozmiatał baszty z ziemi, góry poprzenosił.

Na obory puławskie.

Krówko! w tobie I-o chodzi,
I ten byk hoży z centkami,
Od tego ród swój wywodzi,
Co świeci między gwiazdami.

Tak na puławskie obory
Ziemia z niebem się składały,
Żeby między bydląt twory,
Co najpiękniejsze to miały.

Z okoliczności jabłoni, przezemnie szczepionej w Brzostowicy, u szefa Stryjeńskiego, przyjaciela

Połóż kamień przy jabłoni,
Cośmy ją razem szczepili,
Siadać będziemy koło niej.
Siąść z przyjacielem najmilej.

Posadź żonę, szczęście twoje,
Nad nas dwoje któż ci szczerszy?
Podziel to jabłko na troje,
Jeść będziemy owoc pierwszy.

Powiedz twemu Zygmuntowi,
Gdy nań spadnie ta włość cała,
Niech co rok święto odnowi
Przyjaźni, co nas wiązała.

Że té jabłka imie mają:
Niech przyjaciołom swym powie:
Niech im nas przypominają:
To się Franciszek, a to Jan zowie.

Do Marcina Badeniego, kawalera ord ś. Stanisława przyjaciela.

Wśród ludzi mam tu krainę samotną;
Jakże tu kopno, ale nie namłotno!
Ta ziemia szczerych przyjaciół nie rodzi,
Tu zysk zwyczajnie przed przyjaźnią chodzi.

W jakże dalekiej odemnie krainie,
Mieszkasz cnotliwy Badeni Marcinie!
Jabym żył dłużej, żyjąc bliżej ciebie,
Tu mię przed czasem mój smutek pogrzebie.

W mym domu, między obrazami wielu,
Nie mam portretu twego przyjacielu,
Przynajmniej wpośród ustawnej tęsknoty,
Ten wizerunek bawiłby mię cnoty.

Do szczęścia, które po śmierci nas czeka,
Ja i to kładę za szczęśliwość człeka:
Że tam się przyjaźń nigdy nie rozdzieli,
Będziem wciąż widzieć Boga i siebie widzieli.

Wtenczas dopiero poznasz z przekonania,
Jaki był stopień mego przywiązania;
Gdy dusza moja z twą się duszą spoi;
Tak rany tęskne śmierć mi chyba zgoi.

Do Antoniego Karniłowicza Missyonarza, Nauczyciela Wymowy i Poezyi w szkole Łyskowskiej.

Ledwoś mieszkańcem został w naszej stronie,
A już me serce pozyskałeś sobie;

Bądź pewien o tém, iż w miłych mych gronie,
Liczyć cię będę, póki legnę w grobie.
Wszystko, co tylko przyjaźń zawięzuje,
Wszystko w osobie twojej się zawiera,
Cnota, nauka, w czem ja słodycz czuję,
Oto jest właśnie, co mą przyjaźń wspiera.
Jesteś lat młodych, to z większą twą chwałą,
Że nam się starym przypodobać umiesz;
Każdy osądzi iż to sztuką całą
Zawsze tak czynić, jak czynić rozumiesz.

Pieśń do trzech Panien.

Antonina Radziwiłłówna. — Izabella Brzostowska.—
Anna Błędowska.

A ja stary, a wy młode,
Jakąż z wami mam zabawę?
Trudno zgodzić z ogniem wodę,
Stary z młodą przegra sprawę.

W smutku, chcąc rozrywki w świecie,
Czynię wam z serca ofiary;
Jakże wy to przyjmujecie?
Biedny! zapomniał, że stary.

W najpierwszem téj pieśni słowie,
Wszystkie trzy jesteście w szyku,
Wy mi w sercu, wy mi w głowie,
Ja wam tylko na języku.

MYŚLI POZOSTAŁE

OD I. CZĘŚCI ROZMÓW PLATONA Z UCZNIAMI SWEMI.

Od Rozmowy o Cnotach i Występkach.

Kiedy fortuna rozdaje dary swoje, z jakimże tłumem przystępują wszyscy: brat odpycha brata, przyjaciel przyjaciela, a czasem i syn ojca.

Mniejsze to tylko szczęście miewa wielu zazdrośnych ale wysoki stopień fortuny jest jak ów ogień, który jak tylko w płomień wielki zajął się, zaraz ma mniej dymów koło siebie.

Lepsze mi życie w tém ciele mojem, niżeli w posągu Fidyasza.

Ten który umiera bez sławy umiera całkiem.

Jeden uśmiech pański do kogo, robi mu przyjaciół, a cnota i zasługa wiele kosztują, jednakże często nienagrodzone.

Prawdziwa wielkość jest słodka i popularna, schyla się przez dobroć do niższych, ale to jej nie przeszkadza, że się zaraz wróci, jak drzewo nagięte do naturalnej postaci swojej.

Taxować człowieka z odzienia bogatego, jest to cenić drzewo z kory jego, nie zaś z owoców, które daje.

Nienawiści bywają tak zastarzałe, iż najpewniejszym znakiem jest, że chory umrze kiedy się godzi z nieprzyjacielem.

Im bogatszy ojciec, tem mniejszy żał bywa często synowi widząc go umierającego.

Człowiek nigdy nie jest u siebie: bojaźń, żądza i nadzieja wypędzają go z domu, i odbierają mu czucie czasu przytomnego, łudzą go przyszłym.

Honor i majątek poruszają świat cały: są to marne ognie ponocne, które w podróży naszej w błąd nas prowadzą.

U Lukanów było prawo: ktoby podróżnego do domu nie przyjął, ażeby karanym był.

Bezpieczniej jest siedzieć nieznajomemu w zakącie, niżeli wysokich przyjaźni szukać, i być potem odrzuconym.

Dardańczykowie Illiryku trzy razy tylko myli się: rodziwszy się: żeniąc się, i po śmierci.

Ateńczykowie w początkach wołu orzącego nie zabijali, że to jest towarzysz prac ludzkich około roli.

Pytagoras mawiał: bogowie dwiema rzeczami sobie najmilszemi z ludźmi się podzielili, kochać prawdę i dobrze czynić potrzebnym.

Kalisto, nierządnica ateńska, mówiła do Sokratesa „Ja od ciebie prędzej odciągnę twoich wszystkich uczniów, niżeli ty moich.“ Sokrates odpowiedział: „Ty ciągniesz z góry na dół, a ja pod górę.“

Któremu w rozrzutności na niczem nie dosyć, temu i wszystkie popełniać występki niczem jest.

Nie jest pochwalony, kogo zbrodzień jaki pochwala, ani człowiek upodlony obelżyć może zacnego.

Dobra znikome najczęściej, ani rozumu, ani cnoty, ale fortuny są darami. Nie tak zaś dbać mamy o ich obfitość, jak o dobre ich użycie.

Ciężkie milczenie temu, kto cierpi.

Krótki nam bieg życia natura wyznaczyła, ale chwały nieskończony.

Mścijmy się nad fałszywymi przyjaciołami, strzegąc się i nic im nie wierząc; a nad ogadującemi ludźmi, pełniąc cnotę i żyjąc chwalebnie.

Sława najbardziej zagrzewa młodych, a u starych nałogiem bywa.

Zbrodnia, kiedy się popełnia, zaraz od sumienia karę odbierać poczyna.

W grach hazardowych bardziej litować się należy nad pomyślnością ludzi, niżeli nad ich nieszczęściem: bo tamta im utwierdza zły nałóg, a to wstrzymuje od nałogu.

Zdaje się, że cnota jest znieważoną, kiedy się szczęści bezbożnemu.

Cnota ma swoje czasem rozkosze: Wchodzi cnotliwy nieustraszony z głową nachyloną, i oczyma zamkniętemi w wolu rozpalonego, tyrana Falarysa.

Ten jest najnieszczęśliwszy, który myśli, że jest najszczęśliwszy.

Lepiej jest kogo obrazić przez prawdę, niżeli zasłużyć sobie na miłość przez pochlebstwo.

Szczęście ciała jest w zdrowiu, a duszy w mądrości.

Wielkość radości jak i smutku, potrzebuje wsparcia przyjaźni.

Ten, który odbiera dobrodziejstwo, ma o niem do śmierci pamiętać, a który je wyświadcza, niechby o tém zapomniał.

Są ludzie głupi, którzy w całem życiu niemyślą, albo jeżeli myślą, to tylko o drugich, nie o sobie.

Są ludzie fałszywi, którzy umyślnie udają litość nad nieszczęśliwym, aby się tak wprowadzili do serca szczęśliwych.

Człowiek uczciwy, gdzie idzie o publiczne wykonanie prawdy, mówi ją śmiało, jako mający za świadka Boga, świat i potomność.

Ile masz przyjaciół, tyle rąk, nóg, oczu, z których każde dobru twojemu służy.

Ten najnieszczęśliwszy, kto w nieszczęściu nie ma ktoby go żałował.

Dbaj o majątek w starości: nawet lepiej jest, ażeby po twojej śmierci dostał się choćby twoim nieprzyjaciołom, niżeli, żeby za życia zabrakło ci wesprzeć przyjaciela.

Trzy są rodzaje niewiadomości rzeczy: niewiedzieć

o czém zupełnie, wiedzieć źle, i wiedzieć co inszego, nie to, co trzeba wiedzieć.

Majątek twój może się zrujnować: spiesz się dawaj go przyjaciołom i nędznym, to się pewnie zostanie.

Są takie postaci ludzkie, na które spojrzawszy, albo zgadniesz, że wielkim człowiekiem jest, albo, że nim być powinien.

Bogowie chcieli mię mieć na ziemi nieszczęśliwym: kiedy się dogodziło woli ich, umieram kontent.

Czterech jest wielkich lekarzów, których wszędzie zdybać można: Praca, Dyeta, Spoczynek w czasie, i Wesołość umysłu.

Trzcina uchyla się wiatrom, żeby się znowu podniosła; pyszny dąb nie chce, i złamany.

Nie weszła nigdy w moje wrota fortuna, ale też za to nie żalę się na jej niestateczność.

Żył ktoś długo na świecie dla pokazania mu cnoty i zdatności swojej, ale ludzie za jego życia nie dbali.

Jedni ludzie żyją czasem przeszłym, a to ci, którzy rodowitością swoją chlubią się; drudzy przyszłym, którzy samą nadzieją żyją; i trzeci teraźniejszym, byle im się dobrze działo póki żyją.

Zemsta jest podłych dusz dziełem, a darowanie winy człowieka wielkomyślnego oznacza.

Natura nam dała dwoje uszu, a jeden język, ażebyśmy więcej słuchali i patrzyli, niżeli mówili.

Ubodzy w tem szczęśliwi, że, jeżeli mają przyjaciół, pewnie prawdziwych.

Panowie nie mają prawa do zbytków, jeżeli poddanym ich zbywa na potrzebie.

Praca i trudność w dostaniu, robi większą rozkosz; ale nie szafuj tą rozkoszą, a będziesz ją miał dłużej.

Kto lubi żartować ze wszystkich, ma nieprzyjaciołami wszystkich.

Serce, które tylko swoje nieszczęście czuje, warte jest żeby cierpiało.

Nie kwiatem, ale cierniem, usłana droga do sławy.

Z wielużto skłonności ofiarę uczynić potrzeba, ażeby kto zrobił się cnotliwym.

Każda z wymyślonych potraw na stole, z mocnemi a smacznemi przyprawami, jest to nowy nieprzyjaciel na zdrowie nasze.

Praca przeciwko nudzeniu się lepszem jest lekarstwem, niżeli rozkosz.

Wszystkie blaski bohatyrów i ludzi próżnością świata zajętych, odstępują człowieka umierającego: jedne tylko cnoty, jeżeli miał jakie, cieszą go przy zgonie.

Jesteśmy w życiu jak w domu podróżnym, trzeba się obrachować i drogo zapłacić za wygodę.

Natura daje nam życie, jak gdyby pożyczała pieniądze bez terminu: czegoż mruczeć, że je odbiera, kiedy zechce.

Śmierć jest zawczesna tylko dla tych, którzy umierają bez cnoty.

Życie człowieka dzieli się na pięć części, to jest: niewinność, namiętność, umiejętność, urzędy, nabożeństwo: pierwsze, dzieciństwo; drugie, młodość; trzecie, wiek średni; czwarte podeszły; piąte stary.

Cnotliwa starość spokojna: nie zna ani żądzy, ani bojaźni, owszem cieszy się, że się wali zawada, która ją oddzielała od Boga.

Najwięcej nawiedzin mają dłużnik i rozrzutny.

Dzielimy się z śmiercią dniami naszemi, te które minęły, ona wzięła; nam tylko się reszta została.

Politowanie mogą mieć ludzie najgorsi, ale wspaniałość umysłu sami tylko ludzie wielcy.

Więcej ludzi boi się złej sławy, niżeli sumienia.

Obchodź się z ludźmi jak słońce, które złym i dobrym świeci.

Tymoteusz, wódz ateński, będąc u Platona na skromnej wieczerzy, gdzie razem i rozumnie rozmawiano, powiedział: a kto był na wieczerzy u Platona, ten i nazajutrz nieglodny.

Łaskawa fortuna robi duszę miękką, a przeciwna hartuje ją.

Podły pochlebca ujmuje chwały człowiekowi wielkiemu, kiedy go chwali.

Z anatomii docieczono: że mózg człowieka podobny zupełnie do mózgu małp, a dociec nie można, zkąd rozum człowieka tylko w mózgu mieści się.

Myśl sobie człowiecze, zrobię to dobre dzieło, żeby znać było, że żyłem.

Nie przykrz sobie, chociażby ostre zapomnienia przyjaciół: wszakże masz w domu pszczoły z żądłami dla miodu.

Człowiek fałszywy czego nie dokazał w lwiej skórze, bierze na siebie skórę liszki.

Skąpy żyje nie żyjąc, i drugim swe życie zostawia.

Wiele rzeczy niedostaje ubogiemu, ale łakomemu wszystkiego.

Lubisz mówić prawdę, przygotuj się wcześnie, ty za nią cierpisz.

Biion, mędrzec, wszystkich ludzi poczciwych nazywał uczonemi, że według prawideł cnoty żyją.

Szczęśliwy, który obrawszy drogę życia bez błędów i uprzedzenia, idzie do swego noclegu bez bojaźni.

Mów i czyń prawdę, świadcz ludziom dobrodziejstwa, tak będziesz bogom podobny.

Wielu jest, którzy dają; ale mało, którzy dać umieją; a mniej jeszcze, którzy umieją odbierać łaski.

Nie wszystko odbierać można, co nam kto daje.

Nie potrzeba, ażeby czasem zbrodnia tuczyła cnotę.

Kto świadczy zbrodniom, sobie uszkadza, pogardza cnotliwym i utwierdza w nałogu zbrodniarza.

Inszy więcej sobie trudów zadaje, ażeby udawał poczciwego, aniżeliby kogo kosztowało, żeby był nim w rzeczy samej.

Poznać to, że nic nie wiem doskonale, jest najpierwszą mądrością, a poznać niesprawiedliwości własne, jest najpierwszą cnotą.

Człowiek skłonniejszy jest do kłócenia się z drugiemi, niżeli do przyjaźni: a miłość własna tego jest przyczyną.

Rzadko ludziom szczęście i rozum razem dany do użycia tego szczęścia.

Przychodzimy na świat, jak na targ: ten dobrze kupił, a ten się oszukał.

Płacz cudzy uczy mię czegoś i przypomina cnotę, której postać jest bardziej posępna, niżeli śmiejąca się.

Wszyscy wiedzą drogę do mądrości, ale ledwie kto do niej przychodzić chce.

Spanie długie ciału, duszy i interesom każdego przeciwne. Spaniem nikt nie zarobił.

Dawniejsi Grecy cudzoziemca gościa przyjmując w domu, pierwej mu największe czynili wygody, a potem dopiero pytali się, ktoby był i zkąd?

Mamy się za upodlonych, kiedy kto upadla to, co szanujemy.

Łatwiej o ofiarę Bogu, jak o cnotę: może dla tego ubodzy są cnotliwszemi, że nie mają czem win swoich odkupować.

Nieszczęśliwego westchnienie jest to niby słowo, którem ból swój wyraził: tak gada natura.

Nad insze zwierzęta człowiek ma dar przewidzenia i nadziei: te to nam dary natura trucizną bojaźni zaprawiła.

Wielu ludzi pamięta tylko o tem, czem byli, a zapominają, czem są.

Dawne Traki przyzwyczajali jastrzębie do łowienia różnego ptastwa.

Najwięksi nieprzyjaciele często pogodzą się, ażeby słabszego pognębić mogli.

Niedbałym staraniom fortuna często przeszkadza.

W mniejszych to tylko smutkach można z żalami rozwodzić się, ale żal wielki tamuje słowa.

Platon utrzymywał, że każdy, kto sprawiedliwy, szczęśliwy razem jest; ani się bogów, a tem bardziej ludzi nie boi.

Sprawiedliwość jest hamowanie namiętności, a niesprawiedliwość uleganie im.

Są ludzie, którzy nikogo nie mają w nienawiści: bo się nikogo nie boją.

Fortuna macza kwiaty w goryczy i tak rozrzuca je na ludzi.

Nad wszystkie tajemnice i uroczystości dawnych Greków, największa była bogini żniwa Cerera. Znak to był szacunku rolnictwa u nich.

Jak mam iść drogą i równo, kiedy mnie gniew ślepy popycha.

Rozpustnik jest, jak ów żebrak ustawicznie się naprzykrzający; ale miłośnik z przyjaźnią, jest jak ów dobry dziedzic gruntu, który go codzień robi lepszym, aby lepiej używał.

Miłość z czasem stygnie, a przyjaźń nabiera siły.

Nikt nigdy nie żałował, że się w zapędzie passyi swojej zatrzymał.

Kiedy nad kim roskosz panuje, stoją na boku spłakane cnoty.

Zysk nabyty przez zbrodnią, szkodą jest; pieniądze powetować można, tamtej nigdy.

Jeżeli mówimy o drugich to, co się nam podoba, usłyszymy o sobie to, co boli.

Pamiętam to, co chcę pamiętać, a nie mogę zapomnieć tego, co chciałbym zapomnieć.

Są choroby, w których lekarzowi na duszę bardziej chorego, niżeli na ciało oglądać się należy.

Nie może mieć życia szczęśliwego, kto czasem nieszczęścia znieść nie umie.

Namyślaj się długo przystępując do roboty, ale jak tylko zacząłeś, kończ najpilniej.

Bądź grzeczny ze wszystkiemi, a najbardziej z krewnemi: temu zaś, który ciebie obraża mów: słodko mi kochać ciebie; zostaw mi tę słodycz.

Mówiąc o człowieku, że ma charakter, rozumiemy o tym który pewny sposób działania swego stale utrzymuje.

Sekret jest cudza własność, nie wydawaj go drugim, on tobie w depozyt oddany.

Nie wstydź się gdy zdybiesz krewnego ubogiego: ale wstydź się, kiedy go nie ratujesz.

Zapomnij o sobie dla twego przyjaciela, a on cię przyprowadzi znowu do ciebie.

Pięknie być rywalem swego przyjaciela, ale tylko cnot jego i sławy.

Człowiek cnotliwy nie żałuje i życia swego, gdy o to chodzi przy dobrej sprawie, i to jest ostatnią pieczęcią cnoty.

Mądry jest stały, ale nie uparty.

Odwaga bez rozumu zwierzęca, a z rozumem ludzka.

Szukają ludzie bogactw, co im ciężko: cnotę wszędzie znaleźć można, a szukać jej nie chcą.

Wielcy ludzie i mędrce, po śmierci nawet swojej uczą.

Ktoś rozrzuca w momencie, czem los wielu nieszczęśliwych utrzymaćby można.

Nie dosyć żeś zasłużył na naganę, jeszcze się za nią gniewasz.

Mało ludzi ginie przez truciznę, a obaczona wstręt nam czyni. Jakże wielu zginęło przez rozpustę, wszelako lubimy ją. Siedzi dziecko na bryle śniegu i chełpi się z wyniesienia swego: słońce przygrzało i dziecko upadło w błoto.

Nikt nie będzie szanowany, kto sam siebie nie szanuje.

Kochać nieprzyjaciół jest heroizmem, kochać kochających, naturą, ale nienawidzić kochających, bestye nawet nie umieją.

Ten jest prawdziwie sprawiedliwym, który woli że jest, niżeli żeby go widziano sprawiedliwym.

Praca, jeżeli jej skutek odpowiedział, większą bez porównania ma roskosz, niżeli wygodniejsze próżnowanie.

Łatwiej wiele obiecać, niżeli mało dać.

Teramenes Ateńczyk, sam pozostał w zawalonym z ludźmi domie, winszowali mu tego szczęścia, a on bał się cięższego losu. Jakoż potem okrutnie zabity był.

Gdybyśmy cudze nieszczęścia rozważali, nasze daleko nam mniejszemi zdawałyby się.

Upadłeś pod pociskiem fortuny, boś wyszedł przeciwko niej bezbronny.

Dzięki naturze, że to, co do utrzymania życia potrzebnem koniecznie jest, tak łatwo dostać.

Rękoma w mówieniu ruszający, zdają się ratować słaby swój rozum, albo wymowę.

Miasto i wioski są to zgryzot ludzkich gospody: tam się troski i płacze zamykają, a bardzo rzadko dla radości wrota otwarte.

Człowiek, który z wielkości upadły podłym jest, nie wart był szczęścia, które go wyniosło.

Nic nie robiąc, człowiek uczy się źle robić.

Nie gada ten przed ludźmi śmiało, któremu zbrodnią jaką zarzucić można.

Nieszczęśliwa szczęśliwość jest, która człowieka robi zuchwałym.

Ściślejsze są węzły cnoty, niżeli krwi.

Sumienie jest ogniem niezgasłym, który dobrego rozgrzewa, a złego pali, równie oświecając obudwóch.

Przywiąż się tylko do cnoty, a nie będziesz się żalił na fortunę.

Podły niewolniku! straciłeś prawo chwalenia mię, kiedyś go nie miał mówienia mi prawdy, gdym krzywy.

Pochwała miła, tylko od cnotliwego.

Kto serce otworzył dla namiętności, wejdzie z niemi razem i niepokój.

Lepsza w domu szkoda aniżeli wstyd.

Czyń dobrze, będziesz miał zazdrosnych i uwłaczających ci: czyń jeszcze lepiej, a zawstydzisz ich.

Kiedy się człowiek rodzi, płacze, a przytomni cieszą się; ale kiedy cnotliwy umiera, uśmiecha się, a wszyscy płaczą.

Najpiękniejsza to była walka, gdy jedna cnota drugą pokonywała.

Cnota i złoto są jak dwa ciężary, na wadze położone, z których jeden nie podniesie się, aż drugi zniżyć się musi.

Sława zwyczajnie większa po śmierci: bo wtenczas ustaje zazdrość, która ją tłumiła.

Ja to sam czuję, że coś znaczniejszego jestem niżeli, jak mi moje namiętności powiadają.

Któż za mną da dobre świadectwo Bogu, kiedym się z całą naturą pokłócił?

Sumienie jest to sędzia, namiestnik Boga, w duszy człowieka, i przyjdzie czas, że Bóg potwierdzi wyroki jego.

Filozofio! dziś mi każesz kochać przyjaciela, a jutro, kiedy umrze, bronisz mi płakać.

Filozofia w chwili zacisza i spokojności daje nam zaufanie w sobie, ale często odbiega nas w godzinie potyczki.

Pókim był szczęśliwym, nie wiedziałem, kto mię prawdziwie kocha: nieszczęście odkrywa prawdziwych przyjaciół.

Ktoś umie sztukę podobania się ludziom, ale szczęśliwszy, który podoba się bez żadnej sztuki.

Żądam pieniędzy ale na to tylko, ażebym pokazał ludziom, jak mają być obracane.

Słońcu i miesiącowi wdzięczny jestem, chociaż nie dla mnie tylko jednego wschodzą.

Godność przyjdzie i takiemu, co się nie stara, ale nie cnota.

Życie jest komedya, nie jak długo, ale jak dobrze grana.

Niech mi fortuna uczyni krzywdę, bylem sobie ja sam krzywdy nie uczynił.

Czas uwalnia ludzi pospolitych od smutku, ale rozum uwalnia mądrych.

Nie ma nic tak pospolitego, jak oświadczenie przyjaźni, ani nic tak rzadkiego, jak wypełnienie tej obietnicy.

Ani ludziom, ani występkom służę: jestem wolny.

Sokrates przed śmiercią powiedział: „Bóg będzie miał staranie o dzieciach moich, który mi je dał". A do Krytona rzecze: „porzuciwszy tę ziemię, znajdę przyjaciół, albo takich jak wy, albo lepszych: ale i z wami wkrótce się obaczę".

Prawdę o tobie mówi, twój nieprzyjaciel: popraw się, a jeżeli nieprawdę, pogardzaj.

Komu sumienie nie grozi: kogóż on bać się będzie?

Człowiek nizki kontent z siebie, ale człowiek duszy nie pospolitej, codzień sobie ma coś do wymówienia.

Piękność dowcipu sprawuje w nas słodkie jakieś wzruszenie, piękność duszy szacunek, a piękność ciała miłość.

Rządząc się według natury, nigdy nie będziemy ubogiemi, ale według opinii, nigdy bogatemi.

Bądź grzecznym dla każdego, a małym kosztem kupisz sobie wiele przychylnych.

Co pomoże rozum i cnota, kiedy nas boleść przenika? Cnota wtenczas zdaje się wyrzucać naturze, za co przyciska niewinnego.

Poczciwa ekonomia, jestto rozsądna gospodyni która mieszka, stroi się, i stół ma według dochodów chroni się zbytków i nic nie poczyna bez namysłu czasem ona i hojna; ale zawsze idąc środkiem między skąpstwem i rozrzutnością.

Nudzenie się jest chorobą występnych, którzy tracą czucie roskoszy wszystkich, odstąpiwszy od swoich obowiązków: jest chorobą żyjących, nadzieją lepszej przyszłości.

Ten kto lubi pracę, i ma sposobność pracować nigdy się nie nudzi.

Zazdrość jest to cień, który zawsze chodzi za cnotą i bogaetwem.

Nadzieja jest, jak przepowiadanie kalendarza: jedno się przypadkiem uda, a tysiąc fałszywych.

Rozum jest to słowo powszechne i ma pod sobą szczegóły, jako to: dowcip, zdrowy rozsądek, talenta.

Przez familiarność przychodzimy do przyjaźni którą chęć przypodobania się tuczy, a poczciwość serca utrzymuje. Zbyteczna familiarność szkodliwa przyjaźni: bo zdaje się pogardzać przyjacielem, który nad wszystko szanowanym być powinien.

ROZMOWA ÓSMA.

O MAŁŻEŃSTWACH I ĆWICZENIU MŁODZIEŻY.

Rozmowa ta jest przy Gimnazyum ateńskiem, wchodzą ciż sami: (Platon, Dyon Syrakuzański, Speuzyp siostrzan Platona, Arystoteles, Xenokrates, Phocyon, Demosten; prócz innych uczniów Platona).

Dwojaka Wenus jest: pierwsza bez matki, niebieska, z tej czysta miłość; druga z matki roskoszy, i ta pospolita.

Roskosz jest słodkie wzruszenie zmysłów, chociaż zawsze pełna słodyczy, często wszelako smutek po sobie zostawuje.

Prawdziwa miłość nigdy nie była przedażną.

Ucho, nie oko ma wybierać żonę.

Ty, co się starasz o żonę, starasz się o szczęście w życiu twojem: jakże to się przypatrywać potrzeba, tej twojej przyszłej, żebyś nie natrafił na nieszczęście.

Wejście do małżeństwa jest usłane kwiatami, a wstąpiwszy za próg, często ciernia i głogi zastajemy. Obcy chcieliby mieszkać w tem miejscu, a gospodarz radby czasem uciekł.

Niech ma, przyszła żona twoja, skromność, do gospodarstwa domowego skłonność, o wielki świat niedbałość, niech twoją będzie nie tylko kochanką, ale przyjaciołką, a ty się najlepiej ożenisz.

Prawa Likurga wyłączały od wszystkich urzędów ludzi bezżennych, i byli smagani i najgrawani corocznie, przez kobiety przy posągu Junony.

Nie kocha szczerze żadnej, kto więcej jak jednę kobietę kocha.

Złe wielkie na ziemi, cudzołożnik, który z cudzego złego słodyczy szuka, ale on krótką roskosz za wielkie kupuje niebezpieczeństwo.

Niech będzie miłość w małżeństwach, ale czemu nam rozpustę wprowadzacie? tę nierządnicę, w pośrodek niewiast uczciwych.

Kobiecie niepięknej, najłatwiej być cnotliwą.

Próżno Teonę zowią piękną jutrzenką, kiedy ona wstaje w południe.

Kobieta, która po piękności w dalszym wieku rządna jest i cnotliwa, z tronu jednego przeniosła się na drugi.

Miłość gwałtowna zdaje się, że się uleczy widzeniem kobiety ukochanej, a często całe nieszczęście, ztąd bywa, że się ją widziało.

Twarz piękna bez poddanych wszystkim rozkazuje.

Piękna kobieta, kiedy prosi o łaskę ludzi wyższych, daje zrozumieć, że i sama może wyświadczyć łaskę.

Taić odebrane dobrodziejstwo, jest to niewdzięczność, ale mówić o łasce od kobiety odebranej, niewdzięczność daleko większa.

Kiedy kobiety politowanie nad amantem zdejmować zacznie, moment miłości bliski jest.

Małżeństwo dobrane, jakież to szczęście na ziemi jeżeliby się kiedy sprzeciwiać sobie mogli, chybaby to wtenczas nastąpiło, gdyby jedno za drugie umierać chciało.

Za tyle trudów, koło swych dzieci, często od nich rodzice nienawiść odbierają; wyglądają prędzej śmierci tych, którzy im życie dali. A zawsze, choćby najgorszy ojciec, ojcem jest.

Zła matka dla dzieci, jest jak ryba, która wypuściwszy raz ikrę, na wieki o swych dzieciach zapomina.

Wielkiż to posag, wstyd i cnota u kobiety.

Xantyppa w domu (mawiał Sokrat) uczy mię cierpliwości, abym ją miał między ludźmi.

Małżonkowie niecierpliwi, są jak dwa polana rozpalone, które im bliżej siebie, tem się bardziej niszczą.

Próbują złota przez ogień, kobietę przez złoto, przez kobietę mężczyznę.

Herkules trzynastej pracy nie podołał, żony swojej nieuspokoił.

Często w małżeństwach pierwej się rodzą przykrości, niż dzieci.

Starość i małżeństwo, mają podobieństwo, obojga sobie życzymy, a jak przyjdą często jesteśmy smutni.

Wstydliwa żona, i męża swojego wstydzi się.

Jak wiele jest żon, któreby dały życie swojego męża, za życie ptaszka, albo psa ulubionego!

Im większy w miłości płomień, tem prędzej miłość sama się strawi.

W małżeństwach przysługi czynione, kiedy są postrzeżone, odebrały nagrodę, ale nie zaraz postrzeżone, zdają się potem słodsze.

Piękność żony mniejszeje mężowi po kilku miesiącach; ale z piękną niebezpieczeństwo trwa zawsze jednakie.

Kobieta piękna, a cnotliwa i mądra, rozrzuca, jak słońce około siebie, płomień i światło.

Żona ma być kochaniem męża, ale mąż przy niej niech nie będzie zniewieściałym.

Mąż powinien okazywać względy dla żony, a będzie miał w niej zaufanie, jak w przyjaciółce.

Jakim ty ojcem lub matką, kiedy dziecięciu twemu sposobu do życia niezostawujesz.

Lepiej wydać córkę za człowieka bez majątku, niżeli za majątek bez człowieka.

Na małą żonę powiedział Arystyp: małe piękne, ale wielkie złe.

Nie bierz żony z domów wysokich, chybabyś chciał sobie wziąść panią.

Kto dobrego zięcia wybrał, znalazł w nim syna: kto złego ten i córkę stracił.

Pojmuj żonę więcej przez uszy, jak oczy, nie zaś przez same tylko ręce, żeby ją mieć bogatą.

Niech czasem żona będzie ślepa, a mąż głuchy.

Nieszczęśliwi małżonkowie, co się tylko kochają: przyjaźń z miłością złączona potrzebniejsza im do śmierci.

Gdyby można w narodzie znieść te słowa: moje i twoje; byłby najszczęśliwszy: ale w małżeństwach koniecznie to być powinno.

Mężu nie będziesz szczęśliwym, jeżeli żona twoja nie będzie; rozkazuj jej z rozumem, ale rozum z miłością; okazuj jej we wszystkiem względy, a pewnie będzie wzajemną. A ty żono staraj się być słodką i niesprzeczną mężowi, a kiedy nie masz władzy, dbaj przynajmniej o kredyt u męża.

Jest miejsce na ziemi, w którem nigdy prawdziwej wesołości nie było, a to jest w złem małżeństwie.

O ćwiczeniu młodzieży.

Dobry syn u ojca, dobry będzie uczeń i obywatel.

Nierządne życie w rodzicach, dzieci ich robi słabemi: ale i w smutkach wielkich poczęte dziecię, zdrowem nie będzie.

Mleko do dwóch lat najlepszym pokarmem dzieci, a kozy lub oślicy, w niedostatku macierzystego.

Człowiek, jak drzewo, lepiej mu na dworze, a przynajmniej niech ma dziecię powietrze zdrowe i pokarmy potem lekkie.

Zdrowsze dzieci mlekiem z jarzynami żywione, a trochę im tylko mięsa dając.

Zwierzęta drapieżne jedzą mięso, i są drapieżne.

Jarzyny robią człowieka do ludzkości skłonniejszym, i dają mu charakter słodszy.

Widać to, że natura sama człowieka nie do mięsa zrobiła, kiedy mu dała zęby tępe do żucia tylko, jak innym roślinami żyjącym zwierzętom zdatne, nie tak jak psu, wilkowi, kotowi i innym im podobnym, zaostrzone do zrywania mięsa przyzwoite.

Ochędóstwo jak w dziecińśtwie, tak w dalszym wieku zdrowiem największem będzie. Często kąpać dzieci w wodzie zdrojowej w czasach letnich. Niech nie sypiają w pierzu, w gorącu, a niech mają odzienie obszerne. Wodę tylko pić mają, a dopiero, około dwónastego roku ich, trochę mięsa pozwalać.

W siódmym roku jeszcze nie czas długiem siedzeniem psuć zdrowie dziecinne. Owszem utrzymywać (jeżeliby było ciekawe) chęć zbytnią do nauki, ale ćwiczenie ciała umacniając je bieganiem na wolnem powiętrzu, najlepsze.

Życie pracowite w młodości, długie lata sprowadza; ale do tego młodzież niech się chroni jeść i pić rzeczy gorące.

Cwiczenie dzieci w naukach ma być urzędem najpierwszym w narodzie, i to ma być pierwszym staraniem rządu, ażeby do tego cnotliwi i najzdatniejsi byli wybierani.

Nie wypuszczaj z ćwiczenia dziecięcia, póki nie dojrzeje. Natura owocu nie puszcza od gałęzi, póki nie dojrzał, my wcześnie na świat młodzież puszczamy.

Iskra w krzemieniu w samem urodzeniu, już jest ogniem doskonałym, z dziecięciem długo pracuj niżeli go przywiedziesz do doskonałości.

Sokrates nie chciał się mieszać do rządu, ale mawiał: że woli ćwiczeniem młodzieży, wielu zdolnych do urzędów uczynić.

Dzieci niech się tego uczą, co im mężczyznom potem i starcom ma być użyteczne.

Temistoklesowi mawiał nauczyciel: „dziecko! ty nie będziesz średnim, ale, albo najgorszym albo najlepszym obywatelem.“

Starsi niech czasem z dziećmi razem i głupstwa robią, tak prędzej głupstw przestaną dzieci, niżeli, gdyby je z równemi robili.

W ćwiczeniu młodzieży duszę i ciało ich w ustawicznym ruchu trzymać należy.

Człowiek edukowany zwierzęciem jest najłagodniejszem, ale bez żadnego ćwiczenia, dzikiem.

Dzieci równie się psują karą niesprawiedliwą, jak niekarnością. Najlepsze zaś ćwiczenie dzieci, ażeby patrzyły na dobre przykłady tych, którzy je otaczają.

Dzieci, niżeli co same zrobią, pierwej naśladują, dawajmyż im najlepsze wzory.

Dzieci lubią historyą, niechże im dawane będą do czytania dzieje cnoty.

Psuć złym przykładem młodych, jest to zarażać wody publiczne.

Zabraniać młodzieży śmiechów i uciech, jest to chcieć, ażeby wiosna rodziła swoje owoce.

Z dziećmi z największem obchodzić się należy uszanowaniem, ażeby przy nich nic zdrożnego nie mówić.

Natura daje życie, a ćwiczenie daje życie dobre.

Czego ojciec żałuje, że zrobił w życiu swojem, niech od tego ochrania dziecię swoje.

Nauczysz dziecię jak to mieć sumienie, jeżeli go często przestrzegać będziesz w błędach, w które wpadać może.

Niech się dzieci uczą bez przymusu, wmawiając im naukę, jak zabawkę tylko.

Kto zrobił w dzieciach wstręt od kłamstwa, już ich tem samem zrobił na potem poczciwemi.

Solon prawo śmierci napisał na tego, ktoby wszedłszy do szkoły dzieci, zgorszył je.

Kobiety mają czułość większą do dobrego wyżywienia dzieci, a mężczyzni do ich edukacyi sposobność.

Od dzieciństwa wprawiać się należy nosić jarzmo trudów, a potem tak nam przykremi nie będą.

Nie żądaj wiele roztropności od młodych, nie mają doświadczenia.

U Greków dawnych żałował umierający młodzian, że się rodzicom za ich starania w dzieciństwie około siebie czynione nie wypłacił.

Zły syn tém przykrzejszym ciężarem dla ojca, że go zrzucić z siebie nie może.

Uczą w szkołach głębokich albo bawiących nauk: nie masz szkoły, gdzieby uczono cnoty, a ta byłaby

i łatwiejsza do pojęcia i potrzebniejsza nad inne: bo cnotą narody stoją. Ćwiczenia młodzieży insze są koniecznie potrzebne w narodzie, a insze tylko piękne.

Dzień jeden u ludzi uczonych rozciąga się dłużej, niżeli życie całego głupiego.

Niech sobie mówi człowiek, a najbardziej młodzian każdy, dla mnie to mędrce tyle ksiąg napisali, czemuż ja z prac ich nie pożytkuję.

Wymowa należy do ćwiczenia młodzieży, ale nie ta wymowa jest wielka, po której okrzyki, ale po której płacz i milczenie.

Nauka największa jest niczego się złego nie nauczyć.

Solon powiedział: „postarzałem się każdego dnia czegoś się nauczając.“

Nauki szczęśliwym są ozdobą, nieszczęśliwym pociechą. Nauki czynią to, że sam z sobą być i bawić się mogę. Majątek przypadek zniszczy, a nauka zawsze zostanie się.

Jak podróżny bez wiadomości drogi, tak człowiek bez edukacyi prędzej zbłądzi.

Naukę cnoty niech daje człowiek cnotliwy, bo kilka lat uczenia, jedna zbrodnia nauczyciela popsuje.

Pismo jest słowo martwe, a trwa dłużej, niżeli pisarz.

Nauka jest pastwą młodości, starości pociechą, lekarstwem przeciwko nudzeniu się: ona nas prowadzi do poznania samego siebie, i im jest wyższa, tem uczy być pokorniejszym.

Insi tak piszą, że papier wart więcej niżeli to, co napisali.

Czyliż potrzeba koniecznie zabijać ludzi, ażeby zasłużyć na wspomnienie historyi.

Nauka sama siebie znieważa, zapominając o królach dobrych, albo ludziach poczciwych, kiedy im sprawiedliwości nie oddała.

Lepsza jest niewiadomość rzeczy zupełna, niżeli wiadomość wielu niedoskonała.

Książka jest dobra kiedy w niej autor mówi co

trzeba, kiedy nie mówi tylko co trzeba, i kiedy mówi jak potrzeba.

Szkoła Talesa skończyła się na Anaxagórze, a z nim na najzdrowszej teologii, i na Sokratesie, a z nim na najlepszej obyczajności.

Nie przyganiajmy (co do edukacyi) kunsztom pięknym, jak niepotrzebnym; wszakże i natura, prócz drzew rodzajnych wydaje i kwiaty.

Wiele złej książce, a długiej, przydać potrzeba, ażeby była krótsza.

Piszący pięknie, ale o złych rzeczach, muzy robi nierządnicami.

Wymowa, jak pieniądze, tylko ich na potrzebę używaj, a nie rozrzucaj nadaremnie.

Człowiek, chcący się uformować, w pierwszych dniach swoich powinien obcować z umarłymi w środku wieku z żyjącymi, a na końcu z sobą samym.

Broń podbija ciało, a wymowa ducha.

W starości twoich rodziców ratuj ich, wspomniawszy, żeś był ich dziecięciem; że ten ciężar, który niesie ojciec twój, i ciebie czeka.

Zdarzaj dziecięciu rozrywki słodkie, nie będzie napierać się niebezpiecznych.

Nie naznaczaj dziecięciu wielu obowiązków, bo cię będzie oszukiwać.

Nie traktuj dzieci z grubą ostrością, one wcześnie powinny znać, co to jest honor.

Miłość pokazywać się ma w oczach ojca, który strofuje syna.

Wiele jest dzieci, które dla słabości zdrowia albo pamięci, uczyć się umiejętności nie mogą, ale każde może się nauczyć cnoty.

Kiedy dziecię wyznaje dobrowolnie błąd swój, daruj mu karę: a tak się wprawi mówić prawdę.

Niech twój humor przypadkowy dziećmi nie rządzi; pomieszasz w głowie ich, co to jest sprawiedliwość.

Jakie ćwiczenie dzieci, takiego robi obywatela.

Jeżeli dziecięciu wiele pozwalają, będzie chciało

potem rozkazywać: jeżeli mu się ustawicznie sprzeciwiają, będzie podłem, albo złośliwem.

Nie trzeba z nagłością wielką w ćwiczeniu dzieci postępować. Czas, ten wielki nauczyciel wystarczy ci.

Lepsze dziecko które pogrożone czerwieni się, niżeli które zbladło: to złości albo podłej bojaźni znakiem, a tamto wstydu.

Kto był ojcem, nie wstyd mu bawić się z dziećmi.

Staraj się, ażeby syn twój miał więcej rozumu i cnoty, niżeli majątku.

Sokrates nie dbał o syna mniej cnotliwego; żonie napominającej go: „wszakże on synem twoim" plunąwszy na ziemię odpowiedział: „wszakże i ta ślina ze mnie."

Dzieci pieszczenie wychowane do znoszenia ciężarów obywatelskich niezdatne.

Nauczyciel winien, kiedy się uczeń nieuczciwie sprawuje.

Naucz dzieci twoje skromności, a nie będziesz się za nie wstydził; naucz męztwa, a siebie i ojczyznę obronią, naucz cierpliwości, a zniosą przykrości bez mruczenia; naucz pogardy życia, a umierać będą bez żalu; naucz miłości ojczyzny, a z nią razem będą szczęśliwymi; naucz mówić zawsze prawdę, a będą cnotliwymi; kiedy się kto od młodości w cnotach nie wyćwiczył, z ciężkością mu przychodzi pełnić je potem.

Edukacya fizyczna w dzieciach najpierwsze ma mieć miejsce; bo pierwej naród potrzebuje ludzi zdrowych niżeli uczonych.

Nudzenie się dziecięcia cały dzień nad książką, osłabia napotem siły jego.

Syn twój występny, bo próżnował w dzieciństwie.

W dzieciństwie postrzegaj najpierwej, żeby strachami dzieci nie trwożono, bo ztąd potem rosną tchórze.

Edukacya dzieciom pokazać powinna, jakiej rozkoszy szukać, a jakiego bólu chronić się należy.

Niech sami cnotliwi dziecię otaczają, a pewnie będzie cnotliwem.

Wielkie to święto narodu w Atenach, kiedy dzieci zapisują się na obywatelów.

Młodzież nic o religii dysputować nie ma, a edukacya jej z prawami narodu i opinią zgadzać się ma.

Niech będzie ustawicznie dziecię zatrudnione ćwiczeniem jakiem, albo uczciwą rozrywką; a niebędą miały namiętności czasu wzrastania.

Niech się dzieci kochają, a nie kłócą; przyjaźń zabrana z dzieciństwa trwa najdłużej.

Dzieci z natury chciałyby być z dziećmi, dla tego edukacye osobne szkodliwe są, niemniej dla tego że osobno edukujący się majętniejsi, odwykając wcześnie od społeczeństwa, pogardzają potem niższemi w towarzystwie.

Chcąc wszystko z niecierpliwością przewidzieć, przeszkodzić, albo zyskać na dziecięciu, możemy wszystko stracić.

Dobrze jest, ażeby dziecię widziało i złe przykłady towarzyszów swoich, ażeby się tak potwierdziło w dobrych.

Jeżeli dziecko jest słodkie, lubią je towarzysze; jeżeli odważne, szanują; jeżeli sprawiedliwe, szacują.

Grzeczność i uleganie co najpotrzebniejsze w obcowaniu, nie nabywa się w edukacyi prywatnej, z czasem, konwersacya z wielu to sprawuje.

Kto się uczy na pamięć, nie z doświadczenia, wyszedłszy na świat, znowu się między ludźmi uczyć musi.

Za co nie ma być dziecię z poczciwym służącym razem? Tak nie będzie ludźmi pogardzało.

Dzieci, ucząc się w tłumie, nauczą się jak potem w tłumie z ludźmi obchodzić się, nikim nie pogardzając.

Sekret najpierwszy edukacyi, do tego, czego chcemy, aby się dzieci nauczyły, przyłączyć słodycz, a obrzydliwość z tego, czego się chronić mają.

Niech nauczyciel prowadzi dzieci na miejsce, gdzie publiczną śmiercią karzą zbrodniarza jakiego. Niech im tłumaczy, że zbrodniarz każdy od małych występków zaczynał, które, kiedy w nim nikt nieposkramiał, przy-

szedł do wielkich zbrodni, a potem tak okropnie zakończył. Kiedy obywatelowi zasłużonemu publiczne w narodzie honory czynią, na tę uroczystość niechnauczyciel uczniów prowadzi, powiadając im, jak to jest pięknie cnotliwym być, i jakiej nagrody dobre sprawy czekają między ludźmi. Takiemi sposobami przez widzenie publicznej kary zbrodniarzów, albo publicznej nagrody cnotliwych mężów, lepiej nabiorą dzieci wstrętu od zbrodni, albo przywiązania do cnoty, niżeli najdłuższem nauczyciela gadaniem.

Dzieciom lepiej się uczącym mają być dawane w szkole szanowne nazwiska naczelników, senatorów, wodzów i tem podobne, a tak łechtać będzie drugich ambicya uczenia się najlepiej.

Religia, jakakolwiek jest, ma być gruntem edukacyi, bo każda broni występków głośnych, a tajnym grozi karą za nie po śmierci.

Pokaż dziecięciu zyski nieskończone z nauki, czegoż się nie dokaże na ludziach honorem i chlebem.

Ojcem jesteś, dbajże o dziecię twoje ażeby więcej jeszcze miało rozumu i cnoty, niżeli majętności.

Rodziców władza potrzebna była w dzieciństwie dla słabości dzieci, potrzebna i w młodzieńskim wieku, dla trzymania zapędów jego.

Ten ciężar, który niesie twój ojciec, i którego możesz mu ulżyć, a nie chcesz, będzie ciężarem twoim na całe życie.

PRZESTROGI

pod błogosławieństwem dane wnuczce mojej, Katarzynie Kozierowskiej, po jej ślubie z Walentym Starościcem Ostrskim.

Najpierwej, Kasiu, pamiętaj o tem zawsze, że Bóg widzi wszystko co robisz, a tak będziesz robić wszystko co Bóg lubi.

Szanuj matkę męża twojego, jak swoję. Ty nie masz już swojej. I wiedz o tem, że łez płaczącej na dziecię matki zawsze Bóg pomścił się. Bądź dla niej najprzychylniejszą w każdem zdarzeniu służebnicą.

Szanuj i rodzinę męża twojego, ona już twoją jest, a my daleko od ciebie teraz odsunieni będziemy.

Jeżeliby mąż twój był kiedy gniewny na ciebie, a miał przyczynę gniewu; przepraszaj go zaraz; upokorzenie się miękczy gniewy największe. A jeżeliby przyczyny nie miał, nie odpowiadaj mu zaraz ostro, żeś niewinna; ale aż opłonie; a tak on cię przepraszać będzie. Małżonkowie niecierpliwi, są jak dwie głownie rozpalone, które im bliżej siebie, tem się bardziej niszczą.

Chroń się wdawać w poufałość z młodzieżą; bo choćbyś była niewinną, podejrzenie męża zrobi mu pomału wstręt od ciebie.

Pamiętaj na przysięgę wierności małżeńskiej; bo myśl nawet twoją Bóg obaczy, i karać ją będzie.

Jeżeli ci Bóg da dzieci, chowaj je w wierze chrześciańskiej. Niech najpierwszem ich ćwiczeniem będzie: mówić i pełnić prawdę: a tak Bóg je ulubi i pobłogosławi, jak swoje dzieci: bo on jest Ojcem Prawdy.

Szukaj towarzystwa z uczonemi tylko kobietami, a będziesz miana za uczciwą.

W sprzeczkach zaś w posiedzeniach ustąp upartym, a będziesz miana za grzeczną: zaletą płci niewieściej

jest skromność: niech tę widać będzie w słowach i w ubieraniu się twojem: wstydliwa żona i męża swojego wstydzi się.

Dbaj w każdem zdarzeniu o honor męża twojego: bo to razem twoim honorem jest: a najlepiej się obronicie od gadania ludzkiego, niewinnością życia waszego.

Nie próżnuj ile możności nigdy, zawsze się czem użytecznem zatrudniając: bo próżnowanie drogą bywa do wielu występków.

Wejście do małżeństwa jest usłane kwiatami, ale wstąpiwszy za próg, czasem się głogi i ciernie znajdą. Jeżelibyś kiedy na nie napadła, Ty je, Kasiu, statkiem i cnotą pokruszysz.

Nie masz ty posagów wielkich, ale najlepiej wyposażona każda, która w dom męża przyniesie skromne cnoty.

Nie na samej z mężem przestawajcie miłości: przyjaźń wam potrzebniejsza do śmierci: i ta niech zawsze idzie przed miłością.

Pamiętaj o wspieraniu ubogich, jak możesz i nieszczęśliwych: ich ci to modlitwy najprędzej stają przed Bogiem, i wyrobią ci z mężem życie długie i szczęśliwe.

Nie zapominaj o twoim Ojcu, o twoich braciach, i czyń im honor postępkami twojemi.

Nie zapominaj o mnie, który ci te przestrogi pod błogosławieństwem daję, prosząc Boga, ażeby ci wraz z mężem twoim, przy długiem życiu i pomyślnościach, nie zbywało w domu na potrzebach, a między ludźmi na przyjaciołach.

LIST

do Xięcia Dominika Radziwiłła Ordynata Nieświeżskiego.

Wiadomy już ma być interes mój W.X.Mci, o pozostałych w skarbie jego czerwonych złotych tysiąc, za rok mój bawienia w dzieciństwie W.X.Mci przy nim, które to pieniądze Opiekun natenczas W.X.Mci, Xiąże Maciej Radziwiłł, pismem swojem mi zabezpieczył.

Altamor był pięknem dziecięciem, a Polidor w wieku już podeszłym wodził go za rękę, i pokazywał mu, jak ma chodzić, ażeby ani po skalistych bezdrożach, dla bojaźni upadku nie piął się, ani po miejscach błotnistych, aby się nie zwalać, nie chodził. Z latami Altamor przyszedł do czerstwej młodości, a Polidor postarzał się, że ledwie chodzić mógł. W tenczas Altamor wziął za rękę Polidora i rzekł mu: „Ty mię ratowałeś w dzieciństwie, ja cię niedołężnego w starości twojej poratuję“ i zaprowadził na miejsce wygodne, i położył chleb koło niego, ażeby tak starzec bez trudów kończył dni swoje. Polidor podniósł do góry z wdzięcznością ręce, a Bóg w tenczas zwołał niebianów, ażeby patrzyli się na piękne dzieło młodzieńca cnotliwego. Sam zaś Altamora, jako niemającego ojca i matki, przyjął za dziecię swoje. W.X.Mść jesteś Altamor, a ja Polidor, który składam nadzieję odebrania pieniędzy moich w najlepszem sercu Jego.

PAMIĘTNIKI

FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

PRZEDMOWA.

Niemasz podobno między pisarzami naszymi drugiego, o którego dziełach lub życiu mielibyśmy tyle pism, tyle artykułów, co o dziełach lub życiu Franciszka Karpińskiego. To ostatnie szczególniej dostarczyło przedmiotu do tylu zajmujących opisów, wiadomości a nawet powieści, rozrzuconych po nowszych naszych pismach czasowych literackich. I w rzeczy samej, młodzi pisarze nasi, nie mogli nie zajmować się z upodobaniem człowiekiem, który pełen staropolskiej prostoty i szczerości, pełen ujmującej rzewności, odśpiewał naprzód w swych sielankach i elegiach swój żywot cały, żywot nie błyszczący żadnemi nadzwyczajnemi zdarzeniami, a przecież tak rozmaity i przez swój tok tak odpowiadający młodzieńczym marzeniom. Miłość gwałtowna a tajona, dorabianie się pracą kawałka chleba, i cichy kącik w starości, oto są epoki tego życia oto jego żywioły.

Wielu z pomiędzy tych co pisali o Karpińskim, znali mniej więcej całe pasmo jego życia i to nam wystawili wedle powziętych wiadomości; inni opisali tylko pojedyńcze jego okresy, ale wszystko to działo się pod wpływem osobistego zapatrywania się, lub odebranego wrażenia. Nie będzie to więc zapewne bez korzyści, nauki i przyjemności czytającej publiczności polskiej, gdy pozna z ust samego Karpińskiego żywot jego.

Rzadkie są u nas autobiografie, czyli opisy żywotów ludzi sławnych, przez nich samych uczynione, pochlebia sobie przeto wydawca, że zasłuży się rodakom, wzbogacając literaturę ojczystą ogłoszeniem jednego takiego opisu, który nadto i tem jeszcze jest ważny, że daje poznać blisko, i że tak rzekę drobiazgowo, wiele zdarzeń, osób, charakterów, z końca zeszłego wieku, to jest, z tej epoki, która przez bliskość swoją, przez wypadki swoje, tak dla nas jest zajmującą, a o której przecież dotąd tak mało wiemy. Jeśli niejedna rzecz wystawiona tu jest inaczej jak to dziś z pewnością wiemy; jeśli zdania piszącego różnią się od ustalonej dziś opinii, to i wtedy chociaż historya nic nie zyska, pozna się przynajmniej charakter pisarza, który wywarł znaczny wpływ na piśmiennictwo polskie i zajmuje w literaturze ojczystej niepospolite miejsce.

Urodziłem się w roku 1741 dnia 4 8bra w ziemi Halickiej na Pokuciu w powiecie Kołomyjskim we wsi Hołoskow 3 mile od Stanisławowa z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się: Kozłowski sąsiad i przyjaciel ojca mego przestrzegł go kilką godzinami przed mojem urodzeniem, że w nocy sławny na Pokuciu rozbójnik Olexa Doboszczuk dokazujący w tamtych stronach, razem z dwunastu swoich mołojców miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już moję matkę boleści rodzenia napadły, a ojciec dom z bojaźni może zatracenia życia porzuciwszy, z czem mógł naprędce do bliskiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi z towarzyszami jego, chleb, ser i gorzałka najobficiej na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojem, przyszedł z swoimi Doboszczuk; matkę tylko moją leżącą i babę która mnie odebrawszy omyła i na ręku trzymała, nikogo więcej w całym domu nie zastał. Matka moja nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba przystąpiwszy ze mną na ręku do Doboszczuka, oto (powiada) godzina jak to się dziecię urodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy. Zmiękczyło to serce rozbójnika, i mołojcom swoim skromnie się obejść przykazawszy, do jedzenia i wódki obficie do-

starczonej zasiadł, babie potem dał trzy czerwone złote a matki mojej prosząc, ażeby nowo-narodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego w tym czasie w domu naszym Olexy (jak się i Doboszczuk nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszej z swoimi odszedł. Czego pamięć moja nie zasięga a co mi tylko matka powiadała w 5 lat może wieku mojego, brat mój rokiem starszy Kajetan umarł; kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) opłakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe a lepsze od moich mnie się dostawały, tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam jak w rok może potem matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jej nieboszczyk Kajetan widocznie się jej po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się na jakiej drodze umarła jej siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat mamuniu, i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającej się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa mego, wiekiem był, wiary zabobonnej i przywidzeń. Taż pobożna matka moja, dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się) biało ubraną z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potem przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet przebudzeni, pacierze klęcząc przez trzy godziny przy obiciu, za tę duszę potrzebną ratunku odmawiać musieli. — Ojciec nasz słyszał jak św. Józef z obrazu swego, który był w izbie wymówił to słowo: Cnota; widział w wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę, na niebie w żółtym robronie, widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się, opętanych od diabła, powiadał wiele historyj o zczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się diabłom, o czarownicach i babach na Łysą Górę na ożogu kominem wylatują-

cych, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniej w dom przyjmował. Z tych wszystkich zabobonów im bardziej im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tem więcej my z nich dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś jak dawniej Grecy albo Rzymianie wszystko prawie w urojonych cudach widzieli. Matka i ojciec mój byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiej powinności dobrego chrześcianina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsrożej karane było, artykuły wiary najwcześniej nauczone, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to ja starszą siostrę moją, że była po ospie ślepa, trzy lata, rozgniewawszy się czasem ślepą nazywałem, o co ukarany w czasach kiedy mi się naraziła to słowo ślepa nie wymawiałem, alem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać znowu i to z urodzeniem naszem rodzi się z nami. Z drugą siostrą moją kiedyśmy po pacierzu, codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcej bo prędzej jedząc zjadał, na co się ona skarżyła, kazałem jej łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoję połowę trzymała a ja tymczasem jedzący, jej połowę, jak lejką przechodzącą na moją stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy z szyi jej śpiącej odwiązałem i kobiecie z jagodami przechodzącej za kwartę jagód zamieniłem. Ale nie długo udawało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłocek w stodole naszej, nożyk swój prosty na progu położył a jam go ukradkiem schował, postrzeżony potem od ojca mojego żem nim coś strugał, i spytany zkądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu żem go znalazł udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani czyjby był nożyk, kiedy się zmłocek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przy tem w stodole, gdy on

ten swój nożyk na progu położył. Kazał najprzód ojciec mój, abym padł do nóg wieśniakowi i przeprosił go żem go tą moją kradzieżą zmartwił, rozumiałem że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść rózgę, i surowy ojciec temuż samemu zmłockowi, kazał mi 10 rózeg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potem sam rózgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 rózek swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała całować kazał. O święta ręko ojca mojego (chociaż cię już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze ja cię i teraz w myśli mojej całuję... Tym to ja surowem ukaraniem wziąłem wstręt największy w dalszem życiu mojem co jest cudzego tykać, karałeś ojcze i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się największe w niem czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje! W roku moim ósmym już umiejąc czytać i trochę pisać oddał mnie ojciec do blizkich szkół stanisławowskich gdzie dobrze starszy odemnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażebym i ja pomału do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowej i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując do domu odjeżdżał, ja uprzedzony bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero w pół drogi odkaszlnieniem wydałem się, tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście rózeg danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu, interes ten zakończyło. — Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego hetmana w. kr. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki, i prawdziwie podobnej ludności, to miasto i potem nie widziało i może widzieć nie będzie. — Kilkadziesiąt senatorów między którymi kilku biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszemi natenczas, cóż dopiero wojska pozgromadzane, które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach

dowodziły, cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie, i mógłem na tym pogrzebie widzieć wszystko z czego poczęści już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich grzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnemi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi fręzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych, aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadająo łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę bożą, kiedy dla człowieka hetmana, z domu Bożego stajnią zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inny sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie; przy nogach trumny spadał z konia niby żal po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia. chorągwi i sztandaru bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiej niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijanemi. Blizko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego hetmana bawili w Stanisławowie. Mieszkając wtenczas w tem mieście rodzice nasi, do siostry mojej starszej, która miana była za piękną, liczni się, najbardziej trzech oficerów różnych, schadzali konkurenci; zaczął bywać z kapellą nadworną i Potocki starosta gurowski, ale ojciec mój za trzecią pańską bytnością, widząc w jakim celu panicz przychodzi, bez ogródki prosił go ażeby w domu jego nie bywał, coby dało przyczynę do obmowiska i krzywdę dziecięciu jego zrobić mogło; wszelako kilkunastu oficerów (między którymi był i Gadom-

ski co potem tak wysoko wzrósł) stale koło panny Maryanny kręciło się, a ojciec mój Zańkowskiemu, mającemu małe dziedzictwo ale poczciwemu człowiekowi, który się także o siostrę moją starał i w tym tłumie zwyczajnie zdaleka tylko patrzył, mawiał: „Stój tymczasem z daleka panie Aleksandrze oni ztąd powychodzą a ty przyjdziesz na środek“ i to się z czasem ziściło. Pierwsza którą w tych czasiech widziałem egzekucya kryminalisty w Stanisławowie wielkie mi uczyniła wrażenie; był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę czyli ulubioną piszczałkę góralską na której smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie przyprowadziwszy, stanął ze mną tak blizko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które gdy się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomieszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak jak ty w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześnie nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc, że tą drogą żyjąc między ubogiemi nie tak łatwo zbogacić się, puścił się na rozbój, który prędzej spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, której jad z czasem o śmierć przyprawi.“ Powiadał nam potem ojciec, jako po zginieniu wyżej wspomnianego zbójcy Doboszczuka, ten Bajurak jeden ze dwunastu jego mołojców, naczelnikiem zbójeekiej bandy obrany i tylko rok jeden dokazywał. Doboszczuk zaś takim zginął sposobem: Blisko lat 30 ze dwunastu swojemi na Pokuciu rozbijając mołojcami, kiedy rotmistrz Przyłuski z półtorasta ludzi, kilkanaście lat za nim po górach chodząc rady mu dać nie mógł, kiedy nawet górami do Transylwanii przechodząc, i tam ścigany przez wojsko węgierskie a nigdy niedogoniony, za zgodą panów dziedziców naszych w górach dobra mających, w powiecie kołomyjskim obwołać po wszystkich miasteczkach okolicznych kazano, ażeby któryby z wieśniaków tamtejszych zabił Doboszczuka, miał z następcami swojemi wolność i grunt który trzyma, wiecznem dziedzictwem

posiadać. Chłop Górski, którego żonę Doboszczuk kochał, umówił się z żoną a to dla zysków przez dziedziców obiecanych, która pozwoliła aby mąż, w sieniach z dobrze nabitą fuzyą w nocy zasiadł i przychodzącemu Doboszczukowi w piersi o kilka kroków wystrzelił. Uszedł jeszcze postrzelony zbójca ćwierć mili w góry, mógł (jak zwyczajnie robił) na swoich po górach śpiących mołojców świsnąć, z których gdy kilku przybiegło, protił ich i żądał aby z bliskiej wsi popa mu sprowadzili; spytany o skarby które wielkie zgromadził, gdzieby je pochował, to tylko odpowiedział, że jedna czarna góra o nich wiedziała. Ale kosztowny krzyż dyamentowy, który zawsze na piersiach nosił, a który przed kilku latami napadłszy na miasteczko Bokoroczany rezydencyą kasztelaństwa ka......... Kossakowskich ze skarbcu ich z innemi droższemi rzeczami wzięty, ten krzyż przez popa odebrany, do właścicielów odesłanym był.

Już byłem w szkole gramatyce, kiedy na wakacye przyjechawszy do domu, brat mój starszy będąc retorem a mający skłonność do stanu duchownego (co potem ziścił) w blizkiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zabawiło, żem w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały a ja rodzynki i gruszki odebrałem. Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie słodka przyjaźni poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Sosnowskiego i Malickiego tak jak oni do mnie przylgnąłem? trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej przyjaźnie ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku,

twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego co przyjaciół połączać zwykło; z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w której prócz poprzysiężenia przyjaźni była i obietnica wspólna, że którybv z nas pierwej umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć, co żeby tem mocniejsze było kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na tejże samej mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potem pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu w którym ja mieszkałem były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem moim Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła; starsze klasy jako to poetowie, retorowie i filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim, podczas kazania śmialiśmy się i łokciami żartując z drugich potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie, przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moją i zaszedłszy poza ławką z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek; przydawszy głośno: „złego i w kościele biją,“ a potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał;

prawda z strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kościołach.

Raz podczas wakacyj wziął mnie ojciec na sejmiki do Halicza, widziałem tam w kościele kilka razy dobyte szable a potem pijanych siekących się po ulicach a potem na rynku szlachcica, który padł na kolana przed sławnym zabójsty Mikołajem Potockim starostą kaniowskim i wołał na niego: „Ty jesteś Bóg w Trójcy Swiętej jedyny, weź syna mojego do konwiktu!“ Śmiał się z tego magnat i syn szlachcica wzięty do burzackiego konwiktu, pewnie za to, że ubóstwiał despotę; ale ojciec mój i te szable w kościele i te rąbania się po ulicy i to bluźnierstwo Potockiemu, na pijaństwo zwalił i do jakiego końca przyprowadza przestrzegł. Był to natenczas w obradach sejmikowych jako i wszędzie nierząd największy i było upodlenie uboższej szlachty przez panów, co nas na końcu do zguby ostatniej przyprowadziło. Jużem miał lat ze dwanaście, kiedy ojciec mój wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniej straży Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał, i mimo najsurowszego nas przez ojca naszego trzymania, tak się we mnie gorąca dla niego miłość odezwała, żem długo w noc, pokryjomu szabelkę moją ostrzył, ażebym nazajutrz w czasie rozpoczęcia pojedynku z tyłu Janiszewskiego w głowę uderzył choćby mi i zginąć przyszło. Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy a ja zyskałem na tem, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił. W szkołach mniejszych, najpierwszy byłem między kolegami moimi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych? koło domu gdzie stałem pozwodzonych ludzi przechodzących, porzuconym wśród drogi szostakiem przywiązanym przez dziurkę do długo skręconej włosieni białej, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szostaka schylał, pociągnąwszy nagle przez okno włosień, stostak z nią razem ku mnie uciekał; wieleż to bijąc się w kije (jak był natenczas zwyczaj na rekracyach) z ręki drugiej piaskiem oczy zasypałem a potem go kijem w głowę do woli natłukłem. Krew żywa, która do takich i tym podobnych

swywol poruszała, byia mi razem pomocą żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej zawsze nauczył, a tę pilność i honor jakiś sprawował żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkoły, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mię słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojej religii wpojonej przez ojca gorąco przywiązanym; nasłuchawszy się z żywotów śś. pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszej gospodyni uciekłem w nocy, do blizkiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału do niej przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dzi mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz ś. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl, bydż męczennikiem dla wiary; wiedziałem że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyznie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka muzułmanów, ostatniemi łżyc wyrazami; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwej jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały; dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo, z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jej uczyć najusilniej, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego jak i mówić po francuzku na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie z domu do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu tam służąc przy kapelli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej przez

kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze. Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko), człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych został winnym; nie bał się zaboru bo nad kontusz żupan i kilka koszul nic więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na takąż funkcyę. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem, umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem, że nic się po nim nie zostało, prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tym czasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uśpiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. — Czasy to były w których najwięcej w upiory wierzono i biedni chłopi zlękłszy się w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił; póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi niedowierzali, ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy prosił najusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią, najwię-

kszy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc za jego szkody. Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz rano odesłał go do swojego starego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju w tym samym kontuszu w którym był uciekł, właśnie wtenczas; kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącem na stoliku list pisał. Widząc w zwierciedle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze na niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiej izby, gdzie się i zamknął. On biedny przede drzwiami prosić począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz.“ Poznano po wszystkich postrachach co się stało i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Już dwa roki odbyłem na retoryce i kilka kazań w niedziele postne na nabożeństwie studenckiem w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, Porucznika chorągwi pancernej hetmańskiej (co natenczas wiele znaczyło) nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wójcickiego scholastyka stanisławowskiej kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swojem zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i familji, mowy żadnej pogrzebowej nie będzie, kiedy ksiądz co mówić miał, zachorował. Proponowałem siebie za mowcę, nadewszystko, że Roszczyc nieboszczyk był mi dobrze znajomy i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka a ja nie bawiąc powróciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jej na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna, chodząc po miasteczku mowę sobie moją w pamięć wbijałem, zdybawszy kilku stró-

żów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali) obiecałem im pół złotego na wódkę byle razem co mają siły, ostrożnie z ogniem zawołali, było to przy jednym domu miejskim gdzie pułkownik przedniej straży Cieński z żoną, z familią i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony, obudził wszystkich i kiedy ja na zapłacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając przecie ocalałem. Przyszedł nakoniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moją, w której po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałej i dzieci przyszło, dzieci, które ś. p. matce oddaje, żeby ją cieszyły miasto niego, a kiedyś obaczywszy się z żoną którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem, o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnemi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośnem szlochaniem na czas mię zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym, że mi pogrzebowa mowa moja, zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem posadzony, co moją miłość własną najmocniej najpierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychą nadęło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę stojąc przed nim oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie jak przedtem przechodził się. Kryminałem byłoby spytać się za co to, w milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczonemi czekałem końca; w tem oj-

ciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem a ty już filozof, doświadczałem cię tylko jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz (w tem ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie.“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego, wzgardę takową zmazać może.“

Nie długo potem, bo może w pół roku, ten srogi ale razem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał i widząc się bliskim zgonu, matce tylko zalecił, „powiedz tam Franciszkowi niech prawdą idzie na świecie“ i to już ostatnie jego słowa były bo po nich skonał; po daniu mi znać o trzy mile oddalenia, przyjechawszy już go ułożonego na katafalku zastałem, żalu mego nie wyrażę bo był niezmierny, teraz nawet, kiedy to w starości mojej piszę, przyjmij te łzy moje najlepszy ojcze, które na wspomnienie o tobie rozrzewniony wylewam i jeżeli tam, gdzie pewnie szczęśliwszy bawisz, pociecha jaka do was z ziemi przychodzić może, u was pewnie takie łzy nasze milsze, niżeli marne radości nasze!! W rozpaczy prawie widząc trupa ojcowskiego, wkradłem się w trumnę, która blisko dla niego przygotowaną była, prosząc i zaklinając, ażeby mnie razem z ojcem pogrzebano, że gwałtem mnie z tejże trumny wyciągnąć musieli, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

Cztery lata uczyłem się filozofii głupiej, a natenczas powszechnej perypatetycznej, traciłem czas młodo-

ści mojej najlepszej. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzebne będzie.“ Moja perypatetyka jak nikomu tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła. Porzucił ja z czasem świat oświeceńszy i kiedy świeżo, uczony Kant w Królewcu, gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną teraźniejszą filozofiją na doświadczeniach fizycznych, geometryi zasadzoną do dawnego *Eas rationes* powrócić chciał. W przeciągu kursu filozofii mojej ciebie ja to miłości najpierwszy raz poznałem; napróżno Jezuici, słodkiemi namowami przynęcali mnie abym do ich nowicyatu poszedł i był Jezuitą, mocniejsza natura nad wymowne przekonywania, swoją pójść drogą wolała. Jeżeli żyjesz jeszcze najpierwsza kochanko moja zdrowie ci i szczęście! ..... więcej stem mil oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojej ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. Maryanna Brősellowna córka kapitana saskiego, z Turkułówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była do której się w życiu przywiązałem. Moja do niej miłość była niewinna jak ona, po całych prawie nocach, ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz w piersi pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajane, jakże daleko mocniej ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich sielanek: „*Tęskność na wiosnę do Justyny*“ napisałem, i którą pod tem imieniem tyle razy potem wspominałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nie nasyceniem się; lat kilka i ja w mojej niewinnej i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzej przybiega szczęście, kiedy go pięknej a cnotliwej kobiety oczy zawołały, a ja ubogi wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze „ja się dla ciebie prząść nauczę,

i grzędę kopać będę;“ jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojej filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie oną była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego pułkownika synem, który pod dozór mnie oddany był.

Nowy dla mnie w tej ruskiej stolicy świat się otworzył; blisko przypadłe kontrakty lwowskie, narobiły mnie wiele znajomości, między któremi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny koronny, pan słodki, skromny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu jako piszącemu wiersze, ja także piszący, i już cokolwiek z tej strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innymi i mój profesor teologii, Starzeński Jezuita, razem z sociuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniej czas jakiś bawił, którego hetman zapytał, jak też daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedziawszy, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil spełna. Wszyscy roześmiali się i umyślnie o czem inszem dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana, i ksiądz wyszedłszy z domu, sociusza braciszka kurtać zaczął, że się tak głupio u stołu z swojemi 30stu milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowie: „jużci lepiej zrobiłem jak waszeć dobrodziej, żeś odpowiedział nie wiem, bo to brzydko dla Jezuity, ażeby czego nie wiedział.“ Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie umniemanie, że Jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne, których tyle we Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że i wszystkiem głośno pogardzali. — Około dziesięciu było w tamtym czasie studiów zakonnych we Lwowie i w końcu kursu nauk, profesorowie zakonnicy zapra-

szali profesorów Jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuici, zapraszając na takież dysputy profesorów, zakonników czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował, to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi, czyli u siebie bronił się, podobnie opugnującemu profesorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa, która zwyczajnie trwać miała dwie godziny po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy mnich, tak student, jako i profesor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuickich prawdziwie pogorszało. Nowo przybyły profesor teologii u Bazylianów, Misterski nazwiskiem, oduczył trochę pychy Jezuitów, kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenie ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych profesorów mnisich przyprowadzali, ale skromny bazylian w swoich krótkich zarzutach, razem potrącał sposób, jakby się jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkiem z ludzmi postępowaniu, tem samem przestrzegł.

W drugim roku teologii mojej, podnieśli Jezuici lwowscy, szkoły swoje na akademią a między inszemi studentami świeckiemi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem a ś. teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej procesyi akademicznej, tłumni goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktór ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszczyk czarny po pas, błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami na około, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonej i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającej, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów, w pąsowym aksamitnym ze złotymi frężlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesyą, akademik zamojski, w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nie-

ważność tego aktu.“ Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym, akademika protestującego się z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając, berłem mojem w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktór, także filozofii, już go był za łeb zachaczył, i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko, za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymanem zwycięztwie swojem „*Te deum laudamus*“ kończyliśmy; przyczyna miała być tej protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiej, którem warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa, żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie, szkodliwszem być miało narodowi.

Bawiąc we Lwowie poznałem się także z Ignacym Cetnerem wojewodą bełzkim, najczęściej tam przebywającym, i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje, Krakowiec zwane, mającym. Już żony, z domu Potockiej, u siebie nie miał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpoczciwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich, i zbytecznem urzędnikom swoim pobłażaniem ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcej połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydlem lubił często, zioła zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potem cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał i dla zmartwień jego w czasie kontraktów lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie mieć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześciańską religią, w tłumie mających z nim interesa, wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do bliskiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go spłakanego przy nogach krucyfixa, kiedym go

cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten który mi dopiero tak ostro, publicznie gadał, bóciki mu kiedyś sprawiałem, do szkół go dawałem, bo był synem mojego ekonoma, i w mojej służbie spanoszył się.“ — Najwięcej ten zacny człowiek, takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słynęła we Lwowie, pobożnością i wiadomością pisma św. Tamburini; była ona Polka, a mąż jej Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko poczciwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jednem z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jej były pełne ognia, rozumu i ducha chrześciańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na doł, a nic nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszono) nie jadała. Ja młody, pisma także cokolwiek jako już teolog umiejący a mający reputacyą nierozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała, częściej bywać u siebie. Raz ją zagadnąłem: „którzy też to są błogosławieni ubodzy w duchu“ kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego tłumaczyła, ja jej odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie, będący w łaźni, ubodzy bez koszuli, a w duchu, bo w gorącem powietrzu; zganiła mi żartowanie z pisma, wszelako łaski u nabożnisi nie straciłem. Prawie zawsze kilku mnichów u niej zastawałem, ale raz znalazłszy ją samą i z piersiami na pół odkrytemi, po nabożnym przegrywku, zacząłem piękne jej piersi chwalić, a ona mi rzecze: „Grzeszniku jak śmiesz to ciało chwalić, które niezabawem trupem i pastwą robactwa będzie?“ a ja jej na to „niżeli te piersi będą trupem, kwapmy się i całujmy je żywi żywo.“ Chociaż moje pocałowania były przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja broniła mi, i słodko na mnie, nie w ziemię, jak zawsze, patrzeć zaczęła. Ale para mnichów nadszedłszy, nie dali skończyć

dzieła rozpoczętego, i ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek, drogą naszą zapuścił się.“ Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia nieco z mnichami pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniej dobrze o świętochnie, a nie o sobie, którym ją, do tej trochę słabości przywiódł. Niedługo potem, arcybiskup lwowski Sierakoński, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i dowiedziawszy się o kazaniach, i o poście ustawicznym bez jedzenia żadnego pani Tamburini, kazał jej przyjść do siebie na obiad, i koniecznie pod posłuszeństwem, winnem biskupowi swemu, jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niej przykrzejszem jeszcze było, kazania nawet jej mieć zakazał. On już o wszystkiem wiedział, a my potem powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba, ukradkiem zjadała. Tak to fałsz, niedługo w przybranej na siebie cnoty sukience ludzi, bo poznać łatwo, że nie na niego zrobiona była.

Skończyłem kurs mojej teologii, odbywszy publiczną nie źle dysputę, na której prócz innych gości, był i arcybiskup lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad, i dając mi pochwały z niedawnej mojej dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu nie czuję, radził mi post przez trzy środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył. — Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojem dowiedzieć się. Powiedziałem mu, jak było, że widząc jakiej doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli nie dobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który mimo odmówienia mojego był potem na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie, między ludźmi znaczniejszemi przyjęcie, zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względ-

dy dla mnie przypisywałem mojej biegłości w filozofii i teologii.

Bawiąc we Lwowie, miałam sposobność poznać księżnę z Sapiehów Jabłonowską, wojewodzinę bracławską. Ta pani wielu umiejętnościami sławna, a nawet łaciński język umiejąca i książki łacińskie czytająca, przyjmowała mnie w domu swoim z tą dobrocią, która jej była wrodzoną. Raz bawiąc u niej nadjechał z swoim sociuszem, przeszły mój pierwszej lekcyi teologicznej profesor Starzeński, Jezuita. Ja co Boga w doskonałości kładłem najpierwej, po nim zaraz Starzeńskiego, a po Starzeńskim siebie, zadziwiłem się niezmiernie, kiedy księżna, tak w dyskursie, po kilka razy zagadnęła tę pierwszą podług mnie po Bogu osobę, mego naucznego naczelnika, że jej odpowiedzieć nie umiał, dopiero wtenczas ja o sobie zacząłem skromniej przemyśliwać i co pycha prędko mi dała, to powolniejsza roztropność i poznanie sił moich, które jedna kobieta zmocować może, pomału mi odbierały.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii, do Palestry udałem się. Umiejąc nie źle łaciński język, w którym ekspedycye sądowe w Koronie wychodziły, jeszczem roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości, w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niej, gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery do niej potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje, byleby podstępnym i mogącym sąd uludzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego „Franciszek niech idzie prawdą na świecie,“

takaż to prawda, pomyślałem sobie zgubić podstępem, niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew napisałem? cóż mi on będzie winien, że nie tylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowej na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczej sam mu szkodzić mogę choćbym i sobie razem zaszkodził, szlachta się jakem żądał pogodzili, a ja bojąc się tej ślizgiej drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniem bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie, dla odwiedzenia matki mojej i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. — Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcej on miał jeszcze bogatszych kolegów, Worcéla, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieszką poszli, na którejby więcej złota znaleść można niżeli cnoty, bo mój Koziebrodzki był człowiekiem poczciwym, nie skąpo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła jak lwowska“ (tak on mi mawiał) a ja sobie potwierdziłem tę prawdę wspomniawszy na księżnę Jabłonowską z Jezuitą Starzeńskim. O kilka mil od Chocimierza, mieszkali państwo Ponińscy starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zahajpolu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu jak i w żonie, edukacyą wyższą, wiadomość rzeczy większą, jak gdzie indziej znaleść mogłem. To mnie zachęciło, że w domu ich bawić czas niejaki postano-

wiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego starosty winnickiego córką. Poniński przy wielu języków i umiejętności posiadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszem, twarzy nie wiele przyjemnej, ręce najpiękniejszej i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitej, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta; byłem przykładem czasem nadaremnym, mężowi swojemu nie naruszonej wiary małżeńskiej, a sąsiadom grzeczności w spółeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jejmości, i to była druga moja Justyna, która jak pierwsza, do wszystkiego co dobrem jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuzkiego uczyła mnie, a jej synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo z czem obojętnem i mogącem kogo urazić wyrwałem się. Także nauki, sam na sam jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnej przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym.“ Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku bo 14 latami odemnie starsza była, więcej lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moją od rozpusty zachowała, a za jedno pozwolenie, pocałowania siebie w piersi najpiękniejsze, jakże ona odemnie wiele cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło! Michał Siedlecki był u tych państwa rządzcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj, wielkim cnotom gdziekolwiek się znajdującym stawiać posągi, jego by tak między pierwszemi, unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściej między ubogiemi bawić lubią, najmniej ich tam ludzie uważają. Znający świat bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, geometryą, a to przy rozumie naturalnym najczyściejszym, przecież bez żadnej pychy, a nawet miany był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór, którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzał na niego, jak na największego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego

nie widział, co czasem do utrzymania ludzi w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązków potrzebne; ale to zimnej krwi jakiejś gatunek sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojej, że czasem całą noc nie spał, ażeby co ma być skończone skończył. Krzywdy nadewszystko aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbyteczną sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchód domowy, w ręku swoich corocznie, przy dodawaniu regestrów na końcu roku z swoich zasług, kilka set złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się poczciwie przyznawał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił, co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potem powrócono, a nadał na końcu regestru, dodawać pozwolono, zapomniałej ekspensy kwotę. Z takich to ja cnót człowiekiem, na serce moje pomieniałem się, i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale on się czasem mieszał i do teologii, bo kiedy przed nim płakałem na ostrą kochankę moją a panią jego, on mnie tem łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich, wysłany był posłem, Poniński starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniej namiętność moja do pozostałej żony wzmagała się, tem więcej cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wtrącony moskiewską przemocą, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce, był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską ostatnią z domu, a to pod kondycyą, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniej dla utrzymania imienia praktykowało) nazywał się Poniatowski, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska Ciołek, bo Torelli, we włoskim języku ciołka znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał ten

dom, w czwartym, go podniósł Poniatowski z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potem krakowski pierwej sławny bawieniem przy Karolu XII królu szwedzkim i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez miłość dla niego Katarzyny II imperatorowej rosyjskiej, królem polskim, pod imieniem Stanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potem nienawistne magnaty nasze, nagłe tego domu podniesienie się, w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrzności
Syn królem, ojciec w krześle a dziad podstarości.

Nie na tem skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie czemu nie Radziwił, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi, więcej zależało na tem, kto z domu król ten? niżeli żeby sprawiedliwie panował. Radziwił wojewoda wileński, z Branickim hetmanem wielkim koronnym mieli najznaczniejszą bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko tej nowej elekcyi partyą. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu obranego króla, wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozpraszane od wójsk moskiewskich i skończyło się na tem, że gniewając się jeszcze na króla przepraszali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiej bawiąc albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między inszemi z Mrozowickim rejmentarzem partyi ukraińskiej i z Bielskim łowczym nadwornym koronnym, za którymi były siostry Ponińskiej. Mrozowicki poczciwy ten i piękny Polak, większą część majątku swego na usługach ojczyzny straciwszy, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych, sławnych męstwem Polaków i w całem życiu starał się ich naśladować.— On mi to mawiał: „mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność.“ Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne z sercami najlepszemi równie jak ich ojciec i matka. Antoni Bielski z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci i żyli też najokazalej. Dwór liczny, kapela,

błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym, i wiek mój młody gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny, i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkania, nęcił mnie najczęściej. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek, szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał, najbardziej zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohatyrów, którzyby się zemną potykać mogli, była najłatwiejsza z XX. Dominikanów pobliskiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studya. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz inszych gości regent teologii z Podkamienia ze swoim lektorem i nadworny teolog Bernardyn siedział, wśród najżywszej mojej z niemi dysputy, postrzegłem, że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał, spytałem Bielskiego, siedząc przy nim i żartując, że ten jakiś Pauper, nierychło na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to Bazylian Nestorski superyor nad dwoma Bazylianami, którzy w bliskiej wiosce jego mieli swoją cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych funduszowego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojej teologii we Lwowie, nad wszystkich tam uczących teologii słynął, Jezuitów tyle razy w dysputach przemógł, a przemoc swoją, przez skromność zawsze utaić starał się. Kiedy wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, za co tak wielki w zakonie swoim człowiek, na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce u stołu i Bielski o dyspucie zaczętej powiedziawszy mu, (jak dawniej) skromnie i księdza regenta teologii i jego lektora i Bernardyna nadwornego, i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartemi dziwili się tylko, a ja pewny zwycięstwa Nestorskiego, w duszy mu winszowałem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle

pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi Bazylianie, przecież najmniej od pierwiastkowego swego instytutu odstąpili, i największy u nich człowiek, posłuszny swojej zwierzchności, kiedy kazała do pługa nawet pójdzie, ale zda mi się, że sami tylko Bazylianie, swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule nawet św. Benedykta fundatora tychto najbogatszych mnichów, wyraźnie napisano: „Stary mnich niech modli się w chórze za młodego, i za siebie, a młody niech rolę orze, ażeby i siebie i starego pożywił.“

Bielski, we wszystkiem chwalebny, miał skłonność do wina, i wtenczas, kiedy sobie podpił, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja chociaż ubogi, miałem sobie za upodlenie, wtenczas mu się nastręczać, kiedy on pijany, prezenta faworytom rozdawał, dla tego też nic od niego nie zyskałem, bo też on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany miał uwagę w rozdawaniu darów swoich, raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy bióro z talarami, pozwolił mu wziąść talarów tyle, ile tylko może naraz dwoma garściami zająć. Przenosząc z biórka do czapki swojej, w garściach talary kamerdyner, kilka mu na ziemię wypadło, które on potem zebrawszy, nazad do bióra położył. Co widząc pan pochwalił wierność i drugie dwie garści wziąść talarów pozwolił. Wyszedł kamerdyner chwaląc się przed kolegami służącemi z hojności pańskiej i zdarzenie o drugich garściach powiadał Zawołany wkrótce do garderoby i kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wziąść pozwolił a on w przenoszeniu umyślnie kilka wypuścił, i potem zebrane nazad do bióra włożył, ażeby mu jak kamerdynerowi i drugą garść wziąść pan pozwolił, poznał to Bielski i pierwej nawet wzięte dwie garści talarów nazad do bióra włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się.“

Miałem lat około 26, kiedy się konfederacya Barska zaczęła, początkiem jej niby był Krasiński i Pułaski, ale Potoccy i inni magnaci, nie kontenci z króla, podnieśli ją, nareszcie jeden z Potockich podczaszy li-

tewski, naczelnikiem jej, u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersały Potockiego, mające za hasło: „Wiara i wolność“ do Bielskiego do Pieniak przyszły. Z niewymowną radością, dzień ten był obchodzony, ja sam wiedząc, jakie niełady Moskwa u nas wyrabiała, cieszyłem się w duszy, że przecież naród poczuł krzywdy i upodlenie swoje, aleć nie rozumiałem w czem to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy, tej zawieruchy początkiem byli, bo żądali i otrzymali, przez udanie się do Moskwy i Prusaka potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanymi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli, wierz jak chcesz, ale prawa narodu zachowaj, kochaj ojczyznę jak matkę, to już tem samem, masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy litewski Potocki, był już z wojskiem po większej części z pospolitego ruszenia zebranem, w miasteczku Podhajce, odległem od Bielskiego około mil dziesięciu, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacyi barskiej, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: „Mospanie Łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich,“ z takiego przygrywku, poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny, na tronie siedzący Poniatowski. Cóżkolwiek było, Bielski jako kochający ojczyznę swoją obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiej działo narodowi, i byleby od jarzma moskiewskiego uwolnić się, powróciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny rejmentarz partyi Ukraińskiej Mrozowicki, z dwoma synami swoimi Józefem i Mikołajem kilkanaście przytem ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu, tak z Korony jak z Litwy obywateli, osobiście stawiło się, ale magnaci tajemnie tylko konfederacyą barską wspierali, czekając okazania się losu jej. Różny ten był w początkach, ale nakoniec kiedy po większej części decydowało się szczęście za

stroną moskiewską, i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca Podolskiego, napierał się ustąpienia mu tej fortecy pogranicznej, z swoją partyą uchylić się musiał na Wołoszczyznę, zkąd pomocy tureckiej przeciwko Moskwie, równie także Turkowi ciężkiej, spodziewał się. A tymczasem marszałkowie różnych konfederacyj, różnym losem Moskalom w Polsce opierali się. Byłem przytomny we Lwowie, kiedy do tego miasta niby do fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło; chociaż tam Moskwy nie było, ale komendant garnizonu, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich, oparł się tłuszczy niesfornej i widzieliśmy go jednego poranku, w szlafroku, skutecznie odpierającego konfederatów; wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiej kasztelanowej lwowskiej, której syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potem, konfederaci widząc niesposobność swoją do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był w którym i ja ruszony patryotyzmem (gdyby jakem się spodziewał konfederaci Lwów odebrali) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania, ale widząc największą między niemi niesforność, pijaństwa i rabunki, zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziej kościół dobrowolnie przez nich spalony, przez nich co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecił mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą nim się rozruchy narodu uspokoją czego się nauczyć, i z powodu tej przyszłej wędrówki mojej przebrałem się po francuzku. Wyjeżdżał po niejakim czasie ze Lwowa do Wiednia, młody Puzyna starościc upitski z guwernerem swoim księdzem Kobylańskim Jezuitą, znanym potem w Polsce, z pięknych pism swoich i z pięknego myślenia sposobu, przyjacielem moim. Z niemi ja zabrałem się do Wiednia około 200 duka-

tów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżeliśmy do Krakowa dojechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy, niekarnych naszych konfederatów, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przyszło. Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcej byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy, wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie którzy mię tak groźno kurtali pijanemi byli; w takim stanie, ja nie mając się czego spodziewać z bezrządnej konfederacji, nie ratowałem prawda ojczyzny mojei, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u księżny Starościny Bolimowskiej, konfederatki zaciętej jakoto qył i brat jej Hetman Branicki, odebrałem z Warszawy patent na kapitana złotej chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiednia jak mię przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i porte épée, wchodzenia kiedym chciał na cesarskie pokoje. Tam u księżny, nasłuchałem się modlitw publicznych, ku potłumieniu króla, i Moskalów. Tam prócz innych konfederatów poznałem i Potockiego starostę szczerzeckiego, który potem od konfederacyi był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wiedniu będąc wiele mi dowodów przyjaźni swojej oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniej w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpustniejszym. Widziane piękności Krakowa, dały mi myśl jaki też Wiedeń będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potem tam przyjechawszy, prócz większej nierównie ludności miasta nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem, nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.

Jadąc do Niemiec, w Białej, ostatnim miasteczku polskim, zastaliśmy wiele marszałków naszych konfederackich, między którymi był sławny pułkownik Paszczowski; już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzej ziemi. Co też nie długo potem nastąpiło. Zkąd wy-

jeżdżając do bliskiego miasteczka szlązkiego, Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich, wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojej, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz, zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędóstwo wszędzie największe, wtenczas kiedy my jak we wszystkiem tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincyą, i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy spytać się moim językiem, wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderberga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się Boguminów po dawnemu.“ Tak to dawność i usiłowanie niemieckie, nie mogło wymazać z pamięci pospólstwa nazwisko starożytne miasta tego. Znowu ja na ciebie wspomniałem ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieładem potraciłaś! A ten mój język pozostały jeszcze między pospólstwem, potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowianów, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Ołomuniec, Brün w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówiłem się, i dopiero do Austryi wjechawszy, już chłopi niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsi, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygoda chciała dostarczały, drogi najlepiej utrzymywane, podróż najmilszą czyniły. Ale wjechawszy w Austryą obraziło mnie przy staciach podróżnych wybieranie od przejeżdżających myta, po krajcarze jednym więcej od mili, jak dawniej płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi: że ponieważ odeśrodka marca, zima jest, opłaca się zwyczajnie w tych czasach na kożuch dla Cesarzowej Maryi Teresy, krajcar na milę jednę od podróżnych. Znowu ja pomyślałem czyliż ja temu winien że zimno? i czyli Marya Teresa, nie ma z czego sobie kożucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w kłótliwym ale kraju wolnym urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia do tego miasta tak żądanego odemnie. Puzyna z Kobylańskim zajechali prosto do Teresianum Collegium gdzie młody Puzyna, w tym konwikcie miał się edukować. Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem Niemcem spolszczałym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu, na drobne jego potrzeby kilka czerwonych-złotych, on mi napisał list do ojca swego mieszkającego w Wiedniu, pod znakiem złotego Pelikana, na przedmieściu Jozefstadt nazwanem, zapewniając, że pewno u ojca jego stancyę mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tem ogromnem mieście przedmieścia Jozef-Stadt, złotego Pelikana, i bildhauera czyli snycerza Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem, i kiedy list ojcu od syna oddałem, a on go przeczytał, rzucił się na mnie spłakany starzec, i z czuciem największem powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnej nie miał wiadomości, ścisnął mię serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, a sprowadzenia się mojego, jakemto mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak miłość syna, którego on dawno niewidział, zrobiła mi przyjaciela w ojcu, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769tym w marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozległejsze a ludność do 300,000 mieszkańców mająca, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski i w porte épée; który nosiłem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nie proszony na muzyki, które znaczniejsi ludzie w tem mieście dają, wchodzić mogę, przechodząc raz blisko domu jakiegoś, i słysząc

muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamaszkowe czerwone, i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam książę jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna, i mówiła do mnie coś po niemiecku, czegom nie zrozumiał prócz dwóch słów *essen* i *trinken*, ukłoniłem się jej tylko domyślając się fałszywie, że mi w tym domu, jeść i pić czyli wieczerzę dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwiłem się, że jak mężczyzni tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze co już dobrze znałem, tańcowały. Oświecił mię wkrótce jakiś koło mnie siedzący Niemiec a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień prócz piątku i soboty bawi się. Tak ja najpierwej, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotej chorągwi i porte épée użyłem.

Po kilku niedzielach, bawienia mego w Wiedniu nadjechał tamże ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiej Strumiński, dobrze po niemiecku umiejący prałat, ale za granicą jak i ja niebywały. Z nim według afiszu, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytację sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacyi, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospólstwa i widząc tam Niemców po większej części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszów. Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący przedawacz zawołał: „Dwa kapelusze na przedaż“! kiedy go pytano gdzieby były? pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potem do nas rzecze, co mi potem mój prałat wytłumaczył, „że ta licytacja, imieniem cesarskiem odbywa się i miejsce to powinno być szanowane.“ Tak ja znowu, mój oficerski kapelusz, upokorzony zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem, po kilku dniach, poszliśmy na nieszpory, do katedralnego kościoła S. Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszej zawsze muzyki, siedliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzu, i o różnych rzeczach rozmawialiśmy. W tem ku wielkiemu ołtarzowi i ku nam idzie jakiś, po wszystkich szwach sukni bogato

galonowany Niemiec; stanąwszy przed nami grzecznie nam się pokłonił, i my powstawszy obydwa grzecznieśmy mu się odkłonili, zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonej perorze ukłonił się odchodząc, i my się wzajemnie ukłonili. — Wytłumaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich niegorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. — Znowu ja z moim mundurem w oczach 3000 może ludzi będących w kościele upokorzony byłem, a mój prałat bardziej, bo szwajcar jako księdzu musiał mu zapewne więcej nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznajomość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, niemający nikogo, ktoby przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nienależy.

Że z przedmieścia Jozefsztadt daleko było do miasta gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał rozstając się ze mną, i najmniej mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna jego we Lwowie zrobił mi w ojcu prawdziwie przywiązanego. — W mieście wygodniej mieszkałem, u metra francuzkiego języka, tańczyć, i nauk w uniwersytecie jakich tylko żądać mógłem zręczniej uczyłem się. — Najbardziej mnie bawiła fizyka experymentalna, przez sławnego księdza Franz Jezuitę dawana i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin professora. Zgromadzenie na lekcyach bywało największe z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experymentalna w Bürger-Szpital pod starcem professorem Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr,, hece, widowisk różnych, licytacye różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. — Ale skwasiło wkrótce wszystkie te piękne rozrywki, jakieś niszczenie ciala mego widoczne, i mimo rady najsławniejszych

w mieście doktorów v. Switena, Haena i Humelawra coraz w gorszym się stanie widziałem. — byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym, i może więcej rozrywki różne niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. — Co środa bywałem na obiadach u księżnej Lubomirskiej wojewodziny krakowskiej, w Wiedniu oddawna mieszkającej, tej kobiety prawdziwie najcnotliwszej, powszechnie w mieście począwszy od Cesarzowej Maryi Teresy szacowanej, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Tam poznałem się między innemi z generałem Korticelim, Włochem naszym spolaczałym. Nieznałem Polaka lepiej tłumaczącego się w naszym języku, pełno słów miał i stósownych i pełno dowcipu wszędzie. Ten człowiek prawdziwie mnie lubił, często na objady zapraszając, często u mnie bywając był mi prawdziwie przyjacielem, nauczał mię (jako blisko lat 20 w Wiedniu mieszkający), miasta tego zwyczajów, ludzi, duch charakterów poznawać. Razem raz na fizyce experymentalnej będąc, pokazał mi sławnego w Wiedniu Polaka, jak go nazywał mizantropa Wiesiołowskiego, z nikim on z Polaków, z nikim z Niemców nieżył, na różne tylko w tem pięknem mieście, lekcye albo widowiska uczęszczając. Po niejakim czasie, po skończonej lekcyi Franza świeża była o nim anegdota w Wiedniu, że przyszedłszy do rajtszuli cesarskiej, gdzie sam Józef cesarz przytomnym był, bawiąc się przejeżdżaniem koni, które mu świeże przyszły z Hiszpanii, kiedy tłum panów razem z cesarzem dzielnością koni przejeżdżanych bawili się, nasz Wiesiołowski kamyczki drobne któremi rajtszula wysłana była zbierał; pokazano go cesarzowi, jako znanego w Wiedniu mizantropa, przystąpił do niego cesarz, pytając się, czemuby na tak piękne konie nie patrzył, ale raczej kamyczki zbierał? Odpowiedział: „bo widywałem tak piękne konie a tak pięknych prostych kamyczków rzadko.“ Ten to człowiek osobliwy, po niejakim czasie, po skończonej sessyi fizyka Franza sam przyszedł do mnie, z pomiędzy tłumu rozchodzących się i przyjaźń mi swoją oświadczył, zaraz

mię do mojej stancyi odprowadził, i prosił, aby codziennie z rana, mógł bywać u mnie, tak też i codziennie bywał, a w tenczas, miałem czas poznania, że to był człowiek najcnotliwszy, pełen wiadomości z czytania książek i wojażów nabytych, mówiący zaś językiem francuzkim tak doskonale, że go rozróżnić nie można było od urodzonego Francuza najpiękniej swoim językiem mówiącego. Ludzie go nogą potrącali, a to był dyament pyłem pokryty. Gdym go pytał, czemuby z ludźmi (jak to mówią) nie żył? odpowiedział dla tego, że żyłem i oszukiwany byłem. W mojej chorobie konsumcyi, w mojej osobności, jakiż to dar w domu, przyjaciel taki, gość codzienny, a nigdy nie sprzykrzony; albo mnie opowiadaniem różnych zdarzeń i wiadomości rozrywał, albo czytaniem coraz ze mną książek użytecznych bawił. Zazdrościł mi tego najbardziej Kortiochi, zazdrościł i Rzewuski marszałek, ale ledwie raz i to z ciężkością pozwolił na to, że był u nich na obiedzie, i tego potem przedemną żałował. „Rzewuski, powiedział mi, magnat pyszny, a ja ubogi, my się nigdy nie zgodzimy."

W tych czasach, księżniczka Antonia, córka Maryi Teresy, ta najpiękniejsza panna w Wiedniu, szła za. Delfina na tenczas, a potem nieszczęśliwego Ludwika XVI króla francuzkiego; biskup strazburski, kardynał de Rohan, był posłem Ludwika XV do ukończenia małżeństwa tego. Szła do dworu cesarskiego kosztowna z posłem kareta, z piechotą przed nią, 15 liberyi, 2 kamerdynerów i 2 strzelców, wszyscy bogato uszamerowani. Tłumy pospólstwa, patrzące na to (jako Niemcy mają jakąś wrodzoną nieprzyjaźń do Francuzów) wołali głośno, że te galony są szychowe; brano wołających do turmy, a oni tam idąc, jeszcze wołali szychowe.

Gdy był ślub z arcyksiężniczką, imieniem Delfina ukończony, wieczorem była wielka illuminacya miasta, ale najbardziej od Szotner bramy, aż do przedmieścia, na którem stał poseł francuzki, całą ta niezamieszkalna odległość, między miastem i tem przedmieściem, miała ulicę szeroką ze słupów nowo zrobionych, na

których wierzchach delfiny były snycersko wyrobione. W środku zaś tej rozległości były świeżo zrobione cztery niby baszty, na których muzyka grała najpiękniejsza, i z których dla pospolstwa, wino austryackie rynnami ciekło, i pieczywa różne z chlebami rzucane były. A te cztery baszty czterema nazwiskami różniły się: baszta Cesarza, Maryi Teresy, arcyksiężniczki Antonii i baszta Delfina. Przypadek zrobił, albo może że obficiej z baszty Delfina pokarmy i napoje wyrzucano, że z baszty Delfina i wino płynąć ustało i pieczywa już nie wyrzucano, wtenczas kiedy ztamtych baszt, jeszcze obficie dostarczano; znowu pospólstwo nieprzyjazne Francuzom obruszyło się, i najpierwej skąpstwo Delfinowi wyrzucało, a potem na basztę delfinowską i kamienie rzucać zaczęło, że ledwie żołnierze, biorąc do turmy naczelników swywoli, rozruch uśmierzyli, a biednych muzyków, grających na baszcie delfinowskiej, kilku skaleczono kamieniami.

Kiedy arcyksiężniczka z posłem już miała wyjeżdżać do Francyi i dany był wielki obiad pożegnalny w pałacu cesarskim, na ten obiad poszedłem, aby się napatrzyć okazałości dworu i widzieć etykietę jego Przyszedłem wcześnie do sali jadalnej, że dopiero do stołu nakrywano, szambelan mający nawet mniejszy order Maryi Teresy, tę robił posługę, i do zgorszenia mego, każdą serwetę na których były dwie litery M. i T. t. j. Marya Teresa wyszyte, tym literom skłonił się, pocałował i potem dopiero kładł na farfurkę. Generałowie ogromne złote półmiski na stół nosili, a wielki kuchmistrz imperyi laską pokazywał, jak miały być położone na stole. Stół był ustawiony w literę N. Na brzegach w górze zasiedli: Cesarz Józef po prawicy, a cesarzowa Marya Teresa, matka, po lewej stronie, koło cesarza Delfinowa, arcyksiężniczka Krystyna, Albrychta Sasa królewicza naszego żona i Elżbieta arcyksiężniczka. Po lewej stronie, koło cesarzowej wdowy Maryi Teresy, syn jej arcyksiążę Ferdynand, drugi syn jej Maxymilian, a trzeci Albrycht książę saski i już wszyscy którzy siedzieli u stołu, po brzegach jego, w środek zaś stołu, wchodziła tylko służba

podająca i odmieniająca półmiski. Był to dzień sobotni, i Marya Teresa, surowa katoliczka, z postem ten stół zastawić kazała. Cesarz raki tylko i bułkę chleba zjadł, a jam pomyślał: on cesarz a tyle go objad kosztował co i ubogiego jakiego w mieście. Człowiek ten, cierpiał wszelako, żeby mu najpierwsze książęta imperii, na kolanach u stołu farfurkę podawali; — tak służył cesarzowi, stary książę Lichtenstein, okryty orderami, i trzęsący się z podeszłości wieku swego, tak służyło i wielu innych pierwszego rzędu panów, stojąc za krzesłem i podając farfurkę, albo wodę na kolanach monarsze swemu, które bałwochwalstwo na ulicy nawet, dla przejeżdżającej cesarzowej czynić musieliśmy. Muzyka najpiękniejsza w czasie obiadu grała, a gwardya węgierska, w koło stół dla uniknienia ścisku okrążała.

W tych czasach arcyksiężniczka Antonia wyjeżdżała z Wiednia pomiędzy dwu płoty kilkunastu tysięcy wojska, broń tylko przed nią prezentującego, ale bez żadnych wystaw honorowych, kilkanaście karet za nią jechało. Ona w pierwszej, całej w szkłach przezroczystych, na przedzie kardynał poseł i księżna jakaś niemiecka, Delfinową rzewnie płaczącą przez cały ten przeciąg parady widzieliśmy. To było w etykiecie wyjazdu jej osobliwszego jeszcze, że kiedy się (jak powiadano) w pokoju Maryi Teresy z matką pożegnała, gdzie byli razem przytomni cesarz bracia jej i świty, nikt z nią pożegnawszy się, nawet do drugiego pokoju wyprowadzić ją nie wyszedł, żeby się nie uniżyć, że to poszła za Delfina, a oni byli cesarską familią i ażeby tak natury samej, dla marnej zapomnieć etykiety! ktoby się był na tenczas spodziewał, że taż córka, wnuczka, siostra cesarzow, arcyksiężniczka Antonia, ta jedna z najpiękniejszych kobiet niemieckich, będąc z czasem królową między najpotężniejszemi w świecie, będzie miała przez kata, na publicznym rynku szyję uciętą, jak się to potem najokropniej dla niej zdarzyło wraz z mężem królem, i pokazało się, że sama wysokość stanu nie jest dostateczną,

szczęśliwym kogo uczynić, co w dalszym ciągu życia mego, prócz niej i na naszych jeszcze uważałem.

Ja tymczasem w Wiedniu, chorobą mojej konsumcyi niszczony, jak mogłem pożytecznie dla siebie rozrywałem się. Do tylu wyżej wymienionych rozrywek tej stolicy, przyczyniłem jeszcze oglądanie galeryi obrazów jaka jest cesarska, Lichtensteina i innych. Oglądanie także zwierząt różnych dzikich, tak cesarskich jako i przybyłych bawiło mnie. Lew w cesarskiej menażerji chowany, miał klatkę ogromną, na dwoje środkiem przedzieloną, ze drzwiami wewnątrz z jednego przedziału do drugiego, ażeby kiedy jedną z tych przegód zagnoi, przepuszczony był do drugiej, już dla niego przeczyszczonej. Zdarzyło się za mojej bytności w Wiedniu że do próżnej połowy klatki, córka dozorcy zwierząt weszła, przypadkiem drzwi od drugiej połowy gdzie był lew nie zamknięte były, wszedł on tam z rykiem wielkim i porwał dziewczynę. — Wybiegł na krzyk nieszczęsny ojciec, a widząc już między pazurami lwa krzyczącą córkę, za pierwszem poruszeniem idąc, porwał się do kordelasa który miał przy boku, ale potem bojaźń go jakaś objęła, ażeby lwa cesarskiego nie zabił, pobiegł prosić o pozwolenie zabicia go do zwierzchnika, w tym domu mieszkającego, kiedy tymczasem córka była uduszona. Tak to despotyzm ustrasza naturę samą i dla bojaźni jego, swego dziecięcia od śmierci nie ratuje.

Biblioteka cesarska, wolna każdemu do czytania, byleby książek do domu nie brać, nad insze rozrywki najwięcej mnie bawiła. Pokazują tam regestr wszystkich książek, żądaną książkę proszącemu zaraz podają — i mnie kiedym prosił o pokazanie mi kopii diaryusza wojny przez komendanta na ten czas tej fortecy, Sztaremberga pisanego, kiedy Mustafa czarny, wezir turecki, Wiedeń atakował, a król nasz Jan Sobieski bronił go, zaraz mi tenże diarjusz pokazano. W tem jednem piśmie, od Niemca wyszłem, prawdy doczytałem się, gdze przecież Sobieskiemu winnych pochwał nie ujęto. Ale w tymże diaryuszu, doczytałem się na końcu, że w tej całej potrzebie, więcej nad

ośmset kilkadziesiąt Polaków nie zginęło, może zaś tyle dwa razy umarło od choroby, z przyczyny wody albo powietrza wiedeńskięgo, im nie służącego. I to też mnie nakłoniło, żem umyślił jak najprędzej Wiedeń porzucić, tak dla mnie może, jak dla owych Polaków z przyczyny wody i powietrza samego niezdrowy.

Co się tycze Sobieskiego, kiedy autorowie niemieccy, przez nienawiść dla Polaków, mało przyznają dzielności tego naszego króla w poratowaniu Wiednia, bohater ten, ustnie i publicznie przez usta niemieckie pochwalony. Obchodzono corocznie w Wiedniu uroczystość zwycięstwa tego w 7brze. Po skończonem nabożeństwie, w dniu tym, w kościele katedralnym S. Szczepana, Korticelli pokazywał mi kosztowne obicie Gobelinowe, od gzymsów kościoła aż do dołu powieszane, na którem cała tej wojny historya wyrobiona była jedwabiami, a co najosobliwsza, że portrety osób znaczniejszych w tę wojnę wchodzących, tak dobrze były wyrobione i trafne, że doskonały malarz lepiej by odmalować niemógł. Kiedy oglądając porządkiem to sławne obicie przyszliśmy do miejsca, gdzie cesarz Leopold, po zwycięztwie wiedeńskiem, najpierwszy raz widzi się z Sobieskim naszym, cesarz wyrobiony z głową nakrytą, a król szyszak w ręku trzymający, zastaliśmy przy tem miejscu obicia, starca zgrzybiałego Niemca, otoczonego mnóstwem inszych Niemców, który im o tejże wiedeńskiej wojnie, jako przytomny na tenczas w Wiedniu i około 18 lat mający rospowiadał. Spojrzawszy on na obrazy (jak się dopiero powiedziało) Leopolda i Sobieskiego, rzecze do swoich: „Źle to obicie wyrobione, że Sobieskiego z odkrytą głową, a Leopolda z nakrytą położyli, niechby raczej Leopold zdjął kapelusz, a Sobieski głowę swoją nakrył, bo gdyby nie ten król, jabym w tureckiej niewoli dotąd jęczał i Wiedeń pewnieby się był poddał“! Nie miło pewno było słuchać tego uprzedzonym zawsze przeciwko Polakom Niemcom, ale my z Korticellim z tego publicznego wyznania w duchu cieszyliśmy się.

Kwasiła prócz słabego zdrowia, mieszkanie moje w Wiedniu i pogarda powszechna Niemców narodu mojego. To prawda że będąc dla nich rzetelnym w opłacaniu albo w słowie danem, można u Niemca zyskać zaufanie i szacunek, jak ja żyć z niemi starałem się. Ale że dla mnie grzecznymi byli, nie zaspokajało to mnie, i jabym miał ich kochać, kiedy w magistracie tamtejszym, za mojej bytności, jeden człowiek z pospólstwa z drugim kłócił się i majątek tracił, że go tamten Polakiem nazwał, co u nich największym tam gatunkiem jest połajania. Chociaż najlepiej byłem z moim w kamienicy gospodarzem, że mu najrzetelniej miesięczne jego tak za stół jako i za stancją opłacałem, przecież i on najlepiej o mnie mówiący zawsze, znalazł przyczynę uszczypliwego gadania o Polakach. Na ostatni zapustny wtorek, zaprosiłem kilku Polaków na wieczerzę polską do siebie, była między inszemi i pieczenia zrazowa funtów kilkanaście ważąca, którą przy sobie piec kazałem, bo niewierzył gospodarz mój, aby się kiedy upiec mogła gdy była tak wielka. Kiedy się moi goście zgromadzili, przytomny między inszemi generał Kortycelli, który wieczerzy nigdy nie jadał, dobrocią pieczeni zachęcony, huzarskim jak nazywamy sposobem z masłem i cebulą przyprawnej, zjadł jej dwa dobre zrazy, ale jadł ją dobrze i mój gospodarz Niemiec, którego dla poznania polskiej pieczeni zawołać kazałem. Zdarzyło się że Korticelli nigdy wieczerzy nie jedzący, po niejakim czasie, siedząc jeszcze u stołu, zachorował, i pieczenią zjedzoną wywomitował. Mój dybry gospodarz rozniósł to nazajutrz po mieście, że Polacy w ostatni wtorek mięsa jedli tyle, że aż womitowali, i to mi po kilku dniach powiadał Kortycelli, że od wielu znajomych sobie Niemców słyszał.

Tymczasem w Polsce, Barska nasza konfederacya, na której czele był wojewoda wileński Karol Radziwiłł, więcej serca dobrego niżeli głowy mający, od Moskwy przyciskana, coraz zmniejszała się, a generalność jej przenosząc się z miejsca na miejsce w kraju, nakoniec za granice uchyliła się, i stamtąd wyroki swoje wysyłała. Po różnem jej za granicą błąkaniu się, wreszcie

w Preszowie w Węgrzech osiadła, i tam niegodziwe swe pismo detronizacyi Poniatowskiego podpisała, z dodatkiem, że gdyby go kto nawet zabił, nie będzie za to do odpowiedzi pociągnionym. Pismo to polskie, na język niemiecki przetłumaczone czytała Cesarzowa Marya Teresa, i zaraz że tak bezkarnie konfederacya króla każdemu zabić pozwalała (co wszystkich monarchów obchodzić powinno) już była najgorzej dla naszej konfederacyi dysponowana, i żeby jak najprędzej z kraju jej wyszli żądała. Z inszej strony Turczyn, próżną nadzieją Potockiego podczaszego lit. Mrozowickiego i inszych barskich konfederatów (jak się wyżej rzekło) do siebie zbiegłych, w Warnie utrzymując łudził. Poznano nakoniec że i ztamtąd pomocy żadnej nie będzie, tak najżywiej zaczęty zawód ten, słabieć począł w narodzie, zwłaszcza, że magnaci prawie wszyscy, bojąc się o majątki swoje, ażeby je Moskwa nie zniszczyła, niby to przy królu byli.

Tęskność moja do ojczyzny tem bardziej pomnażała się im bardziej ją widziałem nieszczęśliwą, i to wiersze moje zaświadczą, które pod tytułem: *Tęskność do kraju* w Wiedniu napisałem. Myśliłem sobie, niechbym przynajmniej umarł na gruncie polskim, bo jakimsiś nadzwyczajnem uprzedzeniem nawet, wzdrygałem się na to, ażebym pomiędzy Niemcami, nie był pogrzebiony.

Wybrałem się tedy do Wiednia ku końcu 7bra 1770go r., bawiąc tam więcej połtora roku, a wybrałem się, przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwięk poznał. Dunajem do Pesztu popłynąłem, a w tej podróży dopływając do Preszburga miasta stołecznego Węgier, gdzie na dnie tej rzeki są skały, że Dunaj z większym tam i tak niebezpiecznym płynie impetem, że gdyby wiosłami, najżywiej robiąc, nie wstrzymywano impetu, od pędu wody, każdyby statek zatonąć musiał. Dojeżdżając do tego miejsca, na którem przed dwoma niedzielami, kilkunastu ludzi, po większej części pijanych, a tem samem nie ostrożnych, utonęło, Włoch kupiec płynący na tymże ze mną statku na jarmark do Pesztu, wyszedł z swojej komorki (jakie

mieliśmy powyznaczane) i przypatrywał się na górze szifu czyli statku, położeniu miejsc nad Dunajem. Szifmann, albo rządzca statku człowiek najpyszniejszy (bo jak oni zawsze dodają) cesarski człowiek, (a szewc wiedeński, że jest cesarskim człowiekiem, myśli jakby sam był cesarzem wszystkich szewców na świecie); szifmann kazał kupcowi groźno zejść na dół, do swojej komorki, kupiec uparł się, a szifmann bić się z nim zaczął. Tak w miejscu płynienia naszego najniebezpieczniejszem, może o pół mili od katarakty Dunaju, gdzie już woda większym pędem płynęła, przestraszeni wszyscy niebezpieczeństwem utonienia, kiedy szifmann, (na którym wszystko zależy) wojną był zatrudniony, rozbranialiśmy bijących się, o litość nad nami prosząc, skończyła się walka, zerwaniem z głowy peruki kupcowi, którą w Dunaj szifmann wrzucił. A tymczasem kilkunastu ludzi najżywiej wiosłami robiąc, opierali się pędowi coraz większemu wody, że nakoniec szkodliwe katarakty przebyliśmy. Na tymże szifie płynęło z nami czterech kupców macedońskich; dowiedziawszy się, że jeden z nich umie po łacinie, a widząc właśnie tego samego nici kręcącego, po grzecznym komplemencie, pytałem go, czy kiedy czytał Kurcyusza, dodając, że za czasów Aleksandra W. pewnie Macedończyk nici nie kręcił. Z westchnieniem odpowiedział mi, „że pod Turczynem, cóż ma robić niewolnik — Macedończyk? broni im nawet żadnej nosić nie wolno, a czasem znaczniejszy jaki Turczyn w dom mój (jak mówił) przyjechawszy, do żony mojej bezkarnie idzie, konia mi tymczasem trzymać kazawszy.“ Widząc tych czterech kupców, wszystkich wzrostu najpiękniejszego, i twarzy coś znaczącej, spytałem się, czy się dobierali umyślnie wzrostami i pięknością postaci, jadąc z domu do Wiednia, a on mi odpowiedział, że wszyscy prawie Macedończycy tak są urodziwi, i dziwił się, że w Wiedniu tak wiele ludzi drobnych niedołęgów widział. „My to do siebie sami widzimy, że pięknym ludem jesteśmy, ale nie zawsze szczęśliwa piękność.“

Presburg, stolica wyższych Węgier, jest miasto piękne nad Dunajem, mające zamek na bliskiej górze mo-

cny, ale w samem mieście gnojów pełno i nieochędóstwo wielkie po ulicach. Do lepszej austeryi nocować sprowadziwszy się, przy stole dwóch szlachty węgierskiej pijącej wino i już podpiłych zastałem. Siadłem przy tymże stole, a oni po łacinie z sobą rozmawiając, najgorzej cesarzową Maryą Teresę i cesarza Józefa wspominali. Widząc, że tego za wiele było, odezwałem się nakoniec do nich po łacinie, że mają szczęście iż nie jestem Niemcem ale Polakiem, który tych mów swawolnych słucham, bo doniesieni mogliby ucierpieć za to; przybiegli do mnie obydwa i ściskając mnie serdecznie, polonus, polonus powtarzali. Kiedym im przymawiał o nieochędóstwo w mieście, i gnoje leżące po ulicach, mając przykład bliskiego Wiednia, gdzie tak wszystko porządne, odpowiedzieli mi: „wolę że mi ten gnój śmierdzi, niżeli żeby mię kto przymuszał, abym go wywiózł" — i to jest wolność. Tak się we mnie potem rozkochali, że mnie nocy pozbawili, nie mogąc wszelako dokazać, ażebym się wraz z nimi upił. Na drodze, Dunajem płynąc, jest nad brzegiem miasta Komoryn, sławne zamkiem nigdy od Turków niedobytym. Jakoż jest tam przy bramie zamkowej panna z kamienia ciosowego wyrznięta, figę pokazująca, co ma znaczyć, że się Turków nie boi. Tamże kościoła murowanego i wielu domów, świeże zastawszy rozwaliny, kiedym się pytał murujących na nowo, zkąd tyle rozwalin w mieście? a oni przeszłoroczne trzęsienie ziemi dali za przyczynę, dodając, że tego często doświadczają, pytałem dalej dziwiąc się czemu się na tak niebezpiecznem miejscu znowu murujecie? „My tu przywykliśmy do miejsca, bo tu dziadowie nasi mieszkali," odpowiedzieli mi, a ja ich prawdę sercem mojem potwierdziłem, że do mojej ojczyzny chociaż tak nieszczęśliwej, powracałem, ażeby w niej żyć i umierać. Przypłynęliśmy nakoniec do Pesztu, tej drugiej stolicy niższych Węgier. Miasto na dole porządne, z domem dla inwalidów najwspanialszym; z drugiej strony Dunaju, na którym most był na łodziach, drugie miasto na górze położone, nazwiskiem Buda, które razem sławną fortecą jest, tyle razy od Turków napadaną. Peszt, w czasie jarmarkowym, zna-

lazłem najludniejszym, gdzie i naszych kupców ze Lwowa poznałem, z którymi o powrót do ojczyzny umówiłem się. W tem mieście bawiąc dni kilka, miałem czas napatrzyć się ludu węgierskiego obojej płci, i wielu nawet znaczniejszych obywateli widzieć. Powszechnie powiedzieć można, że mężczyzni tam są piękniejsi od kobiet, co przeciwnie można uważać w Wiedniu. Włosy u Węgrów pospolicie czarne i twarze czarniawe, wzrost hoży, i skład całego ciała piękny. Serce ich dla nas Polaków najlepsze, może dla tego, że z nas za swoje wina największe pożytki mieli, bo jak sami przedemną wyznawali, większą połowę ich wina Polska zabierała corocznie. Ale najwięcej dla tego (że jak mówią) nigdyśmy sobie nie byli nieprzyjaciołmi, żeśmy pod jednymi żyli królami, i że nasz i ich razem Władysław, dla ich dobra zginął pod Warną.

Kraj węgierski, ze wszech miar jest najszczęśliwszy, powietrze zdrowe, klima ciepłe, rzeki spławne i najrybniejsze, pszenica i bydło najpiękniejsze, ma swoje złoto i wino między najlepszemi w Europie; krajowi temu nazwisko raju ziemskiego daćby się powinno. Pastwiska tam tak żyzne, że mięso bydląt, na nich pasących się, najsmaczniejsze jest, i doświadczałem tego w Wiedniu, jedząc z krain innych i z węgierskich wołów mięsiwa. Owoce ogrodowe, zacząwszy od sławnych ich śliwek, najsmaczniejsze. Są zaś niektóre zdroje w górach węgierskich, w które wrzucone żelazo, za kilkanaście lat w miedź się obraca; a miedzi, i to najlepszej w Europie, najwięcej w tym kraju znaleziono. Taniość zaś w wyżywieniu się taka, że za 12 gr. pols. kupiony karp, dwóch ludzi do sytości nakarmił.

Wieśniak sam tylko w Węgrzech jest nieszczęśliwy, bo szlachta dziedzice, zaszczyceni przywilejami Maryi Teresy, nic sami na skarb monarszy nie płacą, i poddani tylko ten ciężar znoszą.

Z Pesztu przez Tokaj, Ungwar na Lisk przebierałem się do ojczyzny. Przeprawiając się przez góry węgierskie, kiedy na największej ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe i ziemię moją ukochaną — Polskę. Jaśnie z tej wysokości poznać mogłem, jak dale-

ko wyżej wzniesiona ziemia polska nad Węgry, że gdyby zalew ziemi następował, kiedy Węgry całe już byłyby zatopione, Polska by jeszcze nietknięta została.— Taka w tem miejscu gór była wyniosłość, że chmury kawałkami przechodzące, twarz mi odwilżyły. Po kilku godzinach jazdy z gór, ku Polsce spuszczając się, przybyłem nakoniec do komory granicznej polskiej — i całując ziemię, na której się urodziłem, słodkie łzy radości wylewałem. Tam strażnik polski, nazwiskiem Rudnicki, żem mu darował wina tokajskiego dwa garnce, którego antał, dla utraktowania przyjaciół we Lwowie, wiózłem, dał mi wieczerzę polską, gdzie żądany barszcz narodowy, mile witałem, i gdzie po noclegu poczułem się zaraz zdrowszy. Tak swoje klima i humor weselszy i narodowe jadło, nad inne lekarstwo najskuteczniejszem każdemu będą. O Ty! Ojczyzno moja! kiedy na twoim gruncie stanąłem, zdało mi się, że piękniejsze daleko, niżeli je w Wiedniu widywałem, wschodziło słońce i dym w izbie strażnika Rudnickiego, nie był tak przykry, jak indziej.

Do Lwowa przyjechawszy zastałem już wdową wojewodzicowę poznańską i więcej już sobie obiecując z tą już wolną, najcnotliwszą kobietą; może ją jeszcze surowszą znalazłem. Tak cnota prawdziwa niema wolności inszej, tylko w wybieraniu i pełnieniu spraw dobrych. Najgrzeczniej od niej przyjęty byłem i widziałem to, że się zemną bawić lubiła, i to drugie, że bawić samotnie chroniła się. Przyjaciel mój Siedlecki, stale przy niej bawiący się, robił mi bawienie z tą cnotliwą kobietą, słodszem jeszcze. Mieszkała zaś o milę ode Lwowa, w domu swym wiejskim w Milatyczach. Bała się ona w początkach małżeństwa ze mną, będąc starszą odemnie 14 latami, bojąc się nadewszystko (jak była zawistną), ażebym się w drugich nie kochał, ale i ja sam potem, woląc często z młodszemi miewać rozrywki, powiększyłem bojaźń jej.

Czując się jeszcze z mojej konsumpcyi na siłach słabym, wyjechałem do sławnego w Krystynopolu doktora medycyny Hirnejsa, wiedząc o jego także słabości, że nad wszystko nienawidził wiedeńskiego doktora

Van-Switena, to mu wszedłszy do niego, powiedziałem, że bawiąc w Wiedniu, leczony byłem przez Van-Switena, i nie tylko polepszenia zdrowia nie miałem, ale coraz po jego lekarstwach czułem się jeszcze słabszym, a dla oświecenia Hirnejsa, pokazałem mu recepty Van-Switena, jak od niego leczony byłem. Na spojrzenie na podpis tego nieprzyjaciela swego, ręce mu się trząść poczęły i niedoczytawszy się jeszcze recepty, rzucił ją zdarłszy na ziemię i razem tabakierkę, w ręku trzymaną, rzuciwszy, potłukł, powtarzając: „osłów doktor osłów.“ Wpadłem u niego w łaskę i niedziel dwie tam bawić musiałem, chociaż mi żadnego lekarstwa nie dawał i nawet do domu nie dał, radząc tylko, ażebym osłabiony żołądek klijkami i potrawami delikatniejszemi do grubszego wprawiał, sam mi nawet szynki po trochu przy sobie jeść kazał, a za najpierwsze lekarstw szukanie i bawienie w wesołej kompanii przeznaczył, i prawdziwie wyznać należy, że podług rady jego utrzymywanie się moje napotem, powróciło mi zupełne zdrowie.

Bielski, łowczy koronny, zawsze mnie jednakowo kochający, kiedy mu się syn Bogusław urodził, że mu się syny nie chowały, obiecał Bogu, jeśli ten do dalszego wieku wyżyje, nie widzieć go aż do lat 18stu, jakoż po kilkunastu niedzielach po urodzeniu dziecięcia, odwieść go kazał do Lwowa, gdzieby się przy doktorach, w domu uczciwej szlachcianki Chaszczewskiej chował, który doszedłszy lat 12, miał zemną jechać za granicę, a tam przez lat sześć bawiąc, do ojca na swój rok 18 powrócić. W takim zemną zamiarze, dawał mi wieś dziedzictwem, niedaleko Pieniak, rezydencyi jego leżącą, Kołubice nazwaną, jak tylko z Bogusławem powróciłbym, chociażbym ojca już przy życiu nie zastał. Ale los zrządził inaczej, bo dziecko po dwóch leciech umarło we Lwowie.

Ja tymczasem, w różnych przygodach, różnemi wierszami bawiłem się, pominąwszy Sielankę, Tęskność na wiosnę do Justyny, którą w szkołach jeszcze będąc, napisałem, do pierwszej mojej Justyny Bröselllowny i ze dwie, prócz tej do tejże napisane, wszystkie inne

Sielanki, pod tytułem Justyny, napisane już do drugiej Justyny, Maryanny Ponińskiej należą.

Przyszedł nakoniec czas rozerwania pierwszego ojczyzny mojej i konfederacya barska, którą pycha, nie miłość dobra narodu rozpoczęła, zupełnie upadła. Monarchowie sąsiedni, nierządem naszym ośmieleni, wzięli się za ręce i projekt króla pruskiego Fryderyka, podany Katarzynie rosyjskiej, za oporem długim trzeciej zabornej strony austryackiej w r. 1773 przyszedł do skutku. Marya Teresa, cesarzowa niemiecka, wdowa, nie chciała przez czas jakiś przystąpić do rozbioru Polski, widząc wyraźną niesprawiedliwość, przywłaszczenia sobie, bez żadnego prawa, rzeczy cudzej, dla tego tylko, że ten cudzy słabym jest. Ale wtenczas właśnie, wydarzony dziki postępek wojewody natenczas kijowskiego, Potockiego, i ją do rozbioru nakłonił, kiedy przekonywali ją jej nadworni, a ujęci dawniej teologowie, że gdyby była kordon ten, na nią przypadający, w którym wojewoda kijowski mieszkał, pierwej zabrała, do tego kryminału nigdyby przyjść ten zuchwały magnat nie ośmielił się. Ten Potocki miał syna jednego, imieniem Szczęsnego, który się z czasem także do zguby ojczyzny przyczynił. Syn Szczęsny, upodobawszy w sąsiedztwie , pięknego domu, twarzy i obyczajów pannę Komorowską, bez woli ojca z nią się ożenił. Zabolało to wojewodę, który syna swojego jedynaka, z najbogatszą jaką partyą, albo udzielną jaką księżniczką zagraniczną złączyć myślał, niemogąc inaczej nielubej sobie zbyć się synowej, bez wielkich zachodów utopić ją kazał.

Druga magnatka, wojewodzina wileńska, Radziwiłłowa, z domu Rzewuska, który równie jako i Szczęsny Potocki dokonywał potem nieszczęsnego losu ojczyzny swojej; przysłanego z Preszowa od generalności, niejakiego Litwina Czeszejkę, który zbierał składki od obywateli polskich na potrzeby konfederacyi, że się ośmielił swywolne jej życie naganić, sprowadziwszy kata do Białego-Kamienia, gdzie mieszkała, co także potem w kordon austryacki dostało się, ściąć go kazała bez żadnego sądu. Takie kryminały, bezkarnie świeżo po-

pełnione, przekonały nakoniec Maryą Teresę, że do rozbioru Polski z drugiemi dwoma mocarstwami przystąpiła.

Prócz tych świeżych przykładów ostatniej bezprawości magnatów naszych, słynął u nas na Rusi okrucieństwem swojem, Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który do 40 ludzi swoją ręką nazabijał. W Polsce starosta knyszyński, Czapski, tak był okrutny, że tych, których nie lubił, albo winnymi sobie osądził, w beczkę, nabitą bretnaglami, wsadził, i takie beczki dla swojej rozrywki przed sobą toczyć kazał, na którym dla jego okrucieństw, banicyą zyskał Branicki hetman, ażeby sąsiedni od Białego-Stoku Knyszyn trzymał. W Litwie Radziwiłł, chorąży litewski, w Białej mieszkający, który lubił słuchać jęczenia w dołach podziemnych, swoich mniemanych winowajców, których najlepszymi swymi śpiewakami nazywał.

Wszyscy ci okrutnicy w tym czasie żyli i powodem do rozebrania kraju tak nierządnego stali się.— Austryi dostały się od Biały, przy Szląsku i brzegów Wisły, bliżej Krakowa, ziemie wszystkie aż do granicy węgierskiej i Wołoszczyzny, ku południowi; od brzegu zaś prawego Wisły pod Sandomierz, pod Krasnystaw aż do brzegu rzeki Dubienki, ku wschodowi, ztamtąd Bugiem aż do Sokoła i wołoskiej granicy, o milę małą od Kamieńca podolskiego, kordon austryacki zajął.

Król pruski zabrał województwa Prus polskich: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie, część województwa inowrocławskiego, poznańskiego i kaliskiego z Warmią.

Imperatorowa rosyjska, wszystkie z tamtej strony rzeki Dźwiny, województwa: połockie, witebskie i mścisławskie zagarnęła.

Byłem wtenczas we Lwowie, kiedy generał rosyjski Kamieński, wychodził z tej stolicy Rusi, a oddawał ją wchodzącemu do niej generałowi austryackiemu, Szederowi. W tych okropnych przenosinach tymczasowe nieszczęścia z Rosyą, zdały się nam znośniejszemi daleko, niżeli Niemcy, wiecznym zaborem Ruś naszę posiadający. Wkrótce do Lwowa hrabia Pergien przysłany na gubernatora Galicyi (tak Niemcy nazwali kraj

od nas wydarty). Po kilku niedzielach, homagium uczynić rozkazano. Odprawiał się ten akt smutny w kościele katedralnym lwowskim, gdzie hrabia Pergien pod baldahimem przy wielkim ołtarzu, z głową nakrytą na krześle siedział a deputowani Galicyi po przysiędze Maryi Teresie wypełnionej, „Te deum laudamus“ śpiewać przymuszeni. Siedziałem w ławce, za Bielską, łowczyną kor., która w czasie tego przymuszonego Bogu dziękczynienia, wzruszona poczciwem obywatelstwem, łzami zalana do mnie zwróciwszy się, głośno rzecze: „Czemuż WPan nie idziesz i temu durniowi kapelusza z głowy nie zrócisz? — Zerwałem się zaraz, ale rozum, krok niepotrzebny, a szkodliwy dla mnie, zatrzymał. — Trzeba zaś wyznać, że kobiety (jak to można było poznać i w dalszych kraju naszego nieszczęściach) daleko zawsze były gorliwszemi od mężczyzn. Mężczyzna zniewieściały, śmiejąc się, podawał ręce do kajdan, król sam, zdał się być nieczułym na rozbiór kraju swego i kwapił się z podpisem na sejmie, podziału tego, co mu potem publicznie na sesyi sejmowej wyrzucał Branicki, hetman koronny, wyznając przed stanami, że pisał wtenczas z zagranicy do króla, ażeby się zatrzymał z podpisaniem zaboru tego, który Francya i Anglia, wdaniem się swojem odmienić chciała. A my odstąpieniem tak łatwem kordonów pierwszych, pozwoliliśmy dobrowolnie ręce sobie przecinać, któremi jeszcze bronićby się można było. Gdyby był tak sobie postąpił, jak później o tymże rozbiorze, Raynal, autor francuzki, w książce swojej pod tytułem: „Historya handlu w obydwóch Indyach,“ napisał, żeby król powiedział na sejmie Polakom „daliście mi koronę, ażebym ją z honorem waszym i moim nosił, kiedy oto przyszła pora obelgi, składam ją chętnie, albo jeżeli mi ją nosić każecie, pójdźmy razem na granicę kraju, oświadczając się przed Europą na gwałtowność, której Polska doznaje, pójdźmy, ginąć za ojczyznę gotowi.“ Świadczy się autor temi samemi mocarstwy, które kraj nasz rozbierały, że nieśmieliby podnieść broni swojej na lud im niewinny i tylko względem nich słaby.

Czuciem przejęty tego okropnego losu krajowego,

wtenczas to napisałem pieśń pod tytułem: Dziada sokalskiego zaczynającą się: „Śladem bieda, przyszła bieda śladem,“ którą to pieśń w samej rzeczy dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jedną nutę z jego żałosnych pieśni skomponowaną, do śpiewania oddałem, za co on biedny potem od Niemców ucierpiał.

W tym czasie i zakon Jezuitów zniesiony, za naleganiem Francyi najbardziej, Hiszpanii i Portugalii. Papież Ganganelli przymuszony przedstawieniami tych dworów, jeszcze się wstrzymywał w kasowaniu tak przydatnego zakonu w chrześciaństwie, jenerałowi jezuickiemu proponował, ażeby, jeżeli zostać jeszcze żądali, teologii nie uczyli, kapelanów swoich przy monarchach nie mieli i wpływu do rządu najmniejszego unikali. Pyszny jenerał nie spodziewając się, ażeby kiedy do ostateczności przyjść miało, że w samych Włoszech potężne mieli swoje partye, odpowiedział Papieżowi: „Wszystko jak było, albo nic.“ I tak nic im nie zostało, bo papież wydał bullę, kasującą ich zakon po całym świecie. Przyczyny zaś, które pociągnęły monarchów do żądania tej kasacyi, były następujące: konspiracya na króla portugalskiego Józefa, której naczelnikiem był Jezuita Matagreda, który za tęż konspiracyą na śmierć był skazany. W Paragwaju, prowincyi Ameryki portugalskiej, mieli obranego króla Jezuitę, braciszka, pod imieniem Mikołaja, gdzie już na kilkanaście tysięcy broni przygotowanej, w celu wystawienia wojska, w swoich mieli magazynach. W hiszpańskich podobnie prowincyach Ameryki, otwarcie przeciwko królom układy rozpoczęli. Jeden z nich wydał prócz tego ważny sekret, na spowiedzi sobie powierzonej od matki królewskiej, co zamieszanie największe w kraju sprawić by mogło. We Francyi, za intrygi w narodzie. za nauki publiczne w teologii, a przeciwne królom, że król tyran powinien być zabitym, według książki Jezuity Busembaum, którą to książkę kat publicznie na rynku palił. A wszędzie w Europie staranie najpilniejsze, ażeby Jezuita u monarchów katolickich był spowiednikiem, a tak wiadomi sekretów każdego króla, dy-

spensowani byli jenerałowi owemu donieść je, — ażeby ten z takich wiadomości układy potrzebne zakonowi i intrygi swoje czynił. Skasowani nakoniec (jak się powiedziało), jeszcze zuchwałością swoją powodowani, najwyższej zwierzchności kościoła nieposłusznymi stali się, bo nie mogąc już w państwach katolickich utrzymywać się, w protekcyą dyssydenckich monarchów udali się. I tak już po skasowaniu ich powszechnem, byli jeszcze czas jakiś w państwach króla pruskiego i w imperyum rosyjskiem w Połocku. Zakon ten fundowany przez świętego Ignacego Lojolę, Hiszpana, potwierdzony przez Pawła IIIgo papieża, w roku 1540, trwający więcej lat 230, upadł. Trzeba wyznać, że gdyby nie intrygi, w które się mieszać nad wszystko lubili, chęć zbierania bogactw i pomnożenie często nieprawne funduszów swoich, gdyby nie pycha, którą wszystkich innych zakonników w pogardzie mieli, było to zgromadzenie ludzi między najświatlejszymi w Europie. Tę szlachetną mając ambicyą, ażeby nikomu w umiejętnościach nie dać się uprzedzić, a obyczajami skromnymi, co się tycze rozpusty albo pijaństwa, być przykładem inszym zgromadzeniom.

Po rozbiorze pierwszym, my, obywatele ubożsi, czuliśmy daleko większą stratę, niżeli magnaci nasi, bo równie z szumem, jak dawniej postępowali, rozumiejąc że ich wystawne życie wrażenie jakieś i uszanowanie dla nich u Niemców sprawi, ale inaczej wszystko stało się. — Cesarz Józef Iszy wkrótce był na kontraktach lwowskich, gdzie widząc magnatów najpiękniejsze w pojazdach konie, najokazalsze karety, a żony ich prawie całe w klejnotach, publicznie powiedział: „żalicie się na podatki, a taki zbytek we wszystkiem u was?“ Pozdejmowały damy klejnoty, a magnaci piechotą czasem po ulicach przechodzili się, ale ta nagła zmiana, śmieszniejszą jeszcze dla Niemców była przyczyną. Kiedy Józef I proponował magnatom wzięcie się do czynności jakich w nowym rządzie i kiedy nikogo z nich nie było widać, znowu cesarz powiedział: „ci bogacze podobni do much, które tylko po domie brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawują.“ Ale nie na samem

jego gadaniu skończyło się, polityką było dworu wiedeńskiego nie nas ubogich, ale magnatów naszych ciemiężyć, bo od nas nie spodziewali się oburzenia jakiego, ale pycha magnatów więcej czyniła wrażenia. — Wszystko tedy robiono, jakby ich zedrzeć, albo upokorzyć można, stawiano im za najmniejsze sprzeciwienie się, w ich nawet pokoju sypialnym żołnierza na egzekucyą. Gubernator zawołanego do siebie magnata, trzymał długo przed pokojem, a czasem i odejść mu bez widzenia się kazał. Pokasowano milicye panów nadworne; ordynatowi Zamojskiemu ordynackich konstytucyjnych żołnierzy trzymać zakazano, a natomiast cesarski tam żołnierz stanął garnizonem; wojewoda kijowski Potocki, który miał do półtora tysiąca żołnierzy nadwornych w Krystynopolu, zwyczajnej swojej rezydencyi, tych mu niezwłocznie rozpuścić kazano, i kiedy do rządu podał notę, że nie będzie bezpieczny w domu bez tych żołnierzy od hultajów, mając srebra tyle i droższego narzędzia, posłano mu 300 żołnierzy austryackich, ażeby ci ustawiczną załogą konsystowali u niego w Krystynopolu, a tak pewnym będzie od napaści hultajów. Takie upokorzenie najpyszniejszego magnata tego, i czucie jego zbyteczne poniżenia swojego, ściągnęło mu chorobę, z której i umarł, że nie mógł bezkarnie ludzi zabijać. Po jego śmierci Komorowski, ojciec utopionej córki swojej przez wojewodę, chciał rozpocząć proces o ten gwałt, najokrutniej na dziecięciu jego przed rokiem dopełniony. Niemcy to publicznie przed nami we Lwowie mówili, że ponieważ tak pan Szczęsny, syn zmarłego wojewody Potockiego, jako i pan Komorowski są *sujets mixtes,* to jest, że mają dobra w austryackim kordonie i w polskim kraju, mogą się tedy sądzić we Lwowie albo w Warszawie; jeżeliby (jak mówili Niemcy) chcieli się sądzić we Lwowie, tedy pewny dekret, że za taki kryminał, trupa z grobu dobędą wojewody, i kat mu na rynku głowę utnie. Ale odrodny ojciec Komorowski, wiedząc o takiem Niemców przedsięwzięciu, wolał się zgodzić z Szczęsnym Potockim w Warszawie, i za krew dziecięcia swojego, niewinnie przelaną 600,000 złp. odebrał. Tak my ubożsi, jak da-

wniej czyniliśmy, tak nawet już pod rządem austryackim, braniem od magnatów pieniędzy, ośmielaliśmy ich ażeby nas bezkarnie zabijali, kiedy mieli czem za to zapłacić. Nie dziwiłem się dawniej Kalinowskiemu, staroście grodowemu winnickiemu, który obraziwszy sławnego zabojami obywatelów, Mikołaja Potockiego starostę kaniowskiego, na publicznym gościńcu od niego w 200 koni żołnierzy napadnionemu, z pojazdu wywleczonemu, na drodze położonemu i 150 kijów biorącemu, że się potem z tymże tyranem za 200,000 zgodzili. — Bo gdyby sobie ostrzej z tym najezdnikiem postąpić chciał, pewnieby go pierwej za czasów rządu naszego zabić kazał. Ale Komorowski mając już twardy rząd austryacki po sobie, czemuż on wolał pieniądze? Niemcy prócz najwyższego rządu we Lwowie, ustanowili jeszcze *forum nobilium*, gdzie obywatele nasi, z Niemcami pomieszani, szlacheckie sprawy rozsądzać obowiązani. Postanowili tamże zbieranie się stanów kraju, a w tych stronach siedmiu naczelników z obywateli znaczniejszych wybrali. Te stany naradzać się powinny wedlug uniwersałów cesarskich (taki był wyraz w uniwersale) nie dla czego, ale jakim sposobem, co nam nierozumiejącym wytłomaczyli Niemcy, że naprzykład, jeżeli nałożony będzie podatek, stany pytać się nie będą mogły, czemu on jest nałożony, ale tylko jakim sposobem wypłacić. Tak niechcąc na dawnych sejmach naszych dobrowolny sobie na utrzymanie żołnierza krajowego podatek nałożyć, bezbronno straciwszy wolność, przymuszeni byliśmy płacić to, co Niemiec każe, nie pytając się dlaczego płacić kazano.

Szlachta, zawsze lepiej od magnatów myśląca o dobru ojczyzny, przed tym pierwszym upadkiem naszym na lat kilka, widząc nierządem i przemocą magnatów wszystko ciemiężone, umówiła się między sobą po województwach, ażeby każdy obywatel podług intraty z wioski dziedzicznej pewną część pieniędzy corocznie składał, z których miała się układać milicya województwa, a ta albo w czasie potrzeby kraju powinna była do wojsk koronnych dołączyć się, albo w czasie pokoju dekretów sądowych doglądać. Ta poczciwa umowa

obywatelska miała składać milicyi w czterech województwach, już na to między sobą ułożonych: podlaskiem, wołyńskiem, bracławskiem i kijowskiem do 30 tysięcy wojska, a jako się spodziewano, że inne województwa koronne i litewskie pewnie za tym przykładem pójdą, najmniej 100,000 milicyj wojewódzkich, przyłączone do wojsk narodowych, uformowałyby pewnie znaczącą w Europie potęgę Polski. Ale magnaci na sejmie to zrozumiawszy, że już nie będą mogli swoimi nadwornymi żołnierzami dekretom sądowniczym sprzeciwiać się, szlachtę w respekcie dla siebie trzymać, albo bezkarnie śmielszych zabijać, tym szlachetnym zamysłom obywatelów wojewódzkich całemi siłami sprzeciwili się i dawny nierząd utrzymać woleli, nie mniej i dla tego, ażeby z ogromnych dóbr swoich proporcyonalnej, jak szlachta dawali, części intraty nie składali. Na czem w kilka lat potem oszukali się po zabraniu kordonów, najmniej cztery razy tyle podatków dla nowych panów składać musieli, ile im się dla dobra narodu swego płacić nie chciało. Opłacili potem na to, ażeby ich mocniej za karki nowe pany trzymali po zabraniu 1go kordonu.—Ja tymczasem przy mojej Justynie różnego losu doznawałem, czasem najgoręcej ślubem małżeńskim z nią się połączyć chciałem, a czasem bojąc się jèj humoru, ustawicznie prawie sprzecznego, lubiła, zaufana w rozumie swoim, dysputować ustawicznie; ostygnąłem pomału w żądaniach moich, co chociaż postrzegała ta najszacowniejsza kobieta, wszelako widząc mnie ubogim, na dzień imienin moich darowała mi 5000 złp. i ten od niej dar miałem w życiu jedyny, chociaż potem przy królu, i między pierwszemi osobami w kraju żyjąc, na łaskę każdego zasługiwałem. Za te pieniądze zaraz trzymać wioskę zacząłem, i przy ciężkiej pracy przez lat 30, rękoma nawet własnemi na chleb robiąc, (bo ci jedni prawdziwi przyjaciele najszczerzej wesprą) przyszedłem na starość do chleba, którego nie do zbytku, ale do sytości używam. Trzymając pierwszą wioskę od Mrozowickich, Wierzbowice zwaną, Bielski, łowczy, zawsze jednako lubiący mnie, kazał uważać moje gospodarstwo komisarzowi

swojemu, blisko mieszkającemu; kiedy w następnej jesieni do niego przyjechałem, śmiał się, żem z książki gospodarował, bo mnie komisarz jego czytającego książkę przy kosiarzach w polu widział. Ja się odwołałem do samego komisarza, że siano moje sucho zebrane i popłatniejsze było niżeli Bielskiego, ale zacząwszy gospodarować, od chłopów, grunt swój najbliżej mających, naukę brałem w czasie orania, siejby, samokosów. Tak w kilku leciech na kilku dzierżawach pracując, do 1000 dukatów przypędziłem, kiedy ostatnią wioskę od Bielskiego w kordonie cesarskim Dobrowody trzymałem, a potem do Polski przeniosłem się. W czasie różnych dzierżaw moich poznałem się z domem Dzieduszyckich, Koziebrodzkich (od którego wioskę trzymałem); Potockich, starostów sokolnickich; Puzynów, starostów upitskich, wszystkich ludzi poczciwych; od Koziebrodzkiego, starosty olchowickiego, trzymając wioskę Żabokruki, który mnie, jak syna swego lubił, pokochaliśmy się z córką jego Franciszką, która mając sto kilkadziesiąt tysięcy posagu, już za młodego Puzynę, mającego obszerną majętność, była zaręczoną. Panna nielubiąca narzeczonego swego kawalera, dała mi poznać, abym ją wykradł, co pewnie udałoby się, i za wstawieniem się z mojej strony ludzi zacniejszych ojca panny przeprosić możnaby było. — Ale kiedy on mnie kochał jak syna, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się z zaufaniem dniami i nocami nie bronił, jakże mógłbym go w zaufaniu jego zawodzić, i całem życiem wstydzić się przed ludźmi o czarny postępek mój? Poszła ona potem za tego panicza i była nieszczęśliwą, a Koziebrodzki wkrótce z mojej niewinnej przyczyny umarł. Na święty Marcin, w dzień imienin jego, miał wiele gości, między którymi i ja byłem, lubił on czasem pić dobrze, ale ja nie mogłem tylko zachęcać umiałem; kiedy do czterech godzin u obiadu bawimy, gospodarz urynę przetrzymawszy, wyszedł po czasie na dwór, a niemogąc jej zbyć się, hajdukom, którzy go wyprowadzili, jak pijany bez rozmysłu położyć się twarzą ku ziemi kazał, ażeby tak od dołu oziębiwszy się, zbył się ciężaru, a był mróz dobry na

święty Marcin, paraliż naruszył niższe części i z stranguryi, po kilku niedzielach umierać musiał, zawsze mi w chorobie swojej wymawiając, żem zachęcaniem mojem do picia obfitszego choroby jego przyczyną był.

Na końcu dzierżaw moich w Galicyi Żabokruki trzymając, zdziwiłem się, że chłopi tamtejsi mieli także swoją mitologią. Raz z jednym z nich saneczkami przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień, jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, coby znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z corką pracowała na tej łące i kiedy matka najpilniej robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła, i oto, mówi dalej wieśniak, taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi. — Nie śmiałem się z baśni tej błędnego wywodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale nazajutrz gromady wieśniaków moich znowu o tenże słup pytając, najpierwsi starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu panie nie wierzę, bo gdzieżby dziewka tak gruba i tak wysoka była. Dobrowody, wioskę od Bielskiego arendując, miałem sąsiada w Monasterzyskach starostę halickiego Potockiego, człowieka najpoczciwszego i żonę jego z książąt Lubomirskich, Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie, a najbliżej stolnika Piaseckiego, rzadkiej poczciwości człowieka; temu przed kilką latami pułkownik rosyjski, idący na Turczyna pod Chocim, a słysząc o cnocie jego, dał 3000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na tej wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego, odda jenerałowi jego, a drugą sobie weźmie, jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy odda je całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słychać, nakoniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze odkopawszy z ziemi, oddał. Poczciwy pułkownik, rozkochany w cnocie poczciwego Piaseckiego, czyni mu dar całej połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich do-

chowanie, których tenże nie przyjmuje, mowiąc: że swojej cnoty nie sprzedaje, i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę, kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złp. nie miał majątku więcej. Nie widziałem człowieka, więcej mającego rezygnacyą na wolę Boską, jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziły; i zawsze go widziałem wesołego z tem swojem hasłem: „Bóg tak chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze starej, widziałem piękną małą szkatułkę, jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą cztery butelki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent, (jak powiadała Piasecka) od pani swojej Sieniawskiej, u której za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę, póty, póki się jej czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. Mój Piasecki jedynym był w naturalności we wszystkich swoich odpowiedziach — Już po zabraniu kordonu na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mię potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc sarmatę z wąsami, a niespodziewając się, żeby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał, jak tu wszedł, nieopowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem, że tędy ludzie przechodzą i ja też przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział; spytany znowu: czegoby żądał, że mnie szukał, sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzej zbyć tego człowieka nie podług niemieckiej etykiety. Z tym Piaseckim, który czasami lubił się napić, byliśmy u sąsiada sławnego pijaka, Siemia-

nowskiego, tamże przyjechał z żoną pyszny dyrektor, Niemiec, nasz zwierzchnik powiatowy, i przywiózł z sobą kapitana, pierw zamieszkałego w Polsce, Francuza, który dawniej był guwernerem panów Potockich, kasztelaniców lwowskich, i który w miasteczku Monasterzyskach jako dyrektor mieszkał. Podpiwszy trochę, zaczęli się ci dwaj bohaterowie Niemiec z Francuzem o jakiś pijany honor przemawiać, a potem przyszło do policzków, gdzie dyrektor i Francuz obalili się na ziemię. My kontenci, tylkośmy krzyczeli, co ichmość robicie, ale umyślnie ich nie rozbranialiśmy, kiedy Niemiec silniejszy wziął pod siebie Francuza, hajduk Siemianowskiego, niby ich rozbraniając, Niemca na spód, a Francuza na wierzch obrócił, dopiero nasz Francuz zpolszczały, co się w paszczekę niemiecką zmieściło, tyle mu policzków nadawał, że nakoniec my Polacy kontenci, szczerześmy ich rozbraniali, bo już i krew z nosa austryackiego ciec zaczęła. To zdarzenie trochę napotem Niemca upokorzyło, ale wszelako dawał jeszcze tony sobie, i wkrótce przed pokojem będących nas obywateli zrana u niego, wyszedłszy do nas w szlafroku, strofował, żeśmy głowy nakryte mieli; kiedym mu odpowiedział, że kiedy nikogo w pokoju nie było przed kimże kapelusz zdejmować mieliśmy, on pokazał na portret Józefa cesarza, a ja na jego szlafrok, że także przeciwko respektowi portretu było w szlafroku wychodzić. Ale więcej mu zrobił mój sąsiad Bobrowski, gdy jadąc w zimie (jak miał zwyczaj zawsze z fuzyą w sankach nabitą) jadący przeciwko niemu z małemi sankami jednym koniem dyrektor, widząc że się Bobrowski mało tylko co z drogi zwrócił, że mu było, że czterema końmi jechał, zawołał rozgniewany: na bok szelm Polak! Bobrowski urażony, a żywy, z fuzyi do niego zmierzył: ale szczęściem Niemca, na panewce tylko spaliło. Była potem o to indagacya i skończyła się na niczem. Lepiej się jeszcze udało obywatelowi w ziemi przemyślskiej, do którego mając jakąś urazę blisko mieszkający dyrektor dowiedziawszy się, że obywatel miał gości na obiad, którzy się na jego imieniny licznie zjechali, posłał do niego przed samym obiadem kance-

listę swojego, ażeby tego momentu u niego stawał; obywatel odpowiedział kanceliście, że podatki cesarskie zapłacił i do niczego się winnym nie poczuwa, a mając gości, porzucić ich nie może, jutro zaś jak najraniej na rozkaz stawi się; kancelista z odpowiedzią odjechał a tymczasem goście do stołu siedli; już ku końcowi obiadu sam dyrektor przyjechał, i kiedy wszyscy przy stole powstali, on po czesku umiejący, gospodarza ofuknie: „cóż ty szelm Polak, rozkazów mich ne sluchasz, ja jestem cyzar, bo w osobę jeho tobi rozkazuje, a ty mne szelm ne sluchasz?“ — Tysiąc impertynencyj wygadawszy, kiedy skończył, gospodarz przytomnemi gośćmi zaświadczywszy się, jako żadnej przyczyny do łajania takiego JP. dyrektorowi nie dawszy, napadnięty i zelżony był w domu własnym, kazał ludziom swoim położyć go na ziemi i sto bizunów jemu swoją ręką wyliczył; co także przepadło, jak się w rządzie dowiedziano, że bez żadnej przyczyny najechany i zelżony był, obywatel wolnym był od procesu, dyrektora zaś z Galicyi do Czech przeniesiono; a takie biednych naszych Polaków czasem opory, trochę pychę rządzących Niemców poskromiły, wszeleko znęcali się nad nami jak tylko mogli, i sam cyrkularz do siebie (jako dzierżawca Dobrowód) przysłany taki czytałem: Wszystkim dziedzicom dóbr, dzierżawcom i komisarzom pod kajdanami przykazuje się, aby na dzień wymieniony przed krajshauptmanem stawali. Kiedyśmy za tym rozkazem przyjechali do Brzeżan, cały interes był: zapytanie się krajshauptmana, czyli też rozkazy cesarskie zachowujemy, rzekł tylko, jedźcież nazad do domów. Takie i tym podobne pogardy naszych, skwasiły mi nakoniec życie pod tym rządem pogardzającym Polaka, już myślałem jakby się z tej niewoli wydobyć jak najprędzej; trafiło się, że u Witosławskiego, podczaszego, był w domu brat jego, oboźny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznanej odemnie Warszawie, wiele o królu, a najwięcej o domie księcia generała podolskiego Czartoryskiego nagadał, jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich,

ale sam go sobie zrobić chciałem zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą robót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,“ w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez obożnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy, przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w tejże książce pod tytułem „Sumienia“ dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć i do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się, z tak tkliwej opisanej zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślił w Galicyi.

Po niejakim czasie przesłania Zabawek moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewek sukcesyi, na siebie spadłej po Opalińskiej, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozwodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencyi zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku; ten zaś obrządek takiem zdarzeniem przyjął: Dawniej jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popełniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypominał sobie religią. — Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiej, księży misionarzy, którym 30,000 intraty

na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misionarza Zabłockiego przystąpił. Zacny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczciwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli.— Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcej rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od Bazylianów ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złot. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

W kilka lat potem po rozdanych między bliskich sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzińcu Bazylianów poczajowskich, dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziewek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie tej modlitwy roześmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obrażała. Kiedy książę Czartoryski do niego, (jak się wyżej wspomniało) z podziękowaniem pojechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiej pod Buczaczem, w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwa ci panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego, na dwa dni. Nie wiedziałem

o niczem w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczerzy czytając książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec, po francusku ubrany, był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniej mnie poznać żądający, od Witosławskich o pół mili odemnie odległych, przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześnie do sąsiada przyjechałem, i znalazłem księcia jak dla wszystkich tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł, bo jak się powiedziało, i pod Niemcami szumieć nie można było, a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, oczy jego nawet najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły. — Czekając długo obiadu, do czegom nie przywykł, kiedy stałem przy nim, a garderobiana Witosławskiej koło nas przechodziła, on rzecze do mnie: wolałbym tę klucznicę, niżeli kiedyś obiad Witosławskiego; kiedy tak się tłumaczył, miał natenczas około lat 70. Ten mój sąsiad dla bawienia wielkich swoich gości, zaprosił i innych sąsiadów naszych, a między wielą Bąkowskiego z piękną żoną jego z Komorowskich, ludzi majętnych i przymuszonych hrabiów galicyjskich, bo zawsze mawiał Bąkowski, że darowałbym był Niemcom 12 tysięcy, co mu kazali, przymusiwszy go być hrabią, zapłacić od przywileju. Poznałem wtenczas skłonność księcia generała, że lubił piękne kobiety i cały dzień bawił się z Bąkowską, ale jakiż sposób człowiekowi, mającemu oczy, nie lubić, kiedy co piękne. Książe wyjeżdżając od Witosławskiego, zaprosił mnie do Brzeżan, dóbr ojca swojego, gdzie kilka dni zabawić się miał. Miasto Brzeżany, dawna dziedzina Sieniawskich po ostatniej z domu matce ks. Czartoryskiego w dom Czartoryskich przeszło. W tem porządnem mieście mieszkał kreishauptman austryacki; późno już przyjechałem do Brzeżan i aż nazajutrz z rana księcia widzieć

mógłem. Krajshauptman czekał także przed pokojem z inszemi gościami, chcącemi widzieć księcia; ubrany był natenczas urzędnik powiatowy cudackim sposobem: miał w obydwóch lokach włosów przy uszach kwiaty gwoździkowe i takiż kwiat trzeci żuł w gębie; kiedy się książę pokazał, krzykliwym głosem witał go po niemiecku długą perorą. Na co mu książę kilką słowami odpowiedziawszy, i ze mną się najgrzeczniej przywitawszy, wyszedł na dziedziniec pałacu, gdzie komisarz ojca jego wojewody ruskiego Daszkiewicz pokazał mu chłopców kilkunastu w kajdanach, którzy zobaczywszy księcia, na twarz popadali i komisarz powiedział, że to są zbiegowie z dóbr inszych księcia wojewody jarosławskiego, którzy z żonami, dziećmi i dobytkiem uciekali lasami na Wołoszczyznę, a postrzeżeni, w tym komisaryacie brzeżańskim doniesieni, schwytani są.

Kiedy komisarz tym raportem swoim spodziewa się, że książe generał chłopów zgromi i karać każe, przeciwnie wszystko się stało. Książe chłopom leżącym na ziemi powstać kazawszy, rzecze im: „Kiedy wam pod ojcem moim żyć było ciężko, świat dla was wolny jeszcze, pójdźcie gdzie tylko zechcecie, ja za was ojcu mojemu odpowiem,“ a WPan panie komisarzu daj z tych ludzi każdemu po dwa talary na drogę; zdziwili się wszyscy na takie najlepsze serce księcia generała, ale chłopi ze łzami wołać zaczęli, nie porzucimy cię dobry książę, tylko nas przenieść każ z Jarosławszczyzny, gdzie pod tyrańskim komisarzem tamtejszym wytrzymać nam niepodobna. Stało się jak oni żądali i książe swoim kosztem budować ich w brzeżańskim komisaryacie rozkazał. Po tem dziele na wstępie moim do księcia najpiękniejszem, rozkochałem się prawdziwie w tym panu, tem mocniej im mniej znałem panów cnotliwych i czujących nędzę ludu ubogiego.

Książę jako także literat, po obiedzie wziął mię do swego gabinetu i czytał mi dzieło swoje w manuskrypcie, świeżo przez niego napisane, o edukacyi płci żeńskiej. — Jak było to pismo warte, tak szczerze po skończonem czytaniu dawałem mu pochwały, ale wyraz w początku pisma tego, który był taki: „Daruj mi pię-

kna płci niewieścia, jeżeli co przeciwko tobie w piśmie tem powiem, wszakże kiedy to piszę dla prawdy, taż sama prawda, która jak i wy kobiety, równie niewieściego rodzaju jest, niech was przeprosi;" ten wyraz nie podobał mi się i powiedziałem księciu, że nie zdawało by mi się, ażeby w tak poważnej materyi, jak było pismo to, w edukacyi kobiet mieszać obserwacye gramatykalne, że i prawda jest rodzaju białogłowskiego. Zimno to od księcia przyjęto było, że panowie nie przywykli, ażeby im się sprzeciwiać, wszelako najgrzeczniejszym był dla mnie, zawsze przez kilka dni bawienia mego w Brzeżanach, nawet dać mu słowo musiałem, że przyjadę do niego do Warszawy.

Jakem powrócił do domu, moi sąsiedzi winszowali mi łaski księcia, ale mój werydyk stolnik Piasecki nazywał to pogodą marcową, która nie długo trwać mogła. I kiedym ja się do Warszawy zwolna wybierał, on mi bardziej radził, ażebym z nim jechał w Mozyrskie, gdzie miał swą cząstkę dziedziczną, twierdząc najpewniej, że tam lud leśny daleko lepszy od ludu warszawskiego.

Tymczásem przyjechawszy do Lwowa, moi przyjaciele radzili mi, ażebym, umiejąc cokolwiek prawa naszego, a nie źle pisząc po łacinie, jak w tym języku wszystkie sądy w stolicy odbywały się, przysiągł na patrona w guberskiej kancelaryi, co mi zyski wielkie przynieść miało; jakoż Wolański i Dzieszkowski, patronowie, wielkie potem zebrali majątki, bo do milionów poprzychodzili, ale ja śliską tę drogę jeszcze pod Niemcami odrzuciłem i widząc, że wyżyć mogę, spokojną pomierność nad zyski zgryźliwe albo niesumienne obrać wolałem.

Kiedy jeszcze z drogą warszawską ociągam się, odebrałem list od księcia generała, zapraszający mnie do siebie i ofiarujący mi sekretoryą interesów politycznych przy boku swoim. Zostawiłem dzierżawę moją Dobrowody w ręku siostrzana mojego (bo Piasecki to też mi doradził), żeby dzierżawy tej nie odstępować, że przyjdzie czas (co mu się zgadnąć udało), że porzucę Warszawę i znowu do Dobrowód powrócę. W tej

drodze im więcej ku Warszawie zbliżałem się, tem więcej lud prosty wycywilizowany widziałem, nie żeby rozumu naturalnego nad nasze pospólstwo galicyjskie mieli więcej, ale że mniej przesądów; jak naprzykład nikt naszym obywatelom galicyjskim wyperswadować niemógł o niepewności przepowiedzeń kalendarzów; chłopi zaś tam tak wierzyli w pełnie miesiąca, że wszystkie zachody gospodarskie, które rozpoczynali na pełni, powinny się koniecznie udać. O czarowaniu najuporniej wierzyli, a tęcza u nich, pokazująca się na obłokach, zawsze pić z rzeki albo jeziora musiała, i dopiero, zbliżając się ku Warszawie, już tam tęcza ani jadła ani piła.

Wjechałem nakonięc w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P., jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem, po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: waćpana sielanki, we Lwowie drukowane, dawniej go nam zaleciły, kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłumaczenia pięknej ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłumaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego wkrótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teresy Czartoryskiej, z której okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcej zjednały mi łaski księżnej, matki tej zmarłej nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jej suknie, i mimo przytomnych w pokoju wielu kobiet, z których jedna z przestrachu zemdlona, insze zaś przytomność potraciły, biegając przelękniona, tem bardziej jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszony nakoniec ogień na księżniczce, ale mniej może z oparzelizny niżeli z przestrachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła.

Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwacha,

coby w mieście słychać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś Teresa Czartoryska spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek, na dom jego trafił.

Książę generał podolski już był naznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencyą wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie, zresztą co mi o niej poczciwi ludzie Witosławski, oboźny koronny i Borzęcki, marszałek dworu książęcego powiadali, potem przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale razem w czynnościach tak słaby, że sam sobie prawie nigdy nie wierzył, i dla tego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rządnie czyni, pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i toby się bardziej pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno) drugie sama natura daje, albo umyka. Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się niepodał w niebezpieczeństwo, wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większej liczbie fałszywych nie naraził. Lubił pochlebców i pozbogacał pochlebiających wtenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma jego chodząc, próżno się wsparcia spodziewał, jako te owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił, jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, biskupem i panem.

Zycie króla rozpustne zepsuło Warszawę i osłabiło śluby małżeńskie, a piękniejsze kobiety w mieście, dawały sobie tony większe, niżeli należało, bo każda

z nich, wspomniawszy, że była czasem królową, chciała potem zawsze wielowładnie rozkazywać, co tylko przez noc panowała. Rospusta miasta Warszawy do tego stopnia przyszła, że w mieście tem (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcej rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całej. Nawet już w zwyczaj między możniejszemi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się, któraby strona rozwodzić chciała, to drugiej pewną summę płacić obowiązaną była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religiją i w kilka lat potem sam to słyszałem, jak u siostry swojej Branickiej, kasztelanowej krakowskiej będąc, kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiedział: moja siostro, ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju, pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone, a takiemi drogami idąc, stali się potem nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dla tego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy, upadam do nóg, całuje nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne i może nieznane w całej Europie, które wydając wyniosłej kiedyś duszy Polaka poniżenie, z upodleniem nawet ojczyznę utraciliśmy naszą.

Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia, wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książę Czartoryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionej śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego nie ma teraz

przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek w. k.; takim syn Adam Czartoryski, g. z. p.; Stanisław Małachowski, referendarz kor.; Ignacy Potocki, mar. lit.; Czapski wojewoda chełmiński; Radziwiłł, kasztelan wileński i kilku innych. Reszta magnatów podobni do księcia Ponińskiego, podskarbiego koronnego, nie tylko ojczyznę, ale i siebie samych przedawali więcej dającemu.

Księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony, a naczelnicy ich, biskupi, publicznie trzymając nałożnice, ośmielali niższych, ażeby szli takąż samą, słodką wprawdzie, ale razem najbrudniejszą drogą. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: Szembeka, połockiego; Okęckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją, nie przyczynili się.

Szlachta po województwach na zawołanie magnatów przedażna, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Ztąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się, i ten, który ustawicznie i upadał do nóg i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwej ojczyznie swojej.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkiemi sposobami temu zabiegać chciał, szlachcic wszelkiemi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojej, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się, i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła, że ten, który najwięcej ludzi oszukał, pospolicie o nim mówiono: „ma rozum.“ Wyjechaliśmy na kadencyą trybunalską do Grodna z Warszawy z dworem księcia ogromnym, którym poczciwy marszałek Borzęcki rządził. Ale książę przed wyjazdem naszym do Litwy, pokojowców 12 z samej pięknej szlacheckiej młodzieży, pod rząd mój oddał, dawszy mi razem urząd

sekretarza interesów politycznych, kiedy kolega mój Zawistowski, był sekretarzem interesów ekonomicznych, a trzeci Skowroński zagranicznych.

Wjazd do Grodna i rozpoczęcie wkrótce trybunału litewskiego, którego był marszałkiem książę, był najokazalszy, a gości liczbę niezmierną niezabawem powiększył bytnością swoją Archetti, nuncyusz apostolski z Warszawy, umyślnie przybyły. Ale nie tem okazałość laski Czartoryskiego słynęła: prócz tego, że był kochanym i szanowanym od obywateli, jako mający w sobie krew dawnych litewskich Jagiellonów, słynął on sprawiedliwością najprzykładniejszą. Ojciec księcia, wojewoda ruski, przegrał sprawę pod laską syna, i na 6 niedziel wieży cywilnej dekretowany, za co wkrótce ojciec mu napisał list najpiękniejszy, dziękując za tę sprawiedliwość, która chwałą obydwóch będzie; przegrał sprawę kanclerz litewski, Sapieha, przyjaciel księcia, i ten tak wysoki magnat za uciemiężenie trzech szlachty ubogiej na niedziel 18 wieży skazany. Tyzenhauz, nie dawno despotycznie Litwą rządzący, za wiele gwałtów dekretem upokorzony, upadł i już nigdy powstać nie mógł. W czasie tej laski w Grodnie, następujące wiersze napisałem.... na wjazd księcia Czartoryskiego na trybunał: „O wielkości Boga i nikczemności człowieka,“ które jeszcze w manuskrypcie księciu pokazane, bardzo się mu podobały, ale przypisanie ich królowi, niemiłem było, bo go nie lubił, dał mi to sam poznać. Wszelako ja w kilka niedziel kazałem z przypisaniem razem królowi wydrukować, co mi zaraz przywiązanie księcia do mnie osłabiło. Napisałem prócz tego: „Głos zabitego do sądu,“ z okoliczności sprawy w trybunale będącej, Kaszyca, który zabił synowca swego. Te wiersze na namowie siedzącym sędziom przez Kossakowskiego, deputata kowieńskiego, oddałem, i skutek swój miały; kiedy przekupiwszy większą połowę trybunału, Kaszyc prawie był pewny uwolnienia od wieży, przestrzeżony od przychylnych sobie z Grodna, uciekać musiał winowajca, gdyż na niego ułożona była kaptywacya — i wiersze prócz wyższych okoliczności z czasów Czarneckiego, które książę wielu fircykom często czytywał,

wykwintnie ubranych, upokarzał. — Podczas tej kadencyi sądzeni byli na gardło dwóch szlachty, którzy napadłszy w lesie obywatela, w nadziei zastania u niego pieniędzy (na czem się oszukali) zabili go.— Jeden z tych winowajców zmierzywszy do obywatela, na panewce mu tylko pistolet spalił, ale drugi wystrzelił i zabił, wszelako obydwa na ścięcie głowy przez kata dekretowani; kiedy ich zawołano do słuchania na siebie dekretu, żal nam było jednego z tych winowajców, młodego człowieka, pięknego z oblicza, a był ten, który nie zabił, książę żałując także tego młodego człowieka, umówił się z deputatami, że odmienili wyrok na niego i tylko więzieniem do śmierci w Kamieńcu podolskim, chcieli nie żeby tam zamkniony w katuszy siedział, ale tylko żeby za bramy fortecy nie wychodził; książę zaś przyjął na siebie odziewać go i żywić do śmierci najwygodniej. Nazajutrz posłał mnie książę do więzienia winowajców, ażebym jednemu z nich opowiedział litość księcia nad nim i trybunału; zdziwiłem się, że żadnym sposobem namówić się na to nie dał, ażeby się przy życiu utrzymał, skutek to był pewnie religii, bo już był przygotowany przez księży na śmierć i na wszystkie moje przekonywania go, zawsze mi jedno odpowiadał: ja grzechy moje we krwi mojej obmyję; drugi zaś winowajca ciekawie mnie wypytywał: „czy też o mnie co także książę nie wspominał,“ i widać było że gorąco życia swego pragnął. W dniu naznaczonym, kiedy ich na plac śmierci prowadzono, ten pełen religii winowajca nie szedł ale biegł do śmierci, że kat aż go musiał zatrzymywać i prosił, żeby pierwej przed swoim towarzyszem był ścięty, co się i stało.

Między inszymi, z którymi się w Grodnie zaprzyjaźniłem, był Zalewski, wojski litewski, człowiek najwymowniejszy w Litwie; drugi był Karol Prozor wojewodzic witepski, a tego charakter serca najlepszy i przywiązanie do swojej ojczyzny, o nim niżej jeszcze namieni się.

Po 10ciu leciech naród cały na drugą kadencyą trybunalską przeniósł się do Wilna, która zaczęta z naj-

większą i powszechną wesołością, ku końcowi smutniejszą była, z przyczyny śmierci księcia wojewody ruskiego, ojca księcia marszałka.

Nie widziałem syna czulszego na śmierć ojca, jak był książę, rzewnie, niczem nie pocieszony, kilka dni płakał; kobiety nawet, które lubił, pocieszyć go niemogły, bo z niemi i gadać niechciał. Tak w przywiązaniu do ojca skłonność mocniejsza była nad podniety natury samej. Kiedy on mnie posłał z doniesieniem tej smutnej nowiny podług etykiety do znaczniejszych w Wilnie wten czas mieszkających, przyjechałem do domu pięknej i młodej pani, z domu Radziwiłłównej, a tę zastawszy z odkrytemi zupełnie piersiami, które zasłonić, zobaczywszy mnie, niechciała, smutny do niej od księcia zacząwszy komplement, roztargniony pięknemi piersiami, skończyć go nie umiałem; tak to znowu żal cudzy nie miał tyle siły, ażeby się oparł wzruszeniu piękności obaczonej. — Tą kadencyą prócz surowej sprawiedliwości, wszędzie zwyczajnej księciu, wsławił się wzięciem w areszt księdza złoczyńcę Ogonowskiego. — Był ten zbrodniarz urzędnikiem województwa wileńskiego, koniuszym, miał żonę i dzieci, po której śmierci, bardziej się jeszcze wylał na kryminały, kradł, rozbijał, oszukiwał, aż wreszcie do sądów szlacheckich pozwany, na śmierć przez kata osądzonym został. — Uciekł z więzienia kilką dniami przed exekucyą, za biskupa wileńskiego wdaniem się przez biskupa żmudzkiego na księdza w kilku dniach poświęconym został, bez żadnych poprzedzonych zwyczajnych do stanu tego przygotowań. — Zdało się Ogonowskiemu, że jako kapłan, wolnym już będzie od miecza katowskiego, na który był dekretowanym, ale książę na kadencyi wileńskiej złoczyńcę łapać kazał, i dowiedziawszy się, że w Wilnie na Antokolu u Trynitarzy skrycie siedzi, klasztór kilkuset żołnierzom opasać kazał, nikogo nie wypuszczając, że wreszcie Ogonowski tamże dostany, pod areszt do pałacu księcia sprowadzony był. — Nazajutrz sprawę jego przez trybunał rozważono i sędziowie wszyscy zgo-

dzili się, żeby według dawnego wypadłego na niego dekretu wileńskiego przez kata śmierć poniósł.

Kiedy tak trybunał umówił się, po obiedzie dwóch sufraganów od biskupa wileńskiego do pałacu księcia przyszli i imieniem biskupa swego oświadczyli księciu, że ponieważ aresztowany Ogonowski jest istotnie kapłanem, a zatem zwierzchność świecka niema żadnego prawa z nim postępowania dalej, i jeżeli wydanym swojemu biskupowi nie będzie, klątwą księciu i trybunałowi pogrozili.

Książę sufraganom krótko odpowiedział: że klątwa Ogonowskiemu życia nie powróci, kiedy jutro na śmierć dekretowanym będzie; ale nazajutrz znaleźliśmy księcia odmienionego, bojąc się, ażeby król, nie lubiący go i od niego więcej jeszcze nie lubiony, zniósłszy się z księżą, jeżeliby ta exekucya do skutku przyszła, nie narobił mu kłopotu i kosztów wiele, namyślił się odesłać tę sprawę do Warszawy, jakoż wkrótce biskup łucki Turski i kilku z nim księży assesorów do tej sprawy naznaczonych, przybyli z Warszawy i Ogonowski na więzienie tylko do śmierci u Kartuzów w Berezie osądzony; ale niżeli on z Wilna wyjechał, kazał mu trybunał złożyć stan majątku swojego, z któregoby przez niego pokrzywdzeni zaspokojonemi być mogli.

Zdziwiono się kiedy pokazał skrypt księcia Massalskiego biskupa wileńskiego, który takim sposobem i obrotem ten zbrodniarz u siebie zatrzymał: po ucieczce z więzienia (jak się wyżej rzekło) przybiegł do biskupa wileńskiego, ażeby go na księdza poświęcił,—kiedy już inszego sposobu ratowania życia nie było, a za to obiecał biskupowi wrócić skrypt na 160,000 złt. pożyczonych u Ogonowskiego, i tenże skrypt oryginalny biskupowi pokazał, i zaraz go w zanadrze schował; dał się uwieść biskup, obiecując mu pewnie wyświęcić go na księdza, a Ogonowski, mając drugi podobno zwiniony i z wierzchu zapisany papier, już na to przygotowany, dobył z zanadrza papier fałszywy, i w oczach biskupa na palący się ogień w kominie rzucił a skrypt prawdziwy schowany, potem przed sądem złożył.

W czasie tej kadencyi na dzień urodzin księcia Czartoryskiego „o powinnościach obywatela,“ napisane odemnie do niego wiersze, zjednały mi łaskę jego, że ze mną nie już jak z swoim sekretarzem, ale jak z przyjacielem najpoufalej postępował, w najliczniejszych u siebie zgromadzeniach najgrzeczniej ze mną rozmawiając, co zaraz (jak pospolicie bywa) i przytomnych grzeczność dla mnie obudziło, że kiedy odemnie książę odstąpił, wnet pierwsi obywatele ze mną bawić się chcieli.

Nie długo jednak ta moja trwała uroczystość, przyszła z Warszawy mowa drukowana, którą król miał na rozpoczęciu towarzystwa ksiąg elementarnych. Ja późno przyszedłem na pokoje, że ta już mowa czytaną była i przytomni za zdaniem o niej księcia, że była najgorszą, wszyscy ją najgorszą uznali. Wchodzącego mnie do pokoju, książę okrzyknął otóż sędzia przyzwoity: patrz jaką to mowę król miał do towarzystwa. Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia, coby mi się zdawało, odpowiedziałem: (jak mi się zdało) że była dobrą. Książę się odwrócił a faworyt księcia, sekretarz Skowroński przybiegł do mnie i rzecze: bój się Boga, książę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwalisz? Odpowiedziałem mu, że ja lubię mówić jak myślę. To zdarzenie oziębiło do mnie księcia, który kiedy już ze mną tak poufale, jak dawniej nie przestawał i wszyscy też mnie porzucili, że ledwie słowo kto do mnie przemówić chciał. Tak w duszy mojej żałowałem księcia, że będąc ze wszech miar cnotliwym, lubił wszelako, ażeby mu pochlebiano, ale nie żałowałem siebie, że chociaż prawdą idąc na świecie, jak mnie konający ojciec przestrzegał, nie poprawiłem losu mojego, przynajmniej spokojności mojej wewnętrznej nie zamieszałem.

Między wielu obywatelami litewskiemi, z którymi w Wilnie poznałem się, był: pan starosta wileński, człowiek ze wszechmiar zacny, którego nigdy niczem nie przełamanej cnocie winienem to wspomnienie, ale poznałem tam i kolegę w sztuce poezyi, księcia ko-

niuszego litewskiego Radziwiłła, który mnie marnemi wierszami swoiemi nietylko w Wilnie najczęściej nudził, ale po 2 leciech rozstania się naszego, swoich wierszy mnóstwo aż do Galicyi, gdzie już mieszkałem o 130 mil od niego przysłał i za każdym razem wydatku na pocztę po kilkanaście złotych przyczyną był.

Skończyła się nakoniec kadencya wileńska, i książę pierwej a potem my dwór, powracając do Warszawy, i przez Litwę jadąc, poznałem się z tobą najcnotliwszy człowiecze, Janie Stryjeński, szefie byłej gwardyi konnej litewskiej; on powierzchownie nie pokazuje téj cnoty, któréj pełen, bo ją pokrył farbą zwyczajną świata, ażeby go tak nie uważano, majętny a skromny, niby groźny, a litośny, nieżałujący potrzebnego wydatku, nierozrzutny, robiący wiele dobrego nigdy o tem nie mówiący, oto twój obraz, zacny mój przyjacielu.

Na sławę cnót tego człowieka, starałem się z nim poznać i umyślnie w domu jego do Czarnołuż w Brzeskiem przyjechałem, gdzie najlepiej przyjęty, kilka dni bawiąc się, znalazłem więcej, jak o nim powiadano dobrego, bo tego umyślnie szukałem. W domu tym bawiąc, jedna obywatelka z przytomnych gości, rozśmieszyła nas przesadnem gadaniem swojem; z tej okoliczności szef Stryjeński powiedział mi o przesadnem tłumaczeniu się w sąsiedztwie jego przed 10cią latami zdarzoną anegdotę następującą: Obywatelka Rdultowska, wdowa, prosiła rektora szkół słonimskich, ażeby jej kogo zdatnego do edukacyi dzieci w domu na dyrektora przysłał. W kilka niedziel przychodzi w czasie obiadu wysmukły nie źle ubrany młodzieniec, pani domu nie znając go, prosiła ażeby zjadł obiad; odpowiedział: „jadłszy“ prosi ażeby kieliszek wina wypił, odpowiedział „piwszy“; prosi nakoniec ażeby usiadł, odpowiedział „siedziawszy“; przychodzi jej na pamięć czy to nie będzie ów dyrektor ze Słonima, szkolarz, kiedy go jeszcze zapyta, czy nie ze Słonima przyjechał waćpan? Tak jest, przysłał mnie tu ksiądz rektor słonimski, ażébym się z jejmością postanowił na dzieci.

Powróciwszy do Warszawy, wydałem pismo o wymowie w prozie albo w wierszu, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisyi edukacyi, ażebym według prawideł, w temże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę, dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisząc to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz Grzegorz Piramowicz, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do tej pracy wezwania, kiedy i insi za nim do mnie interesowali się. Czekano wydania książki Piramowicza, więcej dwóch lat, a potem wyszła w samych cytacyach autorów, jak dawnych tak i późniejszych, bez wytknięcia w niej uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziej, te i tym podobne pożyteczne wyłuszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była dużą. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi darował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało, ażeby była krótsza.

Książę oddał mi do zawiadywania bibliotekę swoją sławną w Warszawie, a mając pod rządem swoim 12 pokojowców, z nimi we dwoch tygodniach skończyłem ułożenie jej, porządkiem najlepszym, z napisaniem katalogu tych ksiąg porządnego, ale według pokazanego mi dawnego katalogu, wiele ksiąg nie dostawało, najbardziej środkowych tomów, Voltera, Roussa, encyklopedyi, co kiedy książę odemnie usłyszał, sekretarza Skowrońskiego sfukał publicznie, a ten faworyt pański urażony na mnie, gdy książę wyszedł rzecze mi ostro: „nie wszystko to kochaneczku przed panem na nogi stawiać.“ Jam go publicznie z tym wyrazem kochaneczku do lokajów odprawił, z którymi te konfidencye mieć może, a ja takich jak on, nigdy nie będę kocha-

neczkiem. To moje ostre obejście się z faworytem przyczyną było, że i książę za jego poszeptaniem, ostygł pomału dla mnie, i tak ja powiedziawszy, że Skowroński książki potracił, straciłem łaskę księcia, a Skowroński, że je w samej rzeczy potracił, został się przy niej i poznałem to wkrótce, że mnie się zbyć chciano, gdyż raz mi książę powiedział: „Kiedy powrócisz do swojej Galicyi, cóż tam będziesz o Warszawie i domu moim gadał?“ — Będę gadał, że książę nie ma żony. Jakto, odezwie się książę? Oto (odpowiedziałem) więcej roku bawię w domu księcia, zdaleka mi tylko pokazywano i powiadano mi, że to księżna, ale ani u stołu nigdy nie była, ani ze mną, ani z nikim z naszych gadającej jej nie widziałem.

Nazajutrz pokazała się na sali księżna i z pół godziny ze mną rozmawiała; winszowano mi tej łaski, kiedy ta pani pełna rozumu, znajomości świata i wielkich talentów muzyki, śpiewania, w tym czasie nie chciała się ludziom udzielać i w osobności największej żyła po śmierci okropnej, Teresy córki swojej. W tym roku książę obranym był (jak chciał) posłem z wileńskiego na sejm, gdzie jak prawdziwy obywatel stanął między posłami; dany raz był u księcia wielki obiad dla wszystkich senatorów i posłów litewskich, na którym poznałem pierwszy raz księcia wojewodę litewskiego Radziwiłła; pan ten przyjacielem był prawdziwym narodu i szlachty, a nie magnatów, o których wiedział, że za pieniądze rosyjskie kupieni, wszystko przeciw ojczyznie zrobić byli gotowi. Dobrze on zawsze trzymał o Czartoryskim, dla tego na ten obiad w tłumie inszych Litwinów przyjechał. Czyniono mu pierwsze honory jako pierwszemu senatorowi litewskiemu, o co on zdawał się niedbać, i kiedy po obiedzie księżna na pokoje z nim przyszła i razem dam wielki orszak, kędy obaczywszy go kobiety, księżna go zapytała: jak też wiele rzeczy kosztownych i ciekawych mógł wywieść z zagranicy, tak długo tam bawiąc się? Krótko odpowiedział: „wywiózłem z zagranicy klejnoty, od których ledwie mnie tu felczery uwolnili.“ Zaraz go damy wszystkie poporzucały, a mężczyzni otoczywszy go,

bawili go jak mogli. Lubił on niezmiernie zmyślać, powiadał nawet wtenczas, że koresponduje z Rusem i Wolterem, i kiedyśmy mu powiedzieli, że już oni dawno pomarli, odpowiedział: zapewne listy na poczcie zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem. Mimo tej wady małéj zmyślania, gdyby ten pan miał tyle rozumu ile serca, najlepszego w każdem zdarzeniu, możebyś ojczyzno moja nie była upadła. On prawdziwie zapomniawszy o zdrowiu i majątku swoim, robił wszystko, jakby nieszczęśliwą ojczyznę poratował, naraził dobra i bogate domy swoje na rabunki rosyjskie, był długo tułaczem za granicą jako i dawniej w czasie konfederacyi barskiej, nie dla pychy jakiej, nie kontent wtenczas z króla Poniatowskiego, ale dla bojaźni wpływu przyszłego (jak się z czasem i potwierdziło) rosyjskiego; nie tak myślił kasztelan natenczas, a teraz wojewoda wileński, Michał Radziwiłł, który cały rosyjskie pensye biorąc, od nich im wiernie służył i do upadku ojczyzny przyczynił się. Chociaż w niewinnych rzeczach wojewoda wileński zmyślać lubił, ale oddawał sprawiedliwość każdemu, prawdziwą drogą idącemu; i tak, kiedy książę, marszałek trybunału lit. Czartoryski, poksiężonego Ogonowskiego złapał i więził, biskup wileński rozgniewawszy się o to, wyjechał z Wilna, i w Nieświeżu u księcia Radziwiłła bawił natenczas, kiedy na święty Karol, w dzień imienin księcia, przyjechał od Czartoryskiego dworzanin z winszującym listem tamże do Nieświeża, publicznie u stołu dawał pochwały Radziwiłł Czartoryskiemu z najprzykładniejszej pod laską jego sprawiedliwości. Nie mógł znieść tych pochwał Massalski, biskup, jako nieprzyjaciel Czartoryskiego i rzecze: jakaż to sprawiedliwość, pomazańca Bożego gwałtownie i bezprawnie chwytać i więzić? Radziwiłł na to: „jabym i biskupa powiesił, gdyby był takim złodziejem jak Ogonowski.“

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiej z Kniaźninem, który dawniej był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkolnej przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniw-

szy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu ażeby więcej prostej a tkliwej natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniej przed Rzymianami Grecy, albo za czasów starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojej Kniażnin i tym sposobem napisał: „Żale Orfeusza nad Eurydyką,“ które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyć by można.

Bywał często w domu książąt Józef Szymanowski, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego i pięknych jego poezyj, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił. Nikt nadto nie pochwali grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutej Warszawie obyczajów jego nieskażonych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się książęciu Czartoryskiemu, ale i cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżegania osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że książę wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między inszymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkiem, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował mi pensyą, a po skończonym 4roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał; żal mię objął, że stracę ulubionego pana, księcia Czartoryskiego i odmówiłem Sanguszkowi.

Książę Czartoryski zdawał się być kontent, kiedym mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potem książę proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniej prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowej marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniej zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał;

ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano, i która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszem każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecię sierotą, bez ojca, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami tej najznaczniejszej pani, przyjąłem obowiązek zatrudnienia się, formowaniem serca i dozorem nad edukacyą Romana Sanguszki, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całej Warszawie chłopca, przy znacznej pensyi rocznej, a po 9ciu leciech, wsi do 10ciu tysięcy czyniącej dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do starej Sanguszkowej pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnej żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niej nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną jeszcze leżącą, a księcia przy niej kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu rozpłakawszy się, powiedziałem: nie tylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojej śmierci żyć chciałem. Rzucił się książę do mnie i z uczuciem rzecze: toż się u mnie zostań, z całego serca proszę. Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowej i zapłakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem Kazimierzem Sapiehą, jenerałem lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowej i wkrótce potem przeprowadziliśmy się do konwiktu warszawskiego księży Pijarów, gdzie z inszymi kawalerami pod rektorstwem najzacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a jam tylko obyczajów swoich i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mojego u Pi-

jarów, musiałem pokochać się i przywiązać się do śmierci do samego rektora Stadnickiego, kiedy on w tych kilku dniach tak mi zaufał, że mi się najotwarciej zwierzył w najtajemniejszych serca skrytościach.

Zdziwiłem się na tak pochlebne dla mnie zaufanie i tak przywiązałem się do niego, że nic nie mogło potem rozerwać związków naszych. Wszelako nie byłem ja tak otwartym dla przyjaciela jakem go dla siebie widział, bo uważając często, że najtajemniejsze rzeczy na kogoś głośno powiedział, bałem się powierzać mu wiele moich sekretów, ażeby to co tajne być powinno, rozgniewany kiedy nie rozgłosił; wyjeżdżając z Warszawy, nigdy się z nim nie żegnałem, bo raz przy pożegnaniu myśl mi przyszła okropna, że jego już może nie zobaczę, rzewnie rozpłakałem się, widząc że i on płacze powiedziałem mu łez moich przyczynę, na co on rozrzewniony, rzecze: właśnie toż samo i mnie na myśli. Już zawsze potem, kiedy mi wyjeżdżać przyszło, o czem inszem z nim i z drugimi rozmawiając, nieznacznie wyszedłem i odjeżdżał. Znowu po powrocie i obaczeniu się z nim, łzy zawsze były radośne i rzecz dziwna, jak to był w swojem przywiązaniu człowiek najżywszy, kiedy czasem z drogi jakiej powróciwszy, ucałowany od niego ze łzami, po godzinie bawienia się z nim, znowu mnie na nowo ściskał i całował; był to ksiądz dobrego urodzenia i najlepszego sposobu myślenia. Dom jego zacny w Krakowskiem i Sandomierskiem, dawał tyle najlepszych posłów na sejmy i obywatelów w narodzie, król z prymasem chcieli mego Stadnickiego zrobić biskupem, ale on śmiało odpowiedział: że przysiągł Bogu być Pijarem do śmierci; zostając Pijarem, majątek swój więcej dwu-milionowy synowcom swoim rozdał, a jednemu z nich znacznie więcej oddawszy, przyłączył obowiązek, ażeby mu co rok 60 dukatów na małe potrzeby do śmierci dawał, i skarżył mi się ksiądz Stadnicki, że tylko niewdzięczny kilka lat mu wypłacał, a kilkanaście już nic mu nie daje, lecz miałże wstydzić siebie pozwami niewdzięcznego synowca? — Z księciem Romanem trzy razy na tydzień u księżnej, babuni jego, na obiadach być musieliśmy, i rozruchy

przez trzy dni najludniejszego w Warszawie domu tego wybijały dziecięciu z głowy, czego się trochę nauczyć mógł przez cztery; ciężko zaś było uprosić u księżnej, zmniejszenia bawienia się u niej dla przywiązania wielkiego, które miała do dziecięcia. — Król na obiadach u niej bywając często i mnie tam z dzieckiem zastawał. Raz na świętą Barbarę w dzień imienin starej księżnej, Romanio na powinszowanie cztery wiersze babuni powiedział:

„Wtenczas, kiedy będę stary,
Babuniu w święto Barbary,
Powiem ci, wyszło na moje,
Otóż my starzy oboje.“

Król przytomny wziął go na ręce i jeszcze sobie też same wiersze powtarzać kazał; ta powszechna miłość wszystkich dla dziecięcia tego, to pieszczenie babki i matki, te niższych ludzi dla niego względy, nazywanie go powszechnie księciem, a podlejszych go nawet w ręce całowanie, do tego nadawszy mu rzeczy księżna wiele bogatych, jako to, zegarków dwa kameryzowanych i pierścionków drogich kilka, zepsuli tak dobre dziecię, że w konwikcie nie widząc u innych dzieci, których było 85, nic podobnego, zaczął się w pychę podnosić, i raz mi powiedział, że między kolegami jeden tylko był mu równy książę Jabłonowski; napróżno mu o równości obywatelskiej w Polsce gadałem, na nic się nawet nie przydało, że powiedziawszy babce o jego pysze, która mu te zegarki i pierścionki poodbierała. Kiedy potem w krótkim czasie w dniu rekreacyi i do jego pokoju na bawienie się po kilka dzieci równego z nim wieku przychodziło, on tych wszystkich swoich kolegów, to lokajami, to furmanami nazywał, a inszych kolegów swoich, chcąc niby uczcić, dworzanami swoimi robił.

Kiedy nic nie pomogło po kilka razy strofowanie, oto i sposobu inszego nie było, umówiłem się z prefektem konwiktu, ażeby, kiedy Romancia poszlę umyślnie w dniu rekreacyi do sal niższych, dla bawienia

się razem z inszemi dziećmi, żeby go namówionych kilku chłopców, jak będzie sobie tony dawał, byle nieszkodliwie, wybili. — Stało się w krótce i przybiega do mnie na górę rozpłakany Romancio pokazując czerwone plamy po szyi i po ręku, skarżąc się, że go okrutny (jak mówił) Jałowicki tak wybił; spytany, za cóż to wybił? odpowiedział mi, że mu żartem dał szczutka; wtenczas dopiero napominać go zacząłem: „widzisz Romańciu, więcej jest szlachty w Polsce niż książąt, otóż cię szlachta za pogardę swoją wybili, szanuj ich, a będziesz od nich szanowany.“ Odtąd z najlepszą zgodą i uszanowaniem dla kolegów swoich był zawsze i tem też bardziej do niego przywiązałem się, że mi nawet toż przywiązanie szkodliwem było.—

Raz z jakiejś niestrawności, czy inszej przyczyny, rozchorował się; doktór Zanieli, rocznie płatny od babki dla niego, przyszedłszy, znalazł w nim małą jakąś gorączkę i lekarstwo przysłał. Nazajutrz znalazł doktór dziecię lepiej się mające, i kiedym go zapytał, co jeść może, rosół i zraz pieczeni cielęcej pozwolił; kiedy tę porcyą dziecię podczas objadu zjadło, prosi mnie o drugi taki kawałek pieczeni, dałem mu co chciał, aliści ku wieczorowi daleko bardziej rozchorował się, sprowadzony znowu doktór, chociaż przyczynę słabości nie koniecznie na drugi kawałek mięsa dziecięciu odemnie pozwolony. zwalał, i niebespieczeństwa żadnego niewidział, przecież ja gorzko sobie wymawiałem, że może Romańcia mojem mu pozwoleniem jedzenia więcej jak kazano, zgubię. — Dziecię nazajutrz zupełnie zdrowe było, a ja kilka dni chorowałem, tak mnie osłabiło zmartwienie moje. — Do tej szkodliwej dla mnie słabości, przyczynił się jeszcze niesmak niewoli, żem to miejsce przy Romańciu po roku skończonym porzucić zamyślił. — Niemiałem dla siebie godziny wolnej, tylko wtenczas, kiedy dziecię dwie godziny zrana i po południu bawiło z inszemi na wspólnych lekcyach w salonach, a niechcąc nigdy z nikiem zostawić go przez bojaźń, ażeby go kto nie zepsuł, tak ustawicznie będąc niespokojnym, może aż nadto

w doglądaniu mojej powinności, zacząłem nawet niszczeć.

Po skończonym roku mimo największego nalegania babki, matki i króla, ratując zdrowie swoje, porzuciłem Romańcia; wspólnie z dzieckiem płakaliśmy, a on mnie ściskając za szyję, przy pożegnaniu mówił: „oj będąż mnie teraz Pijarowie bili, jak drugich, oj będą.“— Żal mój wszelako z opuszczenia tego dziecięcia, nie był tak mocny, ażebym przełamał wstręt mój od tej niewolniczej, a nad wszystkie inne najwięcej po człowieku wymagającej funkcyi guwernera, kiedy po kilku leciech znowu w toż samo nieszczęście wpadłem. W czasie bawienia przy Romańciu, proszony byłem od księcia Czartoryskiego, ażebym z temże dzieckiem, bardzo lubionem także od księcia, bywał w domu jego i żeby wcześnie Romańcio przywiązywał się do dziecka także, księżniczki Zofii Czartoryskiej, którą, jak mówił książę, na żonę mu naznacza: przyjechawszy do pałacu Czartoryskiego, Romańcia zostawiłem w pokojach księżniczki Zofii, pod dozorem jej guwernantki Madame *Petite,* a ja tymczasem chodziłem do księżniczki starszej, z którą dla wprawienia jej w język polski, tłomaczyłem książkę: Ogrody, przez *L'Abbé Delille* napisaną. — Dwa razy na tydzień dawałem księżniczce Zofii prawidła pięknego pisania w języku polskim; to było powodem, żem z tą najzacniejszą panną tłómaczył na język polski poema Delilla o Ogrodach, w którem wytłómaczywszy prozą co było uczące prawideł ogrodowych, co w nim poetycznego znalazłem, oddałem potem wierszem polskim. Raz powracając od księżniczki starszej do pokojów guwernantki, aż ta powiada mi śmieszne zdarzenie, jak zastawszy dziecko księżniczkę leżącą twarzą do pościeli, z tyłu obnażoną a Romańcia dającego jej niby enemę; tak małpy, dzieci co widziały naśladować lubią i chłopiec z dziewczyną tak postępować chciał jak niedawno doktór z nim sprawił się.

Przy Romańciu będąc proszony od księcia prymasa, prezydenta na ten czas komissyi edukacyjnej, napisałem mowę na rocznicę zwycięstwa Jana Sobieskie-

go pod Wiedniem, którą potem w zgromadzeniu wielu gości, gdzie był i sam prymas, w konwikcie pijarskim czytałem. Przed wyjazdem z Warszawy, byłem na pożegnaniu u księcia Czartoryskiego, który chociaż był przekonany, że do niego byłèm przywiązanym i w domu jego swobodniej, jak przy Romańciu żyłbym zapewne chętniej, wszelako, aby mię zatrzymać, nic mi nie mówił.

Przed wyjazdem z Warszawy byłem u kiężnej Sanguszkowej starej na pożegnaniu, która mimo mego oddalenia się od jej wnuka, zawsze mię lubiła; bawiła wtenczas w Szymanowie, dobrach swoich po Warszawą. — Tam między osobliwościami w gabinecie ciekawości pokazywała mi bałwanek czyli bożyszcze chińskie z kilką rękami miedziane i wewnątrz dęte, gdzie w nich były i pisma chińskie (podobno ich modlitwy) chowane; tej osobliwości dostała od generała rosyjskiego, który wojując z Chińczykami, dostał od nich tego bałwanka, ale razem tenże generał wziął tam od nieprzyjaciół i chłopca Chińczyka, którego potem razem z tym bałwankiem księżnej darował przed 20tu latami. Chłopiec ten z czasem ożenił się z praczką księżnej i był u niej leśniczym bliskiego lasu Szymanowa, kazała go na prośbę moją zawołać, i poznałem z twarzy jego podługowatej, nosa wklęsłego i ócz wąsko pod powiekami otworzonych, że mógł być Chińczykiem; bądź teraz waćpan pewien (rzecze mi księżna), bo i mnie jenerał rossyjski zapewnił, że ten Chińczyk jest z familii cesarzów tamtejszych, chłopcem będący w obozie swoim, od Rossyanów w niewolę zabrany, i niemasz nic niepodobnego, że to w samej rzeczy być mogło, bo przy panującem wielożeństwie w Chinach, familija cesarska tak jest rozrodzona, że jej kilkanaście tysięcy liczyć można.

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzy letniem bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem mię-

dzy panami żałował wraz zemną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blisko 80 dukatów straciłem na porządniejsze na wielkim świecie utrzymywanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostrą moja, wdowa, Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. — Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazyą wierszów, które napisałem pod tytułem: „Powrót z Warszawy na wieś;“ a te na niemiecki język wierszami przetłómaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi, zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać się do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego stanąłem u Pijarów, który mnie ze łzami radośnemi witał. Najpierwej poszedłem do Czartoryskiego, który mię dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „Powrót z Warszawy na wieś“ opisał, odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? — Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniej moje wiersze „Powrót z Warszawy na wieś,“ i tak mnie obaczywszy ze łzami radośnemi wita: „cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał“? odpowiedziałem: „właśnie to samo, że nic nie zrobiła.“ Król zagadał mnie czem inszem, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historyi galicyjskiej; ledwiem zaczął mówić o zabraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko lu-

dzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze," to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniej, w 3ch minutach sam się zostałem. — Wtenczas jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich odemnie. — Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił jak myślę, a potem bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić co myślę, były przyczyną tej mojej niedworności, która mi i u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po niejakim czasie król trafił na surowszego jeszcze werydyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła Bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek Najś. Panny Loretańskiej, wielu pobożnych srebrnemi votami wzbogacony. Król wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym Bernardynom: „a moi Ojcowie, słyszałem, że tu wiele sreber mieliście a teraz żadnego votum nie widzę?" Nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek przed nim wyrwał: „niemasz sreber, nie było i nie będzie!!" Król rozśmiał się i odjechał. Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka, o porywczość w głupiej odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „kiedym zle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali."

Bawiąc w Warszawie, prócz dawniejszych znajomości, poznałem się z panią Krakowską Branicką siostrą królewską, która mnie uprzejmie w domu swoim przyjąwszy, trzy razy na tydzień w Niedzielę, we Wtorek i Czwartek na obiady zaprosiła, w których dniach, że i król u niej bywał na obiadach, znowu mnie nadzieja opanowała, że widując tak często króla, za wstawieniem się siostry jego, będę mógł los mój poprawić. — Kiedy raz na obiedzie u niej przed królem kłamca jeden u stołu siedzący, a faworyt królewski niepodo-

bne rzeczy za prawdziwe udawał, powiadając między inszemi, że w Anglii wynaleziono perspektywę, przez którą w noc najciemniejszą o 3 mile na morzu widzieć można okręty, albo ląd bliski, i długo takie baśnie udawał, ja zaś cały obiad milczałem; król do mnie rzecze: czemuż dziś nic nam nie mówisz? odpowiedziałem:. ja tylko prawdę chciałbym mówić, a prawd daleko mniej jest jak fałszów, dla tego też i mniej gadam.

Pani Krakowska wyjeżdżając na letnie 3 miesiące (jak zwyczajnie robiła) do Białego Stoku i mnie prosiła, ażebym tam za nią przyjechał. — Przyjęty byłem w tem jej mieście z grzecznością od niej największą, że nawet w oczy to drugich uderzyło, a jam sobie pomyślił, „ja chleba potrzebuję, nie honorów;“ ta Pani chociaż mi nic nie wyświadczyła, i tylko mnie nadzieją zawsze uwodziła, puszczenia mi dóbr Orli, koło Białego-Stoku, żem uwiedziony 4 roki na letnie miesiące przyjeżdżał, dla bawienia jej do Białego-Stoku, wszelako za jej grzeczności największe dla mnie, wdzięczny byłem i najwięcej za to, że mnie odwiodła od poślubienia jednej wdowy, z którą zapewne byłbym najnieszczęśliwszy, i do której już wyjeżdżałem dla kończenia z Białego-Stoku, a tu Pani gwałtem mnie przytrzymała, kazawszy konie i pojazd mój pozamykać. W czasie bawienia jednego lata u Pani Krakowskiej przyjechał do niej Marcin Badeni szambelan królewski co do dóbr ekonomicznych plenipotent generalny. Ten prawdziwie poczciwy człowiek podobał mi się pierwszego dnia poznania go z rostropnych w mowie odpowiedzi, ale nazajutrz z duszy swojej wspaniałej i dobroczynnego ze mną obchodzenia się, od dwóch dni dopiero poznany odemnie, wziął mię na stronę i zapytawszy, po co bym tu corocznie do Pani Krakowskiej na lato przyjeżdżał? kiedy mu odpowiedziałem: że mi dobra swoje Orle wypuścić obiecała i to mnie przy niej utrzymuje; rzecze mi zająkliwie Badeni: Pany o sobie tylko myślą, a WPan myśl także o sobie; teraz puszczają się na licytacye klucze dóbr ekonomicznych, WPan wybierz sobie w Grodzieńskiem klucz który jeden, a bez żadnej licytacyi stałym i zyskownym dla

niego kontraktem będzie mu puszczonym. Zdziwiłem się nad dobroczynnością dla mnie od dwóch dni poznanego człowieka, i uściskawszy go kiedy mi pokazał regestr kluczów królewskich w Grodzińskiem, wybrałem z wiadomości cokolwiek o tych folwarkach, a do tego i z jego rady klucz Suchadolina nazwany, który wkrótce objąłem na siebie sześcioletnim kontraktem i z którego prócz życia i expensów innych domowych najmniej 200 dukatów zebrać mogłem na rok.— Ten mój szanowny do tych czas przyjaciel, pamiętny mi będzie do śmierci, bo od dobroczynności przyjaźń swoją zacząwszy, utrzymał ją potem wzajemnością w tylu zdarzeniach i szacunkiem dla mnie wszędzie oświadczanym, chociaż czasu nawet nie miałem zarobienia u niego na to. Mając już Suchodolinę pojechałem do Galicyi, pożegnać się z krajem tamtym i z moimi, porzuciłem Dobrowody, siostrze na sprzedaż bibliotekę darowałem. W tych latach zaczął się sejm 3go Maja, nazwany od konstytucyi tegoż sejmu kilku letniego w tym dniu podpisanej polskiego na potem i tronu dziedzicznem ogłoszenia. — Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku już powychodziło, nic o nim pisać nie będę, to tylko namienię, do czego ja chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyznie, ubogiemu o tem radzić głośno i mówić nie wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi miany był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcye do zguby coraz bliżej Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślał nadal o dobru narodu naszego, gdyż kiedy dzieci jego dziedziczyć po nim nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dziać będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcye wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniej z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniej jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez niego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą zrzenicą wolności nazywali. Zważywszy ja to wszystko na pół roku

jeszcze przed sejmem 3go Maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpoczciwszy z pomiędzy magnatów już był wcześnie marszałkiem tego sejmu naznaczony, a książę Adam Czartoryski, także pan dobrze o narodzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego; przyszło mi na myśl napisanie 4ch listów do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiła Karola, wdy. wil., znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego wojewody ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomity, bo darował R. P. harmat pięknych spiżowych 24, pułk swoim kosztem własnym do swojej śmierci utrzymywany i wtenczas sam też go między inszemi w piśmie mojem: „o szczęściu człowieka w towarzystwie“ pochwaliłem; ale nietrzeba widzę nikogo chwalić, póki życia dobrze nieskończy. Listów tych moich 4ch jednakie było brzmienie, że ponieważ sejm przyszły czyni nadzieję sejmu obywatelskiego, niechby się uśpiony naród obudził, niechaj osłabiające nas coraz bardziej elekcye królów porzucił, i tron napotem dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbierały mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyą, królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polsce pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencyj, zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe czucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkiemi nędzę i upodlenie cierpiący, listy cztery wspomnione w swoje miejsca na poczty porozsyłałem i miałem potem wiadomość, że wszystkie podochodziły. Woj. wil. Radziwiłł najżywiej list do siebie pisany poczuwszy, pojechał nawet umyślnie do króla pruskiego, i namawiał go do przyjęcia korony polskiej. To tedy niewiadomą inszym przyczyną było, dla czego natenczas król pruski z taką gorliwością do sejmu 3go Maja przykładał się, dla

czego przez posła swojego Lukiczyniego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większej, bronienia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmu tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowieniu dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmniej odmienić, przyszłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich, jak powiadali wolności narodowej, ażeby mocny u siebie Prusak jej nie przygniótł, elektora Saskiego po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myśleli magnaci) jak z słabym łatwiejby sobie począć mogli i intrygi swoje robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 Maja, w której kiedy Lukiczyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 Maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usuniony.

Za co potem król pruski rozgniewany, nietylko zrzekł się aliansu z Polakami, ale nawet do podziału nowego Polski z inszemi dwoma mocarstwami przystąpił, co w czasie konfederacyi targowickiej, jak się niżej powie, nastąpiło.

Po obwołanej konstytucyi tronu sukcesyonalnego w Polsce, chociaż poczciwi magnaci spokojnie przestali na elektorze saskim, przecież dwóch między inszymi, podobnie sobie myślącymi, Szczęsny Potocki wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, głośno oświadczyli się, że króla dziedzicznego w Polsce nie chcieli, a Seweryn Rzewuski wydał nawet pismo drukowane, dowodząc szczęśliwości narodu pod królami elekcyjnymi.

Ja zaś, jako ubogi i bojący się przemocy magnatów, wydałem także pismo drukowane, utaiwszy imię autora, w którem przekonywałem o szczęściu każdego krajowca pod królami dziedzicznymi, bo król taki (jakem wyżej napisał) o sukcesorach swoich myśląc,

ażeby im się dobrze działo, razem myśli i o szczęśliwości narodu, któremu panować mają, a tak szczęśliwość krajowa, jego jest własnym interesem. Kiedy to w Polsce w czasie 3 Maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie, i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomniałem, a on mi na to najpochlebniej odpowie: honor wpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem. To królewskie oświadczenie chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się krolowi przypomniałem, a on mi rzecze krzywdę mi wpan robisz tą prośbą swoją, ja bez przypomnienia o wpanu myśleć powinienem, i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić; słuchałem króla, nic mu o sobie nie mówiąc i on też nic mi o mnie nie mówił do śmierci swojej, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucyi 3 Maja. Wszelako król, chcąc się niby uiścić z obietnicy swojej wspierania mnie, najcięższym dla mnie uiścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego natenczas księcia Dominika Radziwiłła, ordynata Nieświeża i Ołyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rządzcą edukacyi, i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów a matką małoletniego potem obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegoż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to wprawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze mnie już wtenczas więcej lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnej godziny dla siebie wolnej mieć niemo-

głem, chcąc się poczciwie sprawić, i jak dawniej trochę u księcia Romana Sanguszki w takimże będąc obowiązku przez rok tylko jeden, życia tylko ledwie nię straciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „kogo Bogowie nienawidzą, tego dozorcą małoletnich zrobili,“ bo jakże dziecię z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to co przez półroku wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w której by się dziecko opuszczone od dozorcy z służebnym jakim nieobyczajnym zdybawszy, zupełnie zniszczyć by mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszechmiar opiekuna, przyjąłem najprzykrzejszy dla mnie według sposobu myślenia mojego ten obowiązek niewoli dziesięcioletniej. Dał mi znać potem do Suchodoliny książę opiekun przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletniem dziecięciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiej przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimno od nadto swe dziecię pieszczącej matki, zaraz po obiedzie wyjechaliśmy do bliskiej sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wąską drużyną kalwakata księżnej, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ja z daleka chłopca naprzeciwko jadącego, wóz swój worami ciężkiemi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolei, w której głęboko koła zapadłe były, kilka pachołków dworzańskich z konia zsiadłszy, wóz ze wszystkiem na bok wywrócili dla przejazdu wolnego książętom; ja to zdaleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawołałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: oto Dominisiu ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubogiego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory nazad do woza powkładał, ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak, czyż nie lepiej, iż cię będzie

błogosławił, aniżeli przeklinał ten chłopek biedny, i twoi służący będą się strzegli krzywdy napotem nikomu nie robić. Pierwsza to moja była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Zabłudowa. — Poczciwe serce księcia opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący za rozkazem małoletniego wory chłopu sami na wóz układali, a dziecko pojęło dobrze lekcyą, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcom swoim podjąć i na wóz włożyć rozkazało. Złe domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że niemogłem tak z dziecięciem postępować jak chciałem i należało, i czucie moje nad tem tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mojego w Zabłudowie 5 razy przed matką małoletniego płakałem, ażeby mi nie broniła według mojego sposobu myślenia rządzenia dziecięciem jej; ale kiedy nadaremne były łzy moje, namawiałem ją przynajmniej, ażeby na aniwersarz 3 Maja konstytucyi narodowej pojechała do Warszawy, gdzie dziecię i świat razem obaczy, (i jak mówiłem) kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziecięciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchroni.

Wyjechaliśmy przecie z Zabłudowa do Warszawy, ale tam ten dobry mój projekt nie udał się, i kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżnej nie mogli do bawienia dłużej nad dwie niedziele w Warszawie, powróciliśmy nazad do Zabłudowa. Tymczasem nieprzyjaciele konstytucyi, samiż wyrodni Polacy pobudzili Moskwę przeciwko patryotom i wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżnę do Warszawy namawiam, a powodem mi było niby niebespieczeństwo samejże księżnej i dziecięcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w bliskości; przecież dała się namówić, że po półroku upłynionym znowu wyjechaliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła jak żądała do domu nazad, a ja podziękowawszy jej po ro-

ku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy, gdzie król i opiekun, jakem im wszystko opowiedział to moje porzucenie małoletniego, uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojej, kiedy opiekun, książę Maciej Radziwiłł był odmieniony, a opieka małoletniego przysądzona przemocą księciu Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiero kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły, Jakże to małe było natenczas nieszczęście moje z porównaniem z nieszczęściami, które czułem ku ojczyznie mojej. W oczach to moich było, jak ona od zdrajców samychże Polaków naszych cierpiała, i wydam też ich po imionach, bo kiedy im najgorzej czynić milionom ludzi wolno było, zacóżby mi pisać o tem niewolno? Nawet dla poskromienia napotem podobnych winowajców, których potomność przeklinać będzie, pisać koniecznie należy.

Szczęsny Potocki, wojewoda ruski i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, pierwszy i drugi kiedyś obywatele najlepsi, bo pominąwszy pierwszego, o którym wspomniałem wyżej, Rzewuski z ojcem swoim Wacławem, hetmanem koronnym, najpoczciwszym obywatelem na dobrowolne więzienie, chcąc tem ulżyć ojcu nieszczęśliwemu, poszedł do Moskwy, ale sprzykrzyło mu się potem temu wyrodnemu synowi poczciwą drogą chodzić, i poszedł tędy, gdzie wszystkich idących przeklinają. Ci tedy dwaj magnaci po obwołaniu konstytucyi 3go maja uważając w pysze swojej, że dziedzictwem korony polskiej dworowi saskiemu oddanem im samym a może ich potomkowi, któremu droga do tronu posunienia się, na wieki zamkniętą była, kiedy elekcye królów usunięto; miotani ambicyą, że mieszczanom nawet radzenia o narodzie w czasie sejmów przez wspomnioną konstytucyą moc była dana, a z tego powodu

i książę Sapieha, kanclerz litewski, do tych dwóch trzeci z czasem przystąpił, ułożyli sobie targowicką podnieść konfederacyą, któraby ustawy sejmu 3go maja i tronu dziedzictwo obaliła. — Jakoż to pewna jest, że Szczęsny Potocki, widząc, jako był nienawistny dworowi petersburskiemu na tronie siedzący Poniatowski, łącząc się przez konfederacye z Moskalami, spodziewał się, że detronizowawszy Stanisława Augusta, sam po nim na tron polski nastąpi, na czem się i sam oszukał i naród zgubił.

Konstytucya Sejmowa ogłoszona 3go maja 1792 r. a dnia 9 tegoż roku w maju dnia pamiętnego w potomności dla Polaków, bo targowicka konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnej w Targowicy na Ukrainie Szczęsnym Potockim.

Wkrótce w tejże Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiej, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzplitą, którą sejm 3 maja, jeszcze trwający, a który raczej spiskiem nazwaćby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potem nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znaki od despotycznego rządu warszawskiego spisku dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczęsnego nazywa go twórcą zbawienia i nowej szczęśliwości rzpltej. W tem imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania interesów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem przyjacielskich myśli imperatorowej dla Polski. Konfederacya zaś wysłała do Warszawy dla odebrania przysięgi od gwardyów i jakichkolwiekbądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i od różnych tamże magistratur.

W sierpniu gromi konfederacya Bazylianów Włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3go maja i wskazuje, ażeby ad loci ordinarium na karę odesłani byli.

Zakazuje potem konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków od rządu despotycznego

3go maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. W wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli imperatorowej, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niej Polacy mieć będą. Oświadczając nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuzkiemu Dessorches powiedzieć kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucyonistów francuskich i naszego posła Oraczewskiego z Francyi odwołano, jakoż temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczonych łaskach imperatorowej przyszedł od niej dyspartyment do konfederacyi targowickiej, ażeby dla wojsk imperatorowej w Polsce i Litwie będących, dostarczono na ośm miesięcy furażu: mąki żytniej 500,000 korcy, krup około 50,000 korcy, owsa do miliona korcy i siana około dwóch milionów centnarów, co niezapłacono.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 listopada za dwa miesiące najdalej nie uczynił akcessu do konfederacyi targowickiej, miał być uznany za niezdatnego do wszelkich napotem urzędów.

Wtem przyszła wiadomość, że wojska pruskie do Polski weszły, z tego chociaż już można było domyślać się o intencyach dla Polski sąsiadów naszych, przecież konfederacya targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy dnia 5 grudnia ustanowiła medal dla obrońców rzeczypospolitej, z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 mai 1792 obnitam et diletam libertatem Polonam tueri conabatur;“ z drugiej strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae; w koło: „Gratitudo civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła także ta konfederacya przysięgę profesorom szkoły kadetów, że nic uczyć nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nic uczniom nie wspomną, ani o rozszerzeniu władzy królów, ani o sukcesyi tronu i monarchii.

W styczniu wyszła 1793 deklaracya pana Bucholtza, posła pruskiego, że bojąc się Jakóbinów w Polsce,

król pruski wprowadza woiska swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacya, że o żadnych Jakóbinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusacy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały, jeden Dąbrowski vice-brygadier, (który potem w wojsku francuskiem na taką sławę i stopnie zasłużył); oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większej sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższej swej komendy, ustąpił.

Wtem wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszać mają.

Wieść się też rozchodzić zaczęła, że Moskwa chce dezarmować wszystkie wojsko polskie, i o to nota podana do Sywersa, posła moskiewskiego, który przez notę odpowiedział, że niepodoba się imperatorowej pospolite ruszenie nakazane, oświadczając, że imperatorowa każe rozgramiać wszystkie kupy zgromadzające się.

Król przystąpił do konfederacyi targowickiej, mimo najusilniejsze prośby poczciwych obywatelów, a między innymi Małachowskiego, referendarza, marszałka sejmu 3go maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby przed przemocą moskiewską do drugiej stolicy swojej do Krakowa z sejmem usunął się, a jeżeliby i tam ciśnieni od Moskwy byli, która mimo pamiętnego oporu walecznego Kościuszki wojsk naszych natenczas jenerała, już się natenczas ku Warszawie zbliżała, tedy w tymże Krakowie przez Wisłę w kordon austryacki przeprawić się radził, a ztamtąd dopiero wysłać posłów do cesarza niemieckiego, prosząc o wdanie się do Katarzyny moskiewskiej, wczemeśmy tej monarchini zawinili, prócz tej poczciwej przyczyny, że sejmem 3go maja porządek jakiś w kraju zrobić chcieliśmy i kiedy trzy potencye związawszy się w tej porze przeciwko

Francuzom, mocą prawa zgwałconego na królu ich, ściętym przez kata, za cóż tu Moskwa w tym samym czasie niewinnego króla prześladując, z kraju go nawet swego wypędza. Jeżelibyś N. P. mówił dalej królowi Małachowski, (jak mi to sam potem powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy nie miał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu, a na 70 000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie; ale ani wszystkie przekładania jego, ani łzy inszych poczciwych obywatelów nie pomogły. Przemogła intryga prymasa brata królewskiego, a między inszemi i Chreptowicza kanclerza litewskiego, pensyowanych od Moskwy. I zgodne to było z charakterem króla najłatwiej odmieniającym się z duchem niewojennym i lubiącym spokojność choćby to go najdrożej kosztowało; tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkiemi do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po Koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawi się w wojsku, zjadł obiad ten bohater na Pradze z generałami naszemi, a na noc do Warszawy powrócił, zkąd się potem nie wyruszył.

Na tem przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej, naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęsny Potocki urojoną, bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego, on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między inszymi Branicki hetman koronny, publicznie u stołu Kochowskiego, generała-komendanta przeciwko Polakom wojsk rosyjskich pił zdrowie najjaśniejszego Szczęsnego.

Potocki, mówię, na tem przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej, najwięcej stracił, bo tem samem już król z Moskwą pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja tronu polskiego upadła.

Żona Potockiego Mniszkowna, która z nim dawniej ozięble żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem górnemi równie z nim myślami upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensztejna na

balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej. — Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do pani Potockiej: „dobranoc mościa pani exkrólowa.“ To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiej nie przystępował, Rosyanie dowiedziawszy się, iż chłopów polskich obruszono, jakoby im schyzmę wprowadzać chciała Katarzyna, a ciż kosami i siekierami gromadnie (zwłaszcza mazury i krakowiacy) iść chcieli na Rosyanów, broniąc wiary katolickiej, — dowiedziawszy się w Petersburgu, że król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, z gotowizną pieniężną jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, obawiając się złego końca Katarzyna, generałowi swojemu przeciw Polakom Kochowskiemu traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiej nie przystąpił.

Dnia 7go marca 1793 roku napisana instrukcya Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślejszem Polski z Rosyą, i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całości granic, czynił zaś to na fundamencie obietnicy imperatorowej w początkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi obiecała, do tego konfederaci targowiccy za wiadomością jej nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jej na to była deklaracya. Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępca jego obrany Antoni Puławski, marszałek konfederacyi województwa wołyńskiego; za jego zastępstwa dnia 9go kwietnia przyszła deklaracya imperatorowej przez Sywersa, posła jej w Warszawie konfederacyi oddana, o podziale polskiego kraju i o potrzebie zwołania nowego sejmu w Polsce, przez któryby Polska trzem potencyom podzielona była, co sejm przyszły potwierdzić miał. Sejm

grodzieński zaczęty na wiosnę r. 1793., był jeden z najburzliwszych dla pomięszanych wielu poczciwych posłów z zdrajcami ojczyzny. Ambasador rosyjski Sywers, siedmiu gorliwych posłów w areszta żołnierzom rosyjskim pobrać kazał, których potem na czas jakiś za prośbą króla wypuścił, ale potem znowu ich pobrano i pod konwojem rosyjskim do swoich powiatów, zkąd byli posłami, odsyłano, i kiedy król, jak i inni poczciwi posłowie, zdawał się w początkach być przeciwnym nowemu zaborowi Polski, jako niezgadzającemu się z traktatem 1773 r., którym trzy dwory zabespieczały natenczas całość kraju Polsce pozostałego przez swoją gwarancyą, uczyniono to na postrach drugim (co pewnie było tajemnie z królem umówiono), dobra królewskie Moskwa zasekwestrowała, toż uczyniwszy i z marszałkiem litewskim Tyszkiewiczem. Kiedy posłowie Sywersowi wspomnieli, że imperatorowa konfederacyi nawet targowickiej obiecała całość granic Polski, on na to odpowiedział: że myślała imperatorowa, o tych granicach, które teraz po tym drugim zaborze naznaczą się. Na tym to sejmie chciała Moskwa, ażebyśmy się do państwa rosyjskiego wcielili, a to na jedno wychodziło, co się zrobić poddanemi rossyjskimi. Tenże Sywers oświadczył sejmowi, że do wszystkich posłów przeciwnych traktatowi podziału, poszle Moskalów do wsi ich na egzekucyą; codziennie zaś przed bramą zamku grodzieńskiego, gdzie się sejm odprawował, stał hauptwach z kilkuset żołnierzy rossyjskich, z kilku armatami ku drzwiom zamkowym dla postrachu wyrychtowanemi. — Posłowie, którzy się na tym sejmie grodzieńskim obywatelstwem swojem dystyngowali, byli następujący: Krasnodębski poseł litewski, który w mowie swojej publicznie królowi wyrzucał, iż wojskom naszym pod komendą synowca swego, Józefa Poniatowskiego będącym, umyślnie przed Moskwą umykać się kazał, chociaż (jak wiadomo wszystkim) my byli jej zwycięzcami; Karski, poseł płocki, wyrzucał także wyraźne niedbanie o ojczyznę i między inszemi wyrazami (co ja przytomnym będąc na sesyi sejmowej, sam słyszałem) powiedział w mo-

wie swojej: stało się tak N. P., jakoś sam w początku panowania swego będąc, od przeciwnych sobie obywatelów rozgniewany, powiedział: „że choćby tyle Polski zostało, którejby ziemię, kapeluszem swoim przykryć mógł, utrzymasz się przy koronie.“ Król na to rozgniewany, z tronu zakrzyknął: „nieprawda.“ Wrzawa potem posłów z obydwóch stron wszczęta, z których królewscy przyjaciele dopraszali się o sąd na Karskiego, jako występnego o obrażony majestat.

Po tej sessyi będąc u pani Krakowskiej, siostry królewskiej, kiedy tamże do niej przyszedł z sessyi, i marszałek litewski Tyszkiewicz, a ta mu z uczuciem wspomniała (bo już jej ktoś to doniósł) jak Karski publicznie przeciw królowi gadał; Tyszkiewicz werydyk na to odpowie, gdyby Karskiego przedemnie, jako przed marszałka litewskiego pozwano, jak chciano do moich sądów marszałkowskich pozwać, jabym go niemógł karać, bom toż samo o królu że miał to zapewne mówić, słyszał od nieboszczyka księcia marszałka korony Lubomirskiego, który jako poczciwy człowiek nie lubił zmyślać, a powiadał, że był przytem, kiedy się król rozgniewawszy, z takim wyrazem wyrwał. Prócz tych 2 posłów wsławili się jeszcze obywatelstwem na tym sejmie Skarżyński, poseł łomżyński, Szydłowski, poseł płocki, Mikorski, poseł wyszogrodzki: Ciemniewski, poseł rożański; Aleksandrowicz, poseł smoleński; ci cnotliwi obywatele i wielu im podobnych, przyszli na pokoje królewskie i widząc go skłonionego do podpisania zaboru kraju, a tym się najwięcej składającego, że i dobra mu nawet tronu pokonfiskowane, a tak z kądby żyć miał nie ma, i jeszcze (jak mówił) mnie z wami razem Moskwa zabierze; pójdziemy z tobą królu, odpowiedzieli poczciwi posłowie, w najdziksze kraje, będziemy jeszcze tam na ciebie zarabiać, ażebyś miał wyżywienie i wygodę jakąś, a nie czyń narodu twego nieszczęśliwym, podpisaniem podziału kraju. Jakoż to pewna, że gdyby król był nieprzystąpił do podpisania traktatu podziałowego kraju, nigdyby był pewnie ten podział nie doszedł. Ale widać było wyraźnie, że byle spokojnie na reszcie kraju pano-

wał, nie dbał o tak wielką szkodę narodu. Miał dnia jednego dwie mowy, dosyć długie na sesyi, w pierwszej niby jest obojętnym na traktowanie z ambasadorem rosyjskim o podział kraju, radzi posłać do niego, ażeby zatrzymał się, niżeli poseł nasz od imperatorowej powróci; naco gdy ambasador niepozwolił, drugą znowu miał dłuższą mowę, gdzie radzi przystąpić do traktowania podziału. Te dwie duże mowy, potem drukowane, w jednym dniu niemogły być skomponowane, tak wytworne jak były, i widać, że dawniej obydwie zrobione, i że w tym dniu na zrobienie drugiej czasu nawet niemiał król, a ztąd widać, że chciał podziału tak się wcześnie z ambasadorem skrycie umówił; które posądzenie potem się i potwierdziło. Bo kiedy kraje królowi pruskiemu wyznaczono, a między niemi Gniezno, Poznań, te pierwsze siedziby przodków naszych, okrzyk powszechny posłów naszych, nawet przyjaciół rossyjskich zrobił się, jakiem prawem Prusak dziedziny najdawniejsze Polaków zabierać miał; i kiedy nikt do podania do laski marszałkowskiej projektu takiego nie idzie, dwa: Podhorski i Mączyński poseł wołyński, projekt ustąpienia królowi pruskiemu kraju wspomnionego do laski marszałkowskiej jak zwyczaj podali.

Marszałkiem tego okropnego sejmu był Stanisław Bieliński, tak przekupiony jak i inni, i kiedy wołać zaczął: otóż są i projekta na wydział pruski od posłów podane, przystąpiwszy patryoci posłowie do stołu marszałkowskiego i obaczywszy, że też projekta podpisów nazwisk tych, którzy je podawali, nie miały, okrzyk znowu zrobił się, otóż zdrajcy wstydzili się nawet na swoich projektach podpisać, a tem samem jak też potrzeba według prawa nic nie są warte. Marszałek sejmowy chciał dać pióro i kałamarz kolegom swoim do podpisania się, ale przeciwni posłowie poczciwi, kałamarz i pióro pochowali, że nie było sposobu podpisania się. Wtenczas król na tronie siedzący, w oczach narodu, na co i ja patrzyłem, a potem dla wstydu spuściłem na dół oczy, dobył z kieszeni ołówek i Mią-

czyńskiemu z Podhorskim oddał, ażeby się na swoim podpisali projekcie: „*Heu! regni rerumque oblite tuarum!*"

Tak jest, on to zapewne zrobił zapomniawszy się, ale on to zrobił, co w duszy myślił, chcąc skończyć kłopoty, a nareszcie w kraju spokojnie siedzieć. Zapomniał się król Polak nieobywatelski, bo w oczach narodu zgromadzonego nigdy tego zrobić nie powinien był. Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego jeszcze nad pierwszy podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzieńskim traktatem zaborowym, więcej Rosya, Prusak i Austrya wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całej Polski zostało. Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacyą targowicką, Puławski tejże konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Horodniej, gdzie miał tymczasowe mieszkanie, o ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem, oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc, płakałem.

Magnaci także nasi przyczyniali się prócz króla do podziału tego, pamiętni zysków swoich w pierwszym podziale kraju, brali wtenczas bogate starostwa, dobra pojezuickie, pensye, zamiany starostw na dziedzictwa, brali i tym drugim podziałem pensye roczne i starostw tyle im porozdawanych; a dumie swojej i zyskom dogadzając, kraj, który się najlepiej rządzić chciał, zgubili. Skutkiem to było razem bezrządu zadawnionego w narodzie, że wielkie imiona bez żadnej zasługi ani zdatności pierwsze zabierały urzędy; a insze dzieci magnatów, w kolebkach jeszcze będąc, krociowych intrat brali starostwa, które chlebem, dobrze zasłużonym w Polsce, nazywaliśmy. Stąd w każdym kraju, chcącym się dobrze rządzić, powinnoby być naczelnem prawem: że do wszystkich czynnych urzędów w narodzie nie urodzenie, ale cnota i zdatność pierwszeństwo mieć powinny. Czyliż tak król zrobił? który dawniej Kazimierzowi Sapiezie, synowi faworytki swojej, 18 lat młodzikowi mającemu, dał generalstwo artyleryi litewskiej, który stopień jakże wiele zasług i wiadomości wojennych potrzebuje, a potem znowu pod-

czas konfederacyi targowickiej toż generalstwo artyleryi po śmierci pierwszego, drugiemu Franciszkowi Sapiezie, chłopcu 14letniemu oddał; a to wtenczas, kiedy ojczyzna była w największym rozruchu wojny.

Do nieszczęść krajowych w roku tym 1793 i bankructwo bankierów warszawskich przyczyniło się na 200 milionów szkody obywatelskiej wynoszące; do czego także magnaci, chociaż niewinnie przyłożyli się. Prot Potocki najpierwej równym sposobem jak bankierowie bank swój otworzył, z handlu potem na Czarnem morzu najzyskowniej pożytkował. Ale książę Alexander Lubomirski, dziedzic 20stu mil kraju na Ukrainie, otworzywszy bank swój na kontraktach dubieńskich, kiedy obywatelom, mającym u bankierów summy, kaucye ich pieniędzy, któreby mu pożyczyli, na dobrach swoich ogromnych pokazał, miasto czego bankier papier tylko kredytorowi bez żadnego bespieczeństwa dawał, wszyscy obywatele odbierać zaczęli od bankierów pieniądze a oddawać je Lubomirskiemu; i tak kiedy od nich wszyscy odbierali, a nikt im pożyczyć nie chciał, upaść koniecznie musieli. A z ich reszt majątku pozostałego ledwie jego 3cią część komissya bankowa, blisko dziesięć lat ciągnąca się, sum winnych od bankierów kredytorom pooddawała, a to z skryptów, które magnaci pożyczając u bankierów, pieniądze im pooddawali, a magnaci albo wykrętami swojemi, albo prawdziwym upadkiem pozawodzili biednych obywatelów, słowem, żadnego nieszczęścia krajowego nie było, do któregoby o sobie tylko myślący magnaci nie należeli.

Na tym sejmie grodzieńskim konfederacya targowicka zniosła tron w Polsce sukcesyjny, na konstytucyi 3go Maja ustanowiony, a jak bywało dawniej, władzę hetmanom nieokreśloną daną już przez siebie przed rokiem potwierdziła, którzy to hetmani tak dawniej byli potężni, że August II, obrany królem polskim, kiedy do kraju naszego przybył, i tęż władzę hetmańską, jak była nieokreśloną poznał, publicznie powiedzieć miał, że gdyby był wiedział pierwej co to jest hetman w Polsce, wolałby o hetmaństwo nie zaś o króle-

stwo starać się polskie. Stąd na tym sejmie grodzieńskim, Gostomski, poseł ciechanowski, o zniesienie władzy hetmanów domagał się, którzy przez rok danej im władzy przez konfederacyą targowicką tysiące niewinnych pokrzywdzili.

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja niemając już domu inszego (bo klucz ekonomiczny Suchodolina puszczony mi 6cioletnim kontraktem od przyjaciela Badeniego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem był na drugie triennium), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskiem województwie, przy lesie białowieskim sytuowanej, na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustej z lasu wyrąbanego pozostałej, a o włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojej o to prośby, jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywilej u króla, bo kiedy każdemu kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet) pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie, taż kolonia do króla wtenczas polskiego, jaki natenczas będzie, powracała, bez żadnej nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków. — Przyjaciel Badeni jak się rzekło i dla mnie takiż przywilej zyskał, o czem król i zapomniał, bo zdziwił się, za dwa lata potem, kiedy mu w Grodnie już po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii. — Pobudowawszy się w tejże kolonii, chociaż ubogo ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość swój mając kawałek chleba po cudzych kątach nie poniewierać się, i niemając majątku żadnego prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcej 50 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i w łaskach pańskich, tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem. — Najemnicy którzy przy mnie pracowali z tem większą robili mi ochotą, im szczerzej i mnie też przy sobie pracującego widzieli;

skutek tej pracy mojej był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniej. Nie masz wstydu za robotę około roli co pierwszem człowieka jest powołaniem, i kiedy raz JW sąsiad sześcią końmi karetą przejeżdżał, a ja blisko publicznej drogi, krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniej którzy przy mnie robili, przestrzegli mnie, że Pan jakiś nadjeżdża, ażebym roboty mojej poprzestał, jam odpowiedział, że tem bardziej robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW. i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze, że piękniej jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić. — W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni poczciwy — i kiedy mu o mojej pracy powiadałem około roli, — ażeby mi jej ulżył, wypuścił mi pańszczyznę blisko mnie wsi ekonomicznej Kletno nazwanej, a tak przez ten rok do 7miu włok gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze licznego wytrzebiłem, wieśniaków do tego uboższych z bliskich kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło, i jak można na prędce za przyłożeniem się mojem pobudowało się. z umową 5cioletniej wolności, po których upłynionych dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włoki swojej siedziby Złp. 60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii niezdawało mi się być dzikiem. Kiedym. tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiadali, czytał, a w nich między inszemi było umieszczono, ażeby w przypadku, jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć pobity oddawać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, w ten czas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu rózgami nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam pobity rózgi bijącemu dawać będzie, tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych i po takiej karze na

jednym z bogatszych, a tem samem pyszniejszych wieśniaków wypełnionej skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi pokazał złodziej jaki, tedy za pierwszą poszlaką, rózgami pośrodku wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzonym; jeden z tych wieśniaków nazwiskiem Jakób Mosiej padł mi ze łzami do nóg dziękując za to prawo czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w tej kolonii, jakoż pokazało się potem, że tenże Jakób był człowiekiem w każdem zdarzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowany, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potem w roku 1808 umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płaczącej żonie i dzieciom widzącym śmierć jego bliską, śmiejąc się mówił: „oto wojska rosyjskie wkrótce przechodzić mają i ciemiężyć was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwej, a wy się tu nacierpicie, jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na prażnik do Ojca winienem był wspomnienie rzadkiej cnocie wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.

Nastąpił opłakany rok 1794 bo rok ostatniej zguby naszej po sejmie grodzieńskim, nazwany sywersowskim, że nim ambasador rosyjski rządził absolutnie. Igelstrom generał moskiewski, rządził równie jak gubernator, i w Warszawie król nawet zmniejszone miał prerogatywy swoje w rozdawaniu przywilejów na starostwa, urzędy i ordery nie będąc mocen żadnego z tych podpisać bez wiedzy i potwierdzenia Igelstroma. W czasie tym nieprzestawano złorzeczyć sejmowi grodzieńskiemu, wysławiać sejm 3 Maja i szeptano w kątach, że rewolucya w kraju nastąpić musi dla ostatniej niewoli i upodlenia Polski. W środku zimy grana była operetka przez Juliana Niemcewicza zrobiona, pod tytułem Krakowiaki; miała w sobie arje zupełnie do okoliczności kraju stósowne, a bardzo zapalające. Operetka ta była początkiem i rozgrzała umysły do przyszłej rewolucyi, była osnową rozmów po domach i czyniono sobie nadzieję szczęścia, które zdawała się obiecywać ta sztuka teatralna. Igielstrom nie zakazał grywania tej niebes-

piecznej sztuki, ale tylko szpiegował ściślej policyą miasta Warszawy; znalazł dla siebie pewną liczbę szpiegów, którzy mu o wszystkiem donosili, ale ich łatwo poznano i wystrzegano się przy nich wszelkich rozmów; tyczących się przyszłej rewolucyi. Nie mógł dowiedzieć się o tem, że niektórzy obywatele, a mianowicie kupcy i rzemieślnicy, zbierają się sekretnie na rady w dniach pewnych, wszelako z czasem zaciągnąwszy cokolwiek wiadomości o schadzkach sekretnych mieszczan, i że duszą tych ich zgromadzeń był Kiliński, rzemieślnik warszawski, kazał tegoż Kilińskiego pod wartą do siebie przyprowadzić, i kiedy mu wyrzucał potajemne schadzki z innymi, on roześmiawszy się, rzecze: „cobym miał spodziewać się nagrody, to mnie jeszcze łajecie panie jenerale, prawda, że bywają schadzki, prawda, że ja jestem na czele ich, ale i to prawda, że wszystkiemi sposobami odwodzę towarzyszów moich, ażeby się do niczego nie wdawali, i w krótce spodziewam się, że im to wyperswaduję.“ Igielstrom obiecał mu nagrody, byleby tak postępował jak obiecuje, (sam pijąc do niego gorzałkę), wolno wypuścił. Jednak dla utrzymania bespieczeństwa, wszelkie zbiegowiska ludu miał na baczności, i tak, podczas kilku przypadkowych ogniów, gdy się lud liczny na ratunek zbiegał, wysyłał szwadrony kozaków swoich na miejsce pożarów tych, kawalerya z drugiej strony polska stawała przeciwko kozakom, dwojakie tedy to żołnierstwo nieprzyjacielskie, zwyczajnie sobie urągało.

Tymczasem Prozor, oboźny litewski, sławny z swego obywatelstwa, przybył do Warszawy, naczelnicy z Polaków knującej się rewolucyi przeciwko Moskwie i Kiliński na czele mieszczan, zaprosili go na tajemną schadzkę. Tam, kiedy Prozor przyszedł i powiedziano mu o wszystkich przygotowaniach, które już porobiono do powstania, zachęcono go razem, aby tego powstania chciał być naczelnikiem; wymawiał się im niewiadomością sztuki wojennej, i że wojskiem insurrekcyjnem rządzić nieumiejąc, zgubiłby tem samem naród; ale radził, ażeby jenerała Kościuszkę, znanego już

z obywatelstwa i z kunsztu wojennego, sprowadzili. Odpowiedziano mu, że już Kościuszko gdzieś teraz za granicą bawiący, był od nich proszony o to, ale się wyraźnie wymówił; wtenczas Prozor oświadcza proszącym go, że wyjeżdża zaraz za granicę szukać Kościuszki i spodziewa się, że go na naczelnictwo pewnie namówi, i kiedy mu powiedziano, że Kościuszko był niedawno we Włoszech, ale w Dreznie, gdzie wiele teraz Polaków przebywa, najlepiej o nim dowiedzieć by się można.

Wyjechał więc Prozor zaraz nazajutrz do Drezna prosto; tam przyjechawszy (jak mi sam o tem powiedział) stanął w domu Hotel de Pologne zwanym; po godzinie wszedł do pokoju chłopiec jakiś, którego kiedy Prozor pytał, ktoby był, odpowiedział, że jest Polak i służy u pana Kościuszki, a przyszedł tu widzieć przybyłego Polaka. Zapytany od Prozora chłopiec, gdzieby był pan Kościuszko, odpowiedział, że o ścianę od WPana. Na tak szczęśliwe niespodziewane zdarzenie pobiegł zaraz Prozor i znalazłszy Kościuszkę, poselstwo mu swoje przełożył i najusilniejszem naleganiem do przyjęcia naczelnictwa wojsk narodowych zapraszał. Wzbraniał się tego wieczora Kościuszko, przyczyny ważne przywodząc, że krótki zapał w obywatelach niektórych prędko przygaśnie, a niemając mocy gruntowniejszej przeciwko tak ogromnemu nieprzyjacielowi, ciężko się nam nieopatrznie porywać.

Nazajutrz, kiedy Prozor obiegł i inszych w Dreznie mieszkających Polaków, wszyscy w domu Kościuszki padli mu do nóg i insi ze łzami prosili ażeby ratunku nieszczęśliwej ojczyznie swojej nieodmawiał, że nakoniec dał się uprosić i nazajutrz z Prozorem do Krakowa wyjechał.

Tam przybywszy, kiedy znaczniejszych obywateli i mieszczan krakowskich i nawet wieśniaków samych zapalonych miłością ojczyzny i chęcią bronienia kraju zastał, przybrawszy naprędce jaką mógł z obywatelów radę, przez uniwersał swój powstanie narodu ogłosił; a w tem zdaje się, że trochę nadto śmiało postąpił, kiedy Moskwie i Prusakowi razem wojnę wypowiedział

jednych tylko Austryjaków, jako niby przyjacioł powstania tego opuszczając. Taki stan był rzeczy w końcu marca i na początku kwietnia, kiedy o akcie powstania dowiedziała się Warszawa. Ale Igielstrom, dowiedziawszy się o tem, wysłał jenerała Kłoskiewskiego z wojskiem ku Krakowu, dla rozproszenia (jak mówił) buntowników. Inaczej nad jego spodziewanie stało się, bo Moskale od małej liczby, będących przy Kościuszce polskich żołnierzy i gorliwych wieśniaków z Krakowskiego, na głowę pobitemi zostali pod Racławicami. Największą częścią do wygranej tej należeli chłopi krakowscy, w kosy na prost przywiązane uzbrojeni i dla tego kosynierami ich potem nazywano, jeden z nich nazwiskiem Głowacki, szczególniej dystyngował się, i oficerem zrobiony został za odebranie armaty nieprzyjacielowi.

Przyszła wiadomość do Warszawy o bitwie tej, lecz o niej, równie jak o powstaniu przyszłem ledwie kto wiedział z tych, którzy do kierowania rewolucyą w mieście nie byli wezwani, a utrzymanie spokojności, ostrożności, sekretu, i wszystkie do zrobienia rewolucyi środki, dowodem były wielkiej warszawskich naczelników biegłości; pierwszym z nich uważać potrzeba co do rycerskiego stanu i kupców Zakrzewskiego, a co do cechów różnych, Kilińskiego, ten drugi nie tak może do planów zdatny, posiadał zapewne ufność i przywiązanie wielkie w stanach rzemieślniczych, które się później ku niemu w całej publiczności okazały. Większy, chociaż zawsze ukrywany, wszczął się zapał rewolucyi, kiedy pogłoska po mieście rozeszła się, że Moskale arsenał warszawski odbierać mają, z którego gwałtu niechybnego buntu spodziewano się.

Nareszcie dnia 16 kwietnia z Srody na Wielki Czwartek wieczorem wezwano oficerów wojsk polskich do arsenału i odebrawszy od nich przysięgę, jako na Moskwę podnosić się nie będą, już ich aż do dnia stamtąd nie wypuszczono. Skoro tylko we Czwartek dzień się pokazał, wystrzelono trzy razy z wielkiej armaty w koszarach mirowskich na Wielopolu; wystrzał ten hasłem był do rewolucyi, to pewna, że Igielstrom

żadnej o niej nie miał wiadomości prócz z posłyszanego wystrzału, a dochodzących go wieści o skrytych szemraniach obywatelskich, nie bał się, ani je sądził być podobnymi do uskutecznienia. Ocucony więc wystrzałem armaty, porozsyłał w różne miejsca ordynanse do kwaterujących kompanij, ale żaden z tych ordynansów do miejsca wyznaczonego nie doszedł, i choć ulice tego poranku były puste i cichość jak w nocy panowała, kuryerowie Igelstroma to z kątów, to z okien wszyscy byli z koni pozrzucani.

Król sam w mieście nie wiedział o rewolucyi, i obudzony troistym wystrzałem z armaty, prędko ubrawszy się, chcąc wyjść za bramę zamkową dla obaczenia, coby się w mieście działo, wychodząc za drzwi pałacu, zastał na dziedzińcu w paradzie stojących kilkuset żołnierzy garnizonu zamkowego, i kiedy ich zdziwiony zapytał, za coby w tej paradzie stanęli? oficer na czele ich będący, odpowiedział: „robiemy to NPanie, co powinność poczciwego żołnierza każe: stawania śmiało przy królu swoim i ojczyznie.“ Król wyszedłszy za bramę pałacową spokojność i cichość zupełną, stojąc kilka minut pod kolumną Zygmunta postrzegłszy, powraca nazad do zamku, ale w bramie samej znajduje przeciwko sobie idący garnizon swój zamkowy, i stanąwszy przeciwko nim, żywiej ich okrzyknie: stójcie! stójcie! dokądże to wychodzicie? oficer im przywodzący odpowie: idziemy, gdzie nas ojczyzna woła, „marsz; marsz.“ Król z Guszyńskim, jenerałem swoim (który mi to wszystko opowiadał) amplojowanym stanąć musiał przy murze, ażeby ustąpił maszerującym żołnierzom garnizonu swojego.

Tymczasem wypuszczonym więźniom z prochowni, cechom i różnemu pospólstwu wyrzucono broń różną z arsenału przez drzwi i okna, a mało co dawszy czasu zebrać się i uszykować Moskalom, rzeź po wszystkich stronach krwawa rozpoczęła się i cały ten dzień trwała, aż do kilkunastu tysięcy Moskalów zabitych było; nazajutrz przed wieczorem nie było już żadnego Moskala w mieście, prócz tych, których w niewolę zabrano, ale i tych mała coś liczba. Wywożono trupy przez dni dwa

i wszędzie po ulicach palono słomy, można było w tym tłoku pospólstwa naszego postrzegać gdzieniegdzie trzykolorowe kokardy; na wzór francuskich rewolucyjnych, ale te prędko zniknęły, bo nie chciano jeszcze wydać się z myślą naśladowania zupełnie rewolucyi francuskiej. Tak Moskalów zbyła się Warszawa, z której Igielstrom z kilkuset ludzi swoich wyśliznął się.

Po przywróconej spokojności utworzyła się natychmiast Rada zastępująca, najwyższa rewolucyi magistratura pod prezydencyą Zakrzewskiego. Osoby radę tę składające, nosiły na rękawach flory pąsowe, aby je po nich poznawano. Pobrano też zaraz do arsenału tych, o których mniemano, że byli nieprzyjaciołmi ojczyzny, jako to: Ożarowskiego, hetmana; Kossakowskiego, biskupa inflantskiego; Ankwicza; Zabiełłę; Massalskiego, biskupa wileńskiego; Skarszewskiego, biskupa chełmińskiego i innych. Utworzono komisyą indagacyjną do roztrząsania kryminałów więźniów narodu. Komisya ta niewinnych uwalniać była powinna, winnych zaś oddawać pod sąd kryminalny, ustanowiony do wydawania ostatecznych wyroków. Podzielono miasto na cyrkuły i w każdym cyrkule słup zakopano, do któregoby mieszkańcy cyrkułu tego, niewyłączając żadnego stanu, prócz księży, żydów i starców, stawiali się, a to jeżeliby się trafiło, na alarm z okazyi zamieszania wewnętrznego lub zewnętrznej napaści. Poczyniono z tychże mieszkańców Warszawy dowódzców, to jest, tysiączników, setników, dziesiętników, a ci prowadzić mieli obywateli na miejsce potrzeby, a tym zwierzchnikom w zdarzeniach takich posłuszeństwo zupełne należało się. Straż wszystkich więźniów narodowych i nieprzyjacielskich podczas rzezi zabranych, odbywana była przez obywateli miasta, kolejno, podług rozkładu ich dowódzców. Pozabierano do lania armat dzwony kościelne, które tylko nad konieczną były potrzebę, równie też kościelne srebra i złota wzięto do mennicy zostawując te tylko, których obrządek religii potrzebował. Wybrano większą połowę koni stajennych, które były w mieście, osadzono miasto wielkiemi bateryami od jednego brzegu Wisły aż do drugiego, wał do tego

po nad same domy miasta pociągniony; do tych robót mało bardzo użyto wojska, i cała fortyfikacya rękami jedynie ochotniczych obywatelów i kobiet nawet była uczynioną.

Po bitwie przegranej poczęści z strony naszej pod Szczekocinami, gdzie byli przeciwko nam Moskale, złączeni z Prusakami, przybyli do Warszawy Kołłątaj, Ignacy Potocki, Dmóchowski i inni, z tych utworzyła się rada najwyższa i już nie było rady zastępczej. Osoby rady tej miały jeszcze oddzielne sobie powyznaczane wydziały i były w nich prezydującymi: Kołłątaj w wydziale skarbu, Potocki w wydziale interesów zagranicznych, Dmóchowski w edukacyi, każdy z tych prezydentów wydziałowych prezydował jeszcze kolejno w radzie najwyższej po tygodniu, i wtenczas z podpisem jego wychodziły wszystkie do obywatelów odezwy; utworzono wkrótce i pieniądze papierowe, których kurs nie miał trudności, ale jednak za nie produkta i towary kupowane, droższemi nieco były.

Od nastania rady najwyższej publiczność zdawała się spokojnie polegać na świetle jej, ale potem wcisnąwszy się niezgoda między radnych, przeszła łatwo i między mieszkańców.

Kupy patryotycznemi zwane, zbierały się co dzień na rynku pod drzwiami obrad rady najwyższej, radziły o losie kraju, czyniły projekta, tworzyły i imponowały czasem tej magistraturze. Niebyłto zbiór dobrze myślących i rozumnych ludzi, ale burzących bardziej i śmiałych, którzy w zamieszkach tylko znaczyć albo zyskiwać mogą, niebyło bezpiecznie także zbliżyć się dla przysłuchania ich radom, tem bardziej otwierać im zdanie swoje, a tymczasem między mieszkańcami ufność, bespieczeństwo własne, exekucya wyroków, nikły z ustaniem rady zastępczej; do magistratury, a osobliwie komisyi indagacyjnej posuwano przez intrygę wiele osób niezdatnych i bez doświadczenia, a ponieważ umieszczenie czyje w jakim departamencie tem samem robiło go wolnym od wychodzenia na okopy w czasie napaści nieprzyjaciela, dla tej przyczyny właśnie wiele bardzo młodzieży do urzędów powciskało się.

Nieczynność komisyi indagacyjnej dała powód Konopce, domownikowi czy słudze Kołłątaja, z instynktu pewnie pryncypała swego, iż zebranemu w wieczór na rynku ludowi, wystawiał w mowie przygotowanej próżne utrudzenie w odbywaniu wart przy więźniach narodu, obwiniał o opieszałość komisyą indagacyjną, dowodził zbrodni osób aresztowanych i zachęcał lud do przyspieszenia kary na zbrodniarzów.

Nazajutrz rano sąd kryminalny zebrał się na ratusz, a szubienice pierwej jeszcze w rożnych miejscach powystawiane były, izba sądowa natkana była tłumem ludu, i ile rąk tyle pałaszów wisiało nad głowami sędziów, a cały ratusz był uzbrojony mnóstwem uzbrojonego pospólstwa, mimo tedy komisyi indagacyjnej na zbrodniarzów, przyprowadzono winowajców przed sędziów i we dwóch godzinach inkwizycya, dekret i exekucya odbyły się.

Powieszeni byli Ożarowski, hetman; Kossakowski, biskup infl.; Ankwicz i Zabiełło; ten zaś zapał zrobiła w pospólstwie wiadomość odebrana z Wilna przez przysłanego umyślnie ztamtąd, donosząc, jako zdrajca ojczyzny hetman litewski Kossakowski za zagrzaniem pospólstwa przez rozkaz znanego komendanta tamtejszego Jasińskiego powieszony na rynku; taka odebrana wiadomość zdała się poniżać pospólstwo warszawskie, że Wilno, stolicę Polski, Warszawę, w ukaraniu winowajców uprzedziło, i ztąd z taką gwałtownością exekucya nad temi nieszczęśliwymi nastąpiła.

Kiedy biskupa Kossakowskiego wieziono na szubienicę, zaklinał on na Boga wartę, siebie prowadzącą, ażeby mu pozwolili wejść do kościoła, blisko będącego aby się przed śmiercią Bogu jeszcze pomodlił; już pozwalali niektórzy, ale jeden z obywateli okrzyknął: „Bóg wszędzie jest, niech się tu modli, bo wszedłszy do kościoła, chwycić może do rąk Eucharystią jakże mu w kościele gwałt robić będziecie mogli?“

Nie długo potem zrobiła się sekretna zmowa do exekwowania innych, w więzieniu będących, a jednego wieczora dał się szmer słyszeć po ulicach, że jutro znowu wieszać będą. Jakoż nazajutrz przededniem po

różnych miejscach stanęły szubienice; uwiadomiona o tem policya, szubienice popodcinać kazała lecz na tychże miejscach lud inne powystawiał: już wtenczas nie potrzebowano sądu, lecz podług upodobania i przypadku wyprowadzano więźniów i wieszano. Z początku nie było może jak 30stu tych zapalonych, lecz gdy niedbałość rządu żadnych przeciw temu nie wzięła środków, powiększyło się wkrótce mnóstwo rozhukanych i każdy musiał przez bojaźń o siebie potwierdzać wszystko co czyniono; już Wulfers, członek rady, za gadanie po francusku z więźniem Boscump, oficerem rossyjskim, do aresztu wzięty, bez inkwizycyi co gadał i przekonania żadnego, był powieszony, równie jako i Piętka, Rogożeński i biskup wileński Massalski, a ten najniewinniej, bo kiedy przed tą rewolucyą za sejmu sywerskiego w Grodnie byłem od tego biskupa na obiad proszony, po rozejściu się gości, gdym ja tylko jeden został, prosi mię biskup w konfidencyi, ażebym mu szczerze powiedział, jak też o nim ludzie gadają? powiedziałem mu szczerze, że go Moskalem nazywają; a on mi na to: „prawda, żem Moskal, i wszyscy takiemi Moskalami byćby powinni, bo kiedy ani mamy, ani mieć możemy wojskowej siły takiej, ażebyśmy się Moskwie oprzeć mogli, kiedy do tego król cały moskiewski, lepiej nam za jego panowania nieszczęsnego ulegać, a dopiero po śmierci jego lepszego obrawszy króla, o poprawieniu losu narodowego myśleć, ale mi nikt nie zarzuci, ażebym jaką jak drudzy od Moskwy bierał pensyą.“ W takim nierządzie Warszawy, gdy między inszymi i pisarza sądów miejskich, idącego z papierami publicznemi na ratusz, a dla bespieczeństwa mającego przy sobie żołnierzy, z których pospólstwo wniosło, jakby i on był aresztantem, powieszono, Ignacy Potocki, wyszedłszy na ganek pałacu, zaczął ich hamować mową: a Zakrzewski, wtenczas prezydent miasta, dowiedziawszy się, iż Skarszewskiego, biskupa chełmskiego, wyciągają już z więzienia, przedarłszy się przez tłumy ludu, zasłonił biskupa swojemi ramionami, i tak przecie wybiegał mu życie. Trzeba było na krok tak śmiały tylko Zakrzewskiego każdy inny

broniący winowajcę, byłby zapewne z nim razem powieszony, do takiego stopnia zuchwałości okrucieństw lud przyszedł, łatwy do pohamowania w początkach, a przez ospałość rządu, wkrótce niepodobnym stał się.

Między innemi oprawcami najwięcej dokazywali więźnie wypuszczeni z prochowni, dawali sobie nazwisko obywateli i najniewinniejszych wieszali, wszelako przytomność Zakrzewskiego, prezydenta miasta, wiele do uspokojenia pomogła, spokojność zupełną, noc przywróciła.

Nazajutrz widać było smutek po twarzach wszystkich dobrze myślących, a trwoga w pospólstwie znaczna dała się postrzegać.

Uwiadomiony Kościuszko o okropnościach takich i zażalony przeciw Kołłątajowi, którego gwałtów tych sądził być autorem, przyszedł nareszcie pod Warszawę z wojskiem, a przybycie jego wszystkich dobrych serce pokrzepiło. Nadciągnęły tamże wkrótce za nim wojska pruskie i rosyjskie, pierwsze składające środek i lewe skrzydło, wynosiło jak powiadali 30,000, drugie składające skrzydło prawe, 18 tysięcy Moskalów, całe to wojsko pod komendą było króla pruskiego Wilhelma, który dobywaniem miasta, co na jego schedę przypaść miało, sam się zatrudnić chciał.

Przybycie wojsk nieprzyjacielskich oznajmione było miastu wystrzeleniem z armaty, przy zamku będącej, i według urządzenia całe miasto zaraz do bateryi i okopów udało się. Przednia straż nieprzyjaciół wstrzymana była od wojsk naszych pod wsią Wolą, pół mili od Warszawy, lecz po krótkim odporze odstąpiono wsi tej nieprzyjacielowi, dokąd potem ściągnął się cały obóz i Wola była środkiem wojsk nieprzyjacielskich, które około dwóch mil w okolicy zajęły, dalej nieprzyjaciel postępować nie śmiał przeciwko ogromnym bateryom naszym, osadzonym artyleryą i wojskiem, ale przedsięwziął tylko oblężenie miasta. Ze strony naszej Kościuszko zostawił samemu sobie dowództwo skrzydła naprzeciw wojsku moskiewskiemu, Zajączkowi genełowi dał środek, a drugie skrzydło księciu Józefowi Poniatowskiemu. Przez cały przeciąg oblężenia nigdy

w dzień ani w nocy okopy nasze nie były bez mnóstwa ludu, widząc naczelnik że wieś Wola zasłaniała bardzo nieprzyjaciela, wypuszczanemi bombami spalił ją, że tylko kościół i sad pozostał, odtąd nieprzyjaciel mocniejsze szturmy zaczął przypuszczać i udało mu się jednej nocy pod Powązkami opanować baterye, które szwedzkiemi zdawna nazywano, że za wojen z Szwedami usypane, a teraz przez naszych poprawione były. Przybył tam natychmiast Kościuszko i za tę niepilność odebrał komendę księciu Poniatowskiemu, którą oddał generałowi Dąbrowskiemu. Już nic z tej strony nie zasłaniało miasta, prócz ciągłego wału pod domami, ale zasłoniła go gwardya o świcie piesza koronna, która pierwszy raz będąc w ogniu, okazała męstwo niewypowiedziane. Przechodząc przez wąskie ścieszki pod ogniem kartaczów i ręcznej strzelby nieprzyjacielskiej, uformowała linią, a lud także śmiały przyłączywszy się do gwardyi, przez dzień cały i noc następującą strzelał z ręcznej broni do nieprzyjaciela tak, że Prusacy cofnęli się na dawne miejsca ze stratą wielką, a co podobniejsza, że niechcąc gubić i swoich ludzi i miasta, jeżeliby szturmem odebrane było, które miasto według już porobionych układów gabinetowych (jak się wyżej rzekło) Prusakom dostać się mogło.

W tym właśnie czasie Skarszewski, biskup, przez sąd kryminalny na szubienicę skazanym został, a jako w rewolucyi exekucya natychmiast idzie po wyroku, wzięto też zaraz Skarszewskiego, pozdejmowano z niego ubiór biskupi w kościele farnym i już był na plac prowadzonym; gdy Platerowie o tem ostrzeżeni, pobiegli do obozu Kościuszki, któremu oznajmiwszy, o wyroku już wypadłym i o bliskiej exekucyi, za winowajcą prosili. Przybiegł zaraz adjutant naczelnika do miasta z uwolnieniem od śmierci Skarszewskiego, i szczęściem, zastał go jeszcze we drzwiach kościoła, wychodzącego do podjęcia śmierci.

Wtenczas dopiero Kołłątaj już nie pokrywał niechęci swojej ku naczelnikowi, powstawał głośno przeciwko jego (jak mówił) dyktaturze, ale takiem postępowaniem więcej sobie szkodził, niżeli tamtemu, a naj-

więcej dobru publicznemu, przez robienie partyi i wzajemnej nieufności. W czasach tych prawie umarł prymas i wieść powszechna głosiła, że był od brata króla otruty; król do takiej akcyi nigdy nie był podobny, ale okoliczności go może do tego przymusiły. Powiadano i to, iż korrespondencye prymasowskie z generałem moskiewskim szkodliwe dla Warszawy, były złapane, i żadnym sposobem niemógłby ujść śmierci i Kołłątaja i szubienicy, wolał tedy (co jest pewniejsza) wziąść sam truciznę, niżeli być powieszonym. To prawda, że choroba jego krótka i nagła była, a głowa i twarz cała niezmiernie po śmierci spuchły.

Tymczasem wojska moskiewskie i pruskie po więcej tygodniowem oblężeniu Warszawy, nacierpiawszy się głodu, w nocy odeszły, i widać było, którędy Moskale przechodzili ognie wsiów i dworów palących się.

Radość niezmierna panowała nazajutrz w mieście zwycięzkiem, wszyscy biegli widzieć pobojowisko i szańce nieprzyjacielskie, ale pod Powązkami znaleziono powietrze zarażone, a to z trupów nieprzyjacielskich, bez zasypania dobrze ziemią, na pół odkrytych leżących.

Wkrótce po odstąpieniu nieprzyjaciół, ruszyło się także zwolna i wojsko nasze, opatrzone dobrze we wszystkie potrzeby. W czasie tym uformowano nowy regiment żydowski, przez samychże żydów dowodzony, a naczelnik zrobiwszy plan ufortyfikowania miasta ze strony Pragi, wkrótce udał się za wojskiem. Upatrzyli wszyscy, otaczający naczelnika, iż w dniach ostatnich przed opuszczeniem miasta, był bardzo niekontent z czynności rady, przepowiadali niektórzy zły koniec dla Kołłątaja, jeżeliby Kościuszce wojna udała się, a to samo niechęciło lud ku rządowi, że rząd znajdował często opór exekucyi dekretów swoich.

Maciejowska bitwa Kościuszki z Moskalami odjęła wszelką nadzieję naszym: tam ranny i wzięty w niewolę Kościuszko, do Petersburga był odesłany; tymczasem w Warszawie niezaniedbano usilności wszelakiej do bronienia się, i Wawrzecki od rady najwyższej obrany był nowym naczelnikiem. Zgromadzały się do

miasta w małych oddziałach wojska nasze, ale i wojsko moskiewskie wkrótce pod Pragę przyciągnęło; naszemu, jako zamkniętemu w obozach, dowodził Zajączek jenerał, moskiewskiemu Suwarów. Nieprzyjaciele przez tydzień cały gotowali się do ataku, a szczupłość wojska naszego nie mogła dostatecznie opatrzyć wszystkich bateryj do bronienia się, kartaczów nawet i granatów nam niestawało. A co najgorsza, w porze jesiennej, zimno żołnierzowi źle ubranemu dokuczało, do czego i głód się przyłączył. Mieszkaniec Warszawy z trudnością i to w małej liczbie do okopów pragskich wychodził, a nawet u siebie zaniedbali dawnego porządku żołnierskiego. Rząd zaś pod Wawrzeckim słaby oprzeć się temu nie mógł, sam tylko regiment żydowski nie odstępował nigdy okopów i pilnie robił powinność swoją. Ale nie sami mieszczanie Warszawy opuścili się, kawalerya narodowa zgorszeniem była dla inszych swoją niedbałością o los ojczyzny, i wtenczas, kiedy widoczny upadek nasz już tak był bliski, nie na obronie ojczyzny, ale po teatrach i bilarach pełno ich było, na co wojenna władza, jak i cywilna oczy miała zamknięte. Suwarów tymczasem, który dowodził wojskom moskiewskim pod Pragą, spodziewając się długiej obrony naszych, zaczął się okopować pod Pragą. Tej robocie Moskalów mogliśmy przeszkodzić, ale nie chcieli; nareszcie poszedł nieprzyjaciel nocą pod baterye, litewskiem wojskiem osadzone, i wziął je bez wystrzału przed świtem, w półtory godziny pełna była Praga wojsk nieprzyjacielskich, mała liczba wojsk naszych i mieszkańców Pragi wymknąć się mogła, mniejsza w niewolę się dostała, największa zaś część, chociaż już bezbronna w pień wycięta. Już blisko połowa mostu z Pragi do Warszawy natkana była rozhukanem i pijanem wojskiem moskiewskiem, któremu pół godziny czasu potrzeba było, żeby do Warszawy wdarło się. Ale Wawrzecki stanąwszy sam z dwoma armatami na drugim końcu mostu wielu Moskalów trupem na moście położywszy, wreszcie tenże most od brzegu warszawskiego zapalić kazał; musieli się więc wstrzymać nieprzy-

jaciele i że im się to nie udało, tem bardziej wzięli się do rzezi bezbronnej Pragi.

Widząc Buxhewden, generał moskiewski i kilku jego kolegów, barbarzyńskie znęcanie się już nad bezbronnym i niedołężnym ludem Pragi nieszczęśliwej, jak kłuto i wycinano ludzi, już tylko o litość proszących, przyszli do komendanta swego Suwarowa, prosząc, ażeby rzezi poprzestać kazał.

Dzień ten, a bardziej noc następująca, okropna była dla Warszawy, pieniądze i srebro głęboko w piwnicach zakopywano, chociaż śmierci więcej jak życia każdy spodziewał się; większa część mieszkańców z miasta ustąpiła, nazajutrz z rana na kilku razem miejscach został zgromadzony lud przez trębaczów; czytano mu wzywanie rady najwyższej, ażeby bronić się nieprzyjacielowi; lecz nie widać było żadnej z strony ludu ochoty, ani kroków żadnych do bronienia się; kilka regimentów znużonych przybyłych z Pragi, po różnych ulicach miasta rozstawiono, król tymczasem wozy swoje pakować kazał, ale lud napełnił całe podwórze zamku i pilnował króla, aby nie wyjechał; lecz sprzykrzywszy sobie, zostawił nareszcie straż tę żydom samym.

W tym razie okropnym rada najwyższa już rozpuszczona po części, uznała potrzebę kapitulacyi z Moskalami. Ignacy Potocki z Burakowskim ofiarowali się płynąć na Pragę do Suwarowa. Podług więc kapitulacyi tej przyrzekają wszelką amnestyą i bezpieczeństwo obywatelom warszawskim, naprawiono natychmiast most spalony, mieszkańcy pozamykali wszystkie drzwi do domów, nikomu w oknie pokazać się nie wolno było, a tak Moskale weszli do Warszawy. Zaraz potem złożyć musieli mieszkańcy wszelką broń na ratuszu i odbierali znaczki, za któremi później tę broń oddano.

Miasto stało się wkrótce bardzo nieludne przez bojaźń prześladowania, a Kołłątaj w dzień wzięcia Pragi wymknął się z Warszawy, z której w późniejszym czasie podług układu trzech dworów wojska rosyjskie ustąpiły się, a pruskie i miasto i kordon swój objęły, po podziale reszty już Polski nieszczęśliwej.

Takeś upadła ojczyzno moja! i kiedy dzieci twoje w rozpaczy nad taką stratą zgon twój opłakiwały, sąsiad spuścizny po tobie rozbierał. Gdzieżeście się wtenczas zapodzieli, Zamojski, Żółkiewski, Chodkiewicza Czarniecki, kiedyśmy patrzyli na konającą ojczyznę naszą? „Fuimus Troes, fuit Ilium et ingens gloria Teucrorum! Ferus omnia Jupiter argos transtulit.“ Ale my to sami, myśmy największą byli przyczyną ojczyzny naszej upadku, przemożny magnat o sobie tylko myślił, ażeby w ostatnim nierządzie kraju, albo zabijał, albo cudze majątki bezkarnie zabierał, kiedy już się ojczyzna do zgonu nachyliła, żaden z nich do obrony matki nieszczęśliwej nie przyszedł; wy tylko ubożsi życia swego i majątku ofiarowaliście, a tamci nawet pensye od Moskwy i Prus brali, ażeby prędzej przez intrygi swoje ułatwić im rozebranie kraju naszego. My to sami uciemiężeniem największem poddaństwa, tych bliźnich naszych, zrobiliśmy się u nich nienawistnymi, że w nadziei lepszego nawet bytu swego radzi byli odmienić pana, i brani od nas do żołnierzy, niemając ojczyzny Polski za matkę swoją, zaraz z początku walki padając na ziemię, albo bić się nie chcieli, albo nawet do nieprzyjaciela przechodząc, siły jego zwiększali.

Blisko po upadku naszym polubił mnie blisko stojący kwaterą generał kozaków czarnomorskich Czepicha, który dawniej był koszowym czyli hetmanem kozaków siczowych, tak sławnych na Ukrainie napadaniem i rabowaniem wiosek polskich; ten mawiał mi, gdybyście byli wedle dawnego układu kozaków naszych, których było do 40,000 szanowali i którzy za grunta, jakie na Ukrainie posiadali, powinni byli w każdej potrzebie rzpltej na koń wsiadać i wspólnej ojczyzny bronić, a tak wy i my nie bylibyśmy od Moskwy zawojowani, ale pogardzony od was kozak, chłop skurwy syn nazywany, i chłopi i niechłopi poginęliśmy. Czepicha szczerze mię lubił, i raz widząc mnie smutnym, pytał się z niecierpliwością o przyczynę, a ja widząc u niego wiele oficerów moskiewskich, przypominałem sobie upadek ojczyzny mojej, i odpowiedziałem mu bez ogródki: jak mam być wesół, matkę moją, ojczy-

znę straciwszy! on na to rzekłszy: „ta masz Katarzynę za matkę:“ ja mu na to odpowiedziałem: „wiem panie generale, że może być wiele ojców, ale matka zawsze jedna tylko;“ po chwili wziął mnie starzec na bok i rzecze: „co gadać należy tylko w komorze, nie potrzeba gadać w soborze.“

Nareszcie jak we wszystkich dawniej upadłych narodach, tak i w Polsce między innemi przyczynami zbytki obywatela upadek ojczyzny przyspieszyły, stoły najwytworniejsze, ekwipaże i ubiory kosztowne, szukanie wygód jakie tylko znaleść można i rozpusta lubieżna do najwyższego stopnia posuniona, zniewieściła naród, i do trudów albo azardów wojennych zrobiła go niesposobnym. Ale i magnaci za swoją nieżyczliwość ojczyznie, insi swojego czekają końca, insi już w oczach naszych nagrodę wzięli. I tak książę Adam Poniński, podskarbi w. kor., który przed kilkunastą latami Polską trząsł całą, jak płatny od Moskwy posługi jej robiąc, po upadku kraju w ostatniej żył nędzy, że kieliszek wódki w szynkach warszawskich nie miał czem zapłacić, i wypiwszy, uciekał, potem nędznie na ulicy umarł. — Szczęsny Potocki z zgryzoty sumienia życia dokonał, i jeszcze od potomków za konfederacyą swoją targowicką, która początkiem zguby naszej była, będzie przeklinany, a inszych, jak się wspomniało, powieszono.

Czyliż znieść można, abym im niezłorzeczył, kiedy patrzyłem na to, jak swoją matkę te wyrodki dzieci zabijały. Wyłączyć należy małą bardzo liczbę z pomiędzy magnatów prawych dzieci ojczyzny mojej, a między niemi Pocieja, który osobiście walcząc za swoją ojczyznę, na pół umarły z placu bitwy do obozu przyniesiony.

Wyłączyć potrzeba i Karola Prozora, oboźnego lit., tego prawdziwego ojczyzny swej miłośnika, on jak się wyżej wspomniało, swoim trudem i kosztem Kościuszkę z zagranicy do kraju sprowadził, on potem na Wołyniu i w Mińskiem, wojska nasze do stałości w służbie narodowej, objeżdżając je, zagrzewał, że nareszcie Katarzyna łapać go wojskom swoim, naznaczając naj-

większe nagrody, ktoby go pojmał, nakazała. Już zewsząd otoczony, tułając się po lasach, bez nadziei ujścia rąk nieprzyjacielskich, przebrany po wieśniacku, zabrudziwszy twarz najpiękniejszą, (bo ja nie znałem mężczyzny przystojniejszego), przyszedł do kapitana, sprawnika tego powiatu, dawniej naszego, a już do Moskwy należącego, i dobrowolnie przyznał mu się, że był Prozorem, którego tak pilnie Moskale poszukują. Ten sprawnik był Polak zmoskalały, i kiedy mu rzekł Prozor: „Jeżeli czujesz jeszcze w sobie krew szlachecką Polaka, ratuj nieszczęśliwego Prozora.“ Wzruszony kapitan sprawnik ratunek obiecuje, i wiedząc o położeniu wojsk moskiewskich, bokami z nim wymknąć się zamyśla, a zrobiwszy Prozora woźnicą swoim, wyjeżdża z nim na wózku z pomiędzy miejsc niebezpiecznych. Miał pod siermięgą Prozor pistolety, ale wziął z sobą sprawnik i swoje, i kiedy w drodze Prozor niespokojny rzecze mu: „a to o ćwierć mili stojka jest kozaków na mnie czekających, może Wmść tak wielkiemi nagrodami ujęty zawiedziesz mię?“ a sprawnik odpowie na to: „oddaję wpanu moje pistolety, a jeżelibym tak zrobić chciał, zaraz mi w piersi z nich wypal.“

Szczęśliwie wyszedłszy z tego niebezpieczeństwa po ostatnim rozbiorze kraju, schronił się za granicę, i tam aż do śmierci Pawła imperatora żyjąc, że mu powrócić w Mińskie do żony i dzieci niewolno było, cały piękny majątek po ojcu wzięty stracił, tak na wydatki dla ojczyzny w czasie rewolucyi, jako po upadku na ratowanie za granicą tylu nieszczęśliwych zbiegłych tam Polaków. Kiedy tu w kraju tymczasem i żona jego mało dóbr swoich posażnych do 150 tysięcy intraty rocznej czyniących nie straciła, które Nieplujew, gubernator miński, już był na skarb monarszy skonfiskował, jako dobra należące do buntownika (tak oni nas nazywali) Prozora.

W tym ciężkim razie Prozorowa pojechała do Petersburga, a tam kiedy się imperatorowa Katarzyna dowiedziała, że ta nieszczęśliwa żona była z carów Szujskich, prostą linią pochodząca od Szujskiego ca-

ra, którego Żółkiewski hetman, do Warszawy więźniem przyprowadził, a potem Zygmunt, król nasz, dobra mu obszerne w Brzeskiem nadał, przez wzgląd na krew tak szlachetną, folwarki wszystkie Prozorowej z pod sekwestru wypuścić kazała. A Prozor sam dopiero na początku panowania Aleksandra, mając pozwolenie powrócenia do kraju, ucieszył żonę, dzieci i między tylu inszemi, mnie także, dawnego swego przyjaciela, od którego wzajemności doznając, resztę dni smutnych starości mojej cieszę. Ale jakże daleko odemnie bawi on teraz w domu swoim w Mozerskiem, będąc tam najlepszym jak i dawniej dla swoich wieśniaków panem, i gdyby tak przed upadkiem insi magnaci postępowali byli z biednymi poddanymi, nigdybyśmy do takiego końca nie przyszli, bo wieśniak, kochający pana swojego, kochałby i ojczyznę wspólną, i wspólnie był jej najszczerzej bronił.

Kiedy komu idzie na upadek, najniewinniejsze czasem okoliczności do zguby jego przyczyniają się. Jeszcze król Poniatowski stolnikiem tylko był litewskim, gdy w Petersburgu tego pięknego mężczyznę poznała imperatorowa Katarzyna II. Rozłączając się z nim, obiecała mu najprzód, że zapewne go królem polskim za pomocą wojsk swoich zrobi (czego u króla i dokazała), dała mu potem pierścień, któryby codziennie na palcu nosił, a tak o niej codziennie sobie przypominał. Układ prócz tego zrobili, ażeby, kiedy królem polskim zostanie, objeżdżając prowincye swoje co rok albo co dwa lata przynajmniej przyjeżdżał do Litwy, a ona przejeżdżać miała do Inflant, aby tak przez kilka niedziel bawić z sobą mogli.

Już Poniatowski był królem polskim, a poseł moskiewski w Warszawie mieszkający, jeden tylko był w sekrecie pierścienia, danego mu przez imperatorową, o którym sekrecie, że wie o nim, królowi powiadać zakazano, ażeby tylko uważał i donosił do Petersburga, czyli go król na palcu nosi.

Przypadek zdarzył, że jedna z pięknych pań warszawskich, a nieużyta dla lubieżnego króla, o sekrecie pierścionka tego dowiedziała się, i łatwiejszą potem

królowi pokazując się, byleby jej tego pierścionka codziennie na palcu noszonego odstąpił, zyskała go na nim zyskiem wzajemnym, i ten potem pierścień na znak tryumfu swego publicznie nosiła.

Postrzegłszy go u niej poseł moskiewski, zaraz o tem doniósł imperatorowej, i ta okoliczność z siebie niby tak drobna, wpływała do upadku Polski, bo imperatorowa, znienawidziwszy króla, dla tego wszystkiego złego z czasem i królestwu polskiemu narobiła.

Niżeli trzy mocarstwa rozebrały do reszty Polskę, którym rozbiorem Kraków dostał się cesarzowi niemieckiemu, Warszawa królowi pruskiemu, a Wilno z Litwą Moskalom; król do czasu mieszkał w Warszawie, straciwszy Polskę i nieładem obywatela i swojem niewieściuchostwem. Był w Warszawie, niżeli tam rząd pruski przyszedł, gubernatorem generał moskiewski Bukshewden, ten tak się przykładnie z obywatelami obchodził, iż mu wychodzącemu z tego już pruskiego kraju, obywatele kazali wybić medal na wieczną pamiątkę dobroci serca jego dla mieszkańców Warszawy. Takim był także, chociaż zkądinąd popędliwy książę Repnin, generał gubernator litewski.

Kiedy tak i naród i nadzieja powstania jego upadła, porozchodzili się waleczni nasi obywatele po świecie całym. Wielu ich mieszka dotychczas w Ameryce, Azya i Ameryka widziała ich walczących przy wojskach francuskich; największa zaś część żołnierza polskiego w poformowanych legionach do dwudziestu kilku tysięcy wynosząca, została w służbie francuskiej pod dowództwem generała Dąbrowskiego, i wsławili się w tej służbie walecznością prócz tego generała, Sułkowski, Kniaziewicz, Zajączek i wielu innych.

Ja w tych rozruchach w roku ostatniego upadku kraju, cały czas bawiłem w mojej kolonii w lesie przy wielkim gościńcu, kilku już wieśniaków mającej, czekałem śmierci albo przynajmniej spalenia, jak to oboje wielu obywatelów województwa brzeskiego, w którem i ja mieszkałem, trafiło. Tak między inszymi Maliszewski pod Kobryniem wieś i folwark swój utracił, wszystko mu pierwej co miał zrabowawszy; a potem i samego

pana w dom jego palący się Moskale rozhukani wrzucili. Czekałem i ja losu podobnego, ale Bóg tak chciał, ażebym tylko płakał nie ginął. Chociaż był przypadek, że ratując życie, uciekać ,z domu mojego musiałem, do którego nazajutrz nielitościwy wpadłszy nieprzyjaciel, wszystko, com wywieść niemógł, zabrał, bydło zaś jedno na użytek swój dwudniowy wyrznął, drugie zaś nagle wychodząc, pałaszami pokaleczył, że w kilku dniach wszystko zginęło.

Wkrótce po upadku Polski imperatorowa Katarzyna nam pod jej panowanie przypadłym, przysięgę wierności naznaczyła. Zjechaliśmy się podług nakazań do powiatu naszego Prużanny, gdzie przysłany był do słuchania nas przysięgi (jako i po wszystkich powiatach w jednymże dniu przysięga na wierność nakazana) półkownik moskiewski Żuków. Kilką godzinami przed przysięgą przyszedłem do tego pułkownika, znalazłem go najgrzeczniejszym dla wszystkich, a osobliwie dla mnie, że (jak on mówił) słyszał o mnie wiele dobrego. Sam mnie uczył, jak mam podczas przysięgi prawą rękę do góry wzniesioną trzymać, jak dwa ostatnie palce u tejże ręki zakrzywić, a trzy pierwsze trzymać wzniesione do góry, potem żebym głośno słowa dyktowanej mi przysięgi przez kapłana wymawiał. — Przyszedł czas przysięgi w cerkwi prużańskiej parochialnej. Tyłem obróceni do wielkiego ołtarza staliśmy obywatele, przed nami do nas zwrócony stał pułkownik Żuków, dla uważania przysięgi naszej. Ja prawą rękę podług nauki do góry wzniesioną trzymałem, ale słowa przysięgi cicho w mym smutku wymawiałem. Po tym obrządku dopełnionym zaproszeni byliśmy na obiad do pułkownika, gdzie mówił mi, iż uważał, żem nie głośno wymawiał słowa przysięgi. Odpowiedziałem mu, że to jest prawda, a czyniłem to umyślnie, z przyczyny, bo myślałem, że Pan Bóg śpi podczas naszej przysięgi, i żeby go nie obudzić, cicho wymawiałem przysięgę. Nietylko się o ten żart nie rozgniewał, ale nawet uśmiawszy się do sytości, odpowiedział: że może Bóg i spał i podczas naszej przysięgi. Kiedym się z nim po obiedzie żegnał, puścić mnie nie chciał, oświadcza-

jąc, że na jutrzejszych wyborach sędziów powiatowych miał się przyłożyć, żebym był wybrany prezesem sądów ziemskich prużańskich, z czego ledwom się mu wyprosił, chcąc żyć spokojnie, jak i dotychczas prywatnie żyję. W tymże dniu generał gubernator litewski książę Repnin, po wypełnionej przysiędze przez obywatelów, dawał bal wielki w Grodnie, na którym, chociaż sam lubił tańczyć, cały ten dzień wstrzymywał się od tańca, przejęty czuciem (jak sam potem powiadał) upadłego narodu polskiego, z imieniem nawet swojem. Ale nasi narodowce, najweselej ten dzień w tańcach jak gdyby za najlepszych czasów przepędzili. Toż samo w Wilnie, w tymże dniu generał komendant tamtejszy, bal dawał, i kiedy nasi krajowcy ochoczo mu tej wesołości dopomagali, jedna tylko obywatelka, piękna pani Gorecka, od tańca wstrzymała się. Przyszedł do niej generał, i widząc, że z nikim tańczyć nie chciała, prosi, ażeby jemu przynajmniej ten honor uczyniła, i z nim jeden taniec przetańczyła, ona wtenczas zalawszy się łzami, z szlochaniem rzecze mu: „Czegoż WPan chcesz, ażebym na pogrzebie mojej matki ojczyzny tańczyła.“ Zawstydzili się wszyscy obywatele, i tańce skończyły się. Nieszczęście to już narodu, kiedy między tańcami obywatelów, jedna tylko kobieta ojczyzny swojej żałowała.

Już książę Repnin, jako gubernator wojenny, mieszkając w Grodnie, rządził Litwą całą, dokąd i król nasz nieszczęśliwy, z Warszawy przeprowadzony. Pojechałem do niego zaraz i po opowiedzeniu się przez szambelana, w kilka minut przyjść mi do siebie pozwolił. Zastałem go samego, i obaczywszy mię, zalany obfitemi łzami, rzecze: „Błysnęło nam szczęście i jakże prędko zupełnie zniknęło.“ — Cieszyłem go jak mogłem, ale myśliłem, że i ty królu do tego nieszczęścia przyłożyłeś się. Puścić mię nie chciał więcej tygodnia z Grodna, gdzie wieczory z nim smutnie przepędzaliśmy. W tym czasie i z księciem Repninem przez podskarbinę litewską Dziakońską i szefa Stryjeńskiego poznałem się, który mię szczerze polubił, i wiele tego dowodów mi potem dawał; znał już od Dziakońskiej niektóre moje wiersze, a między innemi: „Ja, co nie-

szczęściami słynę, umiem przetrwać złą godzinę etc.;“ umiał na pamięć niektóre najtkliwsze strofy. Szef do tego Stryjeński, a mój doświadczony przyjaciel, wiele mu o mnie nagadał, że zawsze w Grodnie będąc, najlepiej od Repnina przyjmowany byłem. Króla wtenczas w Grodnie żegnając, kiedy mię jeszcze wstrzymywać chciał, wymówiłem się potrzebą wyjazdu do gospodarstwa w kolonii mojej zostawionego. „Albo masz kolonią (okrzyknie mnie) dajże jej imie Justyna.“ A ja mu na to: „I ta Justyna i Karpiński przy niej z głodu zdechnie bez pieniędzy.“ Król zamilkł, a ja wyjechałem do domu.

Kolonia bez łożenia pieniędzy niczem byłaby, ale więcej 30 tysięcy łożonych na trzebienie gruntów, zabudowania dworskie i wieśniacze zrobiły ją tem, czem jest teraz. I król niewiedział żem miał kolonią, bo w mnóstwie biorących przywileje, nieuważał pewnie król, kiedy i dla mnie przywilej podpisał. Dawano te grunta przywilejem dla dobra samychże królów napotem, że biorąc my tylko dzikie zarośla po latach 50 dzierżawy, król każdą kolonię na skarb swój odbierać miał podług przywileju, bez żadnej za wszystkie wydatki nasze nagrody; a to z większym pożytkiem przyszłych królów być miało, niżeli uprzywilejowanych natenczas kolonistów, że bez żadnego kosztu ze skarbu łożonego, osiadłe wioski jak i moja od 20 wieśniaków odbierać mieli.

Bywałem potem częściej w Grodnie, tak dla króla, tam mieszkającego, jako i dla księcia Repnina, który lubiąc mię, prosił w poufałości, żebym i dla niego też co napisał. Obiecywać musiałem, alem myślił, że mi ciężko będzie obietnicy dotrzymać. Po dwóch leciech, kiedy ten książę był na polowaniu w puszczy białowiejskiej, w której i ja mieszkałem, przyjechałem do niego; wtenczas, kiedy mi przypomniał niedotrzymaną obietnicę moją napisania dla niego wierszów, ja mu odpowiedziałem: „Cóż mam pisać, mości książę? po upadku ojczyzny mojej jestem smutnym, a smutny piszące nikogo zabawić nie może.“ On mi na to rzecze: „Napisz mi i smutno, bylebyś napisał.“ A wtenczas

napisane odemnie wiersze, pod tytułem do księcia Mikołaja Repnina, które potem wszyscy je czytający, zanadto śmiałemi uznawali, a sam Repnin, kiedy mu je posłałem do Petersburga, w liście swoim do mnie to umieszcza: „iż widać to w moich wierszach, że go miałem za prawdziwego przyjaciela, kiedy mu takie wiersze pod surowym rządem rosyjskim posyłałem.“

Ten opryskliwy i w zapale czasem nieumiarkowany książę, był w gruncie serca poczciwym człowiekiem. Kiedy raz z wzruszeniem powiadał mi o jakimś w Litwie Wołku, który memoryał mu podał na swoją matkę, jakoby ona ojca jego, a męża swego struła; tym sposobem żądając zbycia się matki przez kata, ażeby niemając nic po ojcu, jej majątek zabrać mógł, który matka jego, uchylając złego syna swego od sukcessyi, przyszłemu małżonkowi swemu zapisać chciała; Repnin to mi powiadając, zapłakał nad tym wyrodnym synem, dodając: „ojciec bywa naszym nieprawdziwym ojcem, ale matka zawsze matką.“

Kiedy szef Stryjeński polecał łaskom jego niektórych dawnych swoich gwardyi litewskiej, a ubogich oficerów, widziałem sam list odpisujący Stryjeńskiemu od Repnina, jegoż ręką pisany, w którym żali się, że świadcząc co tym nieszczęśliwym, jakby żądał, poburzyłby czuwającego na siebie Zubowa faworyta imperatorowej, któryby zaraz oskarżył go, że wspomaga oficerów, buntowników przeciw Rosyi, i w tym liście skropionym (jak widzieć można było łzami) dodaje: „Te łzy, które pisząc ten list wylewam, świadczyć będą, że szczerze piszę.“

Kiedy Miączyński, ów kiedyś poseł na sejmie sywersowskim, sławny braniem pensyi od Prus i Moskwy, a tem samem, zdrajca ojczyzny swojej, przejeżdżał do Petersburga przez Grodno, chcąc się widzieć na krótko z księciem gubernatorem, stanął pocztą na dziedzińcu Horodniey w Grodnie, gdzie mieszkał książę. Byłem wtenczas na pokojach, napełnionych gośćmi u Repnina, kiedy tamże wszedł ten pyszny zdrajca i przez księcia Cycianowa vice-gubernatora prosił, że jadąc do Petersburga, chciałby tylko bez żadnego interesu cześć win-

ną oddać księciu Repninowi. Poszedł Ciciamów do księcia u drzwi w gabinecie będącego i zaraz powiedział Miączyńskiemu, że książę gubernator bardzo teraz zabawny. Czeka Miączyński na pokojach około godziny, i znowu prosi tegoż Cycianowa, ażeby mógł na moment widzieć księcia gubernatora. Poszedł znowu Cycianów i zaraz Repnin pokazał się, a kiedy do niego z komplementem przygotowanym bieży Miączyński, książę go uprzedzając, z zapałem rzecze: „Czego ty chcesz odemnie, ja z tobą żadnego czynu niemam.“ Wyszedł z pokojów zawstydzony Miączyński, a my obywatele tą ohydą zdrajcy pocieszeni byliśmy, że jak dawno powiadają: „Zdrada zawsze od przeciwnej strony lubiona, ale zdrajca pogardzonym bywa.“ — Lubił mię także i ten poczciwy Georgianin książę Cycianów, z którym raz o upadku ojczyzny mojej rozgadawszy się, kiedy mię badał, coby było przyczyną tej ostatniej zguby naszej, odpowiedziałem mu: „Przyczyna cała, że u was w Rosyi kobieta królem, u nas w Polsce król kobietą.“

Po niejakim czasie książe Repnin z woli swojej monarchini, żądał od króla naszego autentycznej na piśmie tronu polskiego rezygnacyi. To żądanie (jak powiadano) było razem i inszych dwóch dworów, z Moskwą rozbierających do reszty Polskę. Ten krok ich ostatni zdaje się, że nie był potrzebnym w narodzie wolnym i wolno sobie obierającym króla, bo tę abdykacyę raczej naród robićby powinien, któremu zawsze niemając króla dziedzicznego, wolno było mieć króla, albo go niemieć.

Wkrótce potem imperatorowa, Katarzyna II, ta prawdziwa Semiramis północna, umarła. Odłóżmy na bok niesprawiedliwości przez nią Polsce wyrządzone. Ale rząd za jej panowania mocny, jej samej wiadomość największa politycznych interesów Europy, stałość w utrzymywaniu układów swoich rzadka, powodowanie senatem i ministrami, dla dobra kraju szczególne, będą w potomności w dziejach rosyjskich sławić tę monarchinię. Miała przyczynę, wystawiając jeden z najpiękniejszych w Europie posąg Piotrowi Wielkiemu, im-

peratorowi, napisać pod nim, uchyliwszy wiele podpisów, które jej podawano, także przez siebie samą zrobiony: „Piotrowi I, Katarzyna II.“ — Bo prawdziwie tyle, albo więcej jak tamten zrobiła w Rosyi, ucywilizowaniem jak można było narodu, podbiciem tylu krajów, jakoto Polski, Krymu, Tartaryi oczakowskiej, i co Piotr pochylił się był z Turczynem w wojnie nad Prutem, Katarzyna przez swoich generałów przeszła za Dunaj i zatrzęsła tronem carogrodzkim, nawet gdyby jej pozwoliła była Europa, pewnieby go obaliła. — Cóż mówić o tylu funduszach w Petersburgu i w państwie dobroczynnych, o jej miłości, którą sobie zjednać umiała u ludzi i wojska? O jej przytomności w poradzeniu sobie w przypadkach.

Rzecz mała, ale oświeci dobrze, jaka była jej przytomność umysłu we wszystkiem. Przechodząc się raz po ogrodzie w Petersburgu z małemi wnukami swemi Aleksandrem i Konstantym, starszy, a teraz panujący Alexander, dziecko natenczas, napierał się u babki, ażeby przeszedł na drugą stronę rowu jakiegoś błotnistego i zielskiem zarosłego; przekładała mu imperatorowa, że rów był tak błotnisty i nie łatwy do przejścia, iż zaś koniecznie przejść go chciał; pozwala babka, i gdy w błocie lgnąć zaczął, nazad się wracać żąda, ale Katarzyna gwałtem go na drugą stronę przeprowadzić każe, i znowu nazad z nim przez toż błoto przeprowadzającym powracać. Dopiero zwalanemu wyżej pasa i płaczącemu chłopcu rzecze: „Ty na to urodziłeś się, ażebyś kiedy rządził narodem, roztrząsaj tedy wszystko co robić masz, a raz postanowiwszy, choćby z ostatnim azardem wykonywaj, albo rady dobrze radzących słuchaj.“ — Podobna była prócz innych przytomność jej kiedy senat już potwierdzić miał komuś dawniejsze jakieś pismo, które wiele zysku z cudzą szkodą dawało składającemu go przed sądem, ale które było w porozumieniu, za zmyślone. Katarzyna kazała sobie ten papier podać, i przeciwko okna go rozwinąwszy, znalazła (jak często w papierniach to robili) rok którego był ten papier robiony wyrażony, a rok daleko późniejszy od daty skryptu wspomnionego.

Po śmierci Katarzyny wstąpił na tron syn jej Paweł, najbardziej lubiący sprawiedliwość, ale razem w najwyższym stopniu zapalający się, że aż do okrucieństwa przychodził. Za jego krótkiego panowania, żołnierz od dawnej swywoli wstrzymany, kradzież skarbu poskromiona i bojaźń jedna wszystkie stany państwa utrzymywała. I tak prawdy niemające doniesienie, od niego słuchane było, i mniemany winowajca karany. Tak obcy człowiek Kotzebue, tak i inni poszli na Syberyą. Kiedy tylu naszych, albo rosyjskich po przed moją karczmą wieziono na Syberyą, ja ile razy feldjegier imperatorski z telegą próżną (jak zwyczajnie po kryminalistów jeżdżą) przed moją karczmą stanął, myśliłem strwożony, że może to po mnie przyjechano, bo chociaż czułem się niewinnym, ale zły człowiek mógł niesprawiedliwie nagadać co w Wilnie albo w Petersburgu, zkąd bywali donosiciele, a tych zaraz usłuchano, i obwinionego na Syberją posyłano.

Jaki zaś był Paweł, powiadał mi książę Alexander Lubomirski, znany dobrze imperatorowi, że przez kilka lat corocznie jeździł do Petersburga po pieniądze za sprzedane dobra swoje na Ukrainie skarbowi rosyjskiemu. Miał on synowca swego Lubomirskiego, młodego człowieka, w pułku porucznikiem. Kiedy kolej przyszla na ten pułk robić przed imperatorem exercerunek nad rzeką Newą, na co zwyczajnie tłumy ludu dla patrzenia schodziły się, gdzie też był i Alexander Lubomirski między inszymi. Gdy młody porucznik Lubomirski wyżej czy niżej jak należało spontonem coś zrobił, rozgniewany Paweł bieży ku niemu i trzciną trzy razy w twarz go uderza, aż do przecięcia skóry. Porucznik skrwawiony rzuca sponton, i bieży w rozpaczy topić się w Newie, ale na okrzyknienie imperatora złapany już przy brzegach rzeki, przyprowadzony przed niego, w toż samo zranione miejsce na twarzy, trzy razy jeszcze był uderzony. Powiadają, że z pobudki sprawiedliwości i wspaniałomyślności, chciał powrócić exystencyą Polsce, i gdyby był pół roku dłużej pożył, pewnie to nastąpić miało, poczem tron synowi Alexandrowi teraz panującemu, zostawił.

Książę Repnin od imperatora Pawła wysłany był posłem do króla pruskiego do Berlina, ażeby go namawiał do ligi z Moskwą przeciwko Francuzom. Ten książę równie dumny, jak bywał za Katarzyny, która trzęsła Europą, nie mogąc długo nakłonić króla, rzekł mu nakoniec niecierpliwy: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!“ — Co tak obraziło króla pruskiego, że w głos przy inszych ministrach powiedział: „Jestem udzielnym królem i nikt mi prawa pisać nie będzie, pamiętaj książę, że to Berlin nie Warszawa ani Teszyn, żebyś z takiemi tonami gadał.“

Doniósł o tem król imperatorowi, że dla tonów Repnina co tylko był posłem prostym, tem bardziej jeszcze swojej neutralności nie odstąpi.

Tenże książę bawiąc w Berlinie, gdzie natenczas i posłowie rzeczypospolitej francuzkiej, na których czele był Syés, znajdowali się, którzy przepisanym dla swoich posłów sposobem po starorzymsku w paludimentach prezentowali się, ni przed kim czapki wolności, chyba przed samym królem, na pokojach przytomnym nie zdejmując. Obrażony tym ich postępkiem dumny Repnin, Syesowi publicznie powiedział, że ten strój jego był prawdziwie teatralnym, a Syés mu na to odpowie: „a twój ten mundur prawdziwie niewolniczym.“ Odwołany Repnin do Petersburga, popadł w niełaskę Pawła, odebrana mu gubernia litewska i prywatnie w domu swoim życia potem dokonał.

Ku końcowi rządów Repnina w Litwie, król nasz za rozkazem Pawła z Grodna przeprowadzony do Petersburga, gdzie wystawnie kosztem imperatorskim żyjąc, był tak nierozmyślny, że do cudzej już Warszawy po mąkę pszenną marymoncką kilka bryk posłał z Petersburga, jak gdyby się urągał żywiącym go Moskalom, że mąki dobrej nie mają. Ale nie jadł już z tej mąki, bo kiedy mąka dopiero do Grodna przyszła, on życia nieszczęśliwego dokonał w Petersburgu, i Paweł imperator pogrzeb mu najwspanialszy wyprawił. Leżał na bogatym katafalku z koroną na głowie w ogromnej sali, gdzie trupa przez dwa dni odwiedzał Paweł, chodząc do sali, w której leżał, z mnogą świtą. Najpier-

wej wszedłszy, przy drzwiach nisko trupowi ukłonił się, bliżej katafalku przyszedłszy, kłaniał się jeszcze niżej, a przy samym trupie, ledwie ziemi, kłaniając się, czołem nie dotykał, co wszyscy, przy nim będący, robić także musieli, a to w celu, (jak mi potem jenerał rosyjski Kamiński, przytomny tej scenie, powiadał,) że jeżeli trupowi królowi, takie uszanowanie sam imperator czynił, jakże żywych monarchów ludzie szanować mają?

Na miejsce Repnina gubernatorem cywilnym grodzińskim był Dymitr Koszelów, gubernator przeszły tobolski, wsławiony pochwałami za Pawła, na Syberyi wówczas będąc, a bardziej jeszcze głośny najłagodniejszym swym rządem w gubernii grodzieńskiej. Ze słodyczą wspomnieć, z jakiem ten człowiek był przywiązaniem dla Polaków. Po Litwie, po Wołyniu szukał Koszelewskich, ażeby on Koszelow do nich należeć mógł i najmilsze mu zawsze było bawienie z nami Polakami. Wiedziano o tem w Petersburgu i to było przyczyną, że go z grodzieńskiej na tambowską w starej Rosyi przeniesiono gubernią. On mię nazywał swoim bratczykiem, a ja temu cnotliwemu człowiekowi oddając książkę mego Platona, drukowanego, natenczas w Grodnie, oddałem mu razem i wiersze osobne, jak wart był, na pochwałę jego drukowane. Jemuż, tak cnotliwemu gubernatorowi Litwy, podałem był na piśmie projekt zbierania dobrowolnych składek w każdym powiecie, z których zebrana suma, lokowana być miała na pewnych dobrach, a od niej coroczny procent miał być corocznie oddawany na posag dwojgu najuboższym, a razem mającym od powiatu zaświadczenie najcnotliwszym nowożeńcom; niewyłączając od tej czynności dzieci nawet najuboższych wieśniaków, ażeby tym sposobem zachęcać lud ubogi do życia cnotliwego; ja sam 100 dukatów ofiarowałem na tę składkę i ofiarując się chwestować w mym powiecie, spodziewałem się do 2000 dukatów sumę przyzbierać. Przyjął ten projekt Koszelow z największem ukontentowaniem, ale go wypełnić niemiał czasu, bo w ćwierć roku odebrana mu tutejsza gubernia i wyjechał z Litwy.

Na końcu życia Katarzyny, zaczął słynąć dziełami wojennemi Napoleon Bonaparte, potem cesarz Francuzów. Ten prócz inszych dzieł dawniejszych podczas anarchii republikanckiej, dyrektoryatu francuzkiego, wysłany był do Egiptu, który to kraj w Afryce wkrótce zawojowawszy, przeniósł się potem do Azyi, i tam dzielnie Turkom opierając się, dowiedziawszy się o nieszczęściach bezrządnej wtenczas Francyi, z największem niebezpieczeństwem swojem, otoczony zewsząd nieprzyjaznemi flotami Anglii, przebył morza i szczęśliwie na małej galerze stanął w porcie francuzkim Frejus. Wkrótce potem pierwszym konsulem obrany, rzadką przewagą z kilkudziesiąt tysiącami nowo zebranego żołnierza, przedarł się z tem wojskiem i armatami przez śniegiem od wieków zasypane góry alpejskie i niespodziewany stanął przeciwko Melasowi, generałowi komenderującemu wojskami austryackiemi we Włoszech. Bitwa pod Marengo, którą zupełnie wygrali Francuzi, stanowiła o losie Europy, i mocarstwa upokorzone, do traktatu w Amiens przystąpiły.

Ale Anglia, chociaż do tego traktatu pisała się, niespokojna z przemocy w Europie Francuzów, o nowej burzy skrycie rozmyśla, a potem pieniędzmi swemi głośną robi koalicyę, cesarza niemieckiego i Rosyą ogromnemi na zapłacenie ich wojska, któreby tylko dać mogli, opatrując sumami. Do tej koalicyi król pruski przystąpić nie chciał, i powiadają, że strasząc Anglików, prędzej by się złączył z Francuzami, niżeli z koalicyą. Anglia bojąc się tego, tyle mu dała pieniędzy na neutralność, ile tamtym dwom mocarstwom na utrzymanie wojsk ich.

Tymczasem Francuzi sprzykrzywszy sobie 15-letni republikancki nierząd, Napoleona Bonapartego cesarzem swoim obierają; sprowadzony z Rzymu papież, sam go w Paryżu koronował, w którym dniu całym pochmurnym w czasie wyrzeczenia słów przysięgi w kościele przez Napoleona, słońce się pokazało i znowu zaraz chmura go skryła. Lud z tego zdarzenia pomyślność narodowi wróżył, a więcej jeszcze, kiedy balon w dzień koronacyi z wypisem tej uroczystości na powietrze wy-

puszczony, burzą porwany, nazajutrz (jak się potem pokazało) niedaleko Rzymu znaleziony, sądziło powszechnie pospólstwo francuskie, że sam Bóg o ich szczęśliwości stolicy chrześciaństwa Rzymowi donosił.

Wkrótce potem Napoleon i królem włoskim w Medyolanie koronowany, na wojnę przeciwko cesarzowi austryackiemu, złączonemu z rosyjskim, wyciągnął, i zabrawszy Ulm a potem Wiedeń, stolicę cesarzów, stanął pod Austerlitz, a po dawnemu Szlaków nazwanem w Morawii, gdzie jeden cesarz ta szabla Boża Bonaparte, dwóch przeciwko sobie przywodzących osobiście cesarzów pokonał. Austryacki pokorą ujął zwycięzcę, że mało co straciwszy, pokój otrzymał; moskiewski do domu zresztą niedobitków powrócił.

Dopiero król pruski zaufany w dawnej chwale wojsk swoich, złączywszy się z Rosyą, angielskiemi pieniędzmi wsparty, koalicyą Niemiec północnych robi, czarny manifest po gazetach europejskich przeciwko Napoleonowi ogłasza, i wkrótce zacząwszy wojnę z Francuzami, którym cesarz ich przywodził, decydującą batalią pod Jeną upada. Kraj mu cały opanowawszy i wszedłszy w kordon jego, od Polaków odebrany, narodowców naszych Polaków do zbierania się przeciwko Moskwie Napoleon zagrzewa, czyniąc im nadzieję przywrócenia zgubionej ich ojczyzny. Kilkadziesiąt tysięcy naszych złączonych z Francuzami, walczyli trzy ćwierci roku przeciwko Moskwie, i chociaż ostatnią decydującą batalię wygrał Napoleon, przecież traktat z Rosyą w Tylży zrobiony, część jeszcze dawnego kordonu pruskiego do Moskwy przyłączył, a Polacy przy reszcie tylko dawnego kordonu pruskiego, księstwem warszawskiem nazwani, pod panowanie króla saskiego dostali się.

Od upadku Polski w r. 1795, spokojnie siedząc w kolonii mojej, która z ostepu, dawniej Kraśnik nazywanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawiałem rolę zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mego, przemysłowi mojemu zostawiony. Mógłem mieszkać gdzie w mieście jakiem i żyć z procentu 2000 dukatów, które miałem natenczas, ale zna-

jąc cokolwiek świata wielkiego, że ledwie na nim dziesiąta część ludzi znajduje się, z któremiby niecierpliwemu żyć można było, żeby się z niemiłemi mi ustawicznie nie zdybywać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób odgrodzenia się od złego człowieka, żeby mię nie nadszędł? Przydać do tego należy, że kiedy mojej ojczyzny w zgromadzeniach między ludzmi nie zobaczę, cóż mię tam rozerwać i zabawić może? Ta myśl zemną do stołu siada, z tą spać się kładę. Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad i dwie na wieczerzą, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając, miewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie miał. Jeden importun, że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mię kilka godzin gadaniem bez związku żadnego nie nudził. Ani, u sąsiadów moich będąc, więcej nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodal trochę odemnie jesteś przyjacielu Stryjeński i coś jeszcze jest, co mię czasem od domu twojego odstręcza, a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordónie mieszkający i więcej stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam. Tu w powiatach okolicznych jakże już wiele nabiegałem się a przyjaciela znaleść nie mogę. Miałem go niby kiedy on był nieszczęśliwym po upadku ojczyzny, bawiłem go w smutku, ratowałem trochę pieniędzmi i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potem zapomożony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojej się uciekł przyjaźni, ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały niedbać o niego potem. Inszy magnat, niby z powodu przyjaźni dla mnie, ofiarował mi 3000 dukatów, bylebym przy nim do śmierci mieszkał, podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym do śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie

w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz, otóż przez wdzięczność bez żadnej pretensyi, zwłaszcza niedaleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę.“ Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas u niego trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaliśmy się z sobą i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnej nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać.“ Ja mu zaś na to: „Tak jest mój panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które, gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazała by mi zawsze powtarzać, tak jest panie dobrodzieju.“

Inszy magnat, otoczony równymi jak sam magnatami na bogatej gali, z samymi tylko orderowymi rozmawiał a na uboższych ani oka zwrócić nie chciał. — Zacząłem coś mówić do niego, nie tylko mi nieodpowiedział, ale nawet z jakąś pogardą ręką kiwnął, żebym się z niemi nie mieszał. Wtenczas ja wzruszony pogardą mnie okazaną, rzeknę mu, do jego tylko pychy stosownie: „Wy magnaci zawsze szczęśliwsi jesteście od nas ubogiej szlachty, bo jak dawniej tak i teraz pod rządem rosyjskim wy we wszystkiem macie preferencyą.“ Na to niespodziewane zagadnienie z pychą spyta mnie magnat: W czemże to takiem mamy preferencyą? „Oto (odpowiedziałem) zaraz po upadku Polski wy najpierwsi magnaci, pięścią w pyski braliście, a potem niektórych z naszych ubogich policzkowano.“ Mówiłem to śmiało, bo blisko siedział i słuchał generał rosyjski, lubiący mnie, i w tym powiecie komendę mający, który wkrótce mnie jeszcze pochwalił, mówiąc: „Dobrześ mu powiedział, bo dumny durak.“ Magnat zaś zrobił się dla mnie potem najgrzeczniejszym.

Do inszego magnata w inszym zgromadzeniu, tony sobie dającego, rzekłem: „A pan też podatek wypłacił imperatorowi? On rzekł: „skądżeto? wypłaciłem.“

A ja mu na to: i ja wypłaciłem, i tak chociaż już nie mam ojczyzny mojej, przynajmniej nie znęcają się nademną jak dawniej w anarchii polskiej wielkomożni, i mogę im prawdę powiedzieć bez bojaźni zemsty ich. Insi moi to niby w okolicach tutejszych przyjaciele, przyszédłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzeczni jak dawniej, ale mię już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi! myśleli że urząd robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy, że pokorną cnotą najwyżej się podniesiemy. Insi zabierali przyjaźń zemną, żeby co zyskać, a widząc, że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoim przyjacielem, co mię jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcej, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jedynym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich, pod tytułem: „Żale Sarmaty," jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd nie pisania, tak dotąd żadnych nie pisałem.

Ta magnatka najwięcej mnie w oczy chwaliła i najgrzeczniejsze do mnie pisała listy, a pieniędzy moich od lat kilkunastu odebrać od niej nie mogłem, i jeszcze mnie w wypłacaniu procentu krzywdziła. Insza pyszna nad miarę, ulegać sobie we wszystkiem żąda i najmniejsze jej sprzeciwienie się, uchybieniem nazywa, chce niby przyjaźni mojej, ale boi się, czy się tem nie poniży, że się moją nazwie przyjaciołką. Insza mając nadzieję za lat moich młodszych, że z nią zawrę ślub sumienny, kiedym odpowiedział, że to zrobić może i z swoim lokajem, a ja nie będę mężem żony, która się imienia mego wstydzić ma. Odtąd najzimniej ze mną, chociaż najgrzeczniej postępowała. Insza gromiąc służących swoich, świadczyła się mną przytomnym: „wszak prawda (rzecze) że samo Pismo święte panów bogami ziemskiemi nazywa." Tak jest (odpowiedziałem), ale to bydło wtenczas, kiedy bałwany adorowano na ziemi." Insza nakoniec, żem na jej

faworyta pochwały od niej dawane, milczał, straciłem łaskę, ale cóż z tem czynić, kiedy faworyt wart był szubienicy! Nie wspominam tu żadnego z magnatów ani z magnatek po imieniu, mogą się oni poprawić — a ja nie jestem bez grzechu.

Po Repninie i Koszelewie, Moskalach, którzy mnie lubili, policzyć trzeba trzech Georgianów, w wojsku moskiewskiem służących: generała księcia Bagrationa, księcia Cycyanowa i pułkownika Jakowlewa. Znałém dobrze tych trzech ludzi, że wszyscy serce najlepsze i szczerość rzadką mieli. Bagration konsystujący z pułkiem swoim o 2 mile odemnie, tak mnie był ukochał, że mię duszą swoją i największym przyjacielem nazywał, był rozrzutny i byle co pieniędzy zebrał, zaraz bal dawał. Nie mogłem go od tej skłonności odwieść, wszelako wychodząc na wojnę przeciwko Francuzom za Pawła imperatora, obiecał mnie i Sicheniowi staroście, że byleby co pieniędzy na tej wojnie zebrał, nam wspólnym przyjaciołom do rąk oddać miał, ażebyśmy mu za nią wioskę jaką, niedaleko od nas kupili, gdzieby z nami podziękowawszy za służbę wojskową, do śmierci mieszkał. Sprawił się dzielnie na tej wojnie, i Paweł imperator jeszcze będącemu w Niemczech, 25 tysięcy rubli z kasy wojskowej wyliczyć kazał. My o tem dowiedziawszy się, już z Sicheniem gotujemy się na kupienie mu wioski jakiej, ale w pół roku powróciwszy z wojny, nic już pieniędzy u niego nie zastaliśmy, bo tamte (jak mówił) w Pradze na trzy bale wyekspensował.

Kiedy po powrocie swoim stał Bagration w Wołkowsku, znalazłem tam u niego kałmuka, wziętego od kozaków Dońców, a dla osobliwszego składu twarzy, tego człowieka na sługę pokojowego obrócono. Mówił ten kałmuk dobrze językiem mało-rosyjskim, który ja dosyć rozumiem i rozmówić się nim mogę. Pytałem go czy ma żonę, odpowiedział, że i córki; kiedym go zagadał, że tam żona jego za Wołgą zostawiona, pewnie mu niewierna, on mnie rzecze: „Czy żona, czy córki moje, kiedy kogo lubią, za cóż mu nie mają dobrze uczynić, ale gdyby kto gwałtem łaski

się u niego napierał, ja (gdybym był przytomny) albo i one same życie mu odebrać mogą.“ Dowiedziawszy się od niego, że nie jest chrześcianinem, pytałem jak ich naród wierzy o duszy ludzkiej? Powiedział, że nieśmiertelna, i trupa człowieka, który żył niegodziwie, rzucamy (mówił) w wodę, albo psom na pożarcie dajemy, cnotliwego zaś pogrzebem czcimy. Prosił potem mnie najusilniej, żebym za nim prosił księcia Bagrationa, ażebym go uwolnił od służby, chociaż zyskownej i wygodnej, bo wołałby nad wszystko powrócić do swoich nad Wołgę. Cóż cię tam tak nęci zapytałem? A on mi na to: „Tabun, trawa, Wołga, aksny, ryba,“ to jest, że nad pastwiska i stada, lepszej zabawy niema, nad wodę z Wołgi lepszej wody nigdzie nie pije, i nad rybę tamże poławiającą się, aksny nazwaną, smaczniejszego nie zna pożywienia. Takto, choćby gdzie nam najlepiej było, w ojczyznie swojej zawsze najmilej. Alem kiedy go pytał, jak się Bóg w ich języku kałmuckim nazywa, padł na kolana i złożywszy ręce nad głową, powiedział: -wiem o jego u nas nazwisku, ale przez największe tego świętego imienia uszanowanie, nigdy go nikt z nas nie wymówił, chyba wtenczas, kiedy kogo młodego z krajowców naszych, przez obowiązek sumienia nauczyć imienia tego potrzeba było. Toż samo i żydzi tego słowa Jehowa, które znaczy Boga najwyższego, w hebrajskim nigdy niewymawiają, tylko przeczytawszy go w księgach swoich, myślą i schyleniem się szanują; a my, nibyto oświeceni chrześcianie, w naszych żartach, rozrywkach, Dalibóg, jak Boga kocham, przysięgam Bogu w potocznych dyskursach naszych zażywamy, a często i fałszów jeszcze naszych wezwaniem imienia Boga popieramy. Co się tycze żydów, że tego imienia Bożego Jehowa niewymieniają, następujące zapytanie po hebrajsku żyda jakiegokolwiek, każdy pod zakonem odpowiedzieć obowiązany: pytam go zaś z twarzą serjo, Judo to? on koniecznie odpowie kendybardo. Pytam dalej, bamajdo? on odpowie bamilo. Tak przez zakon twój, za kwitnącego jeszcze królestwa żydowskiego obowiązani byli witać się z sobą żydzi, zdybawszy się, tak i teraz muszą

odpowiedzieć, ale ze wstydem widząc się upodlonymi na ziemi; a najlepiej we Lwowie, faktor mój, żyd żartobliwy, kiedym go zapytał? judah? odpowiedział, parchato.

Jak się wyżej rzekło, że rok bawiąc przy książęciu Dominiku Radziwille, dziecku natenczas w Zabłudowie, dla formowania jego obyczajów, 1000 dukatów corocznie kontraktem mi od opiekuna obiecanych, za rok ten jeden nieodebrałem, mimo tyle listów moich do nowego opiekuna księcia Michała Radziwiłła, wojewody Wileńskiego pisanych, pieniędzy moich przez lat 13 nieodebrałem, bo on (jak wszyscy wiedzą) o swoich tylko, nie o małoletniego myślał intratach. W tak długim czasie nieodbierania tej sumy, mawiałem, Boże! odbierz te pieniądze, a będziesz miał za nie kościołek sobie wymurowany w mojej kolonii.

Po wyjściu z opieki małoletniego Radziwiłła, zaraz pojechawszy do niego do Nieświeża, nazajutrz pieniądze mi zupełnie oddane były. Ale pierwej oddałem mu niby memoryalik, w którym krótko wyraziwszy interes długu mojego, takim go kończę apollogiem: „Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor w leciech podeszły, prowadził go za rękę, ażeby ani po górzystych miejscach chodząc, upadłszy, nie szwankował, ani po dołach w błocie się nie zwalał. Przyszedł czas, że Polidor zestarzawszy się, spokojnie już w chacie swojej siedział, wtenczas przyszedł do niego Altamor i rzecze: Tyś mię prowadził w dzieciństwie mojem, ja przyszedłem cię w starości twojej ratować, kładę przytobie chleb, byś wygodniej starość twoją przepędzał. Bóg wtedy spojrzał z nieba na ten piękny wdzięcznojści przykład, i ponieważ Altamor nie miał już ojca ani matki, do niebian swoich rzecze: Ja temu cnotliwemu młodzianowi stanę odtąd za ojca i matkę. W. Ks. Mość jesteś Altamor, a ja Polidor, który interes mój względem jego polecam“. Oddawszy mi książę pieniądze, nie chciał mię jeszcze przez tydzień z Nieświeża swojego wypuścić, gdzie stojąc u Dominikanów, którzy tam mają nauki dla swojej młodzieży teologiczne, takie Ojcom teologom z prawdziwego zdarzenia zada-

łem pytanie: Dziakowski młody litwin, z siedmiu swemi równie młodemi kolegami, edukował się w Królewcu na księdza kalwińskiego, był to młodzian najcnotliwszy i najlepiej się uczący. Wyszli raz z rana koledzy jego do ogrodu, przy kamienicy będącego, i znaleźli na drzewie powieszonego, już nieżywego Dziakowskiego, z takim napisem na ćwiartce papieru, przypiętym na piersiach: „Ojcze niebieski, idę do Ciebie, chociaż mię jeszcze nie zawołałeś, bo mi bez Ciebie tęskno.“ Pytałem Ojców teologów i razem przeora ich, co też Bóg zrobił z tą ofiarą, kiedy w naszych ustawach nie może być w niebie tylko katolik; z drugiej strony Dziakowski, przejęty miłością Boga, przekonany, że jego wiara najlepsza, bo nie rewokował, obiera sobie śmierć najhaniebniejszą, bo powieszenie się, byleby prędzej Boga swego widział, jakże go Bóg sprawiedliwy za to potępić ma? Stanęli teologi, nie wiedząc co odpowiedzieć i przecież ksiądz przeor z litości do nieba wpuścił Dziakowskiego.

Poznałem także w Nieświeżu sektę żydowską, kitajowców, w Litwie nazwaną, że nic wełnianego, chyba kitaj albo płótno nosić nie mogą, powszechnie zaś są gatunkiem karaimów czyli żydów, prosto trzymających się textu, a Talmud i wszelkie inne podania odrzucających. Prosili oni u rządzcy lasów nieświezkich o drzewo dla siebie na bożnicę, w tymże mieście i kiedy im r zekłem, iż mają w mieście bożnicę, oni mi odpowiedzieli, że do tej zgromadzać się nie mogą. Różnica zaś ich najpierwsza od innych żydów i wszystkich ludzi podobno jest ta (jak mi ciż kitajowcy natenczas odpowiedzieli), że w nieszczęściach wielkich śmierci ojca, żony, dziecięcia, przyjaciela, pierwszego dnia płaczę, bom człowiekiem, ale przeklęty, kto płacze nazajutrz, bo nie wierzy w Boga, za którego zarządzeniem wszystko się dzieje. Rabin kitajowców mówił do mnie z takiem wzruszeniem, że poznać można było, iż mówi z serca, i uczy mię razem wiary w Boga mojego.

W tęsknicy domowej osobności, najwięcej bawią mię książki i gitara, książek mi najpiękniejszych po-

życzał, grzeczny dla mnie jak dla innych w powiecie obywatelów, blisko w Szereszewie konsystujący z pułkiem swoim generał rosyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka, par Mr. Michau, o wierze, prawach i obyczajach Indyanów, i tę przetłumaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niej wiele mniej ciekawych opisów. Przed wyjściem nieco i po wyjściu generała Kamińskiego pod Austerlitz, zaczęły się kłopoty kolo nas, które wojska moskiewskie przechodząc tędy, koniecznie za sobą prowadzić muszą. Kilkunastu generałów w domu moim w przechodach swoich almakowało, a wieśniacy moi biedni, czasem każdy po 40 żołnierzy na noc do jednej chaty z obejściem przyjmować musieli, dając darmo żołnierzowi barszcz i krup trochę, chleb zaś trzy funty na dobrą wagę płacony. Kogóż łzy ludzi płaczących rozerwać mogą?!

Między generałami, którzy u mnie bywali, był generał Hlebów, bogaty Rosyanin. Nie mam tylko dwa osobne pokoje dla gości, które mu ofiarowałem, ale przyszedł z prośbą, ażebym jemu samemu pozwolił przed pokojem u mnie nocować, gdyż tamte dane mu, ledwie syna jego i służących tyle obejmą. Pozwoliłem — ale może do 3ciej po północy, raporta do generała przychodzące i różne głośne gadania przed pokojem spać mi nie pozwoliły. Nazajutrz pytam go czy spał wygodnie w domu ubogiego Karpińskiego? a on mię zapyta: „Alboż wy Karpiński, i czy nie ten co wiersze pisywał?“ Kiedy mu się przyznałem, że ten sam, kazał sobie przynieść żurnal miesięczny, drukowany w Moskwie, w którym mi czytał wspomnienie o mnie w takim składzie: „że w najnieszczęśliwszych czasach Polski, najbardziej tam kwitnęła literatura, którą podnieśli prócz inszych Naruszewicz, Krasicki i Karpiński.“— Stał u mnie przez trzy dni Hlebów i już noclegi mia-

łem najspokojniejsze, a przez trzy dni u mnie bawiąc, zawsze, aż przesadzał grzecznościami dla mnie. — Tak pierwszy raz wiersze moje zrobiły mi dobrze między ludźmi, bo wprawdzie z tej miłej zabawki w mojem życiu żadnego pożytku nie miałem.

Drugi generał Jazów, Rosyanin, mało znam ludzi, mających tak dobre serce, jak jego poznałem, bez najmniejszej pychy, i myślił tylko, jakby biednym ludziom dobrze uczynić.

Trzeci generał Lewicki, między podobnymi sobie najpyszniejszy, kiedy do niego mówiłem mało-rosyjskim językiem, on mi powie, żebym mówił po polsku, bo ten język rozumie.

Oficerowie jego powiedzieli mi, że on jest Polak pierwszego zaboru, z Połockiego. Wstydziłem się za niego, że on się wstydził przyznać, że jest Polakiem. Ale rzecz dziwna, że jak on był najcięższym w stanowisku swojem na wiosce mojej, tak potem każdy oficer z Polaka był jemu podobnym, uciskając ludzi naszych, tony sobie nieszczęsne dając, a to, że będąc oficerem rosyjskim, już my bracia jego dawniejsi za niższych od niego poczytani.

Bawił mię czasem w mojej osobności, ale najwięcej głupstwami swojemi nudził, w sąsiedztwie mieszkający i często przejeżdżając wstępujący do mnie Niemiec spolaczały. Mnie szanował, żem był (jak powiadał) na akademii. Ministeryum pruskie skąd on był rodem, przenosił nad wszystkie europejskie, że wszyscy tamtejsi ministrowie byli na akademii. Kiedy za panowania Pawła, generała rosyjskiego Hermana, który był wylądował z Moskalami w Holandyi, wzięli w niewolą Francuzi, wziął go zaś prosty grenadier francuski, głupi mój Niemiec utrzymywał, że nieśmiałby i niemógł prosty grenadier brać w niewolę generała rosyjskiego, ale to był generał francuski, który miał nazwisko grenadyer i tak dopiero generał mógł wziąść w niewolą generała. Niemogąc się inaczej zbyć w domu, nudnego tego głupca, kazałem chłopcu pilnować, jak tylko na dziedzińcu się pokaże, żeby wybiegł ku niemu i powiedział, żem już umarł i pochowany. Zało-

wał mię zaraz bardzo, ale dowiedziawszy się, żem to ja dla niego tylko umarł, już mnie na szczęście moje nie odwiedza.

Żebym umartwienia, które zwyczajnie wydarzają się w gospodarstwie uniknął, od kilku lat oddałem rząd cały w kolonii i dochody z niej roczne wnukowi mojemu po rodzonej siostrze Franciszkowi Kozierodzkiemu, a on z tych dochodów żywić mię, dwóch ludzi moich i trzy konie powinien, resztę potrzeb ułatwiam z procentu, który rocznie odbieram od 4000 czerwonych złotych. Najlepszego w nim widzę człowieka, sprowadził w dom mój dla pomocy sobie i brata swego młodszego, ale temu, chociaż majątku z ojca ani z matki nie wiele mieć się spodziewającemu, edukacyi prócz umiejętności języka niemieckiego żadnej niemającemu, pysznym go widząc nad miarę, powiedziałem: „Wybijaj sobie ile możności z głowy żeś pan i mądry, a na to miejsce wbijaj sobie żeś głupi, to mieć można jeszcze nadzieję, że z ciebie coś będzie.“ Ta moja dana mu nauka skutkuje i lepszym się daleko zrobił. Starszy zaś brat jego, ten mój ulubiony, ma serce najlepsze.

Dawniej, kiedy sam jeszcze rządziłem, on miał klucz od śpichlerza, w którym gorzałka w kufach chowana; pokazało się po przemierzeniu przedając kupcom, że w pół roku bycia jej pod kluczem jego, niestało gorzałki podług percepty garcy dwieście kilkadziesiąt. Ja w pierwszym impecie zapalczywy, że czasem aż chorowałem, o czem on wiedział, rzuciłem się do kiju na niego, a on klęknąwszy, rzecze: przez moje niedbalstwo, żem klucz czeladzi dawał do szpichlerza, gorzałka ta pewnie skradziona, bij mię jegomość, a nie gniewaj się, bo gniew zdrowiu dziadunia szkodzi.“ Opuściłem ręce i bić go nie mógłem, kiedy tak serce jego do serca mego przemówiło.

Chciałem go żenić, żeby weselej z kobietami w domu moim było, ale kiedy już narzeczona przyszła żona jego, zadyktowała mu, aby zaraz kareta dla niej, sześć koni i liberya była galonowana, porzucił fircyczkę, chcąc w domu gospodarnej nie zaś trwoniącej majątek

żony, jaką potem pojął, gospodarną i poczciwą kobietę, z której piękne ma dzieci. Wyjeżdża on corocznie po procent do księżnej krajczynej Sapieżyny na Wołyń, ponieważ ztamtąd mil kilkanaście tylko do ojca jego, w kordonie austryackim mieszkającego, kazałem mu, ażeby siostrę swoją od ojca do mnie przywiózł, żeby (ponieważ już była 18letnia, jak mi mówił brat jej) i domem moim rządziła, i tenże dom, prawdziwie klasztorny bez kobiet, rozweselała. Stało się jakom żądał, i panna Katarzyna jadąc do mnie od ojca, wstąpiła z bratem w dom księżnej krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, w czasie balu u tejże pani; fircyków wołyńskich mnóstwo i panien tamtejszych zgromadzenie, bawiło się najweselej, a moja Kasia, blisko księżnej siedząc, pończoszki robiła. Sama księżna napisała mi to, że mówiła jej, aby się oraz z drugiemi pannami bawiła, a ona jej odpowie: jakaż dla mnie zabawa, kiedy tu nikogo nie znam, nawet pisała mi księżna, iż oka nawet na bawiącą się młodzież nie podniosła. Uważał to w kompanii będący młodzian, Walenty Polanowski, starosta ostrzki, majętny obywatel tamtejszy, i widząc pannę przystojną, bo między pięknemi prawdziwie rachować ją potrzeba było, o do tego patrząc na nią tak skromną, rozkochał się w niej, który tyle już partyj przez bojaźń dostania złej żony, odrzucił. Bawiła u księżnej więcej tygodnia wnuczka moja, i miłość do niej Polanowskiego wzmogła się, wreszcie przyjechała z bratem do mnie, z listem księżnej, o wszystkiem mi donoszącym. Znalazłem Kasię prawdziwie piękną, ale co pierwsza, cnotliwą, gospodarowała mi w domu najlepiej, o Polanowskim zaś zawsze myślałem, że jak się zajął prędko ten ogień, tak i zgaśnie prędko. Aliści po 7miu niedzielach bawienia w domu moim tej gospodarnej dziewczyny, przyjechało do mnie szczęście jej, Polanowski, z usilnemi za nim prośbami księżnej i matki jego, ażebym mu tego małżeństwa nie odmawiał. Cóż miałem robić, kiedy to dla mojej Kasi tak pomyślnem było, a nadewszystko znalazłszy Polanowskiego grzecznym, cnotliwym, edukacyjnym, i jak teraz majątku więcej dwóch milionów mającym. W ty-

godniu ślub im w moim pokoju dany, i najszczęśliwszemi dzisiaj są małżonkami. Zdarzenie to zastanawia mię nad losem ludzkim na świecie, inszy biega przez całe życie, i zdybać choć umyślnie szuka, szczęścia swojego niemógł, a tej sama fortuna szuka.

Polanowski najgrzeczniejszym jest teraz dla mnie, pisuje często, przysyła albo ciekawe książki francuskie, albo polskie druki i pisma, jak świeżo z Wołynia przysłał mi proces między Szczęsnym Potockim i generałem Złotnickim, gdzie ci dwaj zdrajcy ojczyzny zadają sobie w aktach publicznych, jako jeden drugiego na zgubę ojczyzny Polski, i na uciemiężenie obywatelów natenczas podżegał.

Już umarł Szczęsny tym procesem znękany, i mimo bogactw jego, pod gołem niebem leży, że kilkanaście tysięcy czerwonych złotych na kościół w tem miejscu gdzie grób jego wyznaczono, sukcesorowie w karty przegrali. Wdowie po nim podchlebny Trembecki wiersze napisał, że połowa świata nad nią się zadziwia, a druga połowa jej zazdrości; przecież ona znana między nami tylko, że była kiedyś piękna.

Umarł niedawno na Wołyniu i drugi zdrajca ojczyzny Miączyński, marszałek gubernii wołyńskiej, ale ten, ruszony sumieniem, przed samym zgonem pioruny z obłoków ściągał, ażeby go ubiły, za zdrady ojczyznie swojej wyrządzone, a przytomnych przed śmiercią jego obywatelów prosił, ażeby na niego plując, nogami go deptali, czyby tak nie zbył się zgryzoty, którą go zguba narodu niszczy.

Siedząc po większej części w domu, że po kompaniach obywatelskich, nieznośni mi się zrobili fircyki czyli zepsuta młodzież teraźniejsza, która nielubiąc czytania książek i niemając wiadomości rzeczy żadnych, wszystkoby decydować chciała, a nic gruntownie nie powie. Siedząc jak mówię w domu, napisałem najulubieńszą mi książkę: „Rozmowy Platona z uczniami swoimi,“ i tę wydrukowaną imperatorowi Alexandrowi przypisałem, któremu, gdyby pozwolono iść tak jak go powodzi serce jego najlepsze, niemożnaby żądać dogodniejszego narodowi monarchy. Przysłana mi od

niego tabakierka kosztowna, pamiątką będzie jak był łaskawym na mnie. Książka ta uczy ludzi religii jaką naturalnym rozumem wystawić sobie można, uczy razem i obyczajów, to myślałem, że może kiedyś obejrzą się ludzie i przypomną sobie cnotę, o której dzisiaj zapominają. Druga część tego Platona, do tych czas nie wyszła, że ponieważ ona traktować miała o rządzie, ta materya, w teraźniejszych okolicznościach, śliską zdała mi się i wolałem nic nie pisać, aniżeli pisać fałszywie. Wszelako zebrane myśli i moje i z inszych autorów w przydatku do tej historyi ludzi ze mną żyjących, którą teraz piszę, będą wypisane gdzie i reszta myśli moich, od Platona już wydrukowanych pozostałych, umieszczone będą, gdzie razem położę i insze pisma moje, które w druku jeszcze nie były. Gdyby był król albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawieniu losu mojego myśleli, byłbym mógł zapewnie, nierównie więcej dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczej do roli, co mi teraz starość wygodniejszą zrobiła. Chciałem pisać poema, pod tytułem: „Bohater Straszny,“ jako jest już książka z włoskiego dawniej przetłumaczona; gdzie w mojem dziele, ten niby Don Kiszot miał wojować z Bogami niebieskiemi, półbogami ziemskiemi, bogami wód i piekielnemi, wszystko to w wesołym sposobie wyrażone, dzieciom zabawką a razem nauką byłoby mitologii. Chciałem opisanie wierszem teraźniejszych państw Europy, co także młodzieży dla nauczenia się łatwiejszego geografii byłoby użytecznem. Tyle prócz tego notatów na różne tragedye i komedye, jako zabierających mi czas do gospodarstwa potrzebniejszy, które mię i wyżywiać może, popaliłem. Zostały tylko rozmowy Platona w francuskim języku przez kapitana Sempni przetłumaczone, i manuskrypt pod tytułem: „Dzieciom dla ich zabawki, historyi ciekawszych dawnego świata zebranie,“ który ten manuskrypt dla dzieci już jest w druku w Wilnie.

Co się tyczy emigranta Francuza Sempiniego, następujące zdarzenie zrobiło mi go najprzychylniejszym: Słyszałem o nim, że z inszemi nieszczęśliwemi emi-

grantami pod wodzą Księcia Kondeusza, bawił na Wołyniu około Dubna. Zapewniony o jego statku i talentach, pisałem do niego nieznajomy do nieznajomego, ażeby przyjechał do Litwy, w okolice moje, a wystarałbym się mu sposobu jakiego życia. Był Sempini kapitanem w wojsku francuskiem, a znalazłem go kiedy na mój list do mnie przyjechał, mającego uczciwą edukacyą. W sąsiedztwie swojem w domu pułkowników Engelhartów, uczył synów języka i geografii, z pensyą kilkadziesiąt dukatów; widząc że to małem było dla niego poratowaniem, sprowadziłem aż z Mozyrskiego synów obożnego litewskiego Prozora, a z inszemi z sąsiedztwa mojego dziećmi, pensya jego do 300 dukatów corocznie przychodziła.

Bawił mię dom Engelhartów gdzie ten poczciwy Francuz z dziećmi swojemi bawił, i jak w wieku moim teraźniejszym z dziećmi się bawić dla mnie najmilej, aby ich czego nauczyć, tak i oni zemnie pożytek, a ja z nich rozrywkę miałem. Wdzięczny mi Sempini napisał piosnkę francuską na pochwałę moją, w której i swoją dla mnie wdzięczność wyraża. Tę pieśń, śpiewały z nim dzieci jak przyjeżdżałem w dom ich, i chociaż potem przeniósł się w dom inszy, ja i tam o nim nie zapomniałem, albo bawiąc, albo przynajmniej do uczniów jego pisując małe listy w materyach moralnych, ażeby mi w języku francuzkim odpisywali, bez dokładania się guwernera, tylko jak sami myślą. Sempini się od kilku lat oddalił, na miejsce zyskowniejsze, ja moją domową tęsknotę, często przerywam jeżdżąc do domu tej cnotliwej obywatelki wojskiej Laskowskiej, gdzie córka jej z inszemi kilką cnotliwemi panienkami, pod guwernantką, zdatną edukowała się. Tam mi najmilsza zabawa była z dobremi temi dziewczętami, zadawałem pytania u nich będąc z tego czego się uczyły, a oddalony pisując także do nich listy w materyach obyczajów. Prócz tego emigranta, sprzyjaźniłem się był, chociaż na krótki czas z drugim: Comte de la Ferrone, bawiąc kilka niedziel w domu księżny krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, który takiem osobliwszem zdarzeniem, znalazł się w domu

księżny. Księżna krajczyna młodą będąc mężatką bawiła w Paryżu i miała znajomość z Panem de la Ferrone na tenczas pułkownikiem. Potrzebna pieniędzy, jako nieznajoma pożyczyć ich tam nie mogła. Pułkownik de la Ferrone, zaręczył za nią w banku, pożyczono zaraz 2000 dukatów i w terminie wyznaczonym, z pieniędzy z Polski dla niej przybyłych dług zapłaciwszy, wkrótce do Polski powróciła. Po trzydziestu kilku leciech, kiedy księżna w dobrach swoich wołyńskich za Dubnem bawiła, dowiedziała się, że jakiś generał de la Ferrone, jest w Dubnie z księciem de Condé, pisze do niego list, dowiadując się czy nie ten sam jest który ją ratował kredytem swoim w Paryżu. Kiedy odpisał, że ten sam, posyła po niego karetę z prośbą, ażeby do niej przyjechał; zrobił tak jak żądała; przyjechawszy poznali się, ofiarowała mu w domu swoim wygody wszystkie, prócz których jeszcze 100 dukatów corocznie na potrzeby jego dawała, a tak on u niej będący bez sposobu inszego, nieszczęśliwy emigrant, który niegdyś do 300,000 franków z dóbr swoich liczył, do swojej śmierci osiadł, która po kilku leciech nastąpiła. Jakież to zdarzenia teraz na świecie zdarzają się: ktoby się był spodziewał, że ten dawniej bogaty pan we Francyi bo do 40 tysięcy franków intraty posiadający, będzie kiedyś kawałka chleba żądnym i w domu cudzym na kilka set mil od swego kraju odległym, za dobry swój uczynek, żywionym do śmierci będzie. Ulubiwszy ja tego starca u księżnej bawiącego, kiedy raz doskonała jej muzyka grała tkliwie marsz emigrantów francuskich, ja bliżej orkiestry stojący, rozrzewniłem się nad stanem poczciwego a nieszczęśliwego tego emigranta, a razem rozrzewniony i naszemi nieszczęściami, żeśmy ojczyznę utracili, przybliżywszy się do Ferrone, z uczuciem największem rzeknę mu do ucha schylony na ramiona jego: Ty nieszczęśliwszy odemnie jesteś, bo ja chociaż straciłem ojczyznę moją, ale przynajmniej między braciom mojemi żyję— ale ty daleki od rodziny i ojczyzny na cudzym kawałku chleba śmierci czekasz. Porwie mię za szyję Francuz i ściskać zacząwszy krzyknie rozrzewniony: masz przy-

czynę tak mówić. — Goście przytomni rozrywać nas zaczęli, rozumiejąc żeśmy' się pokłócili — a nas żal wspólny łączył.

Ale porzućmy cudze smutki, dosyć mając i swoich, kiedy w r. 1807 o kilkanaście tylko mil odemnie, były te zawzięte i długie walki Francuzów z Moskalami, gdzie od kilku miesięcy po kilkadziesiąt tysięcy trupów w zimowej porze nie pogrzebionych pod niebem na kupach leżało. W tem człowieczeństwa nieszczęściu, wspomniawszy na tyle świeżo srogą wojną zabitych, takem był sobie obrzydził mięso, żem go jeść nie mógł. A widząc często koło karczmy mojej idących o jednej ręce, albo różnemi sposobami skaleczonych, chleba kawałka żebrzących żołnierzy biednych rosyjskich, którym urzędnicy magazynowi, żywności nawet w ich kalectwie nie dostarczali, nie raz z największem wzruszeniem serca pomyślałem: O kiedyż zstąpi na ziemię bóstwo to dobroczynny człowiek, mężny i litośny razem, kiedyż poznaczywszy granice, każdemu z monarchów, postępować samowolnie zakaże, a w zdarzeniu krzywdy jakiej jednego od drugiego, sąd deputowanych Europy naznaczy, którego wyroku jeśliby ktoś słuchać niechciał, wtenczas wszyscy europejscy samowładni przeciwko niemu walczyć mają. Wtenczas to ten mąż znamienity, do tych czas po lasach tylko i ustroniach pokój kryjący się, sprowadziłby do miast i wiosek naszych, gdzie wesoły mieszkaniec kontent, wyrobiony przez siebie chleb pożywałby, aniby mu go głodny, a czasem tylko zuchwały żołnierz z rąk nie wydzierał. Jakże nas w tej mierze zawstydzają te dzieci Bramy, niewinni Indyanie, którym zwierzęcia nawet, a już dopiero człowieka nie godzi się zabijać. My ich zowiemy barbarzyńcami, ty Boże rozsądź któryś na ziemi posadził ludzi, ażeby mnożyli się, rośli i kochali się, a oni się wadzą i zabijają, kto u nas barbarzyniec?

Ja okropnością wojen ustawicznych zmordowany, tym fałszem ludzi, którzy mnie otaczają, że z niemi żyć muszę, odstręczony od świata, niemogąc mieć rozrywki z czytania dla słabości oczu ani z pisania czego

dla niedostatku z wiekiem myśli i wyrazów, które kiedyś w głowie mojej jak w zapaśnej komorze zaraz znajdowałem, a teraz ten mój magazyn zupełnie pusty, czekam spokojny śmierci, ani jej wzywając ani jej się obawiając, śmierci, która mało bardzo szczęścia, a wiele nieszczęść w życiu mojem dokończy. Już ona ciebie mi najlepszego serca Wincenty Matuszewiczu wydarła? on majętny chciał żyć zemną w domku moim do śmierci, że żyjąc na wielkim świecie, tęsknił do człowieka jak mi to pochlebnie mówił. Już Elżbieta Branicka siostra nieboszczyka króla, 80 letnia pani, oddawna łaskawa na mnie, i której dom lubiłem, napisawszy list do mnie sześciu dniami przed śmiercią swoją, ażebym do niej przyjechał, zgasła. Już w tymże tygodniu wojska Laskowska sąsiadka moja skonała, której serce najlepsze znane dla wszystkich, a dla mnie w szczególności dom jej był najmilszym, że tam często jeździłem, dla bawienia się z edukującemi się razem z córką jej kilką szlacheckiemi pannami, do których tak jak do uczniów Sempiniego listy obyczajne pisywałem. Te trzy śmierci w kilku niedzielach zdarzone, skwaśniły bardziej życie moje, o które prócz tego mniej dbałem, straciwszy po traktacie w Tylży, nadzieję tak pożądaną i jak się zdawało tak bliską widzenia ojczyzny mojej zmartwychwstałej.

Znowu zabłysnęła nadzieja większa, kiedy przez Bonapartego i Polaków z nim wojujących, księstwo Warszawskie wzięte od Prus, Prusy przez Francuzów zgnębione ze wszystkiem, Austrya pod Austerlic upokorzona, o czem dzieje wieku tego obszerniej będą opisywać.

Co się tycze Polski, Bonaparte pamiętny, że Polacy córkę elektora saskiego na sejmie zrobili królową polską, ojca jej zrobił księciem warszawskim i razem królem saskim, i wtenczas Napoleon zatrząsł Europą całą, który z ojca ubogiego szlachcica w Korsyce, Cesarzem francuskim koronowany, rozwiodłszy się potem z pierwszą żoną, cesarza austryackiego córkę poślubił i z nią syna rzeźwego jak i on spłodził.

Gdyby był ten wielki Napoleon natenczas przestał, całą Europę upokorzywszy, między upokorzonych królów wieczny pokój wprowadził, jakżeby go potomne wieki uwielbiały. Ale niesyty sławy, zapędził się za Rosyanami z ligą reńską z cesarza austryackiego wojskiem sobie nieprzychylnem, a jednemi Francuzami i Polakami przywiązanymi najszczerzej. Gdyby był po odebraniu Smoleńska traktat wieczny zrobił z Rosyą, Polska zostałaby jak za Sasów w granicach swoich dawnych i stałaby się tamą wieczną wkraczaniu Rosyanów od Europy. Ale on zapędziwszy się po odebraniu Smoleńska, aż do stolicy dawnej Rosyanów Moskwy, odebrał ją wprawdzie i spalił, ale sam potem dla głodu w wojsku swojem i dla mrozów niezmiernych połowę wojska utraciwszy, ledwie z resztą uciekł i już potem nie powstał. Nakoniec i z Francyi wypędzony, na wyspie Elbie osadzony, a ztamtąd, gdy jeszcze wypadłszy do Francyi, tłumy narodu tego do siebie pościągał, znowu przymuszony uciekać przez Europę przeciw niego powstałą, oddawszy się Anglikom, przez nich na wyspę świętej Heleny zawieziony, pilnie strzeżony, spokojnie siedział i tam umarł.

Co do mnie, spodziewając się umrzeć nie zabawem, już testament napisałem, czyniąc podług woli mojej zupełne rozporządzenie, a chcąc doprowadzić stałe postanowienie, uważając siebie coraz bardziej cierpiącym i doświadczającym od lat 20stu czarnej melancholii, która coraz się bardziej powiększa, przedsięwziąłem kupić wieś dziedziczną, abym, usunąwszy się od zgiełku wielkiego świata, z miłą dla mnie wnuka mego Franciszka Kozierowskiego familią, przepędził ostatek dni życia mojego. Ale już obrzydziłem sobie świat i ten wiersz często powtarzam: „O mundus immundus, a vita invita, liber ame, libera me.“ W starości mojej teraźniejszej, przychodzą mi na myśl, i też melancholię powiększają, zdrożności moje młodszego wieku; także w życiu mojem byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w pierwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany, aż do chorowania, dla tego unikałem okoliczności i ku latom podeszłym, gospo-

darstwo domowe na wnuka mego Franciszka Kozierowskiego zupełnie zdałem Byłem skłonny do kobiet ale ostrożny, żem nigdy nie chorował, ani rozpustny, żem więcej zdrowie nad roskosz cenił. Byłem chroniący się ile możności wydatków niepotrzebnych, a szanującym, do zadziwienia inszych, rzeczy nabyte, tak mam dotychczas zwierciadło z szufladami do golenia się, które całe służy mi od 44, a zegarek od 49 lat, tylko jak stary sługa pomału idąc opóźniający się trochę. I taką oszczędnością przyszedłem do 130,000 i do kolonii Kraśnika, moim kosztem erygowanej.

Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię Boże mój na słońcu wschodzącem siedzącego i oglądającego światy niepoliczone. — Gry hazardownej i pijaństwa nie lubiłem. — Byłem trochę chełpliwym, ale w posiedzeniach w żartach nieupokarzający drugiego, pierwsze mi miłość własna wtrącała, a drugiego miłość bliźniego zakazywała. Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone. Na nędzę ludzką osobliwie biednych tkliwy, i tę tkliwość, za zasługę sobie niepoczytuję, bo serce takie wziąłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi.

W roku 1812 podczas nieszczęśliwych rozruchów wojny, zniszczony w mojej kolonii, nie wszystko utraciłem, bo 150 dukatów wrzucone w studnią ocalały, wkrótce wpadli kozacy, zabierając odzienie i bieliznę moją. A z tych jeden przystąpił do mego kantorka i rzecze, otwórz, bo siekierą rozbiję, i daj pieniędzy. Dobyłem tam będących 60 dukatów zlokowanych w tabakierce mi danej od monarchy Alexandra I., wysypałem je na stół i z czuciem rzekłem do kozaka: „Nie zabieraj, na Boga proszę, biednemu starcowi tych pieniędzy.“ — On odrachowawszy sobie 20 dukatów, resztę mnie oddał. Tę jego dobroczynność uwielbiam.

Wkrótce potem Franciszek Kozierowski, wnuk mój po siostrze, gospodarując przy mnie, ożenił się z Anną z Tolkaczów wdową Zdzitowiecką, przystojną i gospodarną. To zamęście weselszy dom mój zrobiło a chroniąc się kłopotów, ustąpiłem prawa mego 50letniego

z całym dochodem do kolonii Kraśnika temuż wnukowi. Naostatek uskuteczniłem moją chęć kupienia jakiej wioski dziedzictwem, jakoż i kupiłem w powiecie wołkowyskim, wioskę Charowszczyznę od WJPana Wincentego Orzechowskiego, sędz. granicz. tegoż powiatu, za którą z poślinami do skarbu monarszego należnemi sto tysięcy złotych zapłaciłem. Po śmierci zaś mojej wnuk Franciszek Kozierowski, którego doświadczyłem od dzieciństwa przywiązania, i we wszystkiem dla siebie powolności, tejże wsi dziedzicem będzie, uskuteczniając jednak zawsze wolą i rozporządzenie moje w ostatnim testamencie moim uczynione. Sprowadziłem się do tej nowo kupionej wioski od lat trzech i tu spokojnie mieszkam, gdzie zemną Kozierowski z żoną, z dziećmi i z całem gospodarstwem sprowadził się. Zabudowanie tu w Charowszczyznie mam wygodne, blisko Łysków miasteczko, gdzie raz tylko przez rok wyjeżdżam, i to na spowiedź wielkanocną, a dla słabości zdrowia nigdzie więcej, choć mam blisko sąsiadów wiele, którzy mię kochają. O dwie mile odemnie mieszka starosta Siehen, który od lat 40 jest moim přzyjacielem, czas m u mnie bywa, ale choć go prawdziwie kocham, bywać u niego nie mogę, dla słabości zdrowia, w której ledwie mogę popokoju przechodzić się, więcej dnia na leżeniu i trochę siedzeniu przepędzając.

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym, żegnam się z wami najpierwej krewni moi Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcej od lat 40 przyjaciele moi: Karolu Prozorze, oboźny litewski, i Ignacy Sieheniu, starosto krzemeńczucki, jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się?! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie ojcze mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czem ty mnie w młodości mojej napominałeś, ale przynajmniej od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu (jak sobie przypominam) krzywdy nie

zrobiłem. Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mię konając napominał i chociaż ta droga wiodła mię czasem do umartwienia, ale też taż sama prawda wyznana (jakeś mi to przepowiedział) słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego sam jesteś położony, powiedz za dziecięciem twojem, że było ułomnem, ale przynajmniej starał się, aby zbrodniarzem nie był.

KONIEC.

This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.